PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK CZTERNASTY. — TOM LV.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1897.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1897.

SPIS RZECZY

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica

Socyaliści na własnem gospodarstwie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 53

Notatki o Ślązku Cieszyńskim. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 169

Polacy w Paranie. Przez *d-ra J. Siemiradzkiego* . . . 193

Artykuły naukowe i literackie.

Święty Wojciech. Przez *d-ra Antoniego Prochaskę* . . 1 254 358

O chlebie i winie do Eucharystyi używanem. (Studyum historyczno-archeologiczne). (Dok.). Przez *ks. J. Bilczewskiego* 38

Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej (1893—1896). (Dok.). Przez *Antoniego Mazanowskiego* 75

Stosunki polsko-tureckie w pierwszych latach Zygmunta III. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* 99 219

Wewnętrzna pewność aktu wiary. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 236 395

Perez Galdos i jego dzieła. Przez *T. W.* 329

Polemiczne pismo Pocieja. Charakterystyka i geneza. Przez *d-ra Cyryla Studzińskiego* 371

Wykształcenie szkolne laików, zwłaszcza Piastów od 966 do 1364 roku. Przez *d-ra Antoniego Karbowiaka* 410

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Pogadanka o nowszych powieściach polskich. (M. Gawalewicz: „Od jutra“, „Niczyja“, „Szubrawcy“. — W. Łoś: „Ze Starzów pani Appelstein“, „Niedyskrecya“. — M. Rodziewiczówna: „Jerychonka“, „Na wyżynach“, „Z głuszy“. — G. Zapolska: „Fin-de-Siècle'istka“. — K. Junosza: „Na bruku“, „Buda na karczunku“. — K. Laskowski: „Kosztowni dobrodzieje“, „Żydzi przy pracy“. — J. Ogiński-Kontrymowicz: „Książe Hołuba czyli Don Kiszot XIX. w.“, „Z czeluści piekielnych“. — B. Prus: „Grzechy dzieciństwa“. — Ks. Z. Chełmicki: „Requiescat in pace“. — W. Gomulicki: „Zielony kajet“. — W. Kosiakiewicz: „Plama“, „Rozpieszczona dziewczyna“. — Z. Kowerska: „Znane dzieje“, „Na służbie“. — A. Pług: „Oficyalista“. — A. Dygasiński: „As“. — Exterus: „Po zdrowie“. — Znicz: „Fałszywe dźwięki“. — J. Nowiński: „Świekra“. — W. Bączkowska: „Co będzie z naszego chłopca“, „Bez woli“. — C. Niewiadomska: „Stracona“. — M. Milkuszyc: „Dziadowie i wnuki“. — T. Lemianowicz: „Jedynaczka“, — Iry: „Pod rodzinnem niebem“. — H. Gliński: „Mamusie“. — K. Gliński: „Klęska“. — I. Wysocki: „Iryna“. — A. Wysocki: „Namiętności“). *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 124

Książe Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania Stanisława Augusta (1764—1768). Przez Alkara. 2 tomy. *(A. Szarłowski)*. 271

Stara i młoda prasa. Przyczynek do historyi literatury ojczystej (1866—1872). Kartki ze wspomnień eksdziennikarza. *(Antoni Mazanowski)*. 274

Dogmatyka katolicka. Część ogólna. Krótko zebrał ks. J. Tylka. *(Ks. W. Długołęcki T. J.)* 277

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiej. z lat 1893—1896. (C. d.). *(Roman Gutwiński)* 279

Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania. Stanisław Tarnowski. Tom II. i III. *(Dr. Korneli Juliusz Heck)* 434

Zmarnowane życie. Dramat w 5 aktach. Przez Stefanię Landynową. *(Dr. Antoni M. Kurpiel)* 438

Rozmyślania o życiu kapłańskiem czyli ascetyka kapłańska. Ks. Józef Pelczar. Część I. i II. *(Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz)* 439

O cudownym obrazie Najśw. Maryi P. Berdyczowskiej. Wiadomość historyczna. Ks. Wacław, Kapucyn. — O cudownym obrazie Najśw. Maryi P. Ostrobramskiej w Wilnie. Tenże. — Wielebna Siostra Teresa od św. Augustyna, Karmelitanka Bosa. Tenże. — Mowa żałobna podczas pogrzebu ś. p. Teodora Rogozińskiego. Tenże. — Basma. Tenże. — Kraków w roku 1794. Tenże. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 441

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Geschichte der christlichen Eschatologie innerhalb der vornicänischen Zeit mit theilweiser Einbeziehung der Lehre vom christlichen Heile überhaupt, von Dr. Leonhard Atzberger. *(Ks. J. Bilczewski)* 140

Le martyrologe de l'église du Japon 1549—1649. Par l'abbé Profillet, ancien aumônier de la flotte et de l'armée. 3 volumes. *(M.)* 142

Z czeskiej literatury katolickiej. II. i III. *(Ks. dr. Józef Tumpach)* 144

Das Wesen des Verbrechens. Von Julius Makarewicz, Dr. iur. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 286

La „Religion de Jésus" ressuscitée au Japon dans la seconde moitié du XIX. siècle. Par Francisque Marnas, missionaire apostolique. *(M.)* 293

Powieść polityczna w Anglii. *(R***)* 295

Le christianisme et l'empire romain de Néron à Theodose. Par Paul Allard. *(M. * *)* 443

Siostra Julia. Opowiadanie. Napisała Anna Storożiwna. („Сестра Юлія". Оповіданє. Написала Анна Сторожівна). *(H. S.)*. 450

Z pism czasowych:

„Місіонаръ". Выходитъ разъ на мѣсяцъ у Львовѣ въ монастыри ОО. Василіянъ. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 353

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Stolica święta przeciw uciskowi językowemu. — Z Węgier. — Ze Szwecyi. — Walka przeciw pojedynkom między młodzieżą niemiecką. — Odgłosy z jubileuszu św. Wojciecha. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 153

Miasto bez nędzarzy. Przez *H. S.* 160 322

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Katolicki ruch w Czechach. — Angielskie szkoły. — Wolnomyślni ciemięzcy w Szwajcaryi. — Postęp zdziecinniały w Bawaryi. — Jaki byłby stosunek Stolicy świętej do Włoch w razie wojny? — Z Węgier. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 303

Pierwszy katolicki kurs socyalny w Krakowie. Przez *Leonarda Lipkego T. J.* 312

Stronica

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Encyklika Leona XIII. z powodu trzechsetnej rocznicy śmierci błog. Piotra Kanizego. — Obchód jubileuszu błog. Piotra Kanizego. — Z Włoch. — Z Bawaryi. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 457

Trzynaste Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Przez *d-ra Antoniego Kurpiela* 463

Misya Adryanopolska ks. Zmartwychwstańców. Przez *Kamila Sierzputowskiego T. J.* 471

Czytelnia katolicka we Lwowie. Przez *ks. B. J.* 475

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J

ŚWIĘTY WOJCIECH.

I.

W Czechach.

W czasach Ottonów zajaśniała korona cesarstwa rzymskiego, tak wysoko podniesiona za Karola Wielkiego, niezwykłym blaskiem chwały. Po pokonaniu niekarnych i zuchwałych wasalów, przyszła kolej na obronę państwa; na polach Lechu starł Otto I. potęgę Madiarów, koczowników podówczas i groźnych wrogów cywilizacyi, a równocześnie i książęta wielu plemion słowiańskich, a nawet normańskich, jak np. duńskich, uznają zwierzchnictwo cesarza niemieckiego. Z dniem swej koronacyi w Rzymie 962 r. koroną lombardzką, staje się cesarz obrońcą i rzecznikiem spraw całego Zachodu, interesów cywilizacyi, podczas gdy przedstawicielem i zwierzchnikiem świata chrześcijańskiego jest papież rzymski, który go koronuje żelazną lombardzką koroną. Wywdzięczając się za otrzymany znak najwyższego dostojeństwa, zawezwany wkrótce potem, tłumi Otto bunt pod Krescencyuszem w Rzymie wybuchły i całą potęgą cesarskiej korony wspiera władzę papieską.

Najświetniejszą chwilą tej restauracyi rzymskiego cesarstwa jest koronacya młodzieńczego Ottona II. przez papieża Jana XIII., jak niemniej koronacya małżonki tegoż w 972 r., greckiej księżniczki Teofanii. Wschód i Zachód witał w tem małżeństwie znak odrodzenia i trwałej zgody; zdawało się, że wszystkie przeciwieństwa Wschodu i Zachodu, cesarstwa bizantyńskiego i za-

chodniego zostaną przez Ottonów usunięte, a świat cywilizowany pozyskawszy silne oparcie w odrodzonem cesarstwie, znajdzie w niem kierownika obrony i krzewiciela społeczności chrześcijańskiej w zgodzie i pod egidą starego Rzymu.

Ottonowie, pomimo rozlicznych zajęć, jakich wymagała wielka, pełna młodzieńczej siły i wyższych dążeń polityka, ani na chwilę nie spuszczali z oka spraw wschodnich na całej a długiej linii obszernego państwa. Stykano się tutaj z barbarzyńcami, z narodami słowiańskimi, hołdującymi pogańskim bogom, pogrążonymi w zabobonach i dzikości. Broniono się też od niebezpieczeństwa, jakie stąd państwu groziło całym szeregiem marchij, instytucyj mających za zadanie siłą miecza odpierać najazdy i szerzyć oświatę zachodnią. Zadanie to, spoczywające w rękach, które niejednokrotnie ze szkodą cywilizacyi nadużywały poruczonego sobie stanowiska, domagało się użycia innych środków, i już Otto I. podczas srogiej walki z Madiarami nad Lechem uczynił ślub, że w razie zwycięstwa wzniesie na granicy wschodniej nowe biskupstwo w Merseburgu. Nie jedno, ale cały szereg biskupstw założył król na wschodzie, a w 967 r. nastąpiło ich zatwierdzenie. Prawie równocześnie powstają dwa biskupstwa w krajach słowiańskich, które się podniosły do rzędu państw chrześcijańskich: jedno poznańskie w Polsce, poddane pod zwierzchnictwo arcybiskupów magdeburskich, drugie w parę lat później w Pradze czeskiej w 972 r., a z tą chwilą zaświtała jutrzenka nowej doby i nowego życia dla tych wschodnich ludów, uznających, acz niechętnie, zwierzchnictwo rzymskiego cesarza.

U kolebki tej cywilizacyi dwóch ludów, wybijających się z niedoli ludziszcz i plemion do rzędu czynników cywilizacyjnych, widzimy męża świętego, którego imię u obydwóch narodów i po dziś dzień największą czcią otaczane, z którego wspomnieniem łączą się pierwiastki cywilizacyi chrześcijańskiej i początek historyi obydwóch narodów: świętego Wojciecha [1].

[1] Treściwe zestawienie źródeł odnoszących się do życiorysu Świętego obacz u Finkla, Bibliogr. histor. I, 369, tudzież uzupełnienie u Kaindla, *Bemerkungen zur Passio*, Quidde *Hist. Zeitsch.* IX, 104 i n.

Cały szereg pytań wiążą historycy z biografią świętego męża, o ile, że pomniki, opisujące jego żywot, są najdawniejszymi piśmiennymi przekazami z dziejów tak polskich, jakoteż i czeskich, a w ciągu dalszym i węgierskich. Nie dziwna, że wobec tego historycy cywilizacyi szukają w nich śladów, w jaki to sposób drustwa i bractwa ustępują miejsca opolom, te zaś plemionom, w pośród których wybija się na czoło ludziszcz książe. Szukano odpowiedzi na ważne pytanie o władzy księcia, czy mianowicie wiece miały przewagę w sprawach rządu wewnętrznego kraju, czy władza księcia była dziedziczną i czy młodzi dynastowie dają początek stanowi szlachty, a zarazem i pierwszemu zawiązkowi organizacyi państwowej, jaką drogą odbywa się ewolucya z barbarzyństwa do cywilizacyi chrześcijańskiej. Obok tych pytań, co prawda bardzo ważnych, ale niezmiernie trudnych, — o ile, że materyał historyczny, nie dający nieraz odpowiedzi na tak ważne kwestye, jak założenie biskupstw w Polsce, jak upadek państwa Sławników w Czechach, jak zdobycie Moraw przez Bolesława Wielkiego i tyle innych zasadniczych pytań, bez których wyjaśnienia wszelka wyższa konstrukcya będzie dziełem pomylonem, pozwala na liczne kombinacye, pozostawiając bujne pole domysłom, — mamy cały szereg pytań innych, stojących w związku nie tak z genezą społeczeństwa, jak raczej z życiem jego duchowem, z czynnikami, które to życie wywołały. W historyi św. Wojciecha znajdziemy odpowiedź na pytanie, jaką była i jakie skutki za sobą pociągnęła działalność jego w Czechach, na Węgrzech i w Polsce, czem były te kraje przed jego apostolstwem i jakie skutki wywarło ono na rozwój tych krajów.

W Czechach, gdzie święty Wojciech około r. 960 ujrzał światło dzienne, lubo już przeszło pół wieku zaprowadzone było chrześcijaństwo, naród pozostawał jeszcze na stopniu zupełnego pogaństwa. Widać to przedewszystkiem w rodzinie, w której mąż jest panem swej żony, jak ona jego niewolnicą[1], nad którą rozciąga władzę życia i śmierci. Wielożeństwo jest ogólnie przy-

[1] Mancipium, jest vězeň muže svého.

jętem a monogamię uważano za dowód ubóstwa ojca rodziny. Stan niewolników zwiększa się, nazwy *servus, serviens, ministerialis* stają się równoznaczącemi; także i nazwy *homines* spotkać można jako równoznaczące z *servi.* Wszystko, tak osoba, jak i wyznaczona rola tych niewolników, należy do pana, nie mają oni własności, władza patryarchalna wyzuwa ich z własnej woli. Wobec takich stosunków kwitnął handel niewolnikami, dzieci i kobiety sprzedawano na targach. Współczesny Ibrahim wynosi Żydów, jako tych, którzy na drodze tego handlu podnosili Czechy do rzędu ludów zachodnich, a i dzisiejsi historycy kultury podobnież sądzą[1], że tendencyą tego handlu żywym towarem był rozwój organizacyi społecznej.

Ludem twardego karku i niewolnikiem swych namiętności nazywa Czechów św. Bruno[2], a cały szereg przykładów stwierdza jak najdowodniej, że był to naród twardy, nie wzdrygający się w zemście przed najsroższą zbrodnią. Mord dokonany na rodzinie św. Wojciecha, żywo opisany przez dziejopisa Kozmasa, jak to trafnie podniósł już nasz Długosz, obudza zgrozę z powodu ówczesnej dzikości Czechów, którzy żadnem uczuciem litości, nawet zwierzętom wrodzonej, nie dali się odwieść od spełnienia okrutnego morderstwa na słabych i niewinnych.

Pierwotne też dzieje czeskie niejednego przykładu dostarczają na stwierdzenie surowego sądu Długosza, którego tak chętnie nowsi historyografowie pomawiają o uprzedzenie względem Czechów. Wiadomo jest, że Ludmiłę świętą, gorliwą krzewicielkę chrześcijanizmu za czasów św. Metodego zamordowała oddana pogaństwu Drahomira, której znowu syn, wychowany przez wspomnianą świętą, również święty, Wacław, pada z ręki mordercy, Bolesława Srogiego. Podówczas to nastała reakcya, prześladowano w Czechach chrześcijan, wypędzano księży, dopokąd Otto Wielki po krwawych walkach nie zmusił Bolesława do restauracyi, a zarazem do opłacenia trybutu rzymskiemu państwu.

---

[1] Lippert, *Socialgeschichte Böhmens,* gdzie cała literatura do tego handlu odnosząca się jest przytoczona.

[2] MP. I, 197: *populus durae cervicis.*

Okrucieństwo Bolesława, jakiem zaznaczył swoje rządy patryarchalnej doby dziejowej, ścieliło mu drogę do jedynowładztwa, do państwa w Czechach. Wkrótce już znikają naczelnicy plemion, których było kilkanaście; władza księcia szerzy się w całych Czechach, on sam jeden wiedzie układy z cesarzem, staje na czele obrony przeciwko Węgrom.

Obok Bolesława panuje w Czechach jeden tylko kniaź, a jest nim Sławnik, ojciec św. Wojciecha; Kozmas mówi o nim, jako o księciu *(dux)*, opisuje granice jego księstwa, rozciągające się na wschód od Mołdawy, z górą Oseč (koło Königssal) po Sazawę, Kładzko i Litomyśl, ze stolicą Libič nad Łabą[1]. Jak widoczna z tych granic, sąsiaduje Sławnik głównie z polskiem państwem Mieczysława, panuje nad wschodnią połową Czech, w jego granicach jest plemię Chorwatów nad Izerą, u których szukała schronienia Drahomira po zamordowaniu św. Wacława[2]; on panuje nad dwoma najważniejszymi traktami handlowymi Wschodu, nad jednym, wiodącym na Kładzko do Polski, i drugim na Litomyśl do Węgier.

W jakim stosunku pozostawał dom potężnego Sławnika[3], spokrewnionego z ludolfingami saskimi, z domem Przemyślidów, nie jest nam dokładnie znanem[4]; wolno się jednak domyślać,

[1] Kozmas w *Font. r. Boh.* II, p. 41.

[2] „Ubojawszy sia... bieża w Krowaty". *Font. r. Boh.* I, 133.

[3] Św. Bruno nazywa Sławnika: „vir magnus et praepotens possessio eius diffusa". MP. I, 189.

[4] Teige w *Forschung. zur Deutsch. Gesch.* XXVI, 285, uzupełniając badania Tomka *Čas. česk. Mus.* 1858 p. 484 i wciągając w genealogię zapiskę kroniki Dalemilowej *Fontes Rer. Boh.* III, 65, kreśli takie pokrewieństwo Sławników z domem saksońskich cesarzy:

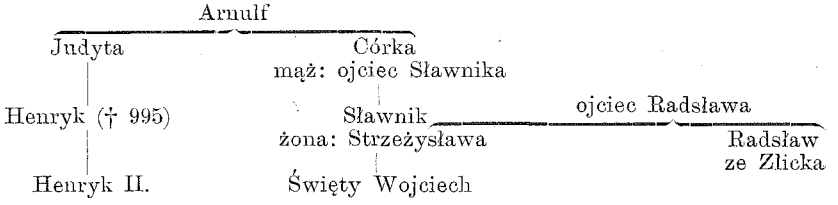

Zbędnem byłoby dodawać, że genealogia ta wskazuje na równość zupełną co do rodowego pochodzenia Sławników z Przemyślidami, kwestyonowaną ongiś przez Palackiego, *Gesch. Böhmens,* I, 220, nr. 29.

że dążący do utworzenia domowej potęgi książe panujący w Pradze z zawiścią patrzał na sąsiedzkiego księcia, jak to zresztą dowodnie okazać się miało w czynach. Natomiast znanem jest, że na dworze Sławnika, podobnie jak i na praskim, obyczaj panował na poły pogański. Sam Sławnik mianowicie hołdował wielożeństwu i wcale nie przyświecał zbawiennym przykładem swej rodzinie. Grono jej nie było małem; wiadomo bowiem ze źródeł poważnych, że św. Wojciech miał kilku braci przyrodnich; znanym jest młodszy odeń Gaudenty, zwany w domu Radym, towarzysz jego apostolskich prac i późniejszy arcybiskup gnieźnieński; wiadomo jest, że czterech poległo w Libiczu z rąk siepaczy, nasłanych przez Bolesława II., jeden zaś uniknął śmierci dlatego tylko, że był podówczas na dworze Bolesława Chrobrego. Porajem nazywa Długosz tego, który ocalał i przyjęty na dwór Bolesława Chrobrego, obdarzony od niego bogactwami dał początek rycerskiemu domowi Porajów; współczesny wypadkom Tietmar Merseburski [1] nazywa go Sobiesławem. Innych braci imiona, tych co polegli, są: Ścibor, Spycymir, Dobrosław, Zawisza i Czesław [2]. Ozdobą domu Sławników była matka świętego Wojciecha, Strzeżysława, z zacnego słowiańskiego rodu [3], prawdziwa chrześcijanka, pobłażliwa na błędy męża i oddana swemu posłannictwu macierzystemu, dla czego też sławi jej pamięć wymowny św. Bruno w życiorysie św. Wojciecha. O niej to podaje najstarsze źródło współczesne, że w gwałtownej chorobie dziecięcia, zwanego Wojciechem, zrozpaczona czyni ślub, że dziecię ofiaruje Bogu, skoro wyzdrowieje, kładzie je na ołtarzu Matki Boskiej, na znak ofiary, a gdy wyzdrowiało, z czułością macierzyńską przygotowuje je do stanu duchownego [4]. Widocznie wdzięczny

[1] Thietmar VI, 9 *Zebislovo*.

[2] Długosz, *Arma*, wyd. Przeźd. Opera omn. I, 562 i w historyi pod 993 rokiem. Natomiast Kozmas I, 29 nazywa ich: Sobiebór, Spycymir, Pobrasław, Porej i Czasław. Zauważyć należy co do tego ostatniego autora, że nie podając szczegółu, jako jeden z braci Świętego poszedłszy do Polski dał początek rodowi Porajów, nazywa po imieniu Poraj, chociaż będzie to prawdopodobniej nazwisko ogólne rodowe (proklamacyjne) aniżeli własne.

[3] „Claro ex genere Slauorum nobilissima“, mówi św. Bruno. MP. I, 189.

[4] Canapar. MP. I, 163—164.

syn miał żywo w pamięci dobrodziejstwa od matki otrzymane i sławił je w gronie swych towarzyszy, którzy przekazali potomności pamięć o swych czasach. Była ona córką Radsława, księcia ze Zlicka, prawdopodobnie już chrześcijańskiego. Opowiada nam również Bruno, że Adalbert, późniejszy arcybiskup magdeburski, w przejeździe przez Libicz w drodze na Ruś [1], dokąd jako biskup misyjny, *episcopus gentium* był wysłany, w 961 roku udzielił młodzieńcowi sakramentu chrztu, nadając mu swe imię na znak, aby ze zmianą imienia nastąpiła i zmiana życia młodzieńca. Nastąpiła też wkrótce potem ta zmiana, gdy rodzice postanowili go oddać na naukę do Magdeburga, gdzie właśnie na nowo erygowanej stolicy arcybiskupiej zasiadł tenże biskup Adalbert. Do jego metropolii należały biskupstwa w Merseburgu, Żytczu i Miśnii nowo utworzone, zarówno jak i Brandenburgii i Poznania; biskupowie dwóch ostatnich już przed utworzeniem metropolii byli konsekrowani. Dotychczas wychowaniem książkowem młodzieńca kierował jakiś domorosły pedagog, kleryk w pobliżu Libicza, pod którego kierunkiem, co prawda, nauczył się Wojciech na pamięć psałterza, ale też dwakroć uciekał z domu leniwego nauczyciela, za co srogą od ojca otrzymał karę [2].

Zupełnie inaczej pokierowano wykształceniem młodzieńca w Magdeburgu. Tu nad brzegiem Elby wzniósł był Otto I. wspaniały kościół pod wezwaniem św. Maurycego, a przy kościele znajdowała się szkoła, głośna na całej północy. Uczony arcybiskup, któremu prawdopodobnie zawdzięcza nauka jedno z najlepszych źródeł historycznych, kontynuacyę kroniki Reginona, powołał na kierownika szkoły niemniej głośnego mistrza Otryka, zwanego saskim Cyceronem, a pomiędzy uczniami znaleźli się tacy, jak święci Wojciech i Bruno i późniejszy znakomity dziejopis tego czasu, Tietmar Merseburski. Otryk wyposażył szkołę w bogatą książnicę, a do szkoły uczęszczali tłumnie zarówno Niemcy, jakoteż i Słowianie, pomimo że Otryk był despotą

[1] MP. I, 191: „primo eum crismate liniret". Cf. Adam Bremeński, II, 13 i *Mon. Ger. Leg.* II, 561: „Rugis olim predicator destinatus et missus". O imieniu Adalbert cf. Canaparius c. 4 i Thietmar IV, 19.

[2] MP. I, 190.

w udzielaniu nauki, że często plagami zmuszał do niej, tudzież że wobec mistrza wszyscy, zarówno Niemcy, jakoteż i Słowianie zmuszeni byli mówić po łacinie, który to przepis tak dalece przestrzegał, że tylko dyscyplina użyta przez mistrza była w stanie wywołać okrzyk w mowie rodzimej [1].

Polecony arcybiskupowi przez rodziców przybył Adalbert do magdeburskiej szkoły, gdzie pod kierunkiem Otryka lat dziewięć pozostawał na naukach. Postępował w nich znakomicie, o ile, że oddawał się im całą duszą, zwłaszcza Arystotelesa zgłębił należycie. W chwilach cierpień z powodu pustoty lub złośliwości swych towarzyszy szukał pociechy w gorącej modlitwie, a wszystkie wolne od nauki chwile przepędzał na nabożeństwie w kościele. Szczególnie oddawał się młodzieniec, którego ozdobą była słodycz i anielska niewinność, medytacyom, podczas gdy koledzy używali wczasu; pielęgnował nabożeństwo do Matki Boskiej, podczas gdy oni biesiadowali. W nocy nawiedzał biednych i ułomnych, przynosząc im ulgę lub pociechę, albo też wsparcie z zasiłków, jakie otrzymywał przez rodziców [2]. W myśl zasad wychowawczych Kościoła, surowo przestrzeganych przez Otryka, dążenie do ideału, do doskonałości stało się celem młodego ucznia, dążył więc zarówno do ograniczenia własnej woli, jak i do poddania się pod posłuszeństwo woli wyższej, do skierowania swych myśli ku Bogu, jak i do uznania się za środek do celów wyższych.

Gdy w r. 976 Otryk otrzymał zaszczytne powołanie do kancelaryi cesarskiej, opuścił Adalbert szkoły i udał się do domu rodzinnego, gdzie z rówieśnikami wiódł życie pełne rozrywek i zabaw, jak surowy św. Bruno mówi: *quaerens cibum et potum, nescit rectus cernere coelum.* Stąd wysłano go jednak wkrótce na dwór pierwszego biskupa praskiego i tu zaszedł wypadek, który miał rozstrzygająco wpłynąć na całkowitą zmianę życia.

Wypadkiem tym była straszna śmierć pierwszego biskupa praskiego, której Wojciech był naocznym świadkiem. Wśród

---

[1] MP. I, 192.
[2] MP. I, 163—164

wyrzutów sumienia, wołając głośno o miłosierdzie, wyznawając, że na stolicy biskupiej niczego nie zdziałał, że zaniedbał obowiązków biskupich i spowodował upadek Kościoła w Czechach, pośród strasznych męczarni konania ze słowami, że „idzie tam, gdzie robak jego nie zginie, a ogień go palić będzie na wieki", na ustach, wyzionął ducha pierwszy biskup praski [1]. Wypadek ten uczynił na umyśle Wojciecha potężne, niezatarte wrażenie; z tą chwilą bowiem groza z powodu odpowiedzialności wysokiego urzędu biskupiego, obowiązek energicznego działania na stanowisku biskupiem, świecenia przykładem i czynem i plenienia złego, stanęły żywo przed oczyma jego i głęboko na życie całe wryły się w jego duszę. Wglądnął on przytem w siebie samego, zobaczył wady i niedostatki i przejęty skruchą szukał lekarstwa w modlitwie i pokucie, odwiedzał kościoły i ubóstwo, pracując gorliwie nad poprawą i odrodzeniem własnem.

Wkrótce potem na zgromadzeniu starszyzny kapłanów i narodu został wybrany następcą Tietmara, biskupem praskim. Było to w 983 roku. Wspaniałe poselstwo starszyzny narodu odprowadza wybranego, jaśniejącego ponad wszystkich tak wysokim rodem, jak bogactwem i nauką, jak wreszcie nienagannem, cnotliwem życiem, do cesarza, bawiącego we Włoszech, po inwestyturę, tudzież, by asystować święceniom biskupim. Na dniu 3 czerwca wręczył elektowi Otto II. uroczyście pastorał i pierścień biskupi, a 29 czerwca odbyła się uroczystość konsekracyi, dokonanej przez arcybiskupa Moguncyi a zarazem metropolity praskiej dyecezyi, sławnego męża stanu i energicznego pasterza, Willigisa.

Nie wśród przepychu i blasku tak ulubionego przez swój naród, nie w pośród świetnego orszaku sług wraca biskup do stolicy swojej, lecz jakby jaki najuboższy zakonnik we włosiennicy i boso — postronek służy za uzdziennicę dla jego wierzchowca — odbywa wjazd do Pragi. Wnet też okazało się, że następca Tietmara, prosty w sumieniu, surowy w obyczajach rozwinął działalność w kierunku gruntownej reformy życia powie-

[1] MP. I, 164—165.

rzonej sobie owczarni. Dając bowiem przedewszystkiem dobry przykład, żył skromnie na wzór zakonnika, w umartwieniach ciała, w postach i modlitwach, odwiedzając chorych i więźniów, opieką otaczając wdowy i sieroty i spełniając uczynki miłosierdzia jako najlepszy ojciec ubogich, których codziennie w liczbie dwunastu podejmował u swego stołu. Przed wschodem słońca nigdy nie brał pokarmu, a rzadko tylko zasypiał przed północą, martwiąc ciało pokrzepiał ducha, mówi jego biograf. Dochody biskupie podzielił na cztery części, przeznaczając je na utrzymanie kapituły, kościoła, na cele wychowawcze i dobroczynne, sobie zaledwie czwartą część pozostawiając, z której jednak opędzał potrzeby nietylko swego domu, ale świadczył zarazem wielu dyecezanom. Wkrótce przystąpił do reformy życia podupadłego kleru, pouczając sam kapłanów i naprawiając, co było koniecznem, aby w ten sposób utorować drogę odrodzeniu życia chrześcijańskiego w Czechach.

Tkliwa i staranna opieka biskupa nad duszami powierzonej sobie owczarni, w kraju, w którym wyrzuty sumienia z powodu rozciągającej się nad nim nocy pogańskiego barbarzyństwa, zabiły Tietmara, poprzednika biskupiego, w takim kraju i przykład, i praca, i cała duchowa działalność biskupa nie mogły się podobać. Tam, gdzie zły przykład szedł z góry, od samegoż duchowieństwa, tam ascetyzm biskupa raził; tam, gdzie na targach publicznych sprzedawano chrześcijan w ręce synów Izraela, tam opieka biskupia nad sierotami i ubogimi była kłującym oczy wyrzutem dla jego dyecezan; gdzie przyzwyczajenie do wygód i blasku życia było powszechnem, tam prostota życia, powściągliwość, odwiedzanie więźniów, a co więcej, udzielanie posłuchań ubóstwu przed wszystkimi innymi, było policzkiem dla głęboko wkorzenionych wad narodowych.

Nakazy święcenia niedzieli w kraju przywiązanym całą duszą do grubego materyalizmu, poszanowanie węzłów rodzinnych, gdzie rodzina była na poły pogańską, zakazy wielożeństwa, gdzie ono było uważane jako chluba i dowód zamożności, zwiększyły ilość wrogów biskupowi. Wykupywanie przezeń niewolników, przykłady dobroci i łagodności, ojcowskiej słodyczy

mogły wprawdzie przyciągnąć umysły, ale z drugiej strony i energia w dążeniu do postawionego sobie z góry celu oddalały odeń dyecezan. A pomimo to lat siedm nie ustępował biskup w gorliwej pracy nad powierzonemi swej pieczy duszami ziomków, a co nadto, szanował wszelkie różnice szczepowe, plemienne i cywilizacyjne, i udzielał silnego poparcia wzrostowi państwowemu Czech, kochał swych ziomków, pomimo że mu nie odpłacali miłością.

Zapytajmy, czy od księcia zyskał biskup należne poparcie? Zapewne, skoro książe Bolesław, syn owego Srogiego, stał się założycielem biskupstwa w Pradze i wielu kościołów i klasztorów, skoro właśnie dla tej przyczyny narodowi historycy obdarzali go nawet przydomkiem Pobożnego, stosunek jego do biskupa nie mógł być napiętym, pomimo całej nienawiści, jaką pałali Przemyślidzi do rodu Sławników. Z drugiej strony, przy rozważaniu pytania co do stosunku księcia do biskupa, nie należy zapomnieć, że przy erekcyi biskupstwa praskiego świadczył dobrodziejstwa i ród Sławników, gdyż dotacya nastąpiła z obu księstw zarówno, przyczem i to zaznaczyć należy, że przez to wspólne uposażenie ród Sławnikowski przyczynił się do utrwalenia państwa, obejmującego całe Czechy. W ten sposób Bolesław stawał się dłużnikiem nietylko całego rodu Sławnikowskiego, ale i biskupa w szczególności, o ile, że ten całą swą działalnością wspierał powagę rządu i już dlatego samego nie można było dobre zamiary i dzieła odpłacać niechęcią[1]. A jednakowoż stosunek księcia do biskupa nie musiał być przykładnym, jak się to okaże z bliższego rozbioru stosunków politycznych w Czechach za czasów Bolesława II. Przypatrzmy się

[1] Podnieść należy na tem miejscu z naciskiem te zasługi Świętego obok unifikacyi Czech, o ile że szowinizm narodowy poważył się sformułować zarzut Świętemu, że zamiast popierać sprawę czeską przeciwko wpływowi niemieckiemu, stał się najgorliwszym poplecznikiem stronnictwa antinarodowego, skutkiem czego po dwakroć zmuszony był do opuszczenia stolicy biskupiej! Echem takich dawniejszych poglądów, była sumienna zresztą rozprawa p. t.: „Żywot św. Wojciecha wobec historyi“, w *Przegl. Polskim*, Kraków 1874, 2, 123. i n.

bliżej tym stosunkom, o ile, że tworzą one tło, na którem tem wybitniej występuje działalność biskupa praskiego.

Erekcya biskupstwa w Pradze była wypadkiem donośnego znaczenia. Przy pomocy cesarza Ottona I., który dał na to zezwolenie, pokonano wiele trudności, stojących na drodze dziełu erekcyi, Praga bowiem należała do dyecezyi regensburskiej, której biskup, zarówno jak i salcburski metropolita, sprzeciwiali się dziełu, o które tak usilnie starał się Bolesław II. Gdy jednak na tronie biskupim w Regensburgu zasiadł św. Wolfang w 962 r., celem rozszerzenia Kościoła dał on natychmiast zezwolenie [1] i tak powstało nowe biskupstwo w świecie chrześcijańskim pośród ludu czeskiego, który tem samem otrzymał zacne miejsce wśród rzeszy narodów zachodnich. Potwierdził erekcyę papież Jan XIII. pod warunkiem, aby służba boża odprawianą była, jak dotąd, w języku łacińskim. Biskupstwo praskie przy kościele pierwszego Świętego Czech, św. Wacława, poddano pod metropolię moguncką, pierwszą w całem imperium, wyzwalając zarazem z pod sąsiedniej metropolii salcburskiej.

Zaledwie jednak Bolesław II. otrzymał upragnione od Ottona zezwolenie na erekcyę, gdy niebawem już puścił łaskę cesarską w niepamięć. Kiedy bowiem wnet potem wybuchła wojna domowa w Niemczech, a Henryk, książe bawarski, powstał przeciwko cesarzowi Ottonowi II., Bolesław poparł wszystkiemi siłami uzurpatora i już w 976 r. stał się największą podporą księcia, który po udaremnionej próbie uzyskania korony szukał wreszcie schronienia w Czechach. Natenczas cesarz zwrócił oręż przeciwko Czechom i po spustoszeniu kraju wśród całorocznej wojny [2] zmusił księcia Czechów do starania się w Kwedlinburgu o pokój, który też i uzyskał. Ale bezpośrednio po śmierci Ottona II. Bolesław pod koniec 983 r. znowu przerzuca się na stronę księcia Henryka, który w związku z pogańskimi ludami nadłabskimi, jakoteż z polskim Mieszkiem szukał popar-

[1] *Vita S. Wolfgangi*, c. 29. Pertz SS. IV, 538.

[2] *Ann. Lamberti et Weissenburgenses*, Pertz III, 65. Znaczenie powołania tego zna i podnosi Bruno c. 10, konkludując: „humiliata Theutonum magnanimitas terram lambit".

cia swoich pretensyj do cesarskiej korony, i myśląc bardziej o sobie, aniżeli o sprzymierzeńcu, zabiera gród miśnieński, wydalając zarazem stamtąd biskupa [1].

Nie pomogły jednak Henrykowi te związki i wsparcia z księciem czeskim i słowiańskimi książętami, przeciwnie, tracił on coraz bardziej znaczenie, zwłaszcza u Sasów, walczących krwawo z śmiertelnym wrogiem chrześcijan, Mściwojem Pomorskim, sojusznikiem Henryka. Po całym rzędzie bezużytecznych walk, rokowań i ugód, na zjeździe 29 czerwca 984 r. książe Henryk zmuszony był do zrzeczenia się korony, do wydania Ottona III. na ręce matki Teofanii i do złożenia przyrzeczenia wierności. Skutkiem tego upokorzenia było, że na wielkanoc 985 roku trzej jego sprzymierzeńcy, Polak, Czech i Obotryta, Bolesław II., Mieczysław I. i Mściwoj złożyli hołd dziecięciu cesarzowi w Kwedlinburgu.

Tutaj przed Greczynką, matką cesarską, Teofanią, przed babką, mądrą Adelajdą upokorzył się rycerski książe Polaków, Mieszko, prosząc o przebaczenie za wojnę podjętą przeciwko cesarstwu. Obdarzyły go też rejentki najwyższą łaską i wyniesionego do godności książęcej zaszczycają najtkliwszą przyjaźnią, zgoła jakby im był blizkim krewnym [2]. Odtąd Mieszko wytrwale stoi przy związku z rzymskiem cesarstwem. W następnym zaraz roku, gdy król znowu przybył nad Łabę, Mieszko stawił poczty wojowników pod jego rozkazy i współdziałał przy pokonaniu nadłabskich Słowian. Co więcej, on nietylko, że okazywał wier-

[1] Thietmar IV, 4.

[2] Ustęp dowodzący tego wyniesienia Mieczysława, na który nie zwracano należytej uwagi, u współczesnego annalisty kwedlinburskiego, dobrze poinformowanego brzmi: „humiliavit se iuste ambabus in unum complicatis manibus militem se et vera ulterius fide militaturum non erubuit, nil paciscendo nisi vitam nil orando nisi graciam. Ac dominae (Teofania i Adelajda) tanti viri summissa deditione gratulabundae gracia fideli donatum, ductoria itidem dignitate sublimatum, deinde non tantum inter amicos sed eciam inter amicissimos ut ius propinquitatis exigebat debito dilectionis venerantur effectu". *Ann. Quedl.* Pertz, MG. v, 66—67 ad an. 985. Nie zwrócił na ten ustęp uwagi i Zeissberg, *Miseco* I, 67, podnosząc tylko ogólnie, że „Thatsache ist also nur, dass damit Miseco wieder in das frühere Verhältniss zum deutschen Reiche zurückkehrte".

ność danemu przyrzeczeniu, ale nadto krzewił silnie wiarę chrześcijańską, podczas gdy siostra jego, Adelajda szerzy ją na południu, w Węgrzech [1], i jak później córka Sygryda, matka Kanuta, miała ją szerzyć na północy, w Danii.

Czeski natomiast książe nie myślał o poparciu wzniosłych celów, wskazywanych przez mądrego arcybiskupa Willigisa, również jak i przez rejentki Teofanię i Adelajdę, nabierających życia i wzrastających jakby za dni Karola Wielkiego. Walczono tutaj nie tak potęgą miecza, jak raczej siłą umysłu takiego Willigisa, i rzymskie cesarstwo Niemiec poczęło wzrastać, pomimo, że Otto zaledwie kilka lat liczył i dopiero w dziesięć lat później otrzymał koronę. Gdy jednak Bolesław czeski nie myślał o oddaniu zabranej Miśnii, skąd wygnał był biskupa, wysłano przeciwko niemu sasko-turyngskie wojska, z któremi dziecięcesarz po raz pierwszy wyruszyło w pole. Krwawymi były te wojenne zapasy, o ile, że Bolesław niewątpliwie pozostawał w związku z dowódzcami Lutyków i wogóle nadłabskich Słowian, dla czego też wojna z lat 986 i 987 objęła nietylko Czechy, ale wogóle kraje położone wzdłuż Łaby [2]. Mieszko polski połączył swe wojska z cesarskiemi i dopomógł do świetnego tryumfu, albowiem czterdzieści sześć miast nieprzyjacielskich poddało się cesarzowi. We dwa lata dopiero po rozpoczęciu wojny poddał się Bolesław czeski; utracił on zagarniętą pod swoją władzę Miśnię, dokąd powrócił wygnany przezeń biskup, a nadto i cały Śląsk po lewym brzegu Odry przypadł sprzymierzeńcowi Ottona, Mieczysławowi. Miśnia stała się znowu stolicą saskiej marchii.

Jak z powyższego widoczna, książe czeski, chwiejny wobec cesarza i jego dążeń, później wiążący się przeciwko niemu z pogańskimi ludami, spełniał zdradę wobec Zachodu, o ile, że nietylko, iż wydalał biskupa i łamał zaprzysiężoną wiarę cesarzowi, ale nadto podejmował walkę z takich motywów nizkich i w taki

[1] „Qua duce erat christianitas coepta". Bruno o Adelajdzie MP. I, 211.

[2] Świadectwo Lamberta: „Iterum rex Bohemiam vastavit", jest dowodem, że wyprawy z 986 i następnego roku obejmowały nietylko nadłabskich Słowian, ale wogóle Czechy.

sposób, że akcya cała nie mogła być uważaną jak tylko za sprzeniewierzanie się zasadom chrześcijaństwa. Że wśród takich stosunków postęp chrześcijaństwa w samychże Czechach był utrudniony, a co gorsza, samoż chrześcijaństwo zagrożone, że apostolska praca biskupa, który objął rządy, aby godzić narodowości, a oddalać je od bałwochwalczych ludów, natrafiała na nieprzezwyciężone przeszkody, jest łatwem do odgadnięcia.

Nie na tem koniec; w następnych latach, podczas gdy margrabiowie nadłabscy walczą w obronie zagrożonego chrześcijaństwa, tymczasem wybuchła wojna pomiędzy księciem czeskim a Mieczysławem polskim, wojna której rezultat pozbawił Czechy „całego królestwa", Moraw [1]. Pomimo związków powinowactwa — siostra księcia Dąbrówka była żoną Mieczysława — pierwszy powołał na pomoc Lutyków, dawnych swych sprzymierzeńców i znowu wespół z poganami wiódł wojnę z chrześcijańskim i dobrze chrześcijaństwu wysługującym się księciem. Natenczas Mieczysław zażądał od rejentki Teofanii posiłków, a cesarzowa z Magdeburga, gdzie podtenczas bawiła, wysłała na pomoc arcybiskupa Gizilera z wielu tamecznymi komesami. Gdy posiłki przybyły nad Odrę, Czech fortelem usunął ich od połączenia się z wojskami polskiemi, nie zdołał jednak nawet podówczas nakłonić Mieszka do dobrowolnego zwrotu zaboru. Gdy część wojsk niemieckich powróciła do domu, wysłał Bolesław czeski wiadomość do Mieszka, iż sojuszników jego, Niemców, ma w swym ręku i że natenczas ich puści, skoro Mieczysław zwróci zabrane królestwo. Na to otrzymał odpowiedź od Mieczysława, że Otto sam pomści się za swoje, i że kraju własnego żadną miarą nie zwróci. Morawia pozostała przy Polsce, Bolesław zdołał tylko zająć Niemcz na Śląsku...

Tak więc związek z Lutykami nie zdołał Bolesławowi dopomódz do rozszerzenia granic państwa, natomiast zagroził wprost rozwojowi chrześcijaństwa w samychże Czechach, o ile że stosunki przyjazne z pobratymczymi szczepami słowiańskimi, wytrwale stojącymi przy poganizmie, trwały już przez przeciąg

[1] Thietmar IV, 9 i Annalista hildesh. pod 990 r.

całego dziesięciolecia i wcale nie zanosiło się, aby miały ustać. Przeciwnie niepowodzenia wojenne, jak się łatwo dorozumieć, wiązały Bolesława jeszcze ściślejszym węzłem z poganami, wskutek czego pogański zwyczaj i obyczaj, silnie jeszcze zagnieżdżony, odżył i powstał jak feniks z popiołów, objawiając się w rozszerzającem się wielożeństwie, w zrywaniu małżeństw i w kazirodczych związkach małżeńskich, w rozwijającym się coraz bardziej handlu niewolnikami za pośrednictwem Żydów i w niekarnym klerze. Że wobec takich stosunków wszelkie wysiłki biskupa były daremne, cała praca apostolska zagrożoną, trudy i przykłady w niwecz obrócone, jest zupełnie zrozumiałą rzeczą.

Zgodne z autentycznemi źródłami podanie mówi[1], że biskup nie mogąc zaradzić wzrastającemu złemu, klątwą obłożył kraj:

Když kopřiv z swe zahrady nemož wypleti
Musi všiu zemiu zakleti.

To pewna, że kto jak biskup Wojciech, do wysokiego dostojeństwa tak wielkie przywiązywał słusznie znaczenie, kto wobec wielkiej odpowiedzialności, całą duszą oddawał się szczytnemu powołaniu, wszystkich sił i środków używał do zadośćuczynienia obowiązkom, widząc wszystkie prace i wysiłki udaremnione, ten nie mógł dłużej pozostawać na miejscu zewsząd zagrożonem, wolał raczej ustąpić aniżeli patrzeć się na upadek Kościoła, którego kierownictwo i obrona spoczęła z woli Bożej w jego ręku. W towarzystwie brata Gaudentego i praskiego proboszcza Willigo tudzież kilku innych braci, udał się biskup do Rzymu. Zamiarem jego było usprawiedliwić przed Stolicą Apostolską opuszczenie Kościoła praskiego i po uzyskaniu aprobaty pójść do Ziemi Świętej pomiędzy niewiernych, tam na Golgotę, gdzie, jak to wzniośle opiewa najstarsza pieśń nasza:

Ciebie dla człowiecze
Dał Bóg przekłóć sobie
Ręce nodze obie,
Kry święta szła z boka
Na zbawienie tobie!

[1] Thietmar IV, 19. Rym. kron. w *Fontes r. Boh.* II, 64.

Dodać należy, że wśród trudnych ze wszech miar stosunków, w jakich pozostawał w swej dyecezyi, zmarła ukochana matka Strzeżysława [1].

Podanie przechowane nam przez Kozmasa [2], opiewa, że zanim udał się biskup w swą podróż do Rzymu, namawiał brata książęcego, benedyktyna Strochkwasa, aby objął po nim rządy osieroconej dyecezyi, w nadziei, że może brat książęcy zdoła ukrócić zuchwałość i szerzące się bezprawia w Czechach... tudzież że na przedłożenie to brat książęcy nie przystał. Obecnie nie chcesz przyjąć rządów lubo możesz to uczynić, odrzekł biskup, później będziesz chciał a nie będzie ci danem. Mówi też podanie, że po powtórnem wygnaniu św. Wojciecha, Strochkwas zapragnął mitry, i że przy poświęceniu umarł... Jakkolwiek z drugorzędnego źródła płynące, podanie to maluje nam dokładnie trudny stosunek biskupa do księcia, zawiera bowiem krytykę postępowania książęcego wobec silnych dążeń biskupa do chrystyanizacyi Czech, zarówno jakoteż i bezmyślne przywiązanie ze strony księcia do rodzimych zwyczajów, słabość wobec rodzimego barbarzyństwa, wobec którego był skrępowanym jakoby silnymi więzami... Wskazuje ono na związek, jaki zachodził pomiędzy dążeniami biskupa a politycznym kierunkiem, wyznaczonym ojczyznie przez Bolesława, zaznaczając, że odrzucenie dróg wskazanych przez pierwszego, było cofnięciem się cywilizacyi, nawrotem do barbarzyństwa.

Potężnego rodu potomek, syn możnego Sławnika, wdziewa szatę duchowną, obejmuje biskupstwo i z poświęceniem i zaparciem dąży do odrodzenia Czech. Ze zmianą imienia, z nauką zaczerpniętą z Zachodu, staje się młodzian synem tegoż duchowym i z całą potęgą młodzieńczego uczucia przywiązanym do wiary płynącej z Rzymu, do oświaty, którą stamtąd rozszerzano po Zachodzie. Otrząsłszy się z pyłu rodzimego zwyczaju, staje na czele narodu, jako biskup, jako nauczyciel wiary i duchowy kierownik rodaków. Usilne jego prace, podniosłe dążenia wśród

[1] *Annal. Prag.* MG. IV, 119 pod rokiem 987.
[2] Kozmas I, 29 w *Fontes r. Boh.* II, 42.

twardego i grubego narodu, nie znajdują uznania, wieloletnie trudy są daremne, przykład dany całem życiem nie przynosi owoców, pierwotne barbarzyństwo jego ziomków przygłusza wszelkie instynkta dobre, pobudzane do życia przez gorliwego pasterza. Zepsucie w życiu prywatnem, wśród ogniska życia domowego, odbija się wnet i w życiu politycznem narodu, jakby na stwierdzenie prawdy, że ścisły, niczem nie zaprzeczony zachodzi związek pomiędzy ogniskiem domowem a publicznem życiem narodu, że pierwsze wpływa na drugie i że to drugie od kierunku pierwszego jest zależne. Powrót do barbarzyństwa święci bowiem z chwilą tego zepsucia i w polityce swój tryumf: w związku księcia Czech z pogaństwem przeciwko Zachodowi, przeciwko jego oświacie, przeciwko chrześcijaństwu, w wojnie z tymi, którzy to chrześcijaństwo przyjęli i gorliwie je pielęgnowali, z miłością i przywiązaniem. Lutyckie jednak związki i wojny z Polską chrześcijańską nietylko że nie przyniosły dla Czech dobrych owoców, ale spowodowały jego uszczuplenie, a co najgroźniejsza, zachwiały chrześcijaństwem w Czechach.

Przejdźmy teraz do drugiej części żywotu Świętego, do pobytu jego w Rzymie i powrotu do ojczyzny, na podstawie tych znakomitych współczesnych żywotów, jakie nam pozostawili Kanaparyusz i św. Bruno [1].

II.

W Rzymie i z powrotem w ojczyznie.

Schyłek pierwszego tysiąclecia zaznacza się wielkim zwrotem życia wewnętrznego w całem chrześcijaństwie. U wrót dru-

---

[1] Winienem na tem miejscu podać, dlaczego *Vita minor* nazywam wprost żywotem napisanym przez Kanaparyusza. Wprawdzie Kętrzyński (*Przewodnik nauk. i liter.* z 1884, 1—10) dowodzi, że żywot ten napisał Gaudenty, brat przyrodni Świętego, lecz dowody nie przemawiają do mego przekonania. Wizye bowiem tak Kanaparyusza jakoteż i Nila zawarte w *Vita* sprzeciwiają się stanowczo temu dawniej jeszcze przez Voigta utrzymywanemu zdaniu. Przytoczone przez K. dowody, że tylko Słowianin zdołałby nazwisko sługi Myśla bez błędu napisać, dalej, że tylko Czech nazwać mógłby Pragę *Sancta civitas*, że co się działo w Pradze wiernie *Vita* podaje, że wreszcie oznacza dokładnie osobisty stosunek Gaudentego do Wojcie-

giego lat tysiąca po Chrystusie przejawia się silna, jakby nowem życiem przeniknięta dążność budowania wszędy społeczeństwa chrześcijańskiego, szerzenia wiary i cywilizacyi po najdalszych i najdzikszych stronach świata, szukania dróg nowych na podstawie nauki Chrystusowej. Nowe ludy, nowe państwa powstają, jako silne nowe czynniki cywilizacyjne, a wszystkie bez wyjątku rozpoczynają pracę od ewangelii i krzyża, od Świętych, pod ich kierunkiem i opieką wyłaniają się z barbarzyństwa, przeprowadzają reformę wewnętrzną i zaczynają nową dobę cywilizacyjną.

Wpływ przeważny, w wielu krajach niemal wyłączny, na ten wzrost cywilizacyi wywierają zakony, a przedewszystkiem benedyktyński, założony przez patryarchę zakonów łacińskich. Nietylko bowiem życie duchowe wzrasta przez nie, łagodnieje obyczaj, szlachetnieje zwyczaj narodowy, budzi się duch z ciemnicy barbarzyństwa, nietylko nauka w przybytkach zakonnych przechowuje i rozpowszechnia skarby ducha ludzkiego i cywilizacyi z potopu wędrówek narodów ocalone, ale co więcej, wszystkie wymogi życia cywilizacyjnego otrzymują z klasztorów, jakby z ognisk świetlnych, ożywcze promienie, a zarazem wytyczny a zacny kierunek. Klasztory, w Tours, założony przez św. Marcina, w Fleury nad Loirą z ciałem św. Benedykta, lub

---

cha, mogą tylko świadczyć, że Gaudenty, jako świadek czynów Świętego, podał materyał w awentyńskim klasztorze do napisania biografii, nie zaś żeby miał być autorem *Vita minor*. Nadmienić i to należy, że i pewne niedokładności w opisie ziem Pruskich, jakie znajdujemy w biografii, świadczą wymownie, że była pisaną w Rzymie, daleko od miejsc opisanych i nie przez świadka i towarzysza podróży pruskiej św. Wojciecha, jakim był Gaudenty. Jest *Vita* jakby z jednego odlewu dziełem niezawodnie opata klasztoru, który mówi o swych wizyach, a którym był Kanaparyusz. Co się tyczy *Vita maior* napisanego przez św. Brunona, to zdanie Kętrzyńskiego, jakoby Bruno nie napisał tego żywotu, jest zgoła odosobnione, i niczem nie poparte. K. sądzi, że chociaż wiadomo, iż św. Bruno napisał żywot i zgon Świętego, to jednakowoż niema stanowczych dowodów, aby nim było *Vita maior*. Wystarczy porównać *Vita quinque fratrum* pióra św. Brunona z *Vita maior*, aby skonstatować, że autorem obydwóch dzieł był św. Bruno, o którym zresztą współczesne podają źródła, iż był autorem żywotu św. Wojciecha.

założony przez tegoż wielkiego męża klasztór w Monte Cassino, są rozsadnikami nietylko życia ascetycznego, ale ogniskami chrześcijańskiej cywilizacyi we wszystkich jej kierunkach. Z przybytków tych prawdziwej oświaty wychodzi taki Patricius, który nawrócił Irlandyę, św. Dunstan, opat z Glastonbury, reformator Anglii, a z Monte Cassino wychodzi cały szereg apostołów chrześcijaństwa na wszystkie strony świata. Wszystkie narody europejskie, mające później zajaśnieć sztuką lub nauką, lub też rozwojem i obroną cywilizacyi, z chrztem otrzymanym z rąk tych apostołów lub misyonarzy zakonnych odbierały zasady prawdziwej cywilizacyi.

Z pierwszą bowiem nauką wiary wprowadzają te zakony gruntowną reformę we wszystkich kierunkach społecznego życia. Są one szkołami gruntownej uprawy roli i kolonizacyi kraju wśród koczowników albo też myśliwców i pasterzy i kładą tamę życiu koczowniczemu lub komunistycznemu pierwotnych gmin; są to szkoły rękodzieł i przemysłu, podnoszące gnuśne lub zacofane ludy na wyższy stopień cywilizacyjny, wreszcie szkoły sztuki i nauki, które stosując się do wyższych potrzeb ducha ludzkiego, dosięgają wyżyn niedoścignionych przez świat starożytny.

Pod św. Odonem, opatem z Kluniaku, wprowadzona reforma życia zakonnego objęła wnet zakony na całym zachodzie; w Anglii św. Dunstan, we Flandryi i Lotaryngii św. Gerard wlewają w nie nowe życie, nowe siły. Obejmuje ona klasztory w Niemczech: Fuldę, Korbeję, Kwedlinburg, St. Gallen i wiedzie do odrodzenia ducha w literaturze przez St. Galleńskich Ekhardów, Horoswitę, mniszkę z Gandersheim, Widukinda z Korbei; we Francyi przez Flodoarda i Gerberta z Reims, z których każdy pozostawił na zawsze trwały pomnik wiedzy i nauki.

We Włoszech obok Monte Cassino, które pod koniec wieku utraciło dawniejszą sławę, sławnym był klasztor na górze awentyńskiej nad Tybrem, dziś St. Alessio, z kościołem św. Bonifacego i Aleksego. Sławny Benedykt VII., obrońca uciśnionych i biednych, ten, który zrestaurował kościół św. Krzyża w Jerozolimie i oddał go zakonnikom z Kluniaku, oddał kościół wspo-

mniany wygnanemu przez Saracenów arcybiskupowi z Damaszku Sergiuszowi, a wkrótce już powstała tutaj pod kierunkiem świątobliwego męża cała szkoła Świętych. Żyli tutaj we wzorowej zgodzie pod jednym opatem zakonnicy reguły św. Benedykta obok Bazylianów, dla czego też obydwóch tych wielkich założycieli i reformatorów zakonnych za patronów klasztoru uważano. Po Sergiuszu objął kierownictwo zakonnego zgromadzenia opat Leon; pod jego rządami gromadzą się przełożeni zawisłych od niego domów zakonnych na dysputy: a więc dzielni czterej Grecy, niemniej jak i czterej łacinnicy. Pierwsi czterej: Grzegorz, Nil, Jan i Stratus to Bazylianie, inni czterej, Benedyktyni, sieją tutaj ziarno nauk teologicznych, wzmacniają siebie i młódź zakonną duchownemi ćwiczeniami [1]. Jaśniał też podówczas św. Romuald, wysokiego rodu potomek, który założył prawdziwie apostolską szkołę, działając zarówno przez ascetyczne życie, jakoteż i przez gorące słowo, przy pomocy którego najbardziej zatwardziałych nawracał na drogę cnoty. Z uczniów jego zajaśniał świętością św. Bruno Kwerfurcki, będący najpierw na Awentynie, apostoł Węgrów, Rusi i Pieczyngów i biograf świętego Wojciecha. Również bogobojnem życiem słynął św. Nil, wspomniany zakonnik Bazylianin, greckiego obrządku, wielki asceta.

Przez ścisłe i ostre reguły, któremi życie zakonne ujęto jakby w nową oprawę, przez reformy zakonu i zaprowadzenie nowych kongregacyj, torował Kościół szeroki gościniec nietylko do odrodzenia kleru, lecz i do reformy całego chrześcijaństwa. W ogólnem przeświadczeniu, że stąd jedynie płynie ożywczy zdrój odrodzenia, cisną się do klasztorów ludzie wszystkich stanów, książęta, biskupi, rycerstwo. Klasztor staje się rajem dla czynnego zakonnika, mogącego na tem miejscu oddawać cześć Bogu w duchu i prawdzie. Tylko usilna i pokorna prośba i dobrze odbyta jednoroczna twarda próba otwierała podwoje zakonne, poczem dopiero przypuszczano do złożenia ślubów za-

[1] Bruno c. 17.

konnych. Reguła obowiązywała do przebywania w jednym domu zakonnym, który stał się nową ojczyzną.

Takiej nowej ojczyzny szukać podążył biskup Wojciech, porzuciwszy niekarnych dyecezan i niewdzięczną ojczystą ziemię. Przybywszy do Rzymu pod koniec 989 roku i otrzymawszy od papieża Jana XV. uwolnienie od biskupstwa, postanowił stąd udać się do grobu Chrystusowego, do Jerozolimy. Gdy się o tem cesarzowa Teofania, bawiąca podówczas w Rzymie, dowiedziała, zaopatrzyła biskupa w środki do dalekiej podróży, dając mu tyle złota, ile brat jego młodszy Gaudenty zaledwie dźwignąć zdołał, Święty jednak wydzielił skarby pomiędzy biednych, a odesławszy świtę swoją do domu, z Gaudentym i dwoma towarzyszami pospieszył w daleką podróż. Po drodze wstąpił do słynnego klasztoru w Monte Cassino, który atoli wiele uronił z pierwotnej swej chwały. Gdy objawił opatowi zamiar swej podróży do Ziemi świętej, odpowiedział nań opat słowy św. Hieronima: *Non Hierosolimis venisse, sed Hierosolimis bene vixisse laus sive salus est.* Ta surowa krytyka odwodzi go od powziętego zamiaru podróży do grobu Chrystusowego i wiedzie wprost do klasztoru. Nie pozostał jednak w Monte Cassino, lubo go opat gorąco zapraszał. Gdy mu bowiem oświadczył, że chętnie przyjąłby go, o ile, że jako biskup mógłby Wojciech święty sprawować obrzędy tylko biskupom zastrzeżone i w ten sposób być klasztorowi pomocnym, odpowiedział na to Wojciech z oburzeniem, że nie sprawowanie obrzędów, od których zmuszony był się uchylić, jest jego zadaniem przy wstąpieniu do klasztoru, i opuścił mury zakonu. Udaje się następnie do zakonników greckich reguły św. Bazylego w Vallis Lucis pod Benewentem. Przyjął go serdecznie tameczny przełożony, św. Nil, lecz jako łacinnika odesłał napowrót do Rzymu, do klasztoru Benedyktynów na awentyńskiem wzgórzu, dając polecenie do wspomnianego wyżej przeora tamecznego klasztoru, Leona, męża słynnego tak z wielkiej nauki, jakoteż i ze świątobliwego życia. Pod jego rządami w jednychże murach żyli zakonnicy tak reguły św. Bazylego, jakoteż i Benedyktyni, jakby na dowód, że obrządek nie może stanowić żadnej różnicy w wierze katolickiej. Zakon ten jaśniał

podówczas cnotami i niepospolitym rozumem, jakoteż charakterem nieskazitelnym swoich członków. Tutaj wstępuje Wojciech, aby dać niejako dowód tym, co go w ojczyźnie posądzali o nieprzyjaźń dla obrządku słowiańskiego, że w nim ani odrobiny zawiści dla niego nie było [1]. Wraz z bratem Gaudentym odbywał mąż cnotliwy szkołę wielkiej pokory w awentyńskim klasztorze, przy najostrzejszych umartwieniach ciała, w sprawowaniu najlichszych usług, rok cały trwając w nowicyacie i przyświecając na tem stanowisku, on, syn panującego i biskup były, prawdziwą pokorą i świątobliwością na każdym kroku. Jako najprostszy sługa, najmniejszy z braciszków usługuje w kuchni, dźwiga wodę, myje naczynie, usługuje zakonnikom. Świątobliwość jego budzi podziwienie nawet u najostrzejszych, najsurowiej regułę przestrzegających zakonników.

Po roku próby, 17 kwietnia 990 r. obleczono wreszcie nowicyusza w suknie zakonne i przyjęto przysięgę. Słodyczą obyczajów i wyższością cnót błyszcząc jako członek zgromadzenia, stał się jego prawdziwym skarbem. O świętości jego opowiadano w całym Rzymie: prefekt doświadczył jej, gdy mu mnich Adalbert cudownie uzdrowił dziecię, w zakonie mówiono o licznych cudownych zdarzeniach, któremi Bóg ozdabiał jego nowicyat i życie zakonne. Z największą pokorą znosi wybuchy gniewu nieco popędliwego Astryka, kleryka podówczas zakonu, który wybuch swój odpokutował długiem błądzeniem na dobrze znanej mu drodze do klasztoru [2].

---

[1] Prośba przedłożona św. Nilowi, Bazylianinowi, o przyjęcie do Zakonu, jakoteż wstąpienie do zakonu Benedyktynów na Awentynie, jest stanowczem zaprzeczeniem późniejszych i bardzo późnych latopisów, twierdzących jak ów Samuel djak z Dubkowa (MPol. I, 90—91), że św. Wojciech w Czechach nieprzyjaźnie występował przeciwko obrządkowi słowiańskiemu, przeciwnie wstępując do Zakonu, w którym obok Benedyktynów pod jednym opatem żyją Bazylianie, dał jasny dowód, że nie czyni różnicy w obrządku, że jeżeli nawet występował przeciwko obrządkowi, to czynił to z zasady wykorzenienia złego, tkwiącego tak w klerze, jakoteż w zepsutym obrządku, który też właśnie z tych powodów tak całkiem upadł w Czechach, że zaledwie w jednym Sazawskim klasztorze zdołał się utrzymać a i tutaj w 1096 r. zastąpili słowiańskich zakonników Benedyktyni.

[2] Bruno c. 17. Asthericus clericus suus.

Gdy tedy z Czech, gdzie brak biskupa dał się wreszcie odczuć tak księciu jak i starszyźnie, a arcybiskup Willigis nastawał na obsadzenie stolicy, przybyło solenne poselstwo do Rzymu z prośbą, aby Wojciech powrócił na stolicę i zaradził upadkowi Kościoła w Czechach, powstało silne starcie z tego powodu w stolicy chrześcijańskiego świata. Z jednej strony solenne poselstwo imieniem księcia Czech, na którego czele stał Benedyktyn, brat księcia, prośby prymasa całych Niemiec, cesarza i rejencyi i względy na opłakany stan Kościoła, z drugiej prośby opata i zakonników, pragnących ozdobę całego zakonu zatrzymać u siebie. Przy sposobności zwołanego przez papieża synodu celem rozstrzygnięcia trudności, postanowiono, aby Wojciech powrócił do Czech.

Powolny rozkazom stolicy apostolskiej z żalem opuszcza Wojciech mury ukochanego zakonu, zabierając jednak stąd, jakoteż z poblizkich klasztorów kilkunastu braci jako rozsadników reguły i pomocników pracy pasterskiej wpośród rozpasanego ludu czeskiego, obiecującego solennie przez posłów, że będą biskupa słuchać i naukami jego się powodować.

Powracającego biskupa przyjęto bardzo uroczyście. Kiedy do Pragi się zbliżał, książe i lud wyszli na jego spotkanie, witali z radością wśród obietnic i przysiąg poprawy życia. Co więcej, sam książe w obecności starszyzny zgodził się na użycie środków, mających usunąć powód niezadowolenia ze strony biskupa. Zapadły tedy postanowienia, na mocy których biskup mógł skutecznie unieważniać małżeństwa kazirodcze, usuwać wielożeństwo, zyskiwał upoważnienie do budowania kościołów i uposażania tychże, do zbierania dziesięciny[1]. Co więcej, książe dał się nakłonić do wspólnego z biskupem założenia klasztoru

[1] Waltenbach, *Beiträge zur Gesch. d. christl. Kirche in Mähren*, 51: „Anno DCCCCLXXXXII. orante dei nutu domino episcopo II sancte Pragensis ecclesie Adalberto monacho dux Boleslaus presentibus omnibus primatibus dedit prefato episcopo secundum statuta canonum separare ea conjugia, que infra parentelam contra sacram legem coniuncta esse reperientur nec non eciam ecclesias per loca opportuna construendi et decimas colligendi licenciam dedit". (Ex codice S. Crucis).

benedyktyńskiego w Brzewnowie [1]. Fundowano go na miejscu zwanem Święty las, jak sama nazwa uczy, poświęconem kultowi pogańskich bogów; książe uposażył go hojnie 500 denarami rocznie z dochodów celnych w Domaźlicach, Kralup, Chlumie, Usti, Litomierzycach, Trstenicy i Chrudinie; ostatnie dwie miejscowości pochodzą z państwa Sławników, co jasno dowodziło, że biskup dotował klasztor także ze swojej dzielnicy. Wzniesiono klasztor pod wezwaniem Maryi Panny i patronów klasztoru z awentyńskiego wzgórza, a Jan XV. obdarzył go obszernym przywilejem, dając opatowi prawo używania pastorału i mitry, nadając mu miejsce w hierarchii kraju zaraz po biskupie i czyniąc klasztor macierzą i głową wszystkich klasztorów benedyktyńskich w Czechach, a nadto biorąc go pod protekcyę stolicy apostolskiej [2]. Pierwszym opatem został Anastazy, jeden z towarzyszących biskupowi do Czech Benedyktynów, Astrykiem zwany, jak źródło niewątpliwej autentyczności mówi [3], ten sam, który później został arcybiskupem Granu. Obok tego klasztoru był jeszcze żeński klasztor, powstały przy założeniu biskupstwa w Pradze, przy kościele św. Jerzego, a przeoryszą zakonu była Mlada, siostra księcia.

Już w początkach roku 991 poprawił się napięty stosunek księcia do cesarstwa [4], a gdy następnego roku zjawił się Otto III. pod Brandenburgiem, przybył tamże i książe czeski z Henrykiem bawarskim [5], jak to wyraźnie podnoszą źródła ówczesne. Ten zwrot w polityce Bolesława stał zapewne w związku z żądaniem

---

[1] „Monasterio a me et a venerabili patre domino Adalberto Pragensi episcopo... constructo Boczek". *Cod. dipl.* I, nr. 117, cf. nr. 119. Erben, *Reg. Boh.* I, p. 33, 34. *Memorabilia* w *Mon. Pol.* III, 741.

[2] Boček l. c. nr. 119.

[3] *Passio,* MP. I, 154. „Astricus qui postea fuit archiepiscopus ad Sobbotin". Jest to Astryk Anastazy z *Vita Maior Sti Stephani.* Bulla papieska zwie również brewnowskiego opata Anastazym. Boček, *C. dipl.* nr. 118. Wypływa stąd, że Astryk jest identyczną z Anastazym osobą, nie zaś Radym. Tak wnoszą zresztą Giesebrecht, *Gesch. d. d. Kaiserzeit* I, 857, a za nim Lohmayer, *Der hl. Adalbert,* 8, 23 n. 2. Porównaj Dodatek.

[4] Na wiosnę 991 czyni Otto III. zapis magdeburskiemu kościołowi na trzeciej części swych dochodów czeskich. Erben, *Cod. dipl.* I, nr. 76.

[5] *An. Hild.* Perz. MG. SS. V, 69.

powrotu biskupa do opuszczonej dyecezyi. Niezawodnie stosunki, jakie skutkiem związku z poganami nastąpiły w Czechach, nakazały księciu porzucić związek i szukać znowu zgody z cesarstwem. Stosunek ten zresztą dobry trwał niedługo, miał się bowiem wkrótce zmienić z chwilą powtórnego opuszczenia Czech przez świętego Wojciecha.

Oparłszy się o zakonników Brzewnowskich, ufny w obietnice poprawy, przystąpił biskup do wytępienia pogaństwa i znanych nam już barbarzyńskich obyczajów. Okazało się jednak, że krótko tylko trwały chęci poprawy, że przelotnemi były obietnice. Bruno święty opowiada, że gdy biskup przybył w dzień świąteczny do jakiegoś miasta, ze zgrozą obaczył, że lud targ odbywa. Taka to wasza obietnica poprawy! — zawołał w szlachetnem oburzeniu [1]. Jak z święceniem niedzieli, tak szło i z wszystkiem innem, poprawy żadnej nie było — a raczej po krótkiej chwili powrót do dawnych błędów. Że do zwiększenia ich przyczyniał się obrządek w słowiańskim języku tu i ówdzie w Czechach, w zupełnym rozstroju i upadku, napotykany, bałamucący umysły wśród ludu świeżo chrześcijańskiego i nieumiejącego odróżnić formy od rzeczywistości — łatwem jest do zrozumienia. Walka biskupa była bezskuteczną i trzeba było drobnego wypadku, aby wywołał burzę. U jednego z Werszowców, wrogiego Sławnikom, pojmano na cudzołostwie żonę, a nieszczęsna szukała ratunku od niechybnej śmierci w ucieczce, chroniąc się pod opiekę biskupa. Według pogańskiego bowiem zwyczaju kobieta była uważana za własność, a poszkodowany mógł pozbawić jej życia. Dla ocalenia duszy dał biskup nieszczęsnej schronienie w klasztorze mniszek, lecz Werszowcy szukając swej ofiary, uderzają na dom biskupa i groźnie domagają się wydania. Przejęty świętością obowiązku, wychodzi biskup do tłoczącej się zgrai i pragnąc krew przelać w obronie duszy powierzonej swej pieczy, rzecze: Jeżeli mnie szukacie, oto macie mnie! Nie zabijemy cię, wołali Werszowcy, owszem większą ci zemstę gotujemy, jeżeli bowiem nie wydasz nam wszetecznej, pomścimy naszą

[1] MP. 1, 202.

krzywdę na twoich braciach i rodzinie. Wśród zamieszania, jeden z przekupionych złotem zdrajca powiódł Werszowców do klasztoru; napróżno nieszczęsna szuka ratunku u stóp ołtarza, porywają ją, wiodą na plac, gdzie lichy służebnik zadaje jej śmierć, gdy mąż zawahał się wykonać pomstę.

Zgorszony biskup po raz drugi, musiał opuścić dyecezyę i ojczyznę [1]. Zamiar jego za pośrednictwem i przy pomocy zakonu Benedyktynów dokonać chrystyanizacyi Czech spełzł na niczem. Zarówno on, jak i pomocnicy jego, brat Gaudenty, Willigo proboszcz praski, zmuszeni są do opuszczenia niewdzięcznej niwy, do ucieczki z Czech wraz ze swoim biskupem. Apostolstwo jego, tudzież jego uczniów kieruje się w inne strony, na Wschód, gdzie chrześcijaństwo żyzny znalazło grunt, chętnych wyznawców, lecz gdzie tak mało było kierowników, apostołów wiary chrześcijańskiej. Mówimy tutaj o działalności Wojciecha w Polsce i na Węgrzech [2].

---

[1] Bruno, MP. I, 211, wyraźnie mówi: „in fugam vertunt".

[2] Stało się to, jak wogóle wszyscy historycy przyjmują, w ciągu lub najdalej w drugiej połowie 993 r.; jak bowiem wiadomo, w połowie 992 r. nastąpiła fundacya brzewnowskiego klasztoru, a według *Passio* c. 2, przez przeciąg jednego roku tylko pozostał św. Wojciech w Pradze. Powrót do Rzymu kładą jednak wszyscy historycy, Palacky, *Gesch. Böhm.* I, 241, Huber, *Gesch. Oester.* I, 163, na rok 995, pozostaje przeciąg co najmniej półtoraroczny, co do którego niema pewności, gdzie Święty przebywał, chociaż Bruno c. 16, wyraźnie twierdzi, że rozwinął działalność na Węgrzech (obacz ekskurs: „O działalności św. Wojciecha na Węgrzech"). Wprawdzie Kaindl, *Bemerkungen zur Passio,* Quidde *Deutsche Zeitschr. für Gesch.* IX, 104, sądzi, że rok 993 jako rok powrotu do Rzymu odpowiada rzeczywistości, argumentacya jego jednak nietylko że przy bliższem rozpatrzeniu nie okazuje się być przekonywującą, ale co nadto, dowodzi dosadnie, że wspomniany przekaz Brunona jest w zupełności wiarogodny. Kaindl powołując się na wspomnianą na innem miejscu datę Brunona, według której Święty przez przeciąg pięciu lat pozostawał w zakonie (c. 15 *quinquennio pleno*), dowodzi nią właśnie, że Palacky i Huber mylą się przyjmując 995 rok jako datę powtórnego powrotu do awentyńskiego klasztoru, skoro bowiem pierwszy pobyt, mówi Kaindl, odnieść należy do 990—992 r., a jak wiadomo już w 996 r. opuścił Święty klasztor awentyński powtórnie, aby towarzyszyć Ottonowi III. w jego powrocie z Rzymu, natenczas powtórny pobyt św. Wojciecha w klasztorze przypada na lata 993—996. Tymczasem sam Kaindl na cytowanem miejscu opiera się na dacie końca r. 988, jako terminu kiedy Święty po raz pierwszy przybył do Rzymu, gdzie spotkał cesarzowę Teo-

Wspomnieliśmy już, że księstwo Sławników przypierało na całej swej wschodniej i południowej stronie o Mieszkowe państwo polskie, tudzież, że Sławnikowie przyjazne utrzymywali stosunki z sąsiadami, o ile że nietylko spokrewnieni byli oni z Piastami, ale nadto, że potęga Mieszka po zajęciu Morawy nakazywała pielęgnować dobre stosunki, chociażby nawet Sławnikom nie groziła zemsta Werszowców. Wśród zamieszek powstałych w Pradze przez tę ostatnią rodzinę, wśród gróźb pomsty, biskup chcąc dostać się do Rzymu, musiał podążyć przez Polskę i Węgry i temu to wypadkowi, tej konieczności zawdzięczają obydwa kraje, obydwa narody apostolską działalność Wojciecha.

Wprawdzie krytyka historyczna z pewną rezerwą mówi o tem działaniu biskupa, zaliczając zwłaszcza pobyt jego w Krakowie do legend, którą co prawda stwierdza najdawniejszy kościół Świętego w Krakowie, wprawdzie i co do pobytu w Wę-

---

fanię, jak mówi Kanaparyusz c. 14, Bruno c. 12, ponieważ w połowie 992 r. już był z powrotem w Czechach, wypada z rachuby, że pozostawał w Rzymie za pierwszym pobytem trzy i pół roku. Pozostałoby do powtórnego pobytu w zakonie półtora roku, licząc według przekazu wspomnianego u św. Brunona. Skoro wiemy, że w drugiej połowie 996 r. towarzyszy już św. Wojciech Ottonowi III. w jego podróży do Niemiec, musimy przypuścić, że dopiero w początkach 995 r. powrócił do awentyńskiego klasztoru, co się zresztą zgadza z inną wzmianką u Kanaparyusza c. 20, według której niebawem po powrocie objął zastępcze rządy w klasztorze, a jak wiadomo opat Leon, który te rządy poruczył Świętemu, w drugiej połowie 995 r. był już w Niemczech i we Francyi na legacyi od papieża wysłany.

Gdzież tedy, zapytamy, bawił święty Wojciech w ciągu r. 994? Oto niewątpliwie mógł bawić tylko w sąsiedniej Polsce, a potem na Węgrzech, (co ostatnie podnosi wyraźnie Bruno), siejąc tutaj ziarno, które wnet po śmierci jego bujnie zejść miało w obydwóch krajach, czego dowodem rozpowszechnienie tamże chrześcijaństwa i współczesna tamże organizacya Kościoła. Na pobyt w Polsce wskazuje nietylko stara tradycya, wiążąca się z najstarszym kościołem w Krakowie, ale nadto, jak to w dodatku dowodzimy, pośrednictwo Świętego w uczynieniu przymierza pomiędzy Polską a Węgrami. Wszakże uchodząc z Czech musiał zresztą uciekać przez państwo Bolesława Chrobrego, do którego Morawy należały, skoro dostał się do Węgier, o czem ostatniem tak Bruno, jak *Vita maior Sti Stephani*, jak wreszcie i Kronika węg.-polska wyraźnie mówi. Morawy, jak to z badań Kętrzyńskiego o granicach Polski w X. stuleciu wypływa, należały podówczas do Bolesława Chrobrego.

grzech chętnie i tenże zalicza w poczet podań, chociaż najpoważniejsze współczesne źródła wyraźnie o tym pobycie i o działalności wspominają, niemniej jednak tak pobyt w Polsce jak też i w Węgrzech jest faktem zasługującym na wiarę, liczne bowiem wskazówki stwierdzają prawdziwość podanej nam przez poważne źródła wiadomości [1].

Polska właśnie podówczas przebywała przez okres trudnego przejścia; Mieszko bowiem umierając pozostawił dzieciom swoim kilka dzielnic [2], a eksmniszka Oda, wdowa po Mieszku, dla synów swoich Mieszka i Lamberta, pragnęła całej nadwiślańskiej Polski aż po Kraków. Zapis atoli tego państwa jako daru, ofiarowanego Stolicy Apostolskiej, na co zresztą zgodził się był Mieczysław, nie był środkiem odpowiednim do osiągnięcia celu. Bolesław bowiem urodzony z Dąbrówki, a mający udział w Chorwacyi i na niedawno zdobytych Morawach [3], wygnał wkrótce macochę Odę i braci i sam objął rządy. Zagrożony przez Ruś i wiodący z nią wojnę o część zagarniętej przez Włodzimierza Chrobacyi [4], zdołał jednakowoż Chrobry w ręku swoim zatrzymać rządy nad całem plemieniem Polan. Panowały pomiędzy nim a Węgrami niesnaski pomimo ścisłego pokrewieństwa, jakie wiązało dom Piastowski z Arpadami, ciotka bowiem Bolesława, dzielna Adelajda, była żoną księcia Węgrów, Giejzy. Niesnaski te w chwili, kiedy zaledwie zdołał ugruntować panowanie swe w Polsce, mogły się stać niebezpieczne dla całej budowy chrześcijańskiego państwa, jakie utworzyć zamyślił. Otóż owocem pobytu biskupa Wojciecha w Polsce jakoteż w Węgrzech było nietylko ugruntowanie chrześcijaństwa, ale nadto zawarcie przymierza pomiędzy jednym i drugim krajem, przymierza, które później

---

[1] Exterus, „Pobyt na Węgrzech". O powadze kroniki węgierskiej jako źródła historycznego i stosunku jej do *Vita Sti Stephani* i Hartwiga, obacz rozprawę d-ra Kętrzyńskiego w XXXIV t. Rozpraw Akad. Um. Krak.

[2] Thietmar IV, 37: „relinquens regnum multis dividendum".

[3] Wypływa to z Thietmara VIII, 4, mówiącego, że Bolesław nadał wujowi swemu Prokujowi twierdzę, „in confinio Hungarorum".

[4] Ann. Hildesh. pod 992 r. MG. III, 69: „imminebat illi grande contra Rusicanos bellum" i Nestor pod 993 r. o wojnie Włodzimierza przeciw Chrobatom.

zatwierdzone przez papieża, postęp chrześcijaństwa wielce ułatwiło.

Powodem niesnasek, zaszłych pomiędzy Węgrami a Polską, było wygnanie wuja Bolesławowego Prokuja z jakiegoś pogranicznego grodu przez Węgrów. Mógł zajść ten wypadek w czasie powtórnego opuszczenia Pragi przez Wojciecha. Toż z zupełnem prawdopodobieństwem przypuścić można, że z Polski wprost udał się biskup na dwór Giejzy, gdzie rządy w ręku swym trzymała energiczna Adelajda, dzięki której chrześcijaństwo krzewiło się w pośród Węgrów. Tutaj chrzci Wojciech syna Giejzy Stefana, opowiada ewangelię Słowianom i Madjarom, odbywając misye apostolskie po całem państwie Giejzy. Za jego namową powstają na Węgrzech kościoły. Gdy przybył do stolicy [1] gdzie czczono bóstwa dające wyrocznię, nieustraszony biskup przystępuje wśród cisnącego się tłumu, sam podpala i niszczy bałwochwalczy przybytek. Dodać i to należy, że katedra w Ostrzychoniu (Gran), założona wkrótce potem jest pod wezwaniem świętego Wojciecha, *Polonorum et Hungarorum apostoli* [2]. Do pobytu biskupa odnieść należy pierwszy klasztor benedyktyński w Węgrzech. Później, jak to zobaczymy, posłał nawet biskup do Węgier swego ucznia Astryka-Atanazego, który przeprowadził organizacyę kościoła na Węgrzech i został pierwszym arcybiskupem Granu i wielce się przyczynił do ugruntowania chrześcijaństwa na Węgrzech.

Rozwój chrześcijaństwa a zarazem i podniesienie cywilizacyjne Węgier było znacznie ułatwione przez zawarcie przymierza pomiędzy Węgrami a Polską. Wprawdzie nie pozostał nam akt dyplomatyczny, stwierdzający tę działalność biskupa, niemniej jednak bardzo poważne źródła stwierdzają, że za pośrednictwem Wojciecha pokój został zawarty. Pamięć bowiem o tym dziele Świętego pozostała żywa u obydwóch narodów, tak że jeszcze za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, przy ponownem zawarciu związków przymierza, powoływano się na so-

[1] Kętrzyński, *Miracula* 13, *in sede principali tocius regni.*
[2] Kron. węg.-pol. MP. I, 505.

jusz uskuteczniony przez patrona Polski[1] a poważne źródło stwierdza, że pokój został zatwierdzony przez papieża Sylwestra II.[2].

Zjednawszy dwóch potężnych książąt dla rozwoju chrześcijaństwa, podążył Wojciech z Węgier do Rzymu do klasztoru na Awentynie, gdzie z otwartemi rękoma przyjęto apostoła. Szczególniej serdecznie przyjął apostoła opat Leon, który bardzo miłował Wojciecha. Niedługo już potem miał tenże opat, wysłany przez papieża w poselstwie do Niemiec i do Francyi, złożyć w ręce Wojciecha rządy zastępcze nad swoim zakonem[3].

W czasie, kiedy biskup z Węgier zdążał do Rzymu, miasto wieczne a zarazem i głowa świata chrześcijańskiego cierpieli wiele z powodu tyranii Krescencyusza, podczas gdy i na zachodzie powstała groźna przeciwko Janowi XV. burza. Z ogniska reform w świecie chrześcijańskim, jakie przedstawiała Francya, z nowym domem królewskim założonym przez Hugona Capeta, nie potwierdzonego nawet przez papieża, powstaje protest przeciwko najwyższej władzy duchownej, a pochodzi z tej ziemi, skąd niedawno przedtem Kluniaceński zakon rozwinął szereg reform, mających wnet objąć nietylko zakony, ale i cały świat chrześcijański.

Nowy król, Hugo Capet, pomawiając niesłusznie arcybiskupa z Reims Arnulfa o zdradę, postarał się, że oddany mu bezwzględnie episkopat francuski na synodzie w Reims złożył arcybiskupa z godności i wyniósł na stolicę mądrego Gerberta, kierownika sławnej szkoły z Reims. Zaprotestował przeciwko takiemu rozporządzeniu arcybiskup, odwołując się do powagi Sto-

---

[1] Wincenty MP. II, 421, a za nim Kronika Wielkopolska. Tamże 537. Opowiadając o sojuszu Kazimierza Sprawiedliwego z Węgrami za pośrednictwem komesa Mikołaja i Fulkona biskupa krak. uskutecznionego, dodaje że: „redintegrant iuxta sanctorum instituta, regis videlicet beati Stephani (chyba Gejzy) et Sanctissimi Polonorum patroni Adalberti: communiter debere coli utriusque regni amicitias; communiter alterutrius hostilitates insectari, communes fore prosperitatum successus et indifferentes necessitatum succursus".

[2] MP. I, 504.

[3] Kanap. MP. I, 175.

licy Apostolskiej, co poparło kilku biskupów i sławny opat Abbo z Fleury, podczas gdy inni biskupi, a pomiędzy nimi arcybiskup z Orleanu, nie zgadzając się z apelacyą, pozwalali sobie na ostre wycieczki przeciwko powadze papieża i Rzymu. Równocześnie Rzym, dokąd odesłano do zatwierdzenia postanowienia synodu, żadną miarą nie chciał przystać na nie, a również i niemieccy biskupi a zwłaszcza arcybiskup Willigis prosili o odrzucenie synodalnych uchwał. Natenczas król Hugo zwołał duchowieństwo, a przy jego poparciu postanowił nawet przeciwko papieżowi dochować wszystko to, co postanowiono na synodzie w Reims.

Gdy stosunki się zaostrzyły tak, że schizma groziła na zachodzie, wysłał Jan XV. opata Leona z klasztoru awentyńskiego jako swego legata do króla Francyi. Wysokie wykształcenie tego męża przy wielkiej świątobliwości, powaga jaką podbijał najzagorzalszych przeciwników, było stanowczem odparciem tych nieuzasadnionych zarzutów, jakie z powodu sprawy reimskiego arcybiskupstwa skierowano przeciwko Kościołowi i papieżowi, tudzież tych fałszywych pogłosek, jakie szerzono we Francyi o upadku obyczajów w Rzymie. Legat miał poruczone sobie zadanie wspólnie z niemieckimi i francuskimi biskupami sporną sprawę załatwić. Podjęli go uprzejmie niemieccy biskupi i napisali do króla Hugona z prośbą wyznaczenia miejsca i czasu na synod, który się też odbył w Mouson na granicy niemieckiej w czerwcu 995 roku. Świetnie bronił swej sprawy wymowny Gerbert; pomimo to legat Leon przekonał o nielegalności jego wyboru i przeprowadził suspenzyę jego, jakoteż wszystkich uczestników synodu reimskiego z 991 roku.

W świetnem piśmie stosowanem do króla Francyi zwalczał legat postanowienia tego synodu, napiętnował jako schizmę zdania głoszone przez arcybiskupa Orleanu, posuwającego się w serwilizmie względem króla Hugona do zaprzeczenia prymatu. W końcu mądry a energiczny legat przełamał wszelki opór, a synod ogłosił wyniesienie Gerberta tudzież złożenie arcybiskupa Arnulfa z godności za nieważne. Ciężko obrażony Gerbert udał się na dwór cesarza Ottona.

Otto zaś po wielkiej wyprawie na Wendów, w której po

stronie jego walczyli obaj Bolesławowie, czeski i polski, ostatni wraz z Sobieborem bratem świętego Wojciecha, zawezwany przez uciemiężonego przez Krescencyusza Jana XV. spieszył do Rzymu. Zanim tamże przybył, zasiadł na stolicy św. Piotra blizki jego krewny, prawnuk Ottona Wielkiego, młody lecz bystry i mądry Grzegórz V. W świetnym orszaku przybywa młodzieńczy cesarz do Rzymu, aby objąć urząd obrońcy Stolicy Apostolskiej; otrzymuje go w maju 996 roku wraz z cesarską koroną i godnością patrycyusza rzymskiego z rąk swego kuzyna, obecnie głowy chrześcijaństwa, Grzegorza V.

Upokarza się Krescencyusz i na prośby papieża zyskuje przebaczenie i wolność. Cieszą się wdowy i sieroty rzymskie, gdyż zyskują obrońcę w papieżu i cesarzu, mówi biograf św. Wojciecha. Cesarstwo święci dzień restauracyi, Stolica Apostolska staje się środowiskiem dążeń całego chrześcijańskiego świata. Młodzieńczy cesarz obejmując obronę spraw chrześcijaństwa w swe ręce, w umartwieniach ciała, w pokucie i ascetycznych ćwiczeniach szuka wsparcia w trudnem dziele, podjętem z woli Opatrzności.

W takich chwilach szukał cesarz towarzystwa mężów ascetycznych, jak świętych Romualda lub Wojciecha. Bawił w Rzymie arcybiskup moguncki Willigis, długoletni kierownik polityki państwa i mistrz młodego cesarza. Ten skłaniał wszelkimi sposobami Wojciecha do powrotu do Czech. Namowy te stały niezawodnie w związku z zamiarami cesarza rozszerzenia chrześcijaństwa na Wschodzie, jak o tem później szerzej wspomniemy. Skutkiem namów tak ze strony Willigisa, jakoteż i cesarza, papież polecił powrót i Wojciech złożył przyrzeczenie, że powróci do swej owczarni, jeżeli tylko możebnem będzie, a na wypadek niemożliwości dała mu Stolica Apostolska tytuł i charakter biskupa narodów, *episcopus gentium*, z zadaniem skierowanem na Wschód apostolstwa wśród narodów szczepu słowiańskiego.

Na zaproszenie cesarza przyłączył się biskup do jego świty i odbywając z nim konferencye i ćwiczenia duchowne, słuchając spowiedzi, towarzyszył w podróży za Alpy. We wrześniu orszak cały przybył do Moguncyi.

Jak wszędy wśród podróży, tak i tutaj w dyecezyi swego metropolity, spełniał Wojciech funkcye kapelana i kaznodziei dworu, pouczał cesarza i dwór jego, a w nocy, kiedy wszyscy poszli na spoczynek, on w ewangelicznej pokorze czyścił obuwie służbie dworskiej. Niezawodnie, że i pod względem planów swoich i zamiarów na Północy i na Wschodzie, zasięgał cesarz rady biskupa, układając plany i czerpiąc z rozmów pierwsze pomysły co do rozszerzenia cywilizacyi chrześcijańskiej wśród ludów tak wielce przywiązanych do pogaństwa, przez uszanowanie swobodnego rozwoju i niezależności tych zwłaszcza, które na to przez prace i trudy na polu cywilizacyi zasługiwały. I tu, jak zobaczymy, przykład biskupa, był drogowskazem dla cesarza, o ile że biskup skutkiem strasznej rzezi w Libiczu od roku już jak utracił braci i całą rodzinę, a przecież powolny rozkazom Stolicy Apostolskiej spieszył na trudne stanowisko w Czechach.

Wpierw jednak postanowił odwiedzić miejsca święte we Francyi, która tak wielki udział wzięła w odrodzeniu zakonów, a gdzie jednak skutkiem serwilizmu episkopatu względem króla zawsze jeszcze groziła schizma. Wojciech odwiedził grobowiec św. Dyonizego w Paryżu, św. Marcina w Tours, św. Benedykta i Maura w Fleury [1]. Miejscowe kroniki nie opowiadają o tych pielgrzymkach księcia dalekiego Wschodu, pobożnego biskupa i zakonnika, opowiadają natomiast o śmierci Hugona Capeta, niemniej jak i o tem, że następca króla, Robert dał zupełne zadośćuczynienie papieżowi Grzegorzowi V., następcy Jana XV. wypuścił arcybiskupa Arnolfa z więzienia. Papież ogłosił Arnolfa jako prawego arcybiskupa, a biskupów, którzy na synodzie reimskim spowodowali jego usunięcie, obłożył karami i suspenzyą.

Po powrocie z Francyi pożegnał się Wojciech z cesarzem, który wielce odczuł rozstanie się z świątobliwym mężem. Podążył on wprost do państwa Bolesława Chrobrego, do potężnej już podówczas Polski, skąd wysłał poselstwo do Czech z zapytaniem, czy radzi go przyjmą jako swego biskupa. Od zatwardziałych dyecezan przyszła odpowiedź, jakiej się biskup

[1] Kanap. c. 25 i Bruno c. 19

spodziewał: Nie chcemy cię — polecili oni wręcz oświadczyć Wojciechowi — wiemy bowiem, co zamyślasz, że dążysz do zemsty za śmierć twoich braci. Natenczas zawołał Wojciech: „Dzięki ci Panie, rozerwałeś więzy moje i wybawiłeś mię z niebezpieczeństwa. Oto jawnie mówią, że nie chcą mnie, jakże mogę rządzić nimi. Teraz już nie lękam się ni rozkazów papieskich, ni natarczywych listów metropolity. Wszakże ci, którzy mię zmusili niegdyś do ucieczki, otwarcie mówią: Nie chcemy Cię".

Upadek Sławników przeczuł biskup bawiąc jeszcze w Rzymie, w klasztorze awentyńskim. Miał on widzenie przepysznych purpurą okrytych łożnic, z których jedna dla braci, druga piękniejsza dla niego była przeznaczona Wkrótce przyszła też z Czech wieść, że bracia wszyscy, prócz Sobiebora, polegli pod mściwym orężem zaślepionych zemstą Werszowców.

Epizod ten historyi czeskiej, będący kartą zjednoczenia Czech pod rozkazami jednego księcia, opowiada nie podlegające żadnej wątpliwości współczesne źródło w ten sposób, iż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że oni, Werszowce byli tylko narzędziem w ręku księcia [1].

Stało się to podczas wspomnianego powtórnego pobytu Wojciecha w Rzymie, wkrótce po owej walnej wyprawie Ottona na Wendów, do której dostarczyli posiłków zarówno czeski Bolesław, jakoteż i polski; do tegoż ostatniego przyłączył się z hufcami brat św. Wojciecha, Sobiebór, spełniając z księciem polskim razem usługę wobec rzymskiego państwa. Niezawodnie, że czyn Sobiebora nie mógł się podobać na dworze praskim, o ile, że tamże panowały wybitne już dążenia do zjednoczenia Czech pod panowaniem tamecznego księcia.

Jakiekolwiek zresztą mogły być przyczyny morderstwa spełnionego na braciach biskupa, to pewna, że narzędziem tego dzieła zemsty byli Werszowcy. Wśród wojny, jaka wnet po wyprawie Ottonowej wybuchła, Sławnikowie cofają się na całej linii, tracą grody i powiaty; wkrótce już pozostał im sam Li-

[1] Bruno, MP. I, 208: „dat Bolislavus fidem ut inopinato occidat fratrem".

bicz, gród potężny nad ujściem Cydliny do Łaby, który też wróg zewsząd ścisnął oblężeniem.

Nadaremnie proszą Sławnikowie w wigilię nadchodzącego święta Wacława, aby im uroczystość narodową spokojnie obchodzić pozwolono. Tak dobry wasz święty Wacław — odrzekł z urąganiem nieprzyjaciel — jak nasz Bolesław. Było to wyraźnem oświadczeniem, że walczy pod chorągwią księcia, tudzież że przejęty jest największą nienawiścią do rzymskiego Kościoła, którego patronem był zamordowany przez Bolesława Okrutnego Święty. Właśnie w dniu tego patrona Czech, 28 września 995 r. zdobywa nieprzyjaciel zamek[1]. W tej chwili Sławnikowie z dziećmi i żonami szukają ratunku u stóp ołtarza. Wywabił ich wróg kłamliwemi obietnicami z nietykalnego miejsca i w okrutny sposób pomordował. Państwo i ród Sławników zaginęło, bracia i rodzina św. Wojciecha pada ofiarą nietylko krwawej zemsty Werszowców, ale tego, co dziś byśmy nazwali „racyą stanu". Były to ofiary na drodze zjednoczenia Czech. Bawiący na dworze Bolesława polskiego Sobiebór nie miał ani odwagi, ani chęci wracać do Czech. Nad Czechami zawisła klątwa papieska. Chrześcijaństwo, przez wiek przeszło szerzone, było zagrożone. Dlatego to metropolita dyecezyi praskiej, mądry Willigis pragnął powrotu biskupa do owieczek, cofających się napowrót do pogaństwa, dlatego papież wydał rozkaz powrotu Wojciechowi, dlatego Otto zgodził się na ten środek, jakkolwiek tak przykrą była mu rozłąka z świątobliwym mężem, do którego jak do ojca się przywiązał, którego ukochał całą młodzieńczą duszą. Uwaga młodego cesarza była zwrócona na ten Wschód europejski, burzący się, niestały i niepewny, bardziej pogański, ani-

[1] Dzień zdobycia Libicza oznacza Bruno (MP. I, p. 209) na 27 września, mówiąc, że stało się: „sexto die in vigilia pretiosi martiris Ventizlai". Z następnego zdania wypływa, że to *sexto die* jest identyczne z *feria sexta* i oznacza piątek i że następny dzień, w którym Kościół obchodził święto Wacława, przypadł na sobotę. Zgadza się takie oznaczenie li tylko na rok 995, jak to zresztą poddają *Annal. Prag.* MP. IV. 119, jak się trafnie domyślał już Büdinger, *Oester. Gesch.* I, chociaż niektórzy, jak Wojciechowski, Roczniki Pam. Akad. Um. IV, 187, upornie twierdzą, jakoby fakt ten zaszedł w 996 roku.

żeli chrześcijański, gdzie nie rozróżniano formy od treści i na równi gorliwie broniono zepsutego pod wpływem poganizmu obrządku, jak i pogańskich bogów. W takiej chwili oczy cesarza zwróciły się w stronę, w którą zdążał świątobliwy biskup, do Polski [1], która wyrzekła się związku z Lutykami i broniła wiary z całą potęgą młodzieńczego i ufnego w siły narodu, w stronę, gdzie Bolesław gruntował podstawy państwa na silnym, niewzruszonym związku z Rzymem i z Zachodem.

Podążmy i my w tę stronę, dokąd kierował biskup swe kroki.

(Dok. nast.)

Dr. Antoni Prohaska.

[1] Niektórzy historycy twierdzą, że św. Wojciech wrócił po raz trzeci do Czech, pomimo że współcześni biografowie o dwóch tylko powrotach mówią. Kanaparyusz wyraźnie poświadcza, że biskup mając sobie zagrodzoną drogę do Czech, gdzie dokonano mordu na braciach jego („ergo pro his sceleribus aditum sibi clausum esse putans..." MP. I, 179), udał się do Bolesława Chrobrego, skąd wysłał zapytanie do Czechów, czy go przyjmą. Na co oni: „nolumus eum quia si veniet, non veniet pro nostra salute sed pro puniendis malis et iniuriis". Tak samo mówi Bruno c. 24. Ponieważ nadto z Niemiec, z Saksonii szedł wprost do Polski, niepodobna jest z tym pobytem Świętego wiązać jego wycieczkę i działalność w Węgrzech, jak to wielu historyków czyni, zaszła ona bowiem, jak wyżej dowiedziono, po ucieczce Świętego z Czech pod koniec 993 roku i trwała przez 994 r.

O chlebie i winie do Eucharystyi używanem.

(Studyum historyczno-archeologiczne).

(Dokończenie).

„My zaś wiemy — pisał Luter w r. 1527 — że ostatnia uczta jest i nazywa się wieczerzą Pańską, bo Pan ją nietylko ustanowił, ale i osobiście nagotował i odprawił i sam jest przy niej kucharzem, kelnerem, pokarmem i napojem“ [1].

Dużo się od tego czasu zmieniło w obozie protestanckim. Padła stara nauka luterska o inspiracyi Pisma św.; świadectwa apostołów przestały być wiernem zwierciadłem nauki Chrystusa i coraz częściej słychać z katedr teologii hasła: „Zrzucić jarzmo Pawła, który przez swoje żydowsko-rabinistyczne teologizowanie prostą prawdę ewangeliczną zaciemnił, przekręcił!“ Zwłaszcza jego nauka o ostatniej wieczerzy Chrystusa ma być fałszem, wyrobem przeciwnym tradycyi i ciężkiem — acz może bezwiednem — w następstwa przewinieniem. A za urzędowymi przedstawicielami nauki już także duchowieństwo ich parafialne wysuwać się poczyna ze zdaniem, iż dotychczasowa nauka o eucharystyi była wielkim powszechnodziejowym błędem — *ein grosser weltgeschichtlicher Irrthum* [2].

Niemal wstępem do tej krucyaty przeciw sakramentowi

[1] Zob. *Allgemeine Evangelisch-Lutherische Kirchenzeitung* 1895, nr. 36, str. 845.

[2] Tamże, r. 1895, nr. 41, str. 977.

Ciała i Krwi Pańskiej była wspomniana już rozprawa berlińskiego profesora Adolfa Harnacka pod tytułem: „Chleb i woda: eucharystyczne elementy u Justyna". Prorok racyonalistycznego obozu teologów protestanckich stara się tu dowieść, że św. Justyn w swej „Apologii Większej", wystosowanej koło połowy II. wieku do cesarza Antonina Pobożnego i przybranego jego syna Lucyusza Verusa, opisał liturgię, przy której jako materyi ofiary i sakramentu miano używać tylko chleba i wody, nie zaś chleba, wina i wody. Relacya ta apologety, zdaniem Harnacka, tem jest ważniejsza, iż znał on równie dobrze Kościół wschodni, jak zachodni, chociaż przedewszystkiem opisuje praktykę eucharystyczną gminy rzymskiej.

Nie przeczy Harnack, że przy ostatniej wieczerzy Chrystus rozdzielał między apostołów chleb i wino, ale miało się to stać jedynie dlatego, że te, a nie inne pokarmy znajdowały się wówczas na stole. Także apostołowie w początkach używali zapewne regularnie do celebry eucharystycznej chleba i wina; jednak główną częścią składową uczty był także już wtenczas sam tylko chleb [1], podczas gdy miasto wina, zwłaszcza w kołach chrześcijan ubogich, pito także czystą wodę jako krew Chrystusa. Racyi i źródła tej modyfikacyi instytucyi Mistrza szukać należy przedewszystkiem w tendencyach ascetycznych i powodach oportunistycznych, aby się mianowicie przed poganami nie zdradzić piciem wina w godzinach rannych; ułatwiła zaś jej przyjęcie ta okoliczność, iż św. Paweł w swych listach nigdy nie mówi całkiem jasno o potrzebie używania wina nawet tam, gdzie po-

[1] Harnack l. c. str. 136, 137: „Die Stiftung des Herrn ist ursprünglich so verstanden worden, dass ihr Segen nicht in gesetzlicher Weise an Brod und Wein haftet, sondern an dem Essen und Trinken, d. h. an der einfachen Mahlzeit. Eine sehr einfache Mahlzeit ist Brod und Wein, aber die einfachste ist Brod und Wasser. Viele Armen haben nur Brod und Wasser. Auch das ist eine Mahlzeit, und weil es eine solche ist, kann auch sie zum Herrenmahl werden. Das Constanteste in der Mahlzeit ist das Brod. Der Inhalt des „ποτήριον" kann wechseln. Eben deshalb ist auch das Constante bei dem Herrenmahl und bei den Reflexionen und Erwägungen über dasselbe das Brod. Der Trunk ist nur die Begleitung des Brodes; er ist nicht selbst die Nahrung, sondern die Zugabe zu derselben".

wtarza słowa ustanowienia uczty eucharystycznej (I. list do Kor. X, 16, 21; XI, 23—28). Owszem wynika z jego sprawozdania, iż uważał za wystarczające elementy eucharystyczne chleb i puhar wody, a w liście do Rzymian (XIV, 21) pisze nawet wprost: „dobra jest, nie jeść mięsa i nie pić wina". Także słowa ustanowienia w ewangeliach synoptycznych mają nic nie mówić o winie; dopiero w domówieniu Chrystusa (*Nachwort Christi.* Mat. XXVI, 39) jest o winie wzmianka. „Twierdzić, że Paweł koniecznie żąda przy eucharystyi wina, znaczy stawać już na stanowisku katolickiem, względnie nowoczesnem" [1].

Zwyczaj, wprowadzony raz na podstawie dyspenzy apostolskiej, tak się rozpowszechnił między latami 64—150, że Justyn już wcale nie ogląda się na ostatnią wieczerzę Chrystusa i pomija wprost wino przy opisie liturgii eucharystycznej. Powrót do praktyki wieczernikowej miał nastąpić dopiero po r. 150, kiedy literę Pisma poczęto uważać za świętą i brać tekst ewangeliczny dosłownie. Od tej chwili Kościół katolicki zwalczał też komunię wodną, zawarł na razie ze stroną przeciwną pewien kompromis, żądając obok wody także wina, aż w końcu całkiem zwyciężył i zgniótł swobodniejszą praktykę apostolską [2].

Drogę do komunii z chleba i wody u św. Justyna Harnack toruje sobie dalej dwoma późniejszemi świadectwami, tj. listem 63 św. Cypryana do Cecyliusza [3] i aktami męczeńskimi św. Pioniusza. Pierwszy dokument ma dowodzić, że nietylko heretyckie koła ebionitów, gnostyków, enkratytów i marcyonitów, ale cała prowincya kościelna w Afryce, z biskupami na czele, używała przy eucharystyi samej wody i uzasadniała swą praktykę cytatami Pisma św. St. Zakonu, gdzie woda jest przepowiedziana jako napój Nowego Testamentu. Przedewszystkiem miały tu być miejscem klasycznem i decydującem

[1] Zob. l. c. str. 137.

[2] „In der That — erst die apostolisch-katholische Kirche hat den Wein als ausschliessliches Element der h. Handlung eingesetzt. In diesem Falle aber stimmt sie wenigstens formell mit der Stiftung Christi überein". L. c. str. 141.

[3] *Epist. 63 ad Caecilium de sacramento dominici calicis.* U Migna, P. L. IV.

słowa Izajasza: „Ten na wysokości mieszkać będzie, zamki kamienne wysokość jego: chleb mu dano, wody jego wierne są“ (r. XXXIII, 16). W aktach zaś św. Pioniusza[1] czytamy w rozdziale III., że w Smyrnie męczennicy po uroczystej modlitwie w dzień sobotni, na który przypadła była rocznica śmierci św. Polikarpa, przyjęli „święty chleb i wodę“.

Po takiem przygotowaniu Harnack przystępuje do rewizyi i analizy tekstu św. Justyna. Konkluzya jego, którą zwie nowem odkryciem, jest następująca:

1) Justyn nigdy nie mówił o winie przy eucharystyi.

2) Na sześciu[2] miejscach, w których przytacza i objaśnia błogosławieństwo Jakóba nad Judą, o winnej macicy, winie i krwi jagód winnych (Genes, XLIX, 10, 11) wcale nie miał na myśli eucharystyi ani nie uczynił aluzyi do tej treści.

3) Na jedynem miejscu, gdzie napój bliżej określa, (Dyal. r. 70), wymienia wodę, twierdząc, że ὕδωρ πιστόν, „wierna woda“ proroka (Izaj., XXXIII. 16) oznacza kielich sakramentalny.

4) Na dwóch miejscach (Apol. I, 54 i Dyalog. 69 późniejszy przepisywacz rozmyślnie sfałszował i przemienił, (*hat absichtlich eingetragen, eingeschmugelt*) słowo ὄνος (osieł) w οἶνος (wino).

5) Podobnie został też sfałszowany tekst rozdziałów 65—67, gdzie właśnie mieści się opis liturgii eucharystycznej. W tem miejscu pięć razy jest mowa o elementach eucharystycznych. Dwa ustępy rozdziału 66 nie rozstrzygają kwestyi, bo wymieniają obok chleba tylko napój (πόμα) i kielich (ποτήριον). Trzy zaś inne opiewają:

1) ἔπειτα προσφέρεται τῷ προεστῶτι τῶν ἀδελφῶν ἄρτος καὶ ποτήριον ὕδατος καὶ κράματος (r. 65);

2) οἱ καλούμενοι παρ' ἡμῖν διάκονοι διδόασιν ἑκάστῳ τῶν παρόντων μεταλαβεῖν ἀπὸ τοῦ εὐχαριστηθέντος ἄρτου καὶ οἴνου καὶ ὕδατος (r. 65);

3) ἄρτος προσφέρεται καὶ οἶνος καὶ ὕδωρ (r. 67).

Raz tedy elementy eucharystyczne są określone jako „chleb, woda i mieszanina“ (κρᾶμα), dwa zaś razy, i to w obu rę-

[1] Ruinart, *Acta Martyrum* str. 188. Męczeństwo św. Pioniusza i jego towarzyszy przypada wedle Ruinarta na czasy Decyusza. Zob. str. 187 i 77.

[2] 1. *Apolog.* 32 i 54; *Dialog.* 52—54; 63; 69; 76.

kopisach dzieł Justyna (*Parisinus*, 450 i *Ottobonianus*, 274) jako „chleb, wino i woda". Otóż w pierwszem miejscu (r. 65) ma być późniejszą interpolacyą kopisty słowo κράμα, a w dwóch innych wyraz οἶνος tak, że właściwie czytać należy: ἄρτος καὶ ὕδωρ, chleb i woda. Przypatrzmy się tym miejscom, na których Harnack wybudował swą hipotezę, nieco bliżej.

Co się tyczy pierwszych sześciu ustępów św. Justyna, to apologeta istotnie nie upatrywał związku między błogosławieństwem patryarchy Jakóba a eucharystyą. Ale też nic w tem dziwnego, bo także inni Ojcowie, nawet św. Augustyn, wytłumaczyli to miejsce (Genes. XLIX, 10) bez żadnej aluzyi do elementów mszalnych.

Nie jest tak pewnem, jak sądzi Harnack, że w rozdziale 70 Dyalogu z Tryfonem Justyn uważa obiecany u Izajasza chleb i wodę za proroctwo eucharystyi. Choćby zresztą i tak było, to jeszcze z tego nie wolno wyciągnąć konkluzyi, że obok chleba drugim elementem eucharystycznym w liturgii naszego apologety była czysta woda. Jako punkt wyjścia i porównania wystarczyła mu w takim razie u Izajasza wzmianka o chlebie; nie pytał zaś wcale, czy proroctwo da się aplikować do eucharystyi we wszystkich swych szczegółach. „Dopiero wtenczas musielibyśmy się dziwić — pisze pokrewny Harnackowi duchem profesor Jülicher — gdyby Justyn, znalazłszy w jakimś starozakonnym tekscie razem chleb i wino, nie wprowadził je w związek z eucharystyą; niema zaś nic nadzwyczajnego w tem, że aplikuje także do niej cytat, gdzie jest mowa o chlebie i wodzie" [1].

[1] Jülicher Adolf: *Zur Geschichte und Literatur der Abendmahlsfeier in der ältesten Kirche* w *Theologische Abhandlungen* Carl v. Weizsäcker gewidmet. Freib. im Br. Mohr. 1892, str. 219. Nieco zaś wcześniej powiada: „Es ist ferner richtig, dass Justin Dial. 70, wo er die im Mysterium verwendete Flüssigkeit nennt, sagt, dass das ὕδωρ πιστόν des Propheten der eucharistische Kelch sei, aber es ist deshalb noch nicht richtig, dass er ‚vom Wasser spricht', sondern in einer Bibelstelle (Jes. 33, 16), die er wegen des ἄρτος δοθήσεται αὐτῷ auf die Eucharistie deutete, glaubte er sich berechtigt, das gleich folgende τὸ ὕδωρ αὐτοῦ πιστὸν von dem zweiten Element zu verstehen".

Tak samo tłumaczy genezę tej korektury protestant Zahn w swej broszurze zwróconej przeciw Harnackowi: *Brot und Wein im Abendmahl der alten Kirche*. Erlangen u. Leipzig 1892. „Dass der Esel dem Bacchus heilig

Postąpił on w tym przypadku, podobnie jak większa część typologów kościelnych, którzy zadowolnili się, jeśli jaki ustęp Starego Testamentu dał się choć w części dostosować do słów i praktyk Nowego Zakonu.

Zgoda na to, że w I. Apologii r. 54 i w r. 69 Dyalogu lekcya οἶνον jest fałszywe, że Justyn, jak z kontekstu wynika, napisał ὄνον, które jakiś mnich V. albo następnych wieków przemienił na οἶνος. Ale całkiem bezpodstawnie Harnack wietrzy w tej interpolacyi przewrotny zamiar rozmyślnego sfałszowania tekstu Justyna. Rzecz cała odbyła się i przedstawia całkiem niewinnie. Jak wielu innych w V. i VI. wieku, tak i nasz kopista nie wiedział już po prostu, że osieł odgrywał rolę w dawnych misteryach Dyonizosa, które św. Justyn uważał za małpowanie eucharystyi, a znajdując równocześnie w tym samym kontekscie wzmiankę o winnej macicy, wstawił w najlepszej wierze w niby błędne ὄνος literę ι i przemienił je w ten sposób na οἶνος.

Żadne tedy z przytoczonych 9 miejsc nie przemawia za zdaniem Harnacka, jakoby św. Justyn uważał był wino za niepotrzebne przy liturgii. Idźmy teraz od tych ustępów, gdzie nasz filozof wcale niema na myśli eucharystyi[1], do owych, gdzie o niej mówi całkiem wyraźnie.

Otóż eucharystyczne miejsca w „Dyalogu“ i trzy ustępy 66 rozdziału I. Apologii także naszej kwestyi nie rozstrzygają, bo mówią kilkakrotnie tylko ogólnikowo o chlebie i kielichu —

---

war — wusste eben der Christ, welcher zuerst an dem Esel Anstoss nahm, etwa ein Mönch des V. oder VIII. Jahrhunderts, nicht; wohl dagegen wusste ein solcher noch, dass Dionysius der Gott des Weines sei; und wenn er es nicht von sich aus wusste, so hatte es ihm Justin an beiden Stellen unmittelbar vorher gesagt. Er wird geglaubt haben, eine treffliche, kontextgemässige Konjektur zu machen, indem er statt des ihm unverständlichen Esels den fast unvermeidlichen Wein einführte. Ihn einen Textfälscher zu nennen, ist eine auf sehr unzureichender Untersuchung des Thatbestandes beruhende und unglaubwürdige Verleumdung“ l. c. str. 11, 12. Porówn. też artykuł Grafe'go: *Die neuesten Forschungen über die urchristliche Abendmahlsfeier* w *Zeitschrift für Theologie und Kirche* 1895, II. Heft, str. 109; Funk, *Die Abendmahlselemente bei Justin* w *Theologische Quartalschrift*. Tübingen 1892, str. 650, 651.

[1] Wyjąwszy chyba Dyalogu r. 70.

ἄρτος τῆς εὐχαριστίας καὶ ποτήριον (Dyal. r. 40; 70 i t. d.), dalej raz o pokarmie suchym i płynnym, τροφὴ ξηρά τε καὶ ὑγρά (Dyal. r. 117), raz o chlebie i napoju πόμα (Apol. 66), raz o pokarmie τροφή (Apol. 66) i raz znowu o chlebie i kielichu, ποτήριον (Apol. 66). Za to trzy przytoczone powyżej w całości ustępy określają bliżej treść kielicha, charakteryzując ją raz jako wodę i mieszaninę, a dwa razy jako wino i wodę. Słowo κρᾶμα (I. Apol. r. 65) znajduje się tylko w rękopisie *Parisinus*, niema go zaś w *Ottobonianus*, który w 20 miejscach różni się od paryskiego i jest odeń niezależny. Otóż z tej okoliczności, jakoteż i dlatego, że słowo κρᾶμα obok ὕδωρ ma być niedorzeczne i niemożliwe, Harnack wnosi, że było ono najpierw marginesową glossą, objaśniającą gorszące ὕδωρ, skąd w tekst dostało się dopiero później.

Wywody te uznali za całkiem nie wystarczające protestanci Zahn [1], Spitta [2], Grafe [3], Jülicher [4]; z katolików zbija je Funk [5]. Opuszczenie słowa κράμ—ατος po ὕδατος w rękopisie ottoboniańskim tłumaczy się tem, że w obu razach zakończenia są te same. Przypuszczenie nasze jest tem bardziej uzasadnione, iż kodeks ottoboniański wogóle liczne ma błędy i nigdzie nie jest wiarogodniejszy, aniżeli paryski. Nawet w tym samym ustępie, gdzie jest opuszczone καὶ κράματος, znajduje się jeszcze drugi błąd: οὕτως zamiast οὗτος. Przypuściwszy nawet, że późniejszy interpolator chciał poprawić gorszące ὕδατος, to byłby raczej obrał jasne słowo οἴνου tem bardziej, iż znalazł je (podług Harnacka interpolował) jeszcze dwa razy w wierszach następnych, nie zaś ciemne i dziwne κράματος. Właśnie niejasność tego wyrażenia κρᾶμα tj. „wino zmieszane z wodą“ obok „wody“ najlepiej świadczy za autentycznością. Nie znajdujemy zaś wcale, aby ono było naprawdę takie niemożliwe i niedorzeczne. Łącznik καὶ przed κράματος można wziąć epeksegetycznie, co daje sens:

---

[1] Zahn, *Brot und Wein*, str. 13, 14.

[2] *Zur Geschichte und Literatur des Urchristenthums.* Göttingen 1893. str. 268.

[3] *Die neuesten Forschungen* w *Zeitschrift für Theol. und Kirche*, str. 110

[4] Tamże.

[5] *Theol. Quartalschrift* 1892, str. 653—655.

puhar wody, a mianowicie z winem zmieszanej wody, albo wina zmieszanego z wodą [1]. Wprawdzie nie jest to dykcya estetyczna, ale Justynowi też wcale nie chodzi o formę. Możliwem jest jeszcze drugie tłumaczenie. Duchesne zauważa mianowicie, że w ludowym języku greckim κρασί oznacza po prostu wino. W tym sensie także Justyn mógł użyć słowa κρᾶμα; jeśli zaś napisał je w znaczeniu zwykłem, to chciał przez nie odeprzeć oszczercze zarzuty [2] pogan, jakoby chrześcijanie przysposabiali się do największych bezwstydów przy swoich biesiadach nadmiernem piciem wina, i wskazać na to, iż przeciwnie religijne ich uczty są bardzo proste i ubogie [3], bo złożone tylko z chleba i puharu wody z domieszką wina.

Jeszcze mniej uzasadnione jest twierdzenie Harnacka, jakoby także słowo οἶνος (wino) było interpolowane, bo znajduje się ono w obu rękopisach, które, jak sam Harnack przyznaje, są od siebie niezależne. Nie godzi się zaś powoływać tutaj na zmienione w Dyalogu r. 69 i w Apologii r. 54 ὄνος na οἶνος, bo kontekst jest w obu przypadkach całkiem odmienny, i niema, jak widzieliśmy, żadnej racyi uważać niewinną tę korekturę za rozmyślne fałszerstwo [4]. Powołuje się Harnack jeszcze na r. 66 Apologii, gdzie Justyn czyni paralelę między ofiarą i ucztą eucharystyczną

---

[1] Zahn zauważa l. c. na str. 14: „Es wird κρᾶμα hier nicht den durch die Mischung hergestellten Mischtrank, sondern, was etymologisch ebenso berechtigt ist, die Beimischung, den Zusatz von Wein bedeuten... Dies ist möglich, da κεράννυμι nicht nur die Masse, der etwas beigemischt wird, sondern auch das, was zugesetzt wird, zum Objekt hat".

[2] Minucius Felix, *Octavius* 9: „Ad epulas solemni die coeunt... illic post multas epulas ubi convivium caluit et incestae libidinis ebriatis fervor exarsit". Tertullian *Apolog.* c. 39: „nam et epulas nostras... ut prodigas quoque suggillatis".

[3] Za Zahnem także Jülicher (l. c. str. 221) podobną podaje racyę. „Justin hatte gute Gründe die Frugalität des gottesdienstlichen Mahles der Christen hervorzuheben. Gegenüber den Verläumdungen, die von wüsten Schlemmereien bei den christlichen Zusammenkünften wissen wollten, war es sehr klug aufs Bestimmteste zu erklären, dass es sich da nur um einen Becher, mit unschuldigstem Inhalt handle".

[4] Jülicher l. c. str. 220: „Nichts berechtigt uns meines Erachtens, ihm wegen dieser That auch noch andere οἶνος im Justintexte auf die Rechnung zu schreiben".

a kultem i bankietami ku czci Mithry; jednak i tu idzie za daleko, wnosząc z wymienionych w Apologii części składowych misteryów tegoż bożka tj. z chleba, puharu, wody i modlitwy, że także u chrześcijan tylko trzy w kulcie eucharystycznym znachodziły się elementy. Nigdzie bowiem apologeta nie mówi, że naśladownictwo to było całkowite, owszem podnosi on, że imitacya instytucyj chrześcijańskich udała się demonom tylko połowicznie [1].

Trudno też pojąć, jak Harnack może twierdzić, że Pismo św. zostawia pewne wątpliwości co do natury napoju eucharystycznego, i jakoby Chrystus wcale nie był wymienił wina. Prawdą tylko jest, że synoptycy opisując mszę wieczernikową mówią wogóle o piciu kielicha (ποτήριον) i nie określają bliżej jego natury; ale bo też objaśnienie takie całkiem było niepotrzebne wobec tego, że każde dziecko żydowskie wiedziało, że w kielichu znajduje się wino. Zresztą Chrystus Pan zaraz po rozdaniu kielicha odzywa się do Apostołów: „a powiadam wam, nie będę pił od tychmiast z tego owocu winnej macice, aż do dnia onego, gdy go będę pił z wami nowy w królestwie ojca mego“ (Mat. 26, 29; Łuk. 22, 18; Mar. 14, 25), i żąda, ażeby ten sam liturgiczny obrząd, a nie odmienny powtarzali na jego pamiątkę. Wobec tego mógł także św. Paweł, naśladując synoptyków, mówić całkiem spokojnie o piciu „kielicha Pańskiego“. Tylko wtedy musiałby był bliżej określić naturę tego napoju, gdyby ktoś w tym względzie był miał jakie wątpliwości, lub wzniecił spory. Jeśli zaś można było mówić o „kielichu“ całkiem swobodnie, to dowód w tem najlepszy, iż nikt jeszcze wówczas nie postawił kwestyi: „wino czy woda?“ Dalej wskazuje kontekst XI. rozdziału I. listu do Koryntów, gdzie Apostoł zaraz po wzmiance, że niektórzy upijają się na zebraniach liturgicznych, daje opis pierwowzoru wszystkich biesiad eucharystycznych, iż do eucharystyi używano także wina. Już

---

[1] I. *Apolog.* 54. Ὅτι δὲ καὶ ἀκούοντες τὰ διὰ τῶν προφητῶν λεγόμενα οὐκ ἐνόουν ἀκριβῶς, ἀλλ'ὡς πλανώμενοι ἐμιμήσαντο τὰ περὶ τὸν ἡμέτερον Χριστὸν, διασαφήσομεν“.

całkiem zaś niesłusznie Harnack szuka poparcia swej hipotezy w zakazie św. Pawła picia wina (l. do Rzym. XIV, 21), bo niema ani śladu, aby tam apostoł był miał na myśli ucztę eucharystyczną. Czuje też Harnack najwidoczniej kruchość swego dowodzenia, bo popiera je piorunującym wyrokiem, iż jest niegodziwym wykrętem *(nichtswürdige Ausflucht)* utrzymywać, że Paweł czyni w tym ustępie wyjątek dla wina mszalnego [1].

Fałszywe konkluzye snuje Harnack także z 63 listu św. Cypryana. Z dokumentu tego wynika przeciwnie, że podczas gdy św. Cypryan i znaczna większość biskupów afrykańskich używała do eucharystyi chleba, wody i wina, to w kilku miejscach (r. 11 *quibusdam in locis*) kilku biskupów i gmin (r. 1 *quidam;* r. 19 *apud quosdam*) nie wiedzieć z jakich motywów i przez kogo w błąd wprowadzeni (r. 14), w nieświadomości czy prostocie [2] (*vel ignoranter vel simpliciter* r. 1 i 17) używało przy liturgii tylko chleba i wody. Niema zaś wcale mowy, aby większa część pro-

[1] Spitta przyznaje, że św. Paweł (l. l. do Kor. 11, 21) wspomina o winie przy eucharystyi, ale równocześnie zgadza on się z Harnackiem, iż od początku była między chrześcijanami ubogimi i ascetami w używaniu także komunia z samej wody. Ograniczenie w tym względzie miało nastąpić dopiero wtedy, kiedy eucharystyę zaczęto już uważać za instytucyę samego Chrystusa i wprowadzać ją w związek z jego śmiercią. Zob. l. c. str. 330 i 290. Nieco odmiennie Jülicher zapatruje się na komunię wodną: „Ich kann mir wohl denken (pisze l. c. str. 229) dass Paulus einmal, wenn kein Wein zu haben gewesen wäre, ohne Ängstlichkeit das Herrnmahl mit Wasser gefeiert hätte; eine Ungeheuerlichkeit dagegen ist in seinem Munde der Grundsatz: Wenn in einer Gemeinde ein Mitglied durch Genuss von Wein in der Eucharistie sich zu verunreinigen fürchtet, dann hat man den Wein fortzulassen. Doch dürfte der erstgenannte Fall kaum vorgekommen sein. In dem damaligen Kreise christlicher Gemeinden war auch für die ärmsten ein wenig Wein immer zu beschaffen. Und wer, wie Paulus, so genau wusste, dass es nur ein Kelch mit Mischwein gewesen sein konnte, den der Herr bei jenem Passamahl hatte kreisen lassen, und wer des Befehles Jesu, seine Feier ὁσάκις ἐὰν πίνητε zu wiederholen 1. Kor. 11, 25, sich so bewusst war und jede Reliquie von Jesu Worten oder — Aufträgen so hoch hielt: dass es dem gleichgültig erschienen wäre, ob Wein oder Wasser beim Abendmahl verwendet wurde, ist doch wenig glaublich".

[2] Prawdopodobnie, że nadużycie to zakradło się w niektórych miejscach w chwili, kiedy w początkach II. wieku przeniesiono ucztę Pańską ze zgromadzeń wieczornych na ranne. Niektórzy wierni nie chcieli pić wina

wincyi była przyjęła ten zwyczaj, albo żeby błądzący byli bronili swej praktyki świadectwami Pisma św.[1]. Nie powoływali się oni nawet na tradycyę apostolską, lecz tylko na dawniejszych biskupów. Dowodem najlepszym, iż praktyka tych „wodziarzy“ *aquarii*, nie była szeroko rozpowszechniona, ta okoliczność, że nawet św. Cypryanowi nie była znana i dopiero Cecylian uczynił go uważnym na te nadużycia. Za dziwactwa[2] więc, które w różnych kątach oddalonych chwilowo powstawały, nie można czynić odpowiedzialnym całego Kościoła! Prawdą jest tylko, że koła gnostyków, ebionitów, enkratytów stale nie używały wina przy eucharystyi; ale też właśnie dlatego, nie mówiąc już o innych ich błędach, wykluczono ich z Kościoła.

Inne też znaczenie, niż chce Harnack, ma ustęp: „προσευξαμένων αὐτῶν καὶ λαβόντων ἄρτον ἅγιον καὶ ὕδωρ“, III. rozdziału Aktów św. Pioniusza. Przydomek „święty“ dostatecznie charakteryzuje chleb jako sakramentalny; tem bardziej też jego brak uderzać musi przy słowie: „woda“. Z tekstu Aktów wypływa tylko to, a nic więcej, że Pioniusz i jego towarzysze pościli dzień przed uwięzieniem, a na drugi dzień, jak się zdaje, w domu Pioniusza, przyjęli po modlitwie sam konsekrowany chleb i napili się czystej wody. Hagiograf chciał przez to uwydatnić, że wierna gromadka musiała się gotować do ciężkiej, męczeńskiej walki głodna, bo posilona tylko eucharystyą pod jedną postacią.

Myli się tedy Harnack, twierdząc, że już drugie pokolenie po apostołach używało powszechnie do eucharystyi samej tylko wody. Ale chociażbyśmy nawet przyjęli tę niczem nieu-

---

rano jużto ze względów ascetycznych już z powodów oportunistycznych, aby się mianowicie nie zdradzić wobec niewiernych. Jest też możliwe, że wzięło początek z komunii domowej, przy której chleb konsekrowany zwilżano prawdopodobnie wodą“.

[1] Gdyby nawet istotnie na poparcie swej praktyki byli szukali jakichś dowodów w Piśmie św., to właśnie w tem widzielibyśmy dowód, że praktyka powszechna była im przeciwna.

[2] Jülicher jest zdania, że niektóre gminy katolickie w Afryce używały samej wody w dobrej wierze, sądząc, że Chrystus chyba nie może żądać od swoich wiernych takiego wykroczenia przeciw dobrym obyczajom, jakiem było używanie wina wczas rano. L. c. str. 231.

zasadnioną hipotezę Harnacka, że mianowicie św. Justyn znał, opisał i aprobował komunię wodną, to stalibyśmy w takim razie, jak Zahn [1] dobrze zauważył, wobec nowej zagadki, albowiem już pisarze najbliższej generacyi zwalczają i piętnują komunię z samej wody jako nadużycie heretyckie. Ireneusz opisał szalbierstwo gnostyka Marka, który naśladując mszę kościelną udawał, że błogosławił kielich, zawierający mieszaninę (ποτήρια οἴνῳ κεκραμένα προσποιούμενος εὐχαριστεῖν) i zafarbował wino białe na czerwone (πορφύρεα καὶ ἐρυθρὰ ἀναφαίνεσθαι ποιεῖ), aby się wydawało krwią eonu Łaski [2]. Tertulian nigdy nie celebrował eucharystyi inaczej jak na winie [3]. Klemens Aleksandryjski pisze, że „niektórzy heretycy (enkratyci) posługują się przy ofierze eucharystycznej, wbrew kanonom Kościoła, chlebem tylko i wodą [4], z czego wynika, że według praktyki powszechnej składano ofiarę z chleba, wina i wody. Aluzye do materyi eucharystycznej ofiary zawiera także księga Pedagoga, gdzie Chrystus ma nazwę wielkiej jagody winnej, której krew wytłoczono za nas (ὁ λόγος ὁ ὑπὲρ ἡμῶν θλιβείς) [5]. Św. Cypryan napisał cały list przeciw hydroparastatom, gdzie ogłasza ofiarę Melchizedecha za proroctwo i przedobrażenie ofiary Now. Zakonu, którą Zbawiciel urzeczywistnił przed swą śmiercią. Potem opisuje rytuał mszy wieczernikowej i żąda, aby wszyscy przestrze-

[1] „Die Tragweite dieser Thatsachen ist damit nicht gewürdigt, dass man zugibt, um 180—200 sei der Gebrauch des Weins im Abendmahl in den katolischen Kirchen von Euphrat bis zur Rhone, in Jerusalem und Rom, in Ephesus und Karthago allgemein verbreitet gewesen. Die Hauptsache ist, dass die Stimmführer der Kirche, soweit sie überhaupt einen Gegensatz zu dieser allgemeinen Praxis berühren, ihn als Ketzerei verurteilen". L. c. str. 15. Jülicher zaś pisze: „Ich habe gar kein Interesse daran, eine einstimmige, unveränderte Tradition für die Abendmahlsfeier der Kirche zu erreichen, aber ich sehe nicht, wie man ohne Gewaltsamkeiten und ohne ganz andere Rätsel zu schaffen, als etwa Justins Reden oder Schweigen über die Herrnmahlsfeier sie aufgiebt, den Justin hier gegen die Tradition aufbieten kann". L. c. str. 222.

[2] *Advers. haer.* I, 13, 2. Migne P. Gr. t. VII, 580. Porówn. też ks. V, 2, 3. Migne l. c. 1125.

[3] Tertull. *Contra Marcion.* IV, 40,

[4] *Kobierc.* I, 19. Migne P. Gr. t. VIII, n. 814.

[5] Pedag. II, 2. Migne P. Gr. VIII, 409.

gali go wiernie. „Przededniem męki swojej wziął Chrystus kielich, błogosławił i dał uczniom swoim, mówiąc: pijcie z niego wszyscy. To jest bowiem krew Now. Testamentu. Z tego przekonywujemy się, że kielich, który Pan ofiarował, zawierał mieszaninę i że wino nazwał swoją krwią. Stąd wynika także, że krew Chrystusa nie bywa ofiarowaną, jeśli w kielichu niema wina, i że celebra ofiary Pańskiej nie spełnia się należytą konsekracyą, jeśli nasze ofiarowanie i ofiara nie odpowiada męce Pańskiej. Jeśli ktoś tylko wino ofiaruje, to krew Chrystusa poczyna być, ale bez nas; jeśli zaś sama tylko woda się ofiaruje, to lud jest, lecz bez Chrystusa“ [1].

Z tego, co powiedzieliśmy, wynika, że także twórca fresku mszy św.[2] z czasów św. Justyna w kaplicy greckiej, który celebransa przedstawił w akcie łamania chleba konsekrowanego, nie miał żadnej wątpliwości co do treści eucharystycznego kielicha, umieszczonego u stóp biskupa. Całkiem jasno czyni

---

[1] List 63 do Cecyl. r. 9. Migne, P. L. IV, 392. Na podstawie dzieł Ireneusza i Klemensa Zahn konkluduje: „Also Clemens, dessen Lehrer Zeitgenossen Justins waren, Irenäus, welcher selbst ein Mann bei verständigen Jahren war, als Justin seine uns vorliegenden Schriften schrieb, kennen die Abendmahlsfeier mit blossem Wasser nur als einen ketzerischen, dem ‚Kanon der Kirche‘ zuwiderlaufenden, von der Bibel verurteilten Missbrauch, und um 150 sollte eben dieser Brauch der allgemeine in der Kirche, insbesondere in der römischen gewesen sein? Das heisst an die Stelle der geschichtlichen Entwickelung das unverständliche Wunder setzen. Das lässt sich nicht als Fortentwickelung des Unfertigen zu grösserer Bestimmtheit erklären, sondern wie so manches andere, wofür man heute Glauben fordert, nur aus jener im Finstern vor sich gegangenen Revolution, welche man ‚Entstehung der katholischen Kirche‘ nennt, und auch dies ist nur möglich, wenn man zugleich annimmt, dass erstens die Männer, welche das Werk vollbracht haben, sich das Wort gegeben und gehalten haben, von dem Staatsstreich zu schweigen und sich anzustellen, als ob die seit 160 oder 170 durchgeführten Neuerungen apostolische Stiftung wären, und dass es zweitens diesen Männern gelungen ist, ihre christlichen Zeitgenossen zu hypnotisieren und dadurch alle Erinnerung an die Zustände um 150 auszulöschen“. Zahn, l. c. str. 17, 18.

[2] Opis tego fresku dałem w *Przegl. Powsz.* w r. 1895 w poszycie marcowym. Reprodukcyę jego jakoteż inne pomniki eucharystyczne ogłoszę w najkrótszym czasie w pracy, omawiającej eucharystyę w świetle wszystkich przedkonstantyńskich pomników.

aluzyę do materyi sakramentu, wspomniane już malowidło z początków II. wieku w krypcie Lucyny u św. Kaliksta, gdzie z kosza, napełnionego chlebem, przegląda naczynie z winem. Wchodząca w skład tej kompozycyi ryba, wskazuje, że nie mamy tu przed sobą chleba i wina zwyczajnego, ale materyę, która, aby użyć słów św. Ireneusza, „otrzymawszy zaklęcie Boże, stała się eucharystyą ciała i krwi Chrystusa“ [1], niebieskiego Ichthysa. Jako inny dowód konsekrowania w pierwotnym Kościele wina, służą freski i rzeźby, przedstawiające cud przemiany wody w wino na godach w Kanie Galilejskiej. Wymienię tylko sceny na fresku katakumby św. Piotra i Marcelina przy drodze lawikańskiej na słynnym sarkofagu lateraneńskim, znalezionym w konfesy św. Pawła za murami i bankiet na znanem malowidle w hipogeum aleksandryjskiem. Tu należą dalej nagrobki, na których gołąbki dzióbią winne grona i epitaf niejakiego Aureliusza Agathopusa, gdzie z jednej strony napisu koń, owieczka czy mysz trzyma chleb eucharystyczny, a z drugiej wyrzeźbiono gałązkę winnej macicy, aby symbolizowała drugą postać eucharystyczną tj. wino. Przewyższa zaś wszystkie pomniki cmentarne jasnością wyrażeń, słynny napis grobowy Abercyusza, biskupa w Hieropolis, mieście Frygii Szczęśliwej. Ustęp, odnoszący się do naszej kwestyi opiewa:

. . . . . πίστις πάντη δὲ προῆγε
καὶ παρέθηκε τροφὴν πάντη ἰχθὺν ἀπὸ πηγῆς
πανμεγέθη, καθαρὸν, ὃν ἐδράξατο παρθένος ἁγνή.
καὶ τοῦτον ἐπέδωκε φίλοις ἔσθειν διὰ παντός,
οἶνον χρηστὸν ἔχουσα, κέρασμα διδοῦσα μετ' ἄρτου.

(Wiara była mi wszędzie w drodze przewodniczką i zastawiała na każdem miejscu jako pokarm Rybę ze źródła, bardzo wielką i czystą, którą ujęła Dziewica Niepokalana i dawała na zawsze przyjaciołom na pożywienie, mając wyborne wino i podając je zmieszane (z wodą) wraz z chlebem).

Podam wkrótce obszerny komentarz tego epitafu, przy czem rozprawię się też z donkiszotowskimi wymysłami i atakami kilku uczonych protestantów, którzy chcą napis Abercyusza

[1] *Advers. haer.* v, 2, 3. Migne l. c. 1125, 1126.

obedrzeć z charakteru chrześcijańskiego i przerobić go na epitaf czciciela Attisa, Cybeli, Izydy; tu zaznaczam tylko, że wiersz: „οἶνον χρηστὸν ἔχουσα, κέρασμα διδοῦσα μετ' ἄρτου", jest w zupełnej harmonii z „προφέρεται ἄρτος καὶ ποτήριον ὕδατος καὶ κράματος" i z „ἄρτος προσφέρεται καὶ οἶνος καὶ ὕδωρ — przynoszą chleb i kielich z mieszaniną wina i wody" Justyna, z którym Abercyusz przeżył współcześnie pół wieku.

Jakiego wina używano do mszy św.? Z przytoczonego powyżej opowiadania Ireneusza o mszy gnostyka Marka wynika, że białego, bo je dopiero w czasie liturgii zafarbował na czerwone. Fresk zaś w krypcie Lucyny, gdzie w koszu mieszczą się obie materye sakramentu, wskazuje na czerwone. Widocznie tedy konsekrowano jedno i drugie.

Tym sposobem odpadają deklamacye Harnacka, jakoby Kościół pierwotny przez jego odkrycie był się wzbogacił nowym rysem wolności na podobieństwo owego, kiedy według relacyi tak zwanej Didachy czyli „Nauki dwunastu Apostołów", pozwolił udzielać chrztu przez samo pokropienie. Raczej powiedzieć należy, że berliński profesor kusił się daremno zrobić nowy wyłom w Kościele apostolskim, podkopać jego fundamenta, i przyspieszyć chwilę, w którejby z budowania Chrystusowego nie pozostał ani kamień na kamieniu.

Ks. J. Bilczewski.

SOCYALIŚCI NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Społeczeństwo ludzkie gorączkowo szuka lekarstwa na swoje rany, które „dochodzą do nieznośnych prawie rozmiarów, głównie wskutek wadliwych porządków w naszym ustroju społecznym i gospodarczym“, jak otwarcie powiadają biskupi austryaccy w liście wspólnym, wydanym niedawno. I osobno jeszcze raz powtarza książe biskup krakowski, „że dziś wielu, jak przyznaje sam Ojciec św. w jednej ze swoich encyklik, cierpi biedę niezasłużoną, tj. cierpi z winy wadliwych stosunków społecznych“.

Temi słowami Kościół powszechny potwierdza smutną prawdę, że budowla społeczna potrzebuje nieodzownej naprawy; dalej idzie Kościół, ten doświadczony znawca społeczeństwa ludzkiego i jego potrzeb, nietylko wzywa do poprawy stosunków, ale także wytyka słabe strony w samych podwalinach, na których nowożytne państwo wzniosło budowlę swoich ustaw, zwyczajów i stosunków, wadliwych porządków słowem, wskutek których rany społeczeństwa dochodzą do nieznośnych prawie rozmiarów. Kościół powszechny przypomina, że brakuje sprawiedliwości na świecie, a przy budowie królestwa sprawiedliwości „fundamentu innego nikt założyć nie może, okrom tego, który założon jest Chrystus Jezus“.

Socyalizm zostawia na boku Chrystusa Jezusa „do prywatnego użytku“, a za podwalinę królestwa sprawiedliwości obiera zasadę o wspólnym majątku społeczeńswa. Już w pierw-

szej połowie naszego wieku marzyciele, jak Cabet, Considérant, Fourrier, Owen i inni wymyśliwali idealne osady socyalistyczne, a zawsze znajdowali się łatwowierni, którzy w takich osadach próbowali szczęścia — i zawsze najświetniejsze nadzieje pełzły na niczem. W ciągu drugiej połowy tego wieku, gdy socyalizm począł się szerzyć w masach, próby takie znowu się powtarzały z powodzeniem nie lepszem. Mamy przed oczyma niejedno cenne dzieło, opisujące wyniki, do których dochodzili socyaliści, kiedy po różnych fabrykach i przedsiębiorstwach objęli rządy i nie krępowani przez nikogo zaprowadzili gospodarkę własnego pomysłu. Zamiast porządku panował w tych przedsiębiorstwach nieład; zamiast wspólnego dobrobytu skarga na niesprawiedliwy podział dochodów; zamiast towarzyskich stosunków i zgody swary i zarzuty wzajemne, ze strony zarządu zarzuty przeciw robotnikowi, że nie pracuje sumiennie i nie przestrzega przepisów, ze strony robotników zarzuty, że zarząd niewinnie ich prześladuje i rości sobie prawo do samowolnych rozkazów. Po niedługich wysiłkach dawali socyaliści za wygranę, zwijali nieszczęsne przedsiębiorstwo jedno po drugiem i utyskiwali na doradzców, którzy potępiają obecny ustrój społeczeństwa, a na własnem gospodarstwie jeszcze nieudolniej rządzą, niż okrzyczeni przez nich właściciele i zdziercy.

Ale ani głos Kościoła, ani widok nieszczęsnej gospodarki w zakładach socyalistycznych nie podcina skrzydeł polotowi wyobraźni, która nie wyczerpanym ciągiem snuje coraz nowsze widziadła, aby potem bez miłosierdzia szydzić z łatwowiernego prostaczka.

Więc niedawno umieściła niemiecka *Zeitung* w Meksyku list, pisany 12 grudnia 1896 r.: „Przestała istnieć Topolobampo, komunistyczna osada, którą amerykański wichrzyciel A. K. Owens założył przed paru latami. Osada przedstawiała od początku do końca widownię zamętu. Rząd meksykański swojego czasu pozwolił postępowemu Owensowi zająć znaczną przestrzeń kraju i na niej urzeczywistniać mrzonki wyobraźni, ale teraz odwołać musiał pozwolenie, bo większa część osiedleńców w Topolobampo gorzko zawiedziona, opuściła osadę. Owens zebrał był

tysiąc pięciuset ochotników do swojej zabawki. Obrali sobie hasło piękne: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ale wesołym nadziejom kłam zadały smutne wypadki, kłótnie i waśnie; każdy chciał rządzić, żaden nie myślał ustąpić, a przy podziale pracy powstawały coraz nowe przeszkody. Ledwo przeszło kilka miesięcy, ochotnicy zaczęli ściągać węzełki i ruszać dalej w świat. Teraz państwo odebrało koncesyę i urzędowo zniosło socyalistyczną osadę".

Przez jakie koleje przechodzi socyalistyczna osada albo przedsiębiorstwo, zanim ostatecznie upadnie, można to właśnie w obecnych miesiącach śledzić na przygodach huty szklannej we francuskiem miasteczku Albi, o której głośno pisały dzienniki w ostatnich czasach i potępiały jej zarząd z powodu surowych kar, wymierzonych na robotników za lekkie przestępstwa.

Może ta huta przecie pociągnie jakiś czas, ale obecnie trudno jej wróżyć co pomyślnego: stała już na 400.000 franków, przecie przy dobrej gospodarce wpadła w długi, które o ćwierć zniżyły jej wartość. Jednak od złego stanu finansów gorzej jeszcze wyglądają napięte stosunki między zarządem a robotnikami, chociaż wyłącznie i jedynie socyalizm gospodaruje w tej hucie.

Sam początek jej w jesieni 1896 r. był dziełem socyalistów i niezawodnie świadczył chlubnie o ich dobrych chęciach i szczerych zamiarach. Albi leży w pobliżu Carmaux, w którem wybuchła na wielkie rozmiary zmowa robotników. „Towarzysze" w Albi, czy to z dobrego serca dla pozbawionych zarobku, czy z innych pobudek, pospieszyli z hojnymi datkami na sprawę bezrobocia, ale składki ich popłynęły nad miarę potrzeby, więc nadwyżkę „towarzysze" postanowili obrócić na własne swoje przedsiębiorstwo w duchu komunistycznych zasad i założyli wspólną „robotniczą hutę szklanną". Stu pięćdziesięciu uczestników zmowy opuściło niegościnne Carmaux, aby doświadczyć wymarzonego szczęścia na własnem gospodarstwie w socyalistycznym zakładzie. Dopokąd pracowali w hucie Ressegniera w Carmaux, pobierali dziennie od sześciu do dziesięciu franków. W Albi znaleźli hutę otworzoną w budynku niedokończonym,

ale do zimy nie znaleźli w niej pracy, jako szklarze, tylko jako pomocnicy mularscy przy budowie, za co dostawali dziennie półtora franka. Tylko ich przywódcy Anconturier, Gidel i Charpentier otrzymywali po trzysta franków miesięcznie, jako socyalistyczni „majstrowie“ bez roboty. Robotnicy do roboty użyci zostali poddani pod surowy dozór i musieli za każdy wybryk ponosić karę surową.

Ostatecznie mularze dokonali dzieła i huta na Nowy Rok miała wydać pierwszą butelkę. Na obchód tego wypadku zjechał sam Rochefort, własnoręcznie podpalił pierwszy raz piec i na widok pierwszej butelki wydał wyrok, że huta w Albi na głowę pobije swoimi wyrobami wszystkie współzawodniczki.

Uszczęśliwieni tem proroctwem socyaliści nie zaraz zaczęli utyskiwać, że nie widzą u siebie zachowanej zasadniczej ustawy, aby dochody szły do wspólnego podziału. Choć na nierówną zapłatę tak piorunują zwiastuni szczęścia w socyalizmie, przecież w Albi zdolniejsi brali więcej od mniej zdatnych, tak jak bywało zawsze. Więc zaczęli przypuszczać, że nie tak to źle dawniej bywało. Tylko zarząd mógł powtarzać, że źle było zawsze, a teraz nastały dobre czasy, bo dla siebie zagarniał więcej, niż jakibądź właściciel huty. Właścicielowi wystarczy 10.000 franków, zarząd socyalistyczny w Albi przeznaczył sobie 65.000 fr.

Wieść o tem nie wprawiła robotników w najradośniejszy zachwyt. Jeden z nich, nazwiskiem Valette, dobrodusznie uwierzył, że w socyalistycznym zakładzie każdy ma równy głos z drugimi i może otwarcie wyznać, co czuje; otóż sądził, że zarząd za wiele płaci sobie z majątku wspólnego, i głośno wypowiedział ten sąd. Jego przykład podziałał na towarzyszów: inny, nazwiskiem Guégnot, także wystawił sobie, że ma prawo znać stan wspólnego majątku i prostodusznie zażądał, żeby zarząd pozwolił sprawdzić wydatki na budowę huty. Zarząd przeciwnie mniemał, że robotnicy, chociaż wspólnie posiadają cały majątek zakładowy, przecie nie mają prawa pilnować gospodarki, prowadzonej w tym majątku, ani wiedzieć nie potrzebują, ile majątek przynosi dochodów albo jakich wymaga nakładów,

tem bardziej nie należy do nich sąd, czy zarządcy nie za wiele wydają na swoje potrzeby; niech im wystarczy wiedzieć, że pracują jako współwłaściciele w swoim zakładzie i dopomagają do zwycięstwa zasady socyalizmu. Na to znowu inny robotnik, Guéritat, ojciec pięciorga dzieci, sarkał i zarzucał zarządowi, że nie dla robotnika wymyślili hutę, nie dla poprawy doli robotniczej założyli całe przedsiębiorstwo, tylko dla walki o swoją zasadę wciągnęli robotników do huty, więc używają ich za narzędzie, aby zapewnić zwycięstwo swojemu stronnictwu, i zamiast dążyć do związku robotniczego dla wspólnej pomocy do dobrobytu, zaciągają ich do stronnictwa politycznego. Takie zarzuty nie mogły uchodzić za bezpodstawne w oczach niejednego robotnika; niechęć kiełkowała w sercach. Znowu inny, Sirven, zarzucił zdziwiony, że nikt słowa nie mówi, kiedy naczelnik rady, Bardot, przyjdzie za późno do swojej pracy, a kiedy robotnik o dziesięć minut za późno stanie na miejscu, traci zapłatę za całą godzinę.

Słowem, robotnicy wyobrażali sobie, że znajdą w socyalistycznej gospodarce raj, a nie znaleźli nic szczególnego, tylko taką samą biedę klepać musieli, jaką znaleść mogli w każdym kąciku na ziemi, z tą przecie różnicą, że gdzieindziej nie zapowiadałby im nikt szczęścia zupełnego, a tutaj czuli tem więcej goryczy, im świetniej błyszczały nadzieje zawiedzione. Więc zarząd postanowił ich oduczyć wszelkich nadziei zbytecznych i ukarać ich za to, że czuli zawód dotkliwie: wszyscy czterej, Guégnot, Valette, Sirven i Guéritat usłyszeli wyrok, że tracą robotę na tydzień.

Taki wyrok wyglądał im za coś niezrozumiałego: jakże właściciel huty może stracić prawo do roboty u siebie? Więc stanęli na drugi dzień przy pracy. Ale takie ich zuchwalstwo oburzyło zarząd w stopniu najwyższym i wszyscy czterej zostali wypędzeni bez żadnej rozprawy. Jeszcze nie zwątpili o swojem prawie; wszak nad zatargiem między właścicielem zakładu a odprawionym robotnikiem czuwa w każdym dziale pracy wydział mężów zaufania: więc odprawieni robotnicy poszli do wydziału poszukiwać swoich praw do roboty we własnym zakła-

dzie; ale wydział hutniczy nic nie zdołał sprawić u zarządu huty socyalistycznej, bo ten nie przyznał wydziałowi praw do obrony zuchwalców. Wydziałowi nie zostało nic innego, jak we własnem imieniu rozpisać składkę na zapomogę dla czterech nieboraków, zupełnie jak bywa po wszystkich zakładach. Wypędzeni robotnicy spostrzegli, że muszą praw swoich dochodzić na drodze sądowej, aby odzyskać swój udział w funduszach, za które stanęła huta, i które oczywiście po części do nich należą według dotychczasowych pojęć o własności.

Ze swojej strony zarząd, aby uniknąć dalszych zatargów podobnych, wypracował nową i ostrzejszą ustawę karną, która miała odtąd obowiązywać w hucie. Najprzód ta ustawa przestrzegła robotników, że mają posłusznie przyjmować wszelkie wskazówki i uwagi, jakich im udzieli dozorca albo członek rady wykonawczej, i ulegle wypełniać rozkazy, dawane przez „panów przewodników roboty“. Ktoby odmówił posłuszeństwa albo odpowiedział obelżywie, za karę straci robotę na przeciąg czasu stosownie do przestępstwa: od jednego dnia do całego tygodnia. Ktoby powtórnie zawinił, traci miejsce na zawsze. Dalej ustawa zapowiada, że robotnik w stanie nietrzeźwym spotkany w zakładzie, dostaje zastępcę; gdyby powtórnie przekroczył tę ustawę, traci robotę na dzień jeden albo więcej, aż do czterech dni. Dalej ustawa przepisuje:

Art. 4. Ktoby wywołał kłótnię albo bójkę w zakładzie, traci robotę na dzień jeden albo więcej, aż do tygodnia; za drugim razem traci miejsce na zawsze.

Art. 5. Gdyby robotnik przewinił przez kradzież narzędzi, drzewa albo innych materyałów jakichbądź, traci miejsce na zawsze.

Art. 6. Robotnik niekarny, złośliwy albo plotkarz, któryby psuł porządek i mącił spokój w zakładzie, traci robotę na przeciąg czasu od jednego dnia do całego tygodnia; w powtórnym razie traci miejsce na zawsze.

Artykuł dodatkowy. Gdyby robotnik przerwał robotę z jakiejbądź przyczyny, nie może do niej wrócić aż dopiero naza-

jutrz. Kto o pięć minut zaczyna za późno, traci zapłatę za pół godziny.

Na widok wywieszonej ustawy takiej, robotnicy opuścili ręce bezradnie. Już im na nic nie posłuży zmowa, jaką mogli urządzać przeciw właścicielom zakładów. Szukali ucieczki w skargach, posyłanych do dzienników i czasopism. Jeden wywodził żale przed redakcyą miesięcznika *L'Association catholique* i skończył list uwagą: „Oto ustawa karna, obmyślana przez socyalistów, którzy głoszą równe prawa dla wyzwolonych z ucisku robotników! Mógłby kto myśleć, kiedy czyta te przepisy, że widzi barbarzyńskie paragrafy jakiegoś kodeksu wojskowego i słyszy jak grubiański podoficer wygłasza je przed przerażonymi rekrutami, którzy co chwila słyszą jednostajną zwrotkę: kara śmierci".

Ale *L'Association catholique* odpowiada: „Zdaje się, przynajmniej nam, że niezadowoleni robotnicy nie zdają sobie sprawy z nieuchronnych następstw pomysłu takiego, jak przedsiębiorstwo huty robotniczej. Czyż to nie oczywiste w samej rzeczy, że pierwszym warunkiem, aby zakład istniał i rozwijał się, jest to, żeby każdy wykonywał swój obowiązek porządnie i sumiennie? A do tego tem trudniej doprowadzić, iż w tym wypadku idzie o pracę wspólną, przy której przewodnicy roboty są towarzyszami i wspólnikami tych, którym przewodniczą. Gdzie osobistą powagą nikt nie wywiera wpływu, tam można oczekiwać koniecznego posłuszeństwa tylko pod wpływem obawy przed ustawą karną.

„Niezawodnie smutna to prawda, ale jej nie zmieni żadna potęga na świecie. Wielu robotników marzy o państwie, urojonem przez panów Juliusza Guesde i Jaurès na wzór jakiegoś raju na ziemi, gdzie możnaby żyć podług zasady: ‚rób co chcesz'. Prawda przeciwnie pokazuje, że tam nikt nie robiłby, co chciałby, i każdy obywatel musiałby tam ugiąć karku pod jarzmem tem cięższem i tem twardszem, że nikt nie miałby prawa ani mocy ulżyć ciężarów. Pod tym względem widok huty w Albi przedstawia właściwe skutki socyalizmu i zasługuje na pilną uwagę".

Jednak podobne słowa niełatwo mogą przekonać tych, któ-

rzy nie chcą ich słuchać. A ogół socyalistów nie chce myśleć o niczem, co przedstawia ich naukę w świetle pomysłów chybionych: więc nie przystali w Albi na nieuniknione następstwa swoich zasad i przymusu żadnego nad sobą cierpieć nie chcieli. Stąd rosły niesnaski między przewódcami a robotnikami i doprowadziły jednych i drugich przed kratki sądowe. Wyrok zapadł 2 stycznia 1897 r. i skazał Jana Chrzciciela Calvignac'a na pięć dni więzienia za bójkę, w której poranił towarzyszy; dalej na dziesięć dni więzienia sąd skazał jednego z zarządców huty, Anconturier'a, a drugiego, Gidel'a, na piętnaście dni za to samo przestępstwo.

Wobec takich stosunków, dalekich od szczęścia rajskiego, smutna prawda zaczyna przecie poruszać sumienia niektórych socyalistów. Jeden z nich, nawet najgorliwszy wyznawca ich nauki, Maurycy Sauron, były burmistrz w Carmaux, otworzył oczy na prawdę, chociaż dopiero na łożu śmiertelnem. Przypomniał sobie katechizm i obowiązki chrześcijanina, a na myśl o towarzyszach, których długo gorszył, postanowił przynajmniej po śmierci zatrzeć pamięć żywota bezbożnego, i aby dobitnie zaznaczyć przed światem zmianę poglądów, kazał wezwać dwunastu księży na pogrzeb. Przez to naraził pana Jaurès na niemiłą przygodę. Ten Bebel francuski zjechał z Paryża do Carmaux, aby wziąć udział w pogrzebie takiego przedstawiciela socyalizmu, jakim nieboszczyk był aż do chwil przedśmiertnych. Aż tu zamiast pogrzebu bezwyznaniowego, Jaurès zastaje obchód chrześcijański, rad nie rad idzie na żałobne nabożeństwo, słyszy za pogrzebem śpiewy kościelne i nad grobem stanął oko w oko przed dwunastu księżmi, kiedy otwierał usta do przygotowanej mowy pogrzebowej. Wobec niespodzianych słuchaczy, zbity z tropu, zapomniał co miał mówić, ani nie mógł serdecznie pochwalić nieboszczyka za odstępstwo od socyalistycznych haseł; ledwo wydobył z piersi kilka słów niepoczesnych, aż rozpaczliwie żal było słuchać zawstydzonego nieboraka [1].

---

[1] Opis powyższych wypadków w Albi był już skończony, kiedy *Kraj* petersburski doniósł, że huta została zamknięta. Robotnicy ogłosili to światu

Nietylko w Ameryce i Europie socyaliści na własnem gospodarstwie doznają zawodów: także w Australii stanęli do dzieła ze świetną nadzieją, ale ze skutkiem najgorszym. Owszem, nigdzie tak daleko, jak w Australii, nie zaszły socyalistyczne roboty, nawet w sprawie emancypacyi kobiet; nigdzie wszechwładza państwa nie znalazła tylu obrońców, którzy ją posuwają aż do najdalszych krańców, wytkniętych przez socyalizm.

Stąd rozwój gospodarki socyalistycznej w Australii stanowi przedmiot ciekawy dla badacza stosunków społecznych. Jeden z pracowników na tem polu, Piotr Leroy-Beaulieu, umieścił w *Revue des deux mondes*, kilka prac o Australii, z których wiele szczegółów może służyć za pożyteczną naukę dla Europejczyków, co marzą o równym podziale dóbr. Zwłaszcza pierwszy zeszyt sierpniowy z przeszłego roku opisuje dokładnie szczegóły, z którymi wypada zaznajomić nasze społeczeństwo.

Socyalizm znalazł w Australii rolę bardzo odpowiednią dla uprawy zasad o wspólnym majątku całego państwa. Rolnicy, żywioł najodporniejszy przed podszeptami socyalizmu, stanowią w Australii znacznie mniej poważny czynnik społeczny, niż w starym świecie i nawet w Ameryce. Liczebna przewaga leży wprawdzie po stronie ziemian, ale w stosunku tak nizkim, jak nigdzie: na blizko cztery miliony mieszkańców, Australia liczy ich blizko dwa miliony po miastach, tak że na tysiąc ludzi wypada ledwo pięciuset siedemdziesięciu pięciu rolników. Ten stosunek pokazuje, że mieszkańcy miast, między nimi robotnicy bezdomni tworzą w Australii liczebną potęgę, jakiej nie dorówna stosunkowo w żadnym kraju liczba żywiołów, w których socyalizm zbiera swoje zaciągi.

Liczebna potęga robotników w każdem państwie znaczy tem więcej, im powszechniej ustawa przyznaje obywatelom prawo do głosu przy wyborach. W Australii panuje od trzydziestu kilku lat zasada głosowania powszechnego: stąd liczba posłów

---

w odezwie, w której mówią, że nie mogli umierać z głodu, więc opuszczają przedsiębiorstwo własne, aby szukać miejsca popłatniejszego u właścicieli zakładów, u których gospodarka przecie zabezpiecza im dobrobyt.

ze stanu robotniczego w Izbach australskich przybrała rozmiary, na jakie rządy nie mogą spoglądać z góry. To też do księgi ustaw wchodzą coraz jaskrawsze uchwały i coraz bliższe do kresu, o którym rozprawia socyalizm. Jego zwolennicy nie spotykają w ciałach ustawodawczych żadnego stronnictwa, któreby przeciw nim wystąpić umiało poważnie; więc trzymają w ryzach rządy głównych osad Wiktoryi, Nowej Walii i Australii Południowej a Nowej Zelandyi przed wszystkiemi.

Wpływ doktryn socyalistycznych daje się uczuć we wszystkich ustawach prawodawstwa australskiego: obejmuje przepisy na grunta i pracę w zakładach rękodzielniczych, system podatkowy i dążenie ogólne państwa do rozwinięcia przemysłu i handlu i coraz większego wdzierania się w prawa własności prywatnej.

Zwłaszcza sprawa zakupna gruntów czuje na sobie żelazne okowy, nałożone przez socyalizm. Ustawodawcy mieli przed oczyma w pierwszym rzędzie robotników niezatrudnionych. Aby im dostarczyć zarobku, rządy przez jakiś czas usiłowały zaopatrzyć ich w pracę przy budowach kolei. Ale ten środek ledwo od głodowej śmierci mógł uchronić nędzarzy, a nie zabezpieczył im dobrobytu na pewnych posadach. Na kilka miesięcy posyłał tysiączne tłumy w dziewicze lasy i pustynie do robót nieźle płatnych, ale nie można było budować coraz nowych kolei bez końca. Rząd sam spostrzegł po niewczasie, że już przesadził, bo poprowadził zbyteczne linie, które nakładu nie opłacają. Szczególniej w osadzie Wiktoryi nadmiar niepotrzebnych kolei doszedł do tego stopnia, że np. na 227 kilometrach dochód nie wynosi jednej dziesiątej od sta, a na 820 kilometrach dochody nie opłacają wydatków na zarząd. Więc zawieszono dalsze budowy kolei, ale nic innego nie wymyślono: stąd rzesza robotników, chwilowo nakarmiona, stanęła znowu wobec nędzy, wymagała od rządu stanowczej pomocy i groźnie wołała, że ciała ustawodawcze powinny im zabezpieczyć stały dobrobyt.

Aby uciszyć wzburzone głosy, najlepiej było wyprowadzić głodne tysiące z miast, gdzie nie można było dla wszystkich obmyśleć stałego zarobku, i wysłać ich na rolę, która obiecywała żyznym plonem nagradzać uprawę. Stąd zabrzmiało w ustach

Australczyków hasło: *settle the people on the land,* „osiedlić lud na roli!“ i wywołało doniosłe zmiany w ustawodawstwie o zakupnie ziemi.

Dawniej państwo sprzedawało rolę kupcowi, który dawał najwięcej, i każdemu pozwalało kupić tyle obszaru, ile który chciał. Socyalistyczne prądy postanowiły zapobiedz nierównemu podziałowi ziemi między właścicielami: wpłynęły na ustawę w tym duchu, iż skrępowała osobistą swobodę nabywców ziemi przy umowie z rządem i pozwoliła państwu odstąpić tylko oznaczoną liczbę morgów, najwyżej paręset, jednemu kupcowi. Na obszarach Australii kilkaset naszych morgów ziemi nie stanowi wielkiej własności.

Te rozporządzenia objawiły się w nowych ustawach przyjętych przez wszystkie kolonie w r. 1890 pod naciskiem partyi robotniczej. Charakterystyczne są ustawy Nowej Zelandyi z r. 1892.

Główne rysy znamionujące obecny zarząd ziemi, jak się wyraża obwieszczenie urzędowe: *The official year book of New Zealand,* są wynikiem idei, stopniowo dojrzewającej w tej kolonii od lat kilku. Wyrażają zasadę, że właścicielem ziemi jest państwo a ziemianin dożywotnim dzierżawcą: *State ownership of the soil with a perpetual tenancy in the occupier.* Większa część ziemi nie bywa więc sprzedawana, lecz wypuszczana w dzierżawę na 99 lat, czyli ostatecznie jakby na wieczne czasy. Dwa inne sposoby zbycia jeszcze przecie się utrzymały; lecz nie powinny być zastosowane na więcej jak 200.000 morgów co roku tj. sprzedaż za gotówkę po stałej cenie, albo wynajem na 25 lat; w tym wypadku dzierżawca może kupić grunt po dziesięciu latach. Ratę dzierżawną ustawa oznacza na pięć od sta ceny sprzedaży za gotówkę, w razie wynajmu na 25 lat; a na cztery od sta tylko w razie wieczystej dzierżawy. Dobra rządowe dzielą się na dwie kategorye: w pierwszej cena najwyższa 1 funt. szterl. za akr (około 30 złr. za nasz morg), a nikt niema prawa zająć więcej nad sto kilkanaście morgów. Najwyższa cena drugiej kategoryi jest niecałe dziesięć złr. za morg a nie wolno zająć więcej nad 400 morgów. Jeżeli kolonista posiada już ziemie w Nowej Zelandyi, trzeba odtrącić ich powierzchnię od najwyż-

szej ilości stukilkunastu albo czterystu morgów, aby otrzymał przestrzeń, którąby mógł jeszcze kupić lub wynająć od państwa. Dla zapewnienia uprawy każdej części przez zajmujących są pewne drobiazgowe zastrzeżenia. Nawet w razie sprzedaży za gotówkę, państwo wydaje kupcowi tylko świadectwo, że zajął grunt i przyjął obowiązek poprawić stan ziemi w przeciągu 7 lat, tak, aby wypadło około 30 złr. za morg ziemi pierwszej klasy, albo o połowę mniej, jeżeli chodzi o ziemię klasy drugiej; wtedy dopiero dostaje ostatecznie urzędowe świadectwo zakupna. Co do dwóch innych sposobów nabycia, z których ostatniemu: wynajęciu wieczystej dzierżawy, najwięcej sprzyja administracya, przepisy są jeszcze ściślejsze: obowiązkowy pobyt na miejscu przez 7 lub 10 lat z kolei, obowiązek poprawy ziemi w stosunku dziesięć na sto od ceny sprzedaży przez pierwszy rok, jeszcze o dziesięć od sta więcej przez dwa lata, znowu jeszcze o dziesięć od sta więcej w sześciu latach i tak dalej coraz więcej, aż dojdzie do trzydziestu złr. albo do połowy, stosownie do kategoryi, do której należy ziemia; takim obowiązkom musi wydołać osadnik.

Całe to ustawodawstwo stanowi, według naszych pojęć, znaczny wyłom w prawie własności i przyznaje zbyteczny nadzór państwa nad sprawami osobistemi właściciela. To wszechwładne stanowisko najwyższego właściciela ziemi, przypisywane państwu, jest powrotem do despotyzmu wschodniego, gdzie panujący posiada prawo absolutne.

Wyglądałoby, że te przepisy wyjść mają na pożytek roli i na korzyść gospodarstwa. Tymczasem najlepszy dowód, że tak nie jest, jest to, że właściciele wyprzedają się i uciekają, a inni grożą, że przeniosą kapitały gdzieindziej.

Ani dożywotnia dzierżawa nie przywiązuje rolnika do ziemi tyle, co obowiązki właściciela, ani opieka państwowa nie nakłania do pracy ochoczej. Któż skrępowany na każdym kroku zechce przyłożyć serce do swoich obowiązków? Pewnie nie zechce, kto lada chwila dostać może nieproszonego gościa, który ma prawo o jego gospodarstwie sądzić po swojemu, a czego po swojej myśli nie znajdzie urządzonego, przedstawi to oczywiście w złem

świetle wobec władz i zmusi gospodarza do zmian, nietylko nieznośnych, ale nieraz drogo opłaconych albo nawet szkodliwych. Kto ma szczerze pracować w swoim zakresie, ten musi czuć swobodę w ruchach i módz na wolnej przestrzeni rozwijać swój zmysł przedsiębiorczy; inaczej unikać będzie wszelkiej myśli samodzielnej albo gdziebądź indziej poniesie swój zasób sił, którego nie zdoła z pożytkiem rozwinąć, póki sam u siebie nie jest gospodarzem.

Tak więc osłabione przez ustawę z r. 1892 prawo własności, poniosło w Nowej Zelandyi jeszcze inny i dotkliwy uszczerbek. Rząd sądząc, że własność publiczna nie posiada dobrej ziemi, wszedł w układy o kupno z prywatnymi właścicielami. Ustawa z r. 1894 nadała państwu prawo wywłaszczać każdego właściciela na przestrzeni blizko 800 morgów ziemi ornej, blizko 1600 morgów obszaru częścią ornego, częścią pastewnego, a do 4000 morgów łąk, przydatnych na pastwiska. Jeżeli ceny ofiarowanej przez rząd właściciel nie przyjmuje, państwo poddaje sprawę pod sąd rzeczoznawców. Tym sposobem państwo znalazło drogę, aby znieść większe posiadłości ziemskie, i dopuścić tylko gospodarstwa na obszarze, które nic nie znaczą na przestrzeni takich rozmiarów, jak Nowa Zelandya, prawie nie zagospodarowana jeszcze, rozległa jak kilka razy Galicya, a osiedlona ledwo siedmiuset tysiącami mieszkańców. To już pierwszy krok do równego podziału ziemi. Jakkolwiek prawo to, jest tymczasowo uchwalone na lat 6, zaręczyć nie można, czy nie będzie nadal potwierdzone, a może jeszcze dalej posunięte w duchu socyalizmu. Raz zachwiane podstawy majątku osobistego niełatwo staną znowu bezpiecznie; co gorsza nowe prawo dało już początek poważnym nadużyciom.

Nowa Walia w podobnym kierunku idzie, a nawet w niektórych względach prześcignęła Nową Zelandyę: już nietylko na osobiste majątki wynalazła sposób, aby obciąć wszystkie do równej miary, ale także w dzierżawach zamyśla znieść różnicę między większemi i mniejszemi; dlatego wydała ustawę, mocą której państwo ma prawo odbierać od dzierżawców część wypuszczonej ziemi, aby żaden z nich nie mógł bogactwem

łatwo przerastać innych. Ta ustawa mniej daleko sięga, niż ustawa Nowej Zelandyi; przecie obie równo szkodzą rolnikowi, zagrożonemu ciągłemi zmianami w stanie swojego gospodarstwa.

Ktokolwiek ma najsłabsze pojęcie, jak trzeba gospodarować, ten odrazu powie, że takich ustaw dla właścicieli ziemskich i dzierżawców nie układał żaden znawca stosunków, ale chyba tworzyli je ludzie niedoświadczeni na tem polu i zapatrzeni w jakieś mrzonki nieuchwytne. W samej rzeczy w Australii do ciała ustawodawczego nie wchodzą ludzie z jakiegobądź stanowiska. Ci zasiadają na krzesłach senatorskich i wydają uchwały, które nikogo nie obowiązują, bo rząd ich nie wykonuje, a trzyma jedynie z Izbą poselską. Do tej Izby niższej wstęp gościnnie czeka na każdego obywatela, który w żadnym zawodzie nie zdobył sobie kawałka chleba dostatniego, więc nie może w senacie zasiąść między adwokatami, przemysłowcami, szczęśliwymi przedsiębiorcami i pozostałą śmietanką towarzystwa australskiego. Poprzestaje na krześle poselskiem i stawia wnioski, natchnione przez dzienniki, oczywiście socyalistyczne. Obrady w Izbie dają każdemu czas na pole do popisu z pomysłami najdziwaczniejszymi, ale rozbieranymi bardzo poważnie, bo obrada zaczęta np. o drugiej po południu zwykle trwa przynajmniej do północy, a wyjątkowo nawet do godziny szóstej rano, albo i do ósmej. Prawda, że wiele czasu zlatuje na rozmowach o poprawkach i zmianach w ustawie poprzednio przyjętej, ale zawsze Australczycy obfitują w pomysły nowe i wnioski coraz rozmaitsze; stąd przy ciągłych zmianach i nowych uchwałach księga ustaw przechodzi najróżnorodniejsze koleje.

Wielkiem złem są częste zmiany w ustawach ziemskich, którym podlegają od lat kilku kolonie australskie. Każdy płód rolny wymaga długiej pracy, zużywającej kapitały, które mogą być umorzone dopiero po wielu latach. Bardziej, niż którakolwiek inna, ustawa o stosunkach rolniczych musi spoczywać na podstawie trwałej i pewnej, a nie ulegać zmiennym kolejom. Zmiany te nie były ostatecznie wagi największej, o ile odnosiły się do sprzedaży gruntu publicznego; dziś stanowią rzecz nader ważną, gdyż przekształcając ustawy dążą do przeprowadzenia

podziału gruntu, już raz najętego lub sprzedanego. W przeciągu 15 lat ustawy ziemskie były gruntownie przekształcone, trzy razy w Nowej Walii południowej, tyleż razy w Wiktoryi i Nowej Zelandyi, cztery razy w Queenslandyi i Australii południowej. Ta niestałość praw wpływa na przesiedlenie niektórych mieszkańców, czego dowodem słowa młodego *squatter'a*, którego pan Leroy-Beaulieu spotkał na statku w podróży z Australii do Przylądka Dobrej Nadziei: „Chcę poznać Afrykę południową; jeżeli mi się spodoba, osiedlę się tam, bo przy ciągłych zmianach u nas nie można nic przedsięwziąć". Oto skutki niestałego ustroju państwa. Myśl przewodnia w przedmiocie własności w tym kraju wzbudziła zamiar nadawania ziemi niezajętej ludności miejskiej, licząc na jej kapitały w gotówce. Kolonie australskie, zamieniając rzemieślnika na rolnika, co nie jest zbyt łatwo, utworzyły związek socyalistyczny, zaprowadzając wspólną uprawę gruntów. Nowa Zelandya pierwsza weszła na tę drogę, poczem wywołane zaburzenia w r. 1893 zaznaczyły swój charakter komunistyczny szczególniej w Wiktoryi i Australii południowej. W tej ostatniej znalazł się właśnie p. L.-B. podczas komisyi przeprowadzonej nad związkiem gmin, utworzonym na mocy ustawy grudniowej 1893 r. pod nazwą *village settlements*, i tak zdał sprawę z przebiegu owej ciekawej próby socyalizmu.

„Prawo, które mam zacytować, ustanawia konstytucyę wsi połączonych, obejmujących najmniej 20 osób, którym rząd może wynająć przestrzeń ziemi stu kilkunastu morgów na głowę, lub podwyższyć tyle razy po 500 zlr., ilu członków posiada stowarzyszenie. Suma półtora zlr. na morg ma być wydawana co roku na poprawę gleby.

„Po trzech latach stowarzyszenie zacznie zwracać zaliczkę otrzymaną od państwa, rachując po 5% rocznie z obowiązkiem umorzenia długu całkowicie w 10 rocznych wypłatach. Na czele każdego związku stoi *board*, zarząd złożony z trzech mężów ‚Zaufanych' *trustees*, których obierają członkowie pomiędzy sobą. Żaden z członków nie będzie zakładał osobnych przedsiębiorstw, ani z innych źródeł ciągnął zysku na ziemi wynajętej, posiada tylko prawo korzystać z części wyznaczonej mu przez *board of*

trustees. Ustrój wewnętrzny i porządek pracy różnych wsi musi uzyskać pochwałę ministra gruntów. Ten już ułożył wzór ustaw, przyjętych przez stowarzyszenie bez zmian znacznych. Dokument ten, godny osobnej uwagi, zaznacza najprzód, że Azyaci nie mogą należeć do stowarzyszenia; kobietom wstęp nie jest wzbroniony, lecz tylko mężczyźni przewodniczą w naradach; przyjęcie nowego członka zależy od *board of trustees*, któremu przysługuje prawo wydalać członka niekarnego, nieuległego prawom i t. d. Wydalony może odwołać się do zgromadzenia walnego, które rozstrzyga spór większością głosów. W razie wygnania, odjazdu lub śmierci którego z członków udział jego wraca na własność związku, dziedzictwo jest zniesione lub oddane pod dobrą wolę Zaufanych którzy mogą udzielić pomocy wdowie lub pozostałemu członkowi rodziny zmarłego, albo przepisać na niego cały udział opuszczony. Zaufani piastują urząd w samej rzeczy wszechwładny, po myśli Fourriera; wybierani po pięciu na rok mianują prezydenta, który ich zwołuje raz na miesiąc. Władza ich, wyszczególniona ustawą z dwudziestu paragrafów, ogarnia wszystko możebne: powierza im troskę o wszelkie sprawy, jakie zachodzą w stosunkach stowarzyszenia z rządem; zleca im całkowity nadzór nad robotami i uprawą ziemi, daje im prawo stawiać budynki gospodarskie, zaprowadzać przemysł, jaki uważają za stosowny, zaopatrywać stowarzyszonych w narzędzia i wszelkie potrzeby, zakupywać i wydawać ziarno i surowe produkty, sprzedawać plony. Do Zaufanych należy rozkład pracy ziemian; dozierają roboty i oznaczają czas, w którym ma być wykonaną; mogą ziemianinowi zabronić jakiejbądź pracy, której nie uważają za pożyteczną dla ogółu stowarzyszonych, zarządzają składami, wyznaczają wypłatę ziemianom w kuponach, wymienianych na wiktuały, czuwają nad zdrowiem publicznem, utrzymują porządek i karność; mają prawo za karę przypisać wypłatę pieniężną do 100 złr. z górą, albo powiększyć liczbę godzin pracy, a także zmniejszyć zapłatę; nakoniec do nich należy mianować sekretarza, skarbnika, lekarza i innych urzędników i ściśle oznaczać ich obowiązki.

„Dwie trzecie czystego dochodu mają iść do stosownego

trustees. Ustrój wewnętrzny i porządek pracy różnych wsi musi uzyskać pochwałę ministra gruntów. Ten już ułożył wzór ustaw, przyjętych przez stowarzyszenie bez zmian znacznych. Dokument ten, godny osobnej uwagi, zaznacza najprzód, że Azyaci nie mogą należeć do stowarzyszenia; kobietom wstęp nie jest wzbroniony, lecz tylko mężczyźni przewodniczą w naradach; przyjęcie nowego członka zależy od *board of trustees*, któremu przysługuje prawo wydalać członka niekarnego, nieuległego prawom i t. d. Wydalony może odwołać się do zgromadzenia walnego, które rozstrzyga spór większością głosów. W razie wygnania, odjazdu lub śmierci którego z członków udział jego wraca na własność związku, dziedzictwo jest zniesione lub oddane pod dobrą wolę Zaufanych którzy mogą udzielić pomocy wdowie lub pozostałemu członkowi rodziny zmarłego, albo przepisać na niego cały udział opuszczony. Zaufani piastują urząd w samej rzeczy wszechwładny, po myśli Fourriera; wybierani po pięciu na rok mianują prezydenta, który ich zwołuje raz na miesiąc. Władza ich, wyszczególniona ustawą z dwudziestu paragrafów, ogarnia wszystko możebne: powierza im troskę o wszelkie sprawy, jakie zachodzą w stosunkach stowarzyszenia z rządem; zleca im całkowity nadzór nad robotami i uprawą ziemi, daje im prawo stawiać budynki gospodarskie, zaprowadzać przemysł, jaki uważają za stosowny, zaopatrywać stowarzyszonych w narzędzia i wszelkie potrzeby, zakupywać i wydawać ziarno i surowe produkty, sprzedawać plony. Do Zaufanych należy rozkład pracy ziemian; dozierają roboty i oznaczają czas, w którym ma być wykonaną; mogą ziemianinowi zabronić jakiejbądź pracy, której nie uważają za pożyteczną dla ogółu stowarzyszonych, zarządzają składami, wyznaczają wypłatę ziemianom w kuponach, wymienianych na wiktuały, czuwają nad zdrowiem publicznem, utrzymują porządek i karność; mają prawo za karę przypisać wypłatę pieniężną do 100 złr. z górą, albo powiększyć liczbę godzin pracy, a także zmniejszyć zapłatę; nakoniec do nich należy mianować sekretarza, skarbnika, lekarza i innych urzędników i ściśle oznaczać ich obowiązki.

„Dwie trzecie czystego dochodu mają iść do stosownego

podziału między członków stowarzyszenia. Choćby który z nich nie mógł brać udziału w pracy przez pewien czas, mimo to zostaje nienaruszony jego udział w dochodach.

„Ziemianie przyjmują na siebie obowiązek słuchać i szanować Zaufanych, mają stale przebywać na kawałku ziemi wynajętej im przez *board of trustees*, z wyjątkiem kilkunastu dni w roku, w których ustawa pozwala im wyjeżdżać; nie mogą rozpoczynać żadnej pracy prywatnej we wsi ani poza wsią, ani sprzedaży bez pozwolenia Zaufanych. Jeżeli zgromadzenie walne osądzi, że zarobek ziemian ma przejść na własność wspólną, wszyscy są obowiązani poddać się temu wyrokowi. Przedmioty nabyte przez każdego z nich do użytku osobistego, jak ubranie, książki, sprzęty, przyrządy, są własnością osobistą; narzędzia do pracy należą do stowarzyszenia. Mają tylko prawo pożytecznie używać gruntu wyznaczonego, a nie mogą być uważani za właścicieli, ani nawet za dzierżawców.

„Stowarzyszenie ma obowiązek pamiętać o utrzymaniu ziemian. Zaufani wyznaczają liczbę kuponów, wydzielanych każdemu według liczby, płci i wieku członków rodziny, a wymienianych co piątek w magazynach na prowizye i ubranie, a nawet zapewniające pomoc lekarską.

„O rozwiązaniu stowarzyszenia rozstrzyga zgromadzenie walne, pod warunkiem zwrotu zaliczki udzielonej przez państwo i wynagrodzenia długów, jeżeli były zaciągnięte, poczem grunta mogą być rozdzielone między członków.

„Trzynaście stowarzyszeń, zorganizowanych po wsiach istniało dopiero po 15 aż do 18 miesięcy, kiedy komisya parlamentarna w październiku 1895 r. sprawdzała ciekawy wynik, do jakiego doszły te związki socyalistyczne.

„Przedewszystkiem uderza wypadek, którego ukryć nie podobna było: wszystkie stowarzyszenia przedstawiały opłakany stan majątkowy; popadły w długi, pozaciągane ze skarbu państwa, od kupców, od każdego, co zawierzył. Najwyższa zaliczka wyznaczona przez państwo na jednego członka, około 600 złr., nie wystarczyła nikomu. Ledwo jedna wieś nie prosi o nowe zaliczki, ale oświadcza, że nie może myśleć o wypłacie w czasie

oznaczonym. Długi najwięcej obciążonego z 13 stowarzyszeń dochodzą do tysiąca kilkuset reńskich na głowę. Dodatki zaliczek żądanych wynoszą od kilkuset do tysiąca z górą reńskich na każdego ziemianina. Dwa lub trzy stowarzyszenia mają nadzieję wybrnąć z długów, nawet gdyby im odmówiono żądanych zaliczek, ale tak wątpliwie wyrażają te nadzieje, że można niczego nie oczekiwać.

„Czy osiągnięty wynik stoi w jakimkolwiek stosunku do wydatków? Nikt tego nie powie. Osadnicy niedoświadczeni w zawodzie, a nie zjednoczeni między sobą, często na to pracowali, aby przymnożyć strat. W jednej z gmin wykarczowany kawał ziemi leży odłogiem; nie można było rozstrzygnąć sporu o to, co trzebaby na nim posiać; gdzieindziej, aby każdemu dogodzić, Zaufani kazali rolę kawałkami poobsiewać najrozmaitszem ziarnem, bez względu, co rola zniesie; oczywiście większa część nie zeszła. Wioski przedstawiają smutny widok; co miało być domem, to wyrosło ledwo nad ziemię, aby mieszkańców pomieścić w jednej izbie lub dwóch. W Mustho, jednej ze wsi stosunkowo rozkwitłej, utrzymanie dorosłego człowieka wynosi półtora reńskiego tygodniowo, nie rachując ubrania, co nie świadczy o przesadnym dobrobycie; gdzieindziej jeden reński musi wystarczyć na tydzień. Jedna z gmin przez kilka miesięcy obchodziła się bez mięsa, chociaż w Australii nawet w większych miastach funt baraniny kosztuje od 15 do 20 krajcarów; po wsiach jeszcze mniej.

„Wytłumaczyć ten opłakany stan można porządkiem pracy, zaprowadzonym po wsiach. Prezydent stowarzyszenia w Gillen opowiada komisyi śledczej następne szczegóły: O godzinie $7^1/_2$ dajemy znak trąbką, o 8-ej przychodzimy do pracy, między dziesiątą a jedenastą mamy ćwierć godziny przerwy na papierosa; o 12-tej siadamy do obiadu. Po godzinie odpoczynku wracamy do pracy, o $3^1/_2$ mamy znowu ćwierć godziny przerwy, o 5-ej wracamy do domu. Więc zaprowadzili sobie dzień pracy z półosma godziny i to jednostajnie latem i zimą, przy robocie w polu, przy której tyle zależy od stanu pogody i zmian powietrza! Zły system pracy i niezgoda członków są powodem

niepowodzeń tych związków komunistycznych. Despotyzm Zaufanych był łagodzony przez małe rewolucye; stowarzyszenie takie miewało czterech prezydentów w przeciągu 15 miesięcy. Częste napady, zdarzające się po wsiach, uchodziły bezkarnie. „Czy napastnik już ukarany?“ pytano raz Zaufanego, napadniętego przy pracy. „Nie. Wielu sądzi, że sprawiedliwość nie dosięgnie ich tu“. „Więc myślą, że wolno im napadać i mordować bezkarnie?“ „Tak“. „Dlaczego więc nie zanosicie skargi do rządu?“ „Bo byłem napadnięty przez drugiego Zaufanego i miałbym ich trzech na pięciu przeciwko sobie“. Ten sam świadek opowiada, że pewien wieśniak napadnięty, został kaleką i miał być skazany na wygnanie, tylko zgromadzenie walne nie pozwoliło wykonać wyroku. Liczne gwałty zaszły w tej wsi; gdzieindziej także ich nie brak, a na nie sprawiedliwości niema. W Lyrup kradzieże uchodzą bezkarnie, liczne wygnania się zdarzają za rzeczy błahe. Wyjazdy dobrowolne były jeszcze częstsze; jedna z wsi liczyła 9 członków zamiast 23, inna rozdzieliła się na dwie części, liczące razem 49 członków zamiast 67, a trzecia 65 zamiast 100.

„Więc doświadczył socyalizm na nowo swoich sił: widzi smutny kres mrzonek. Wyszło na jaw, że nie podobna dostarczyć stałych robotników i utrzymać porządek w związkach, z których najliczniejszy posiada 100 członków, a 350 mieszkańców.

„Wobec tego upadku nadziei socyalistycznych, w każdym związku powstaje stronnictwo zwolenników majątku osobistego; przystają do niego ziemianie jako tako obeznani z rolnictwem, podczas kiedy dawni robotnicy z miasta, mechanicy po większej części, zostają socyalistami. ‚Byłem zwolennikiem ustroju socyalistycznego — mówi pewien świadek — ale w przeciągu sześciomiesięcznego pobytu tutaj doszedłem do przekonania, że na gospodarkę tutejszą szkoda czasu i atłasu‘. Ze wszystkich stron słychać te same skargi i zapowiedzi, że cały ten ustrój zgniły od początku nie doprowadzi nigdy do wyników pomyślnych“.

Zrobiono próbę z najszczerszą wolą. Rząd pozwolił urządzić wszystko według ideałów socyalistycznych; sam przejęty duchem socyalizmu, był jak najżyczliwszy, nie żałował hojnych

zasiłków z grosza publicznego, a wszystko spełzło na niczem; pokazało się, że gmina socyalistyczna żyć nie może.

Wobec takiego stanu gospodarki socyalistycznej, co poczną jej obrońcy australscy? Błądziłby, ktoby mniemał, że niepoczesne wyniki ich pracy łatwo przekonają ich, że na zły trop weszli w pogoni za szczęściem na ziemi. Obmyśliwają coraz nowe ustawy, aby ochronić swoją budowlę od ostatecznego upadku, ale mimo wysiłków wszystko zapowiada, że będą musieli zwinąć gospodarstwo w swoich osadach albo dobrowolnie, albo pod przymusem coraz potężniejszego stronnictwa, które upatruje poprawę stosunków w powrocie do dawnego ładu na świecie.

Aby ułatwić socyalistom powrót na dobrą drogę, chrześcijańskie społeczeństwo, szczególniej we Francyi, Belgii i Niemczech, pokazuje im owoce własnej pracy nad poprawą doli robotniczej. Po opisie smutnych stosunków w osadach socyalistycznych, rzeczywistą ulgę przynoszą czytelnikom czasopisma, które zdają sprawę z rozkwitłego stanu, do którego zaczynają raźnym krokiem dochodzić osady robotnicze, ożywione duchem chrześcijańskim. Nie ustępują co do liczby nieudałym zachciankom, które socyalistom przynoszą wstyd na ich gospodarstwie, ale niepodobna jednych i drugich osad opisywać wszystkich z porządku. Wystarczy zakończyć opis niniejszy obrazkiem pomyślnego stanu, do jakiego doprowadzić może jeden człowiek gorliwy całe miasto, które już cierpiało na wszystkie choroby, zwykle zagnieżdżone w ogniskach ruchu przemysłowego.

Nie na łatwe stanowisko przybywał przed latami ksiądz Cettu, kiedy z rozkazu swojego biskupa jechał do Mülhausen w Alzacyi, aby objąć w tem mieście jedno z probostw. Miasto Mülhausen stanowi ognisko najżywszego ruchu przemysłowego w całej Alzacyi. Jeszcze r. 1746 trzech obywateli tamtejszych: Samuel Koechlin, Jan Jakób Schmatzer i Jan Henryk Dollfuss, rozpoczęli tam wyrabiać tkankę bawełnianą, zwaną cyc, a w Polsce używaną na suknie i obicia sprzętów za czasów króla Stanisława Augusta. Przemysł ich zakwitł tak pomyślnie, że Mülhausen posiada dziś fabryki zaliczane do znaczniejszych w całym przemyśle bawełnianym lądu europejskiego. Za wyrobami

bawełnianymi powstały inne gałęzie przemysłu: farbiernie, fabryczne warsztaty tkackie, wyroby skórne, rękawicznicze, fabryki mydła, chemikaliów, zabawek, papiernie, huty, fabryki maszyn i t. d.

Oczywiście miasto rosło prędko: w r. 1821 liczyło 13.027 mieszkańców, w r. 1880 63.629, między tymi 47.395 katolików. Zbudowało sobie gimnazyum i wiele szkół przemysłowych, bibliotekę, teatr, gabinet przyrodniczy, muzea różne, kilka torów kolei miejskiej i t. d. Zwolna liczba robotników doszła do takich rozmiarów, że na północno-wschodniej stronie miasta, założyli sobie osobną osadę. Do tej osady, złożonej obecnie z kilkunastu tysięcy dusz (16.000—18.000), przybył na proboszcza ks. Cettu. Pracę nad tymi robotnikami rozpoczął od spółek i związków, do których gromadził osobne stany: młodzież, dziewczęta, matki i mężów.

Każdy związek ma co miesiąc naradę, po której następuje rozrywka, co ćwierć roku wspólną spowiedź i komunię, co roku rekolekcye; dalej każdy związek zbiera fundusze, z których zaopatruje członków wiekowych i pielęgnuje chorych, albo zasila pozbawionych zarobku.

Związki założyły dwie szkoły gospodarstwa, do których robotnicy chodzą bezpłatnie trzy razy w tygodniu od godziny siódmej do wpół do dziewiątej wieczorem, a wykładów udzielają doborowi nauczyciele. W odpowiednim budynku robotnik znajduje cały byt zaopatrzony za 80 fenigów dziennie. Choć za jadło płaci bardzo mało, przecie dostaje pokarm zdrowy, bo w kuchni pracują nie najęte kucharki, tylko dziewczęta, które pod dozorem mistrzyń pobierają naukę kucharską, za którą spólna kasa płaci zakładowi.

Robotnicy mają także towarzystwa śpiewackie i wieczory nieraz wolne do zabawy; wydają także własne pismo o sprawach społecznych, pilnie czytają i popierają katolickie dzienniki i broszury. Założyli ze wspólnych składek piekarnię i skład wina dobrego a taniego, w którym tylko kupować mogą i u siebie po domach pić wino, a nie po gospodach. Kasa chorych wypłaca im w potrzebie zapomogę, równą zarobkowi dziennemu.

Osobny urząd dostarcza pracy pozbawionym zarobku. Inne biuro oświeca ich w razie zatargu z pracodawcą i wyznacza im bezpłatnie prawnego obrońcę przy rozprawie sądowej. Główną chlubą tych urządzeń jest bank spożywczy, z którego dochody służą dla robotników na zakupno własnych domów. Ich osada liczy blizko tysiąc domów dwupiętrowych albo dworków parterowych, gdzie robotnicy mogą do zapłaty za mieszkanie, składanej co miesiąc, dodawać ratę, na zakupno domu całego po kilkunastu latach.

Ten godny podziwu dobrobyt robotników stanowi dzieło księdza Cettu'go. W osadzie, zagrożonej przez socyalizm, pokazał, ile zdoła sprawić dar chrześcijańskiej rady. Sprawił taką zmianę w nastroju umysłów, że gdzie katolicy nie mieli ani jednego zastępcy w radzie miejskiej przed laty pięćdziesięcioma, dzisiaj wszycy rajcy co do jednego: sami katolicy. Wszystkich innowierców pobił swojem dziełem ksiądz katolicki, a najświetniej zwyciężył socyalistów.

O tem dziele księdza Cettu opisuje z zapałem tygodnik czeski *Hornicke Listy,* i dodaje śmiałą uwagę: „Co o tem rzekną socyalni demokraci i ich wodzowie, Żydy? i co o tem z drugiej strony rzekną ci, którzy mogą działać podobnie... ale śpią!!...“

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD NAJNOWSZYCH BADAŃ Z HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ

(1893—1896).

(Dokończenie).

Wiek XIX.

Niezwykle bujny rozkwit literatury XIX. wieku zawdzięczamy w znacznej części — zbliżeniu się do prądów europejskich, które nastąpiło już przed r. 1831, ale zwłaszcza po tym roku. Emigracya porwała tysiące ludzi, a podobnie jak po trzecim rozbiorze w legionach, tak teraz w emigracyi skupił się duch narodu. Trzej nasi najwięksi żyli i pisali na emigracyi, dając popęd i tchnienie naszej literaturze. Słuszną też jest rzeczą, że Mickiewiczowi, Krasińskiemu i Słowackiemu poświęcają badania tego wieku najwięcej uwagi, słuszną jest rzeczą, że za tło do tych badań służy literatura powszechna.

Mickiewicz miał dobre lata wówczas, kiedy Towarzystwo jego imienia krzątało się około swego „Pamiętnika“. Pięć tomów tego dzieła nie daje może wszechstronnej oceny działalności poety, ale bez nich obejść dziś niepodobna, ilekroć się mówi lub pisze o Mickiewiczu. Jednakże „Pamiętnik“ od r. 1892 już nie wychodzi, a w przeciągu ostatniego trzechlecia przybyło do Mickiewicza zaledwie parę książek lub rozpraw. Wśród nich główne miejsce należy się dziełu Władysława Mickiewicza o ojcu. Obejmuje ono 150 ark. druku i składa się z dwóch części: opra-

cowania i materyałów; stosunek wzajemny tych części jest taki, że z samych materyałów złożyłby się spory tom o trzystu kilkudziesięciu stronicach, stanowią one zatem niemal ćwierć całości a odnoszą się głównie do pobytu poety w Paryżu, aczkolwiek dużo nowego rzucają światła na jego stosunek do Maryli. Dzieło, dające taki materyał, dotąd nieznany albo znany tylko nielicznej garści osób, miałoby wyjątkowe znaczenie w zakresie badań mickiewiczowskich, gdyby ścisłością naukowego opracowania wzniosło się nieco wyżej [1].

Syn kreśli życie swego wielkiego ojca z pietyzmem, a inaczej być nie mogło; kreśli je drobiazgowo wśród jego codziennych zmian i kolei, z uwzględnieniem otoczenia, nie pomijając nietylko zdarzeń, rozmów i pomysłów, ale nawet anegdot jego i o nim. Tłumaczy się to uwielbieniem, skwapliwie notującem wszystko, co ma związek z Mickiewiczem, a zatem każde opowiadanie osób, które były bliżej lub dalej poety, każdą choćby bezimienną i najmniej znaczącą anegdotę. Że jednak niektórzy ludzie na takiem oświetleniu nie zyskują, to się samo przez się rozumie. I tak dość ujemnie przedstawia się Słowacki w tym obrazie. Stąd czytelnik musi się liczyć z autorem, który nie zawsze zdoła natchnąć wiarą właśnie dlatego, że powtarza wszystko bez krytyki i wyboru i wszystko jednako oświetla. Pomimo tej kardynalnej wady dzieło Władysława Mickiewicza zajmuje pośród badań mickiewiczowskich pierwszorzędne miejsce. Oznacza ono daty życia poety tak dokładnie i tak szczegółowo, jak żadne inne; oznacza daty pisania i wydań utworów poetycznych pewniej, niż dotychczasowe; kreśli tok życia od urodzenia do zgonu szczegółowiej, niż znane dotąd biografie — nie wyłączając Chmielowskiego, a niektóre okresy bada zupełnie wyczerpująco i na podstawie odmiennych źródeł, np. cały stosunek Maryli do poety, okres profesorskiej działalności w *Collège de France*; nie waha się odsłonić najdrobniejszych zakulisowych trosk i kłopotów tego ojca rodziny, który wierzył

[1] Wł. Mickiewicz, „Żywot A. M., podług zebranych przez siebie materyałów oraz z własnych wspomnień, opowiedział Wł. M.“. Poznań, t. I w 1891, t. II w 1892, t. III w 1894, t. IV w 1895.

w Opatrzność, ufał ludziom bez granic — i klepał biedę; zbiera troskliwie i skrzętnie echa i głosy spółczesnych ludzi lub spółczesnej prasy o poecie, a nakoniec pomieszcza dwieście kilkadziesiąt bądź nieznanych, bądź mało znanych dokumentów i listów. Z powyższego wynika, że dzieło Władysława Mickiewicza nie jest ostatniem słowem o naszym poecie ani pod względem estetycznym, gdyż rozbiorem utworów prawie się nie zajmuje, ani nawet pod względem biograficznym; ale liczyć się z niem musi każdy pragnący zapoznać się bliżej z poetą; liczyć się musi zwłaszcza każdy, pragnący cokolwiek o poecie napisać. Na razie czyni ono zadość naszym potrzebom, czego dowodem okoliczność, że po niem niemal nic o życiu Mickiewicza nie pisano [1]. Niewiele też rozpraw roztrząsa poezye naszego wieszcza. Jedna rozpatruje Sonety krymskie, druga improwizacyę Konrada, trzecia jest obszernem studyum o „Panu Tadeuszu“ [2].

Pierwsze studyum bada Sonety ze stanowiska krytyki estetyczno-psychologicznej i uczy nas pojmować je głębiej, wszechstronniej i lepiej, niż dotąd.

Sonety nie są wyłącznie opisami okolic górskich, — to rzecz znana. Wedle autora tylko „Bakczysaraj w nocy“ i „Ałusztę w dzień i w nocy“ zaliczyć trzeba do poezyi epicznej; inne wchłonęły w siebie sporo pierwiastku lirycznego. We formie wyróżnia je realizm opisowy, a ścisła obserwacya natury nie jest tu zgoła przypadkowym pomysłem literackim, lecz usiłowaniem metodycznem romantyzmu. Co się tyczy lirycznych wzruszeń — można rozróżnić trzy ich warstwy: objektywną, napływową i sub-

---

[1] W *Muzeum* r. 1897 ukazała się drobna praca K. L. Wróblewskiego pod tytułem: „Mickiewicz jako nauczyciel w Kownie“. Rozprawka bez wybitnego znaczenia.

[2] *a)* Dr. Stanisław Windakiewicz, „Sonety Krymskie“. *Przegl. Polski* r. 1896, kw. IV, str. 609—631.

b) M. Kawczyński, „Przyczynek do wyjaśnienia Improwizacyi Mickiewicza i trzeciej części Dziadów“, str. 1—74. (Rozpr. Akad. Um. Wydz. filolog, t. 21, r. 1894).

c) Walery Gostomski, „Arcydzieło poezyi polskiej, A. Mickiewicza Pan Tadeusz“. Studyum krytyczne. Kraków 1894, str. 266.

jektywną (str. 617). Wzruszenia te są wyłącznie patetyczno-liryczne. Tylko to, co poetę nastraja głębszem uczuciem, staje się treścią sonetów, zbyt zaś osobiste lub mniej ogólne usuwa. Stąd to i „frazeologia sonetów została najtroskliwiej z wyrażeń codziennych przebraną i przebrakowaną". Najmniej studyowane są sonety górskie, najlepsze — morskie. „W nich język poetycki i forma zespoliły się i spłynęły dokładnie z nastrojem poety". Z tych zasadniczych uwag płynie wniosek, że sonety w tym kształcie, w jakim je obecnie znamy, nie powstały w Krymie, ale w Moskwie, tj. wtedy „gdy wspomnienia ułożyły się w umyśle Mickiewicza w skończoną całość, a wspomnienia krymskie utworzyły na ich tle osobne i zamknięte koło": stwierdza się to waryantami i układem sonetów w portfelu podróżnym. Ogładzeniu poemacików poświęcił Mickiewicz rok czasu, co się przyczyniło ogromnie do wyrobienia poety pod względem smaku. Z powodu swego oryentalizmu, z powodu pominięcia rozmyślnego wszelkich wspomnień klasycznych, stały się one rodzajem ostrej zaczepki klasyków przez młodą szkołę, stały się hasłem walki, którą miał poeta wygrać.

Od liryki refleksyjnej przenosimy się do wykwitu romantyzmu — do „Improwizacyi" Konrada. W r. 1890 ogłosił dr. Kallenbach pracę, w której, zdawałoby się, niezbicie udowadnia, że pomysł wielkiej „Improwizacyi" powstał w r. 1829 w Rzymie, lecz zmieniał się stosownie do przejść duchowych poety, aż przyoblókł ostateczną szatę w Dreźnie w r. 1832 [1]. Tymczasem dr. M. Kawczyński w 4 lata potem wystąpił z całym szeregiem nowych hipotez, dotyczących nietylko improwizacyi, ale wogóle genezy trzeciej części Dziadów. Odróżnia on w tej części dwojakiego rodzaju ustępy: przedmiotowe (l. c. 1, 6, 7, 8) i podmiotowe (l. c. 2, 3, 4, 5, 9); pierwsze powstały przed drugimi. Ponieważ dawne stosunki życzliwości z Rosyanami „stawiały go w położeniu niejasnem" wobec podejrzliwości emigracyi, wypadało swoje stanowisko względem Rosyi oznaczyć, a w tym celu

[1] „O improwizacyi Konrada", Józef Kallenbach. Pam. lit. Towarz. im Mick. R. IV, str. 3—33.

jektywną (str. 617). Wzruszenia te są wyłącznie patetyczno-liryczne. Tylko to, co poetę nastraja głębszem uczuciem, staje się treścią sonetów, zbyt zaś osobiste lub mniej ogólne usuwa. Stąd to i „frazeologia sonetów została najtroskliwiej z wyrażeń codziennych przebraną i przebrakowaną". Najmniej studyowane są sonety górskie, najlepsze — morskie. „W nich język poetycki i forma zespoliły się i spłynęły dokładnie z nastrojem poety". Z tych zasadniczych uwag płynie wniosek, że sonety w tym kształcie, w jakim je obecnie znamy, nie powstały w Krymie, ale w Moskwie, tj. wtedy „gdy wspomnienia ułożyły się w umyśle Mickiewicza w skończoną całość, a wspomnienia krymskie utworzyły na ich tle osobne i zamknięte koło": stwierdza się to waryantami i układem sonetów w portfelu podróżnym. Ogładzeniu poemacików poświęcił Mickiewicz rok czasu, co się przyczyniło ogromnie do wyrobienia poety pod względem smaku. Z powodu swego oryentalizmu, z powodu pominięcia rozmyślnego wszelkich wspomnień klasycznych, stały się one rodzajem ostrej zaczepki klasyków przez młodą szkołę, stały się hasłem walki, którą miał poeta wygrać.

Od liryki refleksyjnej przenosimy się do wykwitu romantyzmu — do „Improwizacyi" Konrada. W r. 1890 ogłosił dr. Kallenbach pracę, w której, zdawałoby się, niezbicie udowadnia, że pomysł wielkiej „Improwizacyi" powstał w r. 1829 w Rzymie, lecz zmieniał się stosownie do przejść duchowych poety, aż przyoblókł ostateczną szatę w Dreźnie w r. 1832 [1]. Tymczasem dr. M. Kawczyński w 4 lata potem wystąpił z całym szeregiem nowych hipotez, dotyczących nietylko improwizacyi, ale wogóle genezy trzeciej części Dziadów. Odróżnia on w tej części dwojakiego rodzaju ustępy: przedmiotowe (l. c. 1, 6, 7, 8) i podmiotowe (l. c. 2, 3, 4, 5, 9); pierwsze powstały przed drugimi. Ponieważ dawne stosunki życzliwości z Rosyanami „stawiały go w położeniu niejasnem" wobec podejrzliwości emigracyi, wypadało swoje stanowisko względem Rosyi oznaczyć, a w tym celu

[1] „O improwizacyi Konrada", Józef Kallenbach. Pam. lit. Towarz. im Mick. R. IV, str. 3—33.

napisał „Ustęp“, który poprzedził — nie jak dotąd sądzono — kończył część III. Dziadów. Cała część ta pisała się w czasie od 23 marca do 20 maja 1832 r. — z wyjątkiem wszakże sceny IV. i V., których powstanie należy odnieść do pobytu w Paryżu. Taką jest geneza zewnętrzna. Na pytanie, jaki proces duchowy towarzyszył tworzeniu, znajdujemy w rozprawie d-ra Kawczyńskiego również kategoryczną odpowiedź. Oto na improwizacyę złożyły się: *a)* obie części „Fausta“ i fragment „Prometeusz“ Goethego *b) Moïse, Stello i Eloa* Alfreda de Vigny, *c)* „Prometeusz“ Aischylosa, a nawet *d) Préface à Cromwell* Wiktora Hugo. Prometeusz Aischylosa nie jest zuchwałym, ale zuchwałym jest Prometeusz Goethego, a takim samym Konrad — Mickiewicz zatem rys ten przejął od Goethego. Natomiast Prometeusz Aischylosa pragnie uszczęśliwić ludzkość — tak samo Konrad, — *ergo* rys ten wziął Mickiewicz od Eschyla; ponieważ Faust gardzi mędrcami a Konrad poetami, więc zależność Mickiewicza oczywista; że zaś Mojżesz Vigny'ego powiada:

J'impose mes deux mains sur le frond des nuages,

a Konrad woła:

. . . . . kładę me dłonie
Na gwiazdach . . .

ponieważ obaj przypisywali sobie czy posiadali magnetyczną, boską siłę oddziaływania na przyrodę, więc rzecz prosta, że Mickiewicz rys ten zapożyczył u Vigny'ego. Francuski romantyk dla poetów żądał wrzekomo pierwszego miejsca w całej ludzkości — Konrada zaś uczucie i natchnienie podnosi ku Bogu: otóż i wpływ powieści „Stello“. Co więcej Konrad w improwizacyi mówi o Bogu ze czcią i uwielbieniem, ale chwilami bywa panteistą, a te sprzeczności u poety płyną ze zbytniego przejęcia się Prometeuszem Goethego. Cóż jest zatem w improwizacyi oryginalne: toć to zlepek obcych pomysłów, nawet niezręczny, skoro Konrad sam kłóci się ze swoją naturą. Dr. Kawczyński uspokaja nas w ostatniej części pracy: oto od czasów Greków w całej Europie literatury zupełnie oryginalnej nie było; „niema dziś w poezyi dzieła, któreby było całkowicie samowłasnem“; aby utwór był samodzielnym — wystarcza motywów treści i skła-

dników formy „z różnych źródeł przejętych użyć w nowym celu, w nowej a własnej myśli".

Rozprawa d-ra Kawczyńskiego, napisana z wiarą w prawdziwość wypowiedzianych twierdzeń, wywołała pewną wrzawę literacką: zabierali głos i prof. Tretiak i prof. Kallenbach: w rezultacie hipoteza o wpływie romantyzmu francuskiego na III. część Dziadów nie ostała się głównie wskutek tego, że krytyk uwzględnił zbyt wyłącznie przy analizie motywy zewnętrzne, hołdując metodzie filologicznej [1]. Zgoła odmiennem zjawiskiem jest książka W. Gostomskiego o „Panu Tadeuszu". Tu autor odrzuca niemal zupełnie pobudki zewnętrzne, a rozpatruje dzieło samo w sobie oraz na tle „twórczej pracy ducha" poety. O ile w poprzedniej rozprawie przeważała analiza, o tyle tu góruje synteza. W pierwszym rozdziale p. t. „Geneza poematu" stara się wykazać, że we wrodzonem uzdolnieniu twórczem Mickiewicza zawierał się materyał na autora takiego arcydzieła, zwłaszcza że w „jestestwie swojem" poeta łączył charakterystyczne znamiona swojego społeczeństwa. Nadto chwilowy nastrój jego duszy podczas pisania poematu odpowiadał obranemu celowi. W rozdziale p. t.: „Przedmiot i kompozycya" podaje streszczenie utworu i zaznacza niedość ścisłą łączność dwóch głównych składników kompozycyi: czynów Jacka i miłosnych spraw Tadeusza. W rozdziale trzecim omawia obyczaje i stosunki życia, w następnych typy i charaktery, obrazy przyrody, podmiotową stronę poematu, styl i jego rozmaitość, oraz znaczenie i wpływ Pana „Pana Tadeusza".

Dzieło niewątpliwie świadczy o wczytywaniu się w poemat z zajęciem i miłością. W historyi rozbiorów „Pana Tadeusza" należy mu się poczestne miejsce; jeżeli bowiem książka d-ra Biegeleisena o tym przedmiocie grzeszy brakiem syntezy, rozbijając artystyczną kompozycyę na drzazgi, to praca Gostomskiego wyrównywa brak ten. Szkoda jeno, że syntezy jest tu nieco zadużo. Rozmiłowany w niej snuje autor długie wywody,

[1] Ob. wyborną recenzyę Ed. Porębowicza w *Kwart. hist.* z r. 1895 zesz. I, str. 88—94.

usiłując określić istotę charakteru narodowego, istotę umysłowości poety, a na rozległem tle tych historyozoficzno-psychologicznych dociekań giną bez śladu niezmiernie ważne w rozbiorze „Pana Tadeusza“ drobiazgi, bez których niepodobna zrozumieć, dlaczego właściwie „Pan Tadeusz“ jest arcydziełem. To wszystko próżno; po odczytaniu studyum Gostomskiego — mimo całego jego zapału dla poematu — nie kocha się więcej „Pana Tadeusza“, jak się go kochało w czasie lektury samego poematu. „Pan Tadeusz“ jest pisany dla prostaczków, krytyk zaś zbyt uczenie nam prawi, zbyt szumnych i pozornie głębokich używa frazesów, zbyt daleko odbiega, zbyt się stara zaimponować swoją własną erudycyą, aby mógł wzbudzić zapał w prostaczku. A dla ludzi znów o krytycznym zębie żniwo w dziele Gostomskiego obfite, bardzo obfite. I to ignorowanie prac poprzedników, np. Nehringa, Pilata, Bruchnalskiego, Chlebowskiego i pominięcie genezy zewnętrznej, i słabe wyzyskanie przedmowy poety i pobieżność w charakteryzowaniu czy to sytuacyi, czy typów, czy obrazów natury, pobieżność — dodajmy — umyślna, wszystko to sprawia, że książka Gostomskiego nie jest ostatniem słowem o „Panu Tadeuszu“. Weźmy np. hrabiego. Autor czyni go ni mniej, ni więcej, tylko karykaturą (str. 142). Czyżby taka była intencya poety naprawdę? Czyżby poeta w takim razie powiedział o nim:

> Szanowano go przecież, bo pan z prapradziadów,
> Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów,
> Nawet dla Żydów.

Czyby w takim razie położył poeta w charakterze hrabiego taki nacisk na „honor“, który jest przecież najgłówniejszym rysem hrabiego, rdzennym rysem — że się tak wyrażę — podczas gdy śmieszności są tylko nabyte przypadkowo. O tem jednak u p. Gostomskiego ani słówka. Albo np. Zosia wedle autora jest dziewczątkiem „nader mało psychicznie rozwiniętem“, w którem niema ani śladu wybitniejszego indywidualizmu“, jest „naturą nader pospolitą“. Są to czcze słowa. Mickiewicz byłby ramionami wzruszył, gdyby mu ktoś prawił o „wybitnym indywidualizmie“ u Zosi. Czy nie właściwiej byłoby zwrócić uwagę czytelnika na to, dla czego poeta z razu usuwa ją z otoczenia lu-

dzi, a po kilkakroć przedstawia na tle kwiatów, światłości słonecznej, nucącą, płonącą rumieńcem, taką „nagłą, cichą i lekką“. Możeby się wówczas i w niewinności, we wstydliwej a bezwiednej zalotności Zosi, budzącej Tadeusza, w jej sprycie, jaki okazuje wobec hrabiego — możeby się w tej duszy czystej jak kryształ znalazło nieco „wybitnego“. Toż samo możnaby powiedzieć o przypuszczeniu, jakoby panującym tonem w poemacie był „humor“, a „Pan Tadeusz“ dziełem humorystycznem. Ogółem praca p. Gostomskiego wiele rzuca światła na poemat, ale jeszcze więcej utrudnia zrozumienie, dlaczego jest on arcydziełem. Synteza w tym razie okazała się równie bezsilną, jak analiza. Czekajmy, aż obie się złączą — i wówczas może otrzymamy rozbiór, godny „Pana Tadeusza“.

To, co się pisze w tych latach o drugim wielkim poecie, Zygmuncie Krasińskim, krąży około dzieła prof. Tarnowskiego, które się ukazało w 1892 r. Charakterystyka poety i jego utworów pozyskała w tem znakomitem dziele niespożytą podstawę, ale krytyczna praca — to mrówcze i szczegółowe szperanie rozbiorcze, o ile dotyczy Krasińskiego, dopiero jest w zaczątkach i trudno określić, jak daleką drogę ma przed sobą, choćby dlatego, że i korespondencya w całości nie wydana i nowe utwory się odnajdują, i stosunek poety do źródeł na jaw stopniowo wychodzi, i daty powstania poematów dopiero się ustalają. W ten sposób uzupełnia się zasadnicze dzieło.

Przed paru laty odszukano nieznane dotąd młodzieńcze prace poety [1]. Był on współpracownikiem dwutygodnika, wydawanego w roku 1830 w Warszawie pod kierunkiem Gaszyńskiego i Zienkowicza. Krasiński bawił wówczas w Genewie, skąd przysyłał dla Pamiętnika utwory: *a)* „Myśli Polaka“, *b)* „On, ułamek z pamiętników życia młodzieńca“, *c)* „Mściwy karzeł i Masław, książe mazowiecki. Powieść narodowa“, *d)* „Teodoro, król borów. Powieść korsykańska“, oraz *e)* „Zamek Wilczki“. Pierwsze dwa pozostają w związku z osobistemi wrażeniami

[1] Maryan Reiter, „Z. Krasiński, jako współpracownik Pamiętnika dla płci pięknej. Warszawa 1830“. We Lwowie 1894.

i uczuciami poety, które się już wyraziły bądź w odnalezionym przez d-ra Antoniewicza w *Bibliothèque Universelle* z r. 1831, *Le coucher du soleil sur le Mont-Blanc*, bądź też z „Ułomkiem z dawnego rękopisu słowiańskiego"; trzy inne są próbami powieści na wzór Walter-Scotta, słabszemi pod względem artystycznym od „Władysława Hermana" i „Grobu rodziny Reichsthalów".

Oznaczenie dat powstawania utworów nasuwa badaczom także niemało trudności. I tak ustaliło się przekonanie, że „Nieboska komedya" poprzedziła „Irydiona", na czem nawet Klaczko oparł znany problemat krytyczny o zamykaniu się Krasińskiego z postępem lat w zakresach przedmiotów coraz bardziej szczegółowych. Tymczasem już Nehring w „Studyach literackich" zwrócił uwagę na wyjątek z listu Krasińskiego, gdzie wyraźnie mówi, że napisał do połowy „Irydiona" w Petersburgu [1] i zniszczył rękopism. Podobno w niewydanej korespondencyi poety z Anglikiem Reeve'm znajduje się nawet data listu, donoszącego o „Irydionie", 20 stycznia 1833 r.[2]. Ponieważ zaś „Nieboska" gotowa już w lipcu 1833 r., stąd wynika, że oba dzieła mogły się pisać równocześnie, a pomysł „Irydiona" mógł nawet poprzedzić pomysł „Nieboskiej" [3].

Tak samo nie jest dotąd stanowczo rozstrzygnięta kwestya, kiedy napisany „Ostatni", czy w czasach genewskich przed r. 1833, czy też około r. 1848. Prof. Antoniewicz wykazywał [4], że należy on do czasów genewskich, nie wszystkie jednak dowody utrzymały moc swoją i dziś słuszną jest, zdaje się, rzeczą

---

[1] Nehring Wł., „Studya literackie", str. 392; w listach: „I z blizka i z daleka". Poznań 1881, str. 194.

[2] *Kwart. hist.* z. 1, r. 1895, str. 97. Recenzya Tarnowskiego St., „Studya do histor. lit. polsk. Wiek XIX. Zygmunt Krasiński", przez J. Kallenbacha.

[3] Za śmiało i za daleko idzie w kategorycznem twierdzeniu dr. T. Sternal, jakoby „Irydion" niewątpliwie był napisany przed „Nieboską", a problemat Klaczki o „dośrodkowości" już upadł. Dotąd są tylko przypuszczenia, niema jeszcze niezbitych dowodów. Nawet równoczesność nie wyklucza całkowicie dośrodkowości w rozwoju myśli. (Ob. dr. Tad. Sternal, „Z powodu dzieła Stan. Tarnowskiego o Zygm. Krasińskim". Lwów 1894, str. 24—25).

[4] *Kwart. hist.* 1889.

mniemać, że poemat jako całość należy do okresu późniejszego, chociaż części mogły się tworzyć dawniej [1].

Co się tyczy „Niedokończonego poematu", to najnowsze badanie pragnie stwierdzić, że część „Snu" powstała około r. 1840, ale pomysł całości powziął poeta prawdopodobnie w r. 1843, czas zaś tworzenia dzieła obejmował lata 1843—1848 [2].

Trudno odpowiedzieć na dalsze pytanie, jakie wpływy działały na Krasińskiego, które dzieła czytał, które cenił, a które tak przyswoił, że pozostawiły ślady w jego własnej produkcyi? Wiadomo, jak wiele czytał i jak się szybko rozwijał. „Gdybyśmy dzisiaj mieli dokładny spis tytułów dzieł, przeczytanych przez poetę tylko między r. 1830 a 1833, zdjąłby nas lęk o nasze własne głowy" — pisze prof. Kallenbach. A jednak mimo tego stosunek wpływów lektury do twórczości dotychczas nie wyjaśniony i jawią się zaledwie jakie takie wskazówki i dowody analogii. Zgoła nieznanem jest źródło „Grobu rodziny Reichsthalów", za to do „Władysława Hermana" czerpał i z romansów Walter Scotta, i z Byrona, i z Naruszewicza „Dziejów", i z Lelewela „Historycznego rozbioru prawodawstwa polskiego cywilnego i kryminalnego", i z „Kroniki" Bielskiego, i z „Herbów rycerstwa" Paprockiego [3].

Źródłem do powieści „Mściwy karzeł" było jakieś przerobienie podania o odmładzających własnościach krwi ludzkiej, a podanie to dawało już od czasów Hartmanna von der Aue (r. 1200—1210) motywa poetom i rozpowszechnione jest w całej Europie; źródłem powieści „Zamek Wilczki" jest znowu Walter Scott, a obok tego K. Milewskiego artykuł p. t. „Trębowla i jej okolice", pomieszczony w wydawnictwie „Wanda" z r. 1825 [4].

Nielada trudności ma krytyka analityczna z wynalezieniem

---

[1] Ob. Sternal u. s. str. 15, dopisek 1.

[2] Pini Tad., „Zygmunta Krasińskiego t. zw. Niedokończony poemat". (Próba genezy). (*Przew. nauk. i liter.* 1895, str. 1016—1091).

[3] Dr. Jan Bołoz Antoniewicz, „Zygm. Krasiński i dzieło Stanisława Tarnowskiego". *Przegl. Polski,* r. 1896, str. 1—41 i 336—370.

[4] Reiter u. s. str. 34.

źródeł do „Nieboskiej“ i „Irydiona“. Już Nehring w studyach wskazywał socyalistyczne działania Bazarda, Enfentina i Chevaliera, uczniów St. Simona, oraz dzieła Fouriera i pismo Furierzystów *Le phalanstère,* jako pobudkę do napisania „Nieboskiej“. Późniejsi badacze cytują żądanie Lamartine'a, aby poezya przyszłości zajęła się filozofią, racyonalizmem, polityką i zagadnieniami społecznemi [1], oraz broszurę *Religion St. Simonienne,* a nadto „Manfreda“ Byrona, jako utwory w niejakim związku będące z „Nieboską“. Wszystko to jednak w badaniu dzisiejszem kwestye zaledwie z lekka dotknięte, podobnie jak stosunek „Nieboskiej“ do emigracyjnej demokracyi. A gdy taki tylko jest skutek tych mozolnych dociekań, gdy tylko pobudka da się tu lub owdzie wskazać, to natrętnie się ciśnie wątpliwość, czy poeta, widząc dokładnie falowanie mas społecznych, naprawdę potrzebował do stworzenia potężnego dzieła takiej marnej pobudki, jak stąd lub owąd wyrwane zdanie, choćby to było zdanie Lamartine'a. Nie lepiej rzecz stoi z Irydionem. Że „Konrad Wallenrod“ nie pozostał bez wpływu na „Irydiona“, tego już prof. Tarnowski dowodzi; ale inni dodają „Sardanapala“ Byrona, książkę ks. Adama Czartoryskiego p. t. *Manuscrit d'un Philhelene sur l'aveni de la diplomatie,* wydaną w 1831 r., Gibbona, Ferriera [2], nawet Ballanche'a *Essai sur les institutiones sociales* [3]. Jak dotąd, wskazówki to wielce oględne i nieśmiałe, raczej domysły, niż poważne i umotywowane stwierdzenie wpływu.

Możliwą jest rzeczą, że w „Psalmach przyszłości“ okaże się mniej proroczego ducha, niźli dotychczas mniemaliśmy, a stanie się to wówczas, skoro zbadany będzie stosunek Krasińskiego do stronnictw politycznych na emigracyi, skoro się ujawni, jakie wśród nich opinie zyskiwały sobie poklask, jakie miały echo w kraju i czy Krasiński bez osobliwszego daru proroczego mógł z tych przesłanek ułożyć, jako konsekwentną konieczność, domysł takiego a nie innego toku wypadków. Gdyby się to nawet

[1] Sternal u. s. str. 13.

[2] Wszystko Sternal u. s. str. 26, 27, 28.

[3] Kallenbach, u. s. *Kwart. hist.* 1895, 1, str. 99.

stało, to i tak nikt nie śmiałby poecie odmówić głębokiego wniknięcia w rdzeń i serce narodu.

Nakoniec jeszcze jeden prąd w badaniach. Ostatnimi laty coraz baczniejszą uwagę zwracamy na okoliczność, jak też spółcześni i wogóle poprzednicy nasi oceniali tego lub owego pisarza albo dzieło. Tak np. o spółczesnych sądach o Krasińskim mamy do zanotowania aż trzy rozprawy [1]. Rzecz słuszna, bo opinie ludzi ulegają zmianom w miarę czy to zmieniających się myśli przewodnich, kierunków i potrzeb życia społecznego, czy też w miarę przekształconych pojęć o sztuce i jej stosunku do życia wogóle. Stąd płyną różnice formy i treści dzisiejszej produkcyi artystycznej a dawniejszej, stąd jedni pisarze dawni tracą część pierwotnego blasku, inni nabierają go. Podobne to do wahania się szali gustu w górę i na dół, ale nie potrzeba zapominać, że moda i upodobanie przechodzą, a istotne dobro i piękno pozostaną wiekuistem pragnieniem ludzkości, tęskniącej do ideału. Weźmy np. dobę obecną. Trzeci nasz genialny poeta, Słowacki nie znalazł miru u swoich spółczesnych. Forma, olśniewająca wszystkimi blaskami drogich kamieni, nie oślepiła ich zmysłów; kładli oni główny nacisk na treść, gdyż im tak kazał kierunek uczuć i myśli. Podziwiali dzieła, ktore obok formy nosiły piętno umysłu głęboko odczuwającego potrzeby czasu i społeczeństwa. Dziś znajdą się pośród nas tacy, coby radzi podnieść Słowackiego nad Mickiewicza, a zastęp wielbicieli poety potężnie się zwiększył. Stało się to skutkiem realizmu, naturalizmu, dekadentyzmu i symbolizmu w poezyi. We wszystkich tych „izmach“ na wytworności formy, t. j. wiersza, stylu, języka i obrazowania spoczywa akcent główny. Mistrzem jej był Słowacki — stąd jego apoteoza [2].

---

[1] *a)* Leszek M. Dziama, „Spółczesne sądy o Nieboskiej i Irydionie“. Poznań 1893.

b) Dr. H. Biegeleisen, „Komedya nieboska w świetle krytyki współczesnej“. *Bibl. Warsz.* r. 1896, t. I, str. 114—150.

c) Dr. T. Sternal u. s. str. 33—40 i 49—64.

[2] Przewidział ten objaw prof. Małecki, kiedy w przedmowie do I. wydania swego dzieła o Słowackim pisał: „Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad

Nie dziwmy się zatem, że pomimo znakomitego dzieła Małeckiego o Słowackim trzy końcowe lata przyniosły kilkadziesiąt prac o nim [1]. Zapewne „bluszczowa natura poety“ służy w tych pracach jako bodziec nie bylejaki: szukają pnia, po którym bluszcz się wije, a pniów takich i pieńków bez liku, ale to jeden bodziec; drugim są nowe materyały, których snop co chwila grubieje, a ponad tem unosi się szlachetna chęć oczyszczenia pamięci poety od kwaśnych docinków i przymówek, jakie nam o nim przekazali spółcześni, oraz przesunięcia winy za nie na inne barki.

---

zasługę i miarę entuzyazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza między młodzieżą. Według wszelkiego prawdopodobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać“. („Jul. Słow.“. Lwów 1881, str. x).

[1] *a)* Hösick, „Okres rycersko-romantyczny w życiu Słowackiego“. (*Ateneum* 1893, luty).

b) Tenże, „Słowacki w Rzymie“. (*Ateneum* 1893, listop.).

c) Meyet, „Fragmenty nieznane Jul. Sł.“ (*Bibl. Warsz.* 1893, kwiecień).

d) Biegeleisen, „Słowacki i Marya Wodzińska“. (*Bibl. Warsz.* 1893, listopad).

e) Gubrynowicz, „Piast Dantyszek“. (Zakł. Nar. im. Ossol. Sprawozdanie 1893).

f) Hahn, „Geneza Lilli Wenedy“. (*Przew. nauk. i liter.* 1894 styczeń).

g) Tenże, „Geneza Maryi Stuart“. (*Ateneum* 1894, luty).

h) Tenże, „Geneza Mindowego“. 1894. Lwów.

i) Hösick, „Słowacki w Ziemi św.“ (*Przegl. Polski,* 1894, październik).

k) Tenże, „Słowacki w Szwajcaryi“. (*Ateneum*, 1894, październik).

l) Tenże, „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“. Studya histor. liter. Kraków 1895.

m) Wasilewski Z., „Stosunki Goszcz. i Słowackiego“. (*Bibl. Warsz.* 1895, marzec).

n) Biegeleisen, „Wpływ rodziny na Słowackiego“. (*Muzeum*, 1895).

o) Meyet, „Sztambuch matki Słowackiego“. (*Ateneum* 1895, kwiecień).

p) Zimmermann, „Geneza Mazepy“. (Sprawozd. szk. real. lwow. 1895).

r) Meyet, „Głosy o zgonie Słowackiego“. (*Przewod. nauk i lit.* 1895, luty).

s) Drogosław, „O Maryi Stuart Słowac.“ (*Ateneum* 1896, lipiec).

t) Meyet, „Listy nieznane J. Słowac.“ (*Bibl. Warsz.* 1896, t. I, str. 311).

u) Hösick, „Anhelli i trzy poematy“ (Rozpr. Akad. Um. Wydz. fil. r. 1896), nadto różne po czasopismach rozrzucone listy i fragmenty, a wreszcie wielkie dzieło p. t.: „Życie Jul. Słowackiego na tle współczesn. epoki (1809—1849), Biografia psychol.“ Ferd. Hösick. Tomów III. Kraków 1897. Dzieła tego nie uwzględniam, gdyż wyszło po 1896 r. Omówię je natomiast oddzielnie.

A najpierw co do życia. Ktoby chciał dzisiaj zapoznać się dokładnie z tym poematem, jakim jest żywot Słowackiego, temu nie starczy już dzieło Małeckiego. Ogłoszono dużo nowych materyałów, wiele listów, jak np. listy do Bobrowej, fragmenty z dziennika do Ziemi świętej, list do Niedźwiedzkiego, list Maryi Wodzińskiej i Antoniego Wodzińskiego i wiele innych. Znaną nam korespondencyę poety z matką nowe badania krytyczne wyzyskały z mrówczą skrzętnością, wydobywając z niej zdumiewającą ilość szczegółów. Życiorys w ten sposób wypełnił się taką masą drobiazgowych wiadomości, że śledzić możemy obecnie dzień po dniu upodobanie, fantazye, słabostki i kaprysy, wrażenia, powstałe z drobnych dotknięć świata, podrywy pyszki, zadraśnięcia ambicyi, gorycze, miłości i miłostki — słowem, ową marność i nędzę tego, co Słowacki sam nazywał „snem“ swoim na ziemi. I nasuwają się tu mimowoli takie prawdziwe słowa Klaczki, że biografia artystów i poetów bywa częstokroć mikrografią ducha. Bo na prawdę, jakże to nam się pod tem mikroskopijnem badaniem przedstawia poeta?[1]

Oto naprzykład pamiętne uczty na cześć Mickiewicza, improwizacye Mickiewicza i Słowackiego, oraz skutki improwizacyi. Tyle razy je opisywano, ale zawsze niemal rola Słowackiego przedstawiała się jako niebohaterska. Skoro go się czyni rycerzem-romantykiem, należy na sprawę rzucić inne światło[2]. Ukazał się artykuł, opisujący ucztę, p. t. „Improwizatorowie“. Słowacki odpowiedział, a wiedząc, „jak jest niebezpiecznie — z demokratami nie być dosyć grzecznie“, nazywa wszystkich(!) uczestników uczty „fałszerzami“, „kłamcami“, „ciemną zgrają“, „pół pijanymi zwolennikami szkoły“, policzkuje ich potem w „Beniowskim“, Januszkiewicza nazywa pogardliwie „babą“, „Jezuitą“, krytyków „drabami“, zarzuca im „przedajność“, Witwickiego mianuje „durniem“, „grubym Sanszo-Pansą“, ich głosy „szcze-

[1] Zastrzegam się, że w przeglądzie rozpraw o życiu do r. 1896, nie uwzględniam dzieła Fer. Hösicka, które się pojawiło w r. 1897, tylko wyjątki z tego dzieła, ogłaszane sporadycznie w różnych czasopismach.

[2] Ferd. Hösick, „Okres rycersko-romantyczny w życiu J. Słowackiego (1840—1842)“. *Ateneum* 1893, t. II, str. 346—394.

kaniem". Ale dość, dość. Pytam tylko, komu to wszystko ubliża? Czyżby na prawdę przynosiło to ujmę jakąkolwiek wyłajanym, a więc Mickiewiczowi, Witwickiemu, Goreckiemu, Januszkiewiczowi, Libeltowi i wszytkim tym, którzy wyrażając swoje sądy może ostre, może uprzedzone i stronnicze — wyrażali je w każdym razie we formie przyzwoitej. Jeżeli się już ten „brylantowym stylem napisany paszkwil zestawia z Byronowskim *English bards and scotch reviewers*, to nie należy zapominać, że Byron miał, pisząc swą lwią chłostę, lat 20, że później po dojściu do rozwagi, prosił o przebaczenie, starał się w kilka lat potem ogłoszoną satyrę wycofać z obiegu, niszcząc całkowicie piąte jej wydanie. A Słowacki?

Ale mniejsza o to; chodzi mi tu o co innego.

Czy takie obrazki i takie szczególiki z życia wielkiego poety są mikrografią — zależy oczywiście od widzenia rzeczy. Co do mnie, jestem zdania, że choćby to życie wydawało się komuś nie wiem jak poetycznem, obrazki te nie dodają współzawodnikowi Mickiewicza ani jednego promyka do wieńca sławy i wielbiciele poety nie wyświadczają mu usługi, analizując to życie w taki właśnie sposób. Równie dokładnie poznajemy z tych studyów miłość poety ku Maryi Wodzińskiej, nieodpłaconą wzajemnością, pobyt jego w Rzymie, Neapolu i Sorrento, wycieczkę na Wschód, pobyt we Florencyi i lata w Paryżu, wśród których najjaśniej badania usiłowały oświetlić stosunek poety do Mickiewicza i jego wielbicieli, oraz stosunki poety z panią Bobrową. Pomimo tego, że główny biograf Słowackiego, p. Hösick, silił się, aby z tego malowidła wymazać wszystko, co nie jest światłem, poezyą, pięknością i artyzmem, Słowacki, jako charakter staje przed nami omroczony mnóstwem drobnych cieni, które w nielitościwy sposób przecinają obraz we wszystkich kierunkach. Jeszcze gorzej jest z dziełami. Tu analiza niema na celu wskazać piękności poezyi, lecz udowodnić, o ile natura tego poety była „bluszczową".

Wszystkie ostatnimi laty drukowane rozprawy są genezami, a w nich potrosze uwzględnia się rozwój umysłowy i nastroje duszy poety, głównie wszakże szuka się analogii z literaturą

zagraniczną lub krajową. I tak „Mindowe“ miał za źródło kronikę Stryjkowskiego, tragedyę ojca poety p. t. „Mendog, król litewski“, „Grażynę“ i „Konrada Wallenroda“ Mickiewicza. „Mazepa“ powstał pod wpływem Byrona, Calderona, Wiktora Hugo, może „Don Karlosa“ Szyllera, może „Otella“ Szekspira, ale z pewnością źródłem były też „Dzieje Królestwa Polskiego“ Samuela J. Bandtkiego i powieść Bronikowskiego: *Der gallische Kerker*, przełożona przez Adryana Krzyżanowskiego p. t. „Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francyi, powieść historyczna w 2 tomach. Warszawa 1828“. Na „Lillę Wenedę“ złożył się Byrona „Child Harold“, Chateubrianda *Les Martyrs*, „Wilhelm Tell“ Szyllera, a nadto Szekspir, Calderon i „Edda“. Na „Piasta Dantyszka“ pracowali znowu Szekspir („Makbet“, „Król Lear“), może Calderon (*El Purgatorio de San Patricio*), z pewnością Dante, a nawet Kochanowski. „Horsztyński“ jest transkrypcyą „Hamleta“ i „René'go“ Chateaubrianda. Najbardziej oryginalny z poematów „Anhelli“ przypomina i „René'go“ i „Attalę“, i „Burzę“ Szekspira, i Psalmy Kochanowskiego, i Nowy Testament ks. Wujka, i Dantego, a jako źródło służyć mu ma Dziennik z podróży Józefa Kopcia, wydany w 1837. Na poemat „W Szwajcaryi“ oddziałali „Attala“, a nadto Byron, Szekspir, Dante, Malczewski, Kochanowski i George Sand. „Ojciec zadżumionych“ powstał pod wpływem „Boskiej Komedyi“, „Przemian Owidyusza“, „Iliady“ Homera, „Trenów“ Kochanowskiego, oraz „Więźnia Czyllonu“ Byrona. Jak widzimy z tej litanii, ojców chrzestnych poematom Słowackiego nie braknie, a gdybyśmy tu wymienili wszystkie dostrzeżone przez badaczy podobieństwa pomysłów, obrazów poetycznych, rysów charakterystycznych u osób, zdań, słówek, półsłówek, bodaj czy nie ruchów, mimiki i westchnień, a gdybyśmy nadto chcieli być złośliwi, to spytalibyśmy, czy teraz badanie nie powinno porządku w swej metodzie odwrócić na nice i rozpocząć od wykazywania, co też u Słowackiego jest oryginalnem. Słowacki raz w przedmowie do „Mindowego“ i „Maryi Stuart“, pisał co następuje: „Gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie

charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w Wallenrodzie jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Parizyny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą". Biedny poeta skarżył się już wówczas na ćmę krytyczną, która go z lekka kłóła, a nie przeczuwał, że obsiądą go roje i nie zostawią na nim kawałka zdrowej skóry. Tak czynią dzisiejsze badania porównawcze ze Słowackim, tak już uczyniły — i puste są zapewnienia niektórych chirurgów, że gdy się kraje ciało — to ku uzdrowieniu. Sekcya obniża ogólną sumę zdrowia, sekcya taka literacka obniża ogólną wartość utworu, chyba że — jak to się zresztą bardzo często zdarza — wpływy i analogie są pozorne, urojone, niekiedy banalne i niedorzeczne.

Tak tedy w pobieżnym przeglądzie zarysowywa się stan badań nad życiem i spuścizną trzech naszych wielkich poetów bieżącego wieku. Innym mało poświęcono uwagi. Piękne studya p. Z. Wasilewskiego kreślą pierwsze lata życia Goszczyńskiego z niemałą dokładnością i na podstawie nieznanych źródeł, oraz jego stosunek do Słowackiego w czasach towianizmu [1]; prof. Zdziechowski w rozprawce o Malczewskim wyświetla jaśniej, niż dotychczasowi badacze, wpływ Byrona na Maryę [2], prof. Tarnowski z powodu zgonu T. Lenartowicza pisze przepyszny pogląd na utwory tego poety [3]; inni gromadzą materyały do jego

---

[1] Z. Wasilewski, „Narodziny poety-romantyka". (*Ateneum* 1895, t. III, str. 241 i 484).—Tenże, „Stosunki Goszczyńskiego ze Słowack." (1839—1849). (*Bibl. Warsz.* 1895, t. III, str. 385—408.

[2] M. Zdziechowski, „A. M., ustęp z dziejów bajronizmu polskiego". (*Bibl. Warsz.* 1895, II, str. 67—83).

[3] Tarnowski St., „Studya do hist. lit. polsk. wieku XIX.", t. II, str. 293—349.

życia i działalności literackiej [1]; wskutek jubileuszu Kornela Ujejskiego wychodzą o nim mniej lub więcej cenne rozprawy, pośród których na wyszczególnienie zasługuje obszerne studyum Antoniego Bądzkiewicza [2]; nadto o nowszych i najnowszych pisarzach, prądach i zboczeniach w literaturze pojawia się wciąż sporo rozpraw i rozprawek, ale przegląd takowych przekracza już ramy niniejszej pracy.

Jeżelibyśmy chcieli w parę krótkich zdań ująć dążenia i potrzeby badań krytycznych nad literaturą wieku XIX., to powiedzielibyśmy: dążą one w bardzo szerokim zakresie do wyświetlenia szczegółów pisarzy, aby umożliwić genezę psychologiczną i historyczną utworów, oraz stosują metodę porównawczą w analizie tych utworów, a natomiast potrzebują zwłaszcza w tem drugiem większej, niż to się praktykuje, ostrożności i oględności. Że tak jest, wskażą następujące uwagi o metodzie badań. Powiedział nasz stary biskup Naruszewicz w „Memoryale względem pisania historyi narodowej", że „dla piszącego historyę czworaka zostaje praca: zebranie rzeczy pilne i oszczędne, rozłożenie łatwe i porządne, krytyka mądra, ozdobienie gładkością pióra powabne a ochotę czytania utrzymujące". Zasady te można zastosować i do historyka literatury. Pomijając warunek pierwszy — trzy następne odnoszą się ściśle do metody. Jeżeli rzucę okiem na długi szereg rozpraw, które przeglądnąłem, a zechcę przyłożyć do nich miernik ks. biskupa — któremu, nawiasem mówiąc, zupełną przyznaję słuszność — to zdobywam przekonanie, że na sto rozpraw zaledwie kilka posiada zalety prac metodycznych. Był u nas czas, kiedy, za wzór biorąc ścisłość niemiecką, opatrywaliśmy rozprawy długimi rzędami adnotacyi uwag i odsyłaczy; dziś w znacznej części metoda ta należy do

[1] Bryła, „Teofil Lenartowicz". (Spr. gimn. Stanisławów 1893). „Lirnik Mazowiecki". Kraków 1893. Wysłouchowa, „O Teof. Lenartowiczu". Kraków 1893. Szafran, „Teof. Lenart." (Sprawozd. gimn. Rzeszów 1893). Bartoszewicz, „Lenartowicziana". Kraków 1893. „Hołd Lirnik. Mazow." Krak. 1893. Kasprowicz, „Lir. Maz." Lwów. 1893.

[2] Bądzkiewicz Antoni, „Kornel Ujejski. Zarys biograficzno-kryt.". Kraków i Petersburg. 1893, str. 167.

przeszłości — i słusznie. Natomiast weszło w zwyczaj powszechny na pierwszych kartach pracy rozprawiać się *per latum et longum* z poprzednikami, którzy o tym samym przedmiocie pisali. Tem się dzieje, że np. w dziele zatytułowanem „Klemens Janicki", mówi się na wielu stronach o Windakiewiczu, Brücknerze, Masłowskim i Węclewskim, że w pracy p. t.: „Życie i dzieła Zimorowiczów", brnąć się musi przez 17 dużych kart o Odyńcu, Felicyanie Surynie, Łozińskim, Słowackim Euz., Brodzińskim i t. d., a właściwy życiorys zaczyna się dopiero na stronicy 62, że w książce o poezyach Morsztyna nieszczęśliwy czytelnik *volens nolens* musi się dowiedzieć, jak to licho i wadliwie pisano dotąd o nich, a dopiero autor niniejszego studyum wywiódł prawdę na światło dzienne. A jednak jest to wyrazem nieufności ku czytelnikowi, jeśli się uważa za potrzebne pouczać go, co i jak pisali poprzednicy o pewnej kwestyi; nadto należy to ściśle do pracy zakulisowej, przedwstępnej, potrzebnej dla informacyi samego badacza nie zaś czytelnika, który zwykle bierze w rękę książkę pana X. o poecie Y, aby się dowiedzieć, co o tym poecie sądzi p. X., nie zaś, co sądził p. Z. W takich dziełach zresztą bywa podwójna dyskusya z poprzednikami: jedna w obszernym wstępie — *quasi* generalna, druga w uwagach szczegółowa. I to mąci przejrzystość układu. Drugą metodyczną wadą, poczynającą grasować w naszych badaniach jest brak roztropnego, spokojnego i przedmiotowego krytycyzmu. Odnosi się to zwłaszcza do badań porównawczych, dotyczących autorów XIX. wieku. Są tej wady różne odcienie. Raz krytyk szpera mozolnie, aby u innych poetów odkryć cień, ślad jakiś, cień cienia podobieństwa, jakąś figurę poetyczną podobną, jakąś końcówkę, jakiś wyraz — i zarzuca badanemu poecie czasem wprost, czasem milcząco, czasem z pobłażaniem, czasem urągliwie brak oryginalności, nawet kradzież literacką i rabusiostwo; innym razem krytyk grzebie w poematach, bierze je za rzeczywistość, podstawia pod osoby poematów osoby z życia, snuje domysły, odgaduje myśli i najdrobniejsze tajemnicze pobudki, odtwarza z fotograficzną wiernością, z niewzruszoną pewnością bieg rozumowań i myśli poetów z przed lat kilkudziesięciu — i pisze nowele. I jedna i druga metoda jest

w stanie poważnie zagmatwać jasność badań naukowych. Druga jest oczywiście niebezpieczniejszą od pierwszej. Tamta znudzi czytelnika, zmitręży, nie przyczyniając się do wyjaśnienia twórczości poetyckiej, ta ostatnia omami i na błędne tory wiedzie, wprowadza do badań lekkomyślność, piętrzy fatalnie wieżę Babel z domysłów wyobraźni — i godna stanowczo skarcenia. Obaczmy przykłady. Słowacki wspomina w listach do matki o George Sand; najmniej podobała mu się Lelia, ale to mniejsza. Ona to właśnie — prawem kontrastu — wywarła wpływ na poemat w Szwajcaryi. Podobieństwa? W Lelii romans szwajcarski — i u Słowackiego toż samo; w Lelii kaskada — u Słowackiego także; w Lelii wycieczka w góry — u Słowackiego również; w Lelii szalet — u Słowackiego podobnie; w Lelii krajobrazy górskie — u Słowackiego także. I tyle. Na to wszystko można odpowiedzieć, że i romans, i krajobrazy górskie, i kaskada, i szalet, i wycieczka nie potrzebowały być brane z Lelii, skoro były w życiu poety, a jeśli tylko takie mamy dowody na wpływ Lelii, to lepiej o nim nie mówić.

Albo wpływ Romea i Julii na tenże utwór.

Są trzy podobieństwa: 1) Julia Szekspira i kochanka Słowackiego pierwsze proponują ślub; 2) obie chcą się poń udać do celi staruszki; 3) obaj młodzieńcy kochają od razu, od pierwszego wejrzenia. Po to Słowacki musiał aż do Szekspira się udawać. Był to widocznie wielki niezdara, skoro np., aby napisać: „Nie wylatuje za nią do aniołów“ lub „Czemu nie leci za niebieskie szranki“, sięgał do Trenów Kochanowskiego, gdyż tam napisano: „Czyś ty nad wszytki nieba wysoko wzniesiona? I tam w liczbę aniołków małych policzona?“ Możnaby się wprawdzie spierać o to, bo co „nieba“ to nie „niebieskie“, a co „aniołów“, to nie „aniołków“; nawet liczba liter odmienna, ale puśćmy w niepamięć te lapalia. I jeszcze jeden przykład z tysiąca. Tym razem wpływ Metamorfoz Owidyusza na „Ojca zadżumionych“. Czytał Słowacki Metamorfozy? Naturalnie — w szkołach. Ale to dawno bardzo. No — mógł już w uniwersytecie czytać. Wszak wiemy, że lubił Homera, mógł zatem znajdować upodobanie w Owidyuszu. „Kto wie nawet, czy go nie

czytał także (może w jakiem tłumaczeniu francuskiem?) podczas swojej podróży po Wschodzie, np. w Bayrucie". Ale na pewno czytał, gdyż... gdyż po dwakroć w tym czasie użył wyrazu „metamorfoza"; raz: „panna Malagamba przez pewną metamorfozę stała się panią doktorową", drugi raz: „teraz już zapoźno na wszelkie metamorfozy". Stąd oczywisty wniosek i t. d. Ale za pozwoleniem, panie badaczu. Znajduję w pańskiej książce p. t.: „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu" (na str. 137) wyrażenie: „przyczyną nietrudnej do zrozumienia m e t a m o r f o z y psychicznej w poecie", a na str. 103: „miał m e t a m o r f o z ę tę do zawdzięczenia" i t. d. Poddaj się pan temu samemu wnioskowi: ponieważ użyłeś dwa razy słowa m e t a m o r f o z a, utwór Owidyusza wywarł wpływ na pańskie dzieło. Tą drogą idzie się do absurdu.

Innym odcieniem braku krytycyzmu w badaniach jest tendencyjność. Pragnie się wszystkie barwy obrazu dostroić do malowidła, które ma wypaść w takim a w takim tonie, a więc zmienia się źródło przez dowolne poprawki, dodatki i t. p. Jako przykład biorę jeden dosadny z wielu. Porównywam sprawozdanie badacza ze źródłem. Mamy pojedynek Słowackiego z Ropelewskim, który opisuje Słowacki w liście do Bobrowej [1] i p. Hösick [2]. „Aby się zabezpieczyć przed policyą — powiada Słowacki — ‚kupiliśmy królika', który był ‚śmieszno-tragiczną' stroną pojedynku". Ponieważ jednak donkiszotostwo ma płynąć z zachowania się strony przeciwnej, p. Hösick woli, aby śmieszność spadła na sekundantów i o nich mówi: „kupili królika" i t. d. (str. 245). Słowacki w liście dosłownie cytuje swą odpowiedź medyującym Platerom, nieimpertynencką, nieobraźliwą i słuszną. P. Hösick od siebie dodaje, że „nie licząc się ani z wiekiem, ani z tytułami Platerów, w y ł a j a ł i c h, jak na to zasługiwali. Przy tej sposobności dostało się również Nabielakowi". O tem wszystkiem w źródle ani wzmianki, a przytem p. Hösick — dziwna rzecz — nie czuje, jak ubliżającem dla Słowackiego byłoby takie

[1] *Bibl. Warsz.* 1895, IV, str. 266—270.

[2] U. s. art. Dzień Donkiszotowski, str. 237 i d.

obcesowe „łajanie“ ludzi, którzy przecież nic nie zawinili, a wiekiem i stanowiskiem przewyższali w świecie ówczesnym poetę. Niekiedy ta dowolność w zmianie źródeł po prostu oburzyć może. Słowacki wiódł życie czyste i chlubił się tem. W liście z Florencyi, 10 lipca 1838 r. pisze: „Trzymam serce moje na uwięzi i czystsze wiodłem życie, jak inni“. „Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mię miał za oryginała nie do naśladowania“. P. Hösick, opisując pobyt Juliusza w Rzymie, powiada: „A były jeszcze i inne rzeczy, które i c h dziwiły w Julku. Tak np. nie m o g l i zrozumieć jego szczególnego sposobu życia. Jak to można, ażeby młodzieniec w tym wieku, co on, prowadził się tak skromnie, tak... ascetycznie“ [1] i t. d. I c h to znaczy Teofila Januszewskiego i jego żonę Hersylię. Jeżeli mężczyzna wyraża podobne zdziwienie — to jeszcze da się wytłumaczyć, ale coś podobnego insynuować kobiecie — toć to wprost obelga.

Nie myślę też, aby właściwym był sposób tłumaczenia wypadków z życia, charakteru, jakich okoliczności wypadkom towarzyszących, za pomocą analogii z usposobieniem, wydarzeniami lub sytuacyami z dzieł pisarza. Jak to bywa niebezpiecznem, o ile dotyczy XVI. wieku, już miałem sposobność wskazać. Tak samo ma się rzecz wogóle we wszystkich wiekach. Niektórzy nasi uczeni — zwłaszcza zaś p. Hösick — nie czynią sobie z tego skrupułu i pełną dłonią czerpią np. z Horsztyńskiego. Warto tu doprawdy przypomnieć, że w swoim czasie zbrodnicze czyny bohaterów Byrona przypisywano Byronowi, że kazirodztwo tego poety chciano widzieć w rozpaczy Manfreda i w małżeństwie Kaina z własną siostrą Adą.

Spokojne, roztropne i przedmiotowe badanie liczy się też z każdym szczegółem, nie miewa upodobań do wynoszenia jednej osobistości kosztem innych, bo to są sztuczne koturny i posąg na tym glinianym piedestalu wzniesiony wcześniej później runąć musi. I jeszcze raz wezwę tu na świadka ks. bi-

[1] Ob. art. „Juliusz Słowacki w Rzymie, Neapolu i Sorrento“. (*Ateneum* 1893, IV, str. 218—219).

z braku krytyki naukowej, a może po troszę z pośpiechu i gorączki dziennikarskiej, wskutek której publikuje się rzeczy, napisane prędko i obmyślane niedostatecznie. Uwagi te odnoszą się głównie zresztą do badań nad wiekiem XIX. W pracach o ubiegłych stuleciach gruntowości więcej, choć hipoteza i tam często figle płata, ale hipoteza sama przez się dobra jest, boć ona bywa matką wynalazku. Krytyka — obecnego wieku dotycząca — w rękach najnowszego stempla uczonych smutno się przedstawia. *Caveant consules, ne quid res publica detrimenti capiat.*

Antoni Mazanowski.

STOSUNKI POLSKO-TURECKIE
W PIERWSZYCH LATACH ZYGMUNTA III.

Już pod Nikopolis, a później pod Warną walczyły polskie posiłki z Turkami, ale wówczas jeszcze Polska nie była bezpośrednio przez nich zagrożona. Wkrótce jednakże zalew Osmanów i Polsce począł zagrażać. Niczem nie pohamowana zaborczość półksiężyca, coraz rozleglejsze podboje i wdzieranie się ku północy, musiały ostatecznie poprowadzić Turków i pod polskie granice, a od początku XV. wieku już tylko Mołdawia dzieliła Polskę od Turków.

Rosnące niebezpieczeństwo przed półksiężycem kazało szukać Polsce naturalnych granic i silniejszego oparcia się na południu, jak z drugiej strony popychało Mołdawię do szukania poparcia w Polsce przed zalewem islamu. Polska jednakże nie zdobyła się na żaden krok stanowczy dla ubezpieczenia granic południowych, mimo że samo położenie geograficzne, zarówno jak niezbyt jeszcze jaskrawa różnica etnograficzna między Mołdawią a sąsiednią Rusią zdawała się krok ten ułatwiać. Jednakże ani garnący się ku Polsce hospodarowie mołdawscy nie znaleźli w niej skutecznej obrony przed Osmanami, ani Jagiellonowie nie potrafili ustalić swego wpływu w hołdowniczej ziemi, co ostatecznie popchnęło hospodarów po nieudałych próbach zapewnienia sobie samodzielności, do otwartego przejścia na stronę turecką.

Wkrótce po klęsce pod Warną nadarzała się Polsce sposobność wzmocnienia swego wpływu w Mołdawii podczas zamieszek domowych w sporach o hospodarstwo, gdy ustanowiony przez Polskę hospodar Aleksander II. w roku 1450 został wyparty przez pretendenta. W radzie królewskiej poruszono wówczas myśl przyłączenia Mołdawii do Korony ze względu na własne bezpieczeństwo i dla uprzedzenia Turków, ale przemogło zdanie, że lepiej od Turka zasłaniać się cudzą ścianą, jak bezpośrednio z nim sąsiadować, chociaż Mołdawia, z której chciano mieć tamę przed zalewem tureckim, na taką tamę była za słaba. W r. 1456 Piotr-Aron hospodar, w kilkanaście dni po przysiędze wierności, złożonej Rzeczypospolitej, poddał się pod zwierzchnictwo Mahometa II., i przyrzekł płacić Porcie 2.000 dukatów rocznego haraczu [1].

Że Mołdawia już wówczas nie stała się łupem Osmanów, to zasługa Stefana IV., który w czasie długoletnich rządów siły jej wzmocnił, lawirując między Polską, Węgrami i Turcyą, trzema pretendentami do zwierzchnictwa. Składał on wprawdzie kilka razy przysięgę wierności Rzeczypospolitej, a po zajęciu przez Turków Kilii i Białogrodu, złożył nawet hołd królowi w nadziei otrzymania posiłków na wojnę turecką, ale gdy wyprawa przyszła do skutku za Jana Olbrachta [2], podejrzywając króla o zamiar zajęcia dla siebie Mołdawii, przerzucił się na stronę turecką, a po klęsce bukowińskiej razem z Turkami i Tatarami Polskę pustoszył. Wtedy to ujrzała Polska po raz pierwszy wielki napad turecki w swoich granicach. W maju 1498 nawała pohańców zapędziła się aż po Wisłokę, a w listopadzie po Halicz i Drohobycz i tylko ostra zima zmusiła najezdców do odwrotu [3].

---

[1] A. Jabłonowski, „Sprawy wołoskie za Jagiellonów". Xénopol, *Histoire des Roumains,* t. I, 218.

[2] Że wyprawa Olbrachta była przedsięwzięta na Turków, przynajmniej pierwotnie, a nie na hospodara, wynika z instrukcyi danej przez króla poselstwu do Władysława Węgierskiego — jak wykazał prof. Lewicki w *Kwart. hist.*, rocz. VII, w pracy: Król Jan Olbracht o klęsce bukowińskiej.

[3] Xénopol przypisuje cały ten napad wyłącznie hospodarowi, o Turkach zupełnie nie wspomina, mimo że ich było kilkadziesiąt tysięcy, wobec czego siły hospodara były bardzo nieznaczne. Str. 286.

Od Stefana IV. nietylko nie było już mowy o zlaniu Mołdawii z Polską, ale dawna hołdowniczka zaczyna już występować zaczepnie przeciw Rzeczypospolitej. Syn Stefana, Bogdan, któremu umierający ojciec polecił oddać się zupełnie Turcyi, najeżdża w r. 1509 z Tatarami i Turkami Polskę, oblega Kamieniec, Halicz i posuwa się aż pod Lwów, gdzie pali przedmieścia i rabuje cerkwie. Wprawdzie wyprawa Mikołaja Kamienieckiego pomściła łupiestwa mołdawskie, ale w pokoju później zawartym nie było już o hołdzie wzmianki. W r. 1513 odstręczył się hospodar zupełnie od Polski, wysłał do Selima II. uroczyste poselstwo, zobowiązujące się płacić 4.000 dukatów haraczu i pomagać Porcie wojskiem w razie potrzeby [1].

Odtąd Mołdawia staje się formalną hołdowniczką Porty, a jej hospodarowie przyrzekają wprawdzie chować przyjaźń sąsiedzką z Rzecząpospolitą, ale przy sposobności nie myślą się nią krępować. Dla poskromienia łupieskich najazdów Piotra Raresza trzeba już było po dwakroć zwoływać pospolite ruszenie, a mimo zwycięstwa pod Obertynem wysłał król poselstwo do Solimana, jako zwierzchnika hospodara, by go od najazdów powstrzymał. Soliman rzekomo przez przyjaźń dla króla wyprawił się do Mołdawii i hospodara wypędził, ale w roku 1541 znowu go przywraca, za co przywrócony hospodar zobowiązał się płacić 12.000 dukatów haraczu, syna wysłać do Porty na zakładnika, a u siebie trzymać 500 spahów tureckich, którzy go mieli nadzorować [2].

Tak więc przez nieporadność Jagiellonów w sprawach mołdawskich, tama, którą się chciano zasłonić przed Turkami, okazała się nieprzydatną na nic. Turcy weszli w bezpośrednie sąsiedztwo z Polską, co tembardziej odczuwać się dawało, że po klęsce pod Mochaczem także od strony Węgier przybliżyli się oni do granic Rzeczypospolitej.

W sprawy mołdawskie mieszali się i dalej Polacy w czasie ustawicznych zmian na hospodarstwie, ale dorywcze te mieszania

---

[1] Xénopol, str. 297.
[2] Xénopol str. 308.

się drażniły tylko Turków i mogły stać się przyczyną wojny, której tak bardzo Polska unikała.

Mikołaj Sieniawski wprowadził 1552 na hospodarstwo Piotra Lapuszneano, który królowi dawny hołd złożył; Łaski ze Zborowskim wprowadził awanturnika Heraklidesa, Dymitr Wiśniowiecki wmieszał się w sprawę hospodara Tamszy, za co zginął na haku w Stambule.

Pod koniec rządów Zygmunta Augusta zdawało się, że powrócą dawne stosunki lennicze, gdy młody hospodar Bogdan szczerze do Polski przywiązany [1] zamyślał o wybiciu się z jej pomocą z pod tureckiego zwierzchnictwa, ale król z obawy wojny nie poparł go należycie. Otrzymawszy tylko słabe posiłki Mieleckiego i panów pogranicznych nie mógł się ostać przeciw prowadzonemu przez Turków hospodarowi, a interwencya dyplomatyczna w Stambule do niczego nie doprowadziła.

Obawa wojny tureckiej, nadzieja utrzymania pokoju pomimo, iż sam rozwój historyczny Polski i Turcyi do orężnego starcia prowadził, spowodowała, że spraw wołoskich za Jagiellonów nie załatwiono, a nie zrzekając się teoretycznego przynajmniej zwierzchnictwa, zostawiono kwestyę mołdawską w zawieszeniu, dopóki za Zygmunta III. ponownie jej nie poruszono.

Obok spraw mołdawskich stały na przeszkodzie trwałemu pokojowi z Turcyą sprawy kozackie. W pierwszej połowie XVI. wieku niezorganizowany jeszcze żywioł, w doraźnie zbieranych watahach gospodarzy w dzikich polach, próbuje szczęścia w odbijaniu łupów ordyńcom, uprowadza tatarskie stada lub grabi karawany kupieckie. Nie ujęte w karby, a rosnące z dniem każdym kozactwo dopuszcza się z czasem coraz większych swawoli, podtrzymywanych pobłażaniem kresowych starostów, uczestniczących niekiedy w zyskach łupieskich.

Potrzebę ujęcia w karby nowego żywiołu dobrze rozu-

---

[1] W traktacie z królem w październiku 1569 r., zobowiązuje się każdej chwili z wojskiem pomagać, przyrzeka posłuszeństwo, bez wiedzy króla z nikim nie będzie wchodził w układy, zrzeka się wszelkich roszczeń poprzedników swych do Pokucia i t. d. Theiner, *Monumenta historica Poloniae*, II, 742.

miano, czyniono nawet pewne próbki organizacyi, by siły kozackie wyzyskać dla obrony granic wschodnich przeciw Tatarom, ale były to tylko kroki doraźne, nie przeprowadzone konsekwentnie i ostatecznie do żadnych trwałych rezultatów nie prowadzące. W 1524 r. Zygmunt, widząc pożytki, jakie poczty kozackie przeciw Tatarom oddawały, zamyślał ze dwa tysiące kozaków po Dnieprze na przewozach rozłożyć, w sukno i pieniądze zaopatrzyć [1]. Projekt jednak nie wszedł w życie, bo na sejmie 1533 r. Ostafi Daszkiewicz myśl osadzenia Kozaków na Dnieprze znowu podnosi, proponując, by kilkaset jazdy żywność dla nich obmyślało. Radził, by na ostrowach zamki pobudować, co wprawdzie wszystkim się podobało, ale zostało tylko projektem.

W 1540 r. nakazał król dla lepszej kontroli sporządzić rejestr Kozaków kijowskich, ale i z tego, jak się zdaje, nic nie było, bo dwa lata później tłumaczy się król przed hanem, że źli ludzie Kozacy z zamków polskich i moskiewskich zbiegli z niemałym pocztem na Dnieprze leżą i gońców królewskich wysyłanych do hana, lub od hana do króla strzegą i grabią.

Większe napady na ziemie tureckie podejmują Kozacy od drugiej połowy XVI. w. W r. 1560 porobili znaczne szkody pod Białogrodem, skutkiem czego król na skargę sandżaka Akermanu wydaje surowy zakaz wojewodzie kijowskiemu i granicznym starostom, by swych ludzi nie puszczali w kozakowanie. Później zakazano mieszczanom ukrainnym dowozić Kozakom ołowiu, prochów, saletry i żywności, nad czem urzędy zamkowe miały czuwać. W 1572 r. część Niżowców została zapisana w poczet i wziętą na żołd królewski pod zależnym od hetmana „starszym“, któremu przeznaczono Białocerkiew na stanowisko, ale Kozactwo poza rejestrem broiło po dawnemu. Część pod Świerczowskim 1574 roku idzie do Wołoch na pomoc Iwonii, inni wyprawiają się na Taśminę przeciw Tatarom. W samym początku rządów Batorego zburzyli hanowi Asłan Horodek a sułtanowi popalili wsie pod Tehiną, co spowodowało napad tatarski

[1] Ukraina p. Aleksandra Jabłonowskiego. Źródła dziejowe, t. XXII, str. 409.

na Polskę w odwecie[1]. Gdy wkrótce potem prowadzili na hospodarstwo Podkowę, a po jego uwięzieniu Aleksandra i oblegali Suczawę, przysłał sułtan Batoremu list z pogróżkami, że zachwieje się grunt przymierza i grody polskie srodze ucierpią, jeżeli łotrostwa te nie zostaną ukarane[2].

Dla złagodzenia sułtana kazał Batory ściąć Podkowę w obecności czausza tureckiego, a swawolne kupy rozkazał starostom imać i tępić. Król Stefan nosił się zapewne z myślą zasadniczego uporządkowania spraw kozackich, bo to wchodziło w zakres jego wschodnich planów, ale zajęty innemi sprawami, nie zdążył się do Kozaczyzny zabrać. Ordynacya króla polegała na uporządkowaniu „posłusznych“ Kozaków, którym przeznaczył na starszego księcia Michała Wiśniowieckiego[3]. Porucznikiem oddziału pięciuset Niżowców został Jan Czyżewski. Zarejestrowanym Kozakom nadał król zamek Trechtymirów na Dnieprze za siedzibę i skład wojennych rynsztunków, ale równocześnie „swawolnych“ kazał księciu Konstantemu Ostrogskiemu i starostom spędzać z Dniepru. Mimo uniwersału do starostów 1580 r., nakazującego nie dopuszczać Kozakom wycieczek na ziemie tureckie, pustoszą oni w r. 1583 w czerwcu pogranicze wołoskie, burzą Jahorlik, wybudowany dla ich powstrzymania, i palą Tehinę, uprowadziwszy nie mało dział i 500 jeńców tureckich[4]. W odwet za to zamordowali Turcy wracającego ze Stambułu koniuszego królewskiego wraz z 30 ludźmi, a sułtan domagał się zwrotu jeńców, dział i ukarania Kozaków. Stosunki do Porty były skutkiem tego bardzo napięte, ale gdy wysłanemu do Stambułu posłowi przyrzeczono ukarać zbrodniarzy, przyrzekł i król zwrot pobranych jeńców i armat, a 33 Kozaków ściął dla postrachu innych w Kamieńcu[5].

Z pogróżek królewskich Kozacy Niżowi nie wiele sobie

---

[1] Ks. I. Polkowski, „Sprawy wojenne Batorego“, str. 55.

[2] Ign. Pietraszewski, „Nowy przekład dziejów tureckich“, str. 2.

[3] Jabłonowski, „Ukraina“, 424.

[4] Król Stefan do Kromera. Hurmuzaki, *Documente privitòre la istoria Românilor,* III, p. 2, str. 379.

[5] Hammer, *Geschichte des osmanischen Reiches,* II, 539.

robili i nie zaprzestali łupiestw. Tak np. w 1585 r. zabrali hanowi 2.000 koni, a gdy król wysłał do nich Głębockiego z upomnieniem, by przymierza Rzeczypospolitej nie łamali, Niżowcy nietylko nie zwrócili zdobyczy, ale zamiast zastosować się do rozkazu królewskiego, utopili Głębockiego z kilku sługami i towarzyszącymi mu Tatarami [1].

Okiełznanie burzliwego kozackiego żywiołu stawało się coraz trudniejsze. Łupiestwa kozackie wzmagają się i ściągają na Rzeczpospolitą burzę od strony tureckiej, jaka wkrótce potem nad nią zawisła.

Do czasów Zygmunta III. panował między Polską a Turcyą względny pokój, mimo powtarzających się sporadycznie zatargów i nieporozumień. Po napadzie tureckim z 1498 roku zamyślał król Olbracht o odwecie, gdy jednakże zawarte w następnym roku zaczepno-odporne przymierze z Węgrami i ogłoszona z rozkazu Aleksandra VI. krucyata na Turka do skutku nie przyszła, zawarł król w styczniu 1501 r. pokój z Bajazetem, zabezpieczając teoretycznie spokój granicom Rzeczypospolitej i wolność przejazdu dla kupców i posłów polskich [2].

Przymierze to odnawia Aleksander w 1502, Zygmunt I. w 1509 r. i odtąd coraz częściej jeżdżą posłowie polscy do Stambułu, przywożąc od sułtanów „listy przymierne". Ożywione stosunki dyplomatyczne istniały zwłaszcza z Solimanem, uchodzącym za przyjaciela Polski, do którego sam Zygmunt I. około dwudziestu gońców i posłów w ciągu swego panowania wysłał [3]. Zygmunt August, wstępując w ślady ojca, stara sie o zachowanie przyjaźni sąsiedzkiej. W r. 1568 prosi Portę o zwolnienie hospodarów od płacenia daniny Tatarom i obsadzanie hospodarstwa mołdawskiego tylko za zgodą Rzeczypospolitej, ale nic nie uzyskuje [4].

Popularność kandydatury Henryka w znacznej części po-

---

[1] Batory do Kromera. Hurmuzaki l. c. 381.

[2] Rkp. bibl. Czartoryskich 612, str. 151.

[3] J. Bartoszewicz, „Pogląd na stosunki Polski z Turcyą Tatarami", str. 131.

[4] Zinkeisen, *Geschichte des osmanischen Reiches*, III, 517.

chodziła z nadziei utrwalenia sąsiedzkich z Turcyą stosunków i odzyskania za wpływem francuskim Mołdawii, bo o zbrojnem wystąpieniu przeciw Turcyi Rzeczpospolita nie myślała. Do wojny z potęgą Osmanów nie rwała się ani we własnym interesie, ani nie dała się wciągnąć do ligi z innymi panującymi. Na listy i poselstwa Juliusza II., Leona X., Klemensa VII., Pawła III., Piusa V., zachęcające do wojny z Turkiem, odpowiadano zwykle wymijająco, że Rzeczpospolita nie może ściągnąć na siebie potęgi tureckiej, ale jeżeli zgoda chrześcijańskich książąt nastąpi, to i Polska udziału we wspólnej wojnie nie odmówi. Nawet, gdy była pora sposobna, jak w czasie powstania świętej Ligi, nie udało się Commendoniemu wciągnąć Polski do wojny, mimo że równocześnie hospodar Bogdan prosił króla o posiłki, by wybić się z pod tureckiego zwierzchnictwa. Listy przymierne od sułtanów miały starczyć za wszystko, a w razie większych nieporozumień z Portą wysyłano poselstwo z podarkami do Stambułu dla ugłaskania sułtana. Dla zabezpieczenia granic płacono hanom tatarskim donatywę 15.000 flor.[1] rocznie, ale mimo traktatów hordy tatarskie najeżdżały ziemie wschodnie, nieraz dwa i trzy razy w ciągu roku. Na wzmocnienie i odbudowanie poburzonych zamków udawano się z prożbą do papieży o odstąpienie świętopietrza, a mimo ostrzegających głosów, by wznosić warownie nad Dnieprem, do wzmocnienia granic nie przychodziło. Zameczki wznoszone prywatnym nakładem na kresach do skutecznego powstrzymania najazdów nie wystarczały.

Przy takiem niewojennem usposobieniu Polski Turcya obawiać się jej nie potrzebowała, a względną przyjaźnią starała się odciągnąć Rzeczpospolitą od ściślejszego złączenia się z sąsiadami. W tym celu wysyłała w czasie bezkrólewiów poselstwa do senatorów z zachętą, by wybierali na króla kogoś z pośród siebie, a groziła wojną w razie wyboru kogoś z cesarskiego domu lub z Moskwy, przeczuwając, skąd poważne niebezpieczeństwo zagrozić jej może.

---

[1] W traktacie Zygm. I. z Mendli-Gerejem. Rkp. Czart. 612, str. 163. — Za Zygm. Augusta danina wynosiła 30.000 zł. węgierskich. Lippomano, *Rel. Nunc.* I, 282.

Tak np. w pierwszem bezkrólewiu radził sułtan, by wybrano albo Jakóba Uchańskiego, albo Jana Firleja, lub Jazłowieckiego, bo bez narażenia na niebezpieczeństwo Mołdawii, Siedmiogrodu i sąsiednich prowincyi na nikogo innego Porta nie może się zgodzić [1]. Obawiając się, by cesarz niemiecki z wojskiem nie uprzedził Henryka, rozesłał sułtan rozkazy do hana, hospodara mołdawskiego i sandżaków granicznych, by byli gotowi pospieszyć z pomocą Henrykowi, gdyby się okazała potrzeba. Po ucieczce Henryka wysyła Murad III., mieniący się bogiem ziemskim i biczem bożym, list do senatorów z groźbą, że spustoszy królestwo, zburzy miasta i lud w niewolę uprowadzi, jeżeli nie obiorą królem kogoś z pośród siebie albo księcia siedmiogrodzkiego [2].

Na zmianę w stosunkach polsko-tureckich zanosiło się dopiero za Stefana Batorego. Poparty w czasie elekcyi przez Portę, starał się król do czasu przynajmniej utrzymywać możliwie zgodne ze Stambułem stosunki, tak ze względu na nieżyczliwe względem siebie usposobienie sąsiadów, jak ze względu na księstwo siedmiogrodzkie. Zaraz po objęciu rządów wysłał do Stambułu Jana Sienieńskiego i „oczyszczając się ze wszelkich podejrzeń nieprzyjaźni“ prosił o odnowienie przymierza. Uzyskał je w dawnej formie solimanowej z dodatkiem, że pokojem mają być także objęte nabytki na Moskwie lub innych sąsiadach [3]. Dla ubezpieczenia się od Turcyi podczas wojen moskiewskich, karał ostro kozackie nadużycia i starał się o przestrzeganie paktów.

W miarę zwycięstw nad Moskwą Porta coraz mniej lekceważy Polskę i coraz względniejszą staje się dla króla, a w listach ze Stambułu już niema takich pogróżek, jak dawniej. Mimo, że wpływ króla na sprawy siedmiogrodzkie nie był Porcie miły, godzi się na oddanie księstwa Zygmuntowi Batoremu z obawy, by nie popchnąć króla do ligi z Austryą.

Król jednakże już wówczas o wojnie z Turcyą zamyślał

---

[1] Plater, „Zbiór pamiętników do dziejów polskich“, III, 201, 234.
[2] Hurmuzaki, III, cz. 2, 382.
[3] Rkp. Czart. 616, 127.

i układał szerokie plany, jak potęgę jej ukrócić. Po śmierci Iwana Groźnego przedkładał Grzegorzowi XIII. możliwość zajęcia Moskwy, połączenia się z Persami i Georgianami, zajęcia carstwa astrachańskiego a następnie przedsięwzięcia walnej na Turka wyprawy [1]. Do wykonania takiego planu potrzeba było niemałych zasiłków, zwłaszcza pieniężnych. Od sejmu ich nie mógł się spodziewać, dlatego trzeba się było oglądać na obcą pomoc. Przez Possewina zgłosił się o nią do papieża, Wenecyi i ks. Toskańskiego, ale wojownicze i daleko sięgające plany Batorego nie trafiały w myśl papieża. Grzegorz XIII. u schyłku życia myślał raczej o pokoju między chrześcijańskimi panującymi, jak o nowej krucyacie na Turka. Sprawa zresztą była tak doniosłą, że odrazu trudno się było ku niej przychylić, tem bardziej, że skarb papieski ledwie wystarczał na pokrycie zwykłych potrzeb, a na Wenetów i Florenczyków nie wiele można było liczyć. Stąd też odpowiedź papieska była wymijająca i ostateczne decyzye odłożono na później. Possewin, otrzymawszy taką odpowiedź, zwrócił się jeszcze do Rzymu, natrącając, że jest obawa, by Batory, nie poparty przez książąt chrześcijańskich, nie zechciał usłuchać rad Porty i nie zwrócił się przeciw cesarzowi; wskutek czego wysłano z Rzymu nową odpowiedź, że papież nie chce wprawdzie popychać króla do wykonania zamierzonego planu, zostawiając to jego rozsądkowi, ale może król przysłać kogo zaufanego, by sprawę w tajemnicy omawiał z Wenecyą i Florencyą, a jeżeli Wenecya i Florencya zgodzi się na pomoc, wtedy i papież, ile będzie mógł, nie uchyli się od poparcia sprawy. Była to odpowiedź czysto dyplomatyczna, bo w Rzymie dobrze wiedziano, że ani Wenecya, ani Florencya pieniędzy na wojnę moskiewską nie dadzą.

Batory odmową Rzymu nie bardzo się zasmucił, tem bardziej, że praktyki prowadzone z Moskwą nie zapowiadały pomyślnych rezulatów, ale planów zdobywczych nie zaniechał. Gdy od sułtana przybył czausz z żądaniem zburzenia zamków, wybudowanych na pograniczu przez Zamojskiego i starostę śnia-

[1] Le Saint-Siège, la Pologne et Moscou, ks. Pierlinga str. 22.

tyńskiego, radził się biskupa Kromera, co odpowiedzieć, bo idzie tu o przyszłe bezpieczeństwo Rzeczypospolitej [1]. Ostatecznie odprawiono czausza z niczem, tłumacząc mu, że zamki wystawione są dla powstrzymania Kozaków od wycieczek na Mołdawię [2]. Gdy na stolicy rzymskiej zasiadł energiczny Sykstus V., król ponawia projekta wojenne i pisze papieżowi, że jeżeli Polska nie wmiesza się do spraw moskiewskich, Turcy Moskwę zabiorą. Ale że Turcy nie zagrażali wówczas Europie, bo zajęci byli wojną perską, propozycye króla nie znalazły z początku posłuchu.

W marcu 1586 r., gdy kardynał Batory wybierał się do Rzymu, król sprawę na nowo porusza i przez niego wtajemnicza papieża w swoje plany [3]. Przedstawia korzyści dla katolicyzmu, gdyby książe katolicki w Moskwie zapanował, podnosi wielkie znaczenie Moskwy na wypadek wojny z Otomanami, ważność morza Kaspijskiego, a zwłaszcza portu astrachańskiego. Sprawa opanowania Moskwy nie będzie zbyt trudna bo Fiedor niedołężny, a w kraju niesnaski; spodziewa się, że lud nie opierałby się bardzo, zwłaszcza gdyby prócz układów i praktyk użyto nacisku, a najdłużej w przeciągu trzech lat plan dałby się urzeczywistnić. Papież dla poparcia sprawy powinien udzielić pieniędzy na utrzymanie połowy wojska, bo sejm nie zechce uchwalić podatków.

Jak propozycye te przyjęto w Rzymie, nie wiadomo. Zdaje się jednakże, że Sykstus nie pochwalał zaboru Moskwy, bo Possewin miał się starać, by car odstąpił prowincye, których zwrotu król się domagał, i miał nakłonić cara, by zamiast walczyć z Polską, wziął razem z nią udział w wojnie tureckiej [4].

W sprawie wyprawy tureckiej pisywał Sykstus osobiście listy do króla, nie wtajemniczając w traktaty sekretarzy, i posłał królowi 25.000 talarów na pierwsze przygotowania wojenne. Jak daleko doprowadziło porozumiewanie się króla z papieżem, nie wiadomo.

---

[1] Hurm. III, 2. 379.
[2] Heidenstein, *Vita Zamojski* 83.
[3] Pierling, l. c. *Appendice* 160—169.
[4] Pierling, *Papes et Tsars*, 421.

Żółkiewski [1], który z kilku innymi był także w rokowania wtajemniczony, powiada, że porozumiewano się o ligę także z Filipem II. Wojnę miano prowadzić lądem i morzem. Wojska polskie miały się połączyć w Grecyi z flotą księcia Parmy, ale król nie zamierzał prowadzić wojsk przez Wołochy, strzegąc się zatrudnienia przy przeprawie przez Dunaj. Plany układano po cichu, a sprawa nie dojrzała jeszcze na tyle, by ją stanom koronnym przedłożyć, gdy śmierć królewska położyła kres dalszym rokowaniom. Sprawa ligi odżyła jeszcze za Zygmunta III., ale wtedy nie było już człowieka, któryby się nią przejął i do skutku doprowadził.

Po wielkich planach zostały tylko fragmentaryczne ślady, jak obliczenie ludu na wojnę turecką [2] i wskazówka, jak pobór rozłożyć na utrzymanie tej armii. Korespondencyę króla z Sykstusem V. w tej sprawie przechowywał u siebie kanclerz Zamojski [3].

* * *

W Turcyi panował wówczas Murad III. Człowiek gnuśny, lubieżny, melancholik — niewiele się interesował sprawami państwa. Znaczny wpływ na rządy wywierała matka jego Nurbanu i żona Saffia, Wenecyanka. Wobec wpływu matki, wielki wezyr Mahomet Sokolli, który za poprzedników Murada kierował sprawami państwa, tracił coraz bardziej na znaczeniu, a po jego śmierci wezyrat przechodził z rąk do rąk, tak, że w ostatnich 16 latach panowania Murada, dziewięć razy zmieniali się rządcy państwa, co się odbiło na stanowisku Turcyi do Polski, zwłaszcza w początkach panowania Zygmunta III. Jeżeli u steru stawał człowiek spokojny, stanowisko Porty dla Polski było przyjaźniejsze; jeżeli nieprzyjaciel Polaków, jak np. Sinan basza, który za Zygmunta III. dwa razy był wezyrem, stosunki naprę-

[1] Pisma, wydanie Bielowskiego, str. 377.

[2] Raczyński, w dodatku do panowania Stefana Batorego przez Albertrandego, str. 478. Rkp. Czart. 96, 161. Armia miała się składać z 85.000 żołnierza. Koszta utrzymania na pół roku 3,648.500 zł.

[3] Vanozzi, w Zbiorze pamiętn. o dawnej Polsce, Niemcewicza II, 299.

żały się, a w roku 1589 omal wojna nie wybuchła. Po śmierci sułtanki-matki owładnęła Muradem dozorczyni haremu, Dżamfeda, a sułtan coraz mniej wtrącał się do zarządu. W ostatnich latach nie wydalał się prawie z murów seraju, a wskutek nadużyć zmysłowych popadł w epilepsyę. Większą część dnia spał lub delektował się obscenicznemi przedstawieniami żydowskiej trupy komedyantów.

Wpływy seraju odbijały się fatalnie na stosunkach wewnętrznych państwa tureckiego. Wielkie sumy łożone na zakup niewolnic zubożyły skarb państwa.

Monetę wybijano coraz lichszą, w końcu tak lichą, że janczarowie i spahowie nie chcieli jej przyjmować, co wywołało bunty w wojsku (1589—1592).

Brak dobrego rządu tem dotkliwiej czuć się dawał, że Turcya toczyła wojnę z Persyą od r. 1578. Podobnie jak wezyrowie, zmieniali się tu często dowódcy, wojna wlokła się leniwo, a chociaż zwykle zwycięstwo było po stronie tureckiej, trzeba je jednak było okupywać znacznemi ofiarami. Od głodu, chorób i broni perskiej straciła Turcya w pierwszych sześciu latach tej wojny przeszło 600.000 ludzi, tak, że w roku śmierci Batorego musiano ściągnąć żołnierza z Grecyi, Albanii, Dalmacyi, Węgier, by wypełnić wielkie luki w armii azyatyckiej.

Wobec tej wojny na wschodnich granicach, nie mogła Turcya być groźną zachodnim sąsiadom, gdyby łącznie przeciw niej wystąpili; mogła jednakże zagrażać Polsce, nie posiadającej gotowego żołnierza, a w czasie bezkrólewia pozbawionej zgodnego rządu.

To też pierwszą myślą poruszoną po śmierci króla, było ubezpieczenie granic kraju na czas bezkrólewia. Przy otwarciu sejmu konwokacyjnego, na początku lutego r. 1587, przedstawiał prymas Karnkowski potrzebę wysłania posłów do Porty z przypomnieniem jej przymierza, i do Tatarzyna, który już drugi rok upominków nie otrzymywał, a podrażniony świeżym w maju napadem Kozaków, mógł skorzystać ze sposobności i wedrzeć się w granice [1]. Do zabezpieczenia wschodnich kresów

[1] Dyaryusze sejmowe r. 1587 wydał A. Sokołowski, str. 239.

nakłaniał także Zamojski, donosząc w liście czytanym 6 lutego na konwokacyi, że wojsko tatarskie gotowe jest, że się krymscy złączyli z Nohajcami i należy obawiać się najazdu. Do powstrzymania hordy miał bardzo mało żołnierza i to nie zapłaconego, nie dającego się długo pod znakami utrzymać. Król nieboszczyk zostawił mu tylko 400 ludzi, i jedynie wojskiem ks. wojewody kijowskiego, wojewody bracławskiego i swym własnym żołnierzem mógł się opędzać Tatarom [1].

Na konwokacyi niebezpieczeństwa od pogan nie brano zbyt seryo, ale że nie można było się ubezpieczać, więc radzono nad obroną.

O zamknięciu granic było mnóstwo zdań. Posłowie podolscy i ruscy, bliżsi niebezpieczeństwa, domagali się 5.000 żołnierza. Posłowie innych ziem utrzymywali, że 3.000 wystarcza i na więcej nie chcieli pozwolić.

Proponowano, by dla obrony granic użyć Niżowców, ale na przedstawienie posłów ziem wschodnich, że Kozacy chociażby chcieli, nie potrafią obronić granic, jako lud pieszy i na wodzie mieszkający, zaniechano dalszej nad tem dyskusyi.

Spierano się długo o żołd dla kresowego żołnierza i nad tem, komu oddać dowództwo nad nim. Przeciwnicy kanclerza, wodzący rej na konwokacyi, obawiali się, by z wojskiem nie wywierał nacisku na elekcyę i dlatego chcieli go usunąć pod pretekstem, że kanclerstwo nie da się pogodzić z urzędem hetmana; zwolennicy zaś powoływali się na dane mu przez króla hetmaństwo dożywotnio i na powagę, jaką ma Zamojski u Tatarów.

W końcu wybrano drogę pośrednią. Nad wojskiem przełożono Mikołaja Herburta, a Zamojskiego pisano starszym hetmanem [2].

Zgodzono się, że w kąt podolski 3.000 żołnierza wystarczy i postanowiono wyznaczyć takich rotmistrzów, którzyby za 15 złotych żołnierza zaciągnąć i utrzymać potrafili. Zamki ukrainne i od strony Moskwy miały być opatrzone wedle zdania woje-

---

[1] Dyaryusze 13.
[2] Tamże 135, 55.

wody wileńskiego i hetmana polnego, za pieniądze skarbu królewskiego. Gdyby zaszła gwałtowna potrzeba, zobowiązali się odbiedz elekcyi i pójść z poczty swoimi na miejsce przez hetmana wskazane.

U Porty, która w jedenaście dni po śmierci królewskiej miała o niej wiadomości [1], starali się o poparcie kandydaci do korony. Książe siedmiogrodzki Zygmunt Batory, miał obiecać wielkiemu wezyrowi 40.000 dukatów, gdyby koronę otrzymał, a innym wezyrom po 10.000. Książe Florencyi przez żyda Dawida Popo, obiecywał aż milion złotych. Wedle relacyi posła weneckiego starał się także hospodar wołoski, Piotr Kulawy, o tureckie poparcie, i przepłacał urzędników Porty [2]. Porta przechylała się na stronę księcia siedmiogrodzkiego. W styczniu wysłała czauszów do Polski, ze skargą na Kozaków, którzy poczynili spustoszenia koło Benderu, już po śmierci króla Stefana i z żądaniem, by Polacy obrali króla z pośród siebie, a jeżeli się na to nie zgodzą, niech obiorą księcia siedmiogrodzkiego. Gdyby obrali księcia moskiewskiego lub kogo z cesarskiego domu, przymierze na nic się im nie przyda.

Poselstwo tureckie przybyło w 10 koni 19 marca do Warszawy [3] i miało posłuchanie u prymasa.

Senatorowie odpisali, że jak dotychczas tak i nadal, będą się starać o przestrzeganie przymierza. Proszą, by także ze strony tureckiej pokoju przestrzegano, a w szczególności, by sułtan zakazał hanowi i sandżakom [4] najeżdżać granice polskie w czasie bezkrólewia, a gdy wolnymi głosami obiorą króla, postarają się by elekt, jak dawniejsi królowie, pokój z Portą zachowywał [5].

Z odpowiedzią tą wysłano Krzysztofa Dzierzka, który już dawniej do Porty posłował, i kilka lat w Turcyi przebywał, wysłany przez Zygmunta Augusta, dla wyuczenia się języków wschodnich. Z dziewięciu wozami, w orszaku 50 ludzi przybył

[1] Dyaryusze 74.
[2] Hurm. IV, 2. 131. Lorenzo Bernardo do Doży. Xénopol 341.
[3] Listy Annibala z Kapui 34, wydał Przeździecki.
[4] Sandżak, naczelnik obwodu; kilka sandżakatów stanowiło paszalik.
[5] Rkp. Cz. 92, 879.

Dzierzek do Stambułu. Audyencyę odbył w żałobnych sukniach, ale że żadnych podarków nie przywiózł, wyznaczono mu dyetę zwykłych posłańców. Oświadczenie Dzierzka, że Polacy nie wybiorą ani księcia siedmiogrodzkiego, ani żadnego z hospodarów, wywołało oburzenie u Porty i pogróżkę, że jeżeli królem nie zostanie który z krewnych zmarłego króla albo Polak, poczują na sobie szable tureckie [1].

Tatarom przesłano rozkaz, by byli gotowi do napadu na Polskę, gdyby elekcya nie wypadła po myśli Porty [2], a przez Dzierzka posłał sułtan pismo do senatorów, że zachowa pokój, jeżeli Polacy nie obiorą króla z pośród nieprzyjaciół Porty. W przeciwnym razie wojnę wypowiada [3].

Pogróżkami temi nie myślano krępować się w Polsce, tem bardziej, że kandydatura Batorych była bardzo niepopularna.

Przy obradach sejmu konwokacyjnego główny nacisk kładziono na wolność elekcyi i na niewpuszczanie cudzoziemskich posłów do kraju w czasie bezkrólewia. Przeciwnicy kanclerza wołali ciągle o niewpuszczanie do kraju Batorych, bo od nich największe grozi niebezpieczeństwo wolnej elekcyi. Puszczano pogłoski, że na granicach stoi niemały lud Batorych, a że w kraju mają możne powinowactwo i praktyki czynią, należy się ubezpieczyć, by z wojskiem do Polski nie weszli i siłą pana Polakom nie dali [4].

Ostatecznie uchwalono, że gdyby który z Batorych był już w kraju, tedy go *modeste* upomnieć, by wyjechał i nie przeszkadzał elekcyi, a gdyby wjechać chcieli, to nie puszczać, aż dopiero na pogrzeb króla.

Powstając na Batorych, godzono w kanclerza, podejrzywanego, że siłą zechce wybór kardynała Andrzeja lub Zygmunta siedmiogrodzkiego przeprowadzić, i dlatego postanowiono w kapturze generalnym, aby z cudzoziemcami ani z Niżowcami nikt na elekcyę nie przyjeżdżał.

---

[1] Hammer, II, 540.
[2] Lorenzo do Doży. Hurm. IV, 2, 151.
[3] Dyaryusze 73.
[4] Dyaryusze 28, 29.

Na sejmie elekcyjnym nienawiść Zborowczyków do kanclerza wystąpiła jeszcze jaskrawiej. Mimo że Zamojski miał mniej wojska od Zborowskich, powstawano nań, że siłą chce wybór Batorego przeprowadzić, chociaż wobec ogólnej niechęci ku ks. siedmiogrodzkiemu, kanclerz kandydatury jego nie popierał. Nie pomogły zaklęcia, że bardziej sprzyja ojczyźnie jak powinowactwu. Pomawiano go, że z Turkiem praktykuje i że sułtan ruszył już wojsko na wezwanie kanclerza [1].

W czasie tych walk sejmowych przychodziły niepokojące wieści z kresów o ruchach Tatarów i Turków. Przyczyną tych ruchów był zamiar odwetu za najazdy Kozaków, którzy po śmierci króla Stefana, korzystając z zamętu w kraju, łupili tatarskie i tureckie pogranicze. Na konwokacyę przysłał sułtan pismo, domagając się ukarania łupiezców za spustoszenia koło Benderu, a gdy skargi nie pomogły, a Kozacy w nowej wyprawie zburzyli Oczaków i wypalili wsie okoliczne, postanowiono na radzie Dywanu ruszyć część wojsk ku Polsce.

Mimo przedstawień posła mołdawskiego, że czas do wojny teraz nie sposobny, i uwag wezyrów, że przez wyprawienie wojsk ku polskim granicom można popchnąć Polaków do wyboru Austryaka, wielki wezyr dał rozkaz wojsku do pochodu [2].

Dzierzek wracający ze Stambułu z biedą przedostał się przez wojska nad Dunajem i z drogi posłał na sejm ostrzeżenie o niebezpieczeństwie [3]. W połowie sierpnia czytano na sejmie listy od Herburta, że do Tehiny przyszło 40.000 Turków, zasiedli tureckie wsi na gruncie koronnym. Starosta śniatyński donosił, że Turcy, Tatarzy, Wołosi i Multanie do Kamieńca się obiecali [4]. Starosta bracławski, Struś pytał, co ma począć, jeżeli przyjdzie nieprzyjaciel, którego należy się spodziewać za szaleniem Kozaków u Oczakowa, bo w zamku bracławskim nietylko trudno się bronić, ale i mieszkać straszno, tak wszystko pogniło. W opłakanym stanie był także zamek winnicki i po-

[1] Dyaryusze 161. Rkp. Czart. 92, 372.
[2] Relacya wołoska. Hurm. III, 1, 94.
[3] Dyaryusze 68.
[4] Rkp. Czart. 92, 371, 373.

trzebował jak najszybszego opatrzenia, jeżeli w nim bronić się miano. Na szlaku krzywosarajskim, którędy najczęściej Tatarowie chodzili, żadnej załogi ani straży nie było. Żołnierz zaciągnięty po konwokacyi dotychczas jeszcze ze skarbu żołdu nie dostał, wskutek czego hetman polny i starosta śniatyński musieli się zadłużyć, by potrzeby żołnierza opatrzyć. O pieniądze pisał także rotmistrz kamieniecki, Wolski, ale napróżno. Podskarbi, napierany zewsząd o wypłaty, oświadczył, że skarb pusty, bo z kwarty pieniędzy mu nie dano, a co skądinąd kapnie, idzie na utrzymanie tureckich czauszów i posła moskiewskiego który w 700 koni zjechał, tak, że musiał 6.000 złotych na ten cel pożyczyć [1].

Sejmująca szlachta nie zwracała wielkiej uwagi na niebezpieczeństwo tureckie, a nieprzyjaciele kanclerza chcieli je wyzyskać na swą korzyść, utrzymując, jak np. Stanisław Stadnicki, że Turków Zamojski w swych widokach na Polskę prowadzi [2].

Ze strony tureckiej nie przychodziło jednak do żadnych nieprzyjacielskich kroków. Wojsko leżało na granicy dla wywarcia nacisku na elekcyę, ale jej nie przekraczało i nawet za zburzenie Oczakowa na razie się nie pomszczono. Przyczyniła się do tego wojna perska, zaprzątająca całą uwagę Turków, jak i to, że wielkim wezyrem był wówczas poturczony Węgier, Siavus basza, flegmatyk, pokojowo usposobiony [3].

Elekcyę otwarto 14 sierpnia. Posłowie zagraniczni, polecając swych kandydatów, nie pomijali także przyrzeczeń odnoszących się do tureckich stosunków. Poseł papieski, Annibal z Kapuy zachęcał, by wybrać dobrego katolika nie zważając na pogróżki tureckie i na fałszywie przedstawiane niebezpieczeństwo od Turka, bo Ojciec św. i książęta chrześcijańscy pospieszą z pomocą, gdyby Turek istotnie o wojnie zamyślał.

Posłowie cesarscy obiecywali 800.000 fl. na zaciąg żołnierza, gdyby z powodu wyboru księcia austryackiego Turcy wpadli

---

[1] Dyaryusze 119.

[2] Rkp. Czart. 92, 372.

[3] *Le Relazioni degli ambasciadori Veneti.* Albèri. S. III, t. 3, str. 368.

do Polski [1]. Moskiewscy przyrzekali, że car wybuduje dwa zamki na kresach, wypowie wraz z Persami wojnę sułtanowi, odbierze Multany i Mołdawię, które do Polski mają być przyłączone. Szwedcy zapowiadali, że Zygmunt wystawi pięć zamków na pograniczu i zaopatrzy je własnym kosztem w działa i załogę [2].

Wysłańcy Batorych żalili się, że nieboszczyka króla źle się wspomina słowem i pismem. Prosili, by nie było suspicyi, że książe siedmiogrodzki pospołu z Turkami do Krakowa ma ciągnąć, i domagali się zwrotu ruchomości po królu Stefanie [3].

Kandydatura moskiewska podobała się Litwie i części Polaków, ale względy religijne stały na przeszkodzie. Za królewiczem szwedzkim agitowała królowa Anna z Zamojskim, podczas gdy Zborowczycy odrażali coraz bardziej od siebie umysły. Między innymi obrazili prymasa, który z większością biskupów przeszedł do koła Czarnego i ogłosił królem Zygmunta, 19 sierpnia. Partya przeciwna trzy dni później Maksymiliana obwołała.

W zamku warszawskim, zajętym na rzecz Zygmunta, dano odpowiedź czauszowi tureckiemu, że pokój z Turcyą jak dawniej będzie zachowany, a król obrany gdy na tronie zasiądzie, przyjaźń i dobre stosunki sąsiedzkie będzie zachowywał [4].

W Porcie na wiadomość o podwójnej elekcyi zastanowiono się, jak przeszkodzić Maksymilianowi wejścia do Polski. Zamierzano w tym celu wydać rozkazy baszom Budy i Temeszwaru, księciu siedmiogrodzkiemu i obu hospodarom, by Maksymiliana nie puszczali, ale że to było niemożliwe dla blizkości granic ślązkich od Krakowa, oświadczył wezyr, że Maksymilian może się koronować, ale w kraju nie posiedzi i da pożądaną sposobność do złupienia Polski [5].

Zygmunt, jak tylko stanął w Gdańsku, zaraz wysłał gońca do Konstantynopola z uwiadomieniem o swej elekcyi i z prośbą o przyjaźń i powstrzymanie Tatarów od najazdu.

---

[1] Ciampi, *Rerum Polonicarum... libri.* str. 38.
[2] Rkp. Czart. 92, 857, 265.
[3] Bielski, Dalszy ciąg Kroniki Polskiej, wyd. Sobieszczański, str. 48.
[4] Bielski 68.
[5] Relacya rezyd. austr. Hurm. III, 1, 97.

Grzymała Zamojski, goniec królewski w Konstantynopolu, prosił imieniem kanclerza i królowej wdowy o pomoc przeciw Maksymilianowi, chociaż, jak zapewniał, zwycięstwa nad Maksymilianem Polacy byli pewni. Wezyr przyrzekł, że w razie potrzeby ks. siedmiogrodzki i hospodar wołoski pójdą z pomocą, ale równocześnie dał Beglerbegowi zlecenie, by skorzystał z zamętu, jeżeli się uda [1].

Kanclerz, który wobec następowania Maksymiliana, a w niepewności, czy Zygmunt przybędzie, nosił się z myślą opuszczenia Krakowa, i jeżeli można wierzyć Warszewickiemu, znosił się z Portą o otrzymanie wołoskiego hospodarstwa [2], upewniwszy się o przyjeździe króla, odparł Maksymiliana z pod murów Krakowa, poczem Zygmunt wjechał do miasta, a 27 grudnia odbył koronacyę, na której był obecny czausz Torgut z listem do magnatów. Król, któremu zależało na spokoju od Turcyi, wysłał zaraz po koronacyi do Porty Jędrzeja Fredrę z oświadczeniem, że będzie wstępował w ślady swych poprzedników, zwłaszcza Zygmunta I., i podobnie jak on przymierza ściśle będzie przestrzegał. Donosił o jakichś przyjemnych dla Porty sekretach i zapowiadał wielkie poselstwo dla odnowienia dawnych przymierzy. Na poselstwo to wezyr Siavus odpisał, że jak długo król będzie życzliwym dla Turcyi, nieprzyjaciele jego będą surowo karani, ale też i król musi być wrogiem dla wrogów sułtana [3].

Oświadczenie to było wyrazem podejrzeń, utrzymujących się w Stambule, że Maksymilian mimo koronacyi Zygmunta może zasiąść na tronie polskim, i dlatego nie ściągnięto wojsk ze stanowisk mołdawskich, a czausz odnoszący listy wezyra zapowiadał, że Turcy wpadną do Polski, gdyby Maksymilian chciał tron zająć.

Znoszenie się Zygmunta z dworem cesarskim podejrzenie to podsycało i już w czerwcu przybył nowy poseł od Porty z żądaniem, by król nie wydawał siostry swej za ks. austryackiego,

---

[1] Hurm. *Suplementul.* I, 101, t. IV, 2, 135. Moro do doży.

[2] Ciampi, *Rerum Polonicarum* libri 51.

[3] Rkp. Cz. 611, 303.

wroga sułtana [1]. W czasie negocyacyi o wypuszczenie Maksymiliana z niewoli przybyły listy od Porty, by król Maksymiliana nie wypuszczał, a czausz w imieniu sułtana przyrzekał pomoc wojska tureckiego, dla utrzymania króla na tronie [2].

Pomoc ofiarował także poseł hana perekopskiego, żądając donatywy dawno już nie posłanej.

Gdy mimo to stanęła w marcu 1589 r. ugoda będzińska między Polską a Austryą, zapanowało na dworze sułtana wielkie niezadowolenie, a pogłoski, dochodzące do Stambułu, że Zygmunt do Szwecyi wrócić zamierza, poczem Maksymilian razem z cesarzem Rudolfem zwróci się przeciw Turcyi, drażniły w wysokim stopniu wezyrów [3].

Wypuszczenie Maksymiliana z Krasnego Stawu i wyjazd króla do Rewla podejrzenia te wzmocnił, a łupiestwa kozackie wywołały ostatecznie katastrofę.

Zostawione sobie Kozactwo, wzmagające się coraz nowym zasiłkiem na Niżu, zapędzało się zbrojnymi watahami od września 1587 r. na Mołdawię i paliło wsie tureckie [4]. W czasie koronacyi królewskiej wpadli ponownie w 10.000 do Mołdawii, wypędzili hospodara, Piotra Kulawego i dopiero, gdy ruszył na nich Beglerbeg z Nikopolis i kilku sandżaków, ustąpili po dotkliwej porażce na granicach [5]. W odwet za to ruszono Tatarów z 2.000 janczarów, którzy mieli burzyć zamki wystawione na kresach przez Jazłowieckiego i ks. Ostrogskiego [6]. Zamiar jednakże nie przyszedł do skutku, bo kanclerz z Ostrogskim stał na kresach; udało się tylko Tatarom spalić kilka wsi na pograniczu i ujść z brańcami [7], bo Zamojski za mało miał wojska, by skutecznie całej granicy ustrzedz.

W sierpniu 1588 r. napadła liczna wataha stojących u gra-

---

[1] Hammer II, 541.
[2] Dyaryusz Aldobrandiniego legacyi. Rel. Nunc. II, 12.
[3] Zamojski do Reszki. Grabowski II, 399.
[4] Theiner III, 17. Solikowski do papieża.
[5] Hurm. IV, 2, 135. Moro do doży.
[6] St. Krasiński do nuncyusza Thein. III, 28.
[7] Listy Annibala str. 124.

nic Turków i część ich urwała [1]. W październiku wyprawili się w 4.000 do Wołoch, poszli pod Bender, popalili okoliczne włości i wybrali. W powrocie jednakże dopadli ich Turcy nad Dniestrem, część ludzi ubili i odgromili zdobycz a zagon tatarski w pogoni za uchodzącymi spalił kilka wsi za Dniestrem.

Do większego odwetu ze strony Turcyi jeszcze nie przychodziło, bo Porta czekała na zapowiedziane poselstwo po odnowienie przymierza; wysłała nawet czausza do hospodara mołdawskiego, by poselstwo oczekiwane do Stambułu doprowadził, ale dla braku pieniędzy w skarbie poselstwa z Polski nie wysyłano, pod pozorem, że król czeka na powrót wysłanego przedtem do Porty gońca [2].

Na sejmie zwołanym przy końcu marca 1589 r., nie postanowiono nic dla zabezpieczenia się od wyczekującego i niepewnego stanowiska Turcyi. Napróżno przestrzegał Zamojski, by nie lekceważyć niebezpieczeństwa od Wschodu — napróżno wzywał, by wystawić silniejsze wojsko na kresach i raz wreszcie ująć silnie w karby rozzuchwalone Kozactwo. Posłowie zamiast radzić o obronie, woleli słuchać głosów nieżyczliwych kanclerzowi, że mu się dyktatury zachciewa i dlatego chciałby powiększyć wojsko [3].

Wskutek tych poduszczeń i niechęci do przyzwolenia na podatki nietylko nowego żołnierza nie zaciągnięto, ale nawet nie wypłacono żołdu dawnym zaciągom, które też za obligacyą królewską w Sambor wjechały [4].

Tymczasem od strony tureckiej zanosiło się istotnie na burzę. W Stambule właśnie wtenczas został wielkim wezyrem drugi już raz Sinan-basza, starzec siedmdziesięcioletni, intrygant, przejęty dawną Porty potęgą, gotów z każdym walczyć, w przekonaniu, że cały świat przed Portą korzyć się powinien [5].

---

[1] Baranowski do Reszki. Grab. II, 412.

[2] Pezzen do arcyks. Ernesta. Hurm. III, 1, 113.

[3] Zamojski na sejmik w Proszowie. Rkp. Jagiell. 107, 587.

[4] Bielski 101.

[5] Albèri l. c. Relacya Marka Zane 365: „furiosa natura albanese, odiosa a tutti".

Stąd w listach do panów chrześcijańskich występował dumnie i z lada okazyi odzywał się z pogróżkami. Głównem jego staraniem było doprowadzić do końca wojnę z Persami a potem zwrócić się przeciw chrześcijanom, których fanatycznie nienawidził.

Inni wezyrowie nie chcieli wojny, pragnąc używać swobodnie nagromadzonych bogactw, ale Sinan potrafił przy intrygach serajowych wymódz na niedołężnym Muradzie to, czego sam chciał. Za jego też głównie staraniem miał sułtan wystąpić przeciw Polsce [1].

Na sposobność nie trzeba było długo czekać. Zaraz z wiosną 1589 r. wybrało się półtora tysiąca Niżowców czajkami na Krym. Puścili z dymem kilkanaście wsi tatarskich, napadli w czasie jarmarku Kozłów (dziś Eupatorya), zagrabili koło 300 kramów kupieckich, miasto wybrali, spalili, a zrabowawszy kilka tureckich okrętów, uszli ze zdobyczą, nim han Kazigerej na nich wyruszył.

Niedługo potem wybrali się za Dniestr. Spalili Białogród i Tehinę, a z początkiem sierpnia napadli tatarską karawanę, uprowadzili matkę hana perekopskiego i zabrali skarby [2].

Łotrostwa te mogły rozdrażnić każdego wezyra, tem bardziej Sinana. Przesłał też hanowi krymskiemu rozkaz najazdu na Polskę — a Murada nakłaniał, by zażądał od Polaków haraczu a w razie odmowy wypowiedział wojnę [3].

Mniejsze zagony tatarskie już w połowie lipca zapuszczały się do granic Rzeczypospolitej — przychodziło do utarczek, a między innymi Zamojski, powinowaty kanclerza, osadzony w Szarymgródku miał z Tatarami potrzebę i pobrał znacznych więźniów [4].

Cała hordą ruszył han w sierpniu przez Dniepr na Podole. Kilkadziesiąt tysięcy nohajców i perekopców rozlało się szerokimi zagonami od kresów, paląc i niszcząc wszystko po drodze.

---

[1] Albèri, Relacya Moro, 375.

[2] Zamojski do Annibala z Kapui. Thein. II, 112, 142.

[3] Moro l. c.

[4] Zamojski do Reszki. Grab. II, 379.

W szybkim pochodzie posuwali się naprzód, bo najechali Polskę nieprzygotowaną do obrony, a poczty prywatne, nieraz bardzo liczne, jak np. wojewody kijowskiego, nie zdołały się połączyć tak szybko, lub z umysłu się nie łączyły, jak wspomniany wojewoda, żyjący w niezgodzie z wojewodą bracławskim [1].

Niepowstrzymani przez nikogo, zapędzili się aż cztery mile pod Lwów. Hetman widział z miasta ognie i dymy nieprzyjacielskie, ale murów nie opuszczał, z obawy, by z nielicznym żołnierzem w równych polach nie został orgarnięty [2].

Horda z pod Lwowa wróciła pod Tarnopol, gdzie stanęli koszem, gromadząc z okolic brańców i łupy.

Tu i ówdzie przyszło do mniejszych utarczek z łupieskimi zagonami, jak np. pod Buskiem, Dunajowem, Haliczem, Zbarażem. Kasztelan lwowski ucierał się z Tatarami pod Gliną, a starosta holsztyński pod Kotłowem, gdzie plonu niemało odbito i więźniów pobrano.

Największą potyczkę stoczono pod Baworowem. Tatarzy dowiedziawszy się, że w zamku baworowskim schroniła się siostra Zamojskiego, Włodkowa, wytężyli wszystkie siły, żeby zamku dostać. Spaliwszy miasteczko, wdarli się już w przygródek i szli na zamek nie bacząc ani na staw, gdzie wielu tonęło, ani na gęstą strzelbę.

Na odsiecz zamkowi przybył Jakób Struś, dążący ze swą rotą i z rotami Podlodowskich i Potockich ku stanowisku hetmana. Pod osłoną zamku mógł być bezpieczny, ale czerń ukrainna rzuciła się na Tatarów przy samym koszu. Struś skoczył im na pomoc, ale otoczony przewagą tatarską, poległ a z nim cała rota zginęła. Podlodowscy, Warszawski i Koryciński dostali się w pęta tatarskie, ale ostatecznie Tatarzy nie zdobywszy zamku, ustąpili, straciwszy wielu z pomiędzy siebie, między innymi brata hana i wielu murzów. Zwłoki poległych spalili w opuszczonych domach, poczem ruszyli z powrotem do hordy [3].

---

[1] Bielski 105.

[2] Zamojski na sejmik proszowski. l. c.

[3] Heidenstein, *Vita Zamojski,* 100. Bielski 104.

W powrocie doznali znaczniejszej porażki od Niżowców na uroczysku Kamienicy za Szarymgrodem.[1]

W nocy napadli Kozacy na jakiegoś carzyka, który osobno stanął od reszty hordy i wycięli w pień zaskoczonych Tatarów, odebrawszy więźniów i plon. Gdy nadeszła większa pomoc tatarska, otoczyli się na prędce wozami, z poległych utworzyli wał i powiązawszy konie odstrzeliwali się Tatarom, którzy po nieudanym dwukrotnym ataku na zaimprowizowany tabor, ze stratą ustąpili[2].

Ogółem mieli uprowadzić do 60.000[3] brańców a między nimi księcia Zbarazkiego, który umarł w niewoli.

(C. d. n.)

Ks. Józef Sas.

---

[1] Zamojski do Reszki l. c. 401.

[2] Bielski 105, a za nim Heidenstein 286 utrzymują, że Tatarów na Polskę naprowadził Bielecki, poturczony szlachcic z Lublina, który osiadł za króla Stefana w Polsce jako renegat. Król chcąc go używać do poselstw dał mu opatrzenie na Podolu. Po śmierci króla panowie mu nadanie zabrali, i dlatego przez zemstę naprowadził Tatarów na Polskę.

[3] Nuncyusz pap. do kard. Montalta z listu Zamojskiego. Thein. III, 144.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pogadanka o nowszych powieściach polskich.

(M. Gawalewicz: „Od jutra“, „Niczyja“, „Szubrawcy“. — W. Łoś: „Ze Starzów pani Appelstein“, „Niedyskrecya“. — M. Rodziewiczówna: „Jerychonka“, „Na wyżynach“, „Z głuszy“. — G. Zapolska: „Fin-de-Siècle'istka“. — K. Junosza: „Na bruku“, „Buda na karczunku“. — K. Laskowski: „Kosztowni dobrodzieje“, „Żydzi przy pracy“. — J. Ogiński-Kontrymowicz: „Książe Hołuba czyli Don Kiszot XIX w.“, „Z czeluści piekielnych“. — B. Prus: „Grzechy dzieciństwa“. — Ks. Z. Chełmicki: „Requiescat in pace“. — W. Gomulicki: „Zielony kajet“. — W. Kosiakiewicz: „Plama“, „Rozpieszczona dziewczyna“. — Z. Kowerska: „Znane dzieje“, „Na służbie“. — A. Pług: „Officyalista“. — A. Dygasiński: „As“. — Exterus: „Po zdrowie“. — Znicz: „Fałszywe dźwięki“. — J. Nowiński: „Świekra“. — W. Bęczkowska: „Co będzie z naszego chłopca“, „Bez woli“. — C. Niewiadomska: „Stracona“. — M. Milkuszyc: „Dziadowie i wnuki“. — T. Lemianowicz: „Jedynaczka“. — Iry: „Pod rodzinnem niebem“. — H. Gliński: „Mamusie“. — K. Gliński: „Klęska“. — I. Wysocki: „Iryna“. — A. Wysocki: „Namiętności“).

Najsmutniejsza, najmniej praktyczna to rzecz, jakąś robotę z dnia na dzień odkładać. Gdybym był starym zwyczajem zabrał się przed pół roku do spisania wrażeń po przeczytaniu kilkunastu tomów nowel i powieści, które wtedy przedemną na stoliku leżały, byłoby jeszcze pół biedy i dla piszącego i dla czytających. Niestety! schodził tydzień po tygodniu; nie chciało się pióra do ręki wziąć, a tu tymczasem coraz nowi powieściopisarze, jak na złość, stawali w szranki; jedna książka

po drugiej przybywała, stos ich rósł, rozprzestrzeniał się, aż dziś tak urósł w wysokość, w szerokość, że jednego stolika mu za mało. Wszystkie kolory zdobią okładki, niektóre mniej na czas i słońce wytrzymałe, zwolna z żółtych, z czerwonych w brudno-szare się zmieniają; podobnie i wewnętrzna treść różnobarwna, najczęściej szara. Kto wie, może lepiej, że tych szarych książek od razu więcej się zebrało; będzie się można szybciej z niemi załatwić, jak lekko znudzony urzędnik biurowy tem spieszniej ze zwykłymi interesantami się sprawia, im dłuższy ich szereg czeka na swą kolej.

Powitajmy najprzód starych znajomych, których nazwiska nie jeden już raz powtarzały się na łamach *Przeglądu*. Wśród tych znajomych, niektórzy są niezmordowani. Płynie kwartał za kwartałem, miesiąc za miesiącem — a w też tropy płyną nowe tomy Abgara-Sołtana i Rodziewiczówny, nowe dziesiątki tomów Wincentego Łosia; w nieco wolniejszym tempie posuwają się salonowe opowiadania Gawalewicza, fabryczno-rzemieślnicze spostrzeżenia Kosiakiewicza, grube, zasmarowane fotografie Zapolskiej i t. d. Znamy ich wszystkich; ich przymioty i wady, słabostki i upodobania, tak jak znamy poczciwe (zazwyczaj bez zastrzeżeń) rodzinno-szlacheckie obrazki Kowerskiej, lub niezrównane szlachecko-żydowskie fotografie Junoszy. Znamy ich dobrze, więc nie potrzeba osobnej dłuższej przemowy i urzędowej prezentacyi; nie potrzeba też i nie mamy wcale do tego pretensyi, aby wszystkie ich nowsze utwory kolejno wyliczyć. To rzecz *Przewodnika bibliograficznego*, który swe zadanie spełnia bez zarzutu.

Gawalewicz uznany jest nie od dzisiaj jako subtelny znawca salonowo-arystokratycznego życia, jako autor nie lubiący się wychylać po za pałace, po za dwory, w najgorszym razie po za szlacheckie dworki. Czy mu to brać za złe? Pańskie salony, gabinety, szlacheckie kancellarye zna, więc je maluje. Zna szlachecko-arystokratyczne zwyczaje, nawyczki, intryżki; czemuż miałby pisać o karczmach i chałupach, o chłopach i żydach? Zresztą pisać można i o żydach, ale o warszawskich, o „Mechesach“, nie o prostych Judach i Abramkach, których lepiej zostawić Junoszy, a choćby Laskowskiemu. Można i o chłopie wspomnieć, ale nawiasowo, o ile jakaś „Ćma“, jakaś „Kokoszka“, „Muszka“ lub „Pani Hrabina“ na lokaja przyjąć go zechce. Za to na pierwszy plan wysuwa się zbankrutowany, ale zawsze pełen fantazyi szlachcic, który na chwilę nie wątpi, że wróci do swej Dziadowej, „bo by inaczej chyba Pana Boga nie było na niebie“... i kto

wie, może wróci, może nadzieja jego nie dziś, to jutro się spełni [1]. — Po zbankrutowanym szlachcicu przedstawia się nam znowu sympatyczna postać młodej dziewczyny, którą ambitny wujaszek gwałtem na artystkę, na pierwszej wody koncertantkę chce wykierować; a której samej jednej na obczyźnie tak bardzo źle i tak bardzo smutno! Nie na to stworzona, więc nie zostanie artystką ściągającą oklaski, kwiaty i złoto [2]. — A dalej jeszcze zjawia się cały hufiec „szubrawców" w tużurkach, frakach, najmodniejszych mantylkach i kapeluszach [3]. Słodkie mają miny, ładne na ustach słowa, a w sercu jedno marzenie i pytanie: „Kiedyż wreszcie umrze nasza cioteczka i komu po niej pieniądze się dostaną?" Jeden od drugiego mniej sympatyczny, jeden od drugiego większy szubrawiec, albo używając energicznego języka Włodzińskiego: „większa kanalia". Baronowa dotrzymuje kroku swej córeczce, Phalernowie Szubom, dziennikarze szlachcicom, chłopy-pijaki uperfumowanym arystokratom. Szubrawcy na chwilę tryumfują — ale nie trzeba tracić otuchy! „Fałsz, obłuda i zło — streszcza autor poglądy swe i nadzieje przez usta jednego z swych bohaterów, — mogły zatryumfować na razie, ale prawda i słuszność mimo to nie przestały istnieć, a dla nich warto nawet zginąć"!

Wincenty hr. Łoś urządza z Maryą Rodziewiczówną wyścigi na złamanie karku, kto w krótszym czasie więcej arkuszów zadrukowanego papieru na łup publiczności rzuci. Obydwoje wiedzą, że krytycy robią im oddawna poważne zarzuty z tej niezdrowej płodności; wiedzą, ale poprawić się ani myślą. P. Rodziewiczówna wystąpiła nawet niedawno w jednem z pism — jeżli się nie mylę — warszawskich, z obszerniejszą apologią szybkiej swej twórczości; apologia byłaby bardzo na miejscu i nie trafiłaby na niedowiarków, gdyby owe szeroko rozlane wody powieściopisarskiej twórczości nie były niestety! coraz płytsze, tak czasem płytkie, że nie wiedzieć prawie, czy im jeszcze nazwa „wód" przysługuje. P. Łoś się nie tłómaczy; i czemuż miałby się tłómaczyć przed krytykami stawiającymi jakieś dziwaczne postulaty, wznawiającymi jakieś zastarzałe teorye, skoro powieści jego, opisujące w kółko huzarskie uczty i bankierskie bale, szybko znikają z księgarskich półek i niezłe podobno przynoszą zyski i autorowi

[1] „Od jutra". Warszawa 1895.
[2] „Niczyja". Kraków, Spółka Wydawnicza 1897.
[3] „Szubrawcy" 3 tomy. Warszawa 1896.

i nakładcom. Co innego jakieś dawne kapłaństwo sztuki czy nauki, co innego powodzenie literackiego lub księgarskiego interesu.

Wyliczać wszystkie tomy Łosia, które w ostatnich kilkunastu miesiącach z drukarni na świat się rozbiegły, nie miałoby celu; przeczytać wszystkie przechodzi siły zwykłego recenzenta. Z datą roku zeszłego okazało się dziewięć powieści Łosia, a jednocześnie cztery inne znajdowały się pod prasą i lada chwila, na stolik spaść gotowe. Przeczytawszy z tuzin dawniejszych powieści, wiemy z góry, co tuzin następnych zawierać może; z góry moglibyśmy nakreślić charakter pana Appelsteina i małżonki jego, pani ze Starżów Appelsteinowej [1]; z góry wiemy, że nowe to jabłko wyhodowane na gruncie warszawskich polsko żydowskich stosunków nie mogło paść daleko od dawniejszej jabłoni „Zięciowie domu Kohn et Cie". Podobnie, kto czytał lub przeglądał dawniej np. tomik „Z różnych pułków", ten śmiało oszczędzić sobie może trudu przeglądania żółtego tomu, wydanego zeszłego roku aż pod dwoma różnymi tytułami; na okładce widnieje napis: „Niedyskrecya" [2], na następnej stronnicy tytuł ten zmienia się: „U Cyganów, opowiadanie malarza". Niech sobie zresztą będą dwa tytuły; co gorsze, to że występujące postacie: węgierscy oficerzy, węgierskie panie, nawet konie grające niepoślednią rolę w węgierskich pułkach, tak już nam są do przesytu znane; co gorsze, że opisywane sceny, oficerskie uczty, cygańskie koncerty tyle razy już w poprzednich opowiadaniach się powtarzały, że stracić musiały wszelki urok nowości. Daremna rzecz! p. Łoś potrzebuje sobie wypocząć, przejechać się, nowych ludzi zobaczyć, rozszerzyć swe idee i poglądy, bo trudno ciągle czytelników zajmować peszteńskimi huzarami i warszawskimi bankierami.

I Rodziewiczównie literacki Eskulap zalecić musi absolutnie kilkomiesięczne co najmniej oderwanie się od biórka, i albo spoczynek gdzieś wśród tatrzańskiej lub alpejskiej przyrody, albo pełną awantur wycieczkę do wzburzonej Grecyi lub Afryki środkowej. Jedno, albo drugie... poczem wierzyć pragniemy, że obdarzy nas drugim „Dewajtysem", zamiast mijającemi bez odgłosu i wrażenia: „Jerychonkami" [3] lub „Na Wyżynach" [4]. Jeszcze w szeregu obrazków, wydrukowanych

[1] „Ze Starżów pani Appelstein". Powieść współczesna w dwóch tomach. Warszawa 1897.

[2] „Niedyskrecya". Warszawa 1896.

[3] „Jerychonka". Powieść. Warszawa 1895.

[4] „Na Wyżynach". Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

pod ogólnym tytułem: „Z głuszy“ [1] znajdujemy rzewne i prawdziwie piękne ustępy; musiała się autorka zżyć z tą „nocką“ ciemną, spokojną, którą kilkakrotnie pieści się z taką miłością; musiała nieraz łódką pływać po tych wodach czarnych, wpatrywać się długo, serdecznie w olchy „stojące w trzęsawisku rudem“... Ale w fabrykach, których dzieje i wewnętrzne życie usiłuje nam odsłonić w „Na Wyżynach“, jeźli była, to przez godzinę, dajmy na to, przez dwie godziny — a to trochę za krótko do zebrania obserwacyj potrzebnych na wypełnienie grubego tomu. A już cygańsko-artystyczne życie malarzy, które zapragnęła naszkicować w „Jerychonce“, zna chyba także tylko z opowiadań, i to pobieżnych opowiadań. Trudna rada, można mieć nawet prawdziwy talent, można mieć wielką łatwość pisania, a jednak nie być w stanie wyrzucać ze siebie jednym tchem kilka powieści o najróżnorodniejszych sprawach i kwestyach, i to często właśnie jakby naumyślnie takich, w których kobieta w dzisiejszych okolicznościach, musi koniecznie po omacku błądzić. A w dodatku to błądzenie po różnych błotnistych zaułkach budzi tyle razy aż zbyt usprawiedliwiony wstręt!

Błotniste zaułki, karczemno-pijackie sceny, silenie się na „zolizm“ i *fin-de-siècle-izm* mogłaby panna Rodziewiczówna bez ujmy dla siebie zostawić różnym panom Niedźwieckim i paniom Zapolskim, niezmordowanym w uprawianiu tego kierunku. Pierwszy zasypuje polujące na skandal pisma drobniejszemi obrazkami i skrzętnie je potem zbiera w osobne tomy i tomiki; druga na jedno danie potrafi czytelników dwoma i trzema tomami uraczyć. Ostatnia (kto wie, może już teraz przedostatnia) z rzędu dwutomowa powieść Zapolskiej: „Fin-de-Siècle'istka“ [2] niczem absolutnie się nie różni, od paru tuzinów dawniejszych koleżanek. Nawet trudno dorozumieć się, dla czego bohaterka powieści, głupia i płocha (jakich było i jest zawsze wiele) nosi francuską nazwę: „Fin-de-Siècle'-istki“; zdaje się, że poprostu chodziło o oryginalny, odpowiedni do reklamy tytuł. Pani Helena jest najprostszą „z ptasim mózgiem“ kokietką, kobietą upadłą; galerya innych dekadentek odpowiednio do głównej bohaterki dostrojona. Są i bohaterowie — powieściopisarze, dziennikarze, aż zbyt przeźroczystemi farbami z życia skopiowani, — na których p. Zapolska chciała się zemścić prawdopo-

[1] „Z Głuszy“. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska 1895.

[2] „Fin-de-Siècle'istka“, powieść w dwóch częściach. Warszawa. Nakładem *Przeglądu Tygodniowego* 1897.

dobnie za niepochlebną ocenę swych tomów, obsypując ich zniewagami najgrubszego kalibru. Nie bardzo szlachetna to zemsta, dająca właśnie do myślenia, że owi oplwani i podeptani musieli bądź co bądź w sedno utrafić, kiedy byli w stanie obudzić taki — w najgorszem tego słowa znaczeniu — kobiecy gniew.

Quandoque bonus dormitat Homerus! Jeden z najoryginalniejszych naszych powieściopisarzy Junosza nie dodał opowiadaniem „Na bruku“ [1] nowego liścia do wieńca swej sławy. Pierwsze kartki obiecują wiele; gotowiśmy się założyć, że odsłonią się przed nami nowe typy bagnieńskich, pociejowskich żydów; obiecujemy sobie z niekłamaną przyjemnością, że idealny obserwator żydowskich lichwiarzy, pachciarzy, szynkarzy, wprowadzi nas obecnie w świat tandeciarzy żydowskich. Otóż nic z tych pięknych nadziei. Jest natomiast historya o biednym szlachcicu, co goni za posadą i dogonić jej nie może; chce znajomości i protekcyi porządnych ludzi, a wpada w ręce szubrawców. Jest doskonały, co prawda, epizodyczny opis baliku zaimprowizowanego w mało-mieszczańskich sferach; jest kilka dobrą ręką odrysowanych scen, ale napróżno szukamy mistrza portrecisty Pinktów, Ganzpomaderów i innych przeróżnych „pająków“, a choćby tylko żydowskich „Donkiszotów“. Za to w „Budzie na karczunku“ [2] choć nie poświęconej specyalnie żydom, ale zagonowej szlachcie, zabieramy znajomość z idealnym w swym rodzaju Ickiem Ufnalem. Od małego zaczął, zamówił się do wstawiania szyb do nowych domów w świeżo powstającej szlacheckiej osadzie; nie wstawił ani jednej szyby, bo szklarzem nigdy nie był, ale przy tej sposobności małą sobie budkę wystawił, z budki zrobił się sklep, zrobił się szynk, zrobił się bank, w którym czy chłopi, czy szlachcice, mogli stosownie do potrzeby i innych okoliczności pieniądze sobie wypożyczać. Koniec znajomy w powieściach... jak w życiu!

Śladami Junoszy, nie Junoszy szkicującego kłopoty podwarszawskich ziemian i warszawskich kamieniczników, ale Junoszy „specyalisty od żydów“, postępuje p. Kazimierz Laskowski. Większej „żydowskiej powieści“ — o ile przynajmniej w tej chwili przypominamy sobie — dotąd nie wydał; być bardzo może, że nad nią pracuje, że skrzętnie

[1] „Na bruku“. Powieść z życia miejskiego. Warszawa. Nakładem księgarni Stanisława Sadowskiego 1897.

[2] „Buda na karczunku“. Powieść z życia szlachty zagonowej. Warszawa 1897.

podpatrywane sylwetki, pilnie zapisywane notatki są przygotowawczemi studyami, z których powoli materyał do powieści się zbierze. I owszem! Sądząc z ogłoszonego dotąd materyału będzie to interesująca i poważna budowa. Tymczasem i te cegiełki, które przed budową, wedle pewnego zdawałoby się systematu, w stosy układa, mają na prawdę wartość; ciekawe są i „sylwetki z bruku", i „notatki wieśniaka". Pierwszym dostał się tytuł: „Kosztowni dobrodzieje" [1], drugim „Żydzi przy pracy" [2]. Bez żadnej ujmy dla treści i dokładnego jej oznaczenia możnaby te tytuły pozamieniać, — bo wszak i miejscy żydzi pracują i to w pocie czoła, i wiejscy bywają bardzo kosztownymi dobrodziejami. Piękna galerya Szlomów, Mordków i Kiwów, niezmordowanych pracowników na polu handlu zbożem, interesów bankowych i innych interesów z mniej określonemi nazwiskami. Jeszcze piękniejsza galerya „mniej głośnych, choć nie mniej wybitnych pracowników, których demokratyczne usposobienie skłania do *pracy* wśród ludu wiejskiego": starszego felczera Fajbusia Melocha, wyrywającego zęby, stawiającego pijawki i „sprawiającego" popisowych, przeznaczonych do poboru wojskowego; Lejzora Ganga, wielkiego miłośnika zabaw ludowych i... ludowego picia; Uszera Spokojnego, który na targach i jarmarkach umie bydełko tanio nabywać, a jednocześnie nie tracić opinii uczciwego, najlepiej płacącego nabywcy. „Dobrodzieje" z miejskiego bruku nie wiele się różnią od wiejskich „pracowników"; te same ich cele, niejednokrotnie identyczne środki. Berek Liebesfeind sprzedaje wiejskim dzieciom cukierki, czyli właściwiej mówiąc wymienia je za jaja, za gęsi; J. Kalchasgrün stara się o mebelki dla kawalerów-sublokatorów, a dla ułatwienia interesu oddaje je im „z wypłatą na raty"; Herman Rebocher wypożycza kostiumy na maskarady, a w danym razie gotów sam wziąść na siebie teatralne przedsiębiorstwo, zapewnić artystom i artystkom powodzenie, oklaski, kwiaty; Eselpferd założył lombard w celu niesienia pomocy cierpiącej ludzkości. Czy to nie piękne?! *Was willst du noch mehr?*

Rzadkim a cennym przymiotem, bo przymiotem oryginalności odznacza się autor podpisujący się nazwiskiem Jana Ogińskiego-Kontrymowicza. Mniejsza o to, jak nazwiemy jego pisma: powieścią, opowiadaniem, czy powieściowym pamiętnikiem; to pewna, że zna niezmiernie wiele ciekawych a charakterystycznych szczegółów odnoszących się do

---

[1] „Kosztowni dobrodzieje". Sylwetki z bruku. Warszawa 1897.

[2] „Żydzi przy pracy". Notatki wieśniaka. Warszawa 1896.

zwyczajów i obyczajów panujących w Polsce w niedawno jeszcze ubiegłych latach. „Książe Hołuba“ [1] wprowadza nas w sam środek domowego życia w pańsko-szlacheckich dworach w pierwszej połowie bieżącego stulecia; roztacza obraz ówczesnego domowego i szkolnego wychowania; ówczesnych zabaw, bardzo nieraz smutnych i wstrętnych; ówczesnych marzeń, prac, walk, przed któremi nie podobna nie pochylić czoła. W dwóch pierwszych tomach poruszamy się widocznie na gruncie historycznym i tomy te mają istotną wartość; w trzecim fantazya gwałtownie zaczyna brać górę, fantazya nie cofająca się nawet przed zaczarowanemi górami i zamkami, w których tajemnicze jakieś istoty tajemniczem żyją życiem a całą okolicę napełniają podziwem i przerażeniem. Z temi fantastycznemi po nad miarę opowiadaniami trzeciego tomu iść mogą o lepsze, fantastyczniejsze jeszcze opowiadania zawarte w osobnym tomiku: „Z czeluści piekielnych“ [2]. Jeżliby tytułowi wierzyć, miałby to być ciąg dalszy powieści „Książe Hołuba“. Tak autor napisał, a więc tak jest — ale z jakiej racyi napisał, trudno się dorozumieć; chyba dla tego, że jak już wspomnieliśmy, jeszcze więcej tu bajeczek, zdolnych dzieciom spędzić sen z oczu na noce całe. Dziwny, cudowny pies, mędrszy od najsprytniejszych ludzi, przeprowadza sachalińskich wygnańców do gościnnej Japonii; potężni jak królowie, mądrzy jak Salomoni, dobrzy i wspaniali, mężni jak średniowieczni bohaterzy, Żydzi i Japończycy, Polacy i Rosyanie, ba! nawet Ajnasowie, wyrastają z pod stóp na zawołanie i idąc o lepsze z cudownym owym psem, usuwają z drogi, niby za dotknięciem czarnoksiężkiej różdzki, największe przeszkody. Każda powieść jest trochę bajeczką, ale są przecie pewne w tem granice, których nie należałoby przekraczać, tem bardziej, jeźli kto złożył dowód, że wie wiele ciekawych a prawdziwych rzeczy i umie o nich opowiadać.

Caeteris paribus, chętniej się zawsze bierze do ręki ładną, wytwornie wydaną książeczkę. Rozumieją to dobrze Francuzi i zasypują świat miniaturowymi tomikami, przyozdobionymi w drobne, delikatne illustracye. Księgarnia Gebethnera i Wolffa od pewnego czasu idzie raz po raz w ich ślady i prawdopodobnie nie żałuje tego, iż odważnie przesadziła paryską modę na warszawsko-krakowski grunt. Nie ma

[1] „Książe Hołuba, czyli Don Kiszot XIX wieku“. Powieść w trzech częściach. W Krakowie, Spółka Wydawnicza Polska 1896.

[2] „Z Czeluści Piekielnych“; Ciąg dalszy powieści „Książe Hołuba“. W Krakowie, Spółka Wydawnicza Polska 1897.

z pewnością powodu żałować, tem bardziej, że wydane dotąd tomiki — te w każdym razie, które mamy przed sobą na biórku — piękne zewnętrzną wytworną formą, bardziej jeszcze ciągną wytworną treścią. Dawniej już pisał *Przegląd* o „Duszach w odlocie“ Gawalewicza, wydanych w ten sposób; tu wspomnieć chcemy w krótkości o „Grzechach dzieciństwa“ Bolesława Prusa[1], i o „Requiescat in pace“ Ks. Zygmunta Chełmickiego[2]. Wspomnieć tylko — ale w tym celu, by je polecić, nie zaś by je streszczać, omawiać lub krytykować. Krytykować potrafiłby tu tylko ktoś, coby się na to z góry uwziął: a przy streszczaniu czy omawianiu straciłyby te udane opowiadania właśnie to, co do nich ciągnie: jakiś młodzieńczy wdzięk, jakiś niepochwytny urok. Prus, wytrawny powieściopisarz, więc mniej mu się dziwić, że stworzył cacko; Ks. Chełmicki na tem polu nie zbierał dotąd wybitniejszych laurów, tem większa pociecha, że je sobie teraz odrazu na skroń założył. Nieraz powieściopisarze kuszą się o nakreślenie portretu idealnego wiejskiego lub małomiasteczkowego proboszcza, i nieraz, nawet przy niezgorszych chęciach, miasto portretu malują niezgrabną karykaturę; nakoniec wreszcie Ks. Chełmicki nakreślił nam w księdzu Anzelmie, prawdziwego ojca parafii, co i z Bogiem złączony, i dla ludzi nie jest strachem na wróble, lecz umie z nimi żyć, umie z nimi się modlić i pracować, umie współczuć w ich cierpieniach, a ile możności odwraca od nich cierpienia i moralne i materyalne. Kto będzie na przyszłość chciał kreślić typ idealnego katolickiego kapłana, a sam nie miał szczęścia z kapłanem takim nie tylko się spotkać, lecz dłużej i poufniej z nim żyć, niechże przynajmniej odczyta sobie uważnie raz i drugi opowiadanie Ks. Chełmickiego. Szkoda, że księgarnia nie zamówiła sobie i do tego opowiadania zdolnego jakiego illustratora.

O „Zielonym kajecie“[3] p. Wiktora Gomulickiego, niewiele się co da powiedzieć. Zielonym on jest, a w każdym razie był, kiedy z księgarni na świat ten Boży wychodził, dziś bowiem zielone jego okładki przeszły pod wpływem słonecznych promieni w kolor nieokreślony, jakiś brudnawo-żółty. Kajetem jednak nie jest. Gdyby nim

---

[1] „Grzechy dzieciństwa“ przez Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) z illustracyami Apoloniusza Kędzierskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1896.

[2] *Requiescat in pace.* Opowiadanie przez Ks. Zygmunta Chełmickiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1897.

[3] „Zielony kajet“. Szkice z ustronia. Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i S-ki. 1896.

był, tj. gdyby go skrócić o połowę, lub o trzy ćwierci, lepiejby na tem wyszli czytelnicy — no... i pisarska reputacya autora. Od czasu do czasu uderzy myśl jakaś głębsza, odezwie się serdeczniejsza nuta jak np. w szkicu „Ciąg dalszy i dokończenie", lub w bardzo wdzięcznym obrazku „Wszystkie nasze dzienne sprawy". Za to inne obrazki, nibyto bardzo subtelne, bardzo wyidealizowane... ale aż tak subtelne, że zwykły śmiertelnik czyta raz, czyta drugi raz... i ostatecznie z pewnem wewnętrznem upokorzeniem zapytuje sam siebie: „Czego on tu u licha chciał? — i czy wogóle chciał czegokolwiek?"

Ci „zwykli śmiertelnicy" są po prostu niegodziwi ze swemi wymaganiami i ze swą logiką.

W życie fabryczne wprowadza nas p. Kosiakiewicz w „Plamie" [1]. Głównym motywem powieści, osnutej jakoby na „pamiętnikach wynalazcy", jest rozwiązanie pytania: Czy słuszną jest rzeczą, aby niehonorowy jakiś czyn, popełniony w chwilowem zapomnieniu się, a następnie odpokutowany długoletnią, pożyteczną pracą, pozostawiał w opinii ludzkiej niezatartą plamę; czy rozumnem jest, aby każdy człowiek nieuczciwy lub lekkomyślny, który przypadkiem dowiedział się o tej plamie, miał w swem ręku los najzacniejszego już dziś może męża i w każdej chwili, wedle własnego widzimisię, wyrzucić go mógł poza granice społeczeństwa, dla którego dobra pracuje?" Dwóch odpowiedzi na to pytanie być nie może; a jednak... jakże często nieszczęśliwe jakieś przesądy stają w drodze jasnemu pewnikowi, podyktowanemu przez sam zdrowy rozum, o chrześcijańskich zasadach już nie wspominając.

Tu wiemy, czego p. Kosiakiewicz chciał i do czego dążył. W „Rozpieszczonej dziewczynie" [2] trudniej jednego i drugiego się doszukać. a na domiar biedy, autor porzucił fabryki, porzucił małomiejskie życie, którego był dotąd fotografem-specyalistą i puścił się na szerokie wody życia salonowo-szlacheckiego. Na te wody tylu już powieściopisarzy swe okręty i łódki puszczało i wciąż puszcza, że trudno brać p. Kosiakiewiczowi za złe, iż nie wynalazł żadnej nowej drogi i zadowolnił się powtórzeniem scen, intryg i intryżek, opisanych już nie wiedzieć wiele razy przez mnogich kolegów i koleżanki po piórze; jedna postać wuja Malickiego trochę oryginalniejsza, ale postać to trzymana na drugim planie, a czasem tak grubemi farbami narzucona, że nadawałaby się

[1] „Plama". Z pamiętników wynalazcy. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[2] „Rozpieszczona dziewczyna". Warszawa. Nakład i druk Emila Skiwskiego. 1896.

raczej do jakiej niedzielnej lub kalendarzowej humoreski. Jeśli prosić wolno, to szczerze prosilibyśmy p. Kosiakiewicza, aby opuściwszy szlacheckie salony, oprowadzać nas dalej zechciał po fabrycznych halach, po szewskich warsztatach i krawieckich izdebkach!... Jemu łatwiej będzie pisać, nam milej i pożyteczniej czytać.

Pani Kowerska! Miłe obrazy w pamięci, miłe dźwięki w sercu wywołuje zazwyczaj to nazwisko. Zazwyczaj?... Czy nie zawsze?

Niestety! nie zawsze; bo zdarza się czasem, że autorka wystąpi ni stąd ni zowąd z takim dzikim frazesem, taki do zbytku naturalistycznemi barwami malowany obrazek rzuci na papier, iż zdziwiony raz jeszcze na okładkę spoglądasz i pytasz: Czy to Kowerska, czy nie Kowerska? Szczęściem rzadkie to zapomnienia się, które nie powinny wpłynąć na ogólny sąd o powieściach zdolnej, i bądź co bądź jednej z najsympatyczniejszych naszych autorek. Jej „Znane dzieje“ są rzeczywiście znane, bo ileżto dziewcząt wiąże swe życie nie z tym, który prawdziwie je kocha i mógłby im przynieść szczęście, ale z pierwszym lepszym lekkomyślnym młodzikiem, którego zgrabna postawa w oko im wpadła. Za to ciężko się potem pokutuje!

Bolesne, pełne ciężkiej odpowiedzialności skutki tak lekkiem często sercem w świat puszczonych plotek żywo i prawdziwie przedstawia: „Ploteczka“. Śliczną jest postać starej „Niańty“, wiernej, kochającej, należącej w najściślejszem słowa znaczeniu do rodziny, którą całą wychowała na własnych rękach.

To mniejsze, w jednym tomiku zebrane razem opowiadania, obrazki[1].

Dwa tomy: „Na służbie“ [2] uczą, jak spełniać obowiązek choć najcięższy, jak od służby i najtwardszej się nie uchylać, kiedy do niej wzywa serce i sumienie. Służy rodzinie i krajowi młody Skierka ratując nadludzkiemi wysileniami rodzinny zagon od przejścia w obce, może wrogie ręce; służy młodziutka, przywykła do dostatków, do hołdów Alina, i nie waha się wejść w nauczycielską służbę do obcego, z początku bardzo sobie niechętnego domu, byle rodzicom życie ułatwić, byle braciszkom, siostrzyczkom zapewnić potrzebne wykształcenie; służy na swój sposób stara, na pozór na wszystko nieczuła Skierczyna. Kiedy powieści już być muszą, i żaden moralista nie potrafi ze świata

---

[1] „Znane dzieje“. „Ploteczka“. „Niańta“. „Piotr i Paweł“. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

[2] „Na służbie“. 2 tomy. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

ich wypędzić, niechże niosą takie nauki i takie zachęty, jakich do czytujemy się w tych dwóch tomach: „Na służbie".

Musiała pójść na służbę Alina, bo rodzice jej stracili majątek; musi za służbą oglądnąć się i pan Widzki, bohater „Oficyalisty" [1] Adama Pługa, bo również cała dawniejsza fortuna z rąk mu się wymknęła. Częsty to motyw w powieściach z ostatniego czasu: strata ostatniej wioski, przejście ostatniego folwarku z polskich, szlacheckich rąk w żydowskie, w obce ręce; częsty w powieściach, bo niestety! częsty i w życiu! To jeszcze dobrze, kiedy znajdzie się taka Alina, taki Widzki, którzy nie czekają, aż im sama manna z nieba do ust spadnie, ale zrzuciwszy fałszywy wstyd z serca, biorą się energicznie do nauczycielskiej czy ekonomskiej pracy. W pierwszym tomie „Oficyalisty", noszącym jeszcze osobny tytuł: „Za służbą", dowiadujemy się, jak trudno i przy najlepszych chęciach dostać pożądaną pracę; w drugim „Łaska pańska", stwierdzamy słuszność starego przysłowia: „łaska pańska na pstrym koniu jeździ"; w trzecim opowiada autor, jak smakuje, kiedy się jest „na bruku". Poczciwe chęci, rozumne zasady przebijają z tych trzech tomów; inne pytanie, czy wielu dziś się znajdzie, którzyby chcieli przestudyować wielką powieść, pisaną wedle nieco starożytnej metody, przenoszącej nas i co do stylu i co do środków nawiązywania i rozwiązywania różnych intryg i co do sposobu traktowania czarnych, szarych i białych charakterów, o jakie trzydzieści, kto wie, czy nie o czterdzieści lat wstecz.

Ale pocieszmy się! Nie wszyscy są tak archaiczni jak zacny p. Pług. Niezwykle nowożytnym jest np. autor powieści, krótko zatytułowanej: „As" To pan Adolf Dygasiński. O Dygasińskim dawno krytyka sąd wydała. Niemałego talentu i niezwykłego daru spostrzegawczego nikt mu nie odmawia; w tem tylko żal, w tem szkoda dla autora i społeczeństwa, że utalentowane to pióro raz po raz zbacza na drogi, na które iść za niem niepodobna. Ale ktoby z drugiej strony wątpił lub nie wiedział, jak Dygasiński podpatrzeć umie w najdrobniejszych szczegółach swego bohatera, mniejsza o to: psa, kota, czy człowieka, niech weźmie do ręki „Asa" [2] i na chybił trafił przepatrzy parę kartek. Nie chodzi tym razem o karcianego asa, jakby może sądzić mógł jaki czytelnik dawniejszego „Winta"; ale o „fertycznego, czarnego jak

[1] „Oficyalista", przez Adama Pługa. 3 tomy. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1896.

[2] „As". Powieść przez A. Dygasińskiego. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwera 1896.

kruk pontera". As najróżniejsze koleje przechodzi, ma dobrych i złych panów i panie, pomaga im i przeszkadza w różnych wesołych lub smutnych sprawach i awanturach; jedni pieszczą go na zabój, inni na przemiany i dla odmiany na zabój biją. Pieszczą, biją, pies nie korzysta w dostateczny sposób z nauk płynących z życia i kończy smutnym końcem, arcyniesprawiedliwie o wściekliznę podejrzany i oskarżony.

Czy nie szkoda talentu i czasu na tę „psią" beletrystykę? Ha, darmo! Gusta są różne i — jak powiada przysłowie — trudno o nich dysputować.

Obok „solidnych firm" z ustaloną marką, występują raz po raz młodsze, lub — ręczyć nie śmiemy — może nie młodsze, ale tylko mniej znane autorskie nazwiska, na nowelistycznej i powieściopisarskiej niwie. Między nowszymi tymi nowelistami, czy powieściopisarzami, nie dostrzegamy żadnego, coby innym od razu ponad głowę wyrósł i dawał rękojmię, że zostanie kiedyś drugim Sienkiewiczem polskiej powieści. Nie widzimy żadnego, lecz czemuż tracić nadzieję? — Wszak zdarza się, że po pierwszych nieśmiałych próbach, nagle okazuje się, jakby na przekór zrzędzącym krytykom, mistrz prawdziwy. Oby takim mistrzem okazał się kryjący się pod szatą pseudonimu „Exterus"; oby, jak spróbował w powieści swej „Po zdrowie" [1], chwytał w szeregu innych, za puls ludzkiej woli i stosownie do podanego przez siebie *motto*, ale głębiej, szerzej patrzał na:

ludzkie nędze i ludzkie uciechy,
Płacz i śmiech, cień i światło i cnoty i grzechy...

To samo życzenie stosujemy i do Wandy Grot Bęczkowskiej i do Cecylii Niewiadomskiej i do Maryi Milkuszyc i do autora ukrytego pod pseudonimem: Znicz, i do Teodora Lemianowicza i do Józefata Nowińskiego i do Ig. Odrowąża Wysockiego i do wielu, wielu innych, którzy dzień po dniu występują na arenę powieściopisarską, zabłysną chwilowym ognikiem, jednym tomem, jedną powiastką i dziesięć razy na dziewięć bez śladu gasną. Znicz [2] salonowe intrygi opowiada, salonowe oświadczenia i frazesy powtarza. P. Nowiński spisał kilka nowelek, z których ostatecznie żadna głębszego i trwalszego nie

[1] „Po zdrowie". Napisał Exterus. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1896.

[2] „Fałszywe dźwięki". Obraz z życia. Przez Znicza. Warszawa. Nakład T. Paprockiego i S-ki. 1896.

zostawia wrażenia [1]. P. Bęczkowska pragnie w głąb duszy sięgać, to w głąb duszy artystycznej, namiętnie muzykę miłującej, ale która tego, co czuje, nie umie oddać na swych skrzypkach w dość wstrząsających tonach [2]; to znowu w te dusze tak liczne, co niby mają wolę, a w gruncie rzeczy woli nie mają, na nic, co choć trochę kosztuje, nie umieją się zdobyć [3]. Są tu rzeczy prześliczne, są zdania tak prawdziwe, a tak serdeczne i z takim zapałem wyrażone, że łatwo dla nich przebaczyć pewną rozwlekłość całej fabuły. Wyborne np. są uwagi o dzisiejszym sposobie wychowania zamożniejszych dziewcząt: doskonałe uwagi o bezbrzeżnie smutnym losie kobiet, których nikt nie nauczył się modlić. P. Niewiadomska maluje dziewczynę, potem kobietę, której serce nigdy się nie zapaliło ogniem wyższych, świętych ideałów; byle modną mieć suknię, płeć bez skazy, byle nie potrzebować się nad niczem zmęczyć, a komplementów módz słuchać dużo — cel życia dopięty. Biedna istota, prawdziwie „stracona"! [4] Całe szeregi takich straconych spotyka się w życiu; portreciki paru z nich spotykamy również w „Dziadowie i wnuki" [5], poczciwem, z dobrą tendencyą pisanem opowiadaniu. Autorka, p. Milkuszyc wykazać pragnie, że praca nikogo nie hańbi, a jeśli co hańbi, to lekkomyślne korzystanie z cudzej pracy, to bezmyślne rzucanie się — nieraz z cudzą krzywdą — w wir odurzającej zabawy. Nienajnowszy zapewne temat; ale kiedy trzeba się o niego w życiu na każdym kroku ocierać, czemu i jakże nie ocierać się w powieści?

Nie nowy też temat poruszony przez T. Lemianowicza w „Jedynaczce" [6], ale ważny i wciąż na czasie będący. Czy to dobrze wychowywać młode panienki w nieświadomości, co i jak na świecie się dzieje; czy nagłe, od przypadku zależne otworzenie oczu młodej, niedoświadczonej kobiety na moralne biedy, może na moralną zgniliznę,

---

[1] „Świekra" i inne nowele. Warszawa. Nakładem Dubowskiego i Gajewskiego. 1897.

[2] „Co będzie z naszego chłopca?". Warszawa. Nakładem G. Centnerszwera. 1896.

[3] „Bez woli". Powieść w trzech częściach. Nakładem księgarni P. Paprockiego i Sp. 1896.

[4] „Stracona". Przez Cecylię Niewiadomską. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[5] „Dziadowie i wnuki". Przez Maryę Milkuszyc. Warszawa. Nakładem P. Paprockiego i Sp. 1897.

[6] „Jedynaczka". Przez Teodora Lemianowicza. Szkic z natury. Warszawa. Nakładem P. Paprockiego i Sp. 1896.

zostawia wrażenia [1]. P. Bęczkowska pragnie w głąb duszy sięgać, to w głąb duszy artystycznej, namiętnie muzykę miłującej, ale która tego, co czuje, nie umie oddać na swych skrzypkach w dość wstrząsających tonach [2]; to znowu w te dusze tak liczne, co niby mają wolę, a w gruncie rzeczy woli nie mają, na nic, co choć trochę kosztuje, nie umieją się zdobyć [3]. Są tu rzeczy prześliczne, są zdania tak prawdziwe, a tak serdeczne i z takim zapałem wyrażone, że łatwo dla nich przebaczyć pewną rozwlekłość całej fabuły. Wyborne np. są uwagi o dzisiejszym sposobie wychowania zamożniejszych dziewcząt: doskonałe uwagi o bezbrzeżnie smutnym losie kobiet, których nikt nie nauczył się modlić. P. Niewiadomska maluje dziewczynę, potem kobietę, której serce nigdy się nie zapaliło ogniem wyższych, świętych ideałów; byle modną mieć suknię, płeć bez skazy, byle nie potrzebować się nad niczem zmęczyć, a komplementów módz słuchać dużo — cel życia dopięty. Biedna istota, prawdziwie „stracona"! [4] Całe szeregi takich straconych spotyka się w życiu; portreciki paru z nich spotykamy również w „Dziadowie i wnuki" [5], poczciwem, z dobrą tendencyą pisanem opowiadaniu. Autorka, p. Milkuszyc wykazać pragnie, że praca nikogo nie hańbi, a jeśli co hańbi, to lekkomyślne korzystanie z cudzej pracy, to bezmyślne rzucanie się — nieraz z cudzą krzywdą — w wir odurzającej zabawy. Nienajnowszy zapewne temat; ale kiedy trzeba się o niego w życiu na każdym kroku ocierać, czemu i jakże nie ocierać się w powieści?

Nie nowy też temat poruszony przez T. Lemianowicza w „Jedynaczce" [6], ale ważny i wciąż na czasie będący. Czy to dobrze wychowywać młode panienki w nieświadomości, co i jak na świecie się dzieje; czy nagłe, od przypadku zależne otworzenie oczu młodej, niedoświadczonej kobiety na moralne biedy, może na moralną zgniliznę,

---

[1] „Świekra" i inne nowele. Warszawa. Nakładem Dubowskiego i Gajewskiego. 1897.

[2] „Co będzie z naszego chłopca?". Warszawa. Nakładem G. Centnerszwera. 1896.

[3] „Bez woli". Powieść w trzech częściach. Nakładem księgarni P. Paprockiego i Sp. 1896.

[4] „Stracona". Przez Cecylię Niewiadomską. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[5] „Dziadowie i wnuki". Przez Maryę Milkuszyc. Warszawa. Nakładem P. Paprockiego i Sp. 1897.

[6] „Jedynaczka". Przez Teodora Lemianowicza. Szkic z natury. Warszawa. Nakładem P. Paprockiego i Sp. 1896.

nie jest stokroć niebezpieczniejsze, niż gdyby kochająca a rozumna ręka zwolna a oddawna wtajemniczała ją w to, co ją na pewno czeka, i w to, z czem tak często, tak łatwo spotkać się może?

Nową autorkę — bo możnaby się prawie założyć, że mamy przed sobą autorkę, nie autora — pierwszy raz, zdaje nam się, występującą przed szerszem kołem czytelników, witamy pod pseudonimem Iry. Witamy i szczerem sercem z radością witamy. Dać chciała i dała w powieści „Pod rodzinnem niebem“ [1] „obraz duszy głęboką wiarą uświęconej“, której „błękitu żadna fala nieszczęść nie może zupełnie zaciemnić, bo za tymi błękitami — jest Bóg“. Na tle smętnych wielkopolskich stosunków z ostatnich czasów, obok nierozsądnych pyszałków, trwoniących swe majątki, zarysowuje się parę ślicznych postaci polskich młodzieńców, polskich dziewic, wołających sercem i życiem: Nigdy nie wolno tracić otuchy, zawsze coś do roboty zostaje! Więcej takich powieści kształcących, podnoszących, a które na każdym stoliku bezpiecznie znaleść się mogą!

Z kolei staje przed nami aż dwóch panów Glińskich: Henryk i Kazimierz.

Przed paru laty nakreślił Gawalewicz galeryę różnych żon, cichych i głośnych, wiecznie się śmiejących i bez ustanku szlochających; p. Henryk Gliński, nowy niejako salon do galeryi tej dobudowując, spróbował sfotografować różne „Mamusie“ [2], i te co do kukułek podobne, i te, co do pszczółek roboczych, i te, co (przepraszamy za porównanie) do gęsi najbardziej zbliżone, i te wreszcie, które słusznie nazwać można żyjącemi, ruszającemi się lalkami. Czemu pod tytułem dopisany dodatek, czy wyjaśnienie „Studya niedyskretne“, to już tajemnica autora. Najprawdopodobniej miał to być reklamowy środek, służący do ściągnięcia znaczniejszej liczby kupujących; środek nie nowy, używany nieraz przez różnych autorów, a z większem jeszcze powodzeniem przez impresaryów jarmarcznych widowisk. Czy użyć go należało, to już rzecz gustu; szkoda, że nakładcy nie zwrócili autorowi uwagi na ten, co najmniej, brak smaku; dobrze przynajmniej, że ci, co poszli lub pójdą na lep zastawionej przynęty, spotkają się z zawodem.

---

[1] „Pod rodzinnem niebem“. Przez Iry. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1896.

[2] „Mamusie“. Przez Henryka Glińskiego. Studya niedyskretne. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1897.

„Klęska“ [1] Kazimierza Glińskiego społeczną ma tendencyę. „Nieszczęście, że my was nie znamy“, że jedna warstwa społeczeństwa o drugiej nie wie. Widać z pałacu szlacheckie dworki, wielki park pański przytyka do skromnego ogródka, a mieszkańcy dworku i pałacu tyle o sobie wiedzą, jak gdyby jedni mieszkali w Warszawie, drudzy w Pekinie. Co zapełnić może tę przepaść? Miłość prawdziwa, taka gorąca, jaką dumna Malwina zapałała dla Andrzeja. I ta miłość z niezmiernemi będzie musiała walczyć przeszkodami, ale ostatecznie musi zwyciężyć. Lecz przedewszystkiem podkreśla autor na ostatniej stronicy morał płynący z całej powieści: „Poznać się trzeba“. „My was nie znamy — żali się ze łzami stary arystokrata, któremu nagle jakby bielmo z oczu spadło — was nie znamy! To grzech, dlatego jest tak ciężką i pokuta“.

Po dwóch pp. Glińskich idą znowu dwaj pp. Wysoccy: ci jednak w niczem niepodobni do siebie... poza nazwiskiem.

Ignacego Wysockiego „Iryna“ [2] należy do powieści starszego autoramentu: gdyby o tem kto wątpił, przekonałaby go krótka przedmowa, bardzo szczera, serdeczna, ale z którą czytelnik zblazowany mnóstwem pochłoniętych w siebie dekadentycznych, symbolistycznych, niepochwytnych nowelek, obrazków, nie bardzo wie, co zrobić. Autor zaręcza z całą powagą, że powiastkę swą skopiował „z życia realnego“ i to z życia „przed pięćdziesięciu laty na wołyńskiem Polesiu“; że w opowiadaniu jego niema żadnej „drastycznej, zawiłej intrygi, ani zabarwień i psychologiczno-literackich dysertacyj“. Bardzo to pięknie, ale czy wielu nieco archaistyczne opowiadanie o zapobiegliwym obywatelu Zabłockim, o wiernym swojemu panu karbowym Tarasie czytać będzie, czy z drugiej strony istotnie wiele było wsi, w których pańszczyźniane stosunki przedstawiały się tak idealnie, jak w Zabłociu? — o tem wątpimy.

Z autorem „Iryny“, Ignacym Odrowążem Wysockim, pomieszać nie należy, jak to już wspomnieliśmy, Antoniego Godziemby Wysockiego, autora „Namiętności“, „Domu zdrowia“ i paru innych powieści, szkiców i obrazków, które od niedawnego czasu w szybkiem tempie rzucił na stoły księgarskie. Pomieszaćby nawet trudno było: na pierwszy bowiem rzut oka każdy rozróżni starca zdrowego, czerstwego, żyjącego

[1] „Klęska“. Przez Kazimierza Glińskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[2] „Iryna“. Powieść poleska. Przez Ign. Odrowąża Wysockiego. Nakładem autora. 1896.

przeszłością, od trochę może znudzonego młodzieńca, który wpatrzył się w nowsze prądy i choroby, i raz po raz pragnie z niemi koniecznie zapoznać szersze warstwy. Nowsze i nienowsze, bo te same „Namiętności“ [1], które grają w sercu pani Stavary lub pani Biesiekierskiej, które na jednych sprowadzają śmierć, na innych więzienie, grały przed setkami i tysiącami lat w tylu już sercach i nic się naprawdę od tych starych czasów nie zmieniły. Milszy daleko p. Wysocki, kiedy szkicuje proste obrazki, to szwaczki, której nagle z zachmurzonego nieba błysnął promyk szczęścia; to niewinnego dziecka, nie mogącego dość się nacieszyć podarkami, przyniesionymi w wielkiej tajemnicy przez św. Mikołaja; to biednego starucha, co mimo wszystkich postanowień i przyrzeczeń wstrzymać się nie może, aby nie opowiedzieć po raz setny przyjacielowi, jak on to dawniej inne życie prowadził, w pięknym domu w Warszawie mieszkał, dobry porter pił — jakie to dawniej były „dobre czasy“.

A może naprawdę, jeśli nie zupełnie dobre, to jednak trochę lepsze były dawniej czasy! Dużo im brakowało, ale też dużo rzeczy, spraw i kwestyj nie było, z któremi dziś niewiedzieć, jak dać sobie radę. Ot choćby np. — aby nie odbiegać od danego przedmiotu — w dawnych czasach nie było tyle powieści, a co ważniejsza, nie było obowiązku zdawania z nich egzaminu w *Przeglądzie Powszechnym*.

Dzisiaj — inaczej!

Ks. Jan Badeni.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Geschichte der christlichen Eschatologie innerhalb der vornicänischen Zeit mit theilweiser Einbeziehung der Lehre vom christlichen Heile überhaupt, von *Dr. Leonhard Atzberger*. Freiburg im Br. Herder 1896. (W 8-ce, str. XII. i 646).

Blizko sześć lat upłynęło od ukazania się pierwszego studyum eschatologicznego naszego autora pod tytułem: „Chrześcijańska eschatologia w stadyum jej objawienia w Starym i Nowym Testamencie“. Redakcya *Przeglądu Powszechnego* [2] powitała wówczas to dzieło całkiem słusznie jako obfitą kopalnię dobrze uporządkowanego materyału

[1] „Namiętności“. Przez Antoniego Godziembę Wysockiego. 1896.

[2] R. 1890, t. XXVIII, str. 136, 137.

o rzeczach ostatecznych nietylko dla badaczy biblijnych, lecz także dla dogmatyków, moralistów i kaznodziejów.

Tom obecny, poświęcony historyi chrześcijańskiej eschatologii w epoce przednicejskiej, tworzy zamkniętą dla siebie całość, choć łączy się bardzo ściśle z poprzednim. Ile trudności autor miał do zwalczenia w wydobyciu właściwych myśli z dokumentów przedkonstantyńskich, w uchwyceniu ich związku, w oddaniu ich wiernem w formie języka nowożytnego, potrafi dokładnie ocenić tylko ten, który sam próbował rozczytywać się w dziełach Tertulliana, Klemensa Aleksandryjskiego albo Origenesa. Przyznać trzeba, że wywiązał on się z zadania dobrze, przywołując wszędzie do pomocy wszystkie nowsze wyniki specyalnych badań nad literaturą patrystyczną.

Do eschatologii autor liczy nietylko naukę o przyjściu Chrystusa na sąd ostateczny i zostające z tem przyjściem w związku zdarzenia, ale także sąd szczegółowy i los duszy w międzyczasie od śmierci aż do sądu powszechnego. I słusznie, bo według nauki katolickiej rozstrzyga się zasadniczo los człowieka zaraz po śmierci. Zaczyna on od Ojców apostolskich, przechodzi do apologetów II. wieku, zajmuje się eschatologią gnostyków Montanistów i chrześcijan nawróconych z Żydów, obroną i przedstawieniem katolickiej nauki o rzeczach ostatecznych przez Ireneusza, Hipolita i Tertulliana. W rozdziale VIII. traktuje o naukowem opracowaniu objawionej eschatologii ze strony Klemensa Aleksandryjskiego; w IX. daje pogląd na prace Origenesa, który starał się pogodzić naukę katolicką z zapatrywaniami filozofii helleni stycznej. Rozdział X. poświęcił uczniom i przyjaciołom Origenesa z epoki przedkonstantyńskiej: XI. przeciwnikom wielkiego nauczyciela akademii aleksandryjskiej; XII. eschatologii Manichejczyków; XIII. eschatologii Cypryana; XIV. obronie nauki kościelniej ze strony Minucyusza Feliksa, Nowacyana, Wiktoryna z Pettavium i Arnobiusza; XV. Laktancyuszowi.

Jako dodatni szczegół należy podnieść, iż autor wyzyskał do swej pracy akta męczeńskie, liturgie kościelne, obrazy i napisy katakumbowe. Wiele kamieni wypowiada silne przekonanie, że zmarli żyją w pokoju, w Bogu, w Chrystusie. Czytamy np.: Tu spoczywa w pokoju Severianus, którego ducha przyjęto do światłości. Pozostali na ziemi chrześcijanie wzywają dalej pomocy i wstawiennictwa żyjących w niebie przyjaciół. „Gencyanusie, głosi napis, módl się za nami, bo wiemy, iż odpoczywasz w Chrystusie“. „Dyonizyusz, niewinne dziecię, opiewa inny epitaf, spoczywa tu ze Świętymi. Pamiętajcie o nas

w świętych waszych modlitwach". Tu należą także inwokacye i życzenia: „W pokoju", „Pokój Panai C hrystusa z Faustynem Attykiem", „Regino, żyj w Panu Jezusie", „Pokój tobie wieczny, Tymoteo, w Chrystusie", „Rufino, niech Bóg da ochłodę twej duszy", „Pawle, niech do pokoju przyjmą cię dusze wszystkich świętych", „Demetryusz i Leoncya kładą ten napis Syrycyi, swojej dobrze zasłużonej córce. Pamiętaj, Panie Jezu, o naszem dziecięciu". Z malowideł ilustrowały wiarę w życie pozagrobowe sceny Joba, Daniela we lwiej jamie, trzej młodzieńcy w piecu ognistym, wizya Ezechiela przedewszystkiem zaś częste bardzo obrazy Jonasza i wskrzeszenia Łazarza. Oprócz tych świadectw są jeszcze trzy bardzo ważne i piękne nazwania w starokościelnej terminologii, zostające w związku z katolicką eschatologią, które można nazwać cudem mowy chrześcijańskiej: najpierw nazwa cmentarza czyli sypialni, dalej termin *depositus*, głoszący, że zwłoki powierzono grobowi tylko na czasowe przechowanie, wreszcie *dies natalis, natalitia* — dzień urodzin dla nieba na oznaczenie dnia śmierci.

W ten sposób autor wykazał, że żywi i umarli, ludzie i kamienie jednogłośnie w epoce przednicejskiej wtórują wyznaniu składu apostolskiego: „wierzę w żywot wieczny".

Ks. J. Bilczewski.

Le martyrologe de l'église du Japon 1549—1649. Par *l'abbé Profillet,* ancien aumônier de la flotte et de l'armée. 3 volumes. Paris chez Téqui.

W chwili, gdy Japonia narzuca się uwadze całego świata szybkiem wchłanianiem cywilizacyi europejskiej, zwycięstwami nad Państwem Niebieskiem, nagłym rozkwitem przemysłu i współzawodnictwem handlowem na wszystkich posterunkach, niepodzielnie dotąd dzierżonych przez Europejczyków, nie dziw, że myśl katolików cofa się w przeszłość tej bogatej krainy, śledząc tamże śladów chrześcijańskiej gminy, ongi przez św. Franciszka Ksawerego założonej, aby po całem stuleciu niebywałej pomyślności zginąć w morzu krwi męczeńskiej. Trafną też chwilę obrał pisarz francuski, aby z miłością opanowawszy przedmiot, sporządzić martyrologium budzącej się do nowego życia krainy. Niepodobna, aby żyźnie podlana tam krwią ofiary ziemia nie wydała obfitego żniwa zbawienia. Warto zaś przypatrzeć się tym bohaterom, którzy na dalekich kresach wschodnich z tak niezłomnem męstwem dali świadectwo prawdzie.

Każdemu bodaj wiadomo, że Kościół w Japonii przechodził ciężkie

koleje i dostarczył niebu długiego pocztu tych, co, obmywszy szaty w krwi Baranka, godni są wszędy za nim chodzić. Ale któż zna nazwiska owych wybrańców, kto szczegóły ich życia, czy śmierci? Z wielką sumiennością i ścisłością ks. Profillet przystąpił do rzeczy, która urosła w trzy tomy, na poszczególne działy rozłożone. W jednym zamieścił dzieje świętych i błogosławionych, uczczonych wyrokiem Kościoła, w drugim znajduje się zastęp czcigodnych czyli *venerabiles,* w trzecim pobożnych i cnotą wsławionych.

W pierwszym oddziale znaleźli się męczennicy japońscy, kanonizowani uroczyście przez Piusa IX. w 1862 r. Jest ich dwudziestu sześciu, sześciu Franciszkanów, siedmnastu Tercyarzy św. Franciszka i trzech Jezuitów. Starsi z nas chyba pamiętają rozgłos owej uroczystej kanonizacyi w całym świecie katolickim. Dla nas miała ona chyba osobne, symboliczne znaczenie, uczczenie męczenników w przededniu dni, co ich miały tyle przysporzyć na polskiej ziemi, na polach Unii i obszarach prawosławiem gwałtem pochłanianych. Tenże papież, Pius IX. w lipcu 1867 r. nowy hołd składał męczennikom japońskim, aż 205 z nich podnosząc beatyfikacyą na ołtarze Pańskie. Z tych było 13 Jezuitów, 12 Dominikanów, 10 Franciszkanów, 5 Augustyanów i 1 kapłan świecki. Reszta błogosławionych składała się z krajowców i świeckich osób, uczestniczących w męczeństwie swych przewodników duchownych.

Drugi tom, obejmujący zastęp męczenników godnych czci, trochę dowolnie im przyznaje tytuł *venerabilis,* żadnym dekretem stolicy św. nie potwierdzony, lecz używany tu jedynie w historycznem znaczeniu. Liczba ich dochodzi do cyfry 1243, z pośród których widzimy aż 53 kapłanów i zakonników, najwięcej mianowicie Jezuitów, bo aż 31. Trzeci zaś tom, poświęcony mężom, którzy zasłynęli w Kościele japońskim z cnoty, trudów i poświęcenia, dolicza się 280 nazwisk, w tych 88 kapłanów, z nich zaś 64 Jezuitów. Oczywiście polski czytelnik odnajdzie tu i polskie nazwiska, z chlubą spostrzegając, że naród nasz dalekiemu Wschodowi dostarczał apostołów i zasiewu krwi męczeńskiej.

Martyrologium japońskie zdumiewa sumiennością roboty autora. Opiera się on wyłącznie na wiarogodnych dokumentach, nigdy nie folguje rojeniom zapalającej się wyobraźni, aby domysłowo uzupełniać zdobyte mozolnie wiadomości. To też zamieszczone tu biografie nie równej bywają miary: jedne wyczerpujące i dłuższe, drugie ograniczają się na podaniu nazwiska i daty poniesionego męczeństwa. Kto za autorem przewertuje całość tych aktów męczeńskich, posiędzie wraz i za-

pas dokładnych wiadomości o ustroju politycznym i religijnym Japonii. Snują się tu budujące, rzewne, porywające obrazy, snują wizerunki dzielnych wiary obrońców i bohaterów. Pracę swą ks. Profillet składa u stóp biskupów, rządzących wskrzeszonym dziś z popiołów Kościołem japońskim, oraz zakonom, które dostarczyły apostołów i męczenników tej bujnej krainie, przedewszystkiem Towarzystwu Jezusowemu. W krótkiem wstępnem słowie autor powtarza: Bierzcie i czytajcie, *Tolle, lege,* krew męczeńska przemówi do serc waszych wymowniej, aniżeliby to ludzkie potrafiły głosy. Doba męczeństwa nie przeminęła, owszem zda się zbliżać ku nam wśród spółczesnego rozstroju i wzrostu bezbożności. Słuszna jest tedy, aby się zapatrywać na przykłady bohaterskich zapaśników, co życie dali za prawdę. Co mogli ci i te, powtarzał wielki biskup z Hippony po przeczytaniu aktów męczeńskich pierwszych chrześcijan, czemubyś nie potrafił i ty Augustynie?

M.

Z czeskiej literatury katolickiej.

II.

Z naukowych prac katolickich, wydanych u nas w ostatnich czasach, wymieńmy najprzód dzieło d-ra Pawła Vychodila, dyrektora papieskiej drukarni benedyktyńskiej w Bernie, pod tytułem „Poezya i etyka“ *(Básnictvi a mravouka).* Praca ta stanowi trzeci tomik „Katolickiej biblioteki wychowawczej“ *(Vzdělávaci Knihovna katolická)* i nie jest wcale wielką, bo zajmuje zaledwie 74 stronice druku. Szczupłe jednak rozmiary nie pozbawiają jej wcale nader doniosłego znaczenia i każdy przyznać musi, iż należy ona do książek, będących najbardziej na czasie. Tak otwarcie i dobitnie nikt jeszcze panom literatom nie powiedział prawdy, jak to w powyższej pracy uczynił dr. Vychodil. Posiada też to dziełko stosunkowo najwięcej cech indywidualnych swego autora, który niewielu słowami wiele umie wypowiedzieć, co zaś wypowie, tego już niezbicie się trzyma i potrafi poprzeć licznymi dowodami. Mówi on tam o wyłączności sztuki, twierdząc, że sztuka nie stoi bynajmniej ponad zasadami moralności, owszem sama ulegać im musi. Nadmienia też obszernie o znaczeniu poezyi, o jej szkodliwości, o moralności i zepsuciu w poetyckich utworach, a wreszcie o odpowiedzialności, ciążącej zarówno na autorach, jak i na czytelnikach. Wprawdzie wielu takim, których bezpośrednio to dotyczy, nie bardzo uwagi d-ra

Vychodila mogą się podobać, lecz w świecie moralnym nie upodobania rozstrzygają kwestyę. Od dawna zaś dawała się czuć potrzeba, aby ktoś otwarcie powiedział pisarzom, co im nie wolno, dłużej bowiem milczeć byłoby grzechem. Tenże sam dr. Vychodil pracuje dalej nad swoją znakomitą „Apologią chrześcijaństwa“ *(Apologie křesťanství)*. Obecnie wyszedł właśnie pierwszy zeszyt części drugiej, w której jest mowa o nabożeństwie. Wyłuszcza tam autor pojęcie nabożeństwa, jego podmiot i przedmiot, mówi o zewnętrznych środkach nabożeństwa (o modlitwie i ofierze), jak również o jego rozpowszechnieniu się i źródle, a wreszcie rozpoczyna osobny rozdział o nabożeństwie i moralności. Są to wszystko temata, stanowiące *panis quotidianus* każdego człowieka. Należy też przyznać, że dr. Vychodil dołożył widocznie wszelkich możliwych starań, aby ta praca nic pod żadnym względem nie pozostawiała do życzenia i dlatego pragniemy, aby znalazła się w ręku każdego wykształconego członka naszego społeczeństwa.

W „Wychowawczej bibliotece katolickiej“ *(Vzdělávací knihovna katolická)* kończy się teraz druk obszernego dzieła d-ra Jana Władysława Sykory, profesora uniwersytetu w Pradze, pod tytułem „Męka i chwała Jezusa Chrystusa podług czterech ewangelij“ *(Umučení a oslavení Ježíše Krista podle čtyř evangelií)*. Jest to doprawdy praca nader umiejętnie skreślona. Autor, profesor studyów biblijnych, kładzie w niej nacisk nietylko na egzegezę, ale także i na apologetykę, przytaczając wszelkie wzmianki, jakie się najczęściej słyszy o tym przedmiocie, i wszystko jak najdokładniej wyłuszczając. Dodał też wszędzie mnóstwo archeologicznych i historycznych wskazówek, nie zapominając również i o ascetycznej stronie, tak, że dzieło to nietylko duchowieństwu, ale i ludziom świeckim oddać może pod każdym względem nader cenne usługi, zwłaszcza że obfity zasób rycin ułatwia zrozumienie tekstu. Całe też skreślone zostało stylem tak płynnym i pięknym, że uwagę czytelnika przykuwa tam nawet, gdzie sama treść jest suchą i nie dla każdego zajmującą. Nawiasem dodać możemy, że po ukończeniu tej pracy w „Wychowawczej bibliotece katolickiej“ ukaże się z kolei krótszy artykuł d-ra Eugeniusza Kadeřavka: „O początku stworzenia podług świadectw biblijnych“ *(O původu tvorstva dle zpráv biblických)*, poczem zacznie wychodzić w przekładzie „Archeologia chrześcijańska“ ks. profesora d-ra Józefa Bilczewskiego.

Profesor uniwersytetu, dr. Eugeniusz Kadeřávek wydał obecnie drugą część swego dzieła: „O istnieniu i istocie Boga“ *(O jsoucnosti a bytnosti Boží. — De existentia et essentia Dei)*, a mianowicie część

Vychodila mogą się podobać, lecz w świecie moralnym nie upodobania rozstrzygają kwestyę. Od dawna zaś dawała się czuć potrzeba, aby ktoś otwarcie powiedział pisarzom, co im nie wolno, dłużej bowiem milczeć byłoby grzechem. Tenże sam dr. Vychodil pracuje dalej nad swoją znakomitą „Apologią chrześcijaństwa“ *(Apologie křesťanství)*. Obecnie wyszedł właśnie pierwszy zeszyt części drugiej, w której jest mowa o nabożeństwie. Wyłuszcza tam autor pojęcie nabożeństwa, jego podmiot i przedmiot, mówi o zewnętrznych środkach nabożeństwa (o modlitwie i ofierze), jak również o jego rozpowszechnieniu się i źródle, a wreszcie rozpoczyna osobny rozdział o nabożeństwie i moralności. Są to wszystko temata, stanowiące *panis quotidianus* każdego człowieka. Należy też przyznać, że dr. Vychodil dołożył widocznie wszelkich możliwych starań, aby ta praca nic pod żadnym względem nie pozostawiała do życzenia i dlatego pragniemy, aby znalazła się w ręku każdego wykształconego członka naszego społeczeństwa.

W „Wychowawczej bibliotece katolickiej“ *(Vzdělávací knihovna katolická)* kończy się teraz druk obszernego dzieła d-ra Jana Władysława Sykory, profesora uniwersytetu w Pradze, pod tytułem „Męka i chwała Jezusa Chrystusa podług czterech ewangelij“ *(Umučení a oslavení Ježíše Krista podle čtyř evangelií)*. Jest to doprawdy praca nader umiejętnie skreślona. Autor, profesor studyów biblijnych, kładzie w niej nacisk nietylko na egzegezę, ale także i na apologetykę, przytaczając wszelkie wzmianki, jakie się najczęściej słyszy o tym przedmiocie, i wszystko jak najdokładniej wyłuszczając. Dodał też wszędzie mnóstwo archeologicznych i historycznyzh wskazówek, nie zapominając również i o ascetycznej stronie, tak, że dzieło to nietylko duchowieństwu, ale i ludziom świeckim oddać może pod każdym względem nader cenne usługi, zwłaszcza że obfity zasób rycin ułatwia zrozumienie tekstu. Całe też skreślone zostało stylem tak płynnym i pięknym, że uwagę czytelnika przykuwa tam nawet, gdzie sama treść jest suchą i nie dla każdego zajmującą. Nawiasem dodać możemy, że po ukończeniu tej pracy w „Wychowawczej bibliotece katolickiej“ ukaże się z kolei krótszy artykuł d-ra Eugeniusza Kadeřavka: „O początku stworzenia podług świadectw biblijnych“ *(O původu tvorstva dle zpráv biblických)*, poczem zacznie wychodzić w przekładzie „Archeologia chrześcijańska“ ks. profesora d-ra Józefa Bilczewskiego.

Profesor uniwersytetu, dr. Eugeniusz Kadeřávek wydał obecnie drugą część swego dzieła: „O istnieniu i istocie Boga“ *(O jsoucnosti a bytnosti Boží. — De existentia et essentia Dei)*, a mianowicie część

poświęconą istocie Bożej. Książka ta napisana z widocznem zamiłowaniem i znajomością rzeczy, będąc zaś przeznaczoną przedewszystkiem jako podręcznik dla słuchaczy wykładów pana profesora, wielkie bezwątpienia odda im usługi. Układ całego dzieła jest bardzo logiczny. Punktem wyjścia całej rozprawy jest część pierwsza „O istnieniu Boga“ wydanej w roku ubiegłym i o której jużeśmy mówili we właściwym czasie. Zacząwszy od pierwszej własności Bożej, to jest od tego, że Bóg jest pierwszą przyczyną, która dla siebie przyczyny nie ma, rozwija autor cały szereg doskonałości i własności bożych, mówiąc o boskiej nieskończoności, sprawiedliwości, dobroci, piękności i t. d., dalej o życiu boskiem, objawiającem się w czynnościach tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Daje to autorowi sposobność do omówienia obszernie o myśleniu, wiedzy i woli bożej, jak również o stworzeniu, zachowaniu wszystkich tworów i rządzeniu nimi, przyczem koniecznie musiał też nadmienić o cudach i proroctwach. Nadto wszędzie niemal porusza autor rozmaite zarzuty, stawiane przez przeciwników teizmu, i trafnie je obala, tak, że dzieło to możemy śmiało polecić każdemu.

Na polu pedagogicznem ukazało się niedawno temu dzieło profesora Józefa Šauera z Augenburga, noszące tytuł „Współczesne wychowanie“ *(Obecné vychovatelstvi)*. Książka ta służyć ma za podręcznik dla kandydatów i kandydatek do stanu nauczycielskiego. Jest więc dość zwięzła, ale zarazem treściwa. Przedmiot jej opracowany został jasno i dokładnie, wszędzie zaś przebija się szlachetny zamiar autora, ażeby praca jego stała się podręcznikiem do prawdziwie chrześcijańsko-katolickiego wychowania. Wprawdzie znalazły się tu i ówdzie pewne braki i niedokładności, które jednak sama zwięzłość i lakoniczność stylu dostatecznie usprawiedliwia, wogóle zaś ze względu na piękny swój cel książka ta na zupełne zasługuje uznanie. Dlatego też należy się cieszyć, że wkrótce opuści prasę druga praca tegoż samego autora „O wychowaniu“ *(O vychovatelstvi)*, która właśnie się drukuje, aby wraz z dziełkiem prof. d-ra Gabryela Pechačka pod tytułem *Zpovědnici* zostać rozdaną w roku bieżącym jako premium pomiędzy członków stowarzyszenia znanego pod nazwą *Dědictvi sv. Prokopa*.

Również i niezmordowany dr. Antoni Lenz wydał obecnie nową pracę, jako dowód ciągłego badania dogmatycznej podstawy husytyzmu. Jest to „Apologia soboru w Konstancyi z powodu potępienia 45 tez Jana Wiklefa“ *(Apologie sněmu kostnického v příčině odsouzeni 45 vět Jana Viklifa)*. Jak wiadomo, dr. Lechler wygłosił jako pewnik, że sobór w Konstancyi postąpił zbyt lekkomyślnie, potępiając naukę

Wiklefa. Teorya ta podała d-rowi Lenzowi asumpt do skreślenia powyższej pracy, w której dowodzi, jak słusznie i mądrze uczynił ów sobór, odrzucając 45 tez Wiklefa i wykazuje czarno na białem, że tezy te znajdują się rzeczywiście w dziełach Wiklefa, ale w daleko gorszem znaczeniu, niż pierwotnie mniemano. Dzieło to niemałe posiada znaczenie, wiadomo bowiem, że z Wiklefa czerpał i Hus, z czego wypływa wniosek, jak wielką doniosłość posiada dzieło d-ra Lenza, gdy chodzi o wydanie należytego sądu o nauce Jana Husa.

Prawniczą literaturę czeską wzbogaciło w ubiegłym roku dzieło ks. Wacława Kociana, wikarego przy kościele św. Szczepana w Pradze. Dzieło to, noszące tytuł: *Nadace církevní, zvláště mašní,* jest właściwie mówiąc odbitką z obszernego studyum, drukowanego w czasopiśmie *Radce duchovní,* którego autor w roku ubiegłym był współredaktorem. Całe to dzieło nosi na sobie cechy gruntownej znajomości przedmiotu, opracowane zaś zostało z dokładnością i skrupulatnością, godną największej pochwały. Autor mówi najprzód o historycznym rozwoju prawa fundacyj wszędzie wogóle, a w Austryi w szczególności i to tak, jak u nas o tym przedmiocie jeszcze nie pisano. Główny atoli nacisk kładzie na stronę praktyczną, zbierając skrzętnie w swem dziele wszystko, co się fundacyi dotyczy, tudzież uzupełniając swą pracę licznymi przykładami, wzorami i szematyzmami. Z tego też względu dzieło powyższe zasługuje na wielkie uznanie i nie wątpimy, że je znajdzie u naszego duchowieństwa. Fundacye na korzyść kościołów są rzeczą nader częstą, a zarazem ważną, ponieważ zaś do załatwienia spraw tego rodzaju niezbędną jest dokładna znajomość ustaw kościelnych i państwowych, których jest nie mało, książka więc ta stanie się w podobnych wypadkach dobrym i godnym zaufania doradcą.

Co się tyczy historycznych wydawnictw katolickich, to musimy wymienić tym razem V. tom organu kółka historycznego, wydawanego pod nazwą *Sbornik historického kroužku* pod redakcyą profesora gimnazyalnego, d-ra M. Kováře. Jak w innych latach, tak i obecnie przyniósł nam *Sbornik* cały szereg pięknych i cennych prac z dziedziny ojczystych czeskich dziejów. Naczelne miejsce zajmuje artykuł d-ra Antoniego Podlahy, w którym zeszkicowaną została działalność trzech czeskich ludzi świeckich z XVI. i XVII. wieku, Błażeja Nočky z Votina, Jakóba Horčickiego z Tepenca i Jana Benedykta Smolika, którzy w czasach tak ciężkich dla katolicyzmu w Czechach wystąpili pierwsi w obronie wiary przodków. Obok tego artykułu mieści się praca profesora Franciszka Vacka: „Dyecezalny synod praski z 1605

roku“ *(Diecésni synoda pražská z r. 1605)*, gdzie autor wylicza trudności, z jakiemi musiał walczyć arcybiskup Zbyněk Berka z Duba, aby doprowadzić do skutku zamiar zwołania synodu i jak korzystny wpływ wywarły jego uchwały na rozwój religijnego życia w Czechach w XVII. stuleciu. Również poważnym i zajmującym jest artykuł O. J. Hamršmida Ord. Melit., oznaczony tytułem: „Jak kompaktata była zachowaną“ *(Jak byla kompaktata provedena)*. Dowodzi tam autor, że ugoda, nosząca nazwę kompaktaty, pozostała martwą literą, gdyż utrakwiści zamiast się do niej stosować, o ile możności prześladowali katolicyzm. Dr. Alojzy Soldat, wicerektor książęco-arcybiskupiego seminaryum praskiego podaje w artykule „Z dziejów książęco-arcybiskupiego seminaryum w Pradze“ *(Z dějin knížeciho arcybiskupského semináře v Praze)* wiele ciekawych szczegółów o tym zakładzie, mających nietylko lokalne i poszczególne, ale także i ogólne znaczenie. Niepodobna również pominąć milczeniem artykułu Juliusza Chodnička „Z katolickich misyj na Morawie i Ślązku“ *(Z katolických missii na Moravě a ve Slezsku)*. Praca ta przejrzana i przygotowana do druku przez redaktora, d-ra Kovaře, maluje działalność misyonarzy z Towarzystwa Jezusowego w Sternbergu, tudzież w okolicach Opawy i Karwiny. Ze swej strony nauczyciel Lintner podał piękny obrazek z dziejów miasta Sobiesławia, a Franciszek Snopek umieścił ciekawe studyum „O niektórych sprzecznościach w legendach pannońskich“ *(O některých nesrovnalostech v pannonských legendách)*. Wreszcie dr. Kovař skreślił piękny, tchnący czcią i miłością życiorys zmarłego O. Józefa Svobody T. J., zasłużonego wiceprezesa i założyciela historycznego kółka. Na tem się kończy zawartość ostatniego tomu organu tego *kroužku*. Nadmienić zresztą jeszcze wypada, że i w tym tomie, jak zwykle, znajdują się ciekawe drobne wiadomości historyczne i recenzye.

W dziedzinie apologetycznej ukazały się między innymi przekłady dwóch pięknych prac, skreślonych w obcych językach. Pierwszym z nich jest dzieło kardynała Jakóba Gibbonsa „Wiara naszych ojców“ *(Vira našich otců)*, przełożone na język czeski przez Pavelka, drugim zaś dzieło ks. de Ségur „Krótkie lecz trafne odpowiedzi na najbardziej rozpowszechnione zarzuty przeciw religii katolickiej“ *(Krátké a důvěrné odpovědi k nejrozšířenejším námitkám proti katolickému náboženstvi)*, przekładu którego podjął się ks. Wacław Dawidek, katecheta w Turnowie. Oba te dzieła są bardzo dobrą i popularnie skreśloną obroną katolicyzmu, mogącą i u nas przynieść pewien pożytek.

Na zakończenie musimy jeszcze dodać, że w ostatnich czasach

opuściła prasę druga część znakomitej „Filozofii“ kanonika d-ra Józefa Pospišila, poświęcona „Kosmologii“. Jednocześnie też w Bernie rozpoczęto druk „Socyologii chrześcijańskiej“ *(Socyologie křesťanská)*, której autorem jest profesor dr. Robert Neuschl. Obu tym pracom we właściwym czasie obszerniejszą poświęcimy wzmiankę, na którą w zupełności zasługują.

III.

Pozostaje nam więc tylko poświęcić jeszcze słów parę katolickiej prasie peryodycznej. Już w roku ubiegłym wymieniliśmy niektóre jej organa, jak naprzykład *Časopis katolického duchovenstva, Vlasť* i *Museum* wydawane przez młodych teologów. O nich więc wystarczy, gdy powiemy, że i w roku zeszłym wywiązywały się należycie ze swego zadania. Zwłaszcza co się tyczy *Czasopisma katolickiego duchowieństwa*, to podało ono swoim czytelnikom cały szereg biblijnych, pastoralnych i prawniczych artykułów, jak również piękne studyum prof. d-ra Kadeřávka: „Prawo przyrodzone jako podstawa prawodawstwa ludzkiego“ *(Zakon přirozeny základem zákonodárství lidského)*. Z dziedziny historyi znajdujemy w *Časopisie* obszerną pracę prof. d-ra Franciszka Kryštůfka: „Dzieje katolickiego Kościoła na Węgrzech w XIX. wieku“ *(Dějiny katolické církve v Uhrách v XIX. století)*, gdzie się mieści wyczerpujący opis *Kulturkampfu* węgierskiego od 1890 roku, a wreszcie studyum O Metodego Vojačka O. S. B. pod tytułem: „Święty Benedykt z braćmi jako patronowie kraju“ *(Sv. Benedikt s bratřími, patronové zemšti)*. Artykuł ten, którego dalszy ciąg ma się drukować w bieżącym roczniku *Časopisu*, i dla czytelników, tudzież historyków polskich posiada pewne znaczenie.

Z socyologii przyniósł nam *Časopis* pracę O. Franciszka Schrollera C. SS. R. p. t.: *Raiffeisenovy záložny a duchovenstvo*, jak również artykuł: „Asemityzm O. M. Morawskiego“ *(Asemitismus P. M. Morawského)*, opracowany przez niżej podpisanego referenta na podstawie studyum O. Morawskiego, w zeszłorocznym *Przeglądzie Powszechnym*. Przy tej sposobności zaznaczyć należy, że wymieniony powyżej artykuł O. Morawskiego opracowany został i popularnie przez Bronisława Strejčka i ogłoszony drukiem najprzód w *Večernich Novinách*, następnie zaś jako oddzielna broszura.

We *Vlast* z roku ubiegłego mieściły się przeważnie artykuły Filipa Konecznego, d-ra Kryštůfka, d-ra Lenza, Franciszka Vaněčka, Rudolfa Vrby i Franciszka Žundelka, stanowiące prawdziwą ozdobę

tego rocznika. W *Museum* zaś, redagowanem obecnie przez Ryszarda Tenora w Bernie, zasługiwały przedewszystkiem na uwagę naukowe prace J. Lukaška, T. Sojki, R. Tenora, B. Spáčila i H. Beránka. Nadto dziś jeszcze chcemy tu nadmienić o *Hlidce* i *Novem životě*. Oba te czasopisma zakończyły obecnie pierwszy rok swego istnienia, gdyż, jakeśmy to już mówili we właściwym czasie, *Hlidka* zajęła miejsce dawnej *Hlidki literarni*, rozszerzywszy znacznie jej zakres, *Novy život* zaś przed rokiem założony został.

Berneńska *Hlidka* jest to miesięcznik naukowy, poświęcony głównie filozofii i apologetyce, a redagowany przez znanego i uznanego d-ra Pawła Vychodila. Każdy pięcioarkuszowy tom tego miesięcznika zawiera obok całego szeregu starannie dobranych naukowych artykułów bardzo bogatą rubrykę literacką, omawiającą płody ojczystego i zagranicznego piśmiennictwa, jak również wielce ciekawe i zajmujące „Rozmaitości“ *(Směs)*, w których się mieszczą krótsze sprawozdania ze wszystkich najnowszych zjawisk w sferze wiedzy ludzkiej. Zręczny i przedsiębiorczy pan redaktor nietylko potrafił sobie zjednać liczny poczet wybornych współpracowników, ale także za zasługę poczytać mu należy, iż zaczerpnął od nich jak najbardziej na czasie będące artykuły. Na potwierdzenie naszych słów moglibyśmy przytoczyć po prostu całą zawartość ostatniego rocznika, ponieważ jednak zabrałoby to nam za dużo miejsca i czasu, niektóre więc z nich tylko tutaj wymienimy. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę praca d-ra Józefa Pospišila: „Chrześcijański pogląd na przyrodę“ *(Křestánský názor o přírodě)*, artykuły d-ra Nabělka: „Czemu obrońcom wiary należy studyować nauki przyrodnicze?“ *(Proč obhájcům viry je potřebi všimati si věd přírodnich?)* i „O przestrzeni“ *(O prostori)*, uwagi J. Olivy „O studyowaniu nauk społecznych“ *(O studii věd společenských)* i „O porównawczej nauce religii“ *(Srovnávaci věda náboženská)*, studyum d-ra Neuschla pod tytułem: „Teorya Malthusa“ *(Malthusova teorie)*, artykuł d-ra Podlahy: „W jakiem znaczeniu był potop ‚powszechnym‘?“ *(V jakém smyslu byla potopa ‚všeobecná‘?)* jak również prace d-ra Bullego, d-ra Kyzlinka, d-ra Vychodila, Placyda Buchty, V. Wintera, d-ra Seiferta i wielu innych. Wogóle można rzec o *Hlidce* bez najmniejszego pochlebstwa, że się wywiązuje wyśmienicie z obranego przez siebie zadania i zasługuje niewątpliwie na nazwę „naukowego“ miesięcznika.

Nový život zaczęli wydawać w roku ubiegłym pisarze katoliccy, którzy najprzód we wspólnem wydawnictwie „Pod jednym sztandarem“

(Pod jednim praporem) podali sobie dłonie. Jest to miesięcznik poświęcony nauce, sztuce i rozrywce, redagowany przez Karola Dostala-Lutinova. Młody to, lecz utalentowany poeta, znany już czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* ze swoich *Sedmikras* a piastujący godność kooperatora w Nowym Jičinie na Morawach. Zewnętrzna strona tego czasopisma odznacza się wykwintnym nowożytnym smakiem, treść zaś bogactwem i rozmaitością. Redaktor zdaje sobie należycie sprawę ze swego zadania i nie zważając na żadne przeszkody, dąży wytrwale do osiągnięcia zamierzonego celu. Czasopismu swemu oddał się całą duszą i zdobył sobie dość liczne grono współpracowników. Znajdujemy w nim przeważnie przedstawicieli młodego katolickiego pokolenia, lecz myliłby się, ktoby sądził, że rekrutują się oni wyłącznie z debiutantów na literackiej arenie. Wcale nie! Wielu z nich, a zwłaszcza ci, którzy wśród współpracowników „Nowego Życia“ główną odgrywają rolę, znani są już nader korzystnie czeskiemu społeczeństwu, nie braknie zaś między nimi i takich, którzy się staną kiedyś zasłużonymi pracownikami na niwie ojczystego piśmiennictwa. Nazwiska Lutinova, Bouška, Skalika, Holečka, Leubnera, Valouška, Kepelego i wielu innych dobrą już sobie zdobyły sławę.

Oprócz poezyj i powieści każdy zeszyt *Novego života* podaje także prace z dziedziny historyi, sztuki, literatury, krytyki i t. d. Na współczesny ruch literacki w kraju i zagranicą redakcya baczną zwraca ciągle uwagę. W recenzyach niewielu słowami wypowiada się dużo, lecz nigdy za dużo. Zwłaszcza o najnowszych prądach w piśmiennictwie swojskiem i zagranicznem można się z tego czasopisma wielu ciekawych dowiedzieć rzeczy. Mamy nadzieję, że to, cośmy powiedzieli, wystarcza, aby dać należyte pojęcie o *Novým životě*.

Zresztą rok ubiegły nie zaznaczył się żadnemi prawie wybitnemi zmianami w naszej peryodycznej prasie. Zamiast dwóch politycznych dzienników *Čecha* i *Večernich Novin* wydaje obecnie pewne polityczne stronnictwo dziennik *Katolické Listy* z niedzielnym literacko-naukowym dodatkiem *Neděle*. Dalej dawny dodatek *Dělnických Novin* zamienił się teraz w samoistny dziennik *Hornické Listy*, wychodzący w Przybramie jako dwutygodnik (prenumerata jego wynosi 1 złr. 40 ct. rocznie). Co do *Dělnických Novin* to otrzymały one nowy dodatek pod nazwą *Spolkowe listy*. Nadto zaczął wychodzić w Pradze tani dziennik polityczny: *Lidové noviny*, w Kralowym Hradcu zaś *Časové úvahy*, redagowane przez Franciszka Reyla. Wreszcie O. Jan Dvořák, pisze i wy-

daje *Křesťansko-socialni epistoly*, a kooperator Franciszek Zak zbogacił od Nowego Roku czasopismo swe *Obrana* dodatkiem literackim pod nazwą *Literarni Příloha*.

Nie zapominajmy również, iż wydział naukowy stowarzyszenia katolickich akademików w Pardubicach, zwanego *Družstvem Arnošta*, zamierza obecnie wydawać nowe naukowe czasopismo, które otrzyma miano *Aletheia* i zapełniać będzie swe szpalty jedynie poważnymi artykułami ze wszelkich gałęzi wiedzy.

Ks. dr. Józef Tumpach.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

STOLICA ŚWIĘTA PRZECIW UCISKOWI JĘZYKOWEMU.

Ucisk językowy przybierał w Ameryce postać niezwykłą, a przynajmniej dla Polaków bardzo dziwną, bo wprost przeciwnie wyglądał w Ameryce, niż dolega Polakom ze strony różnych Hakatystów. Obywatel kraju rzekomej „bojaźni bożej“ nie może często słyszeć słowa bożego w zrozumiałej dla siebie mowie, ani dzieci posłać do szkoły, aby w języku, którym władają, dostawały naukę o Bogu i zachętę do Jego bojaźni. Ale przynajmniej o przyjaźni obłudnie nie prawią Hakatyści pruscy, kiedy brutalną siłą zmuszają bezbronnych, żeby ginęli bez pokarmu, potrzebnego dla duszy; przynajmniej ten ucisk jawnie tchnie nienawiścią i otwarcie wtóruje hasłu: *ausrotten!* więc nikomu z prześladowanych nie mroczy jasnego poglądu na stosunki, ani sumienia nie mąci.

Chytrzej obmyślany ucisk językowy w Ameryce, zmusił Rzym do stanowczego kroku ku obronie prześladowanych. A cieszyć nas może, że Polak, kardynał Ledóchowski, podpisał słowa, które uciśnionym zapowiadają koniec ich opłakanego stanu. W ojczyźnie swobody, wolny obywatel Stanów Zjednoczonych nieraz widział przed sobą zamknięte drzwi kościoła, w którym mógłby korzystać z kazania, nieraz musiał słuchać skarg wła-

snego dziecka, iż w niezrozumiałej mowie uczą je pacierza. Zachodził często taki wypadek z powodu zupełnie zrozumiałego nawet dla Europejczyków, którzy jako tako przecie pojmują stosunki amerykańskie. Między mieszkańcami Stanów Zjednoczonych liczyć można setki i tysiące, które noszą nazwiska francuskie, polskie, niemieckie i t. d., których nawet jeszcze rodzice nie władali biegle językiem angielskim, albo nawet dopiero z Europy przybyli. Przybysz taki, albo jego syn, w twardej pracy tam szukał chleba, gdzie mógł znaleść zarobek. W kraju o ogromnej przewadze żywiołu angielskiego, nowoprzybyłemu Europejczykowi przynajmniej równie trudno, jeżeli nie trudniej jeszcze, zająć posadę pomiędzy rozproszonymi rodakami, jak pośród potomków szczepu angielskiego. To też, mimo najskrzętniejszych zabiegów, setki Europejczyków musiały daleko od rodaków zdobywać kawałek chleba pośród Anglików, i po długich latach pożycia z nimi wspólnego tracili mowę ojczystą, albo, jeżeli sami nie zapomnieli najmilszego języka, przecie już nie zdołali rodowitej mowy swojej zostawić dzieciom w spuściznie, chociaż nawet wychowali je w parafialnej szkółce z wykładowym językiem swoim narodowym. Stąd nieraz przybysze z Europy albo ich potomkowie nie mogli już nabożeństwa słuchać z pożytkiem, chyba w parafialnym kościele angielskim

Zachodziły takie wypadki, że taki, pozbawiony mowy przodków, Europejczyk albo jego syn, wolał przejść zupełnie do parafii angielskiej, niż uiszczać np. zapłatę za metryki, śluby, pogrzeby i t. d. w parafii, do której pierwotnie należał, ale z biegiem czasu księży angielskich musiał prosić o posługę duchowną, bo innego języka już nie rozumiał: więc aby nie uiszczać zapłaty podwójnej, jednym za posługę, drugim ze względu na prawa parafialne, przenosił do jednej parafii i swoje potrzeby duchowne i wszelkie opłaty.

Ale krok taki oburzał w wysokim stopniu tych zapaleńców, którzy nawet do kościołów wnoszą walkę narodowościową. Nie na głos ciężkiej potrzeby przychylnie nastawiali uszy, ale z gniewem zwracali oczy na widok odstępstwa od rodowitego języka i nabożeństwa. Drażliwą strunę łatwo poruszyć i łatwo na niej

wygrać piosnkę ze skargami na wszystkich za wszystko. Więc zagorzali narodowcy, mianowicie, o ile widać z pisma *Amerika*, niemieccy, nie wypuścili z ręku chwili stosownej do wrzasku i krzyku na zdradę ojczyzny i tak postrachem opanowali umysły, że nawet księża zabraniali przechodzić do angielskich parafij: w sumieniu obowiązywali owieczki swoje, aby bez pożytku duchownego a ze stroną doczesną pozostawali w parafiach, do których pierwotnie należeli i w których uczęszczali do ochronki z wykładowym językiem swoich przodków. Na ten nacisk tem trudniej było znaleść radę, im zręczniej prześladowcy przybierali postawę przyjacielską i zapewniali, że tak z najlepszego serca zmuszają swoich rodaków do ochrony przyrodzonych praw narodowych przeciw utracie języka i zagubie w angielskiem społeczeństwie.

Ale niejeden, do żywego oburzony uciskiem, wytoczył sprawę wprost przed Delegatem Apostolskim w Washingtonie. Podnieśli z silnym naciskiem swoje prawo przyrodzone i przez Kościół uznane, żeby każdy spełniał obowiązki duchowne w tym języku, którym włada, i w tym kościele, w którym może brać udział w nabożeństwie. Dlatego prosili Delegata, aby powstrzymał duchowieństwo od kroków, których nie stawia oparte na żadnym przepisie prawa kanonicznego, kiedy zabrania należeć do parafii angielskiej.

Delegat nie chciał sam ani skargi uznać za słuszną ani jej odrzucać: odesłał sprawę do Stolicy świętej, aby apostolska powaga ją rozstrzygnęła. Zastanowić może oględna rozwaga Delegata, który nie przystał zasadniczo sam na prośbę prześladowanych nawet mimo wskazówki najbezpieczniejszej, jaką miał w ustawodawstwie kościelnem miejscowem: synody dyecezalne uchwaliły dla Stanów Zjednoczonych zbiór przepisów, między którymi rozdział V. omawia właśnie sprawę sporną. Wprawdzie punkt 3 postanawia, że przybyszów z Europy zapisywać należy do kościoła, w którym ich język rodzinny służy do nabożeństw; także punkt 4 rozciąga poprzedni przepis na małoletnie dzieci przybyszów, w Ameryce urodzone, ale punkt 5 postanawia, że urodzone w Ameryce potomstwo przybyszów

pełnoletnie i wogóle wszyscy, którzy w domowych stosunkach używają języka angielskiego, nie mają obowiązku należeć do parafij, które używają innego języka, ale mogą dobrowolnie przystać do gminy angielskiej. Mimo to wszystko Delegat sam nie chciał własną tylko powagą poskramiać ciemiężycieli, ale zażądał od Kongregacyi Propagandy nieodwołalnego wyroku i dostał odpowiedź, że w Ameryce urodzone potomstwo przybyszów, kiedy dojdzie do wieku dojrzałego, i wszyscy wierni, choćby nie urodzeni w Ameryce, którzy jednak biegle władają językiem angielskim, mają wszelkie prawo obrać sobie parafię angielską, i żaden zarządca parafii innego języka niema najmniejszego prawa używać środków przymusowych i moralnego nacisku, aby ich zatrzymać w swojej parafii.

Ta odpowiedź Propagandy może przekonać wszystkich, że Rzym ponad wszelką politykę wyżej stawia osobistą swobodę wiernych w wyborze języka, którym chcą chwalić Boga: Rzym twardym murem stanął przeciw polityce Bánffyego, która z kościołów słowackich chciała arcypatryotycznie urządzić szkoły języka magjarskiego; Rzym przed całym światem zasłynął, jak podnosi amerykańska *Ameryka*, z ojcowskiej opieki, którą otoczył Polaków w cesarstwie rosyjskiem, aby zachować im przy nabożeństwie język im najdroższy; Rzym nigdzie nie poparł politycznej tyranii, a tem bardziej nie dopuszczał do domów Bożych ucisku językowego.

Narodowość nie jest celem, tylko dobry stosunek z Bogiem jest najważniejszą sprawą dla człowieka: nie można w narodowości upatrywać skarbów droższych od religii, ani nie można żądać, żeby religia służyła do rozwoju narodowości i raczej cierpiała uszczerbek, niżby naród miał doznać straty, łatwo powetowanej.

Z WĘGIER.

Skutki wolnomyślnych ustaw magyarskich dochodzą do rozmiarów haniebnych. *Národnie Noviny* donoszą, że w gminach Dorok, Paulls, Šol'moš, Odvoš, Konop, Bersowa i t. d. biedny lud nie znajduje dość czasu, żeby przed ślubem u proboszcza chodzić jeszcze do miasta, gdzie mieszka nota-

ryusz, i znowu iść do pisarza metryki, więc ujmuje sobie trudu; narzeczeni nigdzie nie idą, sami odprawiają wesele w domu, i czekają dopiero chrzcin, aby za jednym zachodem poodbywać wszystkie podróże. Często się zdarza, że stadło, bez księdza spojone, daje sobie samo rozwód, i dopiero z drugą albo z trzecią żoną mąż idzie nakoniec do ślubu i przynosi już dziecko do chrztu.

W Araks znowu przyszła młoda kobieta prosić o rozwód z tego powodu, że dopiero po ślubie spojrzała w oczy mężowi i dostrzegła jedno oko błękitne, drugie czarne. Tak sobie zbrzydziła d w u o k i e g o małżonka, że nie było ludzkiego sposobu opamiętać ją o obowiązku. Oczywiście ustawa pozwoli jej wstąpić w nowe związki.

Węgierscy katolicy greckiego obrządku ponieśli ciężką stratę przez śmierć księdza Wiktora Gebego, profesora teologii. Nieboszczyk stał jakby anioł stróż nad biednym ludem ruskim na Węgrzech, otoczonym zewsząd wrogami i prześladowcami wiary i narodowości. Serdecznem okiem spoglądał ksiądz Gebe na tę gałąź Kościoła, przeznaczoną jakby na zagładę pod uciskiem podwójnym: liberalna madyaryzacya truje ducha i wydziera język, wszechwładne żydowstwo psuje obyczaje i wysysa ostatni grosz. Nieboszczyk, jak świadczą *Národnie Noviny*, nie taił przed sobą, że pracuje dla ludu, który stawia ostatnie kroki do grobu; mimo to trwał na stanowisku, wydawał dla Rusinów kalendarz, pisał pobożne dziełka i dzielnie popierał *Listok*, jedyne czasopismo ruskie na Węgrzech. Tem na większą cześć zasłużył, że za swoją pracę chrześcijańską doznał w tem życiu goryczy i krzywd. Ksiądz gorliwy i obrońca uciśnionego ludu gryzł jakby sól w oku wolnomyślnych przedstawicieli władzy, którzy nie szczędzili na niego urzędowych kar i objawów nienawiści; przynajmniej szpilkami kłuli, kiedy nie mieli za co biczem wysmagać.

ZE SZWECYI. Nad Lodowatem morzem człowiek równie gorąco, jak nad równikiem, umie brać do serca nauki proroków samozwańczych, kiedy nie dba o posłów prawdy. W Szwecyi

tołstoizm, zwany nazarenizmem, zaczyna pokazywać rogi, jak donoszą *Narodnie Noviny*. Często zachodzi wypadek, że powołana do wojska młodzież stawia twardy opór rozkazom i wręcz odmawia udziału w „pogańskiem“ ćwiczeniu bronią. W maju dwóch młodych ludzi przyjętych do wojska, nie mogło dla słabego zdrowia służyć pod karabinem, ale zostali przeznaczeni do pracy w wojskowych warsztatach. Ale obaj jednomyślnie oświadczyli, że sumienie zabrania im wykonywać jakąbądź służbę wojskową. Wojenny sąd skazał ich za to na trzy miesiące ciemnicy. Ale ten wyrok zapadł z przeszkodami. Sędzia, porucznik Thorén, nie mógł wyroku wydawać bez poprzedniej przysięgi, że rozstrzygnie sprawę sumiennie; tej przysięgi złożyć nie chciał, także z pobudek tołstoickich. Zwierzchnik tych pobudek nie uznał za dostateczne i przysięgi pod groźbą kar wojskowych żądał. Thorén oświadczył, że zniewolony rozkazem może uspokoić sumienie i złożył nakoniec przysięgę.

WALKA PRZECIW POJEDYNKOM MIĘDZY MŁODZIEŻĄ NIEMIECKĄ.

W końcu listopada przeszłego roku słuchacze wyższej szkoły technicznej w Charlottenburgu wybrali ze swojego grona „Wydział ustawicznego i powszechnego sądu honorowego“ w tym zamiarze, aby dla młodzieży wyższych zakładów naukowych utworzyć ognisko wspólnej ochrony przed pojedynkiem. Chcieli więc najprzód urządzić w tem ognisku miejsce na towarzyską rozrywkę dla tych, którzy z zasady odrzucają pojedynek, ponieważ nie uważają przemocy orężnej za dowód prawa; powtóre postanowili udzielać tu opieki dla wszystkich swoich współuczniów, którzy cierpią od zwolenników pojedynku; ci ostatni odsądzają ich od czci, wypowiadają mieszkania, przeszkadzają dawać lekcye, odmawiają wstępu do kół towarzyskich; sąd honorowy ma w ustroju społecznym wypełnić brak wszelkiego urzędu obywatelskiego, któryby polubownie załatwiał zatargi o obrazę czci.

W takich zamiarach obrany wydział znalazł w Charlottenburgu wielu życzliwych; sam rektor szkoły wyraził o nim najprzychylniejszy sąd i zatwierdził jego ustawy w środku stycznia 1897 r. Ten pomyślny początek zwrócił na młodych techników

oczy innych zakładów naukowych i wkrótce katolicki związek młodzieży *Burgundia* przystąpił do wydziału techników, potem także związek protestancki *Vandalia,* dalej „Akademicki związek członków orkiestry", nakoniec z innych miast, z Królewca, Berlina, Strasburga, Lipska, Marburgu zapowiadała młodzież, że przystąpi do wspólnej walki przeciw pojedynkom.

Sprawa poszła tak raźnie, że już przed końcem stycznia wydział zdążył obrobić szczegółowe przepisy sądu honorowego, przedstawił swój wniosek na walnym wiecu kilkuset przedstawicieli młodzieży i za ich uchwałą miał niedługo potem zwołać wszystkich na wybór członków sądu honorowego.

Ale szybki rozwój dobrej sprawy zaniepokoił zwolenników pojedynku w tak zwanych *Schlagende Verbindungen.* W obronie swojego przesądu chwycili za broń niecną: obsypali członków wydziału gradem obelg i kiedy nie umieli walczyć przeciw zasadom towarzystwa, na pojedynczych jego członków wymierzyli pociski osobistych napaści. Wciskali swoich wysłanników na obrady częstych wieców i nie szczędzili żadnej możliwej zaczepki. Długo wydział odpierał napastników spokojnie i szczęśliwie, aż usłyszał zarzut, zręcznie wyszukany, wobec którego stanął bez obrony.

Do związku wstąpił jeden i drugi zwolennik zasad socyalizmu. Nie wiele to mogło znaczyć na liczbę kilkuset członków, ale dało przeciwnikom niebezpieczną broń do ręki. Wydział nie śmiał ze spisu członków wykreślać nikogo z podejrzanych. Szukał drogi, żeby wybrnąć z trzęsawiska; nim znalazł, dostał 27 lutego wyrok od senatu uniwersyteckiego, że zostaje rozwiązanym i nie może zwoływać młodzieży na żadne narady ani wybory.

Młodzież uledz musiała, ale z żalem widzi stłumiony ruch tak zupełnie zgodny z duchem chrześcijaństwa i z najnowszą uchwałą cesarza Wilhelma; mogła oczekiwać, że ją poprze władza. Mimo wszystkiego *Germania* wyraża nadzieję, że przecie samo społeczeństwo nie da zupełnie upaść sprawie i posunie ją na tor pożądany.

ODGŁOSY Z JUBILEUSZU ŚW. WOJCIECHA.

Wszędzie i zawsze i we wszystkiem tkwi intryga polska i spisek, aby odbudować rzeczpospolitę od słupów bitych w Elbie aż po koniec świata, a może jeszcze dalej. Tak przynajmniej twierdzą pisma protestanckie i nie widzą w obchodach jubileuszowych św. Wojciecha objawu Wiary wspaniałego, tylko dowód, że trzeba jeszcze zajadlej wprowadzać w czyn szlachetne hasło: *ausrotten!* Czyż myślą przecie, że im kto uwierzy? Oczywiście wierzyć trzeba. Przecież katoliccy Czesi z całego królestwa św. Wacława szli z pobożnemi pieniami do Pragi czcić pamiątki *Svatovojtěšské;* czyż to nie dowód, że te obchody służą za pokrywkę spisku polskiego? Przecież w Krakowie u Panny Maryi przemawiał natchnionemi słowy mąż takiej miary, jak ksiądz prałat Chotkowski, czy to nie zdradza wyraźnie piętna tromtadracyjnej manifestacyi w duchu Mierosławskiego? Przecież w Kaliszu nawet rząd pozwolił na niesłychaną ucztę duchowną: na dziesięciodniową misyę, która uroczyście przypomniała katolikom, ile zawdzięczają apostołom wiary; czyż to nie świadczy wymownie, że wybuch patryotyzmu polskiego obchodził swój tryumf? Cenzura rosyjska pozwala *Przeglądowi katolickiemu* wystąpić z opisami gnieźnieńskiego obchodu, z całą nawet przemową arcybiskupa Stablewskiego: a ktoś wątpiłby, że cenzura życzliwie popiera intrygę polską?

Nie! to nie objaw żywej Wiary, nie obchód religijny, nie widok niespożytych sił Kościoła Powszechnego oburzył protestantów: to tylko ludzi spokojnych przeraził polski duch burzliwy, tylko wystąpiła na jaw znowu ta intryga polska, która wszędzie i zawsze i we wszystkiem tkwi, nawet może tam, gdzie jej niema.

Ks. K. Czaykowski.

Miasto bez nędzarzy.

Cóż to za zjawisko upragnione? gdzie leży to miasto wyjątkowe? Jakiemi drogami doszło do takiego stanu błogiego?

Te pytania powstają w umyśle na wzmiankę o mieście, wolnem

od nędzy; na te pytania wypada odpowiedzieć, aby innym miastom udzielić wskazówki, jak można bez socyalistycznej recepty wyleczyć chore społeczeństwo, i mimo różnicy warstw i majątków ochronić biedaków od nędzy, przynajmniej zamknąć ją w szczupłej liczbie wypadków.

Zjawisko takie wyprzedziło o wiele wszelkie wykrzykniki o podziale dóbr. Nie Marks, ani nie Bebel dokazali tego dzieła, żeby nędzarza zabrakło w mieście o stu tysiącach mieszkańców. Bez żadnych przewrotów społecznych dopięli tego wyznawcy starych zasad o chrześcijańskiej miłości, a zawdzięczają tę chlubę praktycznym radom swojego burmistrza.

Nadreńska to okolica spogląda z dumą na przemysłowe miasto swoje Elberfeld, w którego ślady, wiele, dzięki Bogu, miast niemieckich weszło już, albo iść zaczyna, a wszędzie z pomyślnym skutkiem widzą, że metoda elberfeldzkiego burmistrza prowadzi do pomyślnych wyników.

Jakaż to metoda wydaje bez przewrotów w stosunkach społecznych najszczęśliwszą ich zmianę?

Wypada najprzód przedstawić stan miasta w dobie poprzedniej, nim z niego ustąpił bolesny widok nędzarzy. Szczegółów do tego opisu dostarczają różne dziełka i rozprawy, któremi głównie Niemcy z dumą opowiadają o swoim Elberfeldzie. Ale także inne narody zwracają uwagę na to miasto szczęśliwe; tak np. niedawno pisał o niem profesor warszawskiej wszechnicy, p. Okolski, w rozprawie umieszczonej w przeszłorocznym roczniku pisma: Варшавскія университетскія извѣстія.

Miasto Elberfeld położone w okolicy nawiedzanej częstemi wojnami, jeszcze z początku bieżącego stulecia wyglądało jeżeli nie gorzej, to przynajmniej tak samo, jak wiele innych miast niemieckich: stan ubogich przedstawiał wszędzie bardzo smutny widok. Pomimo dobrowolnych ofiar w tym celu, rozpacz nędzarzy przybierała coraz straszniejsze rozmiary: nic nie rokowało nadziei dla pogrążonych w niewoli ubóstwa i upadku moralnego. Owszem, coraz wyżej rosła liczba ubogich, zgnuśniałych w próżniactwie i zamieszkałych po domach mniej zamożnych ludzi, których życie i mienie nie raz było wystawione na wielkie niebezpieczeństwa.

Przykład sąsiedniej Francyi uczył, że przecie można ulżyć nędzarzom przez takie związki dobroczynne, jak banki pobożne, bractwa miłosierdzia i inne dzieła, ożywione duchem św. Wincentego. Więc i mieszkańcy Elberfeldu uczuli potrzebę podobnych dzieł chrześcijań-

skiego miłosierdzia; ale przewaga innowierców w radzie miejskiej nie dopuszczała żadnego wniosku, któryby miał w katolickim duchu rozwiązać sprawę na wzór francuski: więc tylko coś podobnego do francuskich urządzeń mogło powstać w Elberfeldzie, a nie żaden związek dobroczynny, żywcem naśladowany z katolickiego wzoru. Do jakiejś naprawy stosunków obiecali innowiercy przyłożyć rękę, jedni pewno z dobrego serca, inni zmuszeni do ochrony własnych dóbr przed napaściami zgłodniałych nędzarzy: rozpacz wyryta na ich twarzy, groziła najgorszemi następstwami.

Po naradach doszło nakoniec do tego, że wybrano sześciu obywateli, którym powierzono opiekę nad ubogimi. Postawiono pierwszy krok na dobrej drodze, okazano dobre chęci, ale nic jeszcze nie zdziałano, coby rokowało szczególnie pomyślne nadzieje. Sześciu pierwszym opiekunom ubogich powierzono zarząd tak zwanego „zakładu ubogich"; obowiązkiem ich było zbierać ofiary i rozdawać je godnym, więc musieli dochodzić istotnej nędzy ubogich, żeby zapomogi szły tylko na ludzi prawdziwie potrzebujących, trzeba było nieustającej kontroli ubogich i częstego odwiedzania w ich mieszkaniach. Często przykry stan nędzarza pochodził stąd, że zupełnie zdrów i zdolny do pracy ubogi nie mógł znaleść zarobku. Mimowolne próżniactwo źle wpływało na moralne usposobienie całej masy nędzarzy. Dlatego ubogi zdolny do pracy, dostawał tylko tymczasową pomoc od zakładu, a głównem zadaniem opiekunów było wyszukanie odpowiedniej pracy. Jednocześnie zarząd nad ubogimi pomyślał o konieczności staranniejszego wychowania dzieci nędzarzy, i w tym celu założono dwie szkoły bezpłatne. Tenże sam zarząd założył dom dla starców w r. 1801.

„Zakład ubogich" z najlepszemi chęciami obiecywał dokonać dwojakiego dzieła: z jednej strony zamierzał z chrześcijańską miłością świadczyć dobrodziejstwo ubogim, z drugiej strony uważał ubogich za ciężar dla majętnych mieszkańców miasta, więc chciał przysługę wyświadczyć zamożnym, którzy mogli poruczyć sześciu członkom zarządu swoje obowiązki miłosierdzia dla ubogich i oczekiwać, że nastaną czasy spokojniejsze.

Powiększające się ciągle zajęcia zarządu, zmusiły go do przedsięwzięcia środków ułatwiających niesienie pomocy nieszczęśliwym. Przyszło do wniosku, że chcąc działać skuteczniej, konieczną jest rzeczą powiększyć liczbę osób opiekujących się i odwiedzających biednych, i nietylko ze względu, żeby ułatwić im ich zadanie, lecz i dlatego, żeby wciągnąć większą liczbę mieszkańców miasta z różnych

warstw społeczeństwa do udziału w pracy obywatelskiej, która wydziedziczonym przynosiła ulgę, bogatych uwalniała od troski.

Na tej podstawie był ustanowiony w Elberfeldzie, liczącym wówczas 12.000 ludności, zarząd składający się z jednego członka magistratu, dwunastu obywateli zarządzających, trzech członków wyznaczonych przez konsystorze wyznań katolickiego, helweckiego i augsburskiego, i trzydziestu dwóch obywateli, jako opiekunów. Miasto było rozdzielone na dwanaście okręgów, a każdy okręg na cztery dzielnice. Każdy okręg dostał tak zwanego nadzorcę, a każda dzielnica swojego opiekuna. Prośby musiały być podawane opiekunom, a ci sprawdziwszy na miejscu, byli obowiązani prośbę proszącego wraz z relacyą odsyłać nadzorcom, dopiero ci ostatni, prośbę i relacyę dla ostatniego rozstrzygnięcia podawali pod naradę zgromadzonego zarządu. Ten sposób opieki nad biednymi istniał od r. 1802 do 1803. Główną złą stroną było tu, że wyznaczenie jałmużny przestało zależeć od opiekunów, którzy przyjęli obowiązek odwiedzania nędzarzy i mogli najłatwiej zrozumieć, o ile ubogi proszący o jałmużnę zasługuje na uwzględnienie swej prośby; teraz wynik prośby zależał od osób, które orzekały i osądzały na podstawie piśmiennego świadectwa. A w dodatku groziło jeszcze niebezpieczeństwo, iż w końcu zupełnie będzie mogło zabraknąć ludzi, gotowych przyjąć obowiązki opiekunów, jeżeli będą odsunięci od wyznaczania jałmużny bezpośrednio.

Tę obawę żywić można było słusznie, bo choć sprawozdawcy świadczą o szlachetnych zamiarach, w jakich miał działać zarząd „Zakładu ubogich", przecież czuć można było już po roku, jak źle wpływa na uczestników w tem dziele poboczny zamiar, a może u wielu główny: że nie działa w nich sama miłość bliźniego, lecz że miłość własnej wygody pobudziła wielu, którzy spieszyli złożyć swoje troski o ubogich w ręce zarządu. Także członkowie zarządu nie taili, że do pracy pobudza ich nie sam widok nędzy, łechtał ich dumę zaszczytny urząd dobroczyńców ubogiego ludu. To też przykładali wielką wagę do tego, żeby mogli wspierać ubogich, każdy na swoją rękę, a nie dopiero po naradzie i uchwale wydziału okręgowego. Potrzebę takich narad uważali za ujmę dla swojej powagi, a znowu miasto chciało w nich mieć swoich urzędników, zależących od wydziału i podległych dozorowi, a nie samowolnych szafarzy jałmużn. Stąd kiełkował posiew niezgody, który miał rozbić całą sprawę. To też rozkład następował powoli, ale widocznie.

Pod względem materyalnym zarząd ubogich zostawiał dużo do ży-

czenia; środki, któremi rozporządzał, polegały na składce dobrowolnych ofiar, a gdy tych brakło, mieszkańcy miasta byli obowiązani dostarczać ich za pośrednictwem składek przymusowych. Zamiast gorącej miłości, działać zaczęły przepisy zimne i martwe. Liczba ubogich nieustannie powiększała się w przeciągu dziewięciu lat, a wszystkie przedsięwzięte środki okazały się bezskutecznemi. Potem przyszły rozliczne klęski, nieurodzaje, głód, zastój w przemyśle, cholera ze wszystkiemi zgubnemi następstwami. Miasto zubożało wogóle, dotkliwie czuło ciężar w pomocy dla ubogich, a obywatele zniechęceni nie chcieli przyjmować obowiązków opiekunów. Wszystko groziło zgubnemi następstwami dla celów dobroczynnych i miłosiernych. Dlatego dnia 9 lipca 1852 r. został obmyślony nowy system prowadzenia dzieła dobroczynności; ustawy zostały potwierdzone dnia 4 stycznia 1861 i dnia 21 listopada 1876 r., i do dzisiejszego dnia obowiązują. Duszą tej reformy był Daniel von der Heydt, z początku jeden z członków „Zakładu ubogich", a potem prezydent w miastowem zarządzie ubogich. O jego zasługach, jak o twórcy nowego systemu dobroczynności w Elberfeldzie, wdzięczne miasto na wieczną pamiątkę złożyło chlubne świadectwo w aktach złożonych w zarządzie, a spisanych po jego śmierci.

Zasadniczą myśl reformy von der Heydta stanowi zasada, że sprawy ubogich nie można uważać za przykry ciężar, od którego miasto miałoby prawo uwolnić przynajmniej ogół mieszkańców, i dlatego mogłoby słusznie przekazać kilkunastu urzędnikom cały kłopot, aby odczepić od ogółu ciężkie pasmo trosk o biednych. Jak miasto za ciężar nie uważa młodzieży dlatego, ponieważ musi dla niej zakładać szkoły i trzymać nauczycieli, jak przeciwnie uważa dzieci za swoją nadzieję i przyszłą podporę, tak powinno spoglądać na ubogich, jako na obywateli, których trzeba podnieść i zaopatrzyć w środki dobrobytu i pracy, i z ubogich powstaną nowe zastępy zamożnych obywateli, i swoim dostatkiem podniosą bogactwo miasta i wspólne źródła dostatków. Aby tę myśl przeprowadzić, von der Heydt nadał dobroczynnemu Zakładowi taki ustrój, że dziś prawie całe miasto czynnie bierze żywy udział w dziele miłosierdzia. Zamiast uwalniać zamożnych mieszkańców od troski o biednych, do jarzma wprzągł ich ilu mógł najwięcej. Zamiast usuwać z pod oczu bogactwu widok nędzy, otacza dostatek gronem twarzy, dziś zgorżkniałych na sercu i głodem wyniszczonych, jutro wdzięcznych za posiłek i gotowych do pracy, za parę lat najprzywiązańszych i dzielnych pomocników bogacza, z któ-

rym razem już zbierają majątek, już sami w nowych biedakach szukają przyszłej siły do wspólnej pracy i zarobku.

Ustrój obmyślony przez von der Heydta nie przedstawia w sobie nic zawiłego. Zarząd składa się z czterech członków miejskiej rady i czterech miastowych obywateli, korzystających z praw wyboru. Prezyduje na zebraniach burmistrz miasta. Cały system zarządu opieki nad biednymi dzieli się na dwie kategorye ubogich: do jednej von der Heydt zaliczył nędzarzy niezdolnych do pracy wskutek fizycznego lub umysłowego niedołęstwa, których prośby powinne być uwzględnione, a ci zwykle znajdują schronienie w jakim zakładzie dobroczynnym. Do drugiej kategoryi należą ubodzy zdolni jeszcze do pracy, lecz wskutek różnych okoliczności postawieni w przykrych warunkach życia i niemożności znalezienia zarobku.

Dla prowadzenia dobroczynnych zakładów, należących do miasta, ustanowiono osobne rady dla każdego osobno zakładu, jak ochrona dla sierót, przytulisko dla dzieci bez opieki, dom dla biednych, szpital epidemiczny. Przy każdym z tych zakładów pracowała osobna dyrekcya, złożona z odpowiedniej liczby członków miejskiej rady i obywateli. Liczbę członków każdej dyrekcyi wyznacza rada miejska.

Opieka w zakładach dobroczynnych nie pociąga za sobą żadnych trudności, i nie przedstawia nic szczególnego; jak wszędzie tak i tu, główne zadanie w tem, by złagodzić i mniej ciężkiem uczynić życie nędzarzy zamieszkujących ciasne i brudne zakątki miast, wlekących życie w niedostatku i ciężkiej niedoli. Dozorcy zakładów dobroczynnych zadają sobie nie raz wiele trudu, aby zrozumieć jakiemi drogami najłatwiej dopiąć celu, i nie dla wypełnienia sobie czasu, lecz z poczucia chrześcijańskiej miłości bliźniego, z zaparciem się siebie przyjąć ten dobrowolny obowiązek.

Zbytecznem byłoby wchodzić we wszystkie szczegóły działalności członków dobroczynnych zakładów. Przedewszystkiem nie dobroczynne zakłady w Elberfeldzie zwracają szczególną uwagę, lecz myśl von der Heydta, żeby najliczniej wciągnąć majętnych obywateli do opieki nad biednymi po ich domach.

Do tego zakresu dobroczynności bywają wybierani okręgowi dozorcy, którzy stanowią zarząd, i opiekuni dzielnic, właściwi wykonawcy dzieła miłosierdzia. Zadaniem jednych i drugich, jest dostarczać pomocy ubogim, niepotrzebującym jeszcze schronienia w zakładach dobroczynnych. Dla dopięcia tego celu, miasto posiadające 129.000 ludności, w r. 1892 podzielono na 26 okręgów. Na czele każdego stoi

jeden dozorca okręgowy, każdy okręg ma znowu 14 dzielnic i w każdej dzielnicy jednego opiekuna, stąd wszystkich opiekunów wypadło 364. Nadzorców i opiekunów wybiera rada miejska z pomiędzy obywateli. Każdy z członków wybierany zostaje na trzy lata, lecz może być i przedłużony czas.

Nie uległy zmianie obowiązki członków zarządu: mają dalej wyszukiwać nędzarzy, dochodzić przyczyn ubóstwa i dostarczać jałmużny albo zasiłków w naturze i ubraniu, tylko ten ostatni obowiązek został rozciągnięty wogóle na korzyść wszystkich zakładów dobroczynnych miejskich. Ażeby powiadomić ubogich, dokąd w razie potrzeby mogliby udać się, zarząd drukuje listę nazwisk wszystkich dozorców okręgowych i opiekunów dzielnic, oraz ulice i numera domów ich, i dokładnie oznacza granice okręgów i dzielnic, nad któremi czuwa każdy opiekun i dozorca. Wskutek większej liczby opiekunów dzielnic, na każdego z nich wypada niewielka liczba ubogich, co ułatwia niesienie pomocy. Gdyby powierzono ich pieczy większą liczbę nędzarzy, byliby zmuszeni zaniedbywać swoje własne zajęcia, i nie mogliby z taką sumiennością spełniać przyjętych obowiązków. Obowiązkiem opiekuna dzielnicy jest, gdy dostanie prośbę o pomoc, dochodzić i przekonać się, czy rzeczywiście proszący zasługuje na pomoc, czy nie. W ostatnim wypadku, to jest, gdyby opiekun dzielnicy zauważył, że proszący nie zasługuje na uwzględnienie, może sam bezpośrednio odmówić, lecz powinien o odmowie i jej przyczynach donieść okręgowemu zebraniu opiekunów na następnej sesyi. W przeciwnym wypadku opiekun powinien zbadać okoliczności i przyczyny ubóstwa, a przytem na tyle poznać ubogiego, aby módz osądzić, czy pomoc albo pieniężna, albo w naturze, nie będzie dla ubogiego źródłem złego i zachętą do próżniaczego życia. W tym razie najlepszym środkiem pomocy jest wynalezienie odpowiedniej pracy, żeby proszący mógł własnym trudem zdobyć sobie byt, i nie oglądać się więcej na pomoc drugich. Z tej przyczyny każdy proszący musi dostarczyć dowodów, że pomimo usiłowań nie mógł znaleść pracy, że tylko zmuszony koniecznością prosi o jałmużnę.

Opiekun powinien badać, z jakich osób składa się dalsza rodzina proszącego, jakimi jeszcze środkami rozporządza ona, czy też z krewnych zamożniejszych który nie może pełnić obowiązków opiekuna. Jeżeli opiekun dzielnicy uzna, że proszący pod każdym względem zasługuje na pomoc, musi sprawę przedstawić na okręgowej sesyi, zwoływanej przynajmniej co dwa tygodnie. Na sesyi także ma poruszać sprawę

jeżeli pobierane już dawniej wsparcie ma być na dłużej przeznaczone. Jednak w niektórych wypadkach może sam opiekun dzielnicy udzielić doraźnej pomocy i pieniężnej zapomogi, lecz tylko szczupłej.

Obowiązkiem dalszym każdego opiekuna dzielnicy jest wyszukiwanie odpowiedniej pracy dla potrzebującego, co w Elberfeldzie nie pociąga za sobą wielkich trudności, gdyż każdej dzielnicy opiekun, albo sam jest przemysłowcem i potrzebuje ludzi do pracy, albo wie, który z jego towarzyszów, opiekunów innych dzielnic szuka robotnika, albo ma przyjaciół, pomiędzy którymi z łatwością zdoła znaleść miejsce, gdzie proszący będzie mógł znaleść robotę.

W razie niemożności wynalezienia pracy dla ubogiego potrzebującego wsparcia, ubogi jest obowiązany przyjąć pracę, którą wyznacza mu zarząd ubogich. Opiekun nakoniec ma spisać swoje spostrzeżenia i w razie, gdyby ubogi nie mógł pracować, trzeba na sesyi przedstawić świadectwo lekarskie.

Na początku każdej sesyi okręgowy dozorca, który na niej przewodniczy, powinien oświadczyć członkom, jaka uchwała zapadła na poprzedniej sesyi, co do pomocy w naturze, czy pieniądzach, również oświadczyć wszystkie uchwały głównego zarządu. Okręgowa sesya przegląda przedstawienia opiekunów względem podań o pomoc, może odrzucić je zupełnie, lub też na czas jakiś zawiesić. Główny zarząd opieki nad biednymi powinien doglądać wszystkich zebrań okręgowych, a stąd nadzorca okręgowy jest obowiązanym zdawać sprawozdanie zarządowi ubogich z każdej sesyi, i uwiadamiać o wszystkich czynnościach okręgowych zebrań; zarząd ma władzę odmienić postanowienia zebrań, jeżeli spostrzeże tego potrzebę.

Na zebraniach zarządu są obecnymi wszyscy nadzorcy okręgowi, gdzie są przeglądane działania dobroczynności w ich dzielnicach, oraz mają obowiązek dostarczać objaśnień, wymaganych przez zarząd opieki nad biednymi.

Jeżeli prośba ubogiego została uwzględnioną i na sesyi okręgowej zatwierdzoną, to pomoc przyznana proszącemu, powinna była być tak ograniczoną, żeby ubogi nie stracił chęci wynalezienia sobie korzystniejszego zajęcia. Pomoc dawana nie powinna była przewyższać płacy, jaką zwykle wyrobnik zarobiłby za swoją robotę. W tym też celu pomoc dawana ubogiemu, bywa jak najskromniejszą, taką tylko, jaka jest niezbędną dla podtrzymania życia.

Pomocy można udzielać w pieniądzach, w ubraniu, lub naturze;

pomoc w naturze bywa wydawaną wtenczas, kiedy jest obawa, czy proszący dobrze użyje pieniędzy, których udziela zarząd ubogich.

Pieniądze dla ubogich wydaje się nadzorcom okręgowym w zarządzie opieki nad biednymi. Pomoc w naturze lub ubraniu wydaje miastowa ochrona ubogich. Następnie okręgowi nadzorcy doręczają pieniądze opiekunom dzielnic, którzy mają obowiązek zdać relacyę ze swoich czynności nadzorcom okręgowym, zaś ostatni zarządowi opieki nad biednymi.

Zarząd opieki nad biednymi, z pieniędzy dostarczanych mu przez miasto, może udzielać każdemu proszącemu o pomoc, a prawdziwie potrzebującemu, tyle tylko, ile jest koniecznem do podtrzymania życia. Jeżeli ubogi rozporządza jeszcze jakimikolwiek środkami, to pomoc powinna być o tyle umniejszoną, żeby razem z tem, co jeszcze ma ubogi, nie przewyższało tego, co zwykle zarząd naznacza. Proszący, posiadający tyle, ile zarząd ubogich wyznacza dla nędzarzy, nie może dostać żadnego wsparcia. Wedle przepisu zarządu ubogich, pomoc pieniężna nie powinna przewyższać 3 marek dla głowy rodziny na tydzień, dla żony mieszkającej razem z mężem 2 m.; dla dzieci przy rodzicach, które mają 15 lat 2 m.; dla dzieci od 5—10 lat 1 m. 30 f.; dla dzieci od 1—5 lat 1 m. 10 f.; dla dzieci mających mniej niż rok 80 f. Tylko w razach nadzwyczajnych większe ofiary mogą być uwzględniane. Zwykle wsparcie bywa naznaczone na 14 dni, lecz po upływie tego czasu powtórnie bywa przyznawane na tenże sam przeciąg czasu itd.

Jałmużnę w naturze i ubraniu dostają za okazaniem kartek wydawanych przez nadzorcę okręgowego na dwa tygodnie ze składów i kuchni miejskiej ochrony. Każdy ubogi, dostający jałmużnę z zarządu ubogich, korzysta także z pomocy lekarskiej w czasie choroby. Lekarstwa bywają wydawane z aptek, wynagradzanych ze środków zarządu ubogich. W razie śmierci zarząd opieki nad ubogimi, zajmuje się pogrzebem.

Na tem polega w głównych zarysach zewnętrzna strona ustroju opieki nad ubogimi w Elberfeldzie.

(Dok. nast.)

H. S.

NOTATKI O ŚLĄZKU CIESZYŃSKIM

NA POLSKICH KRESACH.

Niedaleko od Krakowa do Oświęcima, Bogumina, do Białej, Cieszyna, a jakże inny kraj, inni ludzie, inne stosunki. Inni i inne, zwłaszcza dla podróżnego, co nie wychyla się poza dworce i wagony kolejowe. Ot, skończyła się polska mowa; niema, zdawałoby się, śladu po Polsce, Polakach, chyba w paru nagrobkach, o których wspominają niemieckie „Przewodniki"; kryją się dziś mchem okryte po starych świątyniach, cmentarzach... Obok katolickich kościołów wysuwają się naprzód protestanckie zbory; radeby się na pierwszy plan wysunąć, a w wagonie zamaszysty jakiś Niemczyk zaręcza nawet najuroczyściej, że się już wysunęły. Z wieżycami zmięszanych ze sobą kościołów i zborów rywalizują fabryczne kominy; z kominami pękate, ponure, bezkształtne kancelarye kopalnianych zarządów... Wjechaliśmy w królestwo niemczyzny, protestantyzmu, fabrycznych kopalnianych królików...

Tak na pierwszy, wagonowy rzut oka by się zdawało; ale rzecz wiadoma, niema na świecie złudniejszych szkieł nad wagonowe. Jakże jest w rzeczywistości? Pożegnajmy się z wagonami, wsiądźmy na wózek, obrachowany w pierwszej linii na zysk, na towary, na zwierzęta, w drugiej dopiero na ludzi, a w żadnej na wygodę; nie żałujmy w potrzebie własnych nóg i jedźmy i idźmy od wsi do miasteczka, od miasteczka do w gó-

rach, w lasach ukrytej osady; rozpytujmy nietylko urzędowych przewodników, ale każdego z kim rozgadać się uda na drodze, w lesie, w kopalni, przy stole w wiejskiej gospodzie, a pierwotny, wagonowy obraz przybierze inne barwy i kształty. Z poza lekkiej protestancko-niemieckiej zasłony, rozciągniętej wzdłuż głównych kolejowych szlaków, wychyla się stary piastowski Ślązk ze starą polską mową, katolicką wiarą, patryarchalnymi zwyczajami i obyczajami.

Stary piastowski Ślązk od wieków politycznie od Polski oddalony; nie o kwestyę też polityczną dziś chodzi. Ale chodzi o kwestyę narodowości, o ściśle z nią połączoną kwestyę religijną. Jak od nas żądają, aby Rusini w Galicyi uprawiać mogli swobodnie swój język, trzymać się swych tradycyj i zwyczajów, i każdy rozumny Polak nic nie może zarzucić tym żądaniom; tak lud ślązki, choć od wieków do Polski nie należy, słusznie się domaga, aby mu nie zabierano rodzinnego jego języka, polskiego języka, aby przestrzegano jego zwyczajów, tradycyj... Najsłuszniejsze to żądania, i nikt na świecie, a tem mniej katolik, któremu dobro katolickiej religii leży na sercu, nie może przeciw nim występować.

I.

Wchodzisz na dworzec w Cieszynie, Bilsku, ba! w Gnojniku, Rychwałdzie, Goleszowie, niemieckie dźwięki bezustannie do uszu dochodzą. Portyer zwraca się z niemieckiem zapytaniem, szef stacyi po niemiecku łaje portyera, restauratorka po niemiecku zachwala wonne kiełbaski, podróżni rzucają po niemiecku zaniepokojone pytania i zniecierpliwione odpowiedzi. Wchodzisz do kancelaryi fabryki, kopalni: urzędnik, choć czasem Polak z krwi i kości, po niemiecku z przyzwyczajenia wita, a i potem raz po raz niemiecki frazes wplata do rozmowy. Dochodzisz do hotelowych progów: portyer, kelner, kelnerka zagadują z zasady w niemieckim języku. Trudna rada, jesteśmy oczywiście wśród Niemców, w niemieckim kraju.

Prawda, że na to nie trzeba było przekraczać aż ślązkiej granicy. We wszystkich prawie kopalniach rozsianych jeszcze

w Galicyi, od Krakowa ku Ślązkowi, język niemiecki przeważa i panuje, dzięki jednemu lub paru wyższym urzędnikom, sprowadzonym z Czech, z Niemiec. W galicyjskiej Białej nazwy ulic. ogłoszenia po rogach ulic rozlepione, w języku niemieckim, lub co najwyżej i jakby z czystego miłosierdzia w niemieckim i polskim; w fabrykach wyłącznie panującym i używanym językiem jest niemiecki; gdyby nie urzędowe ogłoszenia i urzędowe gmachy, niktby się nie domyślił, że Biała wchodzi w skład Królestwa Galicyi i Lodomeryi. Podobną cechę noszą na sobie wioski sąsiadujące z Białą, z których dzień w dzień podążają do najróżnorodniejszych bialskich i bilskich fabryk setki robotników i robotnic. Niektóre z tych wiosek od dawien dawna niemieckie; inne niemczą się dopiero z wolna przez kontakt z Białą. Fabrykant mówi tylko po niemiecku, dozorca uważa sobie za chlubę, aby jak najczęściej i najgłośniej po niemiecku się odzywać i większe względy Niemcom pokazuje. Czuje instynktownie, że gdy np. wyrzuci ze siebie następne „polskie“ zdanie: „Materac to je taki strohsack filowany roshaarem“, polskie to zdanie brzmi nieco dziwnie w uszach Polaka z innych stron. Czyż dziwić się chłopcom, dziewczynom, gdy dla miłego spokoju, poważniejszego zysku i nadania sobie większej powagi, naśladować się starają swych panów i dozorców?

Zachodnie galicyjskie kresy mają mniej lub bardziej lekki niemiecki pokost; za ślązką granicą pokost może trochę grubszy, lecz bądź co bądź to dotychczas pokost i nic więcej. Niech pomnoży się — mówią mi na prawo i na lewo — zastęp łatwo po polsku mówiących i szczerze po polsku czujących inżynierów, kupców, fabrykantów, dozorców, wszelkiego rodzaju i nazwy urzędników, a zewnętrzna pokrywa roztopi się rychło, masy polskiej ludności, dotąd pod nią ukryte, wystąpią na wierzch w całej sile i blasku. Nie mamy dość inteligencyi polskiej; mamy armię, brak sztabu. I stąd właśnie tłumaczy się niezmierna waga, jaką wszyscy polscy patryoci przykładamy do polskiego gimnazyum w Cieszynie; stąd tłumaczy się niechęć, jaką gimnazyum to spotyka ze strony szowinistycznych żywiołów niemieckich.

A to przecież dopiero pierwszy krok, i pytanie, czy najważniejszy w obronie naszego języka, naszych interesów.

Gimnazyum polskie w Cieszynie! Niepodobna zrobić dwóch kroków po Cieszynie, ba, po całem Cieszyńskiem, żeby nie wpaść w zaklęte koło nie kończących się rozpraw o gimnazyum tem, ledwie dotąd wychodzącem z pieluch, o jego pożyteczności, dzisiejszym kierunku, o możliwości utrzymania go na przyszłość.

„Dobra rzecz gimnazyum — mówi jeden, idąc w ślad za wywodami bardzo tu znanej i głośnej broszury Warszawiaka „Ze spraw ślązkich“ [1] — dobra, pożyteczna rzecz, ale czy samo polskie gimnazyum Ślązk zbawi? Czy niema spraw o wiele pilniejszych, a może i łatwiejszych do przeprowadzenia? Czy nie możnaby domagać się wprost od rządu założenia polskiego seminaryum nauczycielskiego; czy to nie oburzające, że dotąd dla blizko dwustu tysięcy Polaków, zamieszkujących Ślązk, niema takiego seminaryum? Język polski uznany jest na Ślązku urzędowo jako ‚drugi język krajowy‘; w praktyce po sądach, urzędach, pocztach, notaryatach załatwia się wszystko po niemiecku, bo Polacy równie przynajmniej dobrze umieją po niemiecku, jak po polsku, więc dla pośpiechu, dla grzeczności, przymrużają oba oczy, gdy im notaryusz, adwokat, sędzia wystawi niemieckie akta. W ludowych szkołach znowu nauczycielowi wygodniej jest wykładać po niemiecku, więc po niemiecku wykłada. Jakie dzieją się tu anomalie, tego dowodem cieszyńska szkoła ludowa na Saskiej Kępie. Czysto polskich dzieci uczy się tu z 80 procent. a nauczyciel po polsku zupełnie nie mówi, tak, że dzieci rozumiejące i po niemiecku, muszą kolegom jego wykłady tłumaczyć. W radach miejskich urzędowym językiem jest niemiecki; napisy ulic, napisy na sklepach niemieckie; towarzyski język, w którym toczą się rozprawy na ulicach, po restauracyach, na

[1] „Ze spraw ślązkich“. Napisał Warszawiak. Odbitka z *Gazety Narodowej*. Kwów. 1895. Publiczną jest tajemnicą, zwłaszcza na Ślązku, że pod nazwą Warszawiaka ukrywa się ks. Stojałowski. Swoją drogą broszura ta napisana jest z niemałą znajomością rzeczy, w tonie stosunkowo spokojnym i przedmiotowym, którego w artykułach i broszurach, podpisanych pełnem nazwiskiem nieszczęśliwego apostaty naprożnobyśmy od wielu lat szukali.

kolei, nietylko w niemieckich lub mieszanych, ale nieraz w czysto polskich kółkach — znowu język niemiecki. To sprawy ważne, domagające się na gwałt ocucenia się ze zbyt długiego snu, fundamentalnej reformy. A w dodatku dla przeprowadzenia tej reformy nie trzeba, jak o gimnazyum, ani do Wiednia pięćdziesiąt razy jeździć, ani do składek całej Polski nawoływać; nie trzeba nikogo o żadną łaskę prosić, wystarczy trochę energii w dopominaniu się o swe prawa; trochę dobrej woli i większej uwagi na siebie i na swoich. Więc piękna rzecz gimnazyum, ale gimnazyum to jedno ogniwo w łańcuchu, i to podobne ostatnie; to dach narodowego budynku, a cóż za znaczenie ma dach bez ścian i fundamentów?"

Ktoś inny, dobry Polak, ale nie mniej szczery i gorący katolik, również zasadniczo przeciw gimnazyum nie występuje, lecz wyraża obawę, aby przypadkiem nie stało się rozsadnikiem protestantyzmu, niereligijności.

„Co? — dziwi się jeden z inicyatorów gimnazyum, gdym mu te obawy powtórzył — ależ to właśnie protestanci drżą ze strachu, aby gimnazyum nie doprowadziło zwolna wszystkich Polaków do katolickiego Kościoła. Głośny, nie cierpiący nas ze serca Haase nie chciał w pierwszej chwili zgodzić się na nabożeństwo w zborze dla protestanckich uczniów przy otwarciu gimnazyum; dopiero gdy mu zagrożono, że jak żaden pastor mowy nie wypowie, znajdzie się protestancki chłop, co go zastąpi, zmiękł i zgodził się na wszystko. Niektórzyby chcieli, aby tylko katolickie dzieci przyjmować do gimnazyum. Zapewne, miałoby to swoje dobre strony, ale w Austryi, w naszych stosunkach tutaj jest po prostu na razie niemożliwe. I czemuż właśnie domagać się od słabego, walczącego z tak ciężkimi warunkami gimnazyum cieszyńskiego rzeczy, której przeprowadzić nie można ani we Lwowie, ani w Krakowie; czy to nie wygląda trochę oryginalnie? A co do zarzutu szerzenia niereligijności, jest on wprost bezpodstawny, fałszywy. Katolickim dzieciom ksiądz wykłada katechizm, w klasach wiszą wszędzie krucyfiksy, a proszę nie zapominać, że jesteśmy w Cieszynie i że dotąd w żadnej

publicznej szkole nie można się tu było — z wielkiej delikatności dla Żydów — z krucyfiksem spotkać".

Gimnazyum jest, żyje, stopniowo się rozwija; jakie nadzieje dalszego jego życia i rozwoju? Znowu różne zdania, mieniące się od jaskrawo purpurowej do ponuro czarnej barwy. Na to wszyscy się zgadzają, że jeśli gimnazyum ma kwitnąć, a nie wegetować, nie wolno obecnie zatrzymywać się w pół drogi; jeśli ma mieć uczniów, musi chłopak już w szkole ludowej na prawdę się poduczyć i czytać i pisać po polsku. Na ludową szkołę główną kłaść trzeba wagę; na to, aby istniejące już przepisy co do nauki „drugiego krajowego języka" ściśle były w nich wykonywane; aby w każdem mieście, czy wsi, w której znajduje się przewidziana przez prawo liczba polskich dzieci, zakładano dla nich osobną polską szkołę[1]. Tego słusznie domagają się i tak robią Rusini w Galicyi, tak robią Czesi w Morawii i na samymże Ślązku, tak robią Niemcy wszędzie, gdzie znajdują się w mniejszości; niema prawdziwie dobrej racyi, dla którejby Polacy na Ślązku mieli się wyłamywać z pod powszechnie w całej Austryi obowiązujących ustaw.

O wiele jeszcze trwalsze i głębsze ślady, niż u chłopców, pozostawia szkolna niemczyzna u dziewcząt. Mała dziewczynka rozmawiała w domu tylko po polsku, potem poszła do szkoły, pobyła może lat parę w otoczeniu niemieckich nauczycielek i koleżanek i wraca do domu z wewnętrznem przekonaniem, że polski język dobry dla służby i ludzi nie wykształconych, ale na żaden sposób nieodpowiedni dla panienki lepiej wychowanej. Może później zmieni w teoryi to zdanie, ale w praktyce zawsze będzie się starała do niemieckiego zawrócić. I jakże ma być inaczej, kiedy po niemiecku wyraża się poprawnie, elegancko, po polsku z nieco inteligentniejszymi ludźmi mówić się wstydzi, bo nigdy niepewna, czy jej się na język nie wysunie jakieś „chłopskie" wyrażenie, czy czysto ślązki frazes jakiego dotkliwego figla jej

[1] Odnośna ustawa opiewa: „W gminie, w której 40 rodzin zażąda od gminy założenia osobnej szkoły z językiem wykładowym, będącym językiem macierzystym odnośnych rodzin, gmina obowiązaną jest zadośćuczynić temu żądaniu.

nie spłata. Z góry też założyć się można, że każda dziewczyna, która nosi kapelusz, a od święta ma parę rękawiczek, używać będzie wszelkich możliwych fortelów, byle, zacząwszy dla grzeczności dwoma polskiemi słowami, wypłynąć na lepiej sobie znane niemieckie wody. Tak sobie radzą różne inteligentne panienki, bawiące gości w rodzicielskich salonach, tak radzić się sobie starają panny sklepowe, kelnerki, a nawet — jak miałem sposobność sam się o tem przekonać — młodziutkie, dziesięciodwunastoletnie dziewczynki.

Dość zdawałoby się kłopotu z obroną przed niemiecką falą, tymczasem po paru dniach bytności na Ślązku, im bardziej posuwasz się ku morawskim kresom, ku Frydkowi, ku Morawskiej Ostrawie, tem częściej i z tem większem zdziwieniem dowiadujesz się:

„Bajka z Niemcami; z nimi razem iść choć z biedą i żyć można; nawet można przy wyborach, obradach wchodzić w *pacta conventa;* gorzej, dziesięć razy gorzej z Czechami".

Z początku myślisz, żeś się przesłyszał, że to proste nieporozumienie. Nie! Kiedy dostałeś się w czeskie towarzystwo, nie oszczędzają i oni Polaków. Kto winien, że na Ślązku Niemcy rządzą? Polacy. Kto nie zna i znać nie chce słowiańskiej idei, słowiańskiej wzajemności? Polacy. Chciałbyś jeszcze wątpić, a wątpić niestety trudno, że to wzajemna, głębiej wkorzeniona niechęć, która oczywiście obydwom stronom nie przynosi korzyści.

Poważny ksiądz żali się:

„Wymienić mogę szereg miejscowości, w których ludność polska, a czescy księża wprowadzają czeskie kazania w kościele, czeskie przemowy, czeskie toasta na probostwach. Zdarza się, że w tej samej wsi w protestanckim zborze panuje wszechwładnie język polski, do katolickiego kościoła ksiądz czeski język wprowadza, bo — tłumaczy się — dawnemi latami mówiono w tych stronach po czesku, a zresztą miejscowy dyalekt jest czesko-polską mieszaniną. Do czysto polskiej wsi przychodzi czeski organista i uczy ludzi śpiewać czeskie pieśni. Pytam raz poczciwą kobiecinę: ‚Czy wy rozumiecie, co śpiewacie?' ‚Nie — odpowiedziała bez wahania — nie rozumiem, ale dali nam takie

książeczki, to z nich śpiewamy'. Owe książeczki były to czeskie kancyonały i z tych kancyonałów śpiewali polscy Ślązacy, a z nimi i galicyjscy chłopi, którzy do nas bardzo licznie za zarobkiem przychodzą".

„Chłop galicyjski — dodaje inny proboszcz — kiedy dostanie się między paru czeskich kolegów, zaczyna już po tygodniu po czesku kaleczyć; wyobraża sobie, że to język bardziej cywilizowany i mówić nim należy do dobrego tonu. Czescy urzędnicy górniczy protegują naturalnie swój język; chwalą robotnika, który do nich, choć licho, po czesku się odezwie. W gościńcu po czesku, w kopalni po czesku, w kościele po czesku. W polskiej Ostrawie będzie pięć do sześciu tysięcy polskich robotników, powinnaby być bez wątpienia polska szkoła, powinnyby być polskie kazania. Niema ani szkoły, ani kazań. W Orłowej czeska szkoła, a po szkole dzieci mówią między sobą po polsku. W Rychwałdzie ma lud w potocznej mowie może dziesięć słów wziętych z czeskiego; tymczasem poprzedni proboszcz zaprowadził w kościele czeskie śpiewy".

Te same, czasem słowo w słowo, skargi powtarza urzędnik górniczy, kolejowy, zamożny i wpływowy krawiec. Wszyscy zgadzają się, że czeszczenie polskich robotników zabiera im nietylko język i narodowość, ale co gorsza, wiarę i w dodatku przerzuca ich dziewięć razy na dziesięć w socyalistyczne szeregi.

Krawiec z Morawskiej Ostrawy niezmiernie ostro na Czechów powstaje:

„Niemiec da Polakowi zarobić, Czech nigdy. Przez cztery lata, mogę śmiało powiedzieć, nie zarobiłem ani jednego centika. A przecież jak szło o „Narodni Dom", to myśmy z Czechami zarówno się składali i tego im nie wymawiamy, ale niechże nam teraz wzajemnością płacą".

„W ewangelickim zborze polskie kazanie, ani słowa, że kiepsko mówione, ale zawsze polskie, to też choć katolicy jesteśmy, jeden z drugim tam idzie, aby polskiej mowie się przysłuchać. Rozumiem po niemiecku, rozumiem po czesku, lecz polskie, ojczyste słowo inaczej do serca trafia".

„Moja żona do zboru idzie, choć z pewnością katoliczka, jak się patrzy, ale idzie dla polskiego kazania".

„Raz u nas w Ostrawie — dorzuca trzeci — było polskie kazanie. Cały kościół taki był pełny, pełniuteńki, żebyś szpilki nie wetknął. Koniecznie nam potrzeba polskich kazań, bo inaczej ludzie do reszty zdziczeją".

Powtarzam czeskim patryotom te skargi i zarzuty. Wzruszają ramionami, wspominają coś o przesadzie, tłumaczą: „Przecież każdy Polak po czesku rozumie; tu nie chodzi o to, żeby Polacy albo Czesi byli górą, ale o to, aby Słowianie trzymali się kupy i Niemcom się nie dali". Nakoniec, gdy widzą, że wszystkie te argumenty nie bardzo mi trafiają do przekonania, obiecują, że kiedyś później wystąpią z lepszymi i gruntowniejszymi. Teraz niema czasu, teraz wszystkie nerwy naprężone, wszystkie myśli i uczucia skierowane ku wyborom do Rady miejskiej, które rozstrzygnąć mają, czy w Ostrawie panować ma nadal „niemiecko-żydowsko-polska szajka", jak Czesi niezbyt grzecznie się wyrażają, czy „młodoczeskie husyty, warchoły" jak Polacy i Niemcy płacą pięknym wyrazem za nadobny,

Co za bój! Homera wart. Zborny punkt czeskich hufców w wspaniałym „Narodnim Domu" który, bez przesady, wygląda jak forteca i mieści w sobie wszystko, czego dusza czeska może zapragnąć: czeskie dzienniki, czeskie piwo, czeską muzykę. Właśnie dość już późnym wieczorem cały tłum wraca z wyborów. Dziś szanse przechylały się na czeską stronę, więc entuzyazm nie zna granic. Cały dom, cały restauracyjny ogród brzmi nie kończącem się *Na zdar!* Kilku młodszych, gorętszych chwyciło zwycięskiego kandydata na barki i obnosi go w tryumfie wśród stołów, pokrytych kuflami, a manewruje tak zręcznie, że nie przewraca ani jednego. Zewsząd radosne odgłosy: „Zwyciężamy!" „Z pewnością zwyciężymy!" Gorętsi dodają: „To się wie — to się rozumie!"

W „niemieckim domu" inny nastrój, cichy, poważniejszy. Przewódcy radzą półgłosem przy osobnych stolikach i kombinują, co przyniesie dzień jutrzejszy. Niema obawy; wszyscy policzeni, ostrzeżeni, zwołani. Niech się Czesi cieszą dzisiejszą

przypadkową większością, za to jutro, pojutrze, przy ostatecznym rezultacie będą musieli ze wstydem ustąpić,

Te same nadzieje i zapewnienia w „Polskiej Czytelni“, raczej w restauracyi, do której członkowie polskiej czytelni schodzić się zwykli na piwo i pogadankę. I to dobrze, choć byłoby lepiej i o wiele więcej powagiby im dodało, gdyby, jak Niemcy, jak Czesi, zdobyli się raz wreszcze na swój własny „narodowy dom“; dość do tego Polaków w Ostrawie, a i pod względem finansowym przedsiębiorstwo „polskiego domu“ bez wątpieniaby się opłaciło. Członków liczy „Czytelnia“ sześciuset, a mogłaby liczyć więcej; prawda, że dziś wielu wkładek nie opłaca.

„Niemcy do nas chodzą — tłumaczą się członkowie „Czytelni“ — Niemcy pomagają nam tu w Ostrawie do przeprowadzenia naszych żądań; rzecz prosta, że musi nam chodzić o przeprowadzenie polsko-niemieckiej listy. A Czesi? Piękni pobratymcy, co zdzierają, babrzą polskie plakaty i w żaden sposób nie chcą zezwolić, aby nasze dzieci po polsku się uczyły“...

Niechęci objawiające się przy piwie i bez piwa, w lokalach Czechów, Niemców, Polaków, występują z całą siłą w obszernej hali miejskiej Strażnicy, wyznaczonej na głosowanie. Od wczesnej godziny jednę, lewą stronę zajęli Czesi; drugą Niemcy i Żydzi — jak Czesi z szyderczym naciskiem raz po raz powtarzają, a na prawdę: Niemcy, Polacy i Żydzi. Tych ostatnich także nie brak; niektórzy wystąpili nawet w chałatach i jarmułkach i głosują zwartym szeregiem za kompromisową polsko-niemiecką listą. Na prawicy nie usłyszysz na lekarstwo niemieckiego słowa; za to cała bez wyjątku prawica — Niemcy i nie Niemcy rozprawiają po niemiecku. Nie uchodzi to naturalnie uwagi przeciwników i nową broń w rękę przeciw Polakom im podaje: „Słuchajcie naszych Słowian! Słuchajcie naszych żydowskich Słowian!...“

Smutna to rzecz te ciągłe spory i waśnie, te ciągłe wzajemne szczucia na siebie różnych narodowości, bezustanna walka, na każdem polu jawna i podjazdowa. Walka dziś i w szczegól-

ności na austryackim Ślązku tem smutniejsza, że przygotowuje grunt dla napierającej ze wszech stron socyalistycznej agitacyi. Robotnik, który zaparł się swego języka, a tem samem moralnie się obniżył, który dla chwilowej korzyści wyparł się narodowości, gotów każdej chwili rzucić się w objęcia obiecującego złote góry socyalizmu. W tej mierze dwóch zdań niema. Nawet bardzo zapaleni Niemcy, gorączkujący się Czesi, wyznają w poufalszem kółku: „Zabieranie robotnikom języka, gwałtowne przerabianie ich w Niemców lub Czechów, może zrobi, może nie zrobi z nich Niemców lub Czechów, ale z pewnością zrobi socyalistów!...“

II.

W sobotę popołudniu mury Morawskiej Ostrawy czernić się zaczynają od plakatów wszelkiej formy i wielkości. Niektóre zapowiadają wspaniały bal, menażeryjne cuda; największa część wzywa „wszystkich robotników“, „wszystkich ludzi dobrej woli“, „wszystkich mających zdrowe poczucie swych praw i potrzeb“ do zebrania się w oznaczonym lokalu dla wysłuchania niezmiernej wagi referatu i wspólnej nad nim narady. Rano o dziesiątej zebranie czeskich socyalistów odcienia tak czerwonego, że aż z purpurą anarchii graniczy, w witkowickiej gospodzie u — jeśli pamięć i pospiesznie kreślone notatki nie mylą — pana Janoša. O drugiej zebranie niemieckich socyalistów w wielkiej sali „Pod Kulą“... O czwartej obrady socyalno-chrześcijańskiej „Wolności“. Jeszcze w środku jedno jakieś czeskie zgromadzenie, na które już starczyć nie może ni czasu ni ochoty. Wieczorem trzeba być koniecznie w salach polskiej Czytelni, gdzie zebrać się ma na pogadankę, śpiewy, piwo, teatralne przedstawienie cała polska kolonia. Bądź co bądź szczelnie dzisiejsza niedziela zapełniona.

Do Janoša setny kawał drogi; spóźniam się o blizko pół godziny, ale nie bardzo biorę to sobie do serca, bo wiem z galicyjskiego doświadczenia, że im jakie zgromadzenie bardziej anarchistyczne, tem mniej — nie bez pewnej konsekwencyi — rachuje się z zegarkiem. Uczestnicy powoli się schodzą i powoli

ności na austryackim Ślązku tem smutniejsza, że przygotowuje grunt dla napierającej ze wszech stron socyalistycznej agitacyi. Robotnik, który zaparł się swego języka, a tem samem moralnie się obniżył, który dla chwilowej korzyści wyparł się narodowości, gotów każdej chwili rzucić się w objęcia obiecującego złote góry socyalizmu. W tej mierze dwóch zdań niema. Nawet bardzo zapaleni Niemcy, gorączkujący się Czesi, wyznają w poufalszem kółku: „Zabieranie robotnikom języka, gwałtowne przerabianie ich w Niemców lub Czechów, może zrobi, może nie zrobi z nich Niemców lub Czechów, ale z pewnością zrobi socyalistów!...“

II.

W sobotę popołudniu mury Morawskiej Ostrawy czernić się zaczynają od plakatów wszelkiej formy i wielkości. Niektóre zapowiadają wspaniały bal, menażeryjne cuda; największa część wzywa „wszystkich robotników“, „wszystkich ludzi dobrej woli“, „wszystkich mających zdrowe poczucie swych praw i potrzeb“ do zebrania się w oznaczonym lokalu dla wysłuchania niezmiernej wagi referatu i wspólnej nad nim narady. Rano o dziesiątej zebranie czeskich socyalistów odcienia tak czerwonego, że aż z purpurą anarchii graniczy, w witkowickiej gospodzie u — jeśli pamięć i pospiesznie kreślone notatki nie mylą — pana Janoša. O drugiej zebranie niemieckich socyalistów w wielkiej sali „Pod Kulą“... O czwartej obrady socyalno-chrześcijańskiej „Wolności“. Jeszcze w środku jedno jakieś czeskie zgromadzenie, na które już starczyć nie może ni czasu ni ochoty. Wieczorem trzeba być koniecznie w salach polskiej Czytelni, gdzie zebrać się ma na pogadankę, śpiewy, piwo, teatralne przedstawienie cała polska kolonia. Bądź co bądź szczelnie dzisiejsza niedziela zapełniona.

Do Janoša setny kawał drogi; spóźniam się o blizko pół godziny, ale nie bardzo biorę to sobie do serca, bo wiem z galicyjskiego doświadczenia, że im jakie zgromadzenie bardziej anarchistyczne, tem mniej — nie bez pewnej konsekwencyi — rachuje się z zegarkiem. Uczestnicy powoli się schodzą i powoli

do piwa się zabierają; jedenasta już, już wybije, a na sali niema i dwudziestu. Tych dwudziestu najbardziej widocznie w tej chwili zajęci niewidzianem tu dotąd, najmniej oczekiwanem zjawiskiem — księżą sutanną. Rada w radę, zapada uchwała, że nikt to inny być nie może, tylko ks. Stojałowski, a ponieważ ks. Stojałowski cieszy się między ślązkimi i morawskimi socyalistami niekłamaną sympatyą, jeden po drugim podchodził, aby wrzekomemu Stojałowskiemu rękę uścisnąć i chwilkę z nim pogawędzić. Z początku nie mogłem się zoryentować, czemu mam zawdzięczyć te uprzedzające grzeczności, ale wnet wydała się tajemnica.

„To wy nie Stojałowski?“ — zapytał ktoś sprytniejszy, któremu moje odpowiedzi i zapatrywania wydały się zanadto podejrzane i z ideałami ks. Stojałowskiego wcale nie licujące.

„Co nie, to nie!...“

W jednej minucie prysła bańka chwilowej sympatyi i grzeczności; z miłego gościa, stałem się zaledwie od biedy tolerowanym. Szczęściem już i przewodniczący, znudzony zbyt długiem oczekiwaniem, chwycił za dzwonek i rozpoczęło się posiedzenie.

O czem tu przy piwku nie rozprawiano! O czem nie mówił, jakich kwestyj nie poruszył, jakimi zarzutami na Kościół, na państwo nie nadział swego niekończącego się odczytu, główny referent Šimurda?! Pięciu minut nie upłynęło, a już zacytować zdołał cały szereg nazwisk: Solona i Grachusa, Apostoła Pawła i Mojżesza, Chrystusa i Likurga. W drugich pięciu minutach dowiódł, że nauka Chrystusowa jest wszędzie i pod każdym względem opacznie tłumaczona. Szlachta i klasztory przywłaszczyły sobie wszystkie majątki. Straszną była inkwizycya. W Anglii wieszano, palono proletaryuszów. Wszędzie bito ich i torturowano. Kto bił, kto torturował? Czy to nie byli katolicy? I cóż katolicyzm pomógł? Dziewczyny pracujące w fabrykach cygar, oddawać się muszą występkowi, jeśli nie chcą z głodu zginąć. Polscy nauczyciele w Galicyi umierają z głodu. Trzysta tysięcy ludzi zginęło w Galicyi na tyfus głodowy. A przecież wszystko co jest, jest majątkiem ludu. Więc musi nastąpić

przewrót. Komuna padła na pewien czas, ale nie padła na zawsze..."

Zgromadzeni popijają piwo i słuchają; jeden mozolnie ze snem walczy, za to z twarzy innych widać, że każde słowo o ucisku, torturach, wyzyskach, idzie im prosto do serca i ryje w niem coraz głębsze bruzdy nienawiści dla wszystkich, co sobie już zarobili na lepszy surdut. Zawieszone lojalnie w sali portrety cesarza i cesarzowej przysłuchują się ze zdziwieniem pochwałom nie szczędzonym komunie. Czas płynie, niechęć, zawiść w sercu rośnie, a referent mówi, mówi, a raczej czyta i czyta z jakiejś drukowanej książki, którą dyskretnie przed sobą rozłożył i raz po raz do niej zagląda. Ciekawąby było rzeczą bliżej się rozpatrzyć w tym podręczniku dla anarchistycznych mowców!...

W sali „Pod Kulą", dokąd niemieccy socyaliści zwołali na drugą popołudniu „wielkie, ludowe zebranie", wiszą ogólno socyalistycznym zwyczajem portrety Lassalla i Marksa. Sala bardzo wielka, mogłaby pewnie pomieścić do półtora tysiąca słuchaczów, ale gwałtowna burza, która właśnie około drugiej zaczęła szaleć nad Ostrawą, odstraszyła ciekawych, tak że choć wkrótce zupełnie się wypogodziło, liczba zebranych z biedą dociąga może do trzystu. Psuje to humor mówcy, redaktorowi socyalistycznego pisemka, który osobno z Berna przyjechał na zebranie; jeszcze silniejsze zmarszczki na twarz mu występują, gdy kilkoro dzieci, przyniesionych przez matki, zaczyna ni stąd ni zowąd drzeć się w niebogłosy. Trzeba je przekrzyczeć; aby mieć racyę krzyczenia, trzeba się uciekać do coraz silniejszych, dosadniejszych wyrażeń.

„Mamy nieszczęście żyć w poprostu niemożliwem państwie. Gdyby dzikiemu z Afryki przedstawił kto nasze stosunki, pewnieby nie uwierzył, że coś podobnego może się dziać na świecie. Mamy parlament, co ma niby bronić interesów ludu; a wiecie czcigodni przyjaciele, wielu mamy w parlamencie przyzwoitych, uczciwych posłów? Dwóch na całą Austryę; dwóch, powtarzam nie więcej. Co my mamy za prawa; jaka u nas wolność zgromadzeń, jaka wolność prasy? W Galicyi niektóre sądy i o tem

nie wiedzą, że ludziom, jeśli im się podoba, wolno nic nie robić, wolno strejkować... Mili ludzie rządzili nami i rządzą. Taaffe, najbrutalniejszy ze wszystkich ciemiężyciel zorganizowanych robotników. Windischgraetz, którego ministeryum wsławiło się przysłowiową głupotą swych członków. Wreszcie polski szlachcic Badeni, znany *Prügelstatthalter* galicyjski. Takie gwałty, jakie za jego namiestnikostwa działy się w Galicyi w czasie wyborów, byłyby i w Rosyi niemożliwe. O! Badeni, sprytna szelma! Gwałci, a robotników chce ku sobie zwabić wyciągniętą figą reformy wyborczej. Badeni...“

Czem jeszcze jest Badeni i co jeszcze nabroił, nie mieliśmy się niestety! dowiedzieć. Komisarz rządowy, który ze stoicznym spokojem słuchał wyzwisk przeciw byłym ministrom, zmienił od razu postawę, gdy przyszła kolej na urzędującego dostojnika. Trudna rada — tak mu widocznie litera prawa nakazywała. Napróżno mowca rzucał się i szarpał, napróżno z rozpaczliwymi gestami próbował dowodzić, że przecież nie krytykował ministra jako ministra, ale wyłącznie jako byłego galicyjskiego namiestnika; komisarz nie wdając się w dyskusyę, nałożył czapkę i energicznie wezwał wszystkich do natychmiastowego opuszczenia sali.

„Proszę się rozchodzić, bo zawołam żandarmów!...“

Przekonywujący to argument; lepiej z nim nie polemizować, tem bardziej, że najwyższy już czas wpaść na zebranie „Wolności“.

Znów, niby w kalejdoskopie, inny obraz. W stosunkowo niewielkiej izdebce, oddzielonej bardzo delikatną przegrodą od głównej restauracyjnej sali jednego z podrzędniejszych szynków-hoteli, siedzi za stołami może 30, może 40 rzemieślników, czeladników, należących do związku. Na honorowem miejscu, w środku głównego stołu, kilku księży; obok redaktor socyalno-katolickiego pisemka wydawanego w Ostrawie po czesku: *Zájmy Dělnictva*, „Sprawy robotnicze“. Zebrani czekając na urzędowe otwarcie posiedzenia, pilnie przeglądają i własny swój organ i ukochane pragskie *Dělnické Noviny* i różne katolickie robotnicze gazetki berneńskie, pragskie; wśród czeskich odbija słoweński

Glasnik, a i polski *Grzmot* dość licznych znajduje zwolenników. Paru Galicyan nietylko po polsku czyta, ale zupełnie jeszcze dobrze po polsku mówi; paru innych przed dawniejszymi laty przybyłych do Ostrawy wymawia się, że choć wszystko należycie rozumieją, czeskie wyrazy same cisną się do ust, a polskie — żal się Boże! — uciekają i trudno je upolować.

Na pierwszym planie praktyczna narada, jak przyjąć niezmordowanego, ukochanego przewódcę katolicko-socyalnej partyi czeskiej, dr. Horskiego, który obiecał, że za dni kilka z Pragi w te strony przyjedzie, i objawił gotowość przemawiania na publicznem zebraniu. Niema wątpliwości, tłumy się zejdą; samo nazwisko Horskiego, prawdziwego, gorącego przyjaciela robotników, dostatecznym magnesem do ściągnięcia tysięcy. To kwestya załatwiona; rozprawy przechodzą na główny temat przeznaczony na dzisiejszy dzień, na wypoczynek, na święcenie niedzieli. Jeden po drugim z robotników wstaje, i opowiada, niewesołe wogóle stosunki, w jakich znajduje się odnośnie do pracy niedzielnej. A i w dnie powszednie trzeba ograniczenia pracy. Zwłaszcza w hutach musi być zaprowadzony ośmiogodzinny dzień roboczy, aby człowiek mógł odetchnąć. Kto w hucie nie pracował, ten nie wie, co to znaczy przez osiem godzin jakby w ogniu stać i żelazem machać...

Zwolna rozprawy, z początku spokojne, przedmiotowe, przechodzą w ton namiętny; słyszeć się dają zarzuty zaprawne zbyt wielką dozą goryczy; jeden z młodych księży z lepszą bezwątpienia intencyą, niż przezornością, leje na ogień nie wodę lecz oliwę. Inny ksiądz robi mi do ucha bardzo trafną, szkoda, że nie głośniej wypowiedzianą uwagę:

„Otóż najlepszy przykład, z jaką zimną krwią, z jaką miłością — ale dla wszystkich bez wyjątku — dla ubogich lecz i dla bogatych, przystępować należy do pracy społecznej. Musimy na tem polu pracować, bo kwestya socyalna, przynajmniej u nas: na Ślązku, w Czechach, na Morawii, wszystkiemi porami się pcha, i jeżeli nie potrafimy ująć jej w ręce, zmiażdży nas na proch. Ale musimy na tym świeżym dla nas gruncie postępować z niesłychanym spokojem, z dwojga złego za powoli, niż

za prędko, bo grunt to ślizki i nic łatwiejszego, jak przewrócić się i guza sobie nabić. I dobrzeby było, gdyby się zawsze skończyło na guzie...

III.

Agitacya pędzi po Ślązku i sąsiadujących z nim kopalnianych i fabrycznych osadach, przewala się jak wzburzony potok ze wszystkich stron i na wszystkie strony. Niemieckim, wiedeńskim szlakiem socyalistyczna międzynarodowa propaganda; od Pragi i Berna młodoczeska, anarchistycznemi zachciankami silnie zabarwiona; z Krakowa zagląda od czasu do czasu sam naczelny wódz galicyjskiego socyalizmu, Ignacy Daszyński, a w Porembie, koło Orłowej, osadził swego adjutanta Regera; walczący po kolei z wszystkimi i z wszystkimi niespokojnymi duchami po kolei się sprzymierzający ks. Stojałowski założył sobie dwie główne kwatery w Cieszynie i w węgierskiej Csaczy i urządza z nich to w tę, to w tamtą stronę sprytnie obmyślane agitatorskie wycieczki. Agitacya żywa, energiczna nieraz bardzo sprytna; co gorsza, nasienie przez nią rzucone trafia na grunt bujny, wybornie nietylko przez ludzi, ale i przez różne smutne stosunki przygotowany i obrobiony.

Obrabia, przygotowuje grunt, omówiona poprzednio walka narodowościowa i wyznaniowa; obrabiają materyalne warunki, w jakich ślązki robotnik niejednokrotnie się znajduje; przychodzą w pomoc zgubne wady i nałogi, z którymi walka tem trudniejsza, że od wielu, od niepamiętnych lat zakorzeniły się na Ślązku.

Pilny badacz, dr. L. Schüller zadał sobie niełatwą pracę, i zbadał bardzo dokładnie zarobkowe stosunki robotników pracujących na Ślązku[1]. Daty podane przezeń pochodzą od samychże przedsiębiorców, a przeto podejrzywać ich nie można o stronniczość na korzyść robotników; mają też one tę zaletę, że w przeciwieństwie do innych tego rodzaju badań wskazują

[1] *Die Lohnverhältnisse der industriellen Arbeiter Schlesiens. Statistische Monatsschrift.* XXI. Jahrgang (1896). Juni.

niejednę przecięciową cyfrę zarobkową, ale najwyższą i najniższą, do jakiej dochodzi robotnik zatrudniony przy pewnej pracy. Daty te odnoszą się do 44.369 robotników, z tych było 27.964 (63 procent) mężczyzn, 12.398 (28 procent) kobiet, a 3.997 (9 procent) niedorosłych. Największa część (28.389 tj. 65 procent) pracowała na akord; 19 procent na dzienną zapłatę; 16 procent na tygodniową. Ogólnie mówiąc najniższa dzienna płaca wynosiła u mężczyzn (1082 robotników) 30 kr.; u kobiet (36) 25 kr. Przecięciowo mężczyźni zarabiali od 50 kr. do 1 złr. 10 kr.; kobiety od 40 do 60 kr. Dzieci zarabiały od 25 do 30 kr.; pewna mniejsza część i więcej. Najwyższe zarobki, do których doszli mężczyźni, były 2 złr. (86 robotników); do których doszły kobiety 1 złr. (269 robotnic). W pracy akordowej, zużywającej w najwyższym stopniu siły ludzkie, zarobki tygodniowe u mężczyzn wahały się między 2 złr. (1010 robotników) a 31 złr. (561 robotników); u kobiet między 1 złr. 50 kr. (1179 robotnic) a 8 złr. 60 kr. (1103 robotnic). Przecięciowo mężczyźni zarabiali od 3 złr. 50 kr. do 14 złr. 60 kr.; kobiety od 2 złr. do 4 złr. 20 kr. Niedorośli pracują wogóle za mniej więcej 2 złr. tygodniowo; 450 niedorosłych dochodzi zaledwie do 1 złr. tygodniowo.

Poważny ślązki proboszcz, pracujący od długich lat między górnikami i fabrycznymi robotnikami, tak streszcza główne ich żale i żądania:

„Robotnicy nasi nie upierają się naprawdę przy ośmiogodzinnym dniu pracy. Niech będzie dziesięć godzin, ale niech należycie płacą i równą miarką wszystkim mierzą. Płaca na akord wydaje się na pierwszy rzut oka najsprawiedliwszą; tymczasem nigdzie niema szerszego miejsca dla faworów, dla protekcyi. Górnik, który sobie potrafi zaskarbić względy oberhajera, dostanie dobre miejsce, sam węgiel mu się pod nogi sypie i zarobi miesięcznie 60 do 80 reńskich, a inny biedaczysko dłubie i dłubie i do 20 reńskich nie dojdzie. Co robić — mówi jeden — nie mam ani gęsi, ani szynki, żeby z oberhajerem przyjaźń zawrzeć; trzeba biedę klepać. I to bieda, że nie wszędzie myślą panowie o budowaniu prowizorycznych przynajmniej ‚lokalek' dla robotników. Niech z domu do jamy idzie, dajmy na to, godzinę, pod

ziemią idzie znowu godzinę, to już dość umęczony, zanim kilof w garść jeszcze chwycił. Kto umie po niemiecku, pociesza się w tych korowodach myślą awansu, a tem samem lepszej płacy; kto nie umie, i tej pociechy mu brakuje".

Piękny widok, kiedy w czasie procesyi lub innego uroczystego obchodu górnicy staną w szeregach, w błyszczących swych odświętnych mundurach; miło słuchać, gdy z długich tych szeregów wznosi się potężna pieśń do doświadczonej patronki górników, św. Barbary. W innem już świetle przedstawia się życie górnicze wczesnym porankiem, późnym wieczorem, gdy kilkadziesiąt czarnych postaci pędzi pospiesznie z małym kagankiem u pasa ku kopalnianej jamie; kilkadziesiąt innych wydobywa się z wnętrza ziemi i sunie znużonym krokiem ku bliższym, dalszym domkom, żeby co prędzej na tapczan się rzucić i rozciągnąć zmęczone, skurczone członki. Ale dopiero spuściwszy się w kopalniane głębie, ocenić można naprawdę twardą pracę górnika i wymalować sobie w myśli obrazek jego życia. Jeden rozciągnął się na pagórku, uformowanym z oderwanych brył i bryłek węglowych, i bije żelazem w twardą, czarną ścianę, bije bez przerwy, w równem tempie, zdawałoby się nie człowiek, lecz maszyna; drugi na wznak leży i uderza z zamachem w wiszącą nad piersiami niekształtną bryłę; trzeci szuka szczeliny dość głębokiej, aby opłaciło się wpakować w nią dynamitową pigułkę; rozszerza mozolnie otwór, okrzykiem znak daje: „Miejcie się na baczności!" i za chwilę głuchy huk po kopalni się rozlega, węglowa ściana w różnych kierunkach się zarysowuje, a kilkanaście kawałów górnikom spada pod nogi. I znowu odzywają się miarowe razy kilofów, po szynach toczą się wózki węglem po brzegi naładowane; chlupocze woda obficie przez wszystkie szpary się sącząca, błyszczą z dala światełka kaganków i ostrzegają, że tam człowiek doszedł i dla kawałka chleba dla siebie, dla rodziny twardo z naturą się boryka.

Ciężko pół życia strawić pod ziemią, lecz na zarobek skarżyć się przynajmniej nie można. W fabrykach mniej może natężająca praca, ale powietrze szkodliwszymi wyziewami przesycone, większa na każdym kroku zależność, mniejsza płaca.

Mężczyzna zarabia w fabryce przecięciowo do reńskiego dziennie, chłopiec do 40 ct. i wyżej, dziewczyna troszeczkę sprytniejsza i zgrabniejsza do 45 ct. Opowiadano mi o wyjątkowo sprytnych dziewczynach, pracujących na akord w bielskich fabrykach sukna, które zarabiały dziennie od dwóch do trzech reńskich. Ale to wyjątki, a i te wyjątki znikną niebawem, jeśli już nie zniknęły wobec coraz gorszych stosunków, na które fabrykanci gorżko się skarżą. Wschód, będący dawniej głównem miejscem zbytu dla ślązkich fabryk, dziś dlań jakby zamknięty. Nie brak też fabrykantów, którzy niczego sobie bardziej nie życzą, jak ogólnego jakiegoś strejku, coby im podał sposobność do pożegnania się przynajmniej z połową swych robotników. „Gdyby moi robotnicy — mówi mi jeden bez ogródki — ogłosili strejk i gdybym tak mógł na dwa, trzy lata fabrykę zamknąć, a przez ten czas sprzedawać to, co już mam wyrobionego na składzie, tobym na prawdę dobrze wyszedł".

Czy te daty, cyfry, żale, widoki nie dają do myślenia? Bardziej jeszcze do myślenia daje i odrębne znów rzuca promienie na te widoki, na te żale bajeczna liczba szynków, rozstawionych na wszystkie strony, jak gęste wojsko. Robotnicy skarżą się na zarobki; czasem one skąpe i nizkie, ale jakośby jednak od biedy wystarczyły, gdyby nie nieszczęsny szynk, co pochłania i chude, i tłuściejsze zarobki i czyni niegdyś silną dłoń coraz bardziej niezdatną do energiczniejszej pracy. W Morawii wypada jeden szynk na 192 mieszkańców, w Czechach na 191, w Niższej Austryi na 165, na Ślązku już na 151. Słychać tu często różne anegdotki o galicyjskiem pijaństwie, o bajecznych zyskach galicyjskich propinatorów w wązkim górniczym pasie, ciągnącym się od Krakowa ku granicy ślązkiej. Przy skromnej, restauracyjnej przekąsce, do której w osobnym, zarezerwowanym dla „panów urzędników" pokoiku, zasiadło pięciu lub sześciu górniczych inżynierów, nadinżynierów, zastępców inżynierów, Polaków, Czechów, Niemców, sypią się w tym kierunku niemiłe, bardzo zwłaszcza dla polskiego ucha niemiłe szczegóły. Tylko czy tu, czy na Ślązku o wiele lepiej? Czy wogóle lepiej?

„Całe pokolenia rozpite; robotnik po wypłacie idzie od karczmy do karczmy i w każdej zostawi część krwawo zapracowanego grosza, aż nic już nie ma do zostawienia. Niezbędna byłaby ustawa osobna przeciw pijaństwu, może na wzór ustawy obowiązującej w Galicyi".

„Nieraz sam widziałem pijane kobiety po rowach. Młode chłopaki ledwo po wypłacie poczują grosz w ręku, pędzą na wyścigi jak szaleni do karczmy i przepijają cały zarobek do ostatniego grosza. W zimie lubują się w ‚warzonce', wrzącej wódce z korzeniami. Straszna i niszcząca siła takiej ‚warzonki'. Chłopak, który nie chce dostać się w rekruty, pije przez pewien czas ‚warzonkę', a kiedy stanie przed komisyą, niema, przysiądzby można, długo co badać; można na pierwszy rzut oka zawyrokować: Suchotnik!"

„Wódka wywiera tem gorsze i prędsze skutki, że bardzo wielu, a na piewszem miejscu dziewczyny, pracujące po fabrykach, żywią się niesłychanie licho. Bierze z domu ziemniaki i chleb na tydzień, i żyje chlebem i ziemniakami przez cały tydzień. Prawda, zbierze sobie kilkadziesiąt, nawet kilkaset reńskich, ale za to wygląda jak cień, a znaczny procent zapada na suchoty".

Dziewczyna wygląda jak cień, śpi cały tydzień na gołej ziemi, w niemożliwym ścisku i zaduchu, żywi się kawałkiem suchego chleba, kilku kartoflami, a sztucznej siły kieliszkiem wódki sobie dodaje; lecz za to gdy w święto, w niedzielę na ulicy się pokaże, założyłbyś się, że masz przed sobą jeśli nie hrabiankę, to co najmniej siostrę, córkę siedzącego na workach złota fabrykanta. Naturalnie, i chłopaki, chcąc koleżankom sprostać, muszą się do nich odpowiednio dostroić. Starsi ojcowie, poważniejsze matki oczy przecierają, nie mogą dzieci swych rozpoznać i lamentują:

„Bo to i jakieś żakieciki, i marynarki, i złote łańcuszki, i mankietki z guziczkami, i najświeższe kołnierzyki. A głupia dziewucha, co dobrze na książce nie umie sylabizować, bardziej się stroi, niż jaka kmieciowa. I jedwabie, i buchaste rękawy i przeróżne figielki. Oj! gąski, gąski!!"

Właśnie szereg „gąsek“ z krzykiem, śmiechem przez ulicę się przesuwa. Dwa słowa polskie, trzy niemieckie, potem głośne nieustające chichoty. Biedne polskie dzieci, coście tak niedawno jeszcze przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, Najświętszej Panienki z Frydku, razem z matką pobożnie na klęczkach pacierz odmawiały, dokąd idziecie, dokąd dojdziecie? Topnieją, giną razem: ojczysta mowa, poczciwy rodzinny obyczaj, katolicka wiara...

Tak! słabnieje, ginie i wiara, na tysiączne niebezpieczeństwa wystawiona, zewsząd otoczona wrogami. Zaprzenie się języka, utrata moralności toruje drogę do utraty wiary; osłabienie w wierze otwiera na oścież wszystkie bramy wrogom dobrego obyczaju i miłości ojczystego języka, ojczystego zwyczaju.

IV.

Długie lata tłukła się po całej Polsce opinia: Na Ślązku cieszyńskim prawdziwymi polskimi patryotami są prawie wyłącznie protestanci; co pastor, to gorący Polak; co ksiądz katolicki, to propagator germanizacyi, a w najlepszym razie człowiek zupełnie zimny dla narodowych uczuć. Dziś legenda ta, dzięki paru gruntowniejszym, na dokładnej obserwacyi opartym broszurom, przeszła do rzędu bajeczek, którym dziwna rzecz, jak ludzie rozsądni tak długo dawać mogli wiarę. Dziś nikt bezstronnie patrzący nie wątpi, że nie mówiąc już o innych wyższych i ważniejszych względach, największem złem dla polskiego elementu, dla polskich interesów na Ślązku, jest właśnie rozdział, wprowadzony przez nieszczęsną reformacyę.

Wchodzimy do pierwszej lepszej wioski, do małego miasteczka. Dwa kościoły naprzeciw siebie stoją, dwie plebanie, dwie często szkoły, dwie czytelnie. Na jednej czytelni wypisany łokciowemi literami napis: „Czytelnia katolicka“; proboszcz jej założycielem, prezesem, opiekunem. Druga rozmaicie się tytułuje: „Czytelnia ludowa“, „ewangelicka“; pastor w niej króluje i rządzi. Kościoły tak z zewnątrz do siebie podobne, że nie możliwe na pierwszy rzut oka rozróżnić, który jest prawdziwym kościołem, a który protestanckim zborem. Przepraszam: nie „protestanc-

kim“ ale „ewangelickim“; nazwać kogo „protestantem“ uchodzi tu za obrazę i biada księdzu, któryby się zapomniał i rzucił z ambony ten wyraz nieistniejący w ślązkim słowniku. Pastorów — zawsze według przepisów specyalnego austryacko-ślązkiego słownika — nie należy również zwać „pastorami“, ale „księżmi“; tak sami żądają, aby ich tytułować; tak podpisują się na swych broszurach i piszą o sobie w swych dzienniczkach; tak nawet katolickie pisemka częstokroć ich nazywają, lub raczej, wchodząc w myśl i uczucia protestantów, powiedziećby wypadało — przezywają. Na pogrzeb pastor ubiera się w komżę; w katolickie uroczystości Matki Boskiej odprawia w zborze nabożeństwo i zapowiada swym owieczkom, żeby w ten dzień sobie odpoczęli i nie brali się do ciężkiej pracy; w powszedni dzień, w którym przypada odpust w katolickim kościele, i on w zborze ogłasza nabożeństwo. Przegląda z tego wielki strach, aby polscy protestanci nie dali się skusić i nie poszli na lep wspaniałych, tak wprost przemawiających do serca obrzędów katolickich; przegląda i pewien bądź co bądź niezdrowy oportunizm, niedość korzystnie świadczący o sile, o jędrności wewnętrznych przekonań. Prawda, że i księża katoliccy zbytecznie czasem temu oportunizmowi schlebiają. Wszak — jak zapewniali mię o tem bardzo poważni informatorzy — niedawne to lata, kiedy katolicki katecheta jednej czy paru z cieszyńskich szkół nie wahał się, gdy sam do klasy iść nie mógł, prosić kolegę-pastora, aby go zechciał łaskawie zastąpić. Ładna to musiała być nauka katolickiego katechizmu!

Więc niby Polak-protestant, Polak-katolik serdecznie ze sobą się kochają; niby mając na myśli interesa wspólnej narodowości, odkładają na drugi plan wyznaniowe różnice... Niby, ale tylko niby... Pisze się o tem czasem w jakiej patryotycznej broszurze; mówi się na narodowo-patryotycznych uroczystościach — i na tem koniec. W codziennem życiu zawsze między protestantami a katolikami wznosi się ściana ciągłego niedowierzania. Nie zrobiłeś dwóch kroków poza lokal, w którym odbywała się ściśle i wyłącznie polska, międzywyznaniowa uroczystość, a już z jednej strony odzywa się basowy głos barczy-

stego jegomościa: „Wszystkoby to było pięknie, ale niechże katolicy przestaną raz na nas ujadać“; ciągnie ku sobie z drugiej strony drugi jegomość i konfidencyonalnie szepce do ucha: „Wszystkoby to było pięknie, ale niechże nas protestanci na każdym kroku nie szarpią; trudno żądać, żebyśmy się im w kaszy zjeść dali. Właśnie w tem raczej bieda, że oni nas ciągle atakują, a my ledwie kiedy niekiedy ze starej rusznicy odpukniemy!“

Tak! W tem bieda, zaręcza kilku młodszych, żarliwszych, z Niemiec, Czech, Polski przybyłych katolików, którym stojące wody ślązkiego indyfferentyzmu nie mogą jakoś w żaden sposób mile powowienia łechtać; to smutno, że katolicy, o tyle liczebnie przeważni, tak mało się ruszają. Ot, weźmy tutejsze pisma i pisemka. Niemiecka *Silesia*, choć z tylu katolickich domów prenumeratę bierze, plecie trzy po trzy, kiedy mowa o jakiejś katolickiej sprawie. Kiedyś np., wcale niedawno temu, wydrukowała czarno na białem, że Jezuici pożyczyli Chińczykom szesnaście milionów na wojnę przeciw Japonii; przez pewien czas wstrzymali wydawanie pieniędzy i to Chiny wtrąciło w najcięższą biedę. A *Silesia* nie jest wcale organem humorystycznym; słynny Haase ma na nią potężny wpływ i dość to oryginalne, nie znajdziesz prawie w Cieszynie katolickiego domu, w którymby nie była czytaną. Z polskich pism, protestanckie: *Nowy Czas* i *Przyjaciel Ludu* nie ominą żadnej sposobności, żeby katolickim obrzędom, katolickim księżom łatki nie przypiąć. Redagowana przez księży katolicka *Gwiazdka Cieszyńska* trzyma się taktyki ignorowania tych wszelkiego rodzaju bajek i wycieczek. Taktyka z punktu widzenia ogólnej tolerancyi, bardzo ładna, ale w praktyce nie koniecznie i nie zawsze korzystna. Katolicy się skarżą: „Czemu *Gwiazdka* nas nie broni?“ Inni przebąkują: „Musi w tem coś być; widocznie *Czas* i *Przyjaciel* prawdę piszą, kiedy *Gwiazdka* nie ma im nic do odpowiedzenia“.

Tumany dymu, gęste, czarne unoszą się nad cieszyńskim Ślązkiem. Trudno rozróżnić przez gęstą ich zasłonę, co tam dalej, co tam głębiej... Z kopalnianych jam, z fabrycznych hal

dochodzą zmieszane odgłosy, rzekłbyś, burzących się tłumów; po miastach, miasteczkach, wsiach wywieszone różnobarwne narodowe sztandary groźnie powiewają, jakby za chwilę dać miały hasło do ogólnej walki narodów; na kościelnych wieżycach lśnią również różnobarwne, niechętnie na siebie poglądające sztandary. Niby jeszcze cicho, spokojnie, ale w powietrzu jakby burzę czuć było...

Biedny piastowski Ślązku, tysiącznemi waśniami rozdarty, ze wszech stron podkopany zgubnemi agitacyami, dokąd idziesz i jakie cię jeszcze losy czekają?!...

Ks. Jan Badeni.

Pisałem w jesieni 1896 r.

POLACY W PARANIE.

Po dwudniowej żegludze z Rio Janeiro ku południowi, parowiec wchodzi poprzez archipelag zielonych wysepek do olbrzymiej, trójramiennej zatoki Paranagua, przedstawiającej po Rio Janeiro i Bahia, najlepszy port naturalny całej Ameryki południowej, i dziwić się tylko można, jakim to się stało sposobem, iż największe punkta handlowe południowej Brazylii mieszczą się przy tak lichych przystaniach, jak zabójcze Santos lub niedostępne dla europejskich okrętów z powodu mielizn i ławic piaszczystych Porto Allegre, gdy port paranagwajski, w którym, bez sztucznych adaptacyj, wygodnie pomieściłby można marynarki wojenne wszystkich państw europejskich, jest odwiedzany oprócz okrętów brazylijskiego Lyoda jedynie przez parowce Hamburskiej Kompanii.

Krajobraz, jaki się przed oczami turysty roztacza, należy do najpiękniejszych, jakie sobie wystawić można: wokoło zatoki, ginąc we mgle oddalenia, piętrzą się wysokie odnogi Serra do Mar, okalając takową olbrzymim pierścieniem, i przeglądając jak w lustrze w szmaragdowych, spokojnych wodach zatoki. Na brzegu, wśród morza podzwrotnikowej zieleni, wśród kęp palm i bambusów, widnieją rozrzucone zrzadka małe domki kolonistów włoskich: białe, schludne, czerwoną dachówką kryte. Na lewo, z poza zasłaniającej wikok kępy, sterczą maszty stojących w Paranagua statków mniejszych, i czerwienią się dachy miasteczka tego nazwiska; wprost, na wybrzeżu, zaopatrzonem w na-

der prymitywne pomosty portowe, kilka magazynów kolejowych i celnych dla wyładowywania wielkich okrętów transatlantyckich, nie mogących wchodzić do płytkiej odnogi lewej. Na prawo, za lesistą wyspą, skręca długa odnoga zatoki do drugiego portu, Antonina. Za tło krajobrazu służą wspaniałe góry Serra do Mar, wznoszące się prostopadłym murem od brzegu morza do wysokości 1.200 metrów nad poziom oceanu.

Samo miasteczko Paranagua jest ubogą, zaniedbaną mieściną portową, która dopiero w ostatnich latach, po zaludnieniu się wnętrza prowincyi i ożywieniu ruchu handlowego zaczyna się powoli odradzać i zabudowywać. Okolica sama nizka, bagnista, mało jest zaludnioną i dopiero o kilka mil dalej, u podnóża gór, rozsiadły się nieliczne kolonie rolnicze, zamieszkałe przez Włochów i Brazylianów, uprawiających kawę, trzcinę cukrową, maniok i banany. O godzinę drogi w głąb lądu, u podnóża gór, leży niewielkie lecz ruchliwe miasteczko Morretes, stanowiące *centrum* plantacyj cukrowych i dystylarni wódki trzcinowej.

Od portu w Paranagua prowadzi nas kolej górska, budowana przez przedsiębiorców belgijskich, na szczyt płaskowyżu. Kolej ta należy niezaprzeczenie do arcydzieł sztuki inżynierskiej, i niema w Europie sobie podobnej, z wyjątkiem chyba alpejskich linij Semmering, Brenner i t. p. Zdobyto tutaj pionową niemal ścianę, wysokości przeszło 1000 metrów serpentyną, wijącą się tunelami i wiaduktami o zakrętach tak stromych, iż nieraz zygzaki toru kolejowego przechodzą ponad sobą na wysokości zaledwie kilkunastu metrów tuż obok, a czarowna panorama, roztaczająca się z góry na zatokę i morze, i ukazująca się wskutek nieustannych zakrętów coraz to z innej strony i w innem otoczeniu, przypomina, oczywiście na większą skalę, prześliczną drogę, prowadzącą z Rjeki na szczyt Karstu.

Tylko że krajobraz po obu stronach drogi całkowicie nowy i wspaniały: dziewicza, nie tknięta ręką ludzką ściana odwiecznych lasów, o charakterze podzwrotnikowym, pełnych lian, palm, drzewiastych paproci, nieprzebytych gąszczów bambusowych, roztacza się wszędzie wokoło, a na pionowych urwiskach, poro-

słych gęstą zielenią, wije się tor kolejowy śmiałymi wiaduktami i mostami przerzucając się przez ziejące przepaście i w szalonych podskokach pędzące kaskady.

Na wysokości 1000 metrów naraz, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, zupełna zmiana dekoracyj: zębate szczyty gór pozostały za nami, natomiast jak okiem sięgnąć, rozlega się przed nami równa, otwarta, lekko falista okolica, zielenią bujne łąki, złocą łany dojrzewającego żyta, urozmaicone ciemnemi plamami gajów araukaryowych, bardzo przypominających nasze sosny; palma jeszcze karłowata gdzieniegdzie się zabłąka, ale z roślin podzwrotnikowych, owych canellas, jacarandas, bombaksów, drzew żelaznych i t. p., z owych festonów lian, splatających w nieprzebyte mury gęste podszycie puszczy, ani śladu; znikły niezmierzone plantacye bananów, trzciny cukrowej, kawy, zastąpiły je łany żyta, kukurudzy, jęczmienia, kartofli: z tropikalnego, wilgotnego klimatu przechodzimy nagle, bezpośrednio niemal po przekroczeniu grzbietu gór, w region, klimatem odpowiadający północnym Włochom lub Dalmacyi.

Po czterogodzinnej jeździe koleją, w obszernej kotlinie, na wysokości 900 metrów nad poziom morza, roztacza się przed nami stolica stanu, Curityba. Lat temu kilkanaście była to malutka, nędzna mieścina, której jedynem źródłem dochodu było przerabianie na wywóz „Hervy mate“, dowożonej w dość szczupłej ilości z okolic poblizkiego Campo Largo, gdzie nawiasem mówiąc, rośnie gatunek, za najlichszy w handlu uważany. Przed pięcioma laty, podczas pierwszej nawały immigracyi polskiej, Curityba była czemś pośredniem pomiędzy wielką wsią, a powiatowem miasteczkiem europejskiem: na głównej ulicy domy stały od siebie w odległości nieraz kilkuset metrów; na środkowym placu, na którym wznosi się dzisiaj wcale ładna nowa katedra i mieści ładny skwer spacerowy, było wielkie bagno w czasie deszczu, a tumany piasku w porze suchej, na rynku pasły się kozy i wieprze, na dalszych ulicach o brukach nie słyszano, a oświetlenie miasta składało się z kilkudziesięciu lichych latarń.

Dzisiaj miasto przedstawia wygląd prawie stołeczny: ulice

w śródmieściu gęsto zabudowane przeważnie piętrowemi kamienicami, porządnie brukowane, oświetlone elektrycznością; w pobliżu dworca głównego wznosi się bardzo gustowny gmach sejmowy, z błotnistego placu zrobiono skwer spacerowy, na innem bagnie podmiejskiem urządzono ładny park, powstało mnóstwo handlów, fabryk, agentur, banków. Zamiast pierwotnej prostoty strojów, tak daleko sięgającej, iż w r. 1892 na balu jedna tylko dama posiadała krótkie rękawiczki, a dwóch panów pojawiło się we frakach, dzisiaj paradują paryskie toalety, brylanty, koronki, rękawiczki do ramion, modne garnitury u licznych gogów. Typ dawnego mieszkańca półdzikiego Karbokla usunął się daleko w głąb lasów, w Curitybie zapanowała wszechwładnie Europa, oczywiście niezupełnie jeszcze wypolerowana, Europa dorobkiewiczów, nieumiejących jeszcze wydawać zarobionych pieniędzy z elegancyą — ale i to z czasem przyjdzie. Dzisiaj jeszcze zdarza się niekiedy słyszeć zdanie kręcących noskami dam stołecznych, że „tutaj w Curitybie towarzystwo jest bardzo mieszane"... Tak, ale przed pięcioma laty i takiego nie było... Curityba jest przykładem wymownym t. zw. amerykańskiej szybkości wzrostu miast nowych, świadczącego o napływie nowych, przedsiębiorczych, szybko się bogacących na niewyzyskanej całkowicie arenie kupców, rzemieślników i przemysłowców.

Jakkolwiek Curityba jest najgłówniejszem centrem kolonij polskich, elementu polskiego w mieście nie znać we dnie powszednie wcale; panują tutaj wszechwładnie Niemcy z mnóstwem swoich *Verein*'ów, banków, piwiarni, domów eksportowych, rzemieślników, przedsiębiorców i t. d. Ilu ich jest naprawdę, trudno dociec; pono mniej niż się wydaje, gdyż sami Niemcy obliczają się na 10 tysięcy w całym stanie Parana, z czego najwyżej połowa mogłaby się znajdować w stolicy; ponieważ jednak są to wszystko ludzie ruchliwi, inteligentni i przedsiębiorczy, widać ich wszędzie i nadają ton miastu, w którym zaledwie 10% ludności stanowić mogą. Drugim elementem w mieście licznym są Włosi, jako drobni kupcy, rzemieślnicy, robotnicy, tragarze, dorożkarze i t. p. Zawodu czyścibutów, który wszędzie w Ameryce jest w ręku Włochów, dotąd tutaj nie było, gdyż

eleganccy Curitybanie noszą lakierki w mieście a pantofle na wsi, nie znając użytku szuwaksu; z czasem i w tym kierunku niewątpliwie za cywilizacyą pójdą, gdyż przed wyjazdem widziałem już przed drzwiami najpierwszego hotelu, naturalnie *Grand-Hotel*, Włocha z szuwaksem i szczotkami... Resztę ludności stanowią rodowici Brazylianie: urzędnicy, wojskowi, rentyerzy, kupcy, rzadko tylko rzemieślnicy.

Innych narodowości liczą tutaj niewiele: trochę Francuzów i Belgijczyków, jako urzędników przy kolei, tyleż Anglików i Amerykanów, inżynierów lub techników, Szwedów, Duńczyków, ba, nawet Arabów kilku, tylko Żydów brak dotąd zupełny, a kilkakrotne próby osiedlenia ich tutaj się nie powiodły — zakończyli geszefta bankructwem.

Przeważnym artykułem handlu w Curitybie jest i dzisiaj *Herva Mate*, z tą atoli od dawnych czasów różnicą, iż wskutek ułatwionej komunikacyi z wnętrzem kraju i zaludnienia tegoż przez kolonistów polskich, eksport wzrósł z 1 miliona na 25 milionów kilogramów rocznie, a gatunek towaru wyborowy wytrzymał konkurencyę z wyłącznie dawniej cenioną hervą paragwajską. Jednocześnie jednak z rozwinięciem handlu hervą i wzrostem zamożności nowych kolonij, zamiast nieznających żadnych potrzeb cywilizowanych, półdzikich Brazylianów, pojawili się znający się już na pewnym komforcie odbiorcy w osobie kolonistów, przez co powstał ożywiony ruch handlowy towarami europejskimi, dawniej dowożonymi w głąb Parany drogą przez Santa Catharina, przez tameczne kolonie niemieckie; dzisiaj cały handel olbrzymiego obszaru, zawartego pomiędzy rzekami Parana, Paranapanema i Uruguay, przeszedł do Curityby, a kwitnące niegdyś miasta niemieckie w Santa Catharina chylą się ku upadkowi, utraciwszy główny rynek zbytu.

W dzień targowy Curityba zmienia swój charakter: na targu roi się od białych czepców bab ślązkich i mazurskich z poblizkich kolonij Abranchez i Thomas Coelho, po ulicach snują się krakowskie wasągi, zaprzężone w tęgie mierzynki w krakowskich chomątach, język polski słychać na każdym kroku: nawet woźnice wielkich frachtowych bryk krakowskich, których

z wyglądu niktby za Polaków nie uważał, przyjęli bowiem strój amerykańskich farmerów: flanelową koszulę, wysokie buty i szeroki kapelusz filcowy, a klną po brazylijsku i po niemiecku z równą wprawą, spotkawszy się ze swojemi, zaczynają kląć po polsku. Koloniści okoliczni są jedynymi dostawcami artykułów spożywczych do Curityby, gdyż sąsiedzi ich Włosi, nie uprawiają nic innego oprócz wina i pomarańcz, zadawalniając się zyskiem drobnego handlu trunkami.

Zabawnie słuchać gwary targowej: istna to wieża Babel, z przewagą jednak języka polskiego z akcentami wszystkich okolic Polski; baby bowiem po brazylijsku nie uczą się nigdy, jakkolwiek Polacy wogóle do języków są zdolni, a małe dzieci wychodźców już po kilku miesiącach pobytu wybornie po portugalsku mówią, przyzwyczajono się jednak już do tego, iż baby mazurskie na targu tylko po polsku, oczywiście z komicznemi makaronizmami mówią, i każdy kupiec, mający z niemi interesa, chociaż kilka słów, a zawsze liczby i nazwy towarów po polsku umieć musi. Niemczyzna obok języka polskiego kwitnie bardzo, połowę bowiem osadników pod Curitybą stanowią wychodźcy z górnego Śląska i Prus zachodnich, władający obu językami. W niemieckich statystykach, oczywiście pruskim obyczajem, wszystkich ich za Niemców liczą.

Z inteligencyi mało tutaj kto zawita; bawią tu zazwyczaj czasowo, w poszukiwaniu stałego zajęcia na prowincyi lub za interesami. Istnieje tu wprawdzie, a raczej istniało Towarzystwo polskie imienia Kościuszki, ale wskutek przeróżnych osobistych intryg i zawiści, istnieje obecnie li tylko na papierze. Nie lepiej się rzecz przedstawia z *Gazetą Polską*, jedyną na całą Amerykę południową, która, zdobywszy sobie po kilku latach istnienia uznanie i szerokie koło czytelników, dzięki znowuż osobistym wichrzeniom niejakiego Bodziaka, eksszynkarza i ekspułkownika wojsk powstańczych z r. 1893, osławionego z faktu, iż mu jego własny generał Apparicio Saraiva za grabież i rozbój przed frontem kazał wyliczyć sporą ilość batów, zeszło powoli na rolę nędznego świstka, służącego osobistym ambicyjkom i usiłującego opinię w starym kraju i Ameryce północnej przerobić na swój

obraz i podobieństwo; szczęściem powiada stare polskie przysłowie, że „psie głosy nie idą w niebiosy". Swoją drogą przydałoby się tutaj bardzo pismo uczciwie i porządnie redagowane, koło czytelników bowiem jest znacznem, organ wydawany musiałby jednak być koniecznie zabarwionym klerykalnie, inaczej księża, posiadający bardzo przemożny wpływ na koloniach, rozpowszechnienia jego nie dopuszczą, a jakiekolwiek byłyby przekonania redakcyi w tej mierze, z poparciem materyalnem duchowieństwa polskiego w Brazylii liczyć się będzie koniecznie musiała.

Ogniskiem towarzyskiem inteligentnej Polonii, bądź to stale w Curitybie, czy okolicach zamieszkałej, bądź przejezdnej, jest dom wicekonsula austro-węgierskiego, p. Wilhelma Pohla, który uprzejmością swoją i uczynnością w krótkim czasie zjednał sobie powszechną u wszystkich Polaków sympatyę, a gorliwą opieką otacza wychodźców polskich, niezbyt się krępując formalnościami, o które tutaj trudno i przyjmując od Polaków całe stosy skarg na nadużycia brazylijskich urzędników lub krzywdy doznane. P. Pohl w sprawach tych, gdzie chodzi o cel filantropijny, tradycye austryackiej biurokracyi schował do szuflady, a osobistą interwencyą i wpływem niejednę już łzę otarł, niejedno krzyczące nadużycie usunął. Życzyćby należało, aby takich urzędników konsularnych Austrya posiadała więcej, pośród bowiem swoich kolegów w Brazylii p. P. jest zupełnie odosobnionym wyjątkiem. Wiele czynów, wiele osobistego taktu i uprzejmości a mało pisaniny — tą drogą tutaj jedynie coś zrobić można.

Sekretarzem konsulatu jest również Galicyanin, p. W. Enzinger.

Ponad to z Polaków inteligentnych mieszka stale w mieście zaledwie kilku: p. Mikoszewski, dentysta z Warszawy, p. H. Skawiński, nauczyciel ludowy z Galicyi, p. Smokowski, zecer, C. Szulc, kupiec i wydawca *Gazety polskiej w Brazylii*, p. Edm. Zaporski, inżynier prywatny; zazwyczaj też jest przy katedrze ktoś z księży polskich w roli koadjutora. Do niedawna był nim ks. Michał Słupek z Tarnowa, który jednak, sprzykrzywszy sobie pobyt w Curitybie, odjechał do kraju z powrotem.

Wystarczy jednak wyjechać z miasta w którymkolwiek kierunku, ażeby się od razu, tuż za rogatką spotkać ze zwartą masą osiadłej tutaj od dawna Polonii. Z wyjątkiem jedynie grupy kolonij włoskich, ciągnących się na północ od miasta ku miasteczku Campo Largo, w promieniu sześciomilowym mamy wszędzie same tylko osady polskie, rozrzucone bezładnie na falistym terenie.

Jakkolwiek, przy zakładaniu osad, stanowiły one osobne całości, w miarę rozwoju swego połączyły się one ze sobą tak ściśle, iż teraz niepodobna nieraz w praktyce przeprowadzić granicy pomiędzy gminami, a decyduje o przynależności do tej lub owej gminy przynależność do parafii. Kolonie nie tworzą wsi w znaczeniu europejskiem, lecz są bezładnie rozrzucone, każdy osadnik posiada domek w środku swego pola, nie bardzo troszcząc się o linię regulacyjną, a domki te są od siebie odległe od 200—300 metrów. To też nazwy urzędowe osad mają już dzisiaj jedynie znaczenie historyczne, a obecnie cały okręg nosi ogólne miano „Nova Polonia".

Najstarsi osadnicy datują się z r. 1873; najstarszą kolonią jest ślązka osada Abranchez pod Curitybą. Nazwy innych gmin w okręgu Nova Polonia są: S. Ignacio, Riviera, Orleans, D. Pedro, D. Augusto, Thomas Coelho, S. Candida, Mariano Torres Ypiranga, Christina, Alice, Antonio Prado, Presidente Farria, Zacharias, Muricy, Inspector Carvalho, Accioli. W przybliżeniu liczą te kolonie obszar 15.000 hektarów i około 12.000 mieszkańców. Działy gruntowe tutaj wogóle niewielkie: wynoszą średnio 5—10 hektarów.

Najbardziej kwitnącą z tych osad jest kolonia mazurska Thomas Coelho, założona w r. 1876 na zachód od miasta, w odległości 17 kilometrów od stolicy. Kolonia ta, licząca dzisiaj około 4.000 dusz, zajmuje znaczną przestrzeń wzdłuż linii kolejowej tak, iż trzy stacye wypadają w jej granicach. Osada robi nadzwyczaj dodatnie wrażenie, a nie przypomina w niczem naszych brudnych wiosek; domy prawie wszędzie murowane, często piętrowe, z ładnymi ogródkami kwiatowymi wokoło; lud dorodny, zamożny, i co za tem idzie, butny, pewny siebie. Kolonia po-

siada dwa kościoły, co nawet dało powód do długiej a zażartej wojny z biskupem Curityby. Oto mianowicie kolonia Thomas Coelho, podług dawnej przynależności stanowi część parafii Ypiranga, w której proboszczem był Bernardyn tarnowski, ks. Soja, dlatego też kapelan, osadzony w kościółku przez rząd na kolonii wybudowanym, musiał pewną część dochodów swoich oddawać proboszczowi. Kapelanem był przez długie lata ks. Kazimierz Andrzejewski i umiał sobie jakoś z ludźmi dobrze radzić. Podczas jego probostwa parafianie wystawili o kilka kilometrów od dawnego kościółka rządowego wspaniały kościół za cenę kilkudziesięciu tysięcy reńskich, przy którym też zamieszkał kapelan. Tymczasem zaszły waśnie pomiędzy parafianami; ci, co byli bliżej do dawnego kościoła, nie chcieli chodzić do nowego, ani płacić księdzu pensyi, jeżeli nie zamieszka na plebanii rządowej, stronnicy zaś nowego kościoła stawiali ze swej strony ultimatum, albo mieszkać u nich, albo nie będą do kapelanii należeli. Ks. Andrzejewski tymczasem został zamianowany proboszczem samodzielnym w Campo Largo, na jego miejsce przyszedł do nowego kościoła ks. Andrzej Dziatkowiec, osobistość bardzo wojowniczego ducha i ciesząca się wielką u miejscowych niewiast protekcyą; zaczęła się wojna zażarta najsamprzód z urzędowym proboszczem, ks. Soją w Ypiranga; parafianie domagali się oddzielenia parafii dla siebie wyłącznie; potem zaś, kiedy wskutek nieposłuszeństwa rozkazom biskupim ks. Dziatkowiec został zasuspendowany i wreszcie wydalony z dyecezyi, zwolennicy jego nie przyjęli nowego kapelana, młodego, świeżo wyświęconego ks. Krausa z Galicyi, który na rozkaz biskupa zamieszkał w dawnej plebanii; burza w szklance wody wybuchła: rozżarcie obu stron doszło do tego stopnia, iż kiedy nowy kapelan przyjechał z nami i konsulem austryackim na zwiedzenie kolonii, przyjęto nas gradem obelg i do kościoła nie wpuszczono. Dowiaduję się właśnie z dzienników, iż ks. Kraus, nie mogąc wytrzymać na kapelanii w Thomas Coelho, z której z początku bardzo się cieszył, porzucił Brazylię i powrócił do Europy. Prawdopodobnie sprawę rozstrzygnie ostateczny podział na dwie nowe parafie. Przy tej sposobności nie mogę nie wspo-

mnieć o podanej błędnie przez kilka pism naszych wiadomości, jakoby w Paranie istniały tylko kapelanie polskie, nie było natomiast wcale polskich samodzielnych probostw; jest to fałsz wierutny, wynikły prawdopodobnie stąd, iż w Brazylii proboszcz nazywa się *vigario*, wikary zaś *capellan cura*. W parafiach tedy o ludności różnojęzycznej, o ile nie da się znaleść proboszcz również wielojęzyczny, a takimi tylko Polacy zazwyczaj bywają, obok proboszcza mianują się zazwyczaj dla każdej narodowości w miarę potrzeby kapelani, posiadający filialne kościółki na kolonii. W miarę rozwoju kolonii kapelania taka filialna może być przeobrażoną w samodzielne probostwo; pomnożenie zaś liczby probostw leży w interesie osobistym biskupa, nie posiadającego innych dochodów nad opłatę pewnego procentu od samodzielnych proboszczów.

Proboszczami w parafiach różnojęzycznych są: ks. Wład. Smołucha w S. Jose dos Pinhaes, ks. Kaz. Andrzejewski w Campo Largo, ks. prałat Bronikowski w Rio Negro, ks. Peters w Itajahy; w czysto polskich: ks. Iwan w Lucenie, ks. Soja w Thomas Coelho, oraz proboszcze parafij Orleans i Abranchez, nieznani mi z nazwiska. Na nowych koloniach istnieją oczywiście tylko filialne kościoły i kapelani.

Thomas Coelho posiada wygląd porządnej wsi niemieckiej; mieszkańcy uprawiają żyto, pszenicę, jęczmień, owies, warzywa, kukurudzę, hodują wielką ilość drobiu i nierogacizny, wielu posiada spore pasieki, utrzymywane tutaj z wielką łatwością i dające nieznane w Europie ilości miodu. Niektórzy nauczyli się od Włochów sadzić tytoń i wino. Z drzew owocowych widziałem brzoskwinie, pomarańcze, pigwy, gruszki, śliwki, morele. Grunta wszędzie doskonałe tworzy piaszczysta lekka glinka, lub ciężka czerwona glina, powstała ze zwietrzenia granitów. Jednem z najkorzystniejszych źródeł zarobkowych kolonistów tutejszych jest furmaństwo; prawie każdy mazur posiada brykę frachtową i kilka dzielnych koników, rywalizując w tej mierze z kolonistami niemieckimi z Rosyi, osiedlonymi w okolicy Campo Largo i Ponta Grossa.

Oprócz kościołów, z których niejeden śmiało mógłby sta-

nąć w którembądź miasteczku naszem, koloniści w Nowej Polonii posiadają szkółki elementarne, przeważnie prowadzone przez organistów i zakrystyanów; rzadko się trafi kwalifikowany nauczyciel, nie dlatego, aby takowych brakło, najechało ich bowiem z Galicyi sporo, lecz przeważnie z powodów partyjnych, większość bowiem nauczycieli przybyłych z Krakowa i Lwowa należy do kategoryi limanowczyków lub stojałowczyków, uważających walkę z duchowieństwem za swoje posłannictwo; oczywiście przeto klerykalnie usposobiona, jak zwykle w koloniach, ludność nowym nauczycielom nie ufa, zadawalniając się tymi, jakich im proboszcz wyznaczy; wyjątki z reguły są rzadkie. Szkółki te, subwencyonowane przez rząd brazylijski, otrzymują na nauczyciela po 600 milrejsów rocznie, a nadto rodzice dziatwy opłacają nauczyciela osobno. Nauka obejmować musi pomiędzy innymi także język portugalski oraz historyę i geografię brazylijską. Zdarzają się na koloniach mięszanych prawdziwe szkolne *curiosa:* Tak np. widziałem szkołę, w której nauczyciel, Ślązak uczył dzieci polskie, niemieckie i brazylijskie jednocześnie każde z osobna w jego ojczystym języku; pomimo tego napozór niemożliwego pedagogicznego systemu rezultaty osiągnięto wcale dodatnie, każde bowiem dziecko uczy się wprawdzie z innego podręcznika i odpowiada w innym języku, ale program nauki pozostaje jednolity. Że dla nauczyciela praca taka nie jest łatwem zadaniem, nie potrzebuję mówić. Nadto nauczyciele galicyjscy z innych jeszcze względów są tu nie pożądani: przy amerykańskich stosunkach nauka odbywać się musi możliwie najszybciej, nasi zaś panowie chcieliby zaprowadzić rozwałkowany po galicyjsku na 8 lat system szkolny, co oczywiście na zasadniczy opór rodziców natrafia.

Towarzystw polskich po koloniach Nowej Polonii niema dotychczas z wyjątkiem kolonii Thomas Coelho. Ostatnimi czasy zawiązało się nowe towarzystwo rzemieślnicze w samej Curitybie, oraz czytelnia przy sklepie p. St. Trauczyńskiego w Guajuvira.

Po kilkogodzinnej jeździe koleją na zachód od stolicy, wzdłuż kolonij polskich Thomas Coelho i Ypiranga, dojeżdżamy

do stacyi Restingasecca, odkąd rzeka Yguassu staje się dostępną dla żeglugi (Porto Amazonas) i wkraczamy w drugi z kolei region osad polskich, młodszych już, bo założonych w roku 1892. Kolej skręca na północ, na szczyt wysokiego, bezleśnego stepu, przechodząc przez miasta Palmeira, Ponta Grossa i Castro ku granicy stanu Sao Paulo, z którym połączenie kolejowe niebawem wykończonem zostanie. Linia kolei idzie wciąż wśród jałowych stepów, jednakże na ich wschodniej granicy, tak iż nieopodal ku zachodowi od kolei grunt stopniowo się zniża, wchodząc powoli w region zwartego lasu *(sertao)*, zdatnego do kolonizacyi rolniczej. Pomiędzy stepem i *sertao* widzimy mniejsze lub większe plamy lasów, przeważnie araukaryowych, zajęte przez kolonie polskie i niemieckie.

Do grupy kolonij nad Yguassu, wzdłuż prawego brzegu tej rzeki od Porto Amazonas aż do końca żeglugi w Porto Uniao się rozciągającej, prowadzi droga wodna po rzece, oraz droga lądowa, licha, lecz kołowa, dostępna dla dyliżansu i wozów frachtowych, z Palmeira do Sao Matheus. Dalej już tylko wodą ciężary spławiać można, do dalszych bowiem osad prowadzą drogi leśne, dla zwierząt jucznych jedynie dostępne. Długość pasu leśnego, zajętego przez kolonie polskie nad Yguassu wynosi 65 leguas, tj. prawie tyleż mil geograficznych po rzece, a około 50 mil geograficznych w linii prostej. Oba brzegi rzeki porasta gęsty las dziewiczy, lewy jednak dotąd jest prawie nie zaludniony, raz dla braku pomiarów i ustalonych tytułów własności mieszkających tam karboklów, po drugie, z powodu zbyt blizkiego sąsiedztwa dzikich Indyan, których na prawym brzegu rzeki wcale już niema.

System kolonizacyjny przyjęty zarówno w grupie nad Yguassu, jak w przeważnej części innych kolonij rządowych i prywatnych polega na następujących zasadach: Od punktów, uznanych za środek osady nowo się tworzącej, którym bywa zazwyczaj przystań na rzece, wycinają najsamprzód miernicy linie proste promienisto w głąb lasu. Każda taka linia otrzymuje osobną nazwę jako kolonia filialna *(nucleo)* i jest linią zasadniczą *(linea do fundo)*, od której rozmierzają się prostopadle do

linii głównej działki osadników, mające 250 metrów frontu, a 1.000 metrów w głąb lasu. Linia ta rozmierzona nazywa się zawiązkiem kolonii *(nucleo colonial)*. Osada środkowa, w której rezyduje administracya, a następnie pojawiają się kupcy, rzemieślnicy, przeznacza się na miasto *(nucleo urbano)* i posiada działki znacznie mniejsze.

Krańcowe *nucleos* mają kierunek rzeki w jednę i drugą stronę, łącząc się w miarę rozwoju osady z *nucleos* osady sąsiedniej, której centr, *nucleo urbano*, zakłada się stale w odległości jednego dnia drogi konnej, 6—7 mil geogr. od sąsiednich miasteczek. Pojedyncze *nucleos* ciągną się niekiedy po 6—8 mil geogr. od środkowej osady, wskutek czego wytwarza się niekiedy potrzeba założenia nowego miasteczka *(nucleo urbano)* nie przy rzece, ale w głębi osady, zazwyczaj na drodze prowadzącej do któregoś z dawniejszych miasteczek poblizkich.

Przestrzenie są tu niesłychane na stosunki europejskie; proboszcz musi niekiedy, jeżeli nie ma podwładnych kapelanów po koloniach, a życzy sobie wszystkie należące do parafii osady odwiedzić, odbywać formalne ekspedycye, trwające tygodniami, krańcowe bowiem punkta parafii nieraz odległe są od siebie o 25—30 mil fatalnej drogi. Brazylijscy proboszcze radzą sobie w ten sposób, iż do dalszych parafian nie zaglądają wogóle nigdy, zostawiając ich na łaskę opatrzności i przypadkowo przejeżdżających misyonarzy. Gorzej jeszcze jest z kupcami i urzędnikami, należącymi administracyjnie do okręgów dawniej istniejących, wskutek rozwoju kolonij niekiedy odległych o kilkadziesiąt mil od ich miejsca zamieszkania, a podróż podobną należy odbywać przy lada sposobności: dla zapłacenia podatku, na termin w sądzie, dla uregulowania spraw majątkowych i t. d., kolonie bowiem nowe przez długi jeszcze czas po ich założeniu nie posiadają autonomicznych instytucyj samorządu.

Ale wróćmy do rzeki Yguassu i jej kolonij.

Rzeka to zrazu wązka, lecz dość głęboka dla rzecznej żeglugi w przeważną większość roku; jedynie podczas dłuższej suszy poziom obniża się na tyle, iż tylko łodzie i barki wiosłowe kursować mogą, parowce zaś, przeważnie zbyt głęboko w wo-

dzie siedzące, niekiedy tygodniami całemi nie kursują. Stąd regularnej komunikacyi tutaj niema i stosunki pocztowe np., przy znanem niedbalstwie brazylijskiem są nader opłakane; widziałem np. listy, które na przebycie przestrzeni z Curityby do kolonii potrzebowały 6—8 miesięcy! a ponad to mnóstwo listów ginie, o ile nie są ekspedyowane z miast pocztą prywatną kupców miejscowych.

Żegluga po Yguassu jest jeszcze bardzo pierwotną: istnieje wprawdzie aż 6 parowców, t. zw. pasażerskich, to znaczy z łaski zabierających pasażerów jako dodatek do frachtu skór, hervy mate lub mąki, brak atoli najelementarniejszych wygód, jakich w Europie nawet pasażerowie czwartej klasy wymagać mają prawo. Zobaczmy, jak wygląda taki „pasażerski“ parowiec. Statek niewielkich rozmiarów, o płaskiem dnie, kołowy, nie posiada wcale kajuty, a nawet te z nich, w których przy budowie była zrobioną, nie używają jej dla pasażerów, lecz ładują aż pod sufit worki i beczki; tylko w braku frachtów posażerom wolno w owej „kajucie“, nie posiadającej ani kawałka jakiegobądź sprzętu, się pomieścić; oczywiście jeżeli są wśród podróżnych damy, mają pierwszeństwo do jej zajęcia dla siebie wyłącznie.

Pokład, pokryty blaszanym dachem, pomiędzy maszyną i burtami jest zawalony stosami towarów najrozmaitszych; jeżeli to jest wonna herva mate, pasażer nazwać się może szczęśliwym, znalazłszy parę stóp kwadratowych powierzchni wolnej pośród worków, gdzie się położyć pod dachem może; gorzej jest jednak, jeżeli ładunek składa się z bynajmniej nie pachnącego *charque*, nafty, łoju i t. p. delikatesów, piętrzących się pod sufit, bez najmniejszego względu na to, czy dla pasażerów miejsca zostanie; pasażerowie nie mają innej komunikacyi, więc choćby ich gorzej od psów umieszczono, jechać tak muszą. Gdy noc nadchodzi, istnieją dwie ewentualności: albo statek przybija gdziekolwiekbądź do brzegu i pasażerowie mają prawo wyspać się na ziemi w lesie, albo, co gorsza, parowiec płynie dalej, zmuszając podróżnych bądź do spędzenia bezsennej nocy, bądź do spania na żelaznej podłodze, pełnej błota i miału węglowego, na wązkiej przestrzeni, zawartej pomiędzy burtem okrętu i sto-

sami towarów. Kuchnia ani bufet nie istnieją na statku, na którym pasażer niekiedy po tygodniu spędzać musi.

Brazylijski podróżnik zadawalnia się bardzo małem: aby miał gdzie rozesłać swoją derkę i kulbakę, nie potrzebuje więcej wygód. Żywność jego w drodze składa się nieodmiennie z narodowej potrawy: rodzaju kaszy z przesmażonej na szmalcu mączki, suszonego mięsa *(charque)*, przemieszanej z farinhą czyli mąką maniokową. Specyał ten wożą ze sobą w worku i jedzą oczywiście garścią, popijając mętną wodę z rzeki. Zamożniejsi i wybredniejsi panicze miejscy wożą ze sobą konserwy: sardynki, salami a zwłaszcza w obfitości przeróżne konfitury, na które Brazylianie ogromnie są łakomi.

Załoga statków rzecznych doprowadzona jest do ściśle niezbędnego *minimum:* kapitan zazwyczaj jest zarazem maszynistą i palaczem, jeżeli więc taki pan w drodze upije się lub zachoruje, można czekać w lesie dni a nawet tygodni kilka, zanim parowiec w drogę ruszy. Z wyjątkiem paru statków niemieckich przedsiębiorców, stan tych parowców jest tak opłakany, iż podróżowanie nimi jest niekiedy połączone z niebezpieczeństwem życia. Doświadczyliśmy tego sami na statku Visconde, który podczas kilkudniowej burzy i słoty, zalany całkowicie wodą wreszcie uderzył gdzieś o gałąź płynącego drzewa i wybił sobie dziurę wielkości pięści w pobliżu steru. W ciągu 5 minut mieliśmy wody na pół metra, i gdyby nie szybkie przybicie do brzegu, zaznalibyśmy niechybnie przymusowej kąpieli rzecznej. Na innym znów statku Yguassu, pijany maszynista przez cały tydzień nie mógł doprowadzić do porządku maszyny, tak iż musiano wreszcie „maszynistę“ wypędzić, a do reperacyi maszyny zawołać stolarza i piwowara, którzy w godzinę sobie poradzili.

Taką jest mniej więcej żegluga parowa na rzece, wobec której podróżowanie trzecią klasą na okrętach emigranckich za szczyt wygody i zbytku uchodzić może. Gdybyż jeszcze szybkość wynagradzała brak wygody! dzieje się to tylko na dwu lepszych parowcach niemieckich, inne podróżują tak wolno, iż

z parą dobrych wioślarzy, jakich nie brak pomiędzy polskimi kolonistami nad rzeką, szybciej do celu łodzią dobić można.

Podróż z Porto Amazonas do Porto Uniao najszybszym statkiem „Curityba“, trwa dwie doby; inne odbywają takową we 4—6 dni; z powrotem, w górę rzeki, podróż trwa zazwyczaj dwa razy dłużej.

Szereg kolonij polskich nad Yguassu rozpoczyna Sta Barbara, odległa o dwie mile od miasta Palmeira, położona na skraju lasów, w falistej okolicy, zniżającej się stopniowo od płaskowyżu Palmeira (około 1000 m.) ku dolinie rzeki Yguassu. Osada ta, założona w r. 1892, rozwinęła się bardzo pomyślnie, dzięki kilku wyjątkowo sprzyjającym okolicznościom: przez Palmeirę przeprowadzono kolej, wskutek czego mieścina, niegdyś kilka opuszczonych domów licząca, urosła znacznie, tworząc dobry rynek zbytu dla artykułów spożywczych, powtóre, dyrektorem kolonii był człowiek zacny i uczciwy, Włoch, dr. Grillo, który od początku chronił osadników od wyzysku i oszukaństwa, po trzecie kilkunastu złodziei i koniokradów, pomiędzy którymi znajdowali się również głośni mordercy: Pawlak i Wyrostkiewicz, zostało usuniętych, a ich miejsce zajęło kilkanaście spokojnych rodzin osadników galicyjskich. Dzisiaj osada Sta Barbara przedstawia się jako zamożna, kwitnąca kolonia, najwyżej stojąca pod względem rolniczego rozwoju z całej grupy nad Yguassu. Tutaj tylko widziałem już pługi i brony, gdy na dalszych osadach, dotąd wyłącznie ręczna uprawa się opłaca. Wielu kolonistów zajmuje się furmanką, zwożąc hervę matę do kolei. Osada liczy kilkadziesiąt rodzin polskich, ruskich i litewskich.

Z Santa Barbara prowadzi droga kołowa dalej na zachód przez osadę Cantagallo, położoną również na skraju lasu, niegdyś mieszaną z Włochów, Hiszpanów i Polaków, dzisiaj prawie całkowicie polską wioskę. Po karkołomnym gościńcu, przypominającym dawne drogi karpackie, jedziemy dyliżansem do pierwszego portu nad Yguassu, Rio dos Patos, gdzie też jest pierwsza stacya zarówno dla dyliżansów z Palmeiry, jak dla statków z Porto Amazonas idących. Użyłem wyrazu „dyliżans“,

należy jednak objaśnić, iż jest to zwykły, na zielono pomalowany wasąg mazurski, z pijanym Mazurem na koźle, przykryty daszkiem z żaglowego płótna, i zaprzężony w czwórkę tęgich mierzynów. Inny wehikuł zresztą drogi tutejszej by nie wytrzymał. Daleko wygodniej odbywa się tę podróż konno.

Rio dos Patos, jak wszystkie miasteczka, jakkolwiek leży w środku czysto polskiej osady, nie posiada polskiego charakteru; widzimy tu Włochów, Niemców, Hiszpanów, Brazylianów jako kupców i hotelarzy; Polaków zaledwie trochę jako rzemieślników tu osiadło, natomiast cała ludność robotnicza w porcie: flisacy, woźnice, tragarze i t. p., są wyłącznie Polacy lub Rusini. W Rio dos Patos istnieje kościółek brazylijski, należący do polskiej parafii sąsiedniej w Sao Matheus. Proboszczem był podówczas ks. Przetarski, później po moim wyjeździe ks. Fruk z Galicyi; zdaje się jednak, iż go znowu zmieniono.

Charakter okolicy wszędzie niezmienny: wśród lasów przeważnie szpilkowych, wycięta szeroka droga, po obu bokach jej co 250 metrów, drewniane domki kolonistów, przeważnie jeszcze postawione przez rząd przy osiedleniu, niektórzy jednak zamożniejsi osadnicy, wystawili sobie porządniejsze domy z tarcic, często widzieć można ogródki kwiatowe. Las wytrzebiony już mocno, na porębach zieleni się żyto, kukurudza, bataty, fasola, kartofle i rumieni tatarka, dająca tutaj trzy plony w ciągu roku.

Od czasu do czasu tartaki lub młyny, poruszane wodą, są jedynymi w okolicy zakładami przemysłowymi.

Po dwudniowej podróży, ominąwszy polską kolonię Agua Branca (Zabranka) po doskonałej drodze kołowej dojeżdżamy do miasteczka portowego Sao Matheus. Miasteczko to, będące jak zwykle środkiem kolonii tego imienia, jest jednym z głównych punktów wywozu Hervy mate, i wogóle handlu z wnętrzem kraju, odtąd bowiem dalsze transporty, o ile nie są przeznaczone do niżej położonych osad portowych nad Yguassu, na mułach przewozić potrzeba. Istnieje tutaj filia Niemieckiego Banku *Brasilianische Bank für Deutschland*, zastąpiona przez jednę z największych firm eksportowych i importowych: Burmeister, Thon & Co w Curitybie, agencye parowców, dwa młyny,

br. Nadolnych i Bodziaka, tartak Nadolnego, kilku dobrych rzemieślników polskich, oraz kilku polskich kupców: pp. Onufry Flizikowski, jeden z większych producentów i eksporterów *mate*, A. Sztencel z Kalisza, A. Kuchenny i t. d. Kolonia posiada ubogi kościółek, dosyć porządną plebanię, polskiego księdza, polską szkółkę, czytelnię i Towarzystwo im. Puławskiego pod przewodnictwem p. Aleks. Nadolnego.

Kolonia Sao Matheus, zaludniona przez wychodźców z Kongresówki, przeważnie robotników fabrycznych, i niespokojne duchy, wiele ucierpiała wskutek ostatniej rewolucyi, tutaj bowiem sformułował się słynny w dziejach tej wojny batalion polskich krakusów, złożonej w przeważnej części z weteranów armii rosyjskiej; oddział ten pod dowództwem dzielnego majora ś. p. Kośmińskiego, który zginął bohaterską śmiercią przy zasłanianiu odwrotu wojsk powstańczych w Passo Fundo, niezwykłą w Brazylijskich wojskach odwagą zjednał sobie gorącą sympatyę u najpotężniejszej w południowych stanach partyi federalistów, a bojaźliwy respekt u lekceważących sobie poprzednio Polaków, przedstawicieli rządzącej obecnie partyi centralistycznej. Represye, jakie wskutek powstania tego batalionu spadły na kolonię, stanowią krwawą kartę jej dziejów, do której kiedyindziej jeszcze powrócę. Dzisiaj jednak osada otrząsnęła się ze skutków domowej wojny, i rozwija się pomyślnie, o ile do niepomyślnych objawów nie zaliczymy zażartej walki dwóch stronnictw: klerykalnego i wolnomyślnego, prowadzonej w łonie towarzystwa polskiego z amerykańską zawziętością, a przynoszącą krzywdę prawidłowemu rozwojowi kolonii.

Jeszcze jeden dzień podróży na zachód, leśną ścieżką, przez grunta nowozałożonej spółki polskiej Escapa Cavallo (Kamienna góra) i stajemy w największej z całej grupy Yguassu kolonii Rio Claro, liczącej około 1000 rodzin polskich i ruskich.

Rio Claro posiada dwa elementa kolonizacyjne: najsamprzód dawnych osadników polskich z Królestwa Polskiego, przybyłych jednocześnie z osadnikami z Sao Matheus i Sta Barbara, a których stan obecny jest podobny jak ich kolegów: to znaczy, iż wszyscy są dzisiaj już zamożnymi gospodarzami, a niektórzy

i do bogatych zaliczyć się mogą, oraz emigrantów w r. 1896 z Galicyi przybyłych, którzy mieli zupełnie odmienne warunki osiedlenia i są w położeniu o wiele mniej od swoich poprzedników korzystnem.

Rio Claro, jako miasteczko, składa się zaledwie z kilkunastu chałup i szeregu szałasów emigranckich. Mieszkańcami są wyłącznie kupcy i urzędnicy kolonizacyjni. Wśród kupców jest kilka firm polskich, pomiędzy innymi: pp. Jerzego Festenburga ze Lwowa i Bohdana Mikoszewskiego z Warszawy. Centrum kolonii leży o milę od rzeki Yguassu, z którą (Port Barrafeia) łączy je szeroka, lecz przykra z powodu licznych gór droga kołowa.

Wogóle teren pomiędzy Sao Matheus i Rio Claro jest mocno górzystym, a charakter geograficzny okolicy trwa dalej aż do końca dzisiejszej linii kolonizacyjnej. Grunta za to są o wiele żyźniejsze aniżeli w Sao Matheus i Rio dos Patos, tworzy je czerwona glina, znana w Brazylii pod nazwą *terra roxa*, jako najlepszy rodzaj gleby.

Od Rio Claro, zarówno jak od Barrafeia, rozchodzą się, jak zwykle, w głąb lasu linie kolonialne rodzajem szachownicy, pod prostymi kątami się przecinając. Wskutek złych dróg i górzystej okolicy dostęp do dalszych osad, na których osiedlono Galicyan, jest bardzo utrudniony: do wielu z nich nawet konno dojechać nie można, a odległość nowych linij galicyjskich (linia 5—6) od środka wynosi 6—8 mil geograficznych. Można sobie wyobrazić, jak miłem jest położenie kolonisty w warunkach podobnych osiedlonego, jeżeli dodamy nadto, iż dyrektorem kolonizacyi w roku ubiegłym był niejaki Maravalhos, łotr z pod ciemnej gwiazdy, który emigrantów poprostu ze skóry obdzierał. Gdyby nie pomoc materyalna, jaką wychodźcy znaleźli u polskich kolonistów, wieluby tutaj z głodu pomarło. Wśród emigrantów w barakach rządowych nędza nie do opisania panuje: wielu z nich czeka od 8 miesięcy na wydzielenie sobie gruntu, żyjąc z mizernych zarobków przy robocie drogi rządowej; wśród emigrantów grasuje tyfus żołądkowy i odra; administracya nie myśli jednak wcale o sprowadzeniu lekarza lub chociaż apteka-

rza; o szpitalu oczywiście ani mowy. Pomimo tak niekorzystnych warunków osiedlenia, emigranci szybko przychodzą do dobrobytu, dzięki okoliczności, iż pierwsze partye Rusinów tutaj przysłane, przybyły pod protektoratem Tow. św. Rafała, to znaczy, znaleźli się na miejscu bez poprzedniego wahania w jego wyborze, a przybywszy nie doznali zawodu, gdyż o oczekującym ich losie z góry we Lwowie byli pouczeni. Odcięci od reszty świata, Rusini zorganizowali się sami, a że dyrektor, z powodu odległości i braku drogi dojazdowej, nigdy do nich nie zaglądał, urządzili się jak sami chcieli. Pomoc wzajemna oddała im niespożyte usługi: zamożniejsi dopomogli uboższym bądź kredytem, bądź dostarczeniem zarobku; dwóch emigrantów, posiadających nieco grosza, założyło sklepiki spożywcze i jakoś najgorszy czas przebiedowano bez szwanku. Pierwsi przybysze korzystali jeszcze ze zniesionego później przywileju, pobierania żywności przez pierwsze cztery miesiące po przybyciu, za cztery miesiące zaś w klimacie tutejszym nietylko warzywa ale żyto i kukurudza już dochodzą, zapewniając osadnikom kawałek chleba. O zbycie produktów rolnych oczywiście marzyć nie mogą jeszcze, dopóki dróg lepszych sobie sami nie zrobią; rząd bowiem z pewnością tego nie uczyni.

Znacznie gorzej mają się przybysze z r. 1896, którym ani wiktu przez cztery miesiące nie dawano, ani gruntów nie rozdano zaraz po przybyciu, lecz zaledwie w kilka miesięcy później. Nędza tych ludzi jest straszną, o ile nie znaleźli ubocznych zarobków w dalszych okolicach bądź przy kolei, bądź przy zbiorze hervy mate i spławie galarów.

Grupa kolonij ruskich, dochodząca na północ od Yguassu aż do brzegów rzeki Putinga i Rio Azul, w niedalekiej przyszłości otrzymać ma osobne centrum miejskie dla siebie, a nadto wytyczona już linia kolei, mająca połączyć Sao Paulo przez Porto Uniao i Palmas z Urugwajem, przejdzie przez ruskie linie kolonialne, podnosząc ich wartość i dostarczając źródła zarobku.

Dzisiaj kolonie Rio Claro i Barrafeia są już usamowolnione, dyrekcya rządowa skasowana i rozwój kolonii idzie normalnym torem, jak innych, co ją w dolinie Yguassu poprzedziły, a żyzna

gleba, blizkość rzeki i projektowana w przyszłości kolej rokują jej najlepsze nadzieje. Rio Claro posiada dwóch księży: ks. Przetarski rezyduje w Rio Claro, unickim zaś parochem jest ks. Nikon Rozdolski; na dalszych liniach ruskich kościoła dotychczas brak całkowity, nabożeństwo odprawia się w budynku szkolnym czy plebanii. Istnieje tutaj od niedawna towarzystwo polskie rolnicze im. św. Izydora, połączone z czytelnią. Rio Claro jest ostatnią z rzędu kolonij na prawym brzegu Yguassu. Dalej ku zachodowi i północy rozciąga się wszędzie dziewiczy, nie tknięty ręką ludzką las, w którym z rzadka tylko odnaleść można ślady dawnej, zniszczonej przez Brazylianów kultury paragwajskich Jezuitów.

Ku północy wśród lasu *(sertao)* aż do podnóża płaskowyżu Guarapuava jedynemi zamieszkałemi miejscowościami są baraki robotnicze wzdłuż trasy budującej się z Ponta Grossa do Porto Uniao kolei. Na północnym krańcu *sertao* leży największa kolonia galicyjska, nowo założona w żyznej dolinie rzeki Ivahy pod nazwą Prudentopolis lub Sao Joao de Capanema (Kopanina) licząca około 6.000 dusz. W kolonii tej, w której wskutek nieładu i braku funduszów administracyi wymarło w pierwszem półroczu 600 osób, osadnicy czekali po roku na wydzielenie sobie gruntów; przez ten czas zatrudniano ich przy wycinaniu dróg na kolonii i budowie domów, piłowaniu desek i t. d. płacąc za dzień roboczy 2—3 milrejsów. Kwota ta wobec ogromnej drożyzny artykułów spożywczych i braku konkurencyi kupców polskich nie wystarczała na utrzymanie, zwłaszcza liczniejszych rodzin. Wielu ratowało się, jedząc owoce leśne, szyszki araukaryi i czuby palmity, pożywienie to jednak, zresztą wcale dobre i przez krajowców bardzo używane, dzieciom zwłaszcza na początku nie służyło. Brak mleka, chleba, warzyw, zmiana pożywienia wpływały ujemnie na zdrowotność osadników, a niedostateczna opieka lekarska pogarszała złe. Wymarło 10% emigrantów, przeważnie dzieci, na tyfus brzuszny, dysenteryę i odrę. Dzisiaj jednak już i tutaj najgorsze złe minęło, a sprawozdania konsulatu austryackiego o stanie tej kolonii brzmią uspakajająco.

Cała dolina rzeki Ivahy, dopływu rzeki Paranapanema,

posiada, z wyjątkiem jedynie początku swego w Prudentopolis, charakter odmienny, aniżeli reszta stanu: jest niżej położoną i gorętszą, a rośnie w niej, o kilka mil od Prudentopolis, trzcina cukrowa, bawełna i podobno kawa. Region ten geograficznie ciąży ku sąsiedniemu stanowi Sao Paulo i prawdopodobnie przez plantatorów kawowych wyzyskany będzie.

Dalej na zachód oprócz miasta Guarapuava, słynącego z chowu koni i kilku kresowych kolonij wojskowych na granicy paragwajskiej, cały żyzny i bogaty teren jest nie zamieszkały, a drogi, jakie tu podczas wojny przecięto, dostępne są tylko dla zwierząt jucznych.

Cofnijmy się jeszcze napowrót do brzegów Yguassu.

O jeden dzień drogi na zachód od Barrafeia i Rio Claro grupa kolonij polskich ukazuje się znowu, ale przerzuca teraz na lewy brzeg rzeki. Leży tutaj dawne miasteczko niemieckie, założone przez wychodźców z Sta Catharina, Porto Uniao da Victoria. Stracona ta placówka, dzięki wznowieniu w tej stronie akcyi kolonizacyjnej, stała się znowu ważnym punktem handlowym, tutaj bowiem kończy się żegluga na rzece, a dalej ku zachodowi zaczynają bystrzyny i wodospady, nieprzerwanym szeregiem aż do granicy paragwajskiej się ciągnące.

Górzystą i żyzną okolicę przecina nowo zbudowana droga kołowa z Porto Uniao do Palmas, która służy za punkt wyjścia nowej grupie kolonialnej, mającej z czasem dosięgnąć granicy stanu Rio Grande i połączyć z polskiemi osadami Ijuhy i Jaguary przy kolei Santa Maria Itarare. Dzieje zbudowania tej drogi są komicznym przyczynkiem do historyi brazylijskiej cywilizacyi. Droga ta, mająca znaczenie strategiczne, buduje się od lat już 10 przy pomocy żołnierzy, którzy w przeciągu tego dziesięciolecia nie wykończyli jej ani jednego kilometra. Pracowano bowiem w sposób tak prymitywny, iż wierzyć się w jego możliwość nie chce. Żołnierze pracowali rękami tylko, a w braku taczek wywozili wykopaną ziemię na surowej skórze wołowej, którą wlekli po ziemi... Z przybyciem emigrantów galicyjskich robota poszła szybko, a w rok potem istniało już pomimo bardzo górzystego terenu 6 mil wybornej drogi wozowej

do rzeki Jangada, gdzie następujący zawiązek kolonialny założono. Dyrektorem był za mojej bytności pułkownik Abreu, człowiek ludzki i dla emigrantów sprawiedliwy. Pomimo starannej opieki nie ustrzeżono się i tutaj od epidemii tyfusu, przebieg jej wszakże był łagodny, a liczba ofiar bardzo niewielka.

Cały kompleks kolonij w kierunku od Porto Uniao do Palmas się ciągnący przechodzi w obrębie terytoryum spornego, o które rości sobie pretensyę stan Sta Catharina.

W terytoryum tem rząd stanu Parana, chcąc stworzyć fakt dokonany, założył w r. 1893 inną wielką kolonię polską na samem pograniczu stanu Lucena. Osada ta, licząca około 5.000 dusz, Polaków, Litwinów i Rusinów, zajmuje przestrzeń około 20.000 hektarów bardzo żyznej gleby w górzystej i lesistej okolicy o 40 kilometrów na południe od stacyi kolei Rio Negro położonej. Kolonia ta, dzisiaj już kwitnąca, przed 5 laty była postrachem emigrantów, którzy z niej uciekali tłumnie z powodu braku dróg, oddalenia od administracyi, oraz sąsiedztwa dzikich Indyan, którzy kilkakrotnie na kolonię napadali. Dzisiaj napady te są coraz rzadsze, zdarzają się jedynie na kresowych liniach, a co ważniejsza, prawie wyłącznie są skierowane przeciwko brazylijskim osadnikom; Polaków Indyanie zazwyczaj zostawiają w spokoju. Kolonia Lucena obfituje w drzewo palisandrowe i mahoniowe, znajdujące chętnych nabywców w tartakach Rio Negro.

Pomiędzy Rio Negro, handlowem i szybko rosnącem miasteczkiem niemieckiem, a Sao Matheus w widłach rzek Yguassu i Rio Negro leży jeszcze jedna z większych kolonij galicyjskich, Agua Amarella czyli Antonio Olyntho. O losach emigrantów na tej kolonii dochodziły mię smutne bardzo wieści, których jednak z powodu elementarnych przeszkód sprawdzić nie byłem w możności.

Kolonia Lucena przedzielona jest obszarem dziewiczych lasów od najbardziej w głąb gór wysuniętej grupy kolonij polskich stanu Sta Catharina, mianowicie okręgu Sao Baneto i Blumenau. Wychodźcy tam zamieszkali pochodzą z Prus i Ślązka, mieszkają tutaj od lat 20 i dostarczają nowym koloniom w głębi

stanu przedsiębiorczych kupców, rzemieślników i drobnych przemysłowców.

Reasumując to, cośmy wyżej powiedzieli, na całym obszarze stanu Parana, z wyjątkiem części nadmorskiej, zajętej przez Włochów, i klinu północno-wschodniego, na wschód od linii kolejowej Curityba-Castro, zamieszkują w zbitej masie osadnicy polscy, dokąd tylko sięga wogóle osadnictwo europejskie, dotykając z jednej strony pogranicznych osad polskich w stanie Sta Catharina, z drugiej zasiedlając stopniowo najważniejszą kiedyś arteryę komunikacyjną Ameryki Południowej: kolej projektowaną Itarare Sta Maria, i brzeg Yguassu do paragwajskiej granicy. Jedynym obcym żywiołem w tym obszarze są Niemcy w szczupłej liczbie po miastach rozrzuceni. Brazylianie natomiast stale przed kolonistami się cofają w głąb lasów, nie mogąc, tak samo jak dzicy Indyanie, wytrzymać ciasnoty ich sąsiedztwa.

Ażeby dać lekkie wyobrażenie o stopniu kultury ludności tubylczej, brazylijskiej, podam tutaj opis *fazendy*, zamożnego gospodarza, liczącego stada bydła na tysiące łbów, a ziemię posiadającego na dziesiątki mil kwadratowych. Proszę sobie wyobrazić wielką szopę drewnianą, skleconą z dartych siekierą tarcic, na sztorc ustawionych, krytą dranicami, bez okien i komina, z jedynym otworem, służącym za drzwi, okno i dymnik zarazem. Ściany nie są szczelne, lecz deski umyślnie mają pomiędzy sobą szpary szerokości dłoni, ażeby dym mógł swobodnie wychodzić; dach oczywiście także nie bez „ale“ i kapie do środka.

W obszernej, jedynej izbie, ciemnej, bez pułapu, z jedyną małą i ciemną alkową dla głowy rodziny, mebli żadnych, co najwyżej parę nizkich stołeczków lub ławeczek, na których w kuczki siadać trzeba. W kącie kilka surowych skór wołowych służy za pościel dla całej rodziny.

Na środku izby, otoczone kamieniami, wiecznie tlejące ognisko, na którem na żelaznym ruszcie cały dzień się coś smaży i gotuje.

Gospodyni domu w asystencyi saganów i rondli siedzi dzień cały na ziemi w kuczki przy ognisku, popija mate i poprawia ogień.

Rodzina cała to typy skwaterów, jak ich sobie wyobrażamy na dalekim zachodzie: ogorzali, wyschli, uzbrojeni w długie, dwururne pistolety lub rewolwery i olbrzymie noże, bez których kroku jednego nawet w domu się nie ruszą, pracują w lesie, tnąc drzewo, paląc poręby i polując na dzikie bestye w rodzaju jaguarów, tapirów, wilków, pum i t. d., oznaczane wspólnem mianem *bichos* czyli robactwa. Zdarza się, iż dziesięcioletni malec z pistoletu położy trupem tygrysa, aby obronić napadnięte prosię czy cielę. Ludzie to żelaznego zdrowia, łagodni i gościnni w czasie pokoju, dzicy, okrutni i bajecznie tchórzliwi na wojnie, nie znający żadnych wymogów nowożytnej kultury i zadawalniający się byle czem. Potrzebą takiego mieszkańca lasu jest przedewszystkiem p r z e s t r z e ń co najmniej kilku mil kwadratowych, gdy tej mu zabraknie, ciasno mu i ucieka dalej w lasy, nie zarażone kulturą europejską. Dla takiego karbokla mleko, chleb, warzywa są artykułami zbytku, a masło na równi z innymi przedmiotami, przybywającymi w blaszanych puszkach z wysoko cenionej Anglii, wprawia ich w podziw, ale smaku w nim nie czują więcej, niż nasz chłop np. w ostrygach. Pewien zamożny kupiec i bywalec brazylijski, należący *nb.* do zwolenników immigracyi polskiej, tak np. zachwalał przedemną wysokie uzdolnienie i cywilizacyę naszych Maćków: „Wyobraź pan sobie — powiada raz do mnie — że ci ludzie nietylko domy nas budować nauczyli porządnie (każdy dom przez cieślę porządnie zrobiony nazywa się tutaj już *uma casa polaca*), ale taka całkiem prosta baba, nie umiejąca ani słowa po portugalsku, umie robić m a s ł o i to, czy uwierzy pan, ze zwykłego krowiego mleka! a co lepsze, masło to jest lepszem niż masło angielskie (margaryna w puszkach)“. Inny dziwował się, jak chłop, posiadający jedną krowę, mógł z niej mieć mleko i sery, kiedy on, właściciel dwóch tysięcy krów, nigdy sera nie widzi, a mleko zaledwie parę razy do roku ma na stole. Jeszcze inny, gdy mu kolonista podał chleb, cisnął go gniewnie psu, mówiąc, iż takie paskudztwa tylko psy i Polacy jeść mogą; dzisiaj ten sam obywatel prosi o kromkę czerstwego chleba dla zawiezienia dzieciom jako cennego piernika, upiec zaś sam go

nie potrafi. Łatwość przystosowania się do nowych warunków życia, spryt i znana pomysłowość Mazurów, umiejących sobie radzić sami we wszystkiem bez pomocy majstrów i fabryk, porządne chałupy, uprawa roli, umiejętność wydobycia utrzymania dla swojej rodziny z kawałka ziemi, na którym Brazylianin z głoduby zginął, są powodem, iż karbokle widzą w polskim chłopie przedstawiciela wyższej kulturnie rasy, przed którą ustąpić muszą. Czynią to dobrowolnie, sprzedając korzystnie swoje grunta nowym przybyszom i idąc w nietknięte jeszcze ręką ludzką obszary, gdzie im powietrza nie zabraknie, a bydlę nie ma do kogo iść w szkodę. Rasa na podobnie nizkim stopniu kultury stojąca nie grozi naszym wychodźcom asymilacyą; umyślnie przedstawiłem sposób życia zamożnych obywateli, gdyż życie ubogiej klasy ludności tutejszej nie zadowolniłoby u nas najgorszego nędzarza.

Klasa urzędnicza oczywiście jest inną: przypomina mocno zdobywców rozpanoszonych, a jakkolwiek pod względem inteligencyi niewiele stoją wyżej od karboklów, przewyższają ich jedynie butą, arogancyą, pastwieniem się nad bezbronnymi i tchórzowstwem przed każdym objawem siły. Że pomimo noszenia eleganckich lakierków i cylindrów niedaleko postąpili w cywilizacyi, dowodzi chociażby drobne ogłoszenie, jakie widzimy w wagonach pierwszej klasy na kolejach: „Pasażerom pierwszej klasy do wagonów b o s o wchodzić nie wolno!“ Przepis ten pozostaje jednak zazwyczaj martwą literą.

Jedynym groźnym współzawodnikiem narodowym są dla nas w Paranie Niemcy, cisnący się wszędzie do miast i miasteczek; na koloniach im się jednak nie wiedzie, a wiele osad niegdyś niemieckich w okolicy Ponta Grossa, dzisiaj wyłącznie Polacy zamieszkują.

Dr. J. Siemiradzki.

STOSUNKI POLSKO-TURECKIE
W PIERWSZYCH LATACH ZYGMUNTA III.

(Ciąg dalszy).

Napad Tatarów na Polskę w sierpniu 1589 r., był tylko zapowiedzią burzy nadciągającej od południowych granic. Chociaż ze strony polskiej zabroniono Zamojskiemu odwetu z obawy, by się Turczyn nie rozdrażnił [1], wezyr Sinan basza, który Tatarów do Polski posłał, pracował w Stambule, by nakłonić Murada III. do wojny z Polską i dlatego starał się usilnie o doprowadzenie do skutku pokoju z Persami.

Szach zagrożony od wschodu, pragnął także pokoju z Portą, i w końcu r. 1589 wysłał uroczyste poselstwo z czterema hanami, swoim synowcem i tysiącznym orszakiem do Stambułu. Porta wyczerpana i znużona długą wojną, przyjęła warunki, zabezpieczające jej wszystkie wojenne nabytki, a chociaż były one raczej nowym ciężarem, bo wymagały ogromnych kosztów na załogi i zarząd zdobytych prowincyj, to w każdym razie pokój z Persyą kładł kres długiej wojnie i dozwalał Turcyi zająć silniejsze stanowisko wobec zachodu, do czego głównie dążył Sinan.

Za pretekst do wojny z Polską miały posłużyć kozackie łupiestwa, a chociaż napad Tatarów srodze je powetował, ciągnęło wojsko tureckie ku polskim granicom, by pomścić doznane

[1] Zamojski do ks. Krzysztofa Radziwiłła. *Scriptores R. P.* VIII, 99.

od Rzeczypospolitej krzywdy. Prowadził je Beglerbeg Grecyi [1] Idir-basza, który w początku września był już pod Tehiną w drodze ku Soroce. Z Beglerbegiem miał się połączyć han krymski i obaj hospodarzy [2].

Polska do wojny z Turcyą była wówczas zupełnie nie przygotowana. Król Zygmunt zawiadomiony w Wilnie o napadzie tatarskim i niebezpieczeństwie od Turcyi, rozesłał tylko listy do senatorów i uniwersały do szlachty, by się łączyła z hetmanem, a sam pojechał do Rewla, gdzie go oczekiwał ojciec. Zamojski słał ciągle listy za królem, narzekając, że odjazd królewski nie jest mu na rękę, ale posiłków żadnych nie otrzymał. Przy sobie miał tylko trochę wojska kwarcianego i kilkanaście set służebnej jazdy, a poczty prywatne nie kwapiły się do obrony granic mimo rozesłanych uniwersałów.

Po naradzie z senatorami we Lwowie, wysłał hetman Mikołaja Jazłowieckiego do Kamieńca, na miejsce chorego od kilku lat tamtejszego starosty Brzeskiego i wzmacniał twierdzę częścią piechoty, armatami i prochem. Sam zamierzał zamknąć się we Lwowie i łączył w tym celu wałem zamek górny z miastem, chociaż senatorzy, a zwłaszcza arcybiskup Solikowski, planu nie pochwalali ze względu, że zamknięcie się hetmana w mieście, odbierze ducha żołnierzom, a Turkom doda odwagi [3].

Pod parciem ruskiej szlachty i arcybiskupa, zapowiadającego przybycie wojewody sandomierskiego, Jerzego Mniszcha, Stadnickich i innych pocztów, ofiarował kanclerz własne pieniądze na zaciąg żołnierza, otrzymawszy podpisy senatorów, że Rzeczpospolita pieniądze zwróci. Nadto wyprawiono arcybiskupa do stanów Wielkopolski o pomoc dla zagrożonych ziem ruskich.

Z prośbą o pomoc zwrócono się także do papieża, przedstawiając mu opłakany stan kraju wobec grożącego najazdu, i prosząc

---

[1] Główny dowódca wojska tureckiego w Europie.

[2] Zamojski do Reszki. Grabowski, „Starożytności historyczne polskie“. II, 401.

[3] Solikowski, *Commentarium* 214.

o rychły ratunek, bo wojska tureckie już tylko Dniestr od Polski przegradza [1].

Zamojski namawiał także Reszkę, by się przemknął po cichu do Wenetów i o pomoc kołatał, ale że pomoc ta była niepewna, rozesłał prymas Karnkowski listy na wojewódzkie zjazdy deputatów i zapowiedział ogólny zjazd w Łęczycy na 20 września dla narad o obronie Rzeczypospolitej.

Tu postanowiono wystawić po jezdnym z dziesięciu łanów, z miast wysyłać piechotę, a za pieniądze poborowe zaciągać po województwach żołnierzy i słać wprost pod znaki hetmańskie, a na najbliższym sejmie miano obmyśleć stały sposób obrony.

Zamojski tymczasem z wojskiem, jakie naprędce zdołał zebrać, opuścił Lwów 27 sierpnia i ruszył ku Dniestrowi, trzymając się miejsc ciasnych, by przez nieprzyjaciela nie został w polach ogarnięty. Z drogi wysłał gońca do Beglerbega, nakłaniając go do zaprzestania kroków nieprzyjacielskich i tłumacząc dotychczasowe opóźnienie w wysłaniu posła do Porty, co wobec podejrzeń o ustąpieniu króla i odstąpieniu korony arcyksięciu austryackiemu uważano w Turcyi za zerwanie ze sułtanem. Pisał, by coś zrobić, ale nie miał nadziei, by list poskutkował [2].

Nim Zamojski nad Dniestr nadążył, napadła część Turków z Akangi-begiem Pokucie. Ten spalił Śniatyn w czasie jarmarku, uprowadził część zaskoczonej ludności, ale na wieść o zbliżaniu się hetmana, ustąpił do Beglerbega [3].

Idir basza, któremu przedwczesny napad Tatarów i rychłe ustąpienie hana pomieszało szyki, zaprzestał dalszych kroków nieprzyjacielskich i może pod wpływem listu Zamojskiego odstąpił od granic, mając wojsko strudzone i bez artyleryi, której w spóźnionej już porze nie mógł sprowadzić [4].

Przed ustąpieniem wysłał czausza z listem do Zamojskiego,

[1] Thein., *Monumenta P.* III, 112.

[2] Zamojski do Reszki. Grab. II, 402.

[3] Solikowski l. c. 223.

[4] Poseł wenecki do doży. Hurmuzaki, *Documente*, IV, 2, 146.

by jak najrychlej wyprawiono do Porty poselstwo o pokój, obiecując, że przyjaźń może stanąć, jeżeli Niżowcy zostaną wytępieni a zamki graniczne zburzone [1].

W połowie grudnia był Beglerbeg już nad Dunajem, skąd doniósł Porcie, że spalił miasto tak wielkie jak Adryanopol (Śniatyn), poczem ustąpił, bo kanclerz stojący na granicach Mołdawii z liczną konnicą i dobrą piechotą, zawiadomił go przez hospodara wołoskiego, że wkrótce poseł od króla przybędzie do Porty [2].

Po doraźnem zażegnaniu burzy chwycono się ze strony polskiej traktatów. Już dawniej wyznaczone zostało do Porty wielkie poselstwo z Uchańskim, by wedle zwyczaju odnowić Solimanowe przymierze między nowym królem a sułtanem. Z powodu braku pieniędzy w skarbie, dopiero w początku sierpnia ruszył Uchański z legacyą, w drodze jednakże złamał nogę i musiał leczyć się we Lwowie, co spowodowało znaczne opóźnienie. Dopiero przy końcu grudnia przybył do Sylistryi, gdzie go Beglerbeg uczciwie przyjął i cały tydzień zatrzymał, żądając, by poselstwo przed nimi złożył. Wymawiał posłowi napady kozackie, zburzenie Oczakowa, Tehiny, Kozłowa i zapowiadał, że przy odnowieniu pokoju, Polacy muszą się zgodzić na nowe warunki i haracz będą musieli płacić. W końcu, gdy Uchański żadną miarą nie dał się nakłonić do złożenia poselstwa, a dla uwolnienia się od natręctwa Beglerbega dał mu parę soroków soboli; dostał przewodnika do Porty, który miał mu ułatwić u Wielkiego Wezyra pomyślne zdanie poselstwa. Do Sinana zaś pisał, że poseł polski nie miał pełnomocnictwa traktować z nim o haraczu, i donosił, że Mołdawia uspokojona, a od wojsk polskich nie grozi żadne niebezpieczeństwo, bo wyszli tylko dla powstrzymania Tatarów [3].

Uchański przybył chory do Konstantynopola, gdzie zastał bardzo nieżyczliwe usposobienie. Po przybyciu wysłał do baszów Czyżowskiego, Łaszcza i Myszkowskiego, tłumacząc się, że

[1] Zamojski na sejmik proszowski. Rkp. Jagiell. 107, str. 587.
[2] Hurm. ibid.
[3] List Beglerbega do Sinana. Hurm. IV, 2, 148.

z powodu choroby nie może zaraz złożyć poselstwa, ale Sinan na zwłokę przystać nie chciał; wypytywał się czy poseł trybut przywiózł i wysłał czauszów, by go zmusili do złożenia poselstwa. Wobec obłożnej choroby było to jednak niemożliwe [1]. Poselstwu wyznaczono bardzo skromne utrzymanie, a gdy jeden z orszaku żalił się u Sinana, że niema nawet gdzie kupić prowiantów, wezyr go zelżył, o niczem nie chcąc słyszeć tylko o haraczu. Powoływał się na cesarza, który musi teraz zapłacić haracz za trzy lata; chełpił się, że Pers synowca w zakład pokoju przysłał, że Hiszpan o pokój żebrze, więc i Polacy trybut płacić muszą [2].

Uchański umarł z początku stycznia nie złożywszy poselstwa; zaraz po jego śmierci Sinan wysłał urzędników fiskalnych po trybut, ale posłowie słyszeć o tem nie chcieli, zapewniając, że prędzej gardła dadzą, jak na to żądanie zezwolą. Wezyr posłał wtedy podskarbiego z janczarami i czauszami, by rzeczy poselskie spisał. Posłowie protestowali. Podskarbi żądał siekiery, groził, że skrzynie porozbija i zwłoki Uchańskiego każe do morza wrzucić, a w końcu mimo protestu posłów, kazał rzeczy opieczętować i pomieszkanie ich strażą obstawić; ale przy spisywaniu rzeczy poselskich nie znaleziono trybutu, tylko 2.000 talarów gotówki [3].

Czausz Mustafa, który już kilka razy jeździł do Polski, radził posłom, by wezyra pieniędzmi ułagodzili. Polacy idąc za tą radą, dawali Sinanowi 12.000 talarów, ale nie chciał ich przyjąć, oświadczając stanowczo, że albo Polacy na trybut się zgodzą, albo wiarę mahometańską przyjmą — inaczej wojna bę-

---

[1] Bielski, Dalszy ciąg Kroniki, 115.

[2] Dotychczas Rzeczpospolita haraczu nie płaciła; od czasu do czasu posyłano tylko podarki przy większych poselstwach. Poseł wenecki Zane, który był w Konstantynopolu od 1591—1594 (Albèri S. III, t. 3, 441), wspomina, że król polski płaci 25.000 haraczu a dwa razy tyle donatywy, ale na czem się opiera nie wiadomo. W paktach między Polską a Turcyą jest tylko mowa o donatywie płaconej hanowi, a że haraczu nie płacono, wynika z samego żądania Porty i z zachowania się Polski, gotowej raczej do wojny, jak do zgody na haracz.

[3] Giovanni Moro do doży. Hurm. IV, 2. 149.

dzie nieunikniona. Nazywał Polaków psami, zdrajcami, bo o pokój proszą, podczas gdy król ich pojechał do ojca, pojednał się z Maksymilianem, siostrę mu dał i królestwa ustąpił, a Rzeczpospolita wraz z Niemcami do wojny z Turcyą się gotuje.

Ostatecznie po długich rokowaniach zgodził się, by posłowie mieli posłuchanie u sułtana, ale gdy weszli i ofiarowali podarki: 9 sztuk soboli, 9 pozłacanych czasz i 4 psy, wezyr wydarł Łaszczowi z rąk list królewski i zaraz kazał posłom wychodzić. Po naradzie w Dywanie wyprawiono Czyżowskiego do Polski, ze stanowczą odpowiedzią, że sułtan zostawia królowi sześć tygodni do namysłu, czy godzi się na płacenie haraczu lub przyjęcie wiary muzułmańskiej, czy obiera wojnę. Po Czyżowskim kazano także pozostałym towarzyszom Uchańskiego wybierać się w drogę z ciałem zmarłego. Równocześnie posłał Beglerbeg z rozkazu sułtana list do hetmana z naleganiem, by jak najprędzej odesłano posła z odpowiedzią. Jeżeli Polacy nie zgodzą się ani na haracz, ani na muzułmanizm, ujrzą na swych karkach niepochybnie tureckie szable, a państwo ich kopytami końskiemi będzie stratowane i z ziemią zrównane [1].

Że nie były to czcze pogróżki i że Porta, a przynajmniej Wielki Wezyr, o wojnie z Polską seryo zamyślał, wynika z rozkazów przesłanych Beglerbegowi, księciu siedmiogrodzkiemu i Tatarom, by do wojny się gotowali [2].

Jakoż poczęli się ruszać Tatarzy z Oczakowa i Białogrodu, a że Beglerbeg w lutym 1590 r. zaczął budować most na Dunaju, należało przypuszczać, że dla zatarcia złego wrażenia, jakie wywołał w Stambule odstąpieniem od granic polskich, zechce wraz z Tatarami próbować szczęścia, zanim nadciągną większe wojska, które już z Azyi do Adryanopola przeprawiano [3].

Wobec poważnego niebezpieczeństwa od Turcyi, rozesłał król zaraz po powrocie z Rewla uniwersały na sejmiki, by jak najpilniej o obronie radzono.

---

[1] Mosbach, „Wiadomości Polskie“, 223. List Beglerbega.

[2] Moro do doży. Hurm. IV, 2. 149.

[3] Zamojski do Annibala z Kapui. Thein. III, 172.

Zaraz z początku sejmu, zwołanego 8 marca do Warszawy, przywiózł Czyżowski listy Murada z wypowiedzeniem wojny, jeżeli Rzeczpospolita nie zgodzi się na płacenie haraczu lub nie przyjmie islamu, i opowiadał o nieludzkiem obchodzeniu się z polskiem poselstwem w Stambule [1].

Pod wrażeniem niebezpieczeństwa zdobył się sejm na niebywałą energię dla obrony Rzeczypospolitej. Gwałt sobie czyniąc, uchwalono nietylko pospolite ruszenie, pobór po kopie z łanu i podwójną kwartę z dóbr królewskich, ale nawet powszechne pogłówne.

Arcybiskup gnieźnieński miał dać 600 zł., krakowski 500, lwowski 200, inni biskupi po 300. Biskupi ruscy i infułaci, wojewodowie, więksi kasztelanie, żupnicy, celnicy koronni, pieczętarze, marszałkowie wielcy, podskarbiowie i hetmani koronni mieli dać po 100 zł. Reszta kasztelanów, opaci, nadworni marszałkowie, hetmani, podskarbiowie i polni hetmani po 50 zł. Inni urzędnicy dworscy po 25 zł. Szlachta siedząca po folwarkach po 8 zł., dzierżawcy od 200 złotych arendy także po 8 zł., podobnie jak burmistrze i rajcy z większych miast. Kupcy bogatsi po 15 zł., kramarze po 2 zł., aptekarze, cyrulicy, drukarze, kuśnierze po 3 zł. i t. d. Żydzi koronni mieli dać 20.000, litewscy 6.000 zł. Miasta miały dostarczyć wozów i spiży, a Kraków i Lubowla miały być silniej ufortyfikowane. Obrano na sejmie prowizorów, którzyby pieniędzmi poborowymi i głównymi szafowali. Prócz tego miano wywołać wszelki zbytek z Polski, zabronić dowozu wina, małmazyi, muszkatel, jedwabiów, zastawić klejnoty a monetę podnieść. Na wiarę Rzeczypospolitej miano zaciągnąć milion z Polski a pół miliona z Litwy, i starać się o pieniądze u papieża, Wenetów, książąt Rzeszy, miast pruskich i rzeskich. Hetmani, koronny i litewski, mieli ze stu tysiącami zaciągniętego żołnierza, którego utrzymanie półroczne obliczono na półpięta miliona, ruszyć ku granicom, a tymczasem ludzie ukrainni ze służebnymi na Podolu powstrzymywać Tatarów i z hospodarem mołdawskim bronić Turkom przeprawy przez Dunaj.

[1] Bielski, 119.

Prócz wojska pieniężnego miało wyruszyć także pospolite ruszenie, podzielone na trzy korpusy, z których jeden miał pójść na Tatarów, a dwa pozostałe na Turków. Dla zaciągów powyznaczano na sejmie rotmistrzów a dla obu hetmanów, koronnego i litewskiego, wydano asekuracyę hetmańską, nadając im *facultatem belli intra et extra fines Regni gerendi et administrandi*, jako najlepiej będą rozumieli, moc do umów i traktatów w rzeczach nagłych [1].

Ponieważ za przyczynę burzy tureckiej uważano „nierządy i swawoleństwo graniczne“ nieujętego w karby kozactwa, które nieoglądając się na pakta Rzeczypospolitej, dało pretekst do wypowiedzenia wojny, a nowym napadem na Krym w lutym 1590 r. poczyniło znaczne szkody Tatarom [2], uchwalono na sejmie dla ukrócenia kozaczej swawoli, porządek ze strony Niżowców i Ukrainy, „żeby gdy przyjdzie do pokoju z Turkiem, nie targali go znowu“.

Mocą tej konstytucyi miał hetman opatrzyć miejsca, gdzie Kozacy przebywają i dać im na „starszego“ osiadłego szlachcica. Rotmistrze albo setnicy mieli także ze szlachty być wyznaczeni i wraz z pachołkami złożyć przysięgę królowi i Rzeczypospolitej, że bez wiedzy hetmana granic koronnych nie przekroczą.

Starostowie mieli przestrzegać, by z ich miast nikt na Niż, w dzikie pola lub za granicę nie wyjeżdżał, a nieposłusznych gardłem karać. Do towarzystwa nikt nie mógł być przyjęty bez zezwolenia starszego, względnie hetmana, który miał mieć u siebie rejestr Kozaków. Także do miast nie wolno było przyjmować nikogo ze służebnych, bez zezwolenia setnika lub starszego, ani bez jego wiedzy dostarczać Kozakom broni, prochów i saletr.

Z pośród Niżowców miano wybrać tysiąc ćwiczonych pachołków, pod zwierzchnictwem Mikołaja Jazłowieckiego, i dać im na leże strażnicze drewniany zamek na uroczysku Krzemień-

---

[1] *Volum. leg.* II, 1325.

[2] Moro do doży. Hurm. IV, 2. 150

czuk, albo gdzie w stepach, a sąsiednie dzierżawy królewskie miały ich w żywność zaopatrywać. Nadto za żołd od prowizorów miano użyć Kozaków niżowych i dońskich na wojnę z Turkami [1].

Słowem uczyniono wszystko, co się dało dla zmierzenia się z Turkiem, ale „wszystko to była tylko mowa, do skutku nic nie przyszło“ — jak mówi Bielski.

Że ofiarność na cele wojenne była tylko chwilową i że ustępowano raczej przed koniecznością, jak z przekonania o potrzebie stanowczego załatwienia się z Turcyą, świadczy chociażby sama uchwała poborowa, w której zastrzeżono, że gdyby nastał pokój przed czasem naznaczonym do ściągania pogłównego, podatku tego nie można będzie pobierać [2].

Prócz gotowości wojennej postanowiono próbować jeszcze z Turkami traktatów i wysłano ze sejmu Grzymałę Zamojskiego do Stambułu, by wywiedział się, czy wojna z Persyą już stanowczo ukończona, a w takim razie, by wszelkimi sposobami, na jakie honor Rzeczypospolitej pozwalał, starał się o pokój; gdyby zaś wojna nie była skończoną lub z innej strony na nią się zanosiło, by wracał tylko z glejtem dla następnego posła [3].

Dla pozyskania zagranicznych posiłków na wojnę z Turkami, zwrócono się przedewszystkiem do Sykstusa V., który tak gorliwie krzątał się koło nawiązania ligi antyotomańskiej za Batorego. Pisał do papieża o pomoc Zamojski i prymas Karnkowski zaraz po napadzie Tatarów, pisał i król w grudniu, prosząc przez Reszkę o zasiłki pieniężne. Po sejmie król prośbę ponowił, donosząc Sykstusowi V. o warunkach, przedłożonych od sułtana, a na dowód, że układy o wypuszczenie Maksymiliana z niewoli, które za naleganiem nuncyusza Aldobrandiniego przyszło do skutku, przyczyniły się w wielkiej części do rozdrażnienia Porty, posłał papieżowi kopię listu sułtana [4].

Wkrótce potem wysłał król Wołuckiego z listami do pa-

[1] *Vol. leg.* II, 1329.
[2] *Vol. leg.* II, 1348.
[3] Bielski 138.
[4] Thein. III, 164.

pieża i książąt włoskich, ale nic nie otrzymał. O wojnie tureckiej, jak donosił Reszka kanclerzowi, w Rzymie nie chciano słyszeć, a na audyencyi, którą miał przy końcu maja u schorzałego już papieża, otrzymał tylko odpowiedź, że Turcy dla Polski nie mogą być teraz groźni [1].

Przyczyną tej obojętności dla wojny tureckiej były według Reszki informacye z Polski o królu, hetmanie i sprawach sejmowych, „błaho pisane i *contemptim*“, co się zapewne odnosiło do wykluczenia na zawsze arcyksięcia Maksymiliana od korony za niedotrzymanie paktów będzińskich, jakie zapadło na sejmie 1590 r. [2].

Nie więcej zyskano od książąt włoskich. Wenetowie, po których najwięcej się spodziewano, odpisali, że ich Rzeczpospolita wdzięcznie listy króla przyjęła, ale pomocy w ludziach ani pieniądzach nie może dostarczyć, bo jej samej od Turków grozi niebezpieczeństwo. Inni książęta, z wyjątkiem księcia Mantui, zdaje się, nawet nie odpisali.

Przez cały ten czas nie przychodziło do żadnych starć na granicach polskich. Żółkiewski stał w Barze z wojskiem, gotów do stawienia czoła Tatarom; śledził ich poruszenia i mimo skarg szlachty ukraińskiej na obciążenie leżami wojskowemi, nie opuszczał stanowisk strażniczych i gotów był psuć z umysłu zapasy żywności, by utrudnić nieprzyjacielowi wyżywienie wojska [3].

Od strony Turcyi nie przychodziło jednakże do żadnych zaczepek, mimo, że upłynął już termin, w którym miano przesłać odpowiedź, czy Polska na haracz, czy na wojnę się godzi.

Nawet ponowny napad Kozaków na Krym puszczono płazem, chociaż Beglerbeg w obawie, by nie policzono tego na karb jego niedbalstwa, rozgłaszał, że Tatarzy Kozaków pobili [4].

W Stambule poczynało się tymczasem zmieniać usposobienie wrogie dla Polaków. Wezyrowie, od początku wojnie przeciwni, radzili Sinanowi, by dla uniknięcia niepokojów zrobić,

---

[1] J. Niemcewicz, „Zbiór pamiętników“, II, 472. Grab. II, 460.

[2] *Vol. leg.* II, 1318.

[3] Listy str. 13, 17.

[4] Moro do doży. Hurm. IV, 2. 180.

jeżeli się uda, hospodara wołoskiego polskim królem i zamienić kraj w rodzaj hospodarstwa, przypuszczając, że Polacy dla uniknienia wojny na toby się zgodzili, zwłaszcza, że dostaliby chrześcijańskiego księcia na pana.

W kwietniu polecono już Beglerbegowi, by zachował się spokojnie, nie drażnił Polaków i by przez hospodara albo inną jaką drogą, nie ubliżającą godności sułtana, starał się, żeby układy z Polską doszły do skutku [1].

Wobec takiego usposobienia zdawało się, że nowy poseł polski znajdzie w Porcie dobre przyjęcie. Jakoż Beglerbeg przyjął go w Sylistryi życzliwie i wypuścił za jego wstawieniem się Podhoreckiego i Jacimirskiego, zatrzymanych z poselstwa Uchańskiego [2], ale w Stambule, dokąd przybył Zamojski 9 czerwca, napotkał na wielkie trudności. Sinan-basza o pokoju słyszeć nie chciał, wypominał łupiestwa kozackie i żadnych usprawiedliwień nie chciał przyjmować.

Zamojski szukał poparcia u Edwarda Bartona, posła królowej angielskiej, która wtedy miała u Porty wpływowe stanowisko, bo popierając Holendrów w wojnie przeciw Filipowi II., utrudniała tem samem Hiszpanii zwrócenie się przeciw Turcyi. Barton nie odmówił pośrednictwa. Sinanowi przedstawiał, że wojna z Polską mogłaby się niekorzystnie odbić na przymierzu angielskiem, bo królowa nie mogłaby z Polski zajętej wojną dostawać zboża i materyałów budowlanych, wskutek czego trudnoby było popierać dłużej powstanie Holendrów.

Barton czynił starania, by zyskać poparcie wpływowych baszów, pokojowo usposobionych, a niechętnych Sinanowi, a w końcu podał suplikę do sułtana, by pokój z Polską zawarł, jeżeli nie chce osłabić przymierza z Anglią.

Prócz Bartona czynił zabiegi o pokój Bruti, poseł mołdawskiego hospodara, który z obawy przed wojną we własnym interesie pragnął załagodzenia nieprzyjaźni polsko-tureckiej.

Zabiegom dyplomatycznym obu posłów udało się wreszcie

---

[1] Moro ibid.

[2] Bielski 135.

nakłonić Portę do ustępstw. Sinan odpisał naprzód hospodarowi, że Turcy od pokoju z Polską nie są, a nie spodziewając się haraczu, żądał za wynagrodzenie kozackich najazdów 200 soroków soboli i 80.000 talarów [1], a gdy Zamojski przyrzekł na własną odpowiedzialność 100 soroków soboli, a wraz z Brutim obiecał wezyrowi 20.000 talarów, a 40 000 innym baszom za pośrednictwo, sułtan zgodził się na odnowienie dawnego przymierza pod warunkiem, że Kozacy zostaną stanowczo powstrzymani od napadów na posiadłości tureckie, a król przyszle poselstwo z obiecanem przez posła wynagrodzeniem [2].

W zasadzie więc Porta zgodziła się warunkowo na odnowienie przymierza, ale widocznie nie bardzo wierzono w Stambule w powstrzymanie kozackich wycieczek, bo mimo przychylnej odpowiedzi, danej Zamojskiemu, wysłano Beglerbega ze spahami i janczarami, ściągniętymi z Bułgaryi i Serbii, na budowanie twierdz koło Benderu, by powstrzymać kozackie najazdy [3].

Nadzieja zakończenia pokojowo zatargu z Turcyą, była bardzo pożądaną w Polsce, gdzie chwilowa ofiarność, wywołana pierwszem wrażeniem niebezpieczeństwa, osłabła znacznie, a sarkanie na uciążliwość pogłównego było bardzo powszechne.

Niezadowolenie szlachty zwróciło się głównie przeciw kanclerzowi, który najgorliwiej za wojną przemawiał, a chociaż projekt pogłównego nie od niego wyszedł, poparł go całym wpływem na sejmie [4].

Wobec ogólnej niechęci do płacenia podatków, pisał do króla, skoro tylko dowiedział się od Brutego, że Porta zgodziła się na pokój, by rozpuścić wojska, a pieniądze i ludzi na inny czas zachować, chociaż wolałby stanowcze gotowanie się do wojny, niż zależność od kaprysów tureckich [5].

Listy kanclerskie nie potrafiły jednakże uspokoić sarkań i niezadowolenia. Wystąpiło ono jaskrawie na zwołanym bez

---

[1] Zamojski do Radziwiłła. *Script. R. P.* VIII, 101.
[2] Moro do doży. Hurm. IV, 2, 152.
[3] Lippomano, ibid. 151.
[4] Zamojski na sejmik proszowski l. c.
[5] Zamojski do Annibala. Thein. III, 171.

wiedzy króla przez prymasa zjezdzie w Kole, gdzie nietylko domagano się zniesienia pogłównego, ale żądano wykluczenia hetmana od udziału w elekcyach, przysięgi w czasie bezkrólewia na posłuszeństwo senatowi i zakazu, by hetman nie wchodził w umowy z zagranicznymi panującymi. Znaczenie hetmana wzmocnione uchwałą ostatniego sejmu o asekuracyi hetmańskiej, drażniło nieprzyjaciół Zamojskiego, którego teraz pomawiano, że niebezpieczeństwo tureckie sam wymyślił, by sięgnąć po władzę dyktatora. Zacietrzewienie dochodziło do tego stopnia, że nawet listy tureckie z wypowiedzeniem wojny uważano za falsyfikat, podrobiony przez Zamojskiego w kraju.

Przy takim usposobieniu swoich nieprzyjaciół nie mógł Zamojski występować dłużej z planami wojennymi i musiał oczyszczać się z podejrzeń, że ojczyzny nie zdradza, że niebezpieczeństwo było istotne, powołując się na świadectwo ludzi, którzy z Uchańskim byli w obozie Beglerbega i w Stambule, a zwłaszcza Czyżowskiego, przysłanego z wypowiedzeniem wojny. Zachęcał, by i teraz nie zaniedbywano obrony kraju i albo popierano układy wedle wskazówek, przysłanych ze Stambułu, albo seryo gotowano się do odporu, bo sprawy z Turcyą są bardzo powikłane, wojsko nieopłacone i rozżalone, a u sąsiadów panuje przekonanie, że król Zygmunt niedługo w Polsce posiedzi, jak rozgłaszano na dworze cesarskim, dokąd przesłano artykuły uchwalone w Kole.

Z podejrzeń o zdradę musiał się oczyszczać także na sejmie, zwołanym w grudniu 1590 r., bardzo burzliwym z powodu poprzedniego, samowolnego zniesienia ustaw sejmowych na zjeździe kolskim. Listom tureckim, pokazywanym w senacie i Izbie, poselskiej, przeciwnicy nie chcieli dawać wiary i dopiero, gdy przybył czausz od wezyra i Beglerbega z zapytaniami, dlaczego zapowiedziane wielkie poselstwo do Porty dotychczas nie przybyło i czy poseł polski za wiedzą króla przyrzekł sobole, przystąpiono do narad nad załatwieniem sprawy tureckiej.

W ostatnim dniu sejmu zgodzono się ostatecznie wysłać obiecane przez Zamojskiego sobole, na które miano obrócić pogłówne żydowskie i cło na Nogacie.

Także hanowi tatarskiemu miano z tego posłać upominki. Na wielkiego posła wyznaczono Krzysztofa Dzierzka, który miał zawieść podarki do Stambułu i ofiarować je Muradowi jako jednorazowe odszkodowanie za łupiestwa kozackie, bez wzmianki o senacie i stanach, dla uniknienia pozorów haraczu.

Wszystkie inne konstytucye ostatniego sejmu, które tylko *discrimen belli turcici et necessitas expresit*, zniesiono w myśl zjazdu kolskiego, tj. pogłówne, pobór łanowy, asekuracyę hetmańską i *disciplinam militarem* [1], a tylko na pospolite ruszenie się zgodzono, gdyby zagroziło nowe niebezpieczeństwo od Turka.

Tymczasem mimo powszechnego pragnienia pokoju omal że nie przyszło do rozbicia tak długo prowadzonych traktatów o pokój. Ledwie Dzierzek z Brutim i sobolami wyruszył w drogę, zawiadomił króla Stanisław Gulski, że Kozacy się ruszają i chcą wprowadzić na hospodarstwo mołdawskie jakiegoś Łazara, uchodzącego za syna Iwonii [2].

Zamiar ten nie przyszedł wprawdzie do skutku, bo staroście Jazłowieckiemu udało się wydostać Łazara z rąk kozaczych, poczem niedoszły hospodar zamiast na Mołdawii został w wieży w Malborgu osadzony [3], ale mimo to wiadomość o ruchawce kozackiej wywołała wielkie oburzenie w Stambule. Spotęgowały je jeszcze jakieś listy hospodara do Brutego i Dzierzka, które Beglerbeg Idir-basza przejął i wezyrowi przesłał.

Po odczytaniu ich na radzie Dywanu przez powiernika rezydenta austryackiego, Sinan wpadł w formalny szał.

Króla polskiego i senatorów nazywał zdrajcami, bo pod pozorem pokoju chcą tylko wojnę odwlec, odgrażał się że Brutego każe powiesić. W przystępie furyi kazał Beglerbegowi i Feradowi baszy zaraz ruszyć na Polskę i kraj w popioły obrócić, bo dopóki Kozacy doszczętnie nie zostaną wytępieni, pokój jest niemożliwy. Gdy paroksyzm minął, plan uległ zmianie, zapewne pod wpływem sułtana.

Beglerbegowi kazano tylko pójść z pomocą hospodarowi,

---

[1] *Vol. leg.* II, 1377.

[2] Hurm. III, 2. 149. Gulski do hospodara Piotra.

[3] Bielski 196.

ale i do tego nie przyszło, bo tym razem ze strony polskiej zaburzenia powstrzymano [1].

Dzierzek z powodu tych zawikłań umyślnie nie spieszył się z poselstwem, by na wypadek zerwania traktatów odwlec wojnę do czasu dogodniejszego dla Polski, i dopiero przy końcu sierpnia stanął w Stambule w orszaku 50 ludzi [2]. Tu przyjęto go z honorami, bo Beglerbeg przesłał wiadomość, że poseł sobole wiezie; a krótko przedtem wróg Polski, Sinan ustąpił miejsca Feradowi-baszy, pokojowo usposobionemu i swemu osobistemu antagoniście [3].

Mimo honorowego przyjęcia musiał Dzierzek cały miesiąc czekać na listy przymierne i otrzymał je dopiero po doręczeniu memoryałów wezyrowi i sułtanowi, opracowanych razem z Zamojskim, który od złożenia poselstwa w Stambule siedział.

W suplice tej przypominali posłowie dotychczasową przyjaźń królów polskich względem Porty, uległość króla Stefana i starania nawiązania przyjaźni przez nowego króla Zygmunta. Napady Kozaków na Mołdawię zwalono na cesarza, utrzymując, że przez poduszczenie Kozaków chciał się pomścić za porażkę Maksymiliana. Powoływali się i na dawniejszych królów, którzy nietylko nie dali namówić się do wojny z Turcyą, ale zawiadamiali Portę o planach książąt chrześcijańskich, przez co ułatwiali zwycięstwo Turkom, jak np. za Solimana i Selima. W końcu zbijał podejrzenia Porty, że Polska o wojnie z nią nie myśli, bo gdyby tak było, nie narażałaby sobie sąsiadów. Suplika kończyła się zwrotem, że sułtan nie powinien dopuścić, by szydzono z Polaków, iż przekładali przyjaźń Porty nad przyjaźń książąt chrześcijańskich, a teraz za to pokutują.

Sformułowanie w ten sposób supliki miało ostatecznie prze-

---

[1] Anonim do Pezzena, Hurm. III, 1.150. Niezadowolenie Porty odbiło się tylko na hospodarze Piotrze. Wskutek kompromitujących go listów zażądał wezyr podwyższenia haraczu a gdy Piotr, nie czekając na wypędzenie sam uszedł z Mołdawii, otrzymał hospodarstwo Aron, opłaciwszy się grubo wielkiemu wezyrowi i dygnitarzom Porty.

[2] Lorenzo Bernardo do doży. Hurm. IV, 2. 155.

[3] Albèri S. 3, t. 3, 416, 371.

ważyć szalę i zdecydować sułtana do odnowienia z Polską przymierza [1].

Nie różni się ono treścią od starego przymierza Solimanowego, odnawionego przy każdej zmianie panujących i omawia głównie bezpieczeństwo granic, wykup więźniów, stosunki sąsiedzkie i kupieckie.

Po bombastycznym wstępie, oznajmia Murad III., syn Selimów, Sulejmanów, Bajazetów, Mahmedów, na wszystkim świecie okazały, cień boży na ziemi, drugi Aleksander, korony królom rozdawający, że na prośbę króla Zygmunta, z pomiędzy Jezusa chwalących najzacniejszego, wszystkie sprawy Nazarejczyków naprawiającego, wielkich zastępów i ogromności pana, zgodził się, z wrodzonego mu politowania nad wszystkimi do progów Porty się udającymi, odnowić przymierze dziadów i pradziadów z królami polskimi. Rozkazuje więc, by państwu, zamkom i wszystkim osadom należącym do króla polskiego żadna krzywda się nie działa od wezyrów, sandżaków i begów, hana tatarskiego, póki tenże zwyczajne daniny od króla dostawać będzie. Gdyby jaką krzywdę królowi wyrządzono, za rozkazem sułtana będzie nagrodzoną. To samo względem posiadłości tureckich ma być przestrzegane ze strony króla, podwładnych mu panów, łotrostwa kozackiego i innych posłusznych mu swywolników pogranicznych.

Więźniów tureckich, pobranych w czasie ostatnich zamieszek, każe król wyszukać i wolno puścić, a wtedy pobrani z Polski więźniowie, jeżeli się nie poturczyli, gdziekolwiek ich ludzie królewscy znajdą, mają być wydani, po takiej opłacie, za jaką nabyci zostali. Jeżeli pan wyznaczył więźniowi czas na wysługę i list mu na to dał, nie może mu czynić przeszkody do wyjścia, dopóki mu prawnie poturczenia nie dowiedzie. Ktoby na przyszłość do niewoli się dostał, ma być wolno puszczony.

Posłowie polscy mają mieć wolny przejazd, rzeczy ich mają być bezpieczne, a od granic mają im być dodani ludzie uczciwi na przewodników do dalszej drogi.

---

[1] Hurm. III, 1, 155. Relacya austryacka z Konst.

Obustronni kupcy mogą handlować lądem i morzem, po opłacie zwykłego myta. Gdyby polski kupiec w krajach tureckich umarł, rzeczy jego mają być przechowane u karawan-baszy i zwrócone spadkobiercom, gdy po nie z listem królewskim przyjadą. Ormianie i inni kupcy udający się do Wołoch, nie mogą jeździć dzikiemi polami, ale wielką drogą od dawna kupcom zwyczajną. W sprawach spornych, jeżeli się nie wykażą zapisem, słuchani być nie mają, a o cudzy dług nie mogą być pociągani do odpowiedzialności.

Gdyby kto miał dług u poddanego królewskiego, urzędy miejscowe mają przymusić wierzyciela do zwrotu. Złodziejów i rozbójników należy bez zwłoki karać, a rzeczy przy nich znalezione zwrócić.

Czauszowie, spahowie i janczarowie nie mają zabierać koni polskim poddanym.

Hospodarowie wołoscy, jak z dawna mieli dobrą przyjaźń z królami polskimi, tak i nadal mają być dobrymi sąsiadami. Zbiegów wołoskich, którzy z Polski zamieszki wzniecają, gdyby się o nich upomniano ze strony tureckiej, należy zwracać.

Sandżakowie Sylistryi i Białogrodu, mytnicy i straże graniczne, nikogo prócz sług i niewolników Porty i zobopólnych kupców przez Dniestr do Polski puszczać nie mogą. Od tych zaś, którzy z Polski przychodzą, gdyby więźniów ze sobą wiedli, mają ich odbierać i z powrotem odsyłać.

Owczarze tureccy, gdy przybędą do Polski, mają się opowiedzieć urzędnikom i dzierżawcom tamtejszym, od pastwisk płacić mają[1], a gdyby im co zginęło, upomnieć się u urzędników.

W nabytkach czy to na Moskwie, czy na kim innym, Porta królowi przeszkadzać nie ma.

Przymierze kończy się przysięgą, że sułtan do końca życia przestrzegać go będzie, jeżeli ze strony króla nic przeciwnego przymierzu nie zajdzie[2].

Przymierze przywiezione przez Zamojskiego i czausza tu-

[1] W przymierzu z Zygmuntem Augustem r. 1568 mieli opłacać dziesięcinę: *prout consuetudo fert et postulat.* Rkp. Cz. 612, 293.

[2] Rkp. Cz. 612, 290.

reckiego do Wiślicy, ratyfikował król i odesłał w połowie stycznia 1592 r. do Stambułu. W liście przymiernym zobowiązuje się przestrzegać warunków wymienionych w liście sułtana, zaznaczając tylko, że kupcy mają płacić trzydziestą część od towarów i dawne myto, a od innych opłat mają być wolni[1].

Tak więc po załatwieniu formalności przymierza, o które całe dwa lata prowadziły się negocyacye, stanął wreszcie pomiędzy Polską a Turcyą pokój, ale pokój chwiejny i niepewny, bo zależny od zachowania się kozactwa, w którego stanie mimo papierowych konstytucyj nic się nie zmieniło, i od dobrej woli hana tatarskiego, którego pakta polsko-tureckie niewiele obchodziły.

(Dok. nast.).

Ks. Józef Sas.

[1] Hurm. III, 1. 160.

WEWNĘTRZNA PEWNOŚĆ AKTU WIARY.

Człowiek bez przekonania to chwiejna trzcina, którą lada wiatr na wszystkie strony porusza, a wicher przy pierwszem uderzeniu łamie. Wielkich rzeczy nie potrafi on dokonać. Ulegając prądom najbliżej go dotykającym, złym czy dobrym, to w tę, to w ową przerzuca się stronę, niezdolny oprzeć się stanowczo wpływom zewnętrznym, ani bronić swej sprawy ze skutkiem, z zapałem, bo brak mu punktu oparcia, brak przekonania wewnętrznego; stoi na chwiejnym gruncie, który mu się każdej chwili z pod nóg usuwa. Przeciwnie wszystko, co się tylko wielkiego dokonało w świecie, było owocem silnych, wewnętrznych przekonań, i niema drugiej siły, coby z tą siłą mierzyć się mogła. Największe wysiłki brutalnej przemocy okazywały się bezskuteczne, ilekroć natrafiały na silne przekonania wewnętrzne. Jak się nie wpaja przemocą i gwałtem przekonań, tak też i bagnetami nie można ich wyrwać z serc, w których głębokie zapuściły korzenie.

Jaką siłą przekonanie wewnętrzne natchnąć jest w stanie człowieka, to właściwie dopiero chrześcijańska religia w całym pokazała blasku, podbijając świat bez środków materyalnych, jedynie swą duchową potęgą. A przez długie wieki swego istnienia chrześcijaństwo niezrównane dało dowody tej siły. Historya nie może wskazać drugiego przekonania, coby natchnęło ludzi i ludy całe do tak heroicznych czynów i poświęceń, coby

tyle wielkich dzieł stworzyło na wszystkich polach wiekowej pracy ludzkiej.

Skąd ta niezrównana siła wewnętrznego przekonania, która jest i była cechą charakterystyczną prawdziwych wyznawców Chrystusowej nauki; która nietylko zapalała do głośnych czynów, ale też uczyła tajemnicy cichego cierpienia, znoszenia ciężarów prawie nadludzkich, pracowania w zaparciu i zapomnieniu dla dobra bliźnich i chwały swego Boga? Czy może przekonanie chrześcijańskie stąd swą siłę czerpie, że wiara, na której się oparło, jest logicznie uzasadnioną i nawskróś zgodną z wymaganiami rozumnej naszej natury?

Bywają bardzo rozmaite przekonania, rozumne i nierozumne. Liczba tych ostatnich nie jest zbyt małą i zaprzeczyć się nie da, że i one, choć niezgodne z rozumem, na fałszu oparte, a więc złe, wielką jednak przedstawiają potęgę, przedewszystkiem wówczas, kiedy niema równie silnych przekonań dobrych, któremiby można je zwalczać.

W dawniejszej pracy wykazaliśmy na tem miejscu[1], jak Kościół stanowczo wymaga, by wiara była rozumną i jak żadnej zgoła w swem łonie nie cierpi nauki, którąby w jakibądź sposób łączności między rozumem a wiarą przeczyła. Ale właśnie ta dziwna siła przekonania katolickiego zdaje się najbardziej stanowczo przeczyć rozumności wiary. Tej bowiem najwyższej, nieograniczonej pewności, z jaką się spotykamy w wierze katolickiej, nie znajdujemy w żadnej innej nauce. Owszem nauka ostrzega nas przed zbytnią pewnością, jako niezgodną z rozumem. Tymczasem w wierze katolickiej pewność owa nie jest tylko przypadkowem zjawiskiem, wynikiem subjektywnego usposobienia, ale wedle nauki Kościoła jest to przymiot konieczny, bez którego wiara nie byłaby wiarą.

Badanie i wytłumaczenie tego charakterystycznego przymiotu wiary, tej absolutnej jej supremacyi w dziedzinie przekonań ludzkich nie jest rzeczą łatwą, jest jednak niezbędnie potrzebną do gruntowniejszego poznania wiary. Dlatego to uwa-

[1] Por. *Przegl. Powszech.* 1897, styczeń, str. 1.

żaliśmy za stosowne, wyłożywszy w poprzednim artykule naukę Kościoła o rozumności wiary, poruszyć dziś kwestyę o wewnętrznej pewności aktu wiary i o tej nadzwyczajnej sile przekonania, która tylko wierze jest właściwą.

I.

Przedewszystkiem przypatrzmy się bliżej temu przymiotowi i pozornej jego sprzeczności z rozumnością wiary. Kościół wymaga, byśmy wierzyli nadewszystko. Wierzący katolik ma być raczej gotowy do zniesienia wszystkich prześladowań, cierpień i mąk, jakie tylko zawziętość ludzka wymyśleć może, aniżeli odstąpić choćby o włos od nauki Kościoła; za tę naukę i życie własne w ofierze złożyć powinien. Nie dość na tem. Kościół także wymaga, by przekonaniu z wiary płynącemu ustępowały wszystkie inne przekonania jakąkolwiek drogą zdobyte. Od żadnej nauki wiary odstąpić nie wolno, choćby świadectwa najuczeńszych ludzi, choćby cała nauka, choćby własne zmysły zdawały się zadawać jej kłam, albo żądały drobnego tylko jej sprostowania. A gdyby katolik rozumem dochodził do jakiejś konkluzyi, stojącej w sprzeczności z artykułem wiary, to ma odrzucić ten wniosek własnego rozumu jako fałsz, choćby nie mógł spostrzedz błędu w swem rozumowaniu. Św. Paweł zachęcając Galatów do wytrwania w wierze, napisał te dziwne słowa: „Choćby my albo anioł z nieba przepowiadał wam mimo to, cośmy wam przepowiadali, niech będzie przeklęstwem“ [1]. Gdyby apostoł rzucał tylko przekleństwo na innych ludzi, odmienną od niego naukę głoszących, toby go jeszcze łatwiej można zrozumieć. Ale on wszystkich bez różnicy potępia z góry już dlatego samego, że od jego nauki odstępują, i wierzyć im nie pozwala, choćby to były istoty obdarzone bystrością i mocą inteligencyi o wiele wyższej, niż nasza. A co najdziwniejsze, apostoł samemu sobie wierzyć zakazuje, gdyby czego innego uczył, jak to, co z początku wykładał. Skądże to pierwsze świadectwo św. Pawła czerpać mogło taką moc, którejby już nic obalić nie zdołało? Czy

[1] Gal., I, 5.

to się nie sprzeciwia najoczywiściej prawom rozumu? Czy takie wymaganie nie stoi w jawnej sprzeczności z nauką o rozumności wiary?

Szukajmy gdzie chcemy, nie znajdziemy żadnej innej rozumnej nauki, któraby śmiała rościć sobie takie prawo.

Jedne tylko oczywiste pewniki stoją wyżej ponad wszelką wątpliwość, a przyznać musimy, iż mało jest prawd, któreby były naszemu umysłowi zupełnie oczywiste. W trudnych zaś badaniach i najbystrzejszy umysł ludzki łatwo w jakiś błąd wpada: świadczy o tem już sama tak wielka rozmaitość zdań między uczonymi. Nawet umysł przekonany o swej ograniczoności, nie może się oprzeć uczuciu zdumienia, spotykając się z najjaskrawszemi sprzecznościami w twierdzeniach najwybitniejszych myślicieli ludzkości. A ten wymowny, prawie przygniatający obraz naszego umysłowego niedołęstwa nie byłby jeszcze dokładny, gdybyśmy nie zwrócili uwagi i na to, że ta sprzeczność zdań tłumaczyć się nie da naukowemi zdobyczami, które dostarczają nowych faktycznych podstaw dla rozumowań i wniosków. — I w takich przedmiotach, gdzie dane się nie zmieniają, zdania uczonych w różne strony się rozchodziły i rozchodzą. Co jeszcze wczoraj najmędrsi ludzie uważali za niewątpliwą prawdę, dzisiaj powszechnie uchodzi za fałsz oczywisty; jest to nierzadkie zjawisko w dziejach przekonań ludzkich. Cóż więc rozumniejszego, jak wystrzegać się zbytniej bezwzględności i stanowczości w sądach, a rachować się ze zdaniem i poglądami innych!

To też w istocie wszystkie nauki, nawet najbardziej rozwinięte, baczną zwracają uwagę na rezultaty, do których dochodzą badania innych naukowych dziedzin. Jeżeli jedna coś wykazuje, co się dotychczasowym zdobyczom drugiej sprzeciwia, to zawodowi uczeni gruntowne podejmują badania, by dojść, po której stronie znajduje się słuszność. Wszystkie nauki poddają się ogólnemu prawu, które rozum dyktuje, prawu wzajemnej, że tak powiem, kontroli. Tylko Kościół katolicki stanowczo i bez ogródki oświadcza, że jego wiara temu prawu poddaną być nie może. Wszystkie artykuły wiary bez różnicy trzeba

przyjąć z absolutną pewnością jako prawdy nieomylne, tak jak je Kościół tłumaczy. Pod tym względem Kościół najmniejszego ustępstwa nie czyni. Byli tacy, co sądzili, że choć dogmata objektywnie są nieomylne, to przecież w ich rozumieniu i tłumaczeniu przez Kościół, błędy zdarzyć się mogły, które z postępem czasu i w świetle nauki będzie można prostować. Odpowiedzią Kościoła na to zdanie jest kanon 3. soboru watykańskiego o wierze i rozumie, rzucający anatem na tych, coby twierdzili, iż dogmatom przez Kościół podanym, wskutek postępu nauki trzeba może będzie kiedyś nadać znaczenie odmienne od tego, w jakiem je pojmował i pojmuje Kościół.

Pozwala nam wprawdzie Kościół zestawiać prawdy wiary z prawdami innych nauk, ale tylko w tym celu, aby wiara nam służyła jako nieomylny drogoskaz i pochodnia w badaniach naukowych albo żebyśmy znaleźli w naukach nowe potwierdzenie prawd wiary.

Skąd wiara ma prawo stanąć ponad wszystkiemi naukami? Jakim sposobem można rozumnie usprawiedliwić tę bezwzględną pewność wiary, z góry odrzucającą wszystko, coby jej się sprzeciwiało?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, trzeba sobie na pierwszem miejscu zdać jasną sprawę z tego, jakąby siłę wiara w boskie objawienie mieć mogła, gdyby się na samym rozumie opierała.

II.

Probierzem każdej prawdy rozumnej jest dla nas oczywistość, którą mamy przedewszystkiem o prawdach zasadniczych naszego myślenia. Czy chcę, czy nie chcę, nie mogę wątpić o tem, że ta sama rzecz nie może być równocześnie białą i czarną, bo widzę w tem oczywistą niedorzeczność, negacyę bytu. To jest szczyt ludzkiej pewności.

O ile coś bardziej do tych najprostszych prawd się zbliża, o ile w ściślejszym z niemi związku przedstawia się naszemu umysłowi, o tyle z większą pewnością możemy sąd o tej rzeczy wydawać.

Aby się więc przekonać o pewności wiary, jaką rozumem

zdobyć jesteśmy w stanie, trzeba zobaczyć, jaki jest stosunek tejże wiary do prawd dla nas oczywistych.

Otóż siła czysto rozumowej wiary musi koniecznie być zależną od pewności dowodów, któremi się stwierdza sam fakt objawienia. Nie będę mógł spokojnie i bezpiecznie wierzyć w to, co mi podają za boskie objawienie, jeżeli się nie przekonam zupełnie, że Bóg prawdziwie przemówił. Nie brak zaiste dowodów na prawdziwość boskiego objawienia. Pius IX. w encyklice *Qui pluribus* z r. 1846 wyliczywszy krótko znaki, po których prawdziwą wiarę poznać można, powiada, że jaśnieją one zewsząd takim blaskiem boskiej mądrości i potęgi, iż każdy myślący człowiek łatwo zrozumie, że religia chrześcijańska jest dziełem bożem. Ale mimo to twierdzić nie można, żeby te dowody były absolutnie oczywiste [1]. Nie łączą one tak ściśle faktu objawienia z prawdami oczywistemi, iżby człowiek, choćby chciał, zaprzeczyć im nie mógł, tak jak np. nie jest w stanie wątpić o tem, że część musi być mniejszą od całości. Są bez wątpienia prawdy, które rozum nasz z większą pewnością poznaje, aniżeli fakt objawienia. Przytem scientyficzne udowodnienie prawdziwości wiary, naukowe wykazanie, że rzeczywiście się opiera na jawnem bożem świadectwie, jest rzeczą mozolną, wymagającą wielkiego zachodu i natężenia umysłowego. A więc podwaliny, na których wiara czysto rozumowa stoi, nie są bynajmniej silniejsze od fundamentów innych nauk, i dlatego wiara pewnością swą tychże nauk przewyższyć nie może.

Odpowiedziećby można, że jakkolwiek fakt objawienia nie jest dla nas zupełnie oczywistym, to przecież fakt ten różni się od wszystkich innych zdarzeń historycznych, ma cechę sobie tylko właściwą: pośredniczy między nami a Prawdą nieskończoną, zbliża nas nie do prawd jakichś skończonych, ale do Prawdy najwyższej, nieomylnej. I dlatego zdaje się być rzeczą zgodną z rozumem, iż wierze, opierającej się na tem najwyższem świa-

[1] „Keine Künstelei in der Welt — powiada ks. Pesch — wird es zu Stande bringen, die Glaubwürdigkeitsgründe zu einem motivum firmissimum heraufzuschrauben". *Die Lehre des hl. Thomas über den Glaubensakt. Zeitschr. für kath. Theologie.* 1884, str. 63.

dectwie, wszelka inna wiedza ustąpić musi. W istocie, ile razy w naszych sądach opieramy się na świadectwie drugiego, pewność nasza nie opiera się tylko na fakcie, że ktoś coś powiedział albo twierdził, ale przedewszystkiem na wiarogodności jego osoby. Im większą się ktoś odznacza znajomością rzeczy, tem łatwiej i silniej mu ufamy; łatwiej wierzymy znawcy, człowiekowi uczonemu, fachowemu, aniżeli dyletantowi. Geniusze we wszystkich wiekach gromadzili koło siebie zastępy ludzi ślepo, prawie fanatycznie w ich słowa wierzących. Często w tem uwielbianiu mistrza wielka bywa przesada, ale bądź co bądź skłonność wierzenia geniuszowi opiera się na uzasadnionym wniosku. Przekonawszy się bowiem raz o tem, że drugi bystrością i przenikliwością mnie przewyższa — a o tem bardzo łatwo się przekonać — mogę słusznie w rzeczach, które drugi sam dokładnie i sumiennie zbadał, więcej jego sądom wierzyć, aniżeli własnym. Niema nic w tem zdrożnego, nic nierozumnego. — Jeżeli zatem ten przemawia, o którym rozum mówi, że jest źródłem wszelkiej prawdy, to słusznie jego słowom mocniej wierzymy, niż wszelkim innym świadectwom lub nawet wnioskom własnego rozumu.

Zdawałoby się więc, żeśmy znaleźli odpowiedź na nasze pytanie: majestat świadectwa Bożego, zawarty w fakcie objawienia jest rozumną podstawą najwyższej mocy wiary i usprawiedliwia to wyjątkowe stanowisko, jakie wiara między wszystkiemi przekonaniami ludzkiemi zajmuje. Odpowiedź ta mimowoli się nasuwa, ale łatwo się przekonać, że jest ona niedostateczną. Z tego bowiem, że wiara się opiera na świadectwie boskiem, wynika wprawdzie, iż bezpieczniej na niej polegać możemy, aniżeli na świadectwach ludzkich; ale bądź co bądź pewność tej wiary jest pewnością ograniczoną, pewnością podległą błędom i wątpliwościom, której zawsze przeciwstawić można inne prawdy tego samego porządku.

Dla uniknienia nieporozumień, tłumaczę się jaśniej. Nie mówię, żeby prawdę bożą można było poddać najmniejszej wątpliwości, broń Boże, ale zwracam tylko na to uwagę, że ta prawda od Boga podana nie staje się bezpośrednio oczywistą

dla naszego rozumu, lecz dochodzi do niego drogą rozumowania: Bóg się mylić nie może, Bóg te prawdy wiary objawił; więc one ani cienia fałszu zawierać nie mogą. Wniosek dla rozumu naszego oczywisty, pierwsza przesłanka również, ale o drugiej przesłance, jakeśmy już widzieli, nie można powiedzieć, że mamy o niej ewidencyę. Opiera się ona bowiem na całym szeregu rozumowań, a stąd choćby posiadała większą pewność od innych prawd, przecież jest tego samego rodzaju co one, może być z niemi porównana. A jeżeli jedna z przesłanek ma ten charakter ograniczonej pewności, to i wniosek musi nosić tę samą cechę; jasną bowiem jest rzeczą, że wniosek nie może mieć pewności większej od przesłanek, tak jak najwyższe piętro gmachu nie może stać silniej od fundamentów.

Nie wystarcza więc, że nieomylności bożej żadna rozumna istota zaprzeczyć nie może, że sąd o prawdziwości objawienia na tej nieomylności się opiera, a stąd wyższym jest nad wszystkie wątpliwości. Prawda sama w sobie opiera się na tej najwyższej mądrości bożej, a stąd jest nietykalną, na to zgoda, — ale nasz sąd o tej prawdzie opiera się na naszem rozumowaniu, a stąd jest mniej lub więcej omylny. Tak przynajmniej wnioskować powinniśmy, póki w samym rozumie korzenia subjektywnej pewności wiary szukamy.

Może nam ktoś jeszcze zarzuci, iż podstawa powyższego rozumowania jest dość chwiejną. Rozumowanie to opierało się na przypuszczeniu, że fakt objawienia nie jest oczywistym; tymczasem nie brak teologów, którzy bronią możliwości oczywistego poznania faktu objawienia. Mógłbym odpowiedzieć, że większość teologów stanowczo tę możliwość odrzuca; ale rozumowanie moje nie opiera się na ich doktrynie, owszem jestem zdania, że jej bez zastrzeżenia przyjąć nie można. Sądzę nasamprzód, że apostołowie mogli mieć ewidencyę o tem, iż prawdziwie Bóg przemówił, gdy obcowali z P. Jezusem przez tyle lat, widzieli Jego cuda, dzieła Jego wszechpotęgi, a przytem dotykali się prawie niebotycznego Majestatu Jego świętości, miłości i pokory. A i w tem nie widzę sprzeczności, żeby ktoś także teraz po tylu wiekach mógł z ewidencyą prze-

konać się o fakcie boskiego objawienia. Tylko, że ta ewidencya będzie, abym tak powiedział, drugorzędną. Skoro bowiem wogóle tem trudniej dojść do oczywistego poznania, im dłuższa droga do niego prowadzi, stać się niekiedy może, iż wytężenie umysłu, aby się zdobyć na ewidencyę, będzie tak wielkiem, że umysł ludzki tylko przez czas krótki siłą do niej wznieść się potrafi. Później ją traci, opierając się już tylko na świadomości, że ewidencyę o tej rzeczy posiadał. A taką, zdaje nam się, byłaby właśnie najwyższa pewność, do którejby dojść mógł uczony, co do prawdziwości boskiego objawienia. Ewidencya ta nie byłaby więc najwyższą, nie wzniosłaby człowieka do najwyższych szczytów ludzkiej pewności. A co dla nas jest rzeczą ważniejszą, to że nawet do takiej ewidencyi tylko bardzo mała liczba ludzi dochodzi, liczba, która prawie niknie wobec ogółu wiernych. Wielu z największych teologów przeszłości, strawiwszy życie całe nad poznaniem wiary, sądziło, że ewidencyi o fakcie objawienia nie mieli. Pytaliśmy się też profesorów teologii rozmaitych uniwersytetów a nie znaleźliśmy ani jednego, coby twierdził, iż do zupełnej ewidencyi o fakcie objawienia doszedł. W badaniu zaś naszem o fundamentach pewności wiary przedewszystkiem na ogół a nie na rzadkie wyjątki uwagę naszą zwracać musimy, ponieważ Kościół od wszystkich bez wyjątku wymaga, by z absolutną pewnością wierzyli i dlatego sporadyczne te przypadki ewidencyi o fakcie objawienia wcale naszego rozumowania nie obalają.

Ale chociażby nawet ktoś we fakcie objawienia mógł dojść do najwyższej ewidencyi, to jednak pewność z tak jasnego poznania płynąca, nie czyniłaby zadość wymaganiom Kościoła, żądającego, byśmy Bogu wierzyli nadewszystko, według godności Jego osoby. Na taką pewność rozum ludzki zdobyć się nie może. Abyśmy rozumnie mogli przylgnąć do świadectwa bożego z taką siłą, jakiej Majestat tego świadectwa wymaga, musielibyśmy poznać ogrom bytu nieskończonego w samej Jego istocie. A tymczasem ogrom tego bytu ten tylko mógłby poznać, coby sam miał poniekąd siły nieskończone. Nasz zaś ograniczony rozum poznaje i jasno wskazuje tylko to, że istnieje taka najwyższa

Istota, od której wszystko pochodzi i zależy, ale co do natury tego jestestwa musi raczej poprzestawać na poznaniu tego, czem Bóg nie jest, zamiast dojść do tego, czem jest. A więc z naturalnej nieudolności człowiek sobie zostawiony, nie może świadectwu bożemu oddać tego rozumnego hołdu, któryby się Jemu z natury należał. Świadectwo to nie objawia się człowiekowi w pełni swego blasku, nie inaczej staje się jego własnością jak za pośrednictwem różnych czynności rozumowych, ograniczonych, nie dających rękojmi, któraby wszelką ludzką pewność przechodziła. Niepodobna więc rozumowi, by z nieograniczoną ufnością temu świadectwu się poddawał.

Wprawdzie godność boskiego objawienia wymaga, byśmy je wynosili nad wszystkie inne świadectwa, o ile ludzkie nasze siły na to nam pozwalają, ale nie wymaga, byśmy w tem przylgnięciu postępowali inaczej, jak według naturalnych praw tego rozumu, który od Stwórcy natury pochodzi. Wynika stąd, że mamy cenić świadectwo boże samo w sobie nadewszystko, ale nie wynika, że mamy mu przypisywać w konkretnym wypadku większą pewność od tej, z jaką to świadectwo do naszej wiadomości dochodzi. A więc zagadnienie absolutnej pewności aktu wiary nie jest jeszcze rozwiązane.

III.

Ale może dobra wola mogłaby nakazać rozumowi to bezwzględne przylgnięcie do świadectwa bożego?

Dobra wola! Co to właściwie jest ta dobra wola, o której tak często rozprawiamy, na którą tak straszną odpowiedzialność, takie obowiązki wkładamy? To wola, sądzę, gotowa iść za poznanem przez rozum światłem, to wola, która nie kocha ciemności, nie ucieka od rozumu, która nie chce się wyłamywać z pod jego kierownictwa, ale szuka jego światła i idzie za nim. Wola dobra albo zła, to nie jest coś oderwanego od rozumu, ale to właśnie wola oceniona wedle stanowiska, jakie wobec rozumu zajmuje, czy to świadomie przez dobrowolny wybór, czy niejako instynktownie przez wrodzoną skłonność do tego, co rozum wskazuje. Niepodobna więc, by dobra wola ro-

zumowi coś nakazała, co się naturze rozumu sprzeciwia, bo tem samem stałaby się złą.

Jest to zasada nadzwyczaj ważna, której nigdy z oczu tracić nie wolno, kiedy się mówi o wpływie woli na rozum. Powtarzamy to z naciskiem dlatego, że się nam zdaje, iż nieraz o tem się zapomina, zwłaszcza w kwestyi o wierze.

Krótki pogląd na wzajemny stosunek woli i rozumu w życiu naszem dopomoże do wyjaśnienia naszej myśli. Wogóle wola niezmiernie ważną rolę odgrywa w życiu ludzkiem. Powierzchowna tylko refleksya nad życiem naszem wewnętrznem obfitych nam na to dostarczy dowodów. A naprzód w życiu czynnem, w dalszem tego słowa znaczeniu, tj. kiedy chodzi o unormowanie naszych pojedynczych uczynków — od czego nikt z nas, dopóki żyjemy, uchylić się nie może — wszystko ostatecznie od woli zależy. Zadaniem rozumu jest, by wskazał woli, co jest szlachetnem i dobrem, co nizkiem i podłem, ale koniec końcem sam uczynek jest owocem decyzyi woli, która może iść za rozumem albo też uchylić się dobrowolnie od wskazanego obowiązku i iść za chwilową swą zachcianką.

Odmiennie, prawie odwrotnie przedstawia się wpływ woli na rozum w życiu umysłowem. We wszystkich pracach umysłowych, w wszelkich badaniach, mających na celu dojście do prawdy, jej odkrycie albo utwierdzenie się w niej, rozum jest wykonawcą całej mozolnej pracy, i wyniki tych dążeń są owocami jego wysileń. Ale mimo to i w życiu umysłowem wpływ woli jest niepośledni, dominujący. Albowiem nietylko impuls do każdej pracy rozumu pochodzi od woli, od chęci naszej, ale wola też ciągle towarzyszy pracy rozumu, miesza się do niej i niestety często w niej przeszkadza. Wola kieruje do pewnego stopnia wszelką czynnością naszego rozumu i stąd swoje piętno, swój charakter, zły czy dobry, na niej wyciska.

Trafia się wprawdzie czasem, że człowiek idealnego bardzo usposobienia, zapalony żądzą coraz głębszego poznania prawdy, zatapia się w tej pracy rozumu tak, iż wola dawszy raz potężny impuls, zostawia rozumowi zupełną swobodę w jego dążeniu do światła. Taką była może dusza św. Augu-

styna po jego nawróceniu. Zrzuciwszy z siebie pęta nizkich namiętności i próżności, wszystkiemi swemi władzami do tego jedynie dążył, by ugasić ogromne pragnienie prawdy, które go od młodości trawiło. Tylko dla prawdy żył.

Ogół ludzi ma jednak bardziej materyalne popędy. Ideał prawdy nie jest jedynym ideałem naszym, nie jest jedynym punktem przyciągającym naszą wolę do siebie. Mamy różne konkretne cele, do których dążymy bądź dla zaspokojenia potrzeb koniecznych do życia, bądź dla wypełnienia rozmaitych zachcianek, czasem strasznie nizkich i błahych, a które przecież nadają kierunek całemu naszemu życiu i są przyczyną najbardziej brzemiennych decyzyj dla naszej całej przyszłości i dla losu może tysięcy innych ludzi.

Całe te legiony chuci i skłonności, które w sercu naszem mieszkają, wywierają ciągły wpływ na czynności naszego rozumu. Zwracamy go umyślnie w stronę, w której się spodziewamy znaleźć powody usprawiedliwiające nasze postępki i skryte nasze pragnienia — bo wielki jest wstręt naturalny w człowieku do jawnie nierozumnego działania. Kiedy czasem praca rozumu zaczyna już rozsuwać mgły otaczające nas, a przeczuwamy, że prawda, której jeszcze jasno nie widzimy, mogłaby się sprzeciwić naszym pragnieniom, mogłaby wydać przeciw nim wyrok potępiający, wtenczas, zanim jeszcze światłość zbyt wyraźnie wpadnie nam w oczy, wola odwraca rozum od tej drogi i każe mu pracować i myśleć w innym kierunku. Jak się to często w życiu codziennem zdarza!

Atoli nawet wtenczas, kiedy prawda rozumowi z taką jasnością się przedstawi, że rozum z natury swojej jest zniewolony do jej poznania i uznania — podobnie jak oko widzieć musi przedmiot odpowiednio oświetlony, który się mu narzuca — i wtenczas jeszcze od woli zależy, by prawdę tę przyjąć. Wielka bowiem zachodzi różnica między p o z n a n i e m prawdy a p r z y j ę c i e m jej. Poznanie i uznanie w sobie wzięte są aktami samego o wyłącznie tylko rozumu, przyjęcie prawdy jest aktem całego człowieka: i woli i rozumu i wszystkich jego władz. Mogąmię przemocą uwięzić, mogę nie być w stanie z nałożonych kajdanów

uwolnić się — natura moja nie ma w sobie sił do tego; ale mogę całą swoją istotą, o ile nie jest fizycznie skrępowana, buntować się przeciwko temu i przeciwdziałać. Oto jest niejako obraz człowieka, co prawdę poznaje, ale jej nie przyjmuje; już nie siłą więzów zewnętrznych, ale wewnętrzną siłą natury rozumu człowiek niekiedy jest zmuszony do widzenia prawdy, ale w sercu ją odrzuca, nie chce się z nią rachować, nie chce wyciągać dalszych z niej konsekwencyj, co więcej dlatego, że ona mu nie jest na rękę, uznać jej nie chce. I ten upór, ta niechęć przyjęcia prawdy wpływa też bardzo na samo poznanie. Gotowość woli do przyjęcia prawdy ułatwia jej poznanie, a odwrotnie, nierozumny upór woli nawet poznaną prawdę zaciemnia. Wyraził i Chrystus Pan tę psychologiczną prawdę w tych głębokich słowach zwróconych do faryzeuszów: „Jeśli kto będzie chciał czynić wolę Jego (Ojca), dowić się o nauce, jeśli jest z Boga“ [1].

Tak więc i w życiu umysłowem wola wielką odgrywa rolę. Dobrej, szlachetnej woli koniecznie potrzeba, aby dojść do prawdy, t. j. woli gotowej zawsze iść za wskazówką rozumu; nie mało też potrzeba hartu woli, by przyjąć prawdę poznaną wtenczas właśnie, kiedy się czego innego oczekiwało. Cóż było przyczyną, że naród żydowski Pana Jezusa uznać nie chciał za Mesyasza? Czy nie to, że się spodziewali wyswobodziciela z rzymskiej niewoli, otoczonego chwałą i potęgą, a nie ubogiego syna cieśli, choć sam rozum im dyktował, że nikt takich znaków czynić nie może, jeśliby nie był od Boga.

Ale mimo tego udziału woli w działalności rozumu, przecież samo poznanie prawdy jest aktem li tylko rozumu. Jak w życiu praktycznem rozum wskazuje drogę, a wola wedle upodobania własnym aktem wybiera i postanawia, tak w życiu umysłowem wola może w pewnych granicach powstrzymać, pokierować, spotęgować czynności rozumu, ale rozum sam własnemi siłami prawdę poznaje, a wola bezpośrednio w akcie poznania żadną miarą udziału mieć nie może. Mogę sobie tysiąc razy powiedzieć, musisz to zrozumieć; taki energiczny akt woli za-

[1] Jan, VII, 17.

chęci mnie do natężenia wszystkich sił umysłowych, ale jeżeli siły mego rozumu są za słabe, to wszystkie rozkazy woli nic nie pomogą. Jeżeli wola jest uparta, to może wmówi w człowieka, że rozumie, ale mimo to człowiek nic w rozumieniu nie postąpił, owszem cofnął się, bo działał nierozumnie. Ma się tu rzecz tak samo jak w fizycznem widzeniu. Kiedy kto ma krótki wzrok, to choćby miał jak najsilniejszą i najlepszą wolę, nie zobaczy przedmiotu bardzo oddalonego. Kiedy siły widzenia oka materyalnego lub duchowego wzroku, rozumu, są osłabione, wtenczas i rozkazy woli są bezskuteczne.

Ale ta bezsilność woli wobec aktu poznania rozciąga się także na drugi akt rozumu, który jest niejako dopełnieniem aktu poznania, to jest na u z n a n i e, na stwierdzenie poznanej prawdy. Bo uznanie polega na sądzie, który rozum wydaje o poznanej prawdzie, a ten sąd jest najistotniej złączony z poznaniem, jest niczem innem, jak jego ostatecznym wynikiem. Jeżeli więc niezaprzeczalnym jest faktem, że wola bezpośrednio w akcie poznania udziału mieć nie może, to też logicznie to samo i o akcie uznania powiedzieć trzeba.

Wola może rozumem pokierować, może zwrócić uwagę jego na rozmaite wątpliwości, aby mu utrudnić poznanie jakiejś prawdy albo zaciemnić ją; może odwrotnie użyć rozumu jedynie tylko do objektywnego zgłębienia prawdy. Ten wpływ woli na rozum nie będzie we wszystkich przypadkach równie skuteczny. Czasem prawda wciśnie się przez wszystkie szczeliny z taką siłą do duszy, że i zła wola świadomości jej pozbyć się nie zdoła; częściej jednak od wpływu woli zależeć będzie, czy rozum zostanie w ciemnościach fałszu, czy też zdobędzie się na poznanie prawdy. Skuteczność tego wpływu w uznaniu i poznaniu prawd zależy po części od subjektywnego usposobienia, po części od stopnia, w którym te prawdy wogóle dla rozumu ludzkiego są przystępne. Ale zawsze ten wpływ będzie tylko zewnętrznym, nigdy wola nie będzie mogła wprost wpłynąć na rozum, by rozum, widząc niedostateczność dowodów, przecież rzecz za udowodnioną przyjął, nigdy racyonalna wola nie będzie mogła w jakibądź sposób zastąpić dowodów. Wola

może wprawdzie i do przyjęcia fałszu rozum doprowadzić, ale tylko krętemi drogami, tylko przemocą, zawiązując mu niejako oczy.

To, cośmy dotąd o wpływie woli na rozum powiedzieli, tyczy się wszystkich sposobów poznawania prawdy, czy to poznanie jest bezpośredniem, czy się też opiera na świadectwie drugich. Albowiem wzajemny ten stosunek między rozumem i wolą wynika ze samej istoty poznania, a nie z przypadkowych okoliczności, które mu towarzyszą, albo z środków, przez które do poznania dochodzimy. Niema też istotnej różnicy między pewnością, wynikającą z poznania bezpośredniego, a pewnością na świadectwie drugich opartą. Jedna i druga, jeżeli jest zupełną pewnością, sprowadza się ostatecznie do ewidencyi. Z wielką jasnością wypowiedział tę prawdę Paweł Janet w swem najnowszem dziele: *Principes de métaphysique et de psychologie*[1].

„Jeżeli wierzę słowom ludzkim — pisze francuski filozof — to czynię to na podstawie indukcyi zupełnie prawidłowej, równej co do powagi każdej innej indukcyi naukowej. Albowiem doświadczenie mnie nauczyło, że człowiek nigdy nie oszukuje drugich, kiedy nie ma do tego szczególnej racyi albo kiedy sam nie był oszukany. Prawidła świadectwa i krytyki naukowej są prawidłami bardzo dokładnemi, które są tylko szczególnemi zastosowaniami ogólnych zasad indukcyi. Z tą samą pewnością i na podstawie tych samych zasad, za pomocą których wogóle wnioskuję ze znaku na rzecz oznaczoną np. ze skamielin roślinnych na to, że istniała flora w tej lub owej epoce geologicznej, z tą samą pewnością wnioskuję ze słów świadka na rzecz, o której świadczy. Niema tu szczególnej jakiejś pewności nowego rodzaju, ale ta sama pewność, jaka jest w naukach doświadczalnych; tylko ponieważ znaki są bardziej wątpliwe i trudniejsze do wytłumaczenia, dlatego mamy tu więcej do czynienia z prawdopodobieństwem, niż z pewnością“.

Poznanie za pomocą świadectwa jest niższym rodzajem po-

[1] Paris, Delagrave. 1897.

znawania, nie zadowalniającym w zupełności rozumu, łatwiej podległym błędom; oto cała różnica. Ale i wtenczas, kiedy rozum za pośrednictwem świadectwa poznaje, wola nie może sprawić, by rozum silniej wierzył, aniżeli dowody o autentyczności i prawdziwości świadectwa na to pozwalają, a jeżeli wolaby się o to kusiła, toby działała nierozumnie, źle.

Może wprawdzie wola, kiedy rozum nie ma niezbitych dowodów, skłonić go, by na razie, praktycznie przyjął coś za prawdę, zawieszając dalsze badania i roztrząsania wątpliwości, jeżeli do tego są dostateczne powody, np. konieczność działania, wyboru; bo sam rozum, uznając swoje ograniczenie, mówi, że takie postępowanie jest potrzebnem, koniecznem w życiu naszem. Ale nigdy wola rozumowi nakazać nie może, by się zrzekł swych praw, by bez dowodów ślepo przyjął prawdę, by ślepo wierzył. A przynajmniej ten po części ślepoby wierzył, ktoby silniej uznawał prawdę świadectwem stwierdzoną, niż dowody na to pozwalają.

Z tego wszystkiego wynika, że rozum wedle sił swoich ograniczonych, nie może przyjąć prawd wiary z niezachwianą pewnością, o jakiejśmy z początku mówili; wola do tego skłonić go nie ma prawa[1]; jednem słowem, pewność przekonania, jakiej Kościół katolicki w wierze wymaga, przechodzi możebność naszej rozumnej natury.

Św. Ignacy powiada, że powinienem być gotowy wierzyć, iż to, co widzę białem, jest czarne, jeżeli Kościół tak orzeknie. Jest to jaskrawy sposób wyrażenia się gorącego Hiszpana. A jednak w samej rzeczy niema przesady; taką jest myśl Kościoła, kiedy do swych wiernych mówi: „wierzcie!“.

Jakże więc pogodzić ten przymiot z rozumnością wiary? Powiadamy, że to żądanie Kościoła, by wiara wznosiła się siłą swej pewności nadewszystko, by królowała niepodzielnie w ca-

---

[1] To twierdzenie nie sprzeciwia się propozycyi 19, potępionej przez Innocentego XI.: *Voluntas non potest efficere, ut assensus fidei in se ipso sit magis firmus, quam mereatur pondus rationum ad assensum impellentium.* Mówimy bowiem teraz o wierze czysto rozumowej, na samym rozumie bez współdziałania łaski opartej.

łem naszem życiu umysłowem i czynnem jak władczyni, nie mająca równej sobie, byłoby najoczywiściej niesłusznem, ta wiara byłaby wprost nierozumną, fanatyczną, gdyby chodziło o akt czysto ludzki, na któryby się tylko składały siły przyrodzone rozumu i woli człowieka. Ale ani Kościół, ani Chrystus Pan nigdy wiary nie uważali za rzecz, leżącą w zakresie możliwości natury i sił ludzkich.

(Dok. nast.).

Ks. Wł. Ledóchowski.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

(Ciąg dalszy).

III.

W Polsce i w Prusiech.

Wspomniano już, jak za Ottona Wielkiego przyszło do skutku założenie ascybiskupstwa w Magdeburgu z pięciu podwładnemi mu biskupstwami, mającemi szerzyć światło wiary Chrystusowej w północnych stronach słowiańskich. Wspomniano też i o upadku tych biskupstw podczas wielkiego powstania Lutyków i Obotrytów za Ottona II.

Pośród najważniejszych powodów wspomnianego upadku był niezawodnie ten, że margrabiowie uciskali niezwyczajnie Słowian, powtóre, że i niektórzy biskupi byli obojętni i niedbali o rozszerzenie wiary. Było wielu próżnych i chciwych, jak zamiłowany w poezyi Pilgrim, biskup z Passawy, co to dążąc do niezawisłości i do obszerniejszych rządów, pragnie w tym celu z biskupstwa swego uczynić metropolię. Wreszcie od papieża, którego uwodzi przechwałkami o rozszerzeniu chrześcijaństwa w Węgrzech, pozyskuje przydzielenie do swej dyecezyi całej Panonii, Awaryi i Morawii, z małym jednakowoż, jak się pokazać miało, dla wzrostu wiary w tych stronach pożytkiem. Dobre początki chrześcijańskiej wiary były bowiem zasługą nie jego, lecz św. Wolfganga i dzielnej żony Gejzy, wspomnianej już ciotki Bolesława Chrobrego, Adelajdy Białokniehini. Bardziej uczuć się dała ta obojętność pasterzy na wzrost wiary lub ich

chciwość i próżność na północy. Zwłaszcza Giziler, wielce chciwy biskup merseburski, z tego właśnie powodu stał się przyczyną upadku Kościoła w północnych stronach. Zaledwie bowiem zmarł znany nam Adalbert, arcybiskup magdeburski w 981 r., ten, co to bierzmował św. Wojciecha, gdy chciwy Giziler, który i Otryka, magdeburskiej szkoły kierownika ubiegł w otrzymaniu merseburskiej katedry [1], postarał się u cesarza o inwestyturę na arcybiskupstwo. Był to krok niezgodny z kanonami, zabraniającymi biskupowi przechodzić z jednej katedry na drugą; a ominięto przepisy prawne w ten sposób, że bez wiedzy Rzymu, ku zgorszeniu wszystkich, zniesiono biskupstwo w Merseburgu i obszerne terytorya podzielono pomiędzy okoliczne dyecezye. Jak na targu rodzinę jeńców wendejskich rozmaitym sprzedawano kupcom, tak też stało się z merseburskim kościołem, rozdzielonym pomiędzy sąsiady — skarży się współczesny Tietmar z Merseburga— a dodać należy, że przy tym podziale Giziler największą część otrzymał.

Cesarza spotykały zewsząd srogie wyrzuty z powodu zniesienia biskupstwa, dzieła wielkiego ojca. Opowiadano mu nawet, że św. Wawrzyniec, patron biskupstwa srogie kary gotuje niszczycielom swego kościoła i że wprost grozi zrzuceniem z tronu cesarzowi. Jakby w spełnieniu przepowiedni niebawem już Otto pod Basentello stracił urok wielkiej swej sławy, a jak wiadomo, zaraz po tem i życie.

Za rządów Gizilera podupadało chrześcijaństwo na kresach coraz bardziej. Popierał on, jak wiadomo, wspólnie z pogańskimi książętami i z czeskim księciem Henryka Kłótnika przeciwko Ottonowi III. i już przez to samo sprawił, że nietylko powaga cesarstwa była tutaj podkopana, gdzie ją jak najbardziej szanować i wspierać należało, ale co więcej, że wiara wprost na szwank przez takie podejrzane związki z barbarzyńcami była narażona. Wśród tego i sławna szkoła, tak wysoko przez Otryka podniesiona, i znaczenie biskupstwa i wpływ Kościoła tu na kresach coraz bardziej upadał. Arcybiskup Willigis, surowo napo-

[1] Chron. Magd. ap. Meibom. II, 278.

chciwość i próżność na północy. Zwłaszcza Giziler, wielce chciwy biskup merseburski, z tego właśnie powodu stał się przyczyną upadku Kościoła w północnych stronach. Zaledwie bowiem zmarł znany nam Adalbert, arcybiskup magdeburski w 981 r., ten, co to bierzmował św. Wojciecha, gdy chciwy Giziler, który i Otryka, magdeburskiej szkoły kierownika ubiegł w otrzymaniu merseburskiej katedry [1], postarał się u cesarza o inwestyturę na arcybiskupstwo. Był to krok niezgodny z kanonami, zabraniającymi biskupowi przechodzić z jednej katedry na drugą; a ominięto przepisy prawne w ten sposób, że bez wiedzy Rzymu, ku zgorszeniu wszystkich, zniesiono biskupstwo w Merseburgu i obszerne terytorya podzielono pomiędzy okoliczne dyecezye. Jak na targu rodzinę jeńców wendejskich rozmaitym sprzedawano kupcom, tak też stało się z merseburskim kościołem, rozdzielonym pomiędzy sąsiady — skarży się współczesny Tietmar z Merseburga— a dodać należy, że przy tym podziale Giziler największą część otrzymał.

Cesarza spotykały zewsząd srogie wyrzuty z powodu zniesienia biskupstwa, dzieła wielkiego ojca. Opowiadano mu nawet, że św. Wawrzyniec, patron biskupstwa srogie kary gotuje niszczycielom swego kościoła i że wprost grozi zrzuceniem z tronu cesarzowi. Jakby w spełnieniu przepowiedni niebawem już Otto pod Basentello stracił urok wielkiej swej sławy, a jak wiadomo, zaraz po tem i życie.

Za rządów Gizilera podupadało chrześcijaństwo na kresach coraz bardziej. Popierał on, jak wiadomo, wspólnie z pogańskimi książętami i z czeskim księciem Henryka Kłótnika przeciwko Ottonowi III. i już przez to samo sprawił, że nietylko powaga cesarstwa była tutaj podkopana, gdzie ją jak najbardziej szanować i wspierać należało, ale co więcej, że wiara wprost na szwank przez takie podejrzane związki z barbarzyńcami była narażona. Wśród tego i sławna szkoła, tak wysoko przez Otryka podniesiona, i znaczenie biskupstwa i wpływ Kościoła tu na kresach coraz bardziej upadał. Arcybiskup Willigis, surowo napo-

[1] Chron. Magd. ap. Meibom. II, 278.

minający biskupów, jak Ekharda szlezwickiego, za zaniedbywanie obowiązków dyecezalnych, gorszył się wielce z powodu Gizilera. Niezawodnie z jego to inicyatywy wytoczono później magdeburskiemu pasterzowi proces kanoniczny.

Wobec takich stosunków i Kościół w Polsce — jak wiadomo, jedyna była dyecezya w Poznaniu, zawisła od metropolii magdeburskiej — nie mógł wzrastać. Rycerski szczep Polan, szlachetniejszy od wielu sąsiedzkich, wprawdzie utrzymywał wiarę i zdawało się, że nie da się odwieść od drogi raz powziętej, z tem wszystkiem jednak chrześcijaństwo i tu było na niwie nowej, a utrzymywanie jego spoczywało raczej w energicznych rękach wielkiego Bolesława, aniżeli w sercach jego narodu. On to uszanowaniem wielkiem, okazywanem księżom i biskupom, że nawet siąść się nie poważył w ich obecności [1], i karnością, i posłuszeństwem, jakie wymagał dla wiary od swych poddanych, gwałtownością i srogością, z jaką karał odstępstwo [2], utrzymywał wiarę w państwie. Święty też Bruno, oceniając zasługi Bolesława, pisał o nim: *diligo eum ut animam meam et plus, quam vitam meam*, dając wyraz przekonaniu, jak wielkim skarbem był Bolesław dla cywilizacyi chrześcijańskiej [3]. Było też wielkie u niego przywiązanie do Stolicy apostolskiej, i nie darmo już ojciec jego, Mieszko przy postrzyżynach ofiarował włosy dziecięcia papieżowi na znak uległości i poddania się pod jego władzę, Bolesław bowiem uważał się za hołdownika św. Piotra [4], i wzgląd na dobro i rozwój Kościoła był u niego największej wagi. Słowem, była to siła, na której zarówno cesarz, dążący do chrystyanizacyi wschodu, się opierał, jakoteż i ci wszyscy mężowie, którzy działalność swą rozwinęli jako apostołowie europejskiego Wschodu.

Te były przyczyny, dla których św. Wojciech skierował swą apostolską pracę ścieżką na Polskę. Aby chrześcijaństwo wśród korumpowanych Słowian z korzyścią módz rozszerzać, należało umocnić i zasłonić je tam, gdzie jak w Polsce ukrze-

---

[1] Gall I, c. 9.

[2] Thietmar VIII, 2.

[3] MPol. I, p. 226.

[4] Św. Bruno MP. I, 227: „cuius (Sti Petri) tributarium se asserit"...

pienia i ochrony wymagało, trzeba było wejść w środowisko najbardziej zdziczałego kultu pogańskich bogów, trzeba było krwią męczeńską zrosić ziemię, by ją uczynić podatną do przyjęcia ziarna zbawienia. Oparcia w tej działalności apostolskiej szukał św. Wojciech u polskiego Bolesława.

Ugruntować nasamprzód zamierzał Święty chrześcijaństwo w samejże Polsce. Dobrodzieja Polski — jak bowiem wyżej wspomniano, podczas krótkiego swego pobytu w Polsce przyczynił się do zawarcia przymierza z Węgrami, przymierza, które nietylko spokój dwóch państw, ale i rozwój Chrystusowej w nich nauki ugruntowało — przyjął Bolesław serdecznie. Pierwszem zaraz dziełem było założenie klasztoru Benedyktynów w Trzemesznie [1]. Zakon, który ogarnął reformą swą cały Zachód, miał w ciągu dalszego rozwoju objąć i Polskę, Opatem został Atanazy-Astryk, opat brzewnowski, ów, który to, nie mogąc uratować życia braciom i rodzinie Świętego, zaledwie sam uratował życie i opuścił czeską ziemię. Jak szczerze poparł Bolesław wielką myśl Wojciecha, myśl, która, nie przyjąwszy się w Czechach, dała powód do zaburzeń tej ziemi, świadczy nietylko ów opat Tuni, doradzca i du-

---

[1] Idę tutaj za Wojciechowskim, „Roczniki", 187 uwaga, proponującym, aby owe *Mestris* w *Passio* MPol. I, 154, czytać nie *montis ferrei*, jak proponował Bielowski, lub Międzyrzecz, jak znowu przypuszczał Giesebrecht, chociaż w tej miejscowości było opactwo benedyktyńskie, jak to stwierdza Tietmar MP. I, 279 c. VI, 20, lecz Trzemeszno, którą to poprawkę przyjmuje Małecki „Z dziejów literatury" 283, 293, i Abraham, „Organ. Kość. w Polsce" 46, 165. Ostatni na wskazanem miejscu podnosi, że w Trzemesznie nie mogli być założeni Augustyanie, o ile że Kanoników Regularnych za czasów Bolesława Chrobrego jeszcze nie było, tudzież że pierwszą osadą klasztoru Kanoników Regularnych była założona na górze Sobótce osada. Tamże str. 174. Przypuszczenie naszych uczonych, pozostające w sprzeczności z zapiskami u Paprockiego w Kronice Własta MP. IV, 762, a wreszcie z Kroniką Trzemeszeńską (Roczniki Tow. Przyj. Nauk Pozn. XI, 390) podającą pod 966 r. „Veniunt deducti ex Veronensi cathedrali ecclesia quae tunc per canonicos regulariter viventes regebatur", a więc zgadzającemi się źródłami, że w Trzemesznie od najstarszych czasów byli Augustyanie, ma mieć poparcie w tem, że Bolesław Krzywousty klasztor augustyański w Trzemesznie *instauravit*. Kod. Wielkp. I, n. 11, coby zresztą można i w ten sposób tłumaczyć, że poprzednio byli tam Benedyktyni.

chowny kierownik Bolesława, ale i ten fakt, że syna własnego, skoro tenże poczuł duchowne powołanie, oddał św. Romualdowi na wychowanie.

Krótko tylko, jakby tylko celem założenia domu zakonnego Benedyktynów w Polsce, bawił św. Wojciech w Trzemesznie, i wysławszy stąd popędliwego niegdyś Astryka, opata, z misyą do Węgier, o co upraszała dzielna ciotka Bolesława, opuścił mury zakonu i podążył do poblizkiego Gniezna [1].

W Gnieźnie pozostaje czas dłuższy; *longo tempore silentium exercuit,* jak pisze św. Bruno [2]. Stąd odbywał misye w okolice nadwiślańskie, pouczał, udzielał chrztu, apostołował, tutaj w chwili gorącej modlitwy płynęła z ust jego pieśń o „Bogarodzicy Dziewicy", którą wnet już naród cały powtarzał, śpiewał w świątyniach i z nią na ustach śpieszył do boju w obronie wiary. Tutaj nad Wisłą, w okolicy Kazimierza, powstaje pierwsza pustelnia jego uczniów i przyszłych misyonarzy, szkoła ćwiczeń duchownych w głębokiej pokorze, w surowym trybie życia, w umartwieniach i wzgardzie wszystkiego, co ziemskie, które to cnoty obok rezygnacyi własnej woli w tak wysokim stopniu sam posiadał. Doskonałością skończoną słusznie też nazywają biskupa współcześni biografowie, skoro żadna myśl ziemska nie zdołała zaprzątnąć ani na chwilę jego umysłu, skoro we wszystkich jego dziełach objawia się li tylko czysta intencya służenia Bogu we wszystkiem według Jego woli, tudzież pragnienie cierpieć i działać dla zbawienia bliźnich i chwały bożej. To też rozwijając zbawienne działanie nad Wisłą, mąż czczony przez potężnego Bolesława, zarówno jak i Ottona, coby mógł jednem słowem pchnąć dzielnego księcia na katów swej rodziny, ani pomyśli

---

[1] *Quasi fugam moliens* w *Passio* MP. I, 154, tłumaczą w ten sposób, że Święty, by uniknąć próśb braci z założonego przez się klasztoru, tajemnie opuszcza mury klasztorne. Kaindl, *Bemerkungen zur Passio* l. c. 105, tłumaczy, że Święty odjechał, aby uniknąć próśb Bolesława, pragnącego zatrzymać Świętego w Polsce. Przeciwko takiemu mniemaniu przemawia przekaz tak Kanapariusza jak i Brunona (c. 4) zgodny w tem, że z Polski Wisłą udał się święty Wojciech do Prus, i że w Gnieźnie czas dłuższy się zatrzymał.

[2] c. 24.

o tem, ani na chwilę nie da się odwieść od obranej drogi. Otrzymawszy misyę apostolstwa na Wschód, o tem tylko myśli: przygotowuje misyonarzy, tworzy szkoły apostołów prawdziwego chrześcijaństwa. Z Polski utrzymuje stosunki z Benedyktynami na Zachodzie, czego świadectwem pismo doń Tietpalda[1]; wyznają się być oni jego sługami i klerem i w podniosłych wyrazach wyrażają uwielbienie dla tego, którego nazywają *Sanctae Prissiensis ecclesiae praesidens.*

Zanim atoli pospieszył do Prus, wiele jeszcze ziarna bożego rozsiał apostoł w nadwiślańskich krajach. Pięknem jest podanie, z którem wiąże się post przez Świętego w Polsce nakazany. Gdy bowiem pieszo, w odzieniu zakonnem, dążył do Gniezna, a okoliczni włościanie drogi mu wskazać nie chcieli, utracili za karę mowę. Gdy następnie przybyli do Gniezna, natenczas uzdrowił ich św. Wojciech, pouczył wiary świętej i odrodził ich w duchu, ale zarazem przestrzegał wszystkich, aby czuwali na duchu i nie powrócili do dawnych zabobonów i złego, a jako środek ku temu celowi polecił, aby Polacy o dwa tygodnie wcześniej post wielki zaczynali, które polecenie, jak powszechnie wiadomo, przez 250 lat utrzymało się w Polsce[2]. W Polsce, zarówno jak i w Gdańsku, nauczał i utwierdzał we wierze, a podczas pobytu na dworze Bolesława ochrzcił jakiegoś pomorskiego księcia, starającego się o rękę córki Bolesławowej, którą też otrzymał pod warunkiem chrztu. Pomorzanin zaprosił biskupa do głoszenia tamże słowa bożego i tutaj rozwinął apostolską działalność Wojciech[3], lecz wkrótce natrafił na wielkie przeszkody. Naród gruby począł złorzeczyć apostołowi, a chociaż uważał się za pokonanego przez Świętego, żadną miarą nie chce porzucić swej wiary i przedkłada biskupowi, aby dla swej mądrości pozwolił sobie złożyć ofiarę na wzór bogów;

[1] MPol. I, 150; odtąd Benedyktyni w Tegernsee w Bawaryi pozostają w żywych stosunkach z Benedyktynami w Polsce. Ibidem p. 151.

[2] Kętrzyński, *Miracula S. Ad.* 27.

[3] Kanap. c. 27, Bruno c. 5. Błędnem jest mniemanie, jakoby Bruno c. 24 sądził, że Gniezno jest położone nad morzem, jak wnosi Kętrzyński, *Altpreuss. Mschrft.* VI, 44. Bruno tylko opuszcza działalność Świętego w Gdańsku, czego Kanaparyusz jednak nie pomija.

których czcili. Skarcił ich za to biskup, a gdy starszyzna zagroziła księciu, że wypowie mu posłuszeństwo, gdyby dłużej zechciał trzymać Świętego na swoim dworze, zmuszony był opuścić ziemię pomorską [1].

Z Gdańska, miasta nadmorskiego pod panowaniem Bolesława, gdzie wiele ludu ochrzcił, otrzymawszy od księcia, który go zatrzymać pragnął, lecz żadną miarą uprosić nie zdołał, załogą 30 żołnierzy uzbrojony okręt, udał się biskup do Prus, dążąc wprost do ogniska kultu Peruna, do Samlandyi, aby stamtąd rozpocząć apostolską pracę [2].

Po przybiciu do brzegów pruskich, przy ujściu rzeki Przegoły do morza, odprawił biskup orszak zbrojny do Polski, celem rozpoczęcia apostolstwa wśród obcego sobie ludu, któremu się całkiem powierzyć i oddać chciał, aby tem szybciej go nawrócić. Z dwoma towarzyszami, z których jeden był nieodstępny brat Gaudenty, udał się Święty w głąb kraju, kierując się brzegiem rzeki. Przybyli do zagrody Prusaka, który poznał apostoła, jako tego, który nauczał na Pomorzu, i dawszy mu schronienie, wyprowadził nazajutrz na miejsce, skąd miał rozpocząć działanie. Tutaj zgromadziła się wnet rzesza ludzi; byli to przybyli z Pomorza kupcy, wobec których Święty oznajmiał, że przybył tutaj z Polski w imieniu Tego, który świat stworzył i nim rządzi, aby pouczać ich o Jego wielkości, nauczyć ich prawdziwej wiary jedynej, która wiedzie do zbawienia.

Oburzyli się przeciwko apostołom pogańscy kapłani, wróżący z przybycia cudzoziemców przepowiednię nieszczęścia. „Ziemia nasza — mówili oni — odmówi dla takich ludzi urodzaju, drzewa się nie rozwiną, trzody ginąć będą. Mamy własne prawa — wołano — według których żyjemy, a wy, co trzymacie się nieznanego nam zakonu, ustąpcie, bo jutro śmierć was czeka".

Tego samego jeszcze dnia wsadzono mężów do łodzi i wywieziono ich na brzeg opodal na miejscu pustem, przyczem św. Wojciech otrzymał silne uderzenie w głowę, jako zadatek

---

[1] *Miracula* 31—32 cf. 18.

[2] Kętrzyński, *Altpr. Mschr.* VI, 41.

przyszłej męczeńskiej śmierci. Zasmucili się też wielce, że nie można było ludu żadną miarą skłonić do wiary w Boga. Wśród refleksyi nad bezskutecznością podjętej podróży nasuwały się jemu i towarzyszom jego dwie szczególnie myśli: jedna, żeby rzucić szaty, zapuścić brodę, przybrać mowę i obyczaj pruski, i żyjąc z tym ludem, za przykładem pierwszych apostołów nauczać zasad wiary i pracować nad zbawieniem ludu. Myślano też, czyby nie lepiej było opuścić kraj, powrócić do Bolesława i pójść z Polski do Lutyków, gdzie już z powodu mowy słowiańskiej większa była nadzieja skutku.

Śpiewając psalmy, szli wybrzeżem wśród szumu pieniących się bałwanów, uderzających z łoskotem o skalisty brzeg morski. W przeczuciu śmierci męczeńskiej począł się trwożyć św. Wojciech, jako ten, który ma wnet stanąć przed obliczem Pana[1]. Gaudenty opowiedział o śnie, jaki miał zeszłej nocy; widział bowiem na ołtarzu kielich złoty, nalany do połowy winem, a gdy zamierzał zeń napić się, sługa ołtarza nie pozwolił mu zeń skosztować, mówiąc, że jest przeznaczony dla Wojciecha na dzień następny. „Dałby Bóg, aby się senne widzenie spełniło — odrzekł Święty — ale w senne mary wierzyć nie należy“. Około południa wyszli z lasu na otwarte pole, na którem Gaudenty mszę odprawił i pokrzepił Świętego Ciałem Pańskiem. Następnie posilili się miodem, i uszedłszy opodal, położyli się na ziemi i usnęli.

Było to miejsce święte — i biada obcemu, coby przekroczył ten przybytek pogańskiego kultu. Krzyk wielki zbudził wszystkich ze snu. Poganie miotając przekleństwa przypadają, krępują więzami... Święty Wojciech przypomina sobie widzenie i na chwilę przejmuje go trwoga, nie tak w obliczu grożącej śmierci, jak raczej wobec majestatu chwili tej, że stanąć ma przed obliczem Pana. Wnet jednak zwraca do towarzyszy słowa pociechy i otuchy: Nie smućcie się, rzecze do towarzyszy, gdy ich tłuszcza prowadziła na pagórek, nie masz nic wyższego, nic wspanialszego i słodszego, jak życie oddać za Chrystusa.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy wtem z tłumu występuje

[1] Mówi to wyraźnie św. Bruno w c. 31. MP. I, p. 218.

kapłan pogański[1] i włócznią przeszywa pierś świętego Wojciecha. Wnet już z siedmiu ran obficie leje się krew męczeńska, która uświęciła kraj pogański Prusaków[2], była zadatkiem mającego się rozwinąć chrześcijaństwa. Upadł Święty na ziemię krzyżem i błogosławiąc mordercom wyzionął ducha dnia dwudziestego trzeciego kwietnia 997 r., idąc w nadziemską krainę, gdzie, według wzniosłych słów „Bogarodzicy“:

Tam radość, tam miłość
Tam widzenie Twórca,
Anielskie bez końca...

Na miejscu męczeństwa[3] wzniesiono później kaplicę za czasów krzyżackich, która niebawem po traktacie oliwskim poszła w gruzy; w naszych dopiero czasach wzniosła zacna pani, Polka, olbrzymi krzyż żelazny, rozpościerający szeroko ramiona, na miejscu, na którem, z powodu nietykalności zabobonu, odepchnięto apostoła wiary i przelano krew męczeńską...

Wieść o śmierci męczennika natychmiast dotarła do Polski. Szczegóły jej towarzyszące przynieśli później brat Gaudenty, tudzież zakonnik Benedykt, towarzysze apostolskiej podróży, wypuszczeni przez Prusaków na wolność. Za ciało Świętego, cu-

[1] Siggo nie zdaje się być imieniem własnem, jak dotąd przypuszczano; jest to prawdopodobniej *appelativum* na oznaczenie kapłana pogańskiego, jakich nazywano Sinogthones. Bunge UB. VI, nr. 3074 c. 484.

[2] List biskupa Samlandyi u Voigta G. Pr. I, 665.

[3] *Passio* niezawodnie najstarszy zabytek dotyczący męczeństwa Świętego, niestety, jak trafnie przypuszcza Kętrzyński: „Hat der heil. Adalb. seinen Tod im Culmerlande gefunden“, *Altpr. Mschr.* VI, 50, tylko w wyciągu nas doszły, nazywa miejsce męczeństwa Colinum. W cytowanym artykule wystąpił Kętrzyński stanowczo przeciwko zdaniu Brandstättera *Altpr. Mschr.* I, 141, jakoby Colinum oznaczało Chełmno, wskazując że zgodnie ze źródłami można tylko na wybrzeżu morskiem Samlandyi szukać miejsca męczeństwa. Pomimo trafnej argumentacyi Kętrzyńskiego W. F. Schmidt *Altpr. Mschr.* XII, 531, widzi w dzisiejszem Alt-Dollstädt nad jeziorem Draussen owe Colinum, chociaż ani historyczne źródła, ani tradycya nie popierają niczem takiej hipotezy. Znany badacz historyi pruskiej Perlbach, *Altpr. Mtschr.* IX, 594, zgadza się w zupełności z wywodami Kętrzyńskiego, a na poparcie, że owe Colinum jest to dzisiejsze Kallen na północny zachód od Fischhausen, wskazuje trafnie, że jeszcze dokumenta XIV. wieku wspominają na tem miejscu o *forum prutanicum*. W *Passio* MP. I, 154 czytamy: „locum civitati propinquum“.

downie zrośnięte, ofiaruje Bolesław tyle złota, ile zaważyło, i tu objawia się drugi cud, za którym idzie szereg uzdrowień i szereg cudownych dobrodziejstw spływa na ziemię bogatą posiadaniem wielkiego skarbu, który staje się podwaliną trwałą narodu, gdyż niespożytym fundamentem prawdziwej wiary.

Co więcej, wieść o śmierci Świętego staje się wnet głośną w Rzymie. Przeczuto ją tam, gdzie Świętego całem sercem kochano za życia, w awentyńskim klasztorze, w klasztorku świętego Bazylego, w otoczeniu świętego Nila. W dniu śmierci Świętego młody konwertyt, Jan Kanaparyusz, który na podstawie przekazów świadków skreślił podniośle życiorys Świętego, miał widzenie męczeństwa, a równocześnie święty Nil pisał ze swego ustronia do klasztoru na Awentynie, że święty Wojciech poszedł już oglądać oblicze Pańskie [1]. Przypominano sobie widzenie, o którem opowiadał braciom, gdy pracował w zakonie: zjawiły mu się dwa rzędy błogosławionych, jeden w purpurze, to byli męczennicy; drugi w białych szatach, to byli ci, co w poświęceniu i w pogardzie życia na usłudze Bogu poświęcili życie. Natenczas usłyszał głos Stwórcy: w pośrodku jest miejsce dla ciebie, z nimi otrzymasz zapłatę i chwałę. Gorące pragnienia Świętego i widzenia pobożne spełniły się [2] — i wkrótce już brzmiały modły i pienia w klasztorze na Awentynie i w Vallis Lucis do Świętego o przyczynę do Pana nad Panami, wkrótce stamtąd szli nowi uczniowie, pobożni zakonnicy na daleki Wschód, dokąd im Święty wskazywał drogę, po zasługi żywota.

Wielkie cnoty i anielską świątobliwość posiadał bowiem Święty, skoro tak opat, jak i wszyscy zakonnicy, jak to podnosi Kanaparyusz, zwali go doskonałością skończoną: *in omni virtute ad unguem perfectus*, skoro surowy w sądzie św. Bruno zowie go: *rara avis terrarum, felix martir infelicium* [3], skoro biskup współczesny nazywa go: *lampas ardens Woitegus* [4]. Żarliwość zdobycia dusz dla nieba, jest u niego tak wielką, że czyni sobie

[1] Kanap. c. 29 i Bruno c. 27—29.
[2] „Visio completa est", mówi Bruno, MP. I, 211.
[3] MP. I, 218, c. 31.
[4] Thietmar VII, 41.

wyrzuty nawet wtenczas, gdy Prusacy go wypędzają ze swej ziemi, z powodu, że nie mógł ich wybawić[1]... Poczucie odpowiedzialności ze sprawowanego urzędu biskupiego tak wielkie, że po dwakroć opuszcza biskupstwo widząc bezowocność pracy... toż gdy za przybyciem do Rawenny spytano go, dlaczego nie nosił pastorału, odpowiedział: łatwem jest nosić pastorał, ale trudno z niego zdać sprawę[2].

Wielką bowiem była miłość Świętego, która wszystkie wielkie jego cnoty spajała, będąc niejako ich koroną. Na wzór świętego Marcina, którego grobowiec odwiedzał we Francyi, posiada on chrobre serce obok miłosierdzia, obok tkliwej miłości bliźniego, której tak piękny przykład dał we Włoszech. Gdy bowiem w drodze był proszony o jałmużnę, nie mając niczego przy sobie do dania bliźniemu, wskazał mu, by przyszedł po nią do klasztoru, gdzie go nazajutrz opatrzy. Po chwili jednak powraca do ubogiego, zdejmuje z siebie szatę zwierzchnią i oddając mu rzecze: weź ją, kto wie czy jutro żyć będę, jakże tedy mógłbym się wywiązać z dzisiejszej obietnicy.

Jakąż dopiero miłością otaczał swych barbarzyńskich ziomków, skoro nie wahał się zgoła wystawiać życia swego na niebezpieczeństwo, chcąc ich pouczyć o prawdzie, skoro pomimo nienawiści, jaką go w zamian za trudy pasterskie obdarzają, kilkakrotnie do nich powraca. Ile miłości okazał Polakom, Węgrom, pośród których niestrudzony odprawiał misye, wykorzeniając wszędy bałwochwalstwo tak grubo zakorzenione, tworząc pieśni, jako treściwe wyznania wiary dla młodzieńczych narodów[3], idąc za przykładem św. Odona z Kluniaku, wielkiego re-

---

[1] Bruno, *Vita quinque fratrum*, MP. VI, 413. Por. Bruno, *Vita* c. 26.

[2] Bruno MP. I, 204—205.

[3] Powody, dla których hymn Bogarodzica niema pochodzić od świętego Wojciecha, przytoczone przez Nehringa i innych filologów, streszcza dr. M. Bobowski, „Pieśni katolickie polskie", w następujących punktach: 1) W hymnie nie dadzą się dostrzedz starsze formy aniżeli są te, które zawiera psałterz floryański; 2) wojsko polskie w wiekach dawniejszych, jak np. XIII. w., czego dowodem latopis t. zw. hipacyuszowski, śpiewało nie Bogarodzica, lecz Kyrie elejson; 3) Czesi, u których wcześniej chrześcijaństwo powstało, nie mieli starszej pieśni aniżeli Bogarodzica; w końcu

wyrzuty nawet wtenczas, gdy Prusacy go wypędzają ze swej ziemi, z powodu, że nie mógł ich wybawić [1]... Poczucie odpowiedzialności ze sprawowanego urzędu biskupiego tak wielkie, że po dwakroć opuszcza biskupstwo widząc bezowocność pracy... toż gdy za przybyciem do Rawenny spytano go, dlaczego nie nosił pastorału, odpowiedział: łatwem jest nosić pastorał, ale trudno z niego zdać sprawę [2].

Wielką bowiem była miłość Świętego, która wszystkie wielkie jego cnoty spajała, będąc niejako ich koroną. Na wzór świętego Marcina, którego grobowiec odwiedzał we Francyi, posiada on chrobre serce obok miłosierdzia, obok tkliwej miłości bliźniego, której tak piękny przykład dał we Włoszech. Gdy bowiem w drodze był proszony o jałmużnę, nie mając niczego przy sobie do dania bliźniemu, wskazał mu, by przyszedł po nią do klasztoru, gdzie go nazajutrz opatrzy. Po chwili jednak powraca do ubogiego, zdejmuje z siebie szatę zwierzchnią i oddając mu rzecze: weź ją, kto wie czy jutro żyć będę, jakże tedy mógłbym się wywiązać z dzisiejszej obietnicy.

Jakąż dopiero miłością otaczał swych barbarzyńskich ziomków, skoro nie wahał się zgoła wystawiać życia swego na niebezpieczeństwo, chcąc ich pouczyć o prawdzie, skoro pomimo nienawiści, jaką go w zamian za trudy pasterskie obdarzają, kilkakrotnie do nich powraca. Ile miłości okazał Polakom, Węgrom, pośród których niestrudzony odprawiał misye, wykorzeniając wszędy bałwochwalstwo tak grubo zakorzenione, tworząc pieśni, jako treściwe wyznania wiary dla młodzieńczych narodów [3], idąc za przykładem św. Odona z Kluniaku, wielkiego re-

---

[1] Bruno, *Vita quinque fratrum,* MP. VI, 413. Por. Bruno, *Vita* c. 26.

[2] Bruno MP. I, 204—205.

[3] Powody, dla których hymn Bogarodzica niema pochodzić od świętego Wojciecha, przytoczone przez Nehringa i innych filologów, streszcza dr. M. Bobowski, „Pieśni katolickie polskie", w następujących punktach: 1) W hymnie nie dadzą się dostrzedz starsze formy aniżeli są te, które zawiera psałterz floryański; 2) wojsko polskie w wiekach dawniejszych, jak np. XIII. w., czego dowodem latopis t. zw. hipacyuszowski, śpiewało nie Bogarodzica, lecz Kyrie elejson; 3) Czesi, u których wcześniej chrześcijaństwo powstało, nie mieli starszej pieśni aniżeli Bogarodzica; w końcu

formatora życia zakonnego, który je tworzył na cześć świętego Marcina z Tours, św. rycerza Geralda z Aurillac i innych. Znanym powszechnie jest hymn:

Bogarodzica dziewica,
Bogiem sławiona Maria!
U twego syna Gospodyna
Matko zwolena, Maria
Zyszcz nam, spuść nam. Kyrie elejson!

Hymn według prastarej tradycyi przypisywany Świętemu, wzniesiony do Patronki, do której przez ciąg życia całego szczegól-

---

5) tradycya o św. Wojciechu, jako autorze Bogarodzicy, powstała dopiero w XV. wieku.

Co do pierwszego dowodu ten właśnie wykazuje, że postać, w jakiej się dotąd przechowała pieśń, jest z XV. wieku i wcale nie dowodzi, aby hymn nie miał być starszym. Co do drugiego punktu, ten właściwie dowodzi wręcz przeciwieństwa. Skoro bowiem latopis hipacki (Poł. Sobr. II, 183) mówi, że rycerstwo polskie *Kerlesz pojuszcza* śpiewało Kyrye elejson, to zupełnie logiczny wniosek, na podstawie retrospektywnego wnioskowania z udokumentowanych dowodów z początku XV. wieku, że mianowicie rycerstwo z Bogarodzicą na ustach szło do boju, że także ów *Kerlesz* był właśnie Bogarodzicą, o ile że charakterystyczne zakończenie dwóch najstarszych zwrotek są właśnie Kyrye elejson. Jeżeli tedy za wskazówką latopisu idąc, można wnosić, że już w XIII. wieku Bogarodzica była na ustach rycerstwa polskiego, to znajduje poparcie ten wniosek w tem, że jak to kontynuator Kozmasa pod 1249 mówi, w tymże czasie śpiewało rycerstwo czeskie hymn *Hospody pomiluj ny,* niemieckie zaś *Sant Marei muoter unde mait,* tudzież że według prastarej tradycyi hymn pierwszy pochodzi od świętego Wojciecha. Tem samem upada i punkt trzeci, według którego Czesi nie mieliby mieć starszej pieśni od Bogarodzicy, gdyż hymn wspomniany Kyrye elejson, według popartej świadectwami historycznemi z XIII. wieku tradycyi utworzył św. Wojciech. W końcu co do tradycyi o autorstwie Bogarodzicy św. Wojciecha, jakoby ta była bardzo późną i powstała dopiero w XV. w., to wprawdzie pierwszy druk hymnu z końca XV. w. wskazuje na autorstwo św. Adalberta, ale trudno brać to za dowód, jakoby wydawca tej wskazówki wiadomość podaną sam skomponował, a raczej przypuścić należy, że Łaski podał to, co jako fakt znany powszechnie było uważane. Wprawdzie do przeciwnego wniosku przechyla się i uczony nasz prof. Brückner, „Drobne zabytki języka polskiego", str. 50, Rozpr. Wydz. filolog. XXV, cytując bowiem wyjątek z rękopisu z 1462 r., w którym autor nazywa Bogarodzicę *cantilena diu a SS. patribus composita,* utrzymuje, że z podobnego przeświadczenia musiała później urość tradycya o autorstwie św. Wojciecha, a jednak już owe *SS. patribus* w związku z *diu,* nie może

niejsze chował nabożeństwo, a w którym nowsza krytyka upatruje podwójny typ melodyi, jeden o silnych konturach, jędrny, zachodni rzymski, obok strofek o posępnym, niejasnym charakterze wschodnim, w czem widzi jakoby odmienne, różne części budowy hymnu [1], a który to podwójny typ, dodajmy, tak odpowiada wysokiej dążności Świętego, pragnącego połączyć ten

---

kogo innego oznaczać, jak owego męża, którego tradycya za autora pieśni uważa, a który, według współczesnych biografów, szczególne żywił nabożeństwo do Matki Boskiej, czego dowodem przytoczona przez Kanaparyusza krótka modlitwa Świętego do Maryi, gwiazdy morza.

W przytoczonem dziele podnosi wprawdzie Bobowski, że pieśń nie mogła powstać w X. wieku, dlatego, że byłoby to wbrew tradycyi Kościoła faworyzować śpiew rodzimy ze szkodą łacińskiego i to jakby na przekorę duchowieństwu, któremu język polski był obcy; jest to jednak wniosek za daleko idący, ażebyśmy na jego podstawie zaprzeczyć mieli tradycyi. I tak najprzód niema żadnego powodu do wnioskowania, aby hymn był śpiewany tylko w kościele, a przeciwnie ów *patrium carmen*, jak go nazywa Długosz, a zarazem *compendium dogmatis*, jak go nazwał biskup Szyszkowski i jak go zwie Kronika Trzemeszeńska, Rocznik Tow. Przyj. Nauk Pozn. XI, 391, był według tradycyi, zarówno jak i źródeł historycznych, śpiewany przez rycerstwo przed bitwami, czego dowodem oprócz owego latopisu i *De magna strage* z 1410 i *Cronica Conflictus* z 1410 r. i wreszcie rocznik Praski i świadectwo z 1444 r. u Brücknera Rozpr. wydz. filol. serya II, t. VII, p. 57. Powtóre, przypuszczenie jakoby kapłanom, nawiedzającym misyami Polskę, był obcym język polski, jest błędne, misyonarze bowiem uczyli się języka tego narodu, do którego misyę podjąć mieli już w ojczystym klasztorze, i inaczej być nie mogło. W końcu Benedyktyni ówcześni, jak św. Odo, jak Notkerowie St. Galeńscy tworzyli także k a n t i l e n y, celem łatwiejszego wpojenia zasad wiary i pobożności u ludu — dlaczegożby wzorem ich nie miał tworzyć św. Wojciech, który był jedną z największych ozdób i wybitnym reprezentantem benedyktyńskim.

Nie widzę tedy żadnego dowodu wśród przytoczonych przez naszych uczonych do bezwzględnego odrzucenia tradycyi, według której św. Wojciech jest autorem Bogarodzicy. Jak ks. Surzyński dowodzi, melodya jest prastarą, tak, że ją za utwór X. wieku uważać można, a i czechizmy, wskazują na autorstwo kwestyonowane, o ile że św. Wojciech jako autor *Hospody pomiluj ny*, widocznie szedł śladem Odonów i Notkerów. Dowody powyższe nie zadowolnią filologów, którym wszakże źródła XIII. wieku nie wystarczają za dowód autorstwa św. Wojciecha hymnu czeskiego *Hospodinie pomiluj ny*, a cóż dopiero mówić o naszej pieśni, która się przechowała w postaci, jak ją w XV. wieku znano, a więc z cechami ówczesnej mowy a nadto z dodatkami.

[1] Kalina, „Rozbiór krytyczny Bogarodzicy“, 106.

wschód niestały, niejasny, niepewny, ojczyznę własną i Polskę i Węgry i Prusy z opoką niewzruszoną, na której Chrystus zbudował Kościół, z Rzymem.

W Polsce niedługo po śmierci jego brzmi podniosła w kościołach antyfona: „O wielki głosie, przystoi Ci, byś zabrzmiał chwałą wszędy, gdzie niebios stropy sięgają; raduje się ziemia takiem ciałem ubogacona, weseli się i pląsa, godna będąc takiego pasterza“ [1]. Wznoszą się kościoły na cześć Świętego; kościół w Szczecinie [2], opactwo płockie ma go za swego patrona. W Czechach, skąd wygnano i nie chciano powrotu biskupa, urosła niebawem chwała Świętego ziomka.

Krótko bowiem w Czechach trwał tryumf Bolesława, który przy pomocy Werszowców stał się tyranem i w niezwykły sposób uciskał naród [3]. Naród wygnał tyrana i ciężko przez szereg lat pokutował za odstępstwo od wiary. Dopiero u grobu Świętego, dokąd co prawda, nie w pątniczej szacie lecz wojenną wyprawą pospieszył Brzetysław czeski, dopiero w katedrze gnieźnieńskiej — jak owemu skazanemu na śmierć jeńcowi za dotknięciem ciała Świętego spadają okowy a przez to życie się ratuje [4], — tak i Czechom towarzyszącym w wyprawie, w katedrze gnieźnieńskiej spada gruba łuska z oczu i na tem miejscu odzyskują napowrót utraconą wiarę. Tu bowiem po trzydniowym poście uzyskuje Brzetysław od rycerstwa swego solenne przyrzeczenie, że usunie wszelkie nadużycia, które niegdyś Świętego zmusiły do opuszczenia Czech. Co bardziej, rycerstwo zwycięskie, korzy się i przyjmuje surowe prawa, które powziął książe wraz z biskupem praskim Sewerem, na mocy których wystawiono wszystkie zakorzenione wady i zgubne błędy pod pręgierz prawa. Łamanie praw małżeńskich, święcenia świąt przez odbywanie targów, zabójstwo i najazdy, a nawet upajanie się w karczmach i szyn-

[1] „Antyfona w najstarszym rękopisie katedry gnieźnieńskiej“. Rocz. Tow. Przyj. Nauk Pozn. XI, 441.

[2] Ebbo, *Mon. Pol.* II, 66.

[3] „Populum ineffabiliter constrinxit“. Tietmar, Mers. V, 5.

[4] *Passio* MP. I, 156, okoliczność stwierdzona przez autora kroniki klasztoru w dalekiem Moyenmontier. Ibidem l. c.

kach, niepokojenie bliźniego mógł obecnie książe karami pieniężnemi lub cielesnemi usuwać. W jednej chwili u grobu Apostoła-rodaka udało się Czechom zdobyć prawa, których znaczenie dla nich było bardzo doniosłe. Była to zdobycz większa, aniżeli owe skarby uprowadzone z Polski, aniżeli ów złoty krzyż, który ważył trzykroć więcej od wagi Mieczysława I., a który wzięto z Gniezna na znak powrotu do cywilizacyi zachodniej. To też wnet już, z tym zwrotem stanowczym, wielbią Czesi Świętego, którego ciało, jak mniemali, uprowadzili do Czech, zwią go *Boemicae gentis apostolus*[1], *magnum luminar, lilium splendens virtutibus*[2], hymny Świętego *Hospody pomiluj* śpiewają w swych wojennych wyprawach. W Polsce staje się patronem rycerzy, którzy doświadczają jego pomocy[3], a rycerski Bolesław Krzywousty bosą nogą, z odkrytą głową, ze skruchą i pokorą odbywa pielgrzymkę do grobu Świętego w gnieźnieńskim tumie. Sława Świętego i cześć szerzy się szeroko, a szczególniej te narody, co doświadczyły za życia jego dobrodziejstw wielkiej misyonarskiej pracy, zwią go swym apostołem, jak mówi Kanaparyusz: *Boemorum, Polonorum, Hungarorum apostolus.*

I nie dziwna ta cześć szczególna Czechów, Węgrów i Polaków dla wielkiego Świętego. Z misyą bowiem jego apostolską w tych stronach, zroszoną krwią męczeńską, popartą wnet pracą całego szeregu jego uczniów w pośród rzeszy ludziszcz o barbarzyńskich zwyczajach i obyczajach, o kulturze na stopniu zdziczenia, pośród plemion hołdujących zabobonowi i żyjących na stopniu pierwotnego człowieka-koczownika lub pasterza, łowca lub rybaka, poczyna się wnet jakby rószczką czarodziejską wskrzeszone życie cywilizacyjne na wzór zachodniej z Rzymu idącej oświaty. Kościelne, a zarazem i polityczne instytucye zachodnie, tak dotychczas znienawidzone, gdyż stawiały hamulec swawoli i przymuszały do rządnego życia, doznają prawa obywatelstwa wśród tych ludziszcz, wypierają barbarzyński zwy-

[1] Erben, *Regesta,* I, nr. 108.
[2] *Fontes rer. Boh.* III, 520, 526, 533.
[3] Gall MP. I, 433.

czaj i obyczaj, a wodą Chrztu obmyte i Sakramentem Bierzmowania utwierdzone we wierze ludy, przystępują do szeregu narodów zachodnich, jako najmłodsze latorośle cywilizacyi chrześcijańskiej. Cudów też dokonuje chrzest, gdyż z chaosu ludziszcz powstają narody, wśród bezrządu powstają dzielne organizacye państwowe, zdumiewające powagą i siłą pomimo całej swej patryarchalnej prostoty. Państwo Bolesława wznosi się, jak zaraz obaczymy, z okazyi zjazdu gnieźnieńskiego u grobu Świętego, aby przez szereg wieków służyć cywilizacyi chrześcijańskiej, a po utracie charakteru państwowego, tem silniej, tem ciężej i wytrwalej pracować w szeregu bojowników na wyłomach, gdzie tej cywilizacyi zewsząd grożą niebezpieczeństwa.

Święty Wojciech, jakoteż i uczeń jego Astryk, kładą podwaliny rzymskiej cywilizacyi na południu, tam gdzie ta wiara była bądź nieznaną, bądź, co gorsza, przez wciskający się zabobon zagłuszoną, tak że chrześcijanin podobnie jak poganin zewnętrzną formę brał za istotę wiary i niczem nie odróżniał się od drugiego, jak tylko imieniem. Tu na południu utrwala Święty wiarę pośród plemion o pochodzeniu fińskiem, wśród koczowniczych o pierwotnej dzikości Madziarów, o całkiem odmiennych zwyczajach i obyczajach od reszty nawet pogańskich ludzi europejskich, wrogich Europie... a uczeń jego Astryk pozyskuje dla nich koronę z Rzymu, znamię kultury zachodniej, aby zaprządz na zawsze ten naród w słodkie jarzmo cywilizacyi rzymskiej, by, jak św. Bruno, syn po duchu św. Wojciecha za Apostołem narodów powtarzał: *non sit distinctio Iudaei et Graeci, servus ac liber omnes in Christo unum sumus* [1]. Wobec zdumiewającego wzrostu narodów, których patronem został Święty, nadaremnie szukać będziemy tych układów społecznych, tych instytucyj rodzimych, tych ustanowień prawnych narodowych, wieców czy gmin, w ogólności tych dziejowych czynników przedmiotowych, nie osobistych, rugujących wpływy osobiste ze znaczenia czynników dziejowych, a które jedynie miały być rozstrzygającymi przy zaprowadzeniu życia cywilizacyjnego pośród barbarzyństwa. Trzeźwo

[1] MPol. I, 417.

patrzący historyk, czy to spoglądnie na zachód czy na wschód, czy na północ lub południe, do ludów dźwigających się z powijak niemowlęctwa lub podnoszących się ze stanu pierwotnej kultury, żadnemu z owych czynników przedmiotowych nie może przypisać znaczenia rozstrzygającego przy rozwoju cywilizacyi. Natomiast każdy wskaże na ten czynnik nieosobisty lecz zarazem i osobisty, przedmiotowy lecz zarazem podmiotowy, ogólny, całą ludzkość obejmujący, lecz i szczególny, bo normujący życie nietylko ludów i narodów ale schodzący także do nizin, do gmin i rodzin... do biednych i upośledzonych, który wszystkich bez różnicy podnosi, dźwiga, wyciska piętno prawdziwego człowieczeństwa na wzór boski. Kościół to przez swych wybranych jest tym czynnikiem poszukiwanym, dźwignią cywilizacyjną ludów i narodów — świata. Wnet po wprowadzeniu chrześcijaństwa rozwija się życie cywilizacyjne cudownie wszędy, i wszędy pod wpływem dobroczynnym Kościoła; początek tych reform w najprostszych przepisach dekalogu, w posłuszeństwie dla Kościoła i jego przykazań, w popieraniu Kościoła przez władzę świecką [1] i w tej krwi męczeńskiej Świętego, uświęcającej wszystkie ziemie, w pośród których niósł cywilizacyę chrześcijańską, jako wielki budowniczy układu społecznego na Kościele rzymskim opartego.

(Dok. nast.).

Dr. Antoni Prohaska.

[1] Porównaj *leges Stephani* w Floriana *Hist. hung. font.* I, 113; „de statu rer. ecclesiasticarum; de potestate episcoporum; de labore sacerdotum; de retentu regalium rerum, de observatione dominici diei“ i t. p.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Książe Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania Stanisława Augusta (1764—1768). Przez *Alkara*. 2 tomy. Kraków. Nakładem autora. 1897. (Str. 420 + 360).

Pod pseudonimem Alkara domyślać się można autora należycie oswojonego z piórem literackiem i z przedmiotem opowiadania. Z pod tego pióra wychodzą od lat szeregu, jakby z rogu obfitości, dziesiątki tomów najróżnorodniejszej treści, które należycie obznajomiły miłośników dziejów ojczystych z jego metodą historyczną.

Podobnież jak w swych pracach dawniejszych, tak i w tej ostatniej wylicza p. Alkar w przedmowie do niej wszystkie źródła do dziejów tego czterolecia (1764—1768), z jakich miał sposobność korzystać. Nie należy atoli sądzić, aby w szerszym zakresie wyzyskał odnośny materyał archiwalny. W „Księciu Repninie i Polsce“ oparł się głównie na materyale drukowanym, a zawartym lub opracowanym w „Sborniku rosyjskiego cesar. towarzystwa historycznego“ (w tomach XX, XXXVII, LI, LVII. i LXVII.) i w ostatnich tomach (26—28) „Historyi Rosyi“ Sergiusza Sołowiewa. Poza tem głównem źródłem uzupełniał swe opowiadanie wiadomościami, czarpanemi z następującego materyału rękopiśmiennego: z „Protokołu czynności konfederacyi radomskiej“, spisanego przez Marcina Matuszewicza, sędziego brzeskiego, a sekretarza konfederacyi, i z „Dyaryusza traktatowego czyli komisyi pełnomocnej, od dnia 4 list. 1767 r. do dnia 26 lutego 1768 roku, w Warszawie ekspedyowanej“. Pierwszy z tych rękopisów znajduje

się w zbiorach p. L. K., a drugi przechowuje się w archiwum domowem pani Z. S. Jeżeli dodamy do tego jeszcze „Akta konfederacyi generalnej“, będące w posiadaniu Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, a będziemy mieli dokładne wyobrażenie o całym zasobie materyału źródłowego, z jakiego korzystał p. Alkar do przedstawienia tego okresu, w ciągu którego dokonały się tak znaczne zmiany w stanie wewnętrznym i w położeniu zewnętrznem Polski: jak upadek projektu reform politycznych „familii“, a tem samem i egzystencyi tego stronnictwa, jak przyznanie dyssydentom praw politycznych i przyjęcie gwarancyi rosyjskiej i t. d. Pewną część materyału źródłowego (numerów 14) wydrukował p. Alkar w „Anneksach“ do obu tomów.

Z rozpatrzenia się w omawianej pracy wynosi się przekonanie, iż p. Alkar korzystał stosunkowo mało nawet z cytowanego przez siebie w przedmowie do niej materyału rękopiśmiennego lub wydrukowanego w „Anneksach“. W ciągu całego opowiadania powołuje się w odsyłaczach przedewszystkiem na wyżej wymienione tomy „Sbornika“ i na „Historyę Rosyi“ S. Sołowiewa; zaledwie razy kilka cytuje źródła rękopiśmienne. Robi to takie wrażenie, jakby autor, nie chcąc się zadowolić rolą sprawozdawcy z artykułów „Sbornika“ i odnośnych tomów S. Sołowiewa, przedrukował na końcu obu tomów kilkanaście aktów i dokumentów ze zbiorów i bibliotek prywatnych, które mają przekonać czytelnika o studyach archiwalnych autora.

Usiłowania tego rodzaju wycisnęły swe piętno na tej ostatniej jego pracy: źródłową nazwać jej nie można, a na sprawozdawczą jest zanadto obszerna. Autor lubuje się wyraźnie w rozwlekłości i wskutek tego wciąga w tok swej opowieści mnóstwo rzeczy i spraw drobiazgowych, niekiedy całkiem nawet obojętnych, byle tylko cel zamierzony osiągnąć. Obszerne wyciągi z depesz i memoryałów dyplomatycznych, wyjątki z listów i pamiętników, rozmowy osób pośrednio wplątanych w bieg wypadków, a częstokroć i całkiem dla nich obojętnych — oto jest materyał, którym operuje p. Alkar. Wobec tej mnogości przeróżnych szczegółów niknie częstokroć główny wątek opowiadania, przedmiotem którego miała być rola Repnina w ciągu tych pierwszych lat czterech panowania Stanisława Augusta. Samo nazwisko Repnina gdzieś tam użyte lub jego obecność są już dlań dostateczną pobudką, aby puścić wodze swej gadatliwości. Udział czynny Repnina w pracach delegacyi radomskiego sejmu konfederackiego czyli w tak zwanej „komisyi traktatowej“, ma niewątpliwie decydujące znaczenie, gdy cho-

dziło o sprawę dyssydentów, o utrzymanie *liberum veto,* lub narzucenie gwarancyi rosyjskiej; biernym był atoli, gdy przedmiotem narad były rozmaite sprawy administracyjne, sądowe, wojskowe i ekonomiczne, w czasie których wszechwładny ambasador nudził się niepomiernie i przerywał je częstokroć w sposób brutalny. Wszystkie te jednak dyskursa pp. delegatów wprowadza p. Alkar *in extenso,* bojąc się oczywiście coś z nich uronić ze szkodą dla rozmiarów swej pracy.

Czy na tej nałogowej u naszego autora rozwlekłości zyskała cośkolwiek wartość naukowa „Księcia Repnina i Polski", wątpić sobie pozwalamy. Pomimo swych dawniejszych inklinacyi poetycznych p. Alkar poczucia pięknej formy nie posiada; również nie umie być ani obrazowym, ani wielce zajmującym w swych obszerniejszych pracach historycznych. Gdyby p. Alkar wydawał tylko materyał historyczny lub wogóle mniej pisał, a za to tem gruntowniej opracowywał nagromadzony materyał, lepiejby niechybnie przysłużył się piśmiennictwu ojczystemu. Umie on cierpliwie i wytrwale gromadzić cegiełki do swych prac historycznych, ale nie ma, jak się zdaje, ochoty czy cierpliwości do jakiejś większej roboty konstrukcyjnej.

Nie mam bynajmniej zamiaru odmówić zasług autorowi ani w naszem piśmiennictwie historycznem wogóle, ani też w omawianej obecnie pracy. Wiele w niej zajmujących szczegółów, jakkolwiek nie rzucających nowego światła na tę smutną epokę, to jednak ilustrujących ją dosadniej. W kilku szczegółach powiodło się mu sprostować mylne lub niedokładne twierdzenia H. Szmitta, Szujskiego i ks. Kalinki, którym źródła, dostępne dla p. Alkara, albo całkiem znane nie były, albo tylko w niedokładnym odpisie.

Że w „Księciu Repninie i Polsce" smutny nad wyraz odsłania się nam obraz, rzecz to dziś dobrze znana. Czas pobytu Repnina w Polsce, od dnia 21 grudnia 1763 r. do 10 kwietnia 1769 roku, należy obok sejmu rozbiorowego z roku 1773—1775 do najboleśniejszych w dziejach naszego narodu. Zaczyna się on asygnowaniem królowi przez Katarzynę II. kwoty 100.000 rubli i kończy się ofiarowaniem mu sumy takiejże wysokości z tegoż samego źródła. Zaczynając od króla i prymasa Podoskiego, ciągnie się poczet cały jurgieltników rosyjskich, bez najmniejszego poczucia godności narodowej i państwowej i bez odrobiny odwagi cywilnej. Z gotowością do ofiar, do poświęcenia swego stanowiska lub majątku dla obrony honoru ojczyzny i godności narodowej spotykamy się w ciągu tych lat kilku u bardzo

niewielu. Ks biskup Sołtyk i jego towarzysze niedoli należą prawie do wyjątków. Dopiero konfederacya barska wydobywa na jaw wszystko, co jeszcze wówczas było dodatniego w społeczeństwie polskiem.

Ambasador rosyjski, nad wyraz butny i brutalny, rozkazuje i nakazuje wszystkim, nie wyłączając króla, ministrów i senatorów, a w państwie i na dworze królewskim rządzi się — jeżeli wolno użyć tutaj swobodniejszego porównania — jak szara gęś. Najskromniejszy opór, najnajpotulniejszy protest ze strony członków delegacyi sejmu konfederackiego wywołują u niego repliki lub uwagi, godne pierwszego lepszego *stupajki*. Dosyć przypomnieć kilka przykładów z owej smutnej doby. Podczas dyskusyi nad zniesieniem jurysdykcyi nuncyusza papieskiego w Polsce, zwrócił się Repnin do ks. biskupa inflanckiego, Stefana Gedroycia i rzekł w tonie rozkazującym: *Gowori inflanckoj!*; na sesyi u ks. prymasa Podoskiego, dnia 17 lutego 1768 roku, kiedy Piotr Bohomolec, pisarz ziemski witebski a poseł województwa witebskiego zdradził się z zamiarem zaniesienia manifestu do grodu, rzekł doń ambasador rosyjski: „Twoim manifestem tyle wskórasz i tego on wart będzie, żebyś za niego... wziął nogą!"; innym razem, widząc, że Bohomolec porozumiewa się prywatnie z członkami delegacyi, krzyknął na niego: „Pan Bohomolec! poszedł ty precz na swoje miejsce! jak przyjdzie na ciebie kolej, to powiesz swoje zdanie!"; zachęcając prymasa do podpisania projektu dyssydenckiego, odezwał się doń po prostu: *Monseigneur le Primat, signez!* i t. d.

Z wielkiem rozczarowaniem dowiadujemy się mnogich niepochlebnych szczegółów i rysów charakteru nawet tych osób, dla których politycznych aspiracyj lub wyjątkowych w owym czasie cnót prywatnych żywiliśmy wiele sympatyi. Wobec podobnego moralnego upadku naczelnej warstwy narodu i zaniku cnót obywatelskich, polityczna egzystencya Rzeczypospolitej stała się prawie niemożliwą. „Narodu duch zatruty" był symptomatem blizkiej już śmierci...

A. Szarłowski.

Stara i młoda prasa. Przyczynek do historyi literatury ojczystej (1866—1872). Kartki ze wspomnień eksdziennikarza. Petersburg. 1897. (Str. 214).

Przed kilku laty pisarz szwedzki, Ola Hanson, wydał dziełko p. t. „Młoda Skandynawia", w którem obelżywie ściera na proch Björnsona, Brandesa i Ibsena, mieniąc pierwszego „ciasną głową", drugiemu zarzucając „niezgłębioną głupotę", a natomiast laurami chwały otacza

skronie Jensa Jacobsena, Arne'a Garborga i Augusta Strindberga. Kto zna to namiętnie pisane dziełko, ten mógłby mniemać, że służyło ono za wzór autorowi powyższej książki. Z tytułu widać, że objęła ona zaledwie kilka lat z historyi warszawskiej prasy, ową chwilę „pozytywistycznego" wrzenia młodych studentów szkoły głównej, skupionych około *Przeglądu Tygodniowego*. Późniejszy przebieg walki, rozłam pozytywnego obozu na skrajnych i umiarkowanych, dzieje *Niwy* i *Opiekuna Domowego* zaledwie tknięte w książce. Bo też nie chodziło autorowi o poważne, spokojne i przedmiotowe oświetlenie jednej karty ruchu umysłowego. Książka ta, to wspomnienia, spisywane widocznie na gorąco pod wrażeniem chwili, spisywane piórem młodocianem, porywczem, roznamiętnionem, — i dziś wydane bez zmiany tak, że z każdego wiersza tchnie woń starzyzny, a woń ta budzi w nas niesmak, gdyż po latach trzydziestu nie możemy już odnaleść w sobie ani współczucia dla ówczesnych ulubieńców autora, ani nienawiści dla jego przeciwników. Niesmak zaś budzi sposób przedstawienia rzeczy przez p. eksdziennikarza. Jaką jest ścisłość tego pamiętnika, dowodzi choćby następujący przykład. Powodem niezwykłego ożywienia umysłów młodzieży warszawskiej w r. 1868 była, wedle niego, jedna jedyna książka Buckle'a: „Historya cywilizacyi". Czytelnik zdumiony, że jedna książka mogła przygotować taką burzę, zagląda do Chmielowskiego, który te czasy analizuje[1] i przekonywa się, że znano już Renana, Comte'a, Littrégo, Milla, Tainea, że o pozytywizmie pisały już *Gazeta Warszawska, Kółko Domowe, Przyszłość, Dziennik literacki, Biblioteka Warszawska*. O ścisłości zatem mowy niema. Natomiast autor kreśli szereg sylwetek ludzi obu obozów w sposób impresyonistyczny, mieszając wspomnienia swoje z charakterystyką artykułów, datami życia i anegdotami zakulisowemi. Profile te wypełniają niemal trzy czwarte książki i nadają jej piętno brzydkiego paszkwilu. I młodzi i starzy w oświetleniu autora wyglądają najczęściej nieładnie. Weźmy przykłady. Nie lubi on widocznie komedyopisarzy i krytyków teatralnych. O Kazimierzu Zalewskim pisze: człowiek bez talentu, nie stworzył ani jednego typu, komedye jego są sztuczkami teatralnemi, jest to „majster od komedyi", pisał elukubracye, ćwiczenia czwartoklasisty... (str. 114—116). Zaglądam do Chmielowskiego i czytam, że sztuka „Spudłowali" udała się wybornie, że we

[1] „Zarys najnowszej literatury polskiej". Kraków. 1895. str. 24 i d, Aby być w oczach autora objektywnym, biorę w recenzyi za superarbitra Chmielowskiego, ponieważ z przekonań swych należy on do tego samego obozu, co autor „Starej i młodej prasy".

„Friebem“ okazał zdolności niepospolite, że znajdzie się w jego utworach i niepospolita zręczność sceniczna, i dowcipny dyalog, i myśli głębsze, i polot fantazyi i uczucie (str. 298—300). O Edwardzie Lubowskim p. eksdziennikarz pisze: „tego rodzaju mierność nie zasługuje aby się nią zajmowano“ (186), to „dychawiczny koń“ (188), pisarz tuzinkowy, nie miał ani nauki, ani stylu, ani talentu, ani powagi i znaczenia i t. d. Otwieram znów Chmielowskiego i widzę, że w „Nie toperzach“ dał nam galeryę charakterów dobrze wystudyowanych i znakomicie przedstawionych, a komedya ta ma zalety pierwszorzędne i jest wyborną, że maluje nie papierowych lecz żywych ludzi, że dyalog jego barwny, dowcipny, sytuacye płyną naturalnie z rozwoju charakterów i sprawy, rozwiązanie bywa wynikiem nieodbitym położenia.

O Wład. Bogusławskim autor pisze: żyje pożyczaną sławą wielkiego dziada, drukuje bezsensowe nowele, długie i nudne sprawozdania teatralne, w których więcej arogancyi niż znajomości rzeczy, „pan ten nic znakomitego przez ciąg dwudziestu kilku lat nie napisał“, tylko frazesa(!) co do treści bardzo wodniste i t. d. (70). Biorę znowu Chmielowskiego, boć to krytyk z tego samego obozu, i czytam na str. 396, że Wł. Bogusławski wyróżnia się w swych recenzyach „znajomością przedmiotu i wdzięcznem opracowaniem“.

Przypuszczam, że te przykłady dają dostateczną miarę wartości sylwetek i sposobu ich kreślenia. Sienkiewicz np. ma być szczęśliwy i zręczny, a o zarobek idzie mu więcej, niż o kierunek literacki; ma zmysł praktyczny, kupiecki (str. 131—132); Świętochowski, to człowiek „mały“ (137); z nazwiskami Messynga lub Ehrenfeuchta na kapitol literatury polskiej niepodobna się dostać; Mikulski Leopold pełen najgorszych instynktów“, grał jakąś rolę osobliwszą... w historyi kilkunastu tysięcy, a historya to „mętna“, o cieniu „arcyponurym“; Szenwic za rozpuszczanie fałszywych pieniędzy wysłany na Sybir; Jeleński wart wieńca... z pokrzyw, bo pisał tylko dla zarobku i okazywał kupiecką przebiegłość...

Ale dość już tego; wszystko to niesmaczne, poziome i wcale licho świadczy zarówno o szlachetności autora, jak o wartości jego książki.

Szczególną niechęcią pała on względem tych, którzy z biegiem lat zmienili swe przekonania, stali się umiarkowanymi lub klerykalnymi. Nie może w swym dość ciasnym widnokręgu myślowym pojąć, aby u ludzi w tym razie działały inne, czystsze pobudki, niż pieniądz i zarobek. Piętnuje zatem bez względu takich wrzekomych zdrajców i obrzuca

ich pianą pogardy. Pan eksdziennikarz nie rozumie tego, że zmiana przekonań niekoniecznie musi nastąpić skutkiem pobudek materyalnych, a jeżeli go tak irytuje Jeleński, Wł. Miłkowski, Roszkowski (którego — nawiasem mówiąc — uśmierca), lub Zalewski, to niech pamięta, że zmieniali je i zmieniają wybitniejsi, a nikt im zasług nie odmawia. Poszukajmy jeszcze raz wśród tego samego mniej więcej obozu. Dla Hipolita Taine'a przed laty kilkudziesięciu alfą i omegą była nauka doświadczalna. Ale kiedy po francusko-pruskiej wojnie zwiedził Włochy, wówczas zdumiony potęgą Kościoła pisał, że „konarów jego nauka doświadczalna nie dosięga, gdyż wyrastają one z uczucia i potrzeb ludzkości". W dziele zaś kapitalnem *Les Origines de la France contemporaine* stoi na stanowisku zgoła konserwatywnem. Inny, Jerzy Brandes, w ciągu lat dwudziestu zmieniał ideały i z obrońcy liberalnych poglądów Milla stał się dziś gorliwym wyznawcą radykalnego arystokratyzmu Nitzschego. Trzeci, Ferd. Brunetière, dziś akademik i profesor, był niegdyś zwolennikiem czystego artyzmu i twierdził, że artysta w utworach nie powinien mieć na względzie nic, prócz piękna, a w swej *Evolution du theatre*, w r. 1893 wydanej, pisze już wyraźnie, że sztuka istnieje dla człowieka — w żadnym razie nie dla siebie (str. 366). Przykładów takich z różnych gałęzi wiedzy znaleść można dużo; insynuowanie zaś wszystkim tym zmiennikom w czambuł niecnoty i miotanie na nich obelg jest zaściankową złośliwością, płytkim obskurantyzmem, usiłującym ducha i sumienie okuć w pęta niewoli.

Ogółem wziąwszy, książka „Stara i nowa prasa" należy do pamiętników anegdotycznych, bez powagi naukowej; pisana jest stronniczo, namiętnie, ale jadowicie i barwnie, stylem gładkim i wyrobionym, choć nie zawsze poprawnym. Może nie zasługiwałaby na przydługą ocenę, gdyby nie ta jej rzutka i płynna swada, która ją czyni poczytną, a ze względu na zawartość może czynić szkodliwą.

Antoni Mazanowski.

Dogmatyka katolicka. Część ogólna. Krótko zebrał *ks. J. Tylka*. Tarnów 1897.

Mamy przed sobą pracę, jakiej jeszcze dotychczas literatura nasza teologiczna nie posiada. Wprawdzie pod koniec ośmnastego wieku spotkać się można z poszczególnymi działami o teologii w języku polskim traktującymi, a uwzględniającymi przeważnie dział o objawieniu, ale z dziełem traktującem teologię we wszystkich jej działach i systema-

tycznie je przechodzącem, dotychczas jeszcze się nie spotkaliśmy. Dlatego prawdziwa wdzięczność należy się przew. autorowi, że odważył się na postawienie pierwszego kroku na niwie dotychczas zupełnie zaniedbanej. Inną miarą zwykle mierzyć trzeba autora, który jest pionierem w jakimkolwiek kierunku pracy, a cóż dopiero w pracy ściśle naukowej. Mając książkę niniejszą przed okiem, nie potrzebujemy się obawiać o to by nas źle nie zrozumiano, że ze względów wyżej przytoczonych, powoduje w ocenie naszej zbytnia łaskawość. Oddając każdemu, co się mu słusznie należy, trzeba raczej wypowiedzieć, że autor torujący drogę innym, ze swojego zadania znakomicie się wywiązał.

W zakres teologii ogólnej wchodzi kwestya o objawieniu, o kościele, o papieżu, o Piśmie świętem i tradycyi, każda z tych części ma swoje poddziały odrębne: a rozstrzelone te kwestye, jak każdy widzi, żądają od autora głębokiego a przytem jasnego wniknięcia w przedmiot, tyle tak różnorodnych mieszczący zagadnień. I tak: uwzględnienie możliwości objawienia, jego konieczności i charakterów objawienie jako boskie uwierzytelniających, już nasuwa sporo trudności. Cóż dopiero powiedzieć o Kościele, o jego hierarchii, organicznych składnikach, nieomylności i właściwościach będących stygmatami boskiego jego pochodzenia? A wglądając w rzecz traktującą o Piśmie świętem, istocie natchnienia czyli na czem polega ta prawda, że każda księga objawiona ma za autora swojego samego Boga, chociaż człowiek ją pisał, wszystko to są rzeczy trudne same w sobie, stokroć trudniejsze, gdy przyjdzie o nich nietylko wydać sąd, ale przełożyć je na język, w którym nigdy ich jeszcze nie obrabiano. Tu spotykamy się z pracą, — nie przeczę, że doskonalsza od niej być może, — jednakowoż z pracą pod względem przedmiotu, jasności wykładu, logicznego powiązania, jędrności a przytem potoczystości języka nie pozostawiającą wiele do życzenia.

Autor w traktowaniu przedmiotu wybrał metodę scholastyczną; sądząc z uwag przedwstępnych, może dla tego, aby okazać naocznie czytelnikom, że ta, tak okrzyczana scholastyka, nie jest tak czarnym djabłem jak ją malują. Każde pytanie ważniejsze sformułowane jest w zdaniu, tezą nazwanem. Potem idą przedwstępne uwagi, dowody, wyniki i uwzględnienie trudności, które może mieć każdy, więcej w dogmaty wiary wnikający, umysł.

Jak każdy bliżej z dziełem się zapoznający, łatwo wywnioskować może, praca niniejsza, przeznaczona jest dla duchownych, szczególniej

dla katechetów, jakoteż dla wykształceńszych ludzi świeckich, pragnących się lepiej zapoznać z tajemnicami wiary naszej świętej. Z tych trzech warstw każda znajdzie dla siebie to, czego szuka. Szczególniej jednak zalecamy ją księżom katechetom i kaznodziejom, oddającym się obrabianiu prawd dogmatycznych jakoteż klerykom po seminaryach w wiedzy teologicznej się kształcącym. Język przytem jędrny a jasny, rozkład przejrzysty zachęcają do zaznajomienia się z niniejszą pracą.

Ks. W. Długołęcki.

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiej. z lat 1893—1896 [1].

(Ciąg dalszy.)

II

Z dziedziny botaniki mamy znaczny wcale dorobek z tego okresu czasu, bo prac różnych wielkością i treścią aż dwadzieścia siedm. W tym dziale historyi naturalnej większość badań poświęcona została najwyżej uorganizowanym roślinom, powszechnie szerokim kołom jako takie znanym tj. roślinom naczyniowym wogóle, w szczególności zaś jawno-kwiatowym.

Badania dokonane przez prof. E. Janczewskiego w poprzedzających latach, których wyniki zamieszczone były w dwóch pierwszych częściach pracy pod tym samym tytułem [2], dowiodły doświadczalnie, że tylko te gatunki rodzaju *Anemone* (Zawilec) wydają mieszańców przez skrzyżowanie, które nie różnią się pod względem cech biologicznych w znaczniejszym stopniu. Tymczasem postać ziarnek pyłku nie przeszkadza bynajmniej w skutecznem krzyżowaniu gatunków, a z drugiej strony pozornie pokrewne gatunki nie zawsze dają te same wyniki przez skrzyżowanie. Raz, otrzymany z nich mieszaniec wydaje kwiaty, w których słupki wszystkie posiadają nasiona płodne, drugi raz, mieszańce o kwiatach z większą ilością takich, płodnych nasion lub z mniejszą, a trzeci raz wreszcie kwiaty mieszańca są płone. Po-

[1] *Przegląd Powszechny,* tom LIV, str. 435.

[2] E. Janczewski, „Mieszańce zawilców“ *(Anemone).* Część III. Rozpr. Akad. Um. Wydz. mat.-przyr. t. XXIV, str. 187—192. Kraków 1893.

nieważ ma się do czynienia z gatunkami pokrewnymi, przeto różnice biologiczne nie zdołają już wyjaśnić tej rozmaitości wyników, uzyskanych przy skrzyżowaniu. Tu, widocznie wchodzi w grę, pokrewieństwo płciowe skrzyżowanych gatunków. W ten sposób tylko możemy zrozumieć, dlaczego dwa gatunki krzyżują się dodatnio w jednym kierunku a nie — w odwrotnym, tj. A × B a nie B × A. Wobec tego sądzićby wypadało, że gatunki całkiem różne, skoro spokrewnione są płciowo, przez przeniesienie pyłku z pręcików jednego gatunku na znamiona słupków drugiego gatunku, czyli przez skrzyżowanie, wydają mieszańców płodnych. Tak jednak nie jest. Owszem mieszańce zawilców są płone i z biegiem czasu nie zmieniają się pod tym względem. Lecz jak niema reguły bez wyjątku, tak i tu mieszaniec *Anemonanthea silvestris* × *multifida* var. *magellanica* okazał się znakomitym wyjątkiem. Zapładnia się on wybornie własnym pyłkiem, i w drugiem a nawet trzeciem pokoleniu nie zatraca swej płodności i cech pierwszego pokolenia tak, że będzie mógł być uważany za gatunek nowy, skoro doświadczenia wykażą stałość wyżej wspomnianych własności i w dalszych jeszcze pokoleniach. Rzecz to doniosłego znaczenia, bo wskazywałaby na powstawanie gatunków drogą hybrydacyi.

Mieszańce zawilców badane z nożem anatomicznym w ręku przez p. K. Miczyńskiego [1], okazały związek cech anatomicznych, wewnętrznej budowy, z cechami swemi morfologicznemi, zewnętrznej postaci. Mianowicie, budowa anatomiczna mieszańca zbliża się o tyle do takiejże budowy jednego ze skrzyżowanych gatunków, o ile wpływ jego wybitnie zaznacza się w zewnętrznej postaci mieszańca. Nowych cech anatomicznych, właściwych samemu mieszańcowi, dotąd nie zauważono. W szczególności wykazał p. K. Miczyński, że dziedziczenie anatomicznych cech rodziców występuje w mieszańcach zawilców w sposób trojaki: *a)* w równym stopniu w jednych organach, w innych w stopniu mniej więcej pośrednim lub z małą przewagą cech jednego rodzica; *b)* w stopniu pośrednim w jednym lub kilku organach, a z przewagą stanowczą cech jednego gatunku w organach innych; *c)* z przewagą cech jednego z rodziców w narządzie jednym, a w drugim tego samego mieszańca cech drugiego rodzica.

Zawilce doczekały się nadto opracowania pod względem morfo-

[1] K. Miczyński, „Mieszańce Zawilców *(Anemone L.)* pod względem anatomicznym". Ibidem t. XXIV, str. 187—192. Kraków 1893.

logicznym [1]. Ściśle przeprowadzone badania przez prof. E. Janczewskiego dostarczyły dowodów, że między budową korzeni a systematycznem pokrewieństwem odnośnych gatunków, niema żadnego związku. Owszem zależy ona tylko od czynności i budowy łodygi. Korzeń bowiem dzieli z łodygą spełnianie funkcyj życiowych w pełnem tego słowa znaczeniu. Im więc łodyga bardziej jest zastosowaną do gromadzenia zapasu materyałów, tem korzenie są cieńsze, bo ograniczone do czerpania z ziemi wody: im słabszy rozwój łodygi, tem korzenie mięsistsze, bo muszą zgromadzać w sobie materyały zapasowe, albo dzielą w tym przypadku między siebie obie czynności, tj. pobieranie wody i gromadzenie materyałów zapasowych, koniecznych do utrzymania i zachowania życia rośliny, i dlatego występują w obu postaciach: jedne cienkie, inne mięsiste. W szczególności wyróżnił autor pięć typów budowy korzeni Zawilców. Typy te odpowiadają w zupełności modyfikacyom swych biologicznych czynności.

Ten sam autor wykazał, że anatomiczna budowa łodygi jest zależna w niektórych szczegółach od sposobu życia samego pędu. Inaczej przedstawia się ona u pędów nadziemnych, inaczej u podziemnych a znowu inaczej u przyziemnych (świeżo nazwanych, choć dawno znanych!). Zadaniem osi pędów pierwszych jest wznosić w powietrze i utrzymywać duże liście i kwiaty. To też w łodydze ich zdrewniałe tkanki biorą przewagę nad niezdrewniałemi i zapewniają jej potrzebną do należytego spełnienia tej czynności sztywność. Pędy drugie mają głównie na celu gromadzenie materyałów zapasowych, tkwią zawsze pod ziemią w postaci bulw, kłęczy lub rozługów, nie wznoszą w górę ciężaru liści i kwiatów, powierzając tę czynność zielonym pędom co rok nad ziemię wysyłanym i dlatego obywają się bez przewagi elementów zdrewniałych. Trzeciego wreszcie rodzaju pędy (przyziemne) są szczupłe i małe, nie mogą pełnić funkcyj właściwych pędom poprzednio omówionym, łodyga też ich skrócona — tak, że pączek wierzchołkowy leży tuż przy powierzchni ziemi, nie jest nigdy wyłącznym, ani ważnym zbiornikiem materyałów zapasowych. Wogóle z badań prof. E. Janczewskiego wynika, że w łodydze Zawilców rzadko występuje tkanka korkowa i niema żadnych zbiorników wydzielinowych, nawet zbiorników szczawianu wapniowego.

---

[1] E. Janczewski, „Zawilce“ *(Anemone L.)* Studyum morfologiczne. Cz. III. Korzeń. Ibidem t. XXVII, str. 203—222. Kraków 1895. — Tenże, Cz. IV. Pędy i łodyga. Ibidem t. XXXII, str. 390—415. Kraków 1896.

Jakkolwiek roślina przytwierdzona jest stale do ziemi, mimo to porusza się ona nietylko za podmuchem wiatrów, lecz także pewne jej części wykonywują różne nieraz niesamowolne wprawdzie, lecz zawsze ruchy zawisłe od różnych zewnętrznych bodźców. Nie chcemy tutaj rozpisywać się o tej różnorodności poruszeń rośliny na miejscu, o ruchach złączonych nawet ze zmianą miejsca, tak pospolitych w niższych zwłaszcza typach roślin, a nie całkiem obcych i roślinom wyższym! To też zaznaczę tylko, że do wykonywania każdego rodzaju ruchów posiada roślina odpowiednie urządzenie danego organu. Liście roślin należących do rodziny Marantowatych posiadają, tak samo jak liście wielu innych roślin, wykonywające ruchy, na granicy między ogonkiem a blaszką tak zwane kolanko. Budowa tego to urządzenia (kolanka) została ściślej zbadana przez p. Br. Dębskiego [1], przyczem autor rozpoznał szczegółowo budowę innych części liścia prawie u 50 gatunków tej rodziny i oznaczył różnicę pod tym względem u liści różnych gatunków. Po oznaczeniu dalej stosunku między budową kolanka a ruchami, które z jego pomocą wykonywują liście pod wpływem światła, rozstrzygnął autor, że ruchy te odbywają się nie wskutek wzrostu, lecz wskutek zmiany turgoru na wklęsłej stronie kolanka. Kiedy bowiem komórki, mające mniej więcej jednakową średnicę, miękiszowe zyskają przez naczerpanie soków większe napięcie, zgniatają one otaczający je pokład komórek wydłużonych a przez to skracają jednę stronę kolanka i wywołują ruch liścia w danym kierunku.

Istotne części składowe kwiatu tj. pręciki i słupki zbadane zostały przez p. M. Raciborskiego pod względem morfologicznym w trzech gatunkach rodzaju *Gardneria* [2], roślin południowo-wschodnio-azyatyckich. Rzeczony autor wykrył zasadnicze różnice w budowie tych organów, co spowodowało go do rozdzielenia trzech znanych gatunków zaliczanych do tego rodzaju między dwa rodzaje, tj. *Gardneria* z gatunkiem *ovata* Wall i nowo przez niego utworzony rodzaj *Pseudogardneria* z gatunkami *augustifolia* Wall i *mitans* Si. & Z.

Aby wykazać jak się zachowują jądra komórek zmienione przez

---

[1] Br. Dębski, „O budowie i mechanizmie ruchów liści u Marantowatych". Rozprawy Ak. Um. Wydz. mat.-przyr. t. XXXI, str. 119—227. Kraków 1897.

[2] M. Raciborski, „Pseudogardneria, nowy rodzaj z rodziny Loganiaceae". Ibidem, tom XXXII, str. 313—321. Kraków 1896.

nagromadzenie materyałów zapasowych w czasie spoczynku nasion [1], podczas kiełkowania i określić rolę jaka im przypada podczas tego biologicznego procesu, podjął p. M. Raciborski poszukiwania nad nasionami łubinu żółtego *(Lupinus luteus)*, grochu *(Pisum sativum)* i kukurudzy *(Zea Mays)* [2]. Z nich okazało się, że zmienione jądra w liścieniach łubinów powracają zupełnie do pierwotnego kształtu podczas kiełkowania, u grochu tylko częściowo kształt pierwotny odzyskują a w kukurudzy wcale nie. To jednak tłumaczy się pęcznieniem jąder w czasie kiełkowania i nie może posłużyć do określenia fizyologicznej roli jądra komórkowego w stadyum kiełkowania. Zauważył atoli autor, że u kukurudzy jądra w komórkach walcowatych ssących materyały bielma, a leżących na granicy górnej części liścienia, tak zwanej tarczki, a bielma, wędrują podczas kiełkowania ku wierzchołkom owych komórek a więc zbliżają się do bielma. Odkrycie to, przemawiać się zdaje za czynnym udziałem jąder, przynajmniej w niektórych razach, w procesie kiełkowania i otwiera nowe pole do badań w ciekawej tej sprawie.

Aby nasienie powstać mogło, nieodzownem jest zespolenie się dwóch komórek płciowych. Proces ten zwie się zapłodnieniem, a przebieg jego był przedmiotem nader starannych i licznych badań. Wyni-

[1] Siejąc nasiona nie w ziemi, ale na mokrej bibule rozpostartej na dnie talerza nakrytego szklanną szybą, wyśledzić można, jak to z nasienia rzuconego w ziemię, wyrasta nowa roślina. W nasieniu bowiem znajduje się cała roślina w miniaturowych rozmiarach, cała — bo ma i korzeń i łodyżkę z pączkiem wierzchołkowym, otulonym pierwszymi liśćmi czyli liścieniami. Zowie się zaś ta miniatura rośliny zarodkiem. Wyposażony jest on nadto rozmaitymi u różnych nasion zapasami żywności (materyałami zapasowymi), które mają zapewnić mu życie i wzrost w pierwszych, dziecięcych chwilach rozwoju, kiedy to jeszcze ani korzeniem rozwijającym się czerpać soków z ziemi, ani liśćmi, stulonymi w pączku i powoli rozwijającymi się, brać węgla z powietrza w postaci dwutlenku węgla (kwasu węglowego) nie może. Materyały te nagromadzone są albo w komórkach grubych liścieni, albo osobno w komórkach okalających cały zarodek czyli w tak zwanem bielmie. Tak czy tak zgromadzone zapasy zostają przez zarodek podczas kiełkowania wysyssane i zużyte na wzrost młodej roślinki. Nagromadzenie takie materyałów w pewnych komórkach oddziaływa przez ucisk na kształt jądra komórkowego tak, że zmienia zupełnie jego pierwotną postać.

[2] M. Raciborski, „Przyczynek do morfologii jądra komórkowego nasion kiełkujących". Rozpr. Ak. Um. Wydz. mat.-przyr. T. XXVI, str. 362—372. Kraków 1893.

kiem zaś ich jest teorya coraz więcej upowszechniająca się, że zapłodnienie w świecie zwierzęcym jak roślinnym polega na zlaniu się dwóch elementów różnych tylko pochodzeniem. Skoro też Auersbach (1891) odkrył i ogłosił, że jądro jaja barwi się w mieszaninie barwika czerwonego z niebieskim — czerwono, a jądro plennika (samcze) i komórek rostowych (wegetatywnych) w tej samej mięszanine — niebiesko, a ta różnica w zabarwieniu nie zależy wcale od chemicznego składu barwika, posypały się jak z rogu obfitości badania nad tym przedmiotem. Rosen (1892), Schottländer (1892), Strasburger (1892) i Zacharias (1893) stwierdzili też zgodnie zachowanie się pod tym względem jąder płciowych u roślin i u zwierząt. W następstwie wykrycia takiej różnicy, poczynają Auersbach, Rosen i Schottländer przechylać się na stronę teoryi Van Benedena o obupłciowości jądra komórek wegetatywnych, jądra płciowe uważać za elementa płciowo odrębne, a powstałe z ich zlania się jądro zarodka za obupłciowe. Ważność kwestyi, zwracającej poglądy na dawne tory, jakoteż chęć ocenienia znaczenia otrzymywanych barwień, kazały p. M. Raciborskiemu podjąć na nowo badania nad zachowaniem się jąder wobec barwików. Przedmiotem były w tym razie jądra worków zalążkowych [1] 30 gatunków roślin okrytonasiennych, należących do 22 rodzajów, a 11 rodzin i jednego gatunku z roślin nagonasiennych. Wyniki są następujące:

Jądra komórek na dole woreczka się znajdujących (antypodów) są kyanofilne, tj. barwią się w barwiku mięszanym (jak wyżej) niebiesko, a jądra jaja, komórek pomocniczych (synergid, szczyt woreczka zajmujących) i oba jądra (późniejsze jedno) bielma są erytrofilne, tj. barwią się w tymże barwiku — czerwono. U nagonasiennych *(Bieta)* jądro łagiewki (męskie) i jądro jaja (żeńskie) są równe sobie pod każdym względem i barwią się jednakowo. W chwili zespolenia się plennika z jajem, jądro męskie, wędrujące ku żeńskiemu, nie daje się barwieniem wyróżnić, tak samo jak i u okrytonasiennych, tak, że tylko z wzajemnego ich położenia o ich pochodzeniu wnioskować można.

Są to więc rezultaty wprost odwrotne, znowu wymagają nowych badań w tej dziedzinie, spychają bowiem niedawno wskrzeszoną teoryę, która tylko jest oddźwiękiem teoryi Van Benedena (znaczenie ciałek kierowniczych) na plan drugi, a wysuwają na czoło teoryę, jaka

[1] M. Raciborski, „Chromatofilia jąder worka zalążkowego". Ibidem t. XXVI, str. 399—418. Kraków 1893.

po poszukiwaniach Hertwigów, Boveriego, Flemminga, Weissmanna nad zapłodnieniem u zwierząt, a Strasburgera i Guinarda nad zapłodnieniem u roślin, coraz szersze toruje sobie drogi, a którą na wstępie wymieniłem.

W dalszym ciągu prac nad morfologią i fizyologią komórki mamy do zanotowania studya tego samego autora nad historyą elajoplastów [1], tj. organów plazmatycznych, odkrytych i w r. 1888 opisanych przez I. H. Wakkera w *Studien über die Inhaltskörper der Pflanzenzelle*, które znalazł Wakker w niektórych młodych komórkach skórkowych u wanilii, a Zimmermann u niektórych roślin z rodziny liliowatych. Pan M. Raciborski posuwa znajomość tych organów o krok naprzód, bo wykazuje, że elajoplasty powstają wśród plazmy komórki dopiero w pewnem stadyum jej życia, tak, jak pęcherzyki żywiczne, garbnikowe, albo błona komórkowa. Z początku widać elajoplasty jako maleńkie (0,0007—0,001 *mm*) kuleczki silniej łamiące światło, po jednej w każdej komórce naskórka zewnętrznego dolnej części słupka, zalążni, tuż przy jednym biegunie komórkowego jądra. Kuleczki te rosną szybko i wykazują szkielet plazmatyczny, wśród którego znachodzą się kropelki oleistej istoty, mocno pochłaniającej barwik alkanny. Brzeg ich pokryty drobnemi wypuklinami wydaje się karbowanym. Wzrost szybki wywołuje, przez coraz zmniejszającą się umiarowość, gronkowatą postać elajoplastów, nadając im wygląd niby dziurkowatych gąbek, wielkością przewyższających nawet jądro komórkowe. Szkielet plazmatyczny ich jest erytrofilny, a więc nie zawiera istoty właściwej jądru tj. nukleiny; zawartość zaś należy do tej grupy oleistych cieczy nieznanego składu chemicznego, jakie zazwyczaj występują w starych ziarnach zieleni i innych organach komórkowych. Jakkolwiek znaczenia elajoplastów i badania p. M. Raciborskiego nie zdołały jeszcze wyświetlić, zdaje się przecież, że elajoplasty grają rolę ochronną u roślin, w których się znajdują, wobec zwierząt, jak to twierdzi E. Stahl w dziele swem *Pflanzen und Schnecken*.

Przez starannie przeprowadzone poszukiwania prof. St. Jentys [2] wykazał, że produkt przyswajania roślin, tj. skrobia ulega przemianie w roślinnym organizmie na cukier wyłącznie pod wpływem fer-

[1] Tenże, „Elajoplasty liliowatych". Ibidem t. XXVII, str. 1—22. Kraków 1895.

[2] St. Jentys, „O przeszkodach, utrudniających wykrycie dyastazy w liściach i łodygach". Rozpr. Ak. Um., Wydz. mat.-przyr. T. XXIV, str. 349—395. Kraków 1893.

mentu (enzymy), zwanego dyastazą, wbrew wywodom J. Wortmanna (1890), z których rzeczony autor wysnuwa wniosek, obalić mający dotychczasowy sposób pojmowania tej sprawy, a mianowicie wniosek, że przemiana skrobi w cukier odbywa się pod bezpośrednim wpływem żyjącej plazmy. Że jednak Wortmann oparł swój wniosek na tej okoliczności, iż w liściach i łodygach użytych do doświadczeń nie znalazł dostatecznej ilości dyastazy, przeto poszukiwania prof. St. Jentysa odkryły przeszkody, które wykrycie dyastazy utrudniają. Przeszkodami temi są: związki garbnikowe, niedostateczne porozrywanie komórek podczas miażdżenia organów użytych do doświadczeń, oraz tworzenie się (podczas rozrywania komórek) związków nierozpuszczalnych w wodzie, a powstających właśnie z dyastazy i garbnikowych połączeń. Prof. Jentys wykazał zatem, że nie brak dyastazy w komórkach, ale trudności, jakie z natury rzeczy wynikają, są powodem nieznalezienia jej przez J. Wortmanna i że nie jego teorya, ale dotychczas rozpowszechniona ma warunki istnienia w nauce.

(Dok. nast.).

Roman Gutwiński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Das Wesen des Verbrechens. Von *Julius Makarewicz, Dr. iur.* Wien. Manz'sche Buchhandlung. 1896. (W 8-ce, str. XII, 288).

Czy istotę zbrodni stanowi „zamach na dobro społeczeństwa"? Tak jest, odpowiada dr. Makarewicz i przeprowadza w swojej książce jednolity ciąg wywodów, dla których uważa przestępstwo za czyn antysocyalny, popełniony przez członka danej grupy społecznej, a uważany przez innych członków tej grupy za tak dalece szkodliwy dla nich, że występują przeciwko niemu z reakcyą zbiorową.

Książka ta, napisana z żelazną pracą, zawiera treść pełną poglądów ciekawych dla poważnego czytelnika. Ale nie każdy od razu podpisze wnioski i poglądy szan. autora; nawał myśli jędrnie zebranych sprawia, że niejeden czytelnik nie od razu zda sobie sprawę z przewodniej myśli książki i ze stanowiska, z którego trzeba oceniać poglądy szan. autora. Aby je dobrze zrozumieć, trzeba całą książkę bardzo uważnie przeczytać.

Zaraz uderzać musi szczupły zakres spraw, podciągniętych pod nazwę przestępstwa albo zbrodni. Czyż nie stanowi czynu występnego

sprawa, obojętna wprawdzie dla społeczeństwa, jednak niegodna rozumnej jednostki? Ustawa karna np. podciąga pod sąd jedynie tylko pijaka, który w stanie podniecenia powoduje publiczne zgorszenie. Czyż więc tak zwany „cichy pijak", przy zamkniętych drzwiach, nie obrażając ustawy karnej, nie popełnia jednak przestępstwa żadnego?

Dr. Makarewicz ani myśli zaprzeczać na to pytanie. W takim razie bowiem powinienby oczywiście na nie odpowiadać, gdyby je sobie stawiał, a nie postawił, bo nie pisał rozprawy metafizycznej, tylko poprzestał na dziedzinie pojęć z filozofii prawa i w niej poruszył sprawę nie często badaną, choć bardzo doniosłą.

Im częściej słyszymy i czytujemy o okrucieństwach, popełnianych w imię ustawy pisanej, albo podziwiamy na płótnie Siemiradzkiego chrześcijan palonych za opór przeciw państwowej czci bałwanów, albo ze zgrozą potępiamy prześladowcze uchwały pruskiego rządu przeciw polskim helotom, tem częściej uważamy, że państwowe przepisy i ustawy karne nie zawsze odpowiadają przyrodzonym prawom ciemiężonych obywateli; oskarżamy Izby poselskie, że stanowią uchwały, nie oparte na niczem, ani niczem innem nie spowodowane jak tylko przesądami albo nienawiścią plemienną.

Takie skargi i uwagi nieraz już zajmowały myślicieli i dręczyły ich, jak ciemna zagadka, którą przecie trzeba rozwiązać, bo trzeba zbadać ostateczną zasadę, która rozstrzyga, co uważać za cnotę, co za występek.

Poszukiwać takiej zasady należy niewątpliwie do filozofii; od filozofa żąda społeczeństwo ostatniego słowa o istocie postępku obyczajnego albo przewrotnego. To też metafizycy zawsze czuli, że do ich zawodu i posłannictwa równem prawem należy z jednej strony zagłębić oko w tajniki prawdy teoretycznej, badać oderwane prawa bytu, odkrywać ostateczne przyczyny zjawisk przyrody, jak z drugiej strony uważali także za swój obowiązek przeniknąć prawdy praktyczne i dociekali sprawę obyczajności aż do najskrytszych jej zakątków. Więc w etyce ogólnej poszukiwali ostatecznych podwalin, na których spoczywa różnica między uczciwym czynem a zdrożnym; dlatego badali samą przyrodę człowieka w jej istotnych potrzebach i popędach, którym pewne jego postępki odpowiadają, inne nie zaspokajają wrodzonych potrzeb rozumnej istoty, ani nie przynoszą jej szczęścia. Na tej zgodzie wewnętrznej czynu ludzkiego z istotnemi potrzebami jestestwa rozumnego, na ścisłym związku między wrodzoną żądzą szczęścia a od-

powiednimi uczynkami, zasadza filozof istotę postępku uczciwego, w braku tej zgody znajduje probierz spraw nieobyczajnych.

I wyroków swoich nie wydaje filozofia tylko dla własnej uciechy: nie wytyka sobie dróg bez względu na to, co ludzie pomyślą, bez wpływu na ich ustrój społeczny; filozoficzne poglądy wyciskają swoje piętno na księgach ustaw pisanych. Filozoficzne dzieła Hegla i Hartmanna wywodzą pojęcie obyczajności nie ze zgody między czynem a wrodzoną potrzebą człowieka, tylko z idei absolutu państwowego; wszechwładne państwo rozstrzyga według swojej potrzeby, co uchodzi, co nieobyczajne. Tak przedstawiona norma moralności wywiera w oczach naszych wpływ doniosły na prace ustawodawcze po sejmach i radach państwa. Transcendentalna nauka o wszechmocy rządowej odurza w Berlinie i Peszcie przeważną część Izby poselskiej, która uchwala wnioski w rodzaju bismarkowskiej ustawy kolonizacyjnej. Takimi owocami karmi opaczna filozofia.

Ale prócz ścisłej filozofii z jej przyborem metafizycznych dowodów, nowsze czasy wydały tak zwaną filozofię prawa, która także usiłuje praktycznie rozstrzygnąć sprawę obyczajności. Nim metafizyka głębszymi wywodami rozświeci prawdę i rozwieje mgłę pojęć mętnych, tymczasem filozofia prawa usiłuje jakąś mniej oderwaną zasadę postawić, którąby przyświecała przy uchwałach ustawodawczych i chroniła kodeksy karne od paragrafów tyrańskich.

Ta nowa nauka, wykładana na wydziale prawniczym, nie filozoficznym, tak zwana filozofia prawa, nie docieka ostatecznych podwalin, na których spoczywa różnica między czynem godziwym a występnym: zbadanie tych najgłębszych tajników zostawia metafizyce; sama poprzestaje na tle pojęć uchwytnych i przystępnych dla umysłów dość światłych, aby brać udział w pracy ustawodawczej, a nie oddanych metafizyce z zawodu. Ta praktyczna etyka albo filozofia prawa ogląda czyny zewnętrzne, których dotyczy księga ustawy karnej, według przysłowia: *de internis non iudicat praetor;* roztrząsa objawy życia społecznego, przekazane przez etnografię i historyę, a rozmaicie cenione przez różnych ustawodawców: przez jednych okładane karami, przez innych podawane do nagrody; rozprawia o zbrodni i przestępstwie, o ile przeciw nim różne społeczeństwa reagują. W takim zakresie usiłuje urobić pojęcia, niezależne od ksiąg prawa pisanego, i zamierza położyć tamę sprzecznym, samowolnym i zmiennym sądom o tym samym czynie, tu karanym śmiercią, tam wynagradzanym pomnikami.

Do dziedziny filozofii prawa należy książka d-ra Makarewicza:

zaznacza to zaraz napis: *Das Wesen des Verbrechens. Eine criminal-sociologische Abhandlung auf vergleichender und rechtsgeschichtlicher Grundlage.* Stąd wynika szczupły zakres spraw, podciągniętych w tej książce pod nazwę zbrodni. Ustawa karna wypływać ma z potrzeb społeczeństwa, dla którego księgę praw pisze ustawodawca; a nie każdą wrodzoną potrzebę musi człowiek pojedyńczy zaspokajać w związku ze społeczeństwem, i tylko w części do społeczeństwa należy i od niego zależy, nie w każdej sprawie potrzebuje opieki i pomocy. Więc ustawodawca nie ma na oku całego człowieka, z całą jego żądzą szczęścia; ani księga prawa karnego nie wchodzi w osobiste niczyje sprawy takie, któremi ktoś może nie zaspokajać swoich potrzeb istotnych, nie osiągać szczęścia, słowem, pełnić czyny niegodziwe w sobie i nieuczciwe, ale bez żadnej szkody dla stosunków społecznych. Ustawodawca milczy o wielu postępkach pojedyńczej osoby, póki na nią społeczeństwo nie podniesie skargi i nie zaczyna oddziaływać, póki na osobistych czyichś sprawach ogół nic nie traci, ani nie zyskuje. Przeciwnie znowu może jednostka osobiście, bez żadnej myśli opacznej pełnić czyn w sobie godziwy i uczciwy, przynajmniej obojętny, np. spędzać co dzień godziny popołudniowe na przechadzce dla zdrowia; ale pospolita potrzeba może w niektórych razach pozbawić takiej przechadzki np. urzędnika, którego zamyka w biurze; w takim wypadku czyn ostatecznie uczciwy, sam w sobie niewinny, godziwy według przyrodzonego prawa, może wobec okoliczności i przy stosunkach społecznych przynieść czasem dotkliwą szkodę społeczeństwu; więc mówi o nim ustawa karna i karę wyznacza, jak za inne przestępstwo czy zbrodnię.

Słowem, pojęcie zbrodni, objętej ustawą karną, nie odpowiada całkowicie metafizycznemu pojęciu zbrodni, ani nie ogarnia spraw wewnętrznych, i bliżej w czyny zewnętrzne wnika, niż metafizyka i etyka ogólna. Nie pokrywają się te dwa pojęcia, nie przystają do siebie, chociaż znowu nie sprzeciwiają się wzajemnie. Może socyolog nazwać zdrożnym czyn, w którym metafizyk widzi sprawę obojętną, albo filozofia musi potępiać według prawa przyrodzonego sprawę, o której milczy ustawa karna; to znaczy, że metafizyk i prawnik nie zupełnie jednakowo pojmują zbrodnię; ale między ich pojęciami nie powinno zachodzić przeciwieństwo: nie powinna księga praw mienić cnotą sprawy występnej według prawa przyrodzonego, ani cnoty przyrodzonej karcić, jak gdyby zbrodnię. Więc bez walki między sobą idą te dwa pojęcia każde swoją drogą. Z bardziej oderwanych zasad, jako ze źródeł, czerpie swoje pojęcie metafizyk: o uchwytniejszych wypadkach i na-

macalniejszych objawach społecznych sądzi prawnik i rozprawia socyolog; a z nimi w jednym obozie dr. Makarewicz stoi, kiedy bada pojęcie zbrodni i jej istotę. Więc przesuwa przed oczy czytelnika różne obrazy społeczeństw, w których daje poznać istotne potrzeby ludzi, związanych wspólnymi zamiarami, czy innymi węzłami stosunków. Z rozbioru tych potrzeb wspólnych pokazuje dalej, jak węzły społeczne przynoszą pożytek pojedynczym ludziom, ale jak przytem każdy członek społeczeństwa musi spodziewane pożytki opłacać uszczerbkiem w swobodzie osobistej; ustrój społeczny przynosi pomoc i obdarza prawami do wzajemnej obrony, ale żąda wzajemnych ustępstw i nakłada obowiązki. Stąd autor wysnuwa następnie pojęcie władzy zwierzchniczej nad społeczeństwem i ustaw, któremi ta władza prawomocnie utrzymuje obywateli w karbach społecznego porządku. Tą drogą dochodzi nakoniec autor do pojęcia zbrodni, jako czynu szkodliwego dla społeczeństwa, jako zamachu na dobro pospolite.

Na ten przebieg wywodów szan. autora i na stanowisko przez niego zajęte powinien czytelnik oczywiście uważać, aby w rozprawie z zakresu kryminalistyki socyalnej nie wyczytać poglądów z etyki ogólnej; w takim razie niektóre zwroty szan. autora musiałyby razić i nawet gorszyć chrześcijanina, gdyby miały wypowiadać zasadniczą prawdę filozoficzną, a nie wyrażały myśli stosownej w ścisłym obrębie socyologii prawniczej.

Do takich zwrotów, które na pierwszy rzut oka niechybnie wyglądają na wzięte żywcem z najskrajniejszego pozytywizmu filozoficznego, należą słowa: „nie istnieje żadna etyka absolutna, ani niema znowu etyki indywidualnej, są tylko osobiste poglądy na to, co obyczajne, co nie“. Słów tych szan. autor w tekscie dzieła nie umieścił, tylko tak mniej odpowiednio do swojej myśli streścił w spisie rzeczy ustęp książki, w którym dowodzi, że każde społeczeństwo stosuje swój kodeks karny do własnych potrzeb, każde broni swojej praktycznej etyki, urobionej pod wpływem własnych potrzeb, w ciasnym zakresie własnych stosunków. Stąd niezawodnie różne ustawodawstwa muszą różnie oceniać tę samą sprawę, obojętną wobec prawa przyrodzonego, a w jednych społeczeństwach szkodliwą, w innych niewinną a nawet może pożyteczną. Wybić z białej blachy orła to sprawa obojętna z prawa przyrodzonego. Wywiesić białego orła w cesarstwie rosyjskiem stanowiłoby zbrodnię. W Krakowie biały orzeł służy za godło nad apteką tak samo, jak w pobliżu na innej kamienicy paw; nikt w tem nie widzi zamachu na państwo austryackie, tylko jedni mogą upatrywać

uczciwy objaw patryotyzmu, więc cnoty, bo miłość ojczyzny sama w sobie należy do cnót; drudzy w białym orle, zawieszonym nad apteką, mogą widzieć brak patryotyzmu i sponiewierane godło Polski, bo obrócone na taki użytek, do jakiego służy równie dobrze paw. Takich wypadków można przywieść tysiące; autor wprowadził ich także kilka. Czy dobrał wszystkie przykłady szczęśliwie, o to na razie mniejsza, tak samo, jak mało na tem zależy, czy potrzebnie między przykładami figurują Jezuici, jakoby wyznawali zasadę o środkach uświęconych celem, o czem zresztą mimo powagi Krasińskiego, sam szan. autor wątpi; dość tego, że na różnych przykładach autor chce okazać, jak ten sam czyn uchodzi raz za niewinny, raz za występny w księgach ustaw, według potrzeby społeczeństwa. Więc owym zwrotem o etyce względnej wyraża tylko myśl, że przepisy państwowe i zbiory praw, słowem, księgi etyki praktycznej, zawierają zasady tylko względnie słuszne i sprawiedliwe, a nie istnieje żaden kodeks ludzki dla czynów zewnętrznych, któryby absolutnie i niezmiennie wszędzie mógł obowiązywać. O takiej normie mówi metafizycznie etyka ogólna, którą autor jakby zasadniczo nietkniętą zostawiał na uboczu... słusznie, jeżeli nie chce mieszać odrębnych dwóch pojęć.

Nie można jednak kwestyi zakończyć bez słowa poważnego zarzutu. Niestety obniża filozoficzną wartość tej książki brak jasno postawionej zasady, że zbrodnia jest pojęciem przedmiotowem, a nie tylko wynikiem osobistych poglądów ustawodawcy. Prawdę wypowiada autor, kiedy uważa dobro społeczeństwa za probierz obyczajności, czynów zewnętrznych, chociaż wyraża przez to probierz niecałkowity, bo jak wyżej powiedziano, przecież człowiek ma obowiązki nietylko względem społeczeństwa, ale i względem Boga, względem siebie. Dalej probierz ten nie jest ostatecznym, bo ostatnią przyczyną różnicy między złem i dobrem musi być coś absolutnego, jak stosunek człowieka do Boga. Także i to prawda, że ustawę rzeczywiście pisze sobie społeczeństwo według tego, co uważa za swoje dobro. Bez osobistych poglądów na to, co pożyteczne, a co szkodliwe, nie może pisać ustawy ani Izba przedstawicieli społeczeństwa, ani samowładca, który niby to myśli za społeczeństwo poddane. Ale szan. autor nie wyraził jasno, że co innego mogą ustawodawcy podmiotowo uważać za szkodliwe, co innego może przedmiotowo stanowić szkodę albo pożytek dla społeczeństwa. I ten przedmiotowy probierz ostatecznie rozstrzyga o filozoficznem pojęciu zbrodni. Niechby całe społeczeństwo ludzkie ze wszystkimi ustawodawcami na świecie zgodnie uważało tego chrześcijanina za zbrodnia-

rza, który śmie odmówić boskiej czci bałwanowi; w rzeczy samej jednak tak nie jest. Albo zniesienie własności może społeczeństwo uważać za rzecz bardzo pożądaną i zatwierdzić ją ustawami, mimo to rozum tej ustawie odmówi podstawy przedmiotowej, sumienie nie uzna jej za ustawę rzeczywiście ważną. O tym probierzu przedmiotowym ustawy słusznej nie mówi szan. autor ani z naciskiem dobitnym, ani nawet dość jasno.

Nie brak jeszcze innych zwrotów albo wywodów, których także, choć w innej myśli, mógłby użyć Lombroso, Spencer albo Darwin; ale na szczęście Polak takimi zwrotami i wywodami żadnej zasady chrześcijańskiej nie zaczepił świadomie, o ile z toku dzieła wnosić należy. Tak np. dr. Makarewicz w różnych obrazach społeczeństwa, właściwiej grup socyalnych, naprowadza czytelnika indukcyjnie na pojęcie istoty społeczeństwa i jego potrzeb; do tych obrazów wprowadza nietylko ludzi, związanych węzłami społecznymi, ale często także i zwierzęta, żyjące gromadnie. Tak jakoś inteligentnie występują te zwierzęta, szczególnie wprowadzone według opisu Brema, że nasunąć mogłyby na myśl pytanie: czy autor przypadkiem nie hołduje transformizmowi ultradarwińskiemu? Ale sam autor spotrzegł, że mógłby usłyszeć taki zarzut; więc w dopisku zdaje sprawę, że wprowadza gromady zwierząt dla jaśniejszego wykładu sprawy w świetle analogii, a nie jakoby ze zwierząt czerpał dowody równorzędne z innemi.

Słowem, zataić tego przed sobą nie mogą czytelnicy, że autor wybrał drogę ślizką, na której łatwo upaść. Musiał wszystko budować od ziemi; oryginalną pracę zadał sobie, w której miał tu i ówdzie jakąś wskazówkę, ale właściwego wzoru nie miał. Na własną rękę postanowił indukcyjnie przeprowadzić zasadę, że dobro społeczne rozstrzyga, który uczynek obywatela trzeba nazwać uczciwym, który występnym. Zaczął od określenia pojęć. Wprowadził określenie społeczeństwa, tymczasem tylko słowne, aby czytelnik wiedział, o co mniej więcej idzie. Do rozbioru tego pojęcia, na razie mglistego, ale dostatecznego na początek, autor zgromadził niezmiernie bogaty zapas szczegółów z wiedzy ściśle doświadczalnej; w jej świetle rozszerzał treść pierwotnego pojęcia i rozwijał je wielostronnie. Tak urobione pojęcie społeczeństwa prowadziło dalej przez wymienione wyżej następne pojęcia: potrzeb społecznych, ustroju społecznego, władzy i t. d. do ostatecznego wyniku, do określenia zbrodni. Co krok opierał autor dalsze wywody na coraz obfitszym przyborze indukcyjnym, aż doszedł do pożądanego kresu. W tym lesie szczegółów, wypadków, cytat, uwag i po-

glądów, raz bronionych, raz zbijanych, nie dziw, że nie każdy drobiazg, nie każdy kamyczek wszedł do budowy zupełnie oszlifowany, albo najwygodniej umieszczony; dość, że podtrzymuje mur i budowa stanęła pod dachem. Prawda, że nadmiar tylu nagromadzonych w jednej książce myśli wpłynął ujemnie na rozwój treści: trzebaby w kilku tomach wydać to dzieło, żeby uniknąć pośpiechu, z jakim autor dąży do końca. Jak w błyskawicznym pociągu podróżny niema czasu rozpoznać dokładnie okolicy, tak czytelnik tej książki widzi w niej prawie kalejdoskop wiedzy i mimowolnie z narzuconych przelotnie sądów gotów wyciągać wnioski, do których, jak z dalszych ustępów widać, autor nie zmierzał. Przy takiem bogactwie treści nie dziw, że ani autor może nie każdemu poglądowi nadał wyraz sądu wytrawnego, ani pewno żaden z recenzentów tej książki nie mógł ocenić jej całkowicie; przynajmniej w polskich recenzyach jeden to podniósł, drugi owo; aby całą książkę wyczerpać, trzeba osobnego dzieła. Z tych jednak poglądów mniejszej wagi, w których szan. autor wolał pisać ciemno, niż rozwlekle, nie można ujemnie sądzić o całem dziele; przyznać autorowi trzeba, że cennym i pożądanym nabytkiem wzbogacił polskie piśmiennictwo w zakresie filozofii prawniczej.

Wogóle prosić trzeba szan. autora, kiedy pomyśli o drugiem wydaniu swojego dzieła, żeby wyraził niejednę myśl ważną i przeprowadził niejeden wywód o wiele jaśniej, dokładniej i ściślej.

Ks. K. Czaykowski.

La „Religion de Jésus" ressuscitée au Japon dans la seconde moitié du XIX. siècle. Par *Francisque Marnas,* missionaire apostolique. Paris et Lyon, Delhomme et Brignet.

Przed niedawnym czasem zdawaliśmy sprawę na tem miejscu z martyrologium Kościoła w Japonii, sporządzonego przez ks. Profillet. Obecnie wikaryusz jeneralny z Osaka kreśli dzieje odrodzenia się wiary chrześcijańskiej na tej zbyt długo niegościnnej dla ewangelicznego zasiewu ziemi. Przypomina na wstępie wzruszenie, które ogarnęło cały świat katolicki na wiadomość, że w marcu 1865 r., pewien misyonarz zabiegły w głąb Japonii, odkrył tam wierną ojców wierze gminę chrześcijańską. Mniemano, że nic z apostolskiego posiewu św. Franciszka Ksawerego i jego następców nie mogło się ostać wśród krwawego a nieustannego prześladowania, które morzem krwi zalało całą tę część Winnicy Pańskiej, a tyczasem, zaledwie względny zaświtał pokój, zaledwie się pojawili nowi na tych wybrzeżach apostołowie, znaleźli się

wnet potomkowie dawnych chrześcijan, świadczący o niezłomnej wytrwałości licznych pokoleń, co potrafiły ustrzedz skarbu wiary. Dla nas są to dzieje pokrewne i pouczające, odejmujące wszelką pokusę zwątpienia, wszelki lęk zagłady wiary świętej. Po ćwierćwiekowym ucisku, Unici podają się za katolików i Polaków, nie dają się wciągać do spisów prawosławnej ludności, po latach głodu duchownego, sybirscy osadnicy i wygnańcy garną się do kapłanów spieszących z pomocą i pociechą religijną; po wiekach prześladowania, ziarno gorczyczne, wsiane w ziemię japońską, odnajduje się i rozrasta w drzewo wspaniałe. Zaiste, pełne otuchy są to objawy i dowody, które poznawać należy, aby się w dobrej utwierdzać nadziei.

Starsi z pośród nas pamiętają głębokie wzruszenie, które ogarnęło wszystkich katolików na wieść dokonanego w Japonii odkrycia garstki ukrytych chrześcijan. Ogólnie jednak owo wrażenie zwietrzało, nie znano szczegółów odkrycia, ani onego skutków, nie słyszano o uciskach doznanych przez chrześcijan japońskich, zanim dobili się najprzód tolerancyi, a z czasem i zupełnej swobody. Te to dzieje zapragnął spisać ks. Marnas. „Postanowiłem przedstawić czytelnikom, pisze on we wstępnem słowie, tych chrześcijan oszczędzonych mieczem siepaczy i prześladowców, którzy pośród mnóstwa nieprzyjaciół i donosicieli, potrafili zazdrośnie ustrzedz wiarę ojców, przekazując ją przez siedm do ośmiu pokoleń dzieciom swoim; dalej apostołów oczekujących wytrwale otwarcia zawartych granic japońskiego państwa, aby weń wkroczyć i odnaleść dziedzictwo dawnych męczenników; początki ich działania, osłonięte najgłębszą tajemnicą; zerwanie się nowej burzy, grożącej nowem też zniszczeniem i bezpośrednio po niej następujące rozpogodzenie, zorzę swobody, wolność synów bożych i słowa bożego, tak w ludnych miastach jak po wyspach Oceanu, nareszcie ustalenie się pokoju, zdobytego tylu łzami, okupionego tak hojnym krwi haraczem. Zaiste, wspaniała jest to karta w dziejach Kościoła“.

Z miłością nakreślona historya musiała wypaść szczęśliwie. Autor w wielkich rysach przypomina początki chrześcijaństwa w Japonii i rychłe onego zmiecenie niebywałem prześladowaniem. Po dokonanej zagładzie i formalnych rzeziach, zamyka się Japonia dla przesłańców Ewangelii, znika imię chrześcijańskie z jej powierzchni. A jednak raz po raz jaki odważny misyonarz próbuje się wedrzeć w te zaklęte progi, jak np. ów sycylijski ksiądz Sidotti, który w początku XVIII. wieku wylądował w Japonii, a rychło schwytany i wydany w ręce oprawców, umarł w więzieniu, ochrzciwszy wpierw dwóch strażników więziennych.

Odrodzenie wiary chrześcijańskiej poczyna się przejawiać w r. 1844, kiedy t. zw. wojna opiumowa uchyliła w części przed Europejczykami zawarte bramy cesarstwa chińskiego. Odtąd błysnęła nadzieja, że i Japonia się dla nich otworzy, co też nastąpiło, po długiem wszelako oczekiwaniu. Wysunięte posterunki misyonarskie zajęły najprzód wyspy Liu-Kiu i Hong Kong, aby stamtąd czatować na sposobną chwilę, która wybiła dopiero w r. 1859, uprzystępniając porty japońskie odważnym misyonarzom, którzy się tam w ślady kupców europejskich wcisnęli. Niełatwe były to początki, utrudnione nienawiścią Japończyków ku wszelkim cudzoziemcom. Z odkryciem szczątków dawnej gminy chrześcijańskiej, nowa dla Japonii świta doba. Należy odczytać szczegóły tego odkrycia w książce ks. Marnas (tom I, str. 487), ażeby odczuć doniosłe wrażenie owej chwili. Ciężkie jeszcze następują próby, darmo potęgi europejskie usiłują osłonić swą opieką japońskich spółwyznawców. Rząd japoński nie zawiesza prześladowania, acz publicznie zaprzecza onego istnieniu. Ostatecznie, pokój dopiero w r. 1874 się ustala, darząc chrześcijań upragnioną swobodą. Dziś Japonia posiada własną hierarchię katolicką, ustanowioną przez papieża Leona XIII., jedno arcybiskupstwo i trzy biskupstwa, a liczba chrześcijan z każdym dniem się wzmaga.

Książka ks. Marnas jednem jeszcze zaleca się polskim czytelnikom: otóż autor wyczerpującą swą pracę złożył w dani kardynałowi Ledóchowskiemu, prefektowi Propagandy, który łaskawie przyjąć raczył poświęcone sobie dzieło. Trzech biskupów japońskich, z Tokio, Nangasaki i Yakodate, odręcznem pismem pochwaliło znakomitą a trudną pracę ks. Marnas. Dodajemy, iż do sumienności treści, przydał on staranność formy, że dwadzieścia jeden heliograwur oraz karta Japonii dopełnia tekst wyczerpujący, objęty w dwóch tomach, ze wszech miar godnych poznania.

M.

Powieść polityczna w Anglii.

Nie widać dotąd zastoju w olbrzymiej powieściowej produkcyi Albionu. Płyną z za morza nieprzerwaną falą powieści, ubierane w kontynentalną okładkę przez niemieckich przedsiębiorców. Najświeższa statystyka wykazała, iż rok rocznie pojawia się w Anglii do tysiąca romansów, przeważnie dwu i trzechtomowych. Ostra krytyka czasopisma *The Atheneum* darmo co tydzień sądzi i zasądza błahe najczęściej

utwory. Znajdować one muszą gotowych czytelników, skoro ich przyrost nie ustaje. Kilka atoli zaledwie nazwisk, kilka wybitniejszych płodów co rocznie wybija się nad poziom, unosi nad szybkiego zapomnienia falą, szerszą zdobywa i zachowuje sławę, jedna sobie uznanie krytyków. W rzędzie owych wyjątków niezawodnie dziś pomieścić należy panią Humphry Ward. Zdobyła ona sobie przewodnie stanowisko, opróżnione przez śmierć utalentowanej autorki, piszącej pod pseudonimem George Eliot. Owszem, niemal ją przeszła bądź powabem swych opowiadań, bądź ich poczytnością, przedstawiającą się wcale imponująco. Wystarczy przypomnieć, iż trzy pierwsze powieści: „Robert Elsmere“, „David Grieve“ i „Marcella“ przyniosły jej ni mniej ni więcej, jak poważny zysk bez mała dwóch milionów franków! Pierwszy z pomienionych utworów rozszedł się w 130.000 egzemplarzy, a dalsze nie słabszego doczekały się powodzenia.

Wszystko się zresztą złożyło, aby niezaprzeczony talent pani Ward mógł w najodpowiedniejszych wybujać i rozwinąć się warunkach. Otoczenie i wychowanie zarówno wpłynąć musiały na ukształtowanie jej myśli i pióra. Wnuczka Tomasza Arnolda, który rządząc kolegium w Rugby, zasłynął jako mistrz niedorównany sztuki wychowawczej i wpłynął na moralny i intellektualny rozwój kilku w Anglii pokoleń, pani Ward jest siostrzenicą niemniej znanego Matthew Arnolda, poety i pierwszorzędnego dziś essayisty i krytyka angielskiego. Ojciec jej dotąd zajmuje katedrę profesorską przy uniwersytecie w Dublinie, mąż jest profesorem w Oxfordzie, ona sama obraca się w wykwintnem kole najprzedniejszych umysłów duchowej arystokracyi całego kraju. Słusznie zauważono, iż kobiety, imające się pióra, zwykły wnosić w nowe swe rzemiosło namiętną żywość serca swego, wyobraźni i nerwów. Dla nich pole literackiej twórczości od razu w arenę się zamienia. Dość wymienić nazwisko pani Sand, dziś pani Humphry Ward. Ta ostatnia ma bardzo wysokie aspiracye i dążności: we wszystkich naraz kierunkach chciałaby reformować wadliwe w jej oczach urządzenia i stosunki. Śmiały jej animusz nie cofa się przed żadną imprezą. Pierwszy bój stoczyła na polu religijnych zagadnień, podejmując w „Robercie Elsmere“ odwieczny problemat pogodzenia wiary z wiedzą. I do jakichże konsekwencyi doszła? Oto zdobyła się na wytworzenie jakiejś osobistej religii, pozbawionej zarówno dogmatów, jak cudów, któraby rzekomo zaspokoić mogła ludzi wierzących i ludzi myślących. Chciwa nowinek Anglia, do nieprzeliczonych sekt roztaczających łono anglikanizmu, ochotnie przyłączyłu „Elsmeryzm“, który

chyba samejże onego założycielce nie wystarczył, skoro w następnych jej utworach znaczą się jeszcze nowe ewolucye ducha, nie nasyconego wynalezioną sztuczną formułką i systematem. W „Dawidzie Frieve“ pani Ward przedstawiła walki i próby dwojga sierót, rzuconych w war życiowych niebezpieczeństw i pokus. W „Marcelli“ nareszcie, oraz w dopełniającym tę powieść drugim a niepoślednim utworze, zatytułowanym: „Sir George Tressady“, autorka odbiegła szlaku religijnych kwestyj, aby raczej uderzyć w stronę społecznych zagadnień obecnej chwili.

Szlachetna żądza przyspieszenia naprawy szkodliwych warunków bytu, niesienia pomocy wydziedziczonym, udzielania podniety szczęśliwszym i możniejszym, oto zadanie owych dwóch powieści o socyologicznej i politycznej doniosłości. W obojgu pani Ward wskazuje niedolę proletaryatu: wiejskiego w „Marcelli“, górniczego i miejskiego w „Sir George Tressady“, stawiając jednocześnie programat socyalizmu wielce różnego od zasad, okrywających się tem mianem. Jej socyalizm wypływa z pięknego poczucia odpowiedzialności klas przewodnich, których zbliżenia ku warstwom cierpiącym i pracującym nadewszystko pragnie i uczy.

Bohaterka jej, Marcella, urodzeniem należy do patrycyatu angielskiego, z którego ojciec jej do pewnego stopnia został wykluczony skutkiem grzechów burzliwej młodości. Troska i bieda hardą dziewczynkę przybliżyły do świata ubóstwa i nędzy, nadzwyczajna jej piękność i rzadkie dary otwierają jej natomiast przystęp do tych kół szczęśliwszych i wybranych, co jej ojca odtrąciły. Duma jej zrazu się waha, dobre serce ciągnie w przeciwną stronę, wolałaby niezależnie, na własną rękę ludowe ratować niedole, nie spętać się żadną zależnością, nawet od ukochanego człowieka. Skądinąd domyśla się, jak dalece wysokie położenie i majątek, świetne nazwisko i stanowisko gotoweby spotęgować jej działanie, rozszerzyć zakres jej wpływów, otworzyć nowe pola jej litościwej czynności. Przyjmuje tedy hołdy szlachetnego Aldousa Raeburn, najpierwszego w okolicy magnata, idąc nie tyle za sercem, ile za ambicyą władzy, czynu, wpływu. I cóż, że to wszystko chce oddać w służbę uciśnionych, cierpiących, nieszczęśliwych, kiedy wychodzi z wadliwego założenia, nie wypłacając się miłością za miłość, uważając narzeczonego raczej za powolne narzędzie w swem ręku. Dojrzalszy i wytrawny Raeburn nie ustępuje wszelako nawet najszlachetniejszym mrzonkom dziewczyny: stawia poczucie sprawiedliwości i prawa ponad dorywczymi zapędami miłosierdzia i litościwego społczucia. Nieporozumienie między narzeczonymi dochodzi do punktu

kulminacyjnego z okazyi głośnej w okolicy plagi kłusownictwa. Marcella widzi tylko możnowładców broniących przywilejów myśliwskich, zaślepia się na zbrodnię rozmyślnego gajowych zabójstwa, na usystematyzowaną kradzież leśną i bunt przeciw ustawom państwa. Zjawia się w tej psychologicznej chwili młody polityczny warchoł, gotów na własną korzyść naprężyć jeszcze stosunki między narzeczonymi, bodaj zerwać nić, łączącą ich serca. Typ to doskonały wichrzyciela, rzekomo wyłącznie zajętego krzywdą ludu, pochlebiającego wszelkim urazom, dworującego waśniom i żalom maluczkich, nie na to wszelako, by im przynieść pomoc i pociechę, lecz raczej na to, aby się wynieść na ich karkach i grzbietach, z ich nędz i ucisków dla własnej karyery urobić sobie pewną podstawę, a opozycyą przeciw wszystkiemu, co ustawą i prawem, zdobyć sobie popularność, rozgłos i znaczenie. Marcella na razie w nim widzi pożądanego sprzymierzeńca, zrywa węzły z umiarkowanym Raeburnem, ażeby w krótkim czasie się przekonać, iż rzekomy jej sojusznik w akcyi ludowej, dostępnym jest na wszelkie pokusy, skłonnym do zaprzedania swych zdolności i oratorskiej swady więcej dającemu, że nie lud, nie uciśnionych i ubogich, lecz siebie tylko szuka, kocha, ma na celu. Rozczarowanie okrutne, acz mniej gorzkie od własnych zawodów, gdy z kolei Marcelli zapisywać przychodzi długi szereg samychże pomyłek. Chciała dobrze, dobrem sercem niosła to, co mniemała być pomocą, środkiem uszlachetnienia i podniesienia ludu, a tysiącznych nieszczęść, klęsk, nieporozumień stała się przyczyną. Duch jej pokornieje w tych próbach, szuka ulgi, nie już w rządzeniu wyłamującemi się z pod jej kierunku i wpływu okolicznościami, warunkami i ludźmi, lecz w bezpośredniej służbie nieszczęśliwych. Gorycz napełnia jej duszę na widok płonnych usiłowań, chybionych planów ratunkowych, zmarnowanych jałmużn. A teraz w dodatku budzi się tęsknota za tem dzielnem ramieniem i sercem, które jedno mogłoby ją prowadzić i przeprowadzić przez życie. Zmarnowała szczęście własne, bodaj cudze, a żadna ofiara już utraconego nie wróci, nie okupi pokoju. Tu raz po raz występuje przejawiająca się coraz częściej na łonie anglikanizmu potrzeba spowiedzi. Gdyby komu wyznać wewnętrzną rozterkę, pomyłki, błędy, ulżyłoby się odpowiedzialności sumieniu, sercu! Aż dziwnie pobrzmiewa ta struna pod piórem twórczyni Elsmeryzmu, zaciętej przeciwniczki jakiegobądź kapłańskiego posłannictwa i pośrednictwa między ludźmi a Bogiem. W wyznaniach poczynionych umierającemu przyjacielowi Raeburna, w spowiedzi temu ostatniemu zrobionej, Marcella odzyskuje równowagę, spokój i szczęście.

Żegnamy ją w końcu trzeciego tomu jako przyszłą lady Maxwell, bo ten tytuł spada dziedzictwem na Aldonsa Raeburn i jego małżonkę.

Acz nie brak rozwlekłości w długiem opowiadaniu, bije zeń czar szlachetny, powiew gorącego uczucia i współczucia dla ludzkiej nędzy, rzetelny talent, świetny styl i niezrównana opisowość, składając się w całość przedziwną. Nie zna Anglii, nie pozna starożytnych siedzib, pełnych starej kultury odwiecznych *manors*, parków i lasów, łąk zielonych i pastwisk, kto się nie wczyta w nieporównane opisy pani Humphry Ward. Z łatwością dokładnej znajomości przerzuca się ona z pałaców sterczących dumnie do chat pełnych niedoli i nędzy, z wykwintnych salonów do przytułków cierpienia czy zbrodni. Obrazy miejscowości, czy wizerunki osób zarówno barwnie, jaskrawo i żywo wypadają. W szlachetnej żądzy uharmonizowania rozbitej, rozstrojonej ludzkości, miss Humphry Ward przypisuje sferom przewodnim wyłączne niemal zaprzątanie się kwestyami społecznemi, wprzęganie się w czynną służbę cierpiącej ludzkości, podjętą chętnem sercem rolę starszej braci. To idealne pojęcie powołania i posłannictwa arystokracyi, idealne też stwarza typy, a tak Marcella, jak Raeburn taką tylko ofiarnością, poświęceniem, życiem dla kraju, dla bliźnich, dla nieszczęśliwych.

Ktokolwiek przeczytał „Marcellę", rad będzie odnaleść interesującą bohaterkę w następnym utworze pani Ward, przenoszącym nas z wiejskich ustroni i zabiegów w war parlamentarnego życia i wir politycznych stronnictw. Sir George Tressady jest młodym, obiecującym członkiem partyi konserwatywnej, przeciwnikiem gwałtownych reform, obrońcą dawniejszego utartego rzeczy porządku, dawniejszych obojętności i nieufności wobec warstw niższych, których potrzeb i żądań wolałby nie znać, ażeby takowych nie uwzględniać. Skłonny do powierzchownego brania i ludzi i rzeczy, żeni się lekkomyślnie z osóbką pełną próżności, małostek i egoizmu. Wtem na drodze rosnących powodzeń publicznego zawodu, w którym próbuje utopić niesmak przy własnem kosztowany ognisku, Tressady spotyka Marcellę Maxwell, której wdzięk rozumny i szlachetne w sprawie uciśnionych zapały, słowem, urok nieprzeparty zabiera mu duszę. Gotów w jej ślady zejść ku maluczkim, wkroczyć w zamknięty, zaklęty świat trudu i nędzy.

Nie przekonany jeszcze, ale wstrząśniony w dotychczasowych przekonaniach, nie czuje już dawnego pod nogami gruntu. Lady Marcella tymczasem, która w całym świecie nie widzi, jak tylko ukochanego małżonka oraz sprawę, której on życie poświęcił, z wrodzoną żywością usiłuje zjednać i przywódcy i sprawie, nowego a utalentowa-

nego sojusznika. Przychodzi dzień rozstrzygający losem billu roformy, wszystkie są dane, że stronnictwo lorda Maxwella odniesie porażkę. Nagle w duszy Tressady'ego budzi się nieprzeparta żądza sprzeniewierzenia się dotychczasowym przyjaciołom politycznym, byle zapewnić tryumf sprawie umiłowanej przez Marcellę. Czynnik ten bez porównania silniej o jego zwrocie rozstrzyga, aniżeli zupełna dotychczasowych zasad odmiana. Pali *maiden speech* o niebywałej wymowie i doniosłości, porywa Izbę, zmienia jej usposobienie, zdobywa poparcie billowi reformy, który przechodzi nieprzewidzianą większością... Ale ten krok oczywiście łamie jego polityczną karyerę, żadnej mu zaś nie przynosi rozkoszy. Bo dziennikarskie gadziny wnet rozgłaszają, iż nieprzewidziana ewolucya młodego konserwatysty jest dziełem pięknych tylko oczu, nie zaś wynikiem przekonań osobistych. Marcella głęboko odczuwa tę obelgę, tem dotkliwszą, iż dla ubóstwiającej małżonka żony, świat cały nie istnieje, okrom tego jedynego ukochanego. Ale nad tę osobistą urazę i upokorzenie, szlachetna dusza Marcelli inną zgryzotą zatruwa sobie tryumf sprawy. Oto w brzydkiej zazdrości żony Tressady'ego, w widocznej między małżonkami rozterce, w zburzeniu ich ogniska domowego, lęka się dopatrzeć własnej winy, własnego, nieświadomego oddziałania i odpowiedzialności. Naprawić złe, jeżeli bezwiednie przez nią się stało, wynagrodzić krzywdę, nawet gdy się jej nie zrobiło umyślnie, bodaj zapewnić gruntowniejsze podstawy kruchemu a teraz zniszczonemu szczęściu, oto zadanie, które podejmuje. Korzysta z przelotnej nieobecności Tressady'ego, aby żonę jego, acz tak skrajnie różną, obcą, antypatyczną, zabrać do siebie, koi jej żale, łagodzi niesłuszne urazy, zdobywa prawością i pokorną dobrocią swoją, aż stopniowo uszlachetnia ją i podnosi ku wyższym rzeczom i wykwintniejszym uczuciom. Gra ta niebezpieczna, w tym przypadku się udaje i powodzeniem wieńczy. Letty Tressady poszła za mąż z ambicyi, teraz dopiero, pod wpływem Marcelli, sucha jej natura ogrzewa się i mięknie, uczy się wyrzeczenia i poświęcenia, aż oto po przelotnej burzy, która o niemal małżonków rozdzieliła na zawsze, świta w ich domu i życie niespodziewane już i nieprawdopodobne szczęście. Trzebaż aby w tej właśnie chwili tragiczna śmierć sir George'a Tressady kładła koniec krótkiemu rozpogodzeniu jego serca i losów. Koniec ten tem tragiczniejszy, że do ostatniej chwili nie bardzo on rozumie położenie robotników, do dawnych uprzedzeń nowe przydaje wstręty, a jednak za nich ginie, schodząc z ratunkiem w kopalnie, gdzie nastąpił wybuch gazowy, dla wielu górników zabójczy.

Już ich pewną część ocalił, gdy spiesząc z dalszą pomocą, sam zostaje przygnieciony zawaleniem się sklepienia w jednym z korytarzy podziemnych. Ostatnie jego słowa, wyjąkane do towarzysza niedoli, którym, dziwnym trafem, jest jego największy miejscowy przeciwnik polityczno-społeczny, ostatnie słowa są dla żony, dla dziecka, które nosi w swojem łonie, atoli myśl ostatnia zwraca się ku tej, która mu dała poznać, w części zrozumieć wyższe życia ideały i cele...

Na tem rusztowaniu snuje się powieść pełna zajmujących postaci, zawikłań i rozmów, obfitująca najwyraźniej w wizerunki wzięte z życia, nęcąca szlachetnością naczelnych charakterów, przedewszystkiem lorda Maxwell i jego małżonki, która jak w poprzedniej powieści doświadczyła łatwych omyłek w dziedzinie kobiecego na wsi działania, teraz doświadcza przykrzejszych jeszcze goryczy na drodze politycznego życia, choćby podjętego w wyłącznym celu poparcia wpływu i akcyi małżonka. Możnaby stąd wnosić, iż obie powieści mają na celu pomiarkowanie zakusów niewieścich, wdzierających się do życia publicznego, nie liczących się z niedostatkiem własnych sił i roztropności, wypływającym z zapalnego i niezrównoważonego najczęściej usposobienia. Czy myśl ta kierowała piórem pani Humphry Ward, niepodobna na razie rozstrzygnąć, ale czytelnik bądź co bądź musi ten obrok dla siebie z obu wyciągnąć powieści.

Jeśli dla nas niesłychanie ciekawem jest poznanie dzisiejszych stosunków polityczno-społecznych w Anglii, czemże dla Anglików być musi ta galerya żyjących portretów, z których każdy musi być podobnym, choćby dlatego samego, że jest tak bardzo prawdopodobnym i żyjącym. Niestety! nie posiadamy odpowiedniego klucza, nie możemy rozeznać pierwowzorów, choć tu i owdzie jaki rys naczelny zda się nam być odgłosem znanych, zasłyszanych okoliczności, jak np. późnych ślubów księżnej Manchester z księciem Devonshire lub krótkiej politycznej karyery lorda Randolph Churchill. Pierwszy lord Beaconsfield dał był pohop ku takiemu zapożyczaniu się w rzeczywistości i fotografowaniu z natury. Ale jego portrety były przejrzystsze i nie potrzeba było znać dokładnie angielskiego społeczeństwa, aby rozpoznawać snujące się postacie Manninga, lorda Bute, Rotszyldów, Palmerstona, ks. Ludwika Napoleona, i tylu, tylu innych wypełniających wszystkie powieści Disraele'go, a przedewszystkiem „Endymiona“ i „Lothaira“. Wszakże angielski mąż stanu nietylko doraźnie sobie przyswajał znane i głośne osobistości, lecz nadto chwytał w lot dalekie echa i pogłoski, żywcem w tok jego opowiadania wplatane. Wystar-

czy tu jeden przypomnieć przykład: gdy w r. 1867, hr. Edward Raczyński odniósł chwalebną ranę na polach Mentany, walcząc w szeregach żuawów papieskich, niechętna Stolicy świętej prasa, tak włoska jak francuska, spróbowała rozgłosić, iż młody Polak należał do obozu Garybaldczyków i mylnie został ogłoszony za swego przez stronnictwo obrońców papiestwa, którzy go z pola bitwy unieśli. To bezczelne oszczerstwo srożej od kuli nieprzyjacielskiej dokuczyło rannemu. Upoważnił przyjaciół do ogłoszenia w gazetach urzędowego zaprzeczenia, a później sam odtącił raz jeszcze z oburzeniem kłamliwą insynuacyę. Nie dał jej upaść Disraeli. Jego Lothair walczący w wrogich Rzymowi szeregach, sam nie wie, jak się dostaje do rzymskiego szpitala, w koła ściśle katolickie, które w niego i w drugich wmawiają, że padł w obronie Stolicy świętej i katolickiego Kościoła. Rzucone na polskiego młodzieńca oszczerstwo, ustaliło się w powieści anglo-żydowskiego pisarza...

Co takich rysów, szczegółów, postaci i pani Ward zapożyczyła z bieżącej chwili i rzeczywistości! nie jesteśmy wszelako w możności rozeznać i odgadnąć tylko dla Anglika zrozumiałe i przystępne zagadki. Krytyka przyjęła bardzo pochlebnie oba ostatnie utwory pani Ward, zarzucając jej jedynie, iż ulubioną bohaterkę, Marcellę, w drugiej powieści odziała w nadludzką niemal doskonałość i zbyt wyidealizowaną cnotę. A jednak my nie czynilibyśmy tego zarzutu autorce, rozpoznając w owej cnocie tę siłę, którą daje szczęście, daje miłość. Inną chyba uwagę nasuwa nam podwójna powieść pani Humphry Ward: w „Marcelli“ przeświecała wyraźniej jakaś tęsknota za pozytywną prawdą, w „Sir George Tressady“ widnieje jakoby nowy rokosz przeciw wszelakiemu dumy własnej ukorzeniu, znaczy się jakoby dalsze odbicie od wybrzeża prawdy, do którego prąd fali unoszącej wyższe w Anglii umysły coraz częściej i powszechniej uderza. Pani Ward najwyraźniej nie jest obojętną na wiekuiste, podobnie jak i na doczesne zagadnienia. Deizm jej wprawdzie nie chce znać ustanowionej religii, duma buntuje się przeciw określeniom i praktykom wiary, ale duch skołatany męką własną i smutkiem ludzkich przeznaczeń, nie przestaje szukać, macać, przeczyć lub walczyć, tęskniąc za nieskończonością i sprawiedliwością i prawdą. Wygląda wiecznie niezaspokojona i nienasycona, ukochanie zaś sprawy maluczkich i uciśnionych, socyalizm prawdziwie chrześcijański, doprowadzić ją gotów do pełności miłości i do zdobycia tej prawdy, której dotąd ani zna, ani posiada.

*R****

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KATOLICKI RUCH W CZECHACH.

Jeżeli jaka nowa burza nie zniszczy dzieła, dokonanego we Wiedniu w ostatnich tygodniach, mianowicie lepszych i bliższych stosunków, nawiązanych między Polakami a narodem czeskim, w takim razie i katolicki ruch w Polsce mógłby skorzystać z przykładów, którymi budowaliby nas czescy katolicy; trzebaby tylko, żebyśmy bliżej z nimi zetknięci śledzili u nich rozwój tego ducha, jakiego u siebie mniej niż oni możemy pokazać. Szczególniej zjazdy i pisma katolickie dają Czechom taką przewagę nad nami, że już nie możemy spoglądać jedynie na Francyę, Belgię albo Niemcy, aby tam szukać wzorów do pracy w duchu katolickim: z wielkim pożytkiem ujrzymy dzielną walkę w obronie życia chrześcijańskiego pomiędzy Czechami. Zjazdy i wiece przeróżnych związków katolickich to w tem, to w owem miejscu prawie co tydzień gromadzą gorliwych Czechów, poruszają wobec ludzi wszelkiego stanu i zawodu ich potrzeby duchowe, wyjaśniają im zasady, których odstąpić nie mogą na krok mimo nacisku Żydów, socyalistów i bezwyznaniowców, a wszystkim przeciwnikom Chrystusa okazują, że Kościół powszechny nie przeżył jeszcze lat swojej potęgi.

Tę potęgę swojej sprawy czują katoliccy Czesi i umieją

tak poważnie toczyć obrady na swoich zjazdach i wiecach, że na darmo przeciwnicy usiłują nieraz rozbić zgromadzenia okrzykami: „hańba“, katolicy spokojnie każą milczeć pierwszemu wichrzycielowi, który wszczyna hałas, a gdyby stanowczy rozkaz nie skutkował od razu, krzykacz w tej chwili widzi przy sobie kilka par silnych ramion, na których chcąc nie chcąc oparty musi stawiać kroki ku drzwiom. Wprawieni w ten sposób usuwania z towarzystwa swojego żywiołów niespokojnych, Czesi katoliccy umieją bez pomocy policyi odbywać swoje narady poważnie, owszem, nawet na publicznych zgromadzeniach, zwołanych przez przeciwników, umieją utrzymać porządek, a śmiało jednak wypowiedzieć, co myślą o zasadach opacznych, szerzonych między prostaczkami. Kiedy np. socyalista wypowie swoją mowę, wtedy katolik żąda głosu, aby odpowiedzieć na zaczepki przeciw Kościołowi i prawdzie. U nas, choćby kto żądał głosu w podobnym wypadku, choćby przewodniczący nawet głosu do odpowiedzi udzielił, zwykłe wrzaski „hańba“ przeszkodzą rozprawie i wolny obywatel musi słuchać bałamuctw, a odpowiedzieć nie może. Kiedy Czech zażąda głosu, już wie, że jego przyjaciele czuwają na sali, i ledwo który Żydek zacznie teroryzować, usłyszy zaraz okrzyk: *wychoďte Židy!* i choćby wypadło kilku ich wyprowadzić siłą, katolicy nie ustąpią i doprowadzają do tego, że często zgromadzenie, zwołane przez socyalistę, kończy się mowami katolickiemi.

Jednem z pism, najbardziej zasłużonych przy rozwoju ducha katolickiego, trzeba nazwać *Katolické Listy*. Istnieją ledwo od pół roku, jak o tem doniósł *Przegląd Powszechny* w swoim czasie, a tych kilka miesięcy wystarczyło dzielnym katolikom w królestwie św. Wacława, żeby pokazać, że umieją utrzymać swój osobny dziennik na stanowisku godnem przedstawiciela prasy europejskiej. Żaden objaw ruchu katolickiego, przynajmniej ważniejszy, nie uchodzi bacznej uwagi redaktorów; w Krakowie nawet dość świadomy stosunków miejscowych czytelnik *Katolickich Listów* z nich dostaje nowiny czasem prędzej, nim miejscowa prasa zapisze wypadek nieraz doniosły dla postępu sprawy katolickiej. Nie pożałowałaby żadna redakcya katolic-

kiego pisma u nas wydatku, gdyby z czeskiego dziennika czerpała wiadomości, a zarazem brałaby sobie, może ze wstydem, bardzo dobry przykład, jak można pisać poważnie, zająć czytelnika mnóstwem nowin, a przytem dobierać te opisy, które katolika podniosą na duchu.

ANGIELSKIE SZKOŁY. W ostatnich dniach znowu spotykamy w katolickiej prasie zagranicznej szczegóły, o których nasze pisma milczą, może dlatego, żeby nie poruszać sprawy szkół wyznaniowych u nas, może z innego powodu... Idzie o wzór angielski dla nas, jak mamy nalegać na naszych posłów, żeby poparli wniosek Ebenhocha o szkołę, jaką dostać musimy i chcemy, bo obecnej ustawy międzywyznaniowej długo cierpieć ani nam się nie śni. Jak donoszą *Katolické Listy*, niedawno przyjął angielski sejm nową ustawę szkolną, przyczem tamtejsza szkoła katolicka dostała nietylko pochwałę, ale także zwolenników z pośród wszystkich stronnictw anglikańskich. *Rheinische Volksstimmen* piszą o tem w nr. 136: „Zachowawcy, jak Balfour i Jelb, zastępcy wszechnicy w Cambridge, wolnomyślni wszech odcieni, jak Wilhelm Harcowst, niektórzy zażarci radykali, jak Broadhorst, wszyscy jednogłośnie chwalili gorliwość i ofiarność katolików, którzy mimo wszelkich dotychczasowych przeszkód, swoich szkół nie opuścili, owszem, ciągle jeszcze stawiali nowe, aczkolwiek tworzą w Anglii katolicy stosunkowo najuboższą warstwę społeczeństwa, jak poświadczyli katoliccy biskupi z Wielkiej Brytanii r. 1895 w liście swoim, gdzie mówią: „Katolicki Kościół nie przedstawia już bogatego społeczeństwa angielskiego, owszem, głównie do swoich członków zalicza ubogich. Dawno już stracił dostatki swoje. Do Kościoła należy najwięcej ludzi, którzy muszą żyć z pracy rąk, a skromny jest poczet bogaczy i zamożnych właścicieli. Katolicy muszą utrzymywać swoje zakłady wyznaniowe z pieniędzy ciężko zarobionych. Budowle szkół, kościołów, szpitali i t. d. ciągłem brzemieniem obarczają katolików, ale mimo to wszystko nie braknie dzieł dobroczynnych“. Zgodnie przypomniał Jan Morley przy sposobności w Oxfordzie, gdzie mówił: „Katolikom jest właśnie tak trudno zaopatrzyć się w szy-

linga (koronę austryacką), jak anglikanom zarobić funt szterlingów (24 koron). Mimo takich to stosunków katolicy nie szczędzili zachodów, aby zdobyć coraz lepsze szkoły; doprowadzili nakoniec do nowego ustawodawstwa, o którem sam kardynał Vaughan nie taił, że daleko przyjaźniej, niż dawniejsze, popiera sprawę katolicką. Mianowicie nowa ustawa szkolna uchwaliła średnią zapomogę roczną 5 szylingów dla szkół wolnych, do których należą katolickie, na każdego ucznia; jednak wolno rządowi tę zapomogę bądź zwiększyć, bądź zmniejszyć, jak wymagają stosunki każdej szkoły; zamożne dostaną mniej, ubogie więcej. A że szkoły katolickie są najuboższe stosunkowo, można oczekiwać, że dostaną od państwa od 8 do 10 szylingów zapomogi na każdego ucznia". Do tego opisu dodają *Katolické Listy* uwagę: „Szkoły wyznaniowe wogóle, a zwłaszcza katolickie, które są w katolickiem państwie rakuzkiem prawdziwą *cendrillion*, cieszą się w państwach protestanckich nietylko szacunkiem, ale owszem uczynną podporą". Tak Czesi katolicy; a co na to katoliccy posłowie polscy? *Quieta non movere!*

WOLNOMYŚLNI CIEMIĘŻCY W SZWAJCARYI.

Rozbity obóz wolnomyślny spogląda na jeden po drugim kraj, wydarty z pod jego przemocy; za to jakby chciał powetować straty, tem śmielej dokazuje i uciska tem silniej katolików w krajach, gdzie jeszcze swojego czasu nie przeżył.

Prawie równocześnie w ostatnich tygodniach po porażce wiedeńskiej spotkała wolnych myślicieli niemiła przeprawa w Holandyi; a za to w Szwajcaryi spadały gromy na katolików. Gromy te tem mniej mogły chluby przynosić liberałom, im mniej własne ich zasługi doprowadziły ich do stanowiska, z którego mogli uciskać katolików. Sami to katolicy nieszczęsnemu ospalstwu własnemu muszą przypisać winę, iż pozwolili, żeby im wydarli liberali władzę w kantonie Szwyc, gdzie katolicyzm zawsze miał przewagę, a w ostatnich czasach dopiero udało się liberałom gospodarować i rządzić.

Przez parę lat ostatnich różne kantony Związku szwajcarskiego zarządzały u siebie rewizyę konstytucyi; przy tem nie-

jedna zmiana wyszła wcale na dobre i służy do rozwoju Szwajcaryi. Z kolei kanton Szwyc postanowił odbyć rewizyę konstytucyi tego roku. Dopiero przy naradach nad tą sprawą wyszło na jaw, ile złego może w całej okolicy sprawić jedno jedyne ognisko ducha wolnomyślnego i jak mało zdołają dokazać katolicy w swojej obronie wtenczas, jeżeli domowe waśnie rozbiją ich na stronnictwa i koła. W kantonie Szwyc osiadło wielu urzędników kolei św. Gotarda i założyło związek wolnomyślny. Katolicy nawet okiem nie rzucili, co tam knuje ten obóz postępowy i jak wpływa na umysły, aż w gronie wydziału, wybranego do rewizyi, ujrzeli przewagę żywiołów wolnomyślnych.

Z początku ich praca spokojnie wprowadzała zmiany wcale korzystne dla kantonu pod względem dobrobytu mieszkańców; nagle wpadła w zapał rewizyjny tak radykalnie, że aż zaczepiła o stosunek Kościoła do państwa, i poddała pod nadzór rządowy dobra klasztorne. Wniosek ten wywołał burzę w całym kantonie: zakonnicy z licznymi przyjaciółmi stanowczo zapowiedzieli, że klasztory dóbr swoich pod świecki zarząd nie oddadzą; prasa katolicka w całej Szwajcaryi surowo potępiła zamierzone zmiany. Biskup z Chur, mrgr Battaglia zabrał głos i wysłał pismo do członków wydziału rewizyjnego, w którem jasno, śmiało i dowodnie wyłożył obowiązki katolickiego społeczeństwa i ustawodawców, i wykazał, że państwowa opieka nad kościelnymi majątkami zarówno narusza przepisy prawa kościelnego, jak staje w jaskrawem przeciwieństwie z obywatelskiemi prawami Szwajcarów, dlatego przyjętą być nie może.

Po długich i nieraz gorących rozprawach stanęła uchwała, która wprawdzie zawiera jakieś ustępstwo dla katolików, jednak zostawia zasadę nietkniętą, że rząd ma prawo wkraczać w zarząd dobrami klasztornemi i posiada nad niemi jakieś *supremum dominium.*

POSTĘP ZDZIECINNIAŁY W BAWARYI.

Wolnomyślna prasa bawarska dzielnym krokiem dąży do postępu oświaty i obala zamki średniowiecznych legend. Na zwaliskach bajecznych powieści o cudach, stawia budowlę szczerej prawdy, wymierzonej cyrklem i przeglądniętej na wylot promieniami Roentgena. W tym pochodzie

ku prawdzie, zbadanej wszechstronnie, zapisuje skrzętnie i światu ogłasza coraz nowsze dowody, że Kościół powszechny pracuje nad zgubą rodu ludzkiego, szczególniej przez zakony wywiera wpływ najopaczniejszy. Prawda to, że owe najnowsze dowody wyglądają mniej prawdopodobnie, niż baśnie, któremi niańki kołysały do snu średniowieczne dzieci, ale cóż to szkodzi? Postęp postępem zostaje, choćby zdziecinniał. Więc ze składu dziecinnych zabawek wytacza teraz pukawki, niby działa najcięższego kalibru, z których miota śmiertelne pociski, aby obronić Niemcy przed najazdem zakonników.

Pierwsze gromy padły na Redemptorystów, którzy musieli mieć wyborną rozrywkę, kiedy czytali, jakie to potworne zbrodnie ciężą im na sumieniu, co za przeniewierstwa w spadkowych sprawach, ile innych czynów bezecnych! Ponieważ jednak postępowe głowy w Izbie bawarskiej w równym stopniu z wolnomyślną prasą rozeznają prawdę od bredni, to znaczy: zdziecinniały, więc wystąpiły z interpelacyą do rządu, co do przestępstw, za które nikt Redemptorystów nie wyciąga na katowni. Darmo, minister Craisheilm najpoważniej zbijał najśmieszniejsze zarzuty, rozgłoszone przez radcę stanu, pana von Maindl: postępowcy wcale nie zamilkli; owszem, rozszerzyli jeszcze widnokrąg myśli i ruszyli na nową wycieczkę przeciw zakonom: więc teraz przeciw Kapucynom podnieśli skargi, które, jeżeli gdzie, to już nie w Niemczech mogą znaleźć wiarę; w Niemczech Kapucyn nie wie jak pieniądz wygląda, bo ani jałmużny pieniężnej przyjąć nie może... głodny może przyjąć kawałek chleba, obdarty suknię, podróżny nocleg: więcej nic. To też o nich wyrzekł jeden z książąt protestanckich słowa znamienne: Kapucyn uczy rozwiązywać zagadki socyalne. I tych zakonników oskarżała prasa postępowa o... zdzierstwo!

Ale nie dość Redemptorystów i Kapucynów wziąć na kieł, przecież trzeba także Jezuitom coś przypiąć. Więc na Jezuitów wyruszyły do boju zarzuty, bardzo niezgrabnie tym razem obmyślane. Postępowi badacze prawdy roznieśli wieść, że Jezuici kopią dołki pod najzasłużeńszym swoim przyjacielem Joergem, i usiłują zniszczyć pismo przez niego wydawane z wielkim po-

żytkiem dla Kościoła: *Historisch-politische Blätter*. Ale, jak *Germania* twierdzi, częste pochwały temu pismu oddawane przez Jezuitów, od razu zadały kłam mądrym wymysłom. Więc na dziedzinie polityki wyrosła jeszcze śmieszniejsza plotka: Jezuici, już temu trzydzieści lat, wciągnęli w swoje sidła jakiegoś feldwebla z Regensburga, za którego pomocą postanowili chwycić w swoje ręce... no cóż? kto zgadnie? nie wpadnie na tę myśl nikt: Jezuici postanowili opanować całe wojsko niemieckie!

Oczywiście powinna teraz cała Rada związkowa cesarstwa niemieckiego, jak jedno dziecko, powstać przeciw wszelkim zakonom i odrzucić uchwałę Izby poselskiej o powrocie do krajów cesarskich zastępu ludzi, którzy najniegodziwszemi zbrodniami obciążyli sumienia, zdzierają bez miłosierdzia, nakoniec wyciągnęli dłonie po całą siłę zbrojną niemieckiego cesarstwa, i do tego użyli skutecznego pośrednictwa osoby tak niewypowiedzianie wpływowej, jak jeden feldwebel!

JAKI BYŁBY STOSUNEK STOLICY ŚWIĘTEJ DO WŁOCH W RAZIE WOJNY?

Pismo włoskie *Voce della Veritá* wystąpiło pod koniec czerwca z rozprawą o stanowisku, na którem sądzi, że podobno ujrzymy papieża w razie wybuchu wojny. Jaka wojna miałaby nakoniec uwieńczyć zbrojny pokój? Nad tem pytaniem *Voce della Veritá* nie zatrzymuje czytelników, nadmienia tylko o leniwych krokach, którymi idą układy pokojowe między Grecyą a Turcyą; wspomina o stosunkach w Europie bardzo napiętych, nakoniec o niespodziankach różnych, które zaskakiwały nas, mniej przygotowanych na nie, niż na pogłoski o blizkim wybuchu wojny między pierwszorzędnemi mocarstwami. Po tym wstępie, pisarz widocznie upoważniony do zabrania głosu w poważnem piśmie o przedmiocie niezwykłym, stawia pytanie o tem, w jakiem położeniu znalazłaby się Stolica święta, gdyby Włochy wzięły udział w wojennej zamieszce. Wtedy dopiero wyjdą na jaw wszystkie następstwa zamachu na prawa kościelne, dokonanego w r. 1870. W czasie pokoju nic nie nagli, żeby rząd piemoncki zaraz rozwiązał przeróżne pytania, połączone z zaborem Rzymu. Niekiedy tylko np. w czasie odwiedzin postronnego mocarza, zachodzą

dyplomatyczne pytania, co do stanowiska Papieża w Rzymie; ale na te pytania można wymyślić dowcipne wybiegi. Wojna nie pozwoli zakrywać sobie oczu tak łatwo, jak dyplomacya. Jeśli z Rzymu wypadnie wyjeżdżać przedstawicielom państwa poróżnionego z Włochami, czy tylko ambasador przy Kwirynale zażąda paszportów, czy także jego rodak, uwierzytelniony przy Watykanie? Papież nie będzie mógł wydać im paszportów, aby bez opieki nie pozostawić milionów wiernych, którzy zamieszkują kraje, poróżnione z Włochami; ani zasady dyplomatyczne nie pozwoliłyby w takim wypadku ambasadorom przy Watykanie opuszczać stanowiska. Jednak burza wojenna nie pozwoli im bezpiecznie przebywać w Rzymie i drażnić tłum widokiem chorągwi państwa nieprzyjacielskiego. Więc chyba papież w czasie wojny musiałby opuścić Watykan i Rzym i do spokojnych krajów przenieść swój dwór wraz z ambasadorami, aby nadal używać ich pośrednictwa przy wymianie myśli z rządami. Ale takie podróże papieża powiększyłyby jeszcze zamęt w świecie.

Na te pytania, według pisarza, odpowiedzi żadnej znaleść nie można, póki państwa nie ogłoszą Rzymu miastem wolnem i jego nietykalności nie zabezpieczą. Nie potrzebowałyby nawet tak zabezpieczać Rzymu, jak przyznały nietykalność Belgii, Luksemburgowi, Szwajcaryi, kanałowi Suezkiemu, niższemu biegowi Dunaju i nawet majątkom Towarzystwa krzyża czerwonego: wystarczyłoby nietykalność Rzymu ogłosić jako prawomocne następstwo stosunków, wywołanych przez rok 1870.

Z WĘGIER. W przeszłym miesiącu donosił *Przegląd* o stracie, którą katolicy węgierscy ponieśli przez śmierć księdza Gubego. Teraz znowu przychodzi wiadomość, że w Banskiej Bystrzycy umarł ksiądz prałat Antoni Majowski, założyciel „Maticy Słowackiej“. Chrześcijańska dusza nieboszczyka nie mogła znieść krzywd, cierpianych przez jego rodaków: to też jego żywot przeszedł z pożytkiem dla Kościoła zarówno jak dla biednych Słowaków. Każdy katolik na Węgrzech czuje tę stratę.

A coraz więcej trzeba mężów dzielnych na Węgrzech. Ostatnie wiadomości świadczą, że walki dotychczas toczone prze-

ciw Żydom i wolnomyślnym prześladowcom stanowią dopiero początek. Wpływ ustaw o swobodzie wyznania rośnie, jakby nie spotykał w drodze tamy poważnej. Przed almarskim urzędem stanęło 84 osób z prośbą, żeby wpisać je w księgi bezwyznaniowców. W innym okręgu około trzystu osób zażądało wpisu do sekty nazareńczyków. Rozpusta przybiera rozmiary tak bezecnie wyuzdane, że aż sam już nawet rząd Bánffy'ego truchleje; wydał surowy rozkaz dla policyi, aby zdzierała wszelkie godła bezwstydne ze sklepów, i nadto ściągała grzywnę aż do paruset koron z winnych w tej mierze... ale co pomoże gasić konwią wody wulkan rozpętany?

Nie wiele pociechy tuszą sobie katolicy po zapowiedzianym nakoniec samorządzie kościelnym. Od pięćdziesięciu blizko lat miał Kościół prawo do samorządu, nakoniec Wlassicz pozwolił im z tego prawa korzystać, jakby pewny, że pod obecnym rządem ani samorząd nie pozwoli odetchnąć katolikom piersią swobodną. Dlatego katolickie pismo *Herko-Pater* tym sposobem ilustruje sprawę samorządu: według obietnic rządu i na mocy prawa wyglądać ma samorząd jakby w postaci rydwana, którym swobodnie jadą kardynał prymas z przedstawicielami szlachty i ludu; według rzeczywistego stanu stosunków samorząd zejść może łatwo na rydwan, w którym zasiada Rotszyld z paru Żydami, na koźle powożą Bánffy z Wlassiczem, a ciągną rydwan nie rumaki, tylko... zaprzężeni kardynał prymas i magnat węgierski... dla ludu już nigdzie miejsca niema. Takim rysunkiem katolickie pismo wylewa z serca gorycz, jakby jęk bolesny na widok strasznego upadku narodu, który w moc żydostwa oddaje doczesny dobrobyt swój, swoją sławę dziejową nakoniec samo nawet stanowisko Kościoła. Lud nasz podgórski w licznych wycieczkach za zarobkiem na Węgry poznał tamtejszą przewagę żydostwa i mówi, że rozpanoszona buta żydowska u nas jeszcze nie stanowi nic ciężkiego, jeżeli ją porównamy z pętami, w których żydostwo dławi na Węgrzech lud, dusi szlachtę, więzi swobodę Kościoła.

Ks. K. Czaykowski.

Pierwszy katolicki kurs socyalny w Krakowie.

Kiedy dzienniki zapowiedziały u nas kurs socyalny, opinia publiczna przyjęła tę wiadomość z niedowierzaniem. Nie brakło (jak zwyczajnie) głosów obawy, czy kurs się uda, czy znajdzie się dostateczna ilość chętnych i należycie przygotowanych prelegentów, owszem wątpiono nawet, czy się znajdą słuchacze. Nie brakło też owych stereotypowych pytań krytycznych: Cóż nam po wykładach i kursach? Marna wszelka teorya, próżne obrady! Nam czynów potrzeba i pracy praktycznej na polu socyalnem! — Jak gdyby praktyka nie potrzebowała światła teoryi, lub jakby działanie na ślepo miało być lepszem od pracy opartej na znajomości przedmiotu, dążącej za pomocą wypróbowanych przez naukę środków do jasno sformułowanych celów.

Na szczęście głosami zniechęcenia nie dali się odstraszyć inicyatorowie kursu. Kurs się odbył, a co ważniejsza, udał się — owszem, pod niejednym względem udał się świetnie. Najważniejsze referaty wypowiedzieli profesorowie ekonomii i nauk społecznych na obu krajowych uniwersytetach — najlepsze siły, jakie na tem polu wykazać może polska nauka; udział publiczności, jak na nasze stosunki, był wcale liczny, a zajęcie się treścią wykładów szczere i ożywione. Największego kontyngensu słuchaczy dostarczyło duchowieństwo. Szczegół ten poniekąd ujemny, o ileby wskazywał na obojętność innych warstw w sprawie reformy społecznej, jest jednak zrozumiałym i pocieszającym o tyle, że duchowieństwo i z powołania swego i, co nie mniej ważne, z swego społecznego położenia jest czynnikiem niezmiernie doniosłym w owej społecznej pracy, której potrzebę, cele i środki wykazać miał kurs socyalny.

Wykłady odbywały się w krakowskiej auli uniwersyteckiej; rozpoczęły się 30 czerwca i trwały przez trzy dni. Pierwszy dzień wykładów, po zagajeniu i otwarciu kursu przez ks. d-ra Chotkowskiego, zaczął się od referatu ks. prof. Pawlickiego na temat: „Cele i zadania polityki socyalnej“. Mowca, zaznaczywszy na wstępie, że dwa zjawiska, dobrobyt i nędza zawsze miały pierwszorzędne w życiu narodów znaczenie, doszedł — po scharakteryzowaniu dzisiejszej, potężnej organizacyi stosunków ekonomicznych z jednej, a potwornej fizyognomii warstw pracujących z drugiej strony — do wniosku, że nasz organizm społeczny jest chory bardzo, a zatem filozofia socyalna w pierwszym rzędzie patologią jego zająć się powinna. Poznawszy zaś dokładnie

istotę choroby i jej przyczyny, należy dopiero przystąpić do obmyślenia środków zaradczych i ratunkowych. I to ma stanowić drugą część filozofii socyalnej.

W badaniu tem nie należy przecież dwóch rzeczy spuszczać z uwagi: najprzód pamiętać trzeba, że organizm społeczny w swym dziejowym rozwoju postępuje wciąż naprzód i „nigdy nie powraca do stanu dawnego". A zatem filozofia socyalna powinna „zbadać prawa tego rozwoju i wynaleść formy odmienne, ile razy te, które są, okażą się za ciasne dla wzbierających soków żywotnych". Powtóre nie należy zapominać o tem, że gwiazdą przewodnią w tego rodzaju badaniach i nieomylnym drogoskazem na drodze reformy socyalnej jest oznaczenie celu człowieka tu na ziemi, do którego odnosić się musi i około którego grawitować powinna wszelka organizacya społeczna.

Prelekcya ta była na wskróś popularną. Wypowiedziana we formie swobodnej pogadanki, subtelnym okraszona dowcipem, a przytem poruszająca mnóstwo problemów socyalnych, zrobiła ona nader silne na słuchaczach wrażenie, a wielu stawiało ją za wzór popularnego przedstawienia naukowych zagadnień.

Z kolei drugim prelegentem był dr. Adam Krzyżanowski. Mowca rozwodził się nad teoryą socyalizmu i szkołami reformy socyalnej. Teoryę Marksa, w którego potężnej osobistości socyalizm dopiero umiejętnie się skrystalizował, przedstawił prelegent dosadnie i zrozumiale. Wprawdzie pominął teoryę wartości Marksa, ale nie robimy mu z tego zarzutu. Teorya ta bowiem nawet w państwie socyalistycznem żadnego nie mogłaby mieć zastosowania; ma ona tylko swe znaczenie jako potężny środek agitacyjny w burżoazyjnem państwie kapitalistycznem. Zresztą można być zwolennikiem tej teoryi, nie licząc się wcale do obozu socyalistów, lub przeciwnie jej zdeklarowanym przeciwnikiem, nie przestając być socyalistą. W czem atoli prelegent, zdaniem naszem, pobłądził, to w krytyce ewolucyonistycznej teoryi Marksa. Krytyka ta była nie wystarczającą, w niejednym punkcie wadliwą.

Czyż w istocie prawdą jest, jak prelegent twierdził, że przemysł wielki nie pożera przemysłu drobnego, chyba sporadycznie tylko; że ruina i upadek stanu średniego jest wierutną bajką, którą umiejętna rozwiała statystyka? Gdyby był prelegent wskazał na to, że niektóre gałęzie przemysłu drobnego są z natury swej nader odporne na wszelkie absorbcyjne zakusy przemysłu wielkiego lub całkiem nie nadają się do produkcyi wielkiej, to zgoda na to — ale twierdzić np., że upadek szewców jest tylko rzekomym, kiedy każdy na oko u nas nawet, gdzie

wielki przemysł tak słabo rozwinięty, przekonać się może, iż konkurencya wielkich magazynów niepomierne rzemieślnikom naszym czyni szkody, to znaczy: zbyt wielkie mieć zaufanie w nieomylność statystyki. Również niewłaściwie, sądzę, był przywiedziony przykład o parcelacyi gruntów w Galicyi, jako niezgodny z koncentracyą produkcyi w systemie Marksa. Przecież doktryna Marksa nigdzie tego nie utrzymuje, że ruch koncentracyi w produkcyi we wszystkich krajach odbywa się równocześnie, lecz tylko w miarę wzrostu produkcyi kapitalistycznej i rozwoju wielkiego przemysłu, a więc zależnie od czasu i okoliczności.

Co się tyczy reformy socyalnej, to według mniemania prelegenta dwie tylko szkoły, współubiegające się o jej rozwiązanie, zasługują na uwagę, tj. zwolennicy socyalizmu państwowego, który pomiędzy uczonymi niemieckimi wielką cieszy się sympatyą, i zwolennicy wolnej asocyacyi, których ideałem są *trade-unions*'y w Anglii (Brentano, Gide). Nie uwzględnił tylko uczony prelegent, że krom wyż wymienionych kierunków istnieje jeszcze inny prąd reformatorski, oparty na encyklice Leona XIII., który coraz potężniej toruje sobie drogę i coraz liczniejszych zyskuje zwolenników. Ideałem socyalno-politycznym tej szkoły jest organizacya stanowa, wzorująca się na organizacyi stanów w średnich wiekach, zastosowana atoli do miary i potrzeb naszej cywilizacyi i do odmiennej natury dzisiejszych ekonomicznych stosunków. Szkoła ta, do której zalicza się ogromna większość katolickich polityków socyalnych, wychodzi z przekonania, że jedna tylko organizacya stanowa, wyposażona w sferze właściwych sobie praw i obowiązków w pewne atrybucye władzy, zdoła usunąć anarchię w produkcyi i ująć w karby konkurencyę zbyt dzisiaj rozszalałą na dzikim gruncie obecnych stosunków społecznych. Zresztą organizacya ta wyrasta samorodnie z natury społeczeństwa, jak gałęzie z pnia, i da się przystósować najzupełniej do potrzeb i rozwoju obecnych ekonomicznych wymagań. Społeczeństwo bowiem, będące z natury swej doskonałym organizmem, powinno się składać z oddzielnych członów, posiadających swoje, sobie właściwe prawa, żywotność i organizacyę, odpowiadającą obowiązkom danego zawodu, jeżeli nie chce przemienić się w martwy mechanizm centralizacyi rządowej w chwili, gdy rząd jest silny, lub popaść w zupełną anarchię w razie, gdy rząd jest słaby. Z drugiej zaś strony przemysł nowożytny, rozbity na tysiączne odnogi, rozwija się i zmienia w tak rozliczny i różnorodny sposób, że szablonowe prawodawstwo i administracya państwowa ani żywotnie się do niego nagiąć, ani skutecznie opanować go nie zdoła. I stąd koniecz-

ność i potrzeba organizacyi stanowej, która jest alfą i omegą całego programu reformy, projektowanej przez stronnictwa chrześcijańskie.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad odczytem d-ra Krzyżanowskiego, bo przedmioty tam traktowane zdawały się nam zbyt ważne, by je pominąć można kilku słowami, a to tem bardziej, że z wyjątkiem odczytu ks. d-ra Kopycińskiego, myśli organizacyi stanowej nigdzie w ciągu kursu nie uwzględniono.

Cały szereg następnych odczytów poświęcony był zasadniczym i podstawowym prawdom naszej organizacyi społecznej. Wyborną była mowa prof. d-ra Głąbińskiego o stanowisku państwa i związków samorządu w dziedzinie ekonomicznej. Prelegent omawiał tu przedmiot delikatnej natury, mianowicie, jakie jest zadanie i jak daleko sięgają granice władzy państwowej w dziedzinie gospodarstwa społecznego, a przecież wywiązał się ze swego zadania jasno i gruntownie, i ominął szczęśliwie wszelkie Scylle i Charybdy liberalizmu i socyalizmu państwowego.

Jedną rzecz zarzucićby można, że nie było widać w ciągu prelekcyi, z jakich zasad wyprowadzają się praktyczne wnioski prelegenta, owszem sam prelegent twierdził, że teoretycznie ta kwestya nie jest rozstrzygnięta. Tymczasem nam się zdaje, że te rozmaite dobre i prawdziwe rzeczy, jakie prelegent mówił, dadzą się sprowadzić do następujących trzech zasad. Pierwsza i najprzedniejsza jest ta: interwencya rządu jest potrzebną tam, gdzie mięszanina interesów grozi nieładem, jest zaś nieużyteczną i zgubną tam, gdzie interes prywatny nie stoi w sprzeczności z dobrem ogółu. Z zasadą tą łączy i wiąże się zaraz następna: państwo starać się powinno o dobrobyt ogółu i rozwój jego czynnie i równomiernie popierać we wszystkich warstwach społeczeństwa. Z zasad tych, których podkład filozoficzny i gruntowne uzasadnienie podaje filozofia socyalna, wypływa dla władzy państwowej już cały szereg zadań i obowiązków w rozległej dziedzinie gospodarstwa społecznego, i te uczony prelegent po kolei wyłuszcza. Tak np. według niego, zadaniem państwa jest podnieść samodzielność warstw ekonomicznie słabszych, lub wydać wprost ustawy, chroniące te warstwy przed wyzyskiem przedsiębiorców, tudzież bronić społeczeństwo przed niebezpieczną konkurencyą, przed monopolami, popierać asocyacye, ograniczać własność prywatną tam, gdzie ona staje się niebezpieczną dla interesów publicznych i t. d. Wreszcie może państwo, zdaniem prelegenta, pójść nawet jeszcze dalej, może w interesie publicznym ograniczyć wolną konkurencyę w pewnych dziedzinach, może ująć

w własne ręce asekuracye, pewne instytucye bankowe, kasy oszczędności, zakłady zastawnicze i t. d., ale dodajmy, tylko wtedy, gdy interes publiczny tego koniecznie się domaga, i jak długo się tego domaga. I to jest trzecia zasada ingerencyi państwa w dziedzinie ekonomicznej, która prelegentem kierowała.

Bardzo dobrym był również referat prof. d-ra Leo o znaczeniu asocyacyi w dziedzinie ekonomicznej. Zaznajomiwszy słuchaczów z rozlicznymi i różnorodnymi rodzajami stowarzyszeń, wykazał prelegent jasno jak na dłoni doniosłe znaczenie stowarzyszeń gospodarczych, które potęgując siły ekonomiczne jednostek, ułatwiają im znacznie walkę konkurencyjną i podnoszą poczucie solidarności. Zaznaczyć tu wypada, że, zdaniem prelegenta, stowarzyszenia nie są jeszcze rozwiązaniem problemu społecznego. Co najwięcej, przyczynić się one mogą do powściągnięcia wybujałego indywidualizmu i wybujałego poczucia wolności osobistej, a tem samem do ułagodzenia niezadowolenia i przywrócenia spokoju. I w tem leży ich siła i znaczenie w obecnej dobie. Co się tyczy spółek produkcyjnych, prelegent przestrzegał przed ich zakładaniem, zwracając uwagę, że tego rodzaju stowarzyszenia wyjątkowo tylko znajdują warunki pomyślnego rozwoju.

Referat ten odznaczał się niezwykłą jasnością i wogóle wszystkiemi zaletami doskonałego wykładu. Prof. Leo nie chciał unosić ani olśniewać słuchaczy; chciał tylko wykładać i uczyć — i z tego wywiązał się znakomicie.

Trzeci z kolei referat, tyczący się zasadniczych podstaw naszej organizacyi gospodarczej, był prof. d-ra Czerkawskiego pod tytułem: „Naczelne zasady organizacyi gospodarstwa społecznego“, z którym się łączy następny jeszcze wykład tegoż autora: „O kwestyi robotniczej“. Rozległość pojęcia i objęcia rzeczy, głębokość i precyzya w rozumowaniu stanowią znamienną cechę obu tych przemówień; moment zaś etyczny silnie w nich zaakcentowany, nadał referatom tym szczególniejszą wagę i znaczenie. W pierwszym zstępuje prelegent do samego dna zasadniczych podstaw dzisiejszego ustroju społecznego i z wielką bystrością poddaje ostrej krytyce oparty na tychże obecny ustrój indywidualistyczny; z drugiej zaś strony zwracając się przeciwko szkole kolektywistycznej, wysnuwa z nieubłaganą logiką potworne konsekwencye, jakieby wypłynęły z uchylenia własności produkcyjnej i wolności gospodarczej. Dochodzi do konkluzyi, że naczelne zasady dzisiejszej organizacyi społecznej są same w sobie dobre, tylko należy odpowiednio zreformować oparty na nich społeczny ustrój gospodarczy. „Taka

reforma jest najzupełniej możliwą, mówi prelegent, jeżeli tylko wszystkie czynniki powołane do jej przeprowadzenia — etyka, prawo i społeczeństwo — będą współdziałać. Silnie wpojone przekonanie etyczne, poparte ciężarem opinii publicznej, usankcyonowane przez odpowiednie normy prawne, nie pozwolą jednostkom na nadmierne wyzyskiwanie swej przewagi materyalnej czy też konjunktury; państwo jako kierownik i opiekun interesów ogółu, prawem i administracyą, całą swą potęgą, będzie ograniczać egoizm jednostki we wszystkich tych wypadkach, w których korzyść osobista staje w sprzeczności z ważniejszymi interesami ogółu; w końcu społeczeństwo na drodze zdrowej asocyacyi, dobrowolnego a nawet przymusowego łączenia się jednostek ku wspólnym celom, zwiększy ich siły, umożliwi im skuteczną walkę z przeciwnikiem, który choćby najpotężniejszy wobec jednostki, będzie zawsze słabszym od ich tysięcy, skupionych pod sztandarem wspólnej obrony w imię ogólnego dobra".

Drugi referat prof. d-ra Czerkawskiego, poświęcony był kwestyi robotniczej. Był on niejako dalszym ciągiem pierwszego i praktycznem jego dopełnieniem. Zdaniem prelegenta, niezadowolenie warstw roboczych polega na poczuciu ich upośledzenia, które ma swoje źródło już to w zbyt częstych wypadkach rzeczywistego wyzysku ekonomicznej przewagi chlebodawców, już to w stosunkowo nizkiej płacy w porównaniu do coraz bardziej wzrastających potrzeb, tudzież w niemożności dobicia się samoistnego stanowiska w społeczeństwie. Skargi te i postulaty uznaje prelegent w znacznej części za słuszne i uzasadnione. Stąd wynika potrzeba i konieczność szerokiego ustawodawstwa socyalnego, które stało się hasłem i zadaniem naszego stulecia. Nam się zdaje, że autor przecenia znaczenie i doniosłość ustawodawstwa socyalnego, które w rzeczy samej ostatecznego rozwiązania kwestyi robotniczej dać nie może. I organizacya zawodowa robotników sporów tych nie usunie, choć im przewagę nad kapitałem nieraz zapewnić może. A te ustawiczne waśnie, ta nieprzejednana walka pomiędzy kapitałem i pracą, byłyby powodem ciągłych zaburzeń w społeczeństwie i ruiny produkcyi.

To też większość katolickich polityków socyalnych szuka rozwiązania tej kwestyi, jak to już wspomnieliśmy powyżej, w organizacyi stanowej — zdaniem naszem, bardzo szczęśliwie.

Jeżeli bowiem bezpośrednie ustawowe unormowanie wysokości wynagrodzenia robotników w praktyce wykonać się nie da, jak to prelegent twierdzi, a my dodajemy — dla tych samych powodów — i unormowanie czasu pracy, to o usunięciu antagonizmu pomiędzy kapitałem

a pracą mowy być nie może. Czas pracy bowiem i wysokość płacy, to najdonioślejsze warstw robotniczych sprawy, które muszą być jakoś uregulowane, jeśli nie mają być wiecznym fermentem.

Dopełnieniem referatów o zasadach ustroju społecznego był wykład ks. prof. d-ra Trznadla o encyklice Leona XIII. *Rerum novarum*.

Jest to piękny i ważny przedmiot, o którym już wiele pisano, i który każdy socyolog głęboko badać powinien, ale zarazem jest to przedmiot trudny — bo jakżeż streścić w jednej prelekcyi tę wielką encyklikę, która porusza olbrzymi szereg najżywotniejszych zagadnień, i która stała się dla katolików, jak słusznie zauważył prelegent, kodeksem etyki socyalnej. To nam tłumaczy, dlaczego czcigodny autor w wyłożeniu treści encykliki niektóre tylko jej partye wyłożył i szerzej rozwinął, a nie uwzględnił wszystkich równomiernie. I tak, zadanie państwa i interwencyę rządu w sprawach ekonomicznych, które Leon XIII. dosadnie określił, prelegent zaledwie potrącił, a stosunki pracodawców i robotników w trzeciej części encykliki szczegółowo omówione, niemal pominął. Również jako przyczyny socyalizmu podał tylko liberalizm, indywidualizm i ateizm, podczas gdy Leon XIII. rozmaite przyczyny ekonomiczne wylicza. Swoją drogą wybornie zaznaczył prelegent, że w myśl Leona XIII. reforma stosunków społecznych nietylko na dobroczynności, ale na sprawiedliwości oprzeć się powinna. Myśl tę podnosimy z szczególnym naciskiem, bo zdaje nam się, że nie jest ona u nas dość rozumianą, a przynajmniej nie dość powszechnie. Wypowiedział ks. dr. Trznadel swój wykład z jasnością, siłą i zapałem, który się publiczności udzielał.

Działalność katolików za granicą i w kraju, stanowiła temat dwóch następnych odczytów. Poseł dr. Włodzimierz Kozłowski, roztoczył przed nami barwny obraz działalności i ruchliwości katolików za granicą. Szkoda tylko, że wymowny prelegent zaledwo potrącił o ruch katolicki na polu polityki socyalnej, przeciwnie zaś, obraz działalności Kościoła na polu dobroczynności chrześcijańskiej zbyt szeroko rozwinął. Za niewłaściwe też uważamy w naukowym odczycie ostre wycieczki przeciwko socyalistom, których prelegent niejednokrotnie mieszał z anarchistami i dawał im kielnię do ręki.

Ks. dr. Kopyciński naszkicował nam w swoim odczycie historyę rozwoju katolickich stowarzyszeń w Galicyi i wogóle działalność naszą w kraju na polu socyalnem. Działalność ta przedstawia się wprawdzie dość jeszcze słabo, ale jest uzasadniona nadzieja, że i u nas niebawem rozwinie się ruch potężniejszy na tem polu, którego dobre

początki dziś już wyraźnie dostrzedz możemy. Jako punkt kulminacyjny katolickiego programu socyalno-politycznego przedstawił ks. dr. Kopyciński, tak często zalecaną przez Leona XIII. organizacyę stanową; wszelkie stowarzyszenia katolickie, przez mowcę tak gorąco zalecone, mają być pomostem tylko do niej i środkiem przejściowym.

Ostatni dzień wykładów poświęcony był wyłącznie sprawom agrarnym, zapewne ze względu na ważność i aktualną doniosłość tej kwestyi w Galicyi. Pierwszy wykład miał tu prof. dr. Milewski o celach polityki agrarnej. Wspaniały był to referat pod względem formy, układu treści i wygłoszenia. Znamienną jego cechą był szeroki widnokrąg i podniosłość stanowiska, z jakiego wymowny profesor rzecz swoją traktował, oraz silne zaakcentowanie momentu socyalnego i etycznego w kwestyi agrarnej. Tak jest, ziemia nie jest towarem, któryby można rzucić na targ lub wciągnąć w wir spekulacyi handlowej, ale czynnikiem i podstawą dobrobytu szerokich warstw ludności, funduszem żelaznym siły narodowej i naszej przyszłości oraz szańcem najsilniejszym wobec rewolucyjnych zapędów żywiołów przewrotowych. A zatem kwestya agrarna ma znaczenie pierwszorzędne w historyi narodów i stąd potrzeba i konieczność prawodawstwa agrarnego, zgodnego z naturą ziemi i jej znaczeniem socyalnem. W dalszym ciągu odczytu kładzie mowca wielką wagę na dobry rozdział własności, który, jego zdaniem, polega na równowadze własności wielkiej, średniej i drobnej — i stwierdza potrzebę ustawodawstwa normującego ten rozdział. Szczególnie u nas w Galicyi, gdzie niezdrowa parcelacya gruntów przerażające przybiera rozmiary, brak ustaw normujących parcelacyę, dotkliwie daje się we znaki. Wogóle stosunki agrarne w Galicyi prelegent w ponurych przedstawia barwach: zanik własności wielkiej, brak własności średniej, która tak ważny stanowi czynnik w rozwoju dobrobytu społeczeństw i historyi narodów, proletaryzacya własności drobnej, wzrost dzierżaw i ruch znaczący w kierunku tworzenia się latyfundiów — oto groźne i zatrważające nieporządków naszych agrarnych objawy. Zaiste, wobec tego czas najwyższy, aby się zabrać do skutecznej akcyi ratunkowej w tym kierunku, bo może prędzej aniżeli się spodziewamy, usunie się nam grunt z pod nóg i uczyni tę akcyę niemożliwą.

Dalszym niejako ciągiem i dopełnieniem mowy profesora Milewskiego był wykład prof. d-ra Ochenkowskiego pod tytułem: „Kolonizacya wewnętrzna i dobra rentowe“. Prelegent zaznaczywszy na wstępie, że główną cechą naszej epoki jest nadzwyczajny rozwój i rozwielmożnienie się sił indywidualnych, które puszczone samopas, stwo-

rzyły niefortunny rozdział pomiędzy kapitałem a pracą, wskazuje na włości rentowe, jako środek skuteczny do złagodzenia tego antagonizmu i wypełnienia przepaści między własnością wielką z jednej a karłowatą z drugiej strony. Włości te bowiem w połączeniu z kolonizacyą wewnętrzną sprowadzą odpowiedniejszy podział własności ziemskiej w okolicach, w których własność wielka zbyt znaczne zajmuje obszary; są zarazem najdzielniejszym środkiem do wytworzenia własności średniej, która pozostanie zawsze najprzedniejszym celem polityki agrarnej. Przy tej sposobności poddał prelegent większą własność ostrej krytyce, przyznając stanowczą wyższość własności średniej pod względem ekonomicznym i socyalnym. W tem czuć było pewną niezgodność z poglądami poprzedniego prelegenta. A z tego wyciągnąć można ten praktyczny wniosek, że kurs socyalny, który ma na celu nauczanie publiczności, wymaga pewnego uprzedniego zharmonizowania. W akcyi około tworzenia włości rentowych, zdaniem prelegenta, łączyć się powinny państwo, kraj, gmina i prywatni właściciele przez parcelacyę bardziej oddalonych obszarów rolnych, banki zaś rentowe pośredniczyć mają w ich nabywaniu. Dodać tu należy, że, zdaniem prelegenta, włości te wolne być mają od wszelkich ograniczeń prawnych, raz dlatego, że właścicielom trzeba zostawić wolność działania, a powtóre, że włości te mają być tylko instytucyą przejściową. Tu pozwalamy sobie wtrącić jedną uwagę. Nam się zdaje, że zwolnienie od wszelkich ograniczeń prawnych popchnąć musi i rzeczywiście już popchnęło właścicieli tych włości w niewolę kapitalizmu, gorszą od pańszczyzny lub stosunków feudalnych — a co do samych instytucyj, sądzimy, iż niema odpowiedniejszej i z naturą ziemi zgodniejszej formy obciążenia ziemi nad renty ziemskie.

W końcu jeszcze słów kilka o referatach odnoszących się więcej do strony praktycznej kwestyi agrarnej [1]. Tu słyszeliśmy dwa doskonałe przemówienia: o kredycie i jego organizacyi posła ks. prałata Wawrzyniaka ze Śremu i o kasach Raiffeisena prof. d-ra Stefczyka.

Ostatni z wielką znajomością rzeczy i stosunków, na podstawie dat statystycznych, dał nam przejrzysty obraz rozwoju kredytu w Galicyi i gorąco zalecał zakładanie kas systemu Raiffeisena, których skuteczna i dobroczynna działalność za granicą tak świetnymi zaleca się

[1] Z odczytu d-ra Dąbskiego sprawy zdać nie możemy, bo przy najlepszej woli nie udało nam się go dosłyszeć.

rezultatami, iż z nieporównaną szybkością szerzą się one po wszystkich prawie krajach Europy.

Ks. prałat Wawrzyniak skreślił dosadnie obraz rozwoju stowarzyszeń gospodarczych w zaborze pruskim, które aczkolwiek pozornie różnią się co do swojej organizacyi od kas Raiffeisena, to przecież oparte na tych samych zasadach co one, niemniejszą od nich rozwinęły działalność. I trzeba było widzieć tego czcigodnego prałata, z jakim zapałem i dosadną prostotą rozwijał on swoją rzecz. Czuć było w słowach jego jakąś dziwną siłę i żywotność, która nietylko udziela się słuchaczom, ale ich równocześnie porywa, nietylko pobudza do czynów, ale i napełnia wielką ufnością w powodzenie i skuteczność każdego poświęcenia się i ofiary dla dobra ludu. I to nam poniekąd tłumaczy ten zapał ogromny, jaki mowa ta rozniecila wśród słuchaczów, i dlaczego niektóre dzienniki nazwały ją punktem kulminacyjnym całego kursu.

Dobiegliśmy do końca.

Obejmując całość, należy raz jeszcze stwierdzić to, co już podniosły pisma codzienne i tygodniowe, że kurs socyalny pod względem naukowym stał w ogólności na tym wysokim poziomie, jaki odpowiada dzisiejszemu stanowi wiedzy poza granicami naszego kraju. Ale i pod innym, więcej praktycznym względem był on nader aktualny i pożyteczny. Nieznajomość dzisiejszej kwestyi socyalnej, stanowiącej jeden z wielkich przełomów dziejowych, jest w szerokich warstwach naszego społeczeństwa — powiedzmy to otwarcie — zdumiewająca. Kurs socyalny był pierwszą, na szersze warstwy obliczoną szkołą, która obznajomić je miała gruntownie i objektywnie z faktycznym stanem rzeczy i wskazać lekarstwa na przyszłość. Nie ulega wątpliwości, że rzucił on sporo światła na wiele ciemnych i trudnych zagadnień, odnoszących się do ustroju i życia społecznego; zapewne też obudzić musiał w niejednym ze słuchaczy chęć głębszego zapoznania się z szeregiem kwestyj, wytwarzających dzisiejszy wielki problem socyalny. Ale czy kurs ten dał słuchaczom mniej obeznanym z tymi kwestyami (a takich jest bardzo wielu) zrozumienie całości i objęcie jej w najgłówniejszych wytycznych liniach? Sądzimy, że nie ze wszystkiem.

Najprzód dlatego, że brakowało niektórych referatów, traktujących rzecz z ogólniejszego stanowiska. Nie było np. ani jednego, w którymby podano, choćby szkicowo, całokształt dzisiejszej kwestyi socyalnej, jej genezę, jej rozwój, jej stan obecny, jej doniosłe dziejowe znaczenie. Może i dlatego, że poziom niektórych wykładów był za wysoki, a forma

nie dość przystępna. Miało się czasem wrażenie, że fachowi prelegenci przypuszczają w słuchaczach ten stopień przygotowania naukowego, który poza sferą specyalistów tylko wyjątkowo się spotyka. Zdaje nam się, że przyszły kurs socyalny, jeśli się zechce liczyć z potrzebami i interesem szerszych warstw społeczeństwa, będzie musiał, zachowując w zupełności poważny charakter naukowy, stać się więcej elementarnym i więcej popularnym. Poważnemu jego charakterowi wcaleby też nie zaszkodziły częstsze nieco wycieczki w dziedzinę praktyki i życia, w których na podstawie faktów i doświadczeń, zebranych i skontrolowanych przez naukę podaćby można wskazówki, co czynić należy i jak.

Niemniej wreszcie pożądanemby było, aby fachowe roztrząsania szczegółowych ekonomicznych i społecznych zagadnień, o ile się one stykają z sferą moralną, oparte były na szerokim a jednolitym podkładzie tych podstawniczych i nigdy nieprzedawnionych zasad, jakie podaje filozofia społeczna i chrześcijańska etyka. Ugruntowaniu i rozwinięciu tych zasad, których pierwszorzędną doniosłość w sprawie reformy społecznej uznaje się dziś powszechnie, należałoby nawet poświęcić osobne referaty.

Leonard Lipke.

Miasto bez nędzarzy.

(Dokończenie).

Ale na pilną uwagę zasługuje jeszcze wewnętrzna strona opieki nad ubogimi po domach i ducha, który ma ożywiać to dzieło. Wiele o tem szczegółów dokładnie podał i wyjaśnił burmistrz elberfeldzki Liszke, który prowadził dalej dzieło rozpoczęte przez von der Heydta. Jego poglądy obszernie wyłuszczone zasługiwałyby na dosłowny odpis, przynajmniej najpiękniejszych ustępów, choć tutaj trzeba poprzestać na treści słów pana Liszkego, jednak można niezbyt je skracać, aby ocenić, jak umie o chrześcijańskiem miłosierdziu przemawiać burmistrz miasta przeważnie luterskiego.

Wedle tego sprawozdania, wewnętrzny duch stowarzyszenia powinien polegać na trojgu: pierwsze, żeby opiekunowie dzielnic pilnie wglądali, zbliżali się jak najwięcej do nędzarzy, na własne oczy śledzili i zważali na wszystkie czynności ubogich, powierzonych każdemu

w jego dzielnicy, i również, aby mogli dostarczać im wsparcia własnoręcznie i bezpośrednio. Powtóre, żeby opiekunowie dzielnic mogli sami przedstawiać wnioski co do pomocy potrzebnej biednym, choć nie udzielają ich bez uchwały wyższej władzy. Potrzecie, żeby jak najmniejszą liczbę ubogich powierzać opiece pojedynczych opiekunów dzielnicy.

Najdłużej wyjaśnia p. Liszke pierwszą dążność systemu, mianowicie: zetknięcie bogatych z ubogimi, przytem rozwija wiele nauk godnych uwagi. Przyznaje, że niejeden opiekun przechodzi początki trudne, gdyż trzeba teoryę w praktykę zamienić, przyjąć obowiązki nieraz wymagające zupełnego zaparcia się siebie, przy wstępie w świat obcy dla ludzi z wyższych warstw społeczeństwa, którzy doznają odrazy, gdy znajdą się wobec nędzy, brudu i wstrętnego widoku, zwykłych następstw niedoli. Choć nieraz widok taki budzi wstręt prawie nie do przezwyciężenia, jednak to jest koniecznem dla każdego opiekuna biednych, ciągle przestawać z nędzą i przywyknąć do jej siedlisk, choćby okropnych.

Tylko chrześcijanin, ciągle stykany z nędzą, może zrozumieć jej rozmiary i przyczyny, wynaleść dla każdego rodzaju nędzy środek zaradczy, może spostrzedz każdą zmianę w ubóstwie i wynaleść stosowne lekarstwo.

Ofiary rozdawane przez dobroczynnego człowieka, który nie zna dokładnie potrzeb proszącego, nieraz są szkodliwszemi w następstwach od samego ubóstwa. Dają sposobność prowadzić żywot wygodny w próżniactwie, a następnie wyradzają różne wady, takie nawet, którym przedtem ubodzy zupełnie nie podlegali. Opiekun często nie ma sposobu odróżnić zwyczajnego oszustwa od istotnej potrzeby biedaka, póki nie przełamie lenistwa albo niechęci, i nie wglądnie w sprawę własnemi oczyma, nie zdoła przejąć się uczuciem miłości bliźniego i współczucia dla nich; z drugiej strony nawzajem ubogi nie doznaje wdzięcznego serca, ani zaufania, a wszelka opieka nad ubogimi przybiera charakter zimnego urzędowania. Biada miłosierdziu, które nie wypływa z ducha chrześcijańskiego, i nie jest oparte na prawdziwej miłości bliźniego, z współczucia nad niedolą jego. Miłosierdzie powodowane względami ludzkimi, lub egoizmem, każe najspieszniej odwracać oczy od widoku nieraz wstrętnego, a nigdy nie miłego w nędzarzu, nie wchodzi zupełnie w to, na co użyje ubogi jałmużnę, szafuje nią dla jednej głównie przyczyny, aby zachować pozory i zamknąć

usta ubogiemu; a w takim duchu udzielana jałmużna nie rozwinie uczuć chrześcijańskich, prędzej je zniszczy. Elberfeldzka metoda opieki nad biednymi, przeciwnie, uszlachetnić może i szafarza jałmużn i zamierza podnieść, dźwignąć moralnie i materyalnie ubóstwo. Opiekunowie mają obowiązek dołożyć starań, by z ubogiego materyalnie, żyjącego z jałmużny, zrobić użytecznego człowieka, mogącego własną pracą zdobyć byt materyalny. Opiekun odwiedzający biedaka przynajmniej co 14 dni, powinien zwracać uwagę na każdy szczegół nieporządku, niemoralności, zalecać sumienność, porządek; przypominać rodzicom ich obowiązki względem dzieci, dzieciom zalecać szacunek, posłuszeństwo względem rodziców. Wogóle powinni troszczyć się o najzbawienniejsze wpływy na ubogich.

I pod względem zbratania się warstw społecznych i zatarcia krańcowych różnic, których nie popiera chrześcijaństwo, zbliżenie się bogatych do nędzarzy, może wydać pożądany owoc, jeżeli obrany opiekun będzie starał się, jak można najwięcej ze swojego stanowiska zstępować do ubogich, i oddychać wśród jego rodziny, w jego mieszkaniu; jeżeli nie będzie w stosunku do niego zachowywać się, jak wyższy do niższego, bogaty do biednego, lecz jak człowiek wogóle względem człowieka. W ten sposób opiekun ubogich będzie mógł dojrzeć i zrozumieć wszystkie strony nędzy, przejąć się współczuciem, i chęcią, pragnieniem niesienia pomocy nieszczęśliwym i ulgi możebnej. Ubogi widząc w opiekunie życzliwość braterską, czując że wszystko wypływa z miłości bliźniego, rada dobra czy nagana dana umiejętnie, potrafi odczuć wdzięczność za poświęcenie. Takich skutków doświadczyliśmy setki razy, a przeciwnie, wszelkie pośrednictwo pomiędzy opiekunem a ubogimi, zwykło mieć tylko złe skutki.

Drugim, także ważnym czynnikiem w rozwoju dzieł dobroczynnych jest, żeby sąd o potrzebie i mierze pomocy był w części, przynajmniej w zasadzie, zostawiony opiekunom dzielnic. W przeciwnym razie, jeżeli opiekuni ubogich nie zostaną spytani o sąd i pozostawieni w niemożności udzielania wszelkiej pomocy bezpośredniej, będą pozbawieni najprzód wewnętrznej pociechy, jaką mieliby, gdyby mogli sami widzieć tak zaspokojoną istotną potrzebę ubogiego, jak ją sumiennie zbadali. Ale prócz tej pociechy, traci jeszcze coś ważniejszego opiekun użyty tylko na pośrednika pomiędzy biednymi i naczelnikami; mianowicie traci nieraz całą ochotę i moralną pobudkę do sumiennego spełniania obowiązków, kiedy widzi nieraz, że nieporadność, nieznajomość

rzeczy, albo ostatecznie niedbalstwo innych osób może paraliżować najlepsze jego początki. Tej złej strony nie ma elberfeldzki system, gdzie sami opiekunowie na okręgowych sesyach orzekają i wyznaczają zapomogi, a sesya wogóle tylko zatwierdza ich sąd. Tak samo zasługuje na uwagę ostatnia dążność systemu elberfeldzkiego, polegająca na tem, żeby jak najmniejsza liczba ubogich, była powierzaną opiece opiekunów dzielnic. Przed panem von der Heydten, każdy opiekun elberfeldzkiego zarządu ubogich miał około 50 lub więcej ubogich, lecz mając swoje własne zajęcia, nie mogli podołać i odpowiedzieć zadaniu, badając nędzę ubogich powierzchownie, pobieżnie, nie będąc w możności dojść przyczyn nędzy. Wszystko ograniczało się na powierzchownych przepisach i w tenże sam sposób wyznaczano pomoc. Obciążanie zbytnią pracą opiekunów, miało ten skutek, że żaden z nich nie wypełniał sumiennie zawodowych obowiązków swojego stanu. Zaradzić temu można było tylko umniejszeniem biednych, znajdujących się pod opieką opiekunów. Reforma ta nastąpiła szczęśliwie: odtąd każdy z opiekunów nie może mieć wyżej nad czterech ubogich i okazało się, że system ten wydał najlepsze skutki. Wskutek tego wielu ludzi należących do osób wyżej w świecie postawionych, wykształconych, zamożnych mogło przyjmować obowiązki opiekunów, bez szkody w własnych zajęciach. Pożyteczną też była ta reforma i dla ubogich, i dla dobroczynności wogóle, a dowód najlepszy, że praca nie zostaje bezowocną, iż na 100 ubogich, połowa ich w przeciągu czterech tygodni już nie potrzebowała pomocy.

Miasto zdobywa sobie uznanie; wiele przyjęło ten sam system opieki nad ubogimi, i wogóle skutki tego dobroczynnego stowarzyszenia dają widzieć się w coraz mniejszej liczbie ubogich, potrzebujących pomocy. Bardzo wielu ubogich w krótkim czasie nie potrzebowało pomocy ze środków zarządu, znajdując robotę dzięki troskliwości opiekunów dzielnic.

Jedyną mniej praktyczną stroną dobroczynności w Elberfeldzie było: zupełne usunięcie kobiet ze stowarzyszeń dobroczynnych. Wiadomem jest, że już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wdowy i dziewice były używane do opieki nad biednymi i na równi z dyakonami poświęcały się i przynosiły chlubę miłosierdziu chrzecijańskiemu. Kobieta niejedna jakby stworzona na to, żeby poświęcać się usłudze nędzarzy, nieść pomoc i pociechę wszystkim cierpiącym, naokoło siebie

rzeczy, albo ostatecznie niedbalstwo innych osób może paraliżować najlepsze jego początki. Tej złej strony nie ma elberfeldzki system, gdzie sami opiekunowie na okręgowych sesyach orzekają i wyznaczają zapomogi, a sesya wogóle tylko zatwierdza ich sąd. Tak samo zasługuje na uwagę ostatnia dążność systemu elberfeldzkiego, polegająca na tem, żeby jak najmniejsza liczba ubogich, była powierzaną opiece opiekunów dzielnic. Przed panem von der Heydten, każdy opiekun elberfeldzkiego zarządu ubogich miał około 50 lub więcej ubogich, lecz mając swoje własne zajęcia, nie mogli podołać i odpowiedzieć zadaniu, badając nędzę ubogich powierzchownie, pobieżnie, nie będąc w możności dojść przyczyn nędzy. Wszystko ograniczało się na powierzchownych przepisach i w tenże sam sposób wyznaczano pomoc. Obciążanie zbytnią pracą opiekunów, miało ten skutek, że żaden z nich nie wypełniał sumiennie zawodowych obowiązków swojego stanu. Zaradzić temu można było tylko umniejszeniem biednych, znajdujących się pod opieką opiekunów. Reforma ta nastąpiła szczęśliwie: odtąd każdy z opiekunów nie może mieć wyżej nad czterech ubogich i okazało się, że system ten wydał najlepsze skutki. Wskutek tego wielu ludzi należących do osób wyżej w świecie postawionych, wykształconych, zamożnych, mogło przyjmować obowiązki opiekunów, bez szkody w własnych zajęciach. Pożyteczną też była ta reforma i dla ubogich, i dla dobroczynności wogóle, a dowód najlepszy, że praca nie zostaje bezowocną, iż na 100 ubogich, połowa ich w przeciągu czterech tygodni już nie potrzebowała pomocy.

Miasto zdobywa sobie uznanie; wiele przyjęło ten sam system opieki nad ubogimi, i wogóle skutki tego dobroczynnego stowarzyszenia dają widzieć się w coraz mniejszej liczbie ubogich, potrzebujących pomocy. Bardzo wielu ubogich w krótkim czasie nie potrzebowało pomocy ze środków zarządu, znajdując robotę dzięki troskliwości opiekunów dzielnic.

Jedyną mniej praktyczną stroną dobroczynności w Elberfeldzie było: zupełne usunięcie kobiet ze stowarzyszeń dobroczynnych. Wiadomem jest, że już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wdowy i dziewice były używane do opieki nad biednymi i na równi z dyakonami poświęcały się i przynosiły chlubę miłosierdziu chrzecijańskiemu. Kobieta niejedna jakby stworzona na to, żeby poświęcać się usłudze nędzarzy, nieść pomoc i pociechę wszystkim cierpiącym, naokoło siebie

pełnić dzieła miłości, złączone ściśle z jej głównem zadaniem życia. Są cierpienia i biedy pomiędzy ubogimi, których tylko oko kobiety dostrzedz potrafi, serce odczuć i zrozumieć Na tę potrzebę kobiecej opieki nad ubogimi mało kto zwracał uwagę w Elberfeldzie do r. 1880, kiedy zakładało się stowarzyszenie kobiece.

Celem tego stowarzyszenia jest dostarczać pomocy w nadzwyczajnych wypadkach, w których miejski zarząd lub opiekuni dzielnic, nie mogli udzielić jałmużny, czy to skrępowani przepisami i ustawami, lub też dla jakiego innego powodu.

Do stowarzyszenia mogą należeć kobiety zamężne i niezamężne; każda należąca do stowarzyszenia musi płacić po 5 lub 3 m. na rok. Stowarzyszenie to mając współdziałać z zarządem miejskim podobnie zostało urządzone. Miasto było podzielone na tyleż okręgów, ile posiadał zarząd ubogich. Każdy okręg miał jednę nadzorczynię i odpowiednią liczbę pomocnic. Zarząd stowarzyszenia składa się z prezydentki i jej zastępczyni i okręgowych nadzorczyń, obieranych na trzy lata. Oprócz tego należy jeszcze dwóch członków zarządu miejskiego, obranych przez stowarzyszenie kobiece, dla podtrzymywania wspólnego działania dobroczynności. Raz do roku bywa ogólne zebranie członków, na którem są wybierani członkowie zarządu miejskiego.

Zarząd postanawia przepisy dla siebie i dla nadzorczyń stowarzyszenia kobiet; sesye zarządu powinny mieć miejsce przynajmniej raz na miesiąc.

Każda prośba o wsparcie powinna być oddawaną nadzorczyni okręgu, która następnie doręcza ją prezydentce stowarzyszenia. Prezydentka ma obowiązek odesłać do zarządu opieki ubogich, który zapomocą odpowiednich osób musi badać i dochodzić, czy proszący pomocy stowarzyszenia nie ma prawa szukać jej w miejskim zarządzie. Następnie prośba bywa znów odsyłaną stowarzyszeniu i szczegółowo rozbieraną na następnej sesyi stowarzyszenia. Jednak w nagłych wypadkach prezydentka może udzielić pomocy bezpośrednio, lecz jest obowiązaną uwiadomić o tem zarząd miejski.

Ubogich żebrzących po domach, lub piszących prośby, stowarzyszenie powinno odsyłać do zarządu opieki, jednak może stowarzyszenie udzielić pomocy ubogim, których znają. Każdy członek stowarzyszenia ma odpowiedni znak przybity na drzwiach mieszkania, który ma uprzedzać ubogich. Stowarzyszenie posiada także skład ubrań dla ubogich, zwykle zaopatrywany przez członków dobroczynności, lub inne miłosierne osoby.

Każdy proszący pomocy, a uznany przez zarząd opieki ubogich za nieodpowiedniego, żeby mógł korzystać z miejskich źródeł dobroczynności, bywa odsyłanym do kobiecego stowarzyszenia, aby osądziło, czy mogłoby udzielić pomocy z swojej strony Zamiejscowi ubodzy bywają odsyłani do miejsca urodzenia.

Stowarzyszenie posiada także dla nędzarzy pozbawionych środków do życia przytułek, w którym dostają śniadanie, obiad, kolacyę i nocleg, w zamian za to są obowiązani godzinę lub dwie pracować. Starający się powinien udać się do zarządu, gdzie po przejrzeniu papierów, bywa odsyłany z odpowiednim znakiem stowarzyszenia.

Lecz stowarzyszenie kobiet nie przestając na tem, pragnęło rozciągnąć opiekę i nad dziećmi biednemi, oddanemi do miasta na wychowanie. Ta gałęź dobroczynności okazała się bardzo pożyteczną. Każde z tych dzieci zostaje pod wyłączną opieką jednej z pań stowarzyszenia, do czwartego roku życia. Stowarzyszenie zajmuje się również urządzaniem letnich kolonij dla dzieci biednych rodziców, i nieraz musi rozszerzać swą działalność udzielaniem pomocy biednym matkom.

Kobiece dobroczynne stowarzyszenie w Elberfeldzie, było urządzone na wzór stowarzyszeń od dawna znanych w Anglii, gdzie działalność kobiet w dobroczynności doszła zdumiewających rozmiarów. Za przykładem stowarzyszenia w Elberfeldzie, wiele już innych miast niemieckich poszło, zakładając podobneż stowarzyszenia.

W każdym razie Elberfeld wyżej stoi w stosunku do innych miast niemieckich i przewyższa je pod względem stanowiska, zajętego przez kobiety w opiece nad biednymi.

Dochodzono także o ile działalność stowarzyszenia kobiet oszczędziła środków miejskiemu zarządowi opieki biednych i w tym wypadku wynik był bardzo pomyślny. Takim sposobem, kobiece stowarzyszenie, nietylko współdziałało z zarządem ubogich, zajmując się takim rodzajem ubogich, którzy nie mogli znaleść pomocy w miejskim zarządzie ubogich, lecz jeszcze oszczędziło środków, które w razie nieistnienia stowarzyszenia obciążałyby miejski zarząd opieki nad biednymi.

Tak wygląda owa podwójna działalność męskiego i kobiecego zarządu biednych w Elberfeldzie, która sprawiła, że miasto, w którem przeważna część mieszkańców składa się z fabrykantów i robotników, prawie nie mieści w swoich murach nędzarzy, wskutek tego system jego niesienia pomocy ubogim, zdobywa sobie ogólne uzna-

nie. W jego ślady poszły już z wielkim pożytkiem od ostatnich lat miasta: Drezno, Lipsk, Królewiec, Magdeburg i dosyć wiele innych, nawet Rostok.

I nam od dawna wypadałoby ściślej naśladować dobroczynne miasto, tak szczęśliwie urządzone, w swojej trosce o niedolę nędzarza. Bogu dzięki, i u nas początek już zrobiony przez Towarzystwo tanich mieszkań, ale tego jeszcze mało... trzeba więcej...

H. S.

Druk ukończono 31 lipca 1897 r.

PEREZ GALDOS I JEGO DZIEŁA.

I.

Dwa lata świeżo minęły, jak O. Coloma napominał podróżującego po Hiszpanii Francuza, René Bazin[1], aby, jadąc do Santander, nie omieszkał odwiedzić tam dwóch najsłynniejszych obecnie autorów hiszpańskich. Jednym z tych był Josè Maria de Pereda, drugim D. Benito Perez Galdos. Obaj mieszkają nad brzegiem morza, wśród żółtych skał, osnutych z rana złotawym morskim oparem, oblanych w dzień jaskrawem słońcem południa. Dwie te gwiazdy żyją blizko siebie bez zazdrości i zwady; Perez Galdos bowiem zwie Peredę swym mistrzem. Przykro jest na wstępie pokłócić się z człowiekiem, o którym się zamierza pisać, niepodobna wszakże podzielić w tem skromnego zdania Galdosa. Być może, iż Pereda był mu przodownikiem, że pierwszy w Hiszpanii otrząsł się z pętów konwencyonalnego stylu i przeniósł powieść na grunt ludowy. Jego *Puchera* np. jest znakomitą; nieco przypomina nam *Hrywdę* Rodziewiczówny, choć jest od niej wyższą, a zwłaszcza bogatszą w szczegóły. Chcemy wierzyć, że stosunki ludowe opisane są z największą dokładnością, mimowoli jednak rodzi się pod tym względem wątpliwość, gdy się widzi autora, żyjącego w najwykwintniejszem otoczeniu, w zamożności i zbytku. Perez Galdos nie posiada może podobnej siły kolorytu, umie za to potrącać kwestye wyższe. Lot

[1] René Bazin, *Terre d'Espagne.*

jego, zwłaszcza w ostatnich utworach, krąży ponad ziemią. Czuć w nim więcej ciepła i duszy; sam fakt, że odwiedzającego literata nie sobą, ale kolegą zajmuje, świadczy o jego duchowej wartości. Liczy on około lat 50; urodzony na jednej z wysp Kanaryjskich przeniósł się zupełnie do Europy i osiedlił w Santander, zwabiony opisami Peredy, opiewającego czary tych gór. Jest to postać poważna, o siwym opadającym wąsie, twarz raczej wojskowego, niż pisarza. O ile Pereda jest zagorzałym Karlistą, o tyle dobrowolny jego uczeń sprzyja obecnemu rządowi. Przekonania swe polityczne przelał w dwudziestotomowy cykl historycznych powieści, obejmujących dzieje Hiszpanii od początku najazdu Napoleona aż do królowej Izabelli; ostatnia z nich nosi tytuł wymowny: *Un faccioso mas y algunos frailes menos*, czyli „Jeden warchoł więcej i kilku mnichów mniej". Sam ów napis świadczy, że autor nie stanie po stronie warchoła przeciwko mnichom. Czy obok tego jest demokratą, czy arystokratą, osądzić trudno. On sam, nie mięszając się nigdy do czynnej polityki, usiłuje trzymać się wyżej, ponad stronnictwami; usiłuje również porwać za sobą czytelnika i wskazując wady i zalety obu stron walczących, zda się mu śpiewać znaną pieśń:

Wie glücklich sind wir ja beide,
Das wir so ferne von Ihn!

Że nie zapatruje się zbyt różowo na stan swego kraju, świadczy poniższy ustęp, wyjęty prawie na chybił-trafił z jednego z jego historycznych romansów[1]. Wykazawszy potrzebę przeobrażenia i odświeżenia wszystkich stosunków w Hiszpanii ku końcowi przeszłego wieku, — ktokolwiek bliżej im się przypatrzył, nie wątpi, iż w wielkiej części ma słuszność — wyraża żal, iż rewolucya nie przeszła przez tę ziemię, wstrząsając ją do dna, krótka a gwałtowna jak burza, czyszcząca powietrze i zostawiająca po sobie pogodę, ale że w niej się osiedliła i stała chroniczną:

„Są narody, które się przekształcają powoli wśród gadania i dyskusyj, zakończonych krwawemi burdami trwającemi po trzy

[1] *Los Apostolicos*, str. 62—63.

lub cztery lata; pokój w nich jednak bardziej mącą języki niż szable. Nasz naród postępuje w podskokach i upadkach, wśród tumultów i zgiełku. Nasza mapa nie jest kartą geograficzną ale planem strategicznym bitwy bez końca. Nasz lud nie jest ludem lecz wojskiem. Nasz rząd nie rządzi tylko się broni. Nasze stronnictwa nie są stronnictwami, gdyż nie mają wodzów. Nasze góry są szańcami, w dowód czego są przezornie ogołocone z drzew. Nasze pola nie są uprawiane, aby wygodniej było po nich przewozić armaty. Nasz handel choruje na odwieczną nieśmiałość zrodzoną z ciągłej *idée fixe,* że j u t r o rozpocznie się ogień. To co nazywamy pokojem jest, mówiąc między nami, tem czem jest zimno w fizyce — stanem negatywnym tj. brakiem ciepła: przestankiem wśród wojny. Pokojem zwie się tutaj sposobienie do walki, obwiązywanie ran i ostrzenie broni...“

Stary despotyzm, który wraz z dawną dynastyą po przewrotach napoleońskich powrócił do Hiszpanii i po kilkakroć usiłował się rozgościć, jest Perez Galdosowi niezmiernie wstrętnym. „Nie jest to — mówi — absolutyzm Filipa II. lub Ludwika XIV. wzniosły, arystokratyczny, rycerski, oświecony tysiącznymi blaski chwały wojennej i artystycznej, pokrywający swe okrucieństwa olbrzymimi czyny — ale system sekowania i podejrzliwości zaszczepiony na gmatwaninie intryg i przekupstwa różnych kamarylli funkcyonujących od czasów Manuela Godoy...“ Myliłby się jednak ktoby go chciał do partyi t. zw. liberalnej zaliczać. Hiszpania, według niego, jeszcze nie dojrzała do prawdziwej wolności: „Kraj nasz, niestety, nie jest liberalnym, ani wie czem jest wolność a o nowych sposobach rządzenia ma tylko słabe pojęcia... Z wyjątkiem trzech tuzinów ludzi — nie więcej — Hiszpanie, którzy najgłośniej krzyczą domagając się wolności, mniemają, że wolność polega na tem, aby każdy czynił, co mu się żywnie podoba i mógł się z władzy natrząsać. Jednem słowem, każdy Hiszpan żądający wolności, żąda jej tylko dla siebie, nie troszcząc się o bliźniego...“ Możnaby pocieszyć autora zapewnieniem, że wyłączność, na jaką się skarży, jest ogólną u liberałów chorobą — ale słuchajmy dalej. Wpraw-

dzie mówi on tu o czasach dawniejszych, ale ma i stan dzisiejszy na myśli:

„Hiszpania[1] dziś ma wciąż opozycyę na ustach a w głowie niejasne aspiracye, głuche instynkta odmiany; w sercu jej wszakże zamieszkuje despotyzm. Jest on w jej naturze, w jej usposobieniu, jest dziedziczną chorobą wieków, którą jedynie wieki wyleczyć zdołają. Widziałem ludzi, którzy wymownie głosili liberalne zasady, wzniecili niemi rewolucye i niemi rządzili. Otóż ci w każdym ze swych czynów okazali się najnieznośniejszymi z despotów. Tutaj despotą jest liberalny minister, despotą urzędnik, woźny i żołnierz narodowej milicyi; jest małym tyranem gazeciarz, prowodyr od wyborów, przywódca wieców ludowych i ten co po ulicach wykrzykuje patryotyczne przechwałki i hymny. Idea wolności wdzierając się tu na początku wieku, dała nam formułki, sposoby wyrażania się, zmieniła nieco umysły ale serca trwają w absolutyzmie, w którym wyrosły. Dopóki uczucia się nie zmienią, dopóki zazdrość, która się stała tu jakoby drugą naturą, nie ustąpi przed wzajemnym szacunkiem, dopóty nie będzie wolności. Dopóki zamiłowanie pracy nie zwycięży nizkich chuci i zwyczaju życia cudzym kosztem — nie będzie u nas wolności. Nie będzie jej, dopóki trwać będzie to, co się zowie hiszpańską prostotą *(la sobriedad espanola)*, a nie jest czem innem jak lenistwem umysłu i ciała, podsycanem przez rutynę obyczaju; albowiem krwawe namiętności a z niemi zazdrość, bezczynność, życie z jałmużny, spuszczanie się na żyzność ziemi lub na litość bogatych, żądza poniżenia bliźniego, chciwość płacy i posad, aby mieć nad kim przewodzić i gnębić — wszystko to są jedynie odmienne kształty absolutyzmu, który się objawia w miarę danej chwili: to służalczy i zacofany, to dumny i śmiały".

Nie traci przecież nadziei na przyszłość: „Absolutyzm jest rzeczą niemożliwą; liberalizm rzeczą trudną. Chwytam się tedy tego co trudne, odsuwając to co niemożliwe. Musimy przebyć sto lat usiłowań, prób, boleści i wstrząśnień straszliwych..." Tymczasem zaś bohater, w którego usta kładzie tę przemowę, a poza

[1] *Los Apostolicos*, str. 226.

którym sam autor przegląda, oświadcza, że nie jest ani absolutystą ani liberałem w pospolitem tego słowa znaczeniu...

Zbiór powieści społecznych Galdosa liczy dotychczas, o ile nam wiadomo, trzydzieści pięć tomów, co, doliczając dwadzieścia tomów historycznych, tworzy imponującą całość. Jeżeli mu Pan Bóg użyczy długich lat, prześcignie może płodnością Dumasa i Kraszewskiego. Co dziwniejsza, to, że jeszcze nie manieruje. Tu i ówdzie tylko można mu zarzucić nieco rozwlekłości w dyalogu, nadużycie przymiotników i porównań. Jest on głównie i przedewszystkiem psychologiem; celuje w opisie typów, często niezbyt sympatycznych, ale zawsze żywotnych. Można się u niego zapoznać z indywiduami wszelkiego autoramentu, z niejedną oryginalnością lub dziwactwem, nigdy z karykaturą, rzadko z doskonałością. Jest to bezsprzeczną zaletą, gdyż doskonałości trzeba szukać w niebie, a nie na tej ziemi; w powieści atoli doznaje się mimowoli zawodu, odkrywając ludzką ułomność w charakterystyce wyższej nad ogólny poziom istoty. Powieści Galdosa nie są wszystkie do czytania przyjemne, w każdej jednak jest coś uderzającego. Wracając do stylu, można mu jeszcze uczynić zarzut, że chcąc okazać swą niezależność od form konwencyonalnych, wpada nieraz w przeciwną ostateczność i wtrąca bardzo ordynarne wyrazy do dyskusyi z natury wykwintnej. Tworzy to jaskrawe sprzeczności, jak się o tem czytelnik będzie mógł z poniżej przytoczonych ustępów przekonać; tam np., gdzie ma powiedzieć: brud albo śmieci, używa regularnie wyrazu *porqueria*, co (z przeproszeniem) znaczy świństwo i t. p. —

Mniejsza jednak o wyrażenia. Jest kwestya ważniejsza: jakie są zasady religijne Galdosa? Człowiek, który pisze pięknie i pisze tak wiele, musi przez to samo wywierać wpływ. Otóż René Bazin, mówiąc o nim, przypuszcza, że jest „w kwestyach filozofii Wolteryaninem". Być może, iż można u Galdosa to lub owo teologicznie zganić, ale niech sam czytelnik, choćby z recenzyi tylko, osądzi, czy ten człowiek nie jest żywo i głęboko wierzącym? Wszystkich jego dzieł nie przyniosła poczta nad Wisłę; możemy sądzić tylko z jakich dziesięciu, a z tych dwa są niemal wyłącznie religijnej treści. Ale to już dziś taka moda;

ludzie, którzy sami mało wierzą, nie chcą szczerości w wierze przypuszczać u drugich i upierają się, aby w najwznioślejszych ustępach wielkich autorów widzieć tylko próbki literackiej swady, malownicze gry światła i cieniów, potrzebne do zaokrąglenia nowego typu. Galdos wogóle nie ma pretensyi do roli moralisty; przedstawia nam obrazy, rzecby można raczej fotografie, bez domieszki własnego zdania. Zdaje się mówić: „Czy tak źle, czy dobrze, niech czytelnik osądzi; ja podaję tylko, co było“. Czasem w powieści, z której przez cały tom jasny, jaskrawy nawet sens moralny wypływał, przy samym końcu ozwie się zgrzyt nuty fałszywej a niespodzianej. Przypuściwszy nawet, iż to psychologicznie prawdziwe, że w życiu nieraz taki zgrzyt rani nam uszy i serce, w literaturze, równie jak w malarstwie, należy unikać owych efektownych koziołków, tak ulubionych przez dzisiejszych artystów. Są one rzadkie i zazwyczaj brzydkie w rzeczywistości, a stają się potworne, gdy się je pochwyci w lot i rozwałkowawszy uwieczni na papierze lub płótnie. Oprócz koziołków należałoby może unikać i sztuczek, które w dobrej wierze niejeden bierze za sztukę. Być może, iż inni inaczej osądzą, nam jednak wydaje się nieco sztuczną powieść, jak np. *Tormento*, gdzie obdarty, ale utalentowany pisarz, upatrzywszy dwie, w blizkości jego mieszkające ubogie dziewczyny, buduje na ich karb romans o wyższym nastroju, idealizując każde podsłuchane słowo, każde na wpół tylko zrozumiane w ich życiu zdarzenie, kończąc tryumfem cnoty nad napaściami szatana i wszelkich spraw jego. Obok tego atoli toczy się opowieść życia obu sióstr, życia tragicznego, ale nieidealnego wcale, przy końcu której zamiast epilogu wymarzonego przez poetę i oczekiwanego przez porządnych słuchaczy, następuje jeden z owych karkołomnych koziołków, przy którym rozpryska się uczciwość bohaterów i... talent autora. Nie brak go wszakże było w ciągu opowieści: mistrzowską ręką nakreślona postać *du caractère noir* człowieka, rozdartego wszelkim rodzajem namiętności, jęczącego pod gniotącem brzemieniem występku, a nieszczęśliwego aż do szpiku kości. Wszystko u niego jest nagłem; wśród najgwałtowniejszej sceny zrywa się, aby biedz z pomocą konającej tuż obok staruszce, którą z czystego miło-

sierdzia pielęgnuje jak matkę, lekką dłonią przewija jej rany, i chwytając ostatni błysk przytomności, sprowadza jej księdza. A jaki to ksiądz! Jaka równocześnie słodka, oryginalna i potężna postać! Jak umie nieszczęsnego winowajcę przyciągnąć i okiełznać, samą postawą swoją nakazać milczenie faryzeuszowskiej surowości tegoż, i piętnując grzech, do serca przytulić grzesznika! O tego ostatniego czytelnik może być spokojnym; kiedyś, może nie zaraz padnie na kolana i będzie czołem bił progi kościelne, wołając miłosierdzia... Wogóle postacie kapłanów są u Pereza Galdosa może najlepiej odczute i odrysowane z widoczną lubością. Czy bodźcem jego jest tylko zamiłowanie spraw bożych, czy znów chwytanie typów w klasie ludzi, tworzących wśród zwykłego świata jakiś świat odrębny, z urzędu oderwany od trywialnej płaskości? Zapewne jest jednego i drugiego po trosze i obu tym pubudkom zawdzięczamy ukazanie się jednej z najdziwniejszych książek, jakie w ostatnich latach zajęły półki księgarskie. Gdyby nie ta powieść, możeby i nam nie było przyszło na myśl obznajomić publiczności naszej z utworami Galdosa. Zanim jednak do jej rozbioru przyjdziemy należy się zastrzedz, iż niektóre szczegóły w tekscie, a więc i w recezyi wydadzą się niesmaczne, ale że kłaść je trzeba u autora na karb uchybień przeciw dobremu gustowi, a nie żadnej jawnej lub ukrytej satyry. Galdos tu wydaje się zupełnie szczerym; jeśli ideał jego wychodzi z poza ram powszednich pojęć o świętości i obowiązku, jeżeli brakiem roztropności ludzkiej zgorszy niekiedy czytelnika tak, jak i w powieści gorszy swe otoczenie, winniśmy pamiętać, że autor chciał nam dać obraz „świętego szału krzyża“ i przebaczyć mu, że ziemskiemi pisząc rękami zachwiał się chwilami w opisie nieziemskich rzeczy.

II.

Tytuł powieści jest *Nazarin*, imię zdrobniałe od używanego w Hiszpanii Nazario. Nam zdaje się, jakoby Galdos chciał samem imieniem przytulić swego bohatera do boskiego Mistrza, Jezusa Nazarejskiego. Może to nazbyt śmiałe uroszczenie, niewiększe jednak, niż imię Maryi przez tyle niewiast noszone. Rzecz roz-

poczyna się niby pamiętnikiem autora. Dzięki dziennikarzowi nowego autoramentu, jednemu z owych reporterów, goniących za informacyą, jak chart za zającem, odkrywa on w jednej z najuboższych dzielnic Madrytu, przy ulicy Amazonek („nazwanej tak, licho wie po co i za co") ogromny dom gościnny, natłoczony wszelkim rodzajem motłochu. Właścicielka zakładu, ochrzczona jako Stefania, ale znana ogólnie pod nazwą Tia[1] Chanfaina; autor zaręcza, że gdy o niej pisze, wyraz „kobieta" nie może mu wyjść z pod pióra, jest to bowiem gatunek niewieściego smoka, panującego nad otaczającym go gminem potęgą swych strasznych oczu, swych atletycznych członków i głosu, wobec którego zamilkłyby surmy wojenne. Dom jej tworzy olbrzymi labirynt schodków, ganków, izb, kurytarzy, widocznie w różnych budowanych czasach, ale za dni naszych zrównanych ogólną warstwą nieładu i brudu, ogólną atmosferą, pomięszaną z wyziewów kuchni i stajen. Nie zawsze było tak źle; dawniej Tia Chanfaina miała lokatorów wyższego rodzaju, studentów weterynaryi, woźniców nieokrzesanych ale dobrze płacących. Obecnie ruch z tej dzielnicy przeniósł się w stronę placu de la Cebada tj. owsianego rynku, więc i kategorya gości musiała się zniżyć. Z tych większa część prowadzi własną kuchnię, oprócz cyganów, gotujących sobie strawę w dziedzińcu na trójnożkach z kamienia albo na cegłach. Na ten dziedziniec wchodzi nasz autor ze swym towarzyszem i powitany gromkim głosem gospodyni, poczyna mniej trwożliwem na nią spoglądać okiem. Powłoka wprawdzie monstrualnie szorstka i gruba, ale śmiech szczery a serce w gruncie dobre i uczciwe. Niejeden biedak wyniósł się od niej, nie zapłaciwszy mieszkania lub strawy, niejeden zamiast zapłacić, coś jeszcze ukradł w dodatku, innym trzeba było udzielać kredytu. Tożby i ona wolała siedzieć spokojnie i nie burmistrzować,

[1] Wyraz *tia* lub *tio*, oznaczający istotnie wuja lub ciotkę, używanym bywa najczęściej w niepochlebnem znaczeniu; powiedzieć np. *es mi tio* znaczy jest moim wujem, ale *es un tio* znaczy jest gburem, człowiekiem wulgarnym, grubianinem. Dodane do imienia, jak np. *Tio Francisco* albo *Tia Mariana* jest pomiędzy ludem oznaką wieku i powagi. *Chanfaina* nazywają bigosik z płucek cielęcych.

ale jakżeż sobie inaczej da rady? Z mężczyznami, choćby z pijakiem i włóczęgą, jeszcze łatwiejsza sprawa, ale kobiety! Ot, właśnie na dziedziniec wpada ich cała gromadka, ohydne maszkary, z twarzą zasmarowaną bielidłem, czernidłem i różem, rozniecające wkoło woń fałszowanych pachnideł. Wpadają z jakąś skargą, wrzeszcząc jedna przez drugą z żywością, którą grzmiący głos gospodyni zaledwie uspokoić zdoła. Zgłuszeni tumultem nasi turyści chronią się po schodach na drewniany ganek, chwiejący się pod ich nogami, jakby już miał się zapaść. Tu czekają na koniec sceny, odgrywającej się u dołu, gdy naraz obok nich otwiera się na ganek okienko i w ramach jego ukazuje się postać, która od razu ściąga całą ich uwagę. Twarz mężczyzny lat średnich, a może też młodego i zestarzałego przedwcześnie, ściągła, niemal przeźroczysta, nos orli, oczy czarne, płeć bardzo ciemna, całkiem ogolona, typ semicki, jakie się tylko w Maurytanii spotyka, prawdziwy Arab bez brody. Na plecach czarna suknia — sutanna. Nie! to już zanadto; tu cyganie, tam wędrowni przekupnie, ówdzie owe pobielone małpy, a na dopełnienie arki Noego jeszcze Arab, i to Arab, odprawiający mszę! Reporter uspokaja nieco towarzysza, objaśniając, że mieszkanie księdza, choć bardzo nędzne, posiada osobne wyjście, osobne schody, że tylko owem okienkiem komunikuje z dziedzińcem zajazdu, że, jednem słowem, ksiądz jest sąsiadem, a nie lokatorem olbrzymiej Stefanii. W tej chwili jednak woła on na nią usilnie, i zdoławszy zwrócić jej uwagę, uskarża się, że go okradziono haniebnie; prócz szat czysto kapłańskich zabrano wszystko, bieliznę z kuferka, pieniądze z woreczka, zapasy z szafki i węgle z kuchenki. Posądza starą babę, która z rana u niego sprzątała. Nie zostało mu ni miski, ni widelca, ani kawałka chleba, a dotąd nic nie jadł: prosi o cokolwiek strawy, aby się módz trzymać na nogach. „O resztę przecie wiecie, że nie dbam".

Na to Tia Chanfaina poczyna kląć, ale to kląć od ostatnich słów, łając biednego księżynę za jego niezdarność i nierozgarnienie. On zaś spokojnie przechodzi się po swej izdebce, słuchając ujadań, trochę smutny, ale cierpliwy i cichy. W końcu, gdy stara chwilkę zamilkła, odzywa się z dziwnie łagodnym uśmiechem:

„Moja pani, wiecie przecież, że temu nędznemu ciału niewiele do utrzymania potrzeba: kawałeczek chleba lub czegokolwiek, to dosyć. Prosiłem o to panią jako sąsiadkę. Ale jeśli mi nie chcecie dać, pójdę gdzieindziej poprosić i dostanę, boć więcej jest na świecie dusz litościwych, niż ludzie myślą!

„Tak, tak, bardzo proszę! Radzę pójść gdzie do licha albo do kuchni nuncyusza arcyapostolskiego, dość tam już darmozjadów się żywi!... Ale, ale mój Ojcze Nazarin, czyż jesteście pewni, że to właśnie Siona was okradła? Boć to u was wszystko stoi otworem: kto chce, ten wchodzi, i wchodzi niejedna łajdaczka, ta opowiada swoje grzechy, druga chce, aby jej szmaty zastawione wykupić, trzecia po prostu żebrze, a wszystkie razem tylko wam zawracają głowę. Ani to ksiądz patrzy, kto wchodzi, tylko każdego poczciwie przyjmie i jeszcze pozdrowi. I cóż z tego? Że jedni okłamią, drudzy się naśmieją, a trzeci okradną do ostatniej koszuli.

„Z pewnością była Siona. Na nikogo prócz na nią winy zrzucać nie można. Niech sobie idzie z Panem Bogiem i niech jej służy. Ja jej skarżyć nie będę.

„Byłem zdumiony — pisze autor — tem, com widział i słyszał. Zapytałem towarzysza, czy co wie o przeszłości tego dziwnego i niezrozumiałego dla mnie Nazarina, w którym coraz to bardziej uderzał mnie typ muzułmański. Odpowiedział mi, że to Arab z prowincyi la Mancha, urodzony w Miguelterra i że się zwie D. Nazario Zaharin. Więcej nie wiedział nic, chyba to, że go wielu miało za świętego a wielu za półgłówka. Należało lepiej go poznać, aby się przekonać, co prawda.

Najgorszego jeszcze brakło. Posłyszały owe cztery poczwary oskarżenie rzucone na Sionę, ta zaś była ciotką jednej z nich. Zwróciły się tedy do okienka jak lwice lub pantery, chciały się za nią ująć. Uczyniły to wszakże w sposób tak brutalny, że musieliśmy wdać się w sprawę, aby zamknąć ich plugawe gęby. Niema zuchwałej obelgi, którejby nie wypluły w twarz księdza.

„Poszły precz! — wołał mój towarzysz, odganiając je gradem kułaków, było bowiem wstrętnem widzieć przyzwoitego człowieka, lżonego przez taką kanalię. Z niemałym trudem udało

nam się je spędzić; jeszcze ze schodów dochodził nas jad ich słów i pachnideł, na dziedzińcu poswarzyły się z cyganami, nawet obok osłów nie przeszły w spokoju. Oczyściwszy plac, zapragnęliśmy bliższą zawrzeć z Nazarinem znajomość, przeto, zapytawszy go o pozwolenie, obeszliśmy główną bramą i wdrapali się na wązkie schodki, prowadzące do jego mieszkania. Niepodobna opisać nędzy, jakąśmy tam zastali. W pierwszej salce stała bardzo stara, słomą wyplatana kanapka, dwa kufry, stolik z brewiarzem i dwiema innemi książkami. Obok była izdebka, którą nazwiemy sypialnią, gdyż znajdowało się w niej łóżko, a raczej tapczan z siennikiem i bardzo chudą poduszką bez śladu bielizny ni kołder. Trzy litografie treści religijnej i krucyfiks, stojący na stoliczku tuż obok, dopełniały umeblowania, nie licząc sterczącej w kącie pary starych butów i kilku jeszcze nieznacznych drobiazgów.

„Ks. Nazarin przyjął nas z chłodną grzecznością, bez niechęci również jak i bez nadskakiwania, jakby mu wizyta nasza była obojętną, albo też sądził, że nie ma obowiązku okazywać nam więcej uprzejmości nad to, co mu nakazywało dobre wychowanie. Zajęliśmy sofkę, a on sam siadł naprzeciw nas na ławeczce. Spoglądaliśmy nań z ciekawością, on zaś na nas, jakby nas już sto razy był widział. Rozmowa oczywiście wszczęła się o świeżej kradzieży. Gdy jednak któryś z nas wspomniał o daniu znać do policyi:

„O nie! — odpowiedział — nie mam zwyczaju skarżyć.

„Jakto? Więc już tyle razy księdza okradli, że to się stało zwyczajem?

„Tak jest, często, zawsze...

„I ksiądz tak spokojnie o tem mówi?

„Widzicie panowie, że ja nic nie chowam. Nie wiem, co to klucze. Wszystko, co posiadam, a raczej com posiadał, nie jest tyle warte, aby sobie zadawać trudu kręcenia kluczem.

„To nie przeszkadza, księże dobrodzieju, że własność jest własnością i że co dla jednego jest rzeczą małą, może dla drugiego być wielką. Księdza np. dziś zostawili bez śniadania i bez koszuli.

„Nawet bez mydła do umycia rąk... Ale cierpliwości. Przyjdzie skądinąd i śniadanie, i koszula i mydło. Zresztą, moi panowie, ja mam moje poglądy, w których prawdziwość wierzę, jak w Pana Boga. Własność! Według mnie jest to czcza nazwa, wymyślona przez samolubstwo. Nic do nikogo nie należy. Każda rzecz jest własnością tego, który jej chwilowo potrzebuje.

„Ładne mielibyśmy społeczeństwo z podobnemi zasadami! A jakżeż tu wiedzieć, kto najbardziej czego potrzebuje? Przyszłoby z nożem w ręku wywalczać pierwszeństwo potrzeby.

„Uśmiechając się dobrotliwie z pewnym odcieniem litości ksiądz odrzekł:

„Jeśli pan się zapatruje na rzeczy z dzisiejszego punktu widzenia, oczywiście, że się wyda *absurdum*. Należy wznieść się wyżej, z wysokości lepiej się widzi. Z dołu, w sztucznem otoczeniu, trudno co dopatrzyć. Zresztą nie mam zamiaru przekonywać nikogo, panowie przeto wybaczycie...

„Tu spostrzegliśmy, że osoba Chanfainy zasłoniła światło dzienne, zajmując sobą cały otwór okienka, przez który podawała talerz z półtuzinem sardynek, widelcem i dużym kawałkiem chleba. Ksiądz wziął go z jej ręki, poczęstował nas, a potem zaczął jeść z apetytem. Biedaczek! Przez cały boży dzień nic nie miał w ustach. Czy to przez wzgląd na nas, czy z samego politowania, gospodyni żadnem brzydkiem słowem nie okrasiła podarku. Daliśmy księżynie czas zaspokoić pierwszy głód, poczem rozpoczęliśmy na nowo nasze śledztwo, o ile się dało, najdyskretniej. Doszedłszy do świadomości, że ma lat trzydzieści kilka, że pochodzi z ubogiej rodziny pasterskiej, gdzie i kiedy odbywał studya i t. p., odważyłem się puścić na grunt nieco drażliwy:

„Gdybym był pewny, Ojcze Nazarin, że się nie wydam impertynentem, pozwoliłbym sobie o jednę lub dwie rzeczy zapytać.

„Bardzo proszę, o cokolwiek pan zechce.

„Ksiądz odpowiesz mi, albo nie, do woli. A jeżeli się okażę zbyt ciekawym, proszę mnie za drzwi wyrzucić.

„Mów pan.

„Czy mam przyjemność mówić z kapłanem katolickim?

„Tak jest.

„Czy ksiądz jesteś prawowiernym, zupełnie prawowiernym? Czy nic w zasadach, w obyczajach nie odłącza cię od niewzruszonej nauki Kościoła?

„Nie panie — odrzekł z prostotą, dowodzącą jego szczerości i nie okazując się zdziwiony mojem zapytaniem — nigdy nie zboczyłem od tego, co Kościół naucza. Wyznaję wiarę Chrystusową w całej jej czystości i niema we mnie nic, coby ją zachwiać mogło.

„Czy ksiądz nie otrzymałeś kiedy admonicyi od przełożonych, od tych, którym jest zleconą definicya nauki i zastosowanie świętych kanonów?

„Nigdy. Anim kiedy przypuścił, abym mógł zasłużyć na napomnienie.

„Jeszcze pytanie. Czy ksiądz miewasz kazania?

„Nie, panie. Rzadko kiedy wychodziłem na ambonę. Przemawiam po cichu i poufale do tych, co mnie chcą słuchać, i mówię im, co myślę.

„A koledzy nigdy u księdza nie odkryli jakiego odcienia herezyi?

„Nigdy. Mało mówię z nimi, bo oni rzadko do mnie mówią, a ci, którzy rozmawiają, znają mnie dostatecznie, aby wiedzieć, że we mnie herezyi nie znajdą.

„Ksiądz masz wszystkie dyspensy?

„Mam i zdaje mi się, że nigdy nie było mowy, aby mi je odjęto.

„Czy ksiądz odprawiasz mszę?

„Za każdym razem, kiedy mam zamówioną...[1] Ale to nie co dzień.

„I ksiądz nie masz innych środków do życia?

„Nie.

---

[1] Tutaj trzeba przypuścić, że to autor nie zna stosunków, niepodobna bowiem mniemać, że księża w Madrycie wtedy tylko Mszę św. odprawiają gdy jest zamówiona, a inaczej nie.

„W takim razie, proszę się nie obrażać, ale mnie się widzi, że to życie bardzo jest niepewne.

„A dosyć. Ale się z niem godzę, więc nie czuję goryczy. Nie mam żadnej pretensyi do dobrobytu. Kiedy jest co jeść, to jem, a gdy przyjdzie taki dzień, że niema, to i nie jem.

„Mówił to tak naturalnie, tak bez najmniejszego cienia afektacyi, żeśmy się czuli, przyjaciel mój i ja, głęboko wzruszeni. Ale było jeszcze czego słuchać. Nie przestawaliśmy zapytywać, a on odpowiadał wciąż, nie zdradzając ani znudzenia, ani zadowolenia miłości własnej, zwykłej u każdego, będącego przedmiotem t. zw. interwiewu. Po sardynkach Stefania przyniosła mu jakiś kotlet, ale on już go nie chciał pomimo nalegań Heród-baby, która znów wpadła w gniew i poczęła łajać. Ani to jednak, ani nasze grzeczniejsze namowy nie odniosły skutku; odmówił podobnie i wina. Kubkiem wody i dwugroszową bułeczką zakończył śniadanie, mówiąc, że dziękuje Panu Bogu za całodzienne pożywienie.

„A jutro? — pytaliśmy.

„Jutro także mi nie zabraknie, a jeżeli braknie, to poczekamy do pojutrza, boć przecie nigdy niema z rzędu dwóch dni całkowicie złych.

„Z wielką biedą namówiliśmy go, aby poszedł z nami tuż obok na czarną kawę. Przyniosła jej nam ta sama zezowata przekupka, która w bramie sprzedawała likwory.

„Usadowiwszy się wygodnie, o ile na to pozwalał zbyt mały stolik i zła obsługa, jęliśmy znów gawędzić o różnych rzeczach, przyczem przekonaliśmy się wkrótce, że mamy do czynienia z człowiekiem wykształconym. Wyraziłem mu przeto zdziwienie, że u niego nie widziałem książek.

„Miałem książki, tak, miałem, ale je rozdawałem aż w końcu zostały mi tylko te trzy. Ale powiem panu szczerze, że krom książek do nabożeństwa żadna, zła czy dobra, mnie nie zajmuje, bo w nich ani dusza, ani umysł wiele pożywienia nie znajdzie. Wszystko, co dotyczy wiary, mam dobrze utkwione w głowie; komentarze i parafrazy niczego mnie nie nauczą. A reszta na cóż się przyda? Jeśli kto do wrodzonej wiedzy zdołał dodać

niektóre pojęcia, wysnute z poznania ludzi, społeczeństwa i natury, nie ma już dalej czego szukać w książkach, gdyż te gotowe jeszcze pogmatwać i zamącić poprzednio zdobyte wiadomości. Wszystko, co umiem, umiem dobrze; przekonania również żywię stanowcze, a uczucia niezłomne, te bowiem powinny mieć korzenie w sumieniu, kwiat w umyśle, a owoce w czynach. Może się panom zdaję pedantem? Jeśli tak, to dajmy pokój... Nie przeszkadza to, że za każdym razem, gdy wyjdę na miasto i widzę po księgarniach takie góry drukowanego, złożonego i zeszytego papieru, gdy widzę po ulicach taką ulewę gazet, żal mi się robi biedaków, którzy sobie oczy wypalają na pisaniu tylu niepotrzebnych rzeczy, i większy jeszcze żal otumanionej ludzkości, której codziennie nakładają obowiązek przeczytania tej bazgraniny. Jedna z marności, którąby się z kuli ziemskiej wyrugować powinno, jest doczesna chwała, a mianowicie literackie laury. Przyjdzie bowiem czas, gdzie taki ogrom nagromadzi się w bibliotekach, że materyalnie nie będzie już sposobu ich utrzymać. Wtedy, kto dożyje, przekona się, jak mało ludzkość będzie dbała o ten lub ów poemat, o kłamliwą powieść, o księgę dziejową, opisującą wypadki, których znaczenie z czasem wietrzeje a w końcu zupełnie zanika. Pamięć ludzka jest zbyt szczupłą stodołą na wszystkie stare graty historyi. Przyjdzie czas, gdzie teraźniejszość zaabsorbuje wszystko życie, gdzie ludzie nie zachowają z przeszłości nic prócz prawd przedwiecznych, zyskanych przez objawienie. Wtedy ówczesny władzca każe zawartość wszelkich bibliotek publicznych i prywatnych, jako rzecz nieużyteczną i próżną, porozwozić po polach, aby tam z innymi chemicznymi czynnikami zmięszane przetworzyły się w nawóz. I wtedy, gdy to nastąpi, będą ją przewozić koleją i statkami parowymi do nowych światów, kędy nigdy nie było ani literatury, ni druku.

„Uśmialiśmy się serdecznie nad tą konkluzyą. Mój towarzysz wszakże, spoglądając na mnie ukradkiem, dawał mi do zrozumienia, że ma pewne wątpliwości co do stanu umysłowego naszego księdza. Ja zaś wśród długiej rozmowy zmieniałem co chwila zdanie: Raz zdawał mi się humorystą, pozującym na ory-

ginalność, to znów Buddystą lub naśladowcą Diogenesa. W końcu zaofiarowałem mu moje usługi do poprawienia losu, do wyrobienia mu jakiego beneficyum, a nawet kanonii.

„Ksiądz uśmiechnął się z pewną ironią, zapewniając, że żadne krzesło w kapitule go nie nęci, gdyż podobnie spokojne życie byłoby mu ciężarem. Co do wikaryatu przy jednej z parafij w Madrycie, albo też na wsi, odrzekł, że gdyby mu takowy dano, przyjąłby przez posłuszeństwo dla przełożonych. Ale — dodał — możecie być pewni, że mi go nie dadzą, a choćby i dali, byłbym tam równie ubogim, jak jestem tutaj. Każdy człowiek ma swoje aspiracye, swój cel; moim jest nie posiadać nic. Ubóstwo kocham, cenię i marzę o niem, jak inni marzą o bogactwach; im mniej posiadam, tem jeszcze mniej chciałbym posiadać... Zapewne mnie panowie nie rozumiecie, lub spoglądacie na mnie z miłosierną litością. Jeżeli nie rozumiecie, to nie będę usiłował was przekonać, a jeśli się litujecie, to rad jestem, żem mógł tak chrześcijańskie uczucie wywołać.

„A co ksiądz myślisz o obecnych kwestyach, o teraźniejszym stanie społecznym?

„Ja o tem nie myślę nic — odrzekł ruszając ramionami — wiem tyle, że w miarę postępu tego, co nazywacie oświatą, w miarę mnożenia się maszyn i gromadzenia się bogactw wzrasta liczba ubogich, a nędza staje się czarniejsza, smutniejsza i bardziej nieznośna. Czegobym chciał uniknąć, jest to, aby ubodzy, to jest moi, nie byli tak zarażeni tą przeklętą mizantropią. Wierzajcie mi, że ze wszystkiego, co się straciło, niczego tak żałować nie należy, jak utraty cierpliwości. Resztki jej gdzieniegdzie jeszcze istnieją, ale gdy się ostatnia kropla wysączy, bywaj zdrów! Niech się odkryje nowa żyła owej wielkiej cnoty, najpierwszej i najpiękniejszej, jakiej nas Pan Jezus nauczył, a zobaczycie, jak prędko wszystko przyjdzie do ładu.

„Ksiądz jesteś apostołem cierpliwości.

„Nie jestem żadnym apostołem, mój panie, ani nie mam ku temu pretensyi".

. . . . . .

Wyszliśmy. Mój reporter krzywił się, wygadując na księdza, że jest utalentowanym cynikiem, który wynalazł kamień filozoficzny lenistwa i tym podobne rzeczy, ja zaś nie śmiałem jeszcze nic orzec prócz tego, że mi się pomimo chrztu i tonzury wydawał teraz bardziej Arabem, niż w pierwszej chwili. Obiecywałem sobie poznać i zbadać go bliżej. Tymczasem przechodząc usłyszeliśmy jeszcze sąd starej Chanfainy:

„To święty, wierzajcie mi panowie, to święty. Ale że mnie święci niecierpliwią, przeto nie żywiłabym tego O. Nazarina, gdyby z przeproszeniem nie był księdzem. Na cóż się to zda święty? Na nic. Dawniej to pono robili cuda, dawali ludziom jeść, zamieniali kamienie w ryby, wskrzeszali trupy umarłe i wyganiali ludzkie dyabły z ciała. Ale teraz co jest tyle mądrości, co ‚telefory i kolejne żelaza' i tyle tego lata tam i napowrót po świecie, po co tu święci? Ten, któregoście widzieli, ma serce gołąbka, sumienie czyste i białe jak śnieg, usta anielskie, z których nigdy nic brzydkiego nie wyszło; cały anielski, niewinny, jak kiedy go matka zrodziła... Choćby go ze skóry obdarli, nie znaleźliby na nim jednego grzechu śmiertelnego ani powszedniego, chyba to, że wszystko rozdaje... Ja go łaję jak małe dziecko; myślicie, że się pogniewa? Nigdy. Dałby mu kto pięścią, toby podziękował. Powiedzieć mu, że jest psem, Żydem — uśmiecha się. To też go tam mają za nic, ledwie kiedy mu co za mszę kapnie, a ja, jako mam ten animusz, mówię mu: Ojcze Nazarin, szukaj innej roboty, idź choćby do ‚Concordyi' umarłych nosić... A on się śmieje. Na nauczyciela szkolnegoby się zdał, bo taki cierpliwy i nic nie jada... Nie, takiego drugiego ze świeczką szukać po świecie.

„Pożegnawszy straszną a poczciwą babę, spotkaliśmy w dziedzińcu jednego z cyganów, który w dłuższej przemowie poprosił nas abyśmy jemu od razu dali to, cośmy kiedy mieli intencyę dać księdzu, bo w ten sposób nie będzie potrzebował sam do niego po jałmużnę chodzić... Nareszcie rozeszliśmy się. Dziennikarz nie był zadowolony; zapewne wpadłszy w wir swoich zajęć, wkrótce o całem zajściu zapomniał. Ja nie mogłem odczepić myśli od tej postaci, rozbierałem ją w duszy, kawałek po

kawałku i składałem na nowo. Czy w końcu stworzyłem sobie jakiegoś nowego Nazarina, wysnutego z mojej własnej duszy czy też uchwyciłem w głowie i odtworzyłem jego prawdziwą, istotną osobistość? Odpowiedzieć na pewne nie mogę. Czy to, co w dalszym ciągu stoi napisane, jest historyą prawdziwą czy też jednym z owych wymysłów, które dzięki potędze talentu piszącego oraz łatwowiernej wyobraźni u czytelnika, stają się łudzącym — cieniem rzeczywistości? Słyszę inne zapytania: Kto napisał to co następuje — czy ty sam, czy reporter, Chanfaina czy stary cygan?... Nie odpowiadam, bo sam byłbym w kłopocie gdybym miał orzec, kto jest tej drugiej części autorem. Nie ręczę zatem za ich pochodzenie, ale ręczę za prawdziwość faktów. Osoba opowiadającego kryje się w cieniu. Opowieść za to przesiąknięta prawdą dziejową, odczuciem i zrozumieniem przedmiotu, odsłania się sama jasna, dokładna i szczera...“

Taką jest w streszczeniu część pierwsza. W drugiej widzimy Nazarina w piękną noc letnią przechadzającego się po swej izdebce z duszą kędyś wysoko utopioną w niebie. Naraz promień księżyca igrający na ścianach znika, a w okienku ukazuje się ciemna postać i głosem przygłuszonym domaga się wstępu. Ksiądz po chwili dopiero poznaje: to Andara, siostrzenica złodziejki Siony, jedna z czterech poczwar, które go tak srodze przed paru dniami zelżyły. Teraz przychodzi błagać ratunku: wśród kłótni pchnęła nożem drugą kobietę, zda się, zabiła... gonili ją ale uciekła... Ksiądz waha się, ale Andara nie czekając pozwolenia, roztwiera okno i wskakuje do izby. Tu jednak pada bez zmysłów. Nazarin odszukawszy zapałek, zapala świecę i wtedy dopiero dostrzega krew. Walka snać była równa, gdyż i Andara nożem pchnięta przez ramię a twarz jej i ręce podrapane i pogryzione. Polskim czytelnikom lepiej oszczędzić opisu ohydnej acz jeszcze nie starej grzesznicy; Hiszpanie lubują się w takich szczegółach; powieść północna trzymana w estetycznych tonach, zdałaby się im bezbarwną. Być też może, że są bardziej oswojeni z jaskrawością kontrastów, z fizyczną brzydotą i brudem. Nam ks. Nazarin wydaje się po prostu bohaterem: bez zastanowienia bowiem dźwiga ów „worek kości“, pokryty sukniami

buchającemi od smrodliwych pachnideł, cuci, obmywa i obwiązuje rany. Wszystko to czyni atoli z pewną surowością, ostrzega chorą, że jej umyślnie nie wyda ale, że zapytany, nie skłamie. Wstrząsa przytem jej uśpione sumienie, wskazuje gniew boży i okropność grzechu. O świcie, widząc że Andara nie jest w stanie się ruszyć, warzy jej jakąś polewkę, i wychodzi, zawierając na klucz mieszkanie. Tak trwa dni parę. Ksiądz wygnany ze swoich izdebek, powraca na tyle tylko, aby chorą obsłużyć a obsłużyć zwłaszcza moralnie; dostrzega bowiem, że trafił na dobrą chwilę, że nawet w takiej poczwarze jest serce, które ku niebu obrócić się może. Aż raz Tia Chanfaina przywołuje go z cicha. Ona poczciwa odkryła co się święci, ale domyśla się i ktoś drugi z jej lokatorów; lada chwila może nadejść policya: trzeba natychmiast odprawić Andarę. Szczęściem ta już dość silna, aby się zwlec z tapczana; ksiądz przeto nakazuje jej, aby się wyniosła czemprędzej, lecz aby wpierw zmyła ślady krwi na podłodze i jakoś wywiała zdradziecką woń swego odzienia. Dawszy te polecenia, odchodzi. Późnym wieczorem chce powrócić do domu, ale zdala już słyszy straszny łoskot i wrzawę, widzi słupy dymu i ognia wznoszące się ku niebu: to Andara, chcąc zatrzeć wszelki ślad swojej obecności, naniosła słomy do jego mieszkania, wrzuciła na nią swe szmaty, oblała naftą i podpaliła... „powietrze bowiem najlepiej czyści się od ognia". Tia Chanfaina niewielką poniosła stratę, bo wszystkie graty na czas wyniosła, a za starą ruderę asekuracya dobrze zapłaci. Dla Nazarina wszakże — nieszczęście. Idzie szukać przytułku i rady u innego kapłana, dawnego kolegi, który lepsze od niego miejsce umiał sobie wywalczyć na świecie. Ten przyjmuje go serdecznie, ale że dzięki szerokim stosunkom może jasno rozpatrzyć się w sprawie, wkrótce ostrzega przyjaciela, że sprawa ta stoi źle, że policya jest na tropie zbrodni, w którą on pośrednio wmieszany, jako dający przytułek morderczyni i podpalaczce. Przełożeni duchowni niekorzystnie usposobieni, boć też i wszystkie pozory są przeciw niemu. Lada dzień Nazarin będzie wezwany do zdania sprawy ze swego postępowania, pojmuje więc, że on, choć wierny przyjaciel, ze względu na obec-

ność swej starej matki nie może nadal... Nazarin nie daje mu dokończyć; podziękowawszy za gościnność, idzie się chronić na przedmieście, w głąb nędznego dziedzińca, do innych, skromnych znajomych. Stary wyrobnik i jego żona, przyjmują go również serdecznie jak dawny kolega; są jednak ubodzy i nie mogą przez dłuższy czas gościa swego żywić za darmo. Nazarin nie wie dobrze co począć; wprawdzie w pierwszych dniach odwiedza go stary, znajomy proboszcz i radzi, aby szedł wprost do prowizora, opowiedział szczerze swoje biedy oraz pobudki swego działania, naprawiając tem o sobie opinię, którą złe języki popsuły; mówi, jakie już przeciw niemu przedsięwzięto kroki — oskarżony jednak nie może się na podobne wystąpienie odważyć. „Tyle raz w raz padających ciosów przygnębiło chwilowo duszę tego człowieka, tak trwożliwego na pozór, a w głębi tak wzmocnionego chrześcijańską cnotą. Odwiedziny starego księdza nie powtórzyły się, zaczem samotność i ponury spokój zaległy jego ciemne mieszkanie. W tym smutku jednak, w tej samotności moc ducha jego ocknęła się na nowo, zmusiła do spojrzenia oko w oko rzeczywistości, do przyjęcia odważnie położenia, w jakie zbieg rzeczy ziemskich go wprawił, ale równocześnie dokonała w myśli jego stanowczy zwrot, kierując wolę ku szukaniu lepszego życia, zgodnego z dawno w tajnikach serca żywionem pragnieniem".

„Nie opuszczał już swej ciemnej nory jak tylko o świcie i wtedy przez bramę Toledańską wychodził z miasta, spragniony widoku szerokich pól i nieba, rannego śpiewu ptaków, świeżego powietrza i zieloności majowej. Szedł coraz dalej i dalej, szukając więcej przestrzeni, szerszego horyzontu, rzucając się w objęcia natury, skąd mógł dowoli Boga swego oglądać. Jak piękną była natura, jak szpetną ludzkość... W tych przechadzkach porannych, to błądząc gdzie oczy niosły, to przesiadując w zadumie, utwierdził się w przekonaniu, że Bóg przemawiając do jego duszy, rozkazuje mu porzucić wszelkie ziemskie troski i starania, poświęcić się ubóstwu, wyrwać się na zawsze ze sztucznej atmosfery, którą zowiemy cywilizacyą. Pragnienie podobnego życia stało się w nim tak silnem, że mu się już oprzeć nie

zdołał. Żyć wśród natury, daleko od zepsucia i wspaniałości miast — co to za rozkosz! Sądził, że w ten sposób jedynie okaże się posłusznym woli bożej, która mu bezustannie objawiała się w duszy, w ten sposób dojdzie do zupełnego, o ile jest na ziemi możliwem, oczyszczenia serca i myśli, dostąpi wieczystych łask i zdoła czynić miłosierdzie, tak, jak to od dawna pożądał".

Kapłański strój zachować — było w tych warunkach niemożliwem; należało przybrać postać żebraka, przywyknąć do chodzenia bosą nogą po kamieniach i polach. Nazarin tedy próbuje naprzód swe siły; następnie uprosiwszy u swych gospodarzy parę sztuk odrzuconego odzienia, z kijem w ręku puszcza się w drogę. Wychodzi z sercem pełnem radości, z oczami utkwionemi w niebo a duszą utkwioną w Bogu... Poza miastem już przyspieszył kroku, pilno mu było dojść tak daleko, iżby poza nim zniknęły ślady miejskiego życia. „Ranek był cudny; a wyobraźnia wędrowca podwajała jeszcze piękność niebios i ziemi, w nich zdało mu się jakby w zwierciedle oglądać obraz własnego szczęścia, obraz swobody, której nareszcie używał nie mając ponad sobą nikogo prócz Boga. Był to bunt, do którego doszedł nie bez walki i nie byłby doszedł nigdy, on, tak uległy zwykle i tak pokorny, gdyby nie wyraźny rozkaz Boskiego Mistrza, który mu się w sumieniu rozlegał. O tem wątpić nie mógł. Wszakże bunt jego, skoro w istocie zasługiwał na tak brzydkie miano, był czysto biernym; polegał na uchyleniu napomnienia przełożonych, na uchyleniu się od szykan sprawiedliwości, która w istocie ani jest sprawiedliwością ani niczem podobnem... Cóż on miał począć ze sędzią słuchającym niegodziwych donosów z ust najpodlejszego motłochu? Bóg czytający w nim, wiedział przecie dobrze, że ani przed przełożonymi ani sędzią nie ucieka ze strachu, gdyż uczucia tego nie zaznał nigdy, że żadne, ani moralne ani materyalne cierpienia nie zepchnęły go z drogi obowiązku, skoro przeciwnie, prześladowanie i niesprawiedliwość ludzka były dlań od dawna źródłem tajemniczej radości".

Niepodobna tu nie zauważyć, że czy to sumienie ks. Nazarina, czy też pióro jego biografa, zapuszcza się dość daleko

w dziedzinę paradoksu, że pragnie *coûte que coûte* utrzymać aureolę nad głową swego świętego. Słuchajmy co mówi następnie:

„Idąc tak dalej i dalej, nie przestawał w głowie analizować nowej swej egzystencyi, przypatrując się jej z różnych stron, sądząc ją ze wszystkich punktów widzenia korzystnych i niekorzystnych, zadając sobie tysiące pytań i znajdując na nie odpowiedzi, tocząc rodzaj procesu, aby dojść do orzeczenia ostatecznej prawdy. Konkluzyą było, że się rozgrzeszył w zupełności co do nieposłuszeństwa i że jednego tylko argumentu nie zdołał zbić w sposób zwycięski: Czemuż więc nie wstąpić do zakonu św. Franciszka? — Czując zaś tego argumentu słuszność i potęgę, powtarzał sobie: Jeśli po drodze spotkam jaki klasztor tej reguły, poproszę aby mnie przyjęto i wstąpię z radością, choćby mi najtwardszy kazano odbyć nowicyat. Swobodę bowiem, której pragnę, znalazłbym równie dobrze pod surową dyscypliną zakonu, jak błądząc po pustkowiach i lasach. Koniec końców obieram to życie, bo jest dla mnie najwłaściwszem, bo mi je wskazuje Pan Jezus z jasnością, której zapoznać nie mogę...“

Spokojny już więc rozpoczyna wędrówkę, spełniając po drodze, gdzie tylko może, dobre i miłosierne uczynki, dzieląc się z głodnymi bochenkiem chleba, który mu poczciwi przyjaciele w Madrycie jeszcze włożyli do torby. Wkrótce jednak okoliczność nieprzewidziana, a dla czytelnika niesmaczna, mąci jego spokojność. Odnajduje nieszczęsną Andarę, kryjącą się przed poszukiwaniem policyi u jakichś krewnych wieśniaków, Andarę zmienioną wielce, gdyż woda i powietrze starły grubą powłokę ohydnych bielideł a z pod nich ukazała się twarz miejscami pokurczona i żółta, miejscami spuchnięta i zczerwieniała, o nierównych, krzywych oczach i nabrzmiałych wargach, odsłaniających za każdym ruchem dwa rzędy pruchniejących zębów. Okryta jest wiejską odzieżą, pod którą, gdy biegnie, wydaje się „strachem“ na wróble, puszczonym w ruch. Ale z tem wszystkiem, Nazarin dostrzega znak dobrej wróżby wśród onego oceanu brzydoty: jest nim rumieniec wstydu, nie widziany dotąd na tej bezczelnej twarzy. Podpaliła z głupoty nie ze złości;

wstrząśnięta już napomnieniami odebranemi podczas choroby a potem do ucieczki zmuszona, zerwała z dawnem, zbrodniczem życiem. Bardzo jeszcze ciemna i chwiejna, usiłuje przecież utrzymać się na dobrej drodze a widząc dobroczyńcę swego, idącego w szeroki świat, postanawia, o zgrozo! iść za nim.

Epizod to dość naturalny; przypomina nam pewną naszą babę-dewotkę, która po misyi, odbytej w jednem z miast galicyjskich, rozpytywała skwapliwie, dokąd się kochani Ojcowie udadzą, gdyż ona ślubowała chodzić za nimi gdziekolwiek pójdą...

Biedny Nazarin broni się przerażony i gniewny; wreszcie zdaje mu się, że zdołał się wyratować od nieproszonej kompanii, ale gdzie tam! Już po pierwszym noclegu, przepędzonym w towarzystwie paru żebraków pod opuszczoną budą, baba zjawia się tryumfująco i nieszczęsny pustelnik wędrowny musi, rad nie rad, cierpieć ją u swego boku. Odtąd Andara służy za przewodnika. Niedość jednak na jednej biedzie. Doszedłszy do wioski Mostoles, odnajduje dwie przyjaciółki lat młodych; z tych jedna wdowa, płacze właśnie nad łóżkiem umierającego dziecięcia. Andara opowiada jej o wielkiej świętości Nazarina, zaczem poczyna się nowa dla tegoż męka: błaganie, aby uczynił cud. Daremnie biedak protestuje z całą potęgą swojej pokory, daremnie oburza się tak srodze, że aż podnosi kij; kobiety nie przestają go błagać, matka we łzach całuje mu stopy. Nazarin ofiaruje im wszystko co dać może: swoje modlitwy. I modli się dzień i noc, a gdy trzeciego ranka dziecko powraca do życia, w całej wsi wznosi się hymn dziękczynny: „Święty! Święty! Uczynił cud!“ Niepodobna opisać zakłopotania i bolu biednego księdza. Ucieka ze wsi czemprędzej, nie domyślając się, jaki mu nowy zagraża cios. Do Andary przyłącza się Beatryx, ciotka wymodlonego dziecka, istota dobra w gruncie ale zwichnięta, umysł egzaltowany a mglisty. Andara błaga swego mistrza, aby nie odpychał tej drugiej owieczki: opisuje mu jej nieszczęścia i straszne ataki nerwowe, zbliżone do napadów opętania. Nazarin pociesza i nie szczędzi dobrych rad ale odmawia stanowczo, aż mu powiadają, że taż Beatryx waha się w tej chwili właśnie nad brzegiem przepaści, że w dzień kiedy dziecko siostry za-

słabło, miała już spakowane rzeczy, aby do Madrytu podążyć... Obawa o zatratę duszy przeważa, i odtąd już we troje odbywa się dziwna pielgrzymka. Niewiasty troszczą się o materyalne potrzeby, on zaś otoczony zawsze w ich oczach obłokiem świętej powagi, leczy rany ich dusz, oświeca zaciemnione sumienia, podnosi myśli ku Bogu. Przez drogę odmawia z niemi modlitwy; częściej jednak podąża przodem sam, zatopiony w modlitwie.

Dziwnie to wszystko może brzmieć w recenzyi; w oryginale, gdzie nauki Nazarina podane są niemal *in extenso*, panuje nastrój bardzo wzniosły wśród niesłychanej prostoty. Nazarin wyrzekł się już wszystkiego, nawet marzonej swobody i samotności, lecz się nie wyrzekł na darmo. Praca jego wyda wkrótce owoce. Tymczasem zaś mamy i epizod zabawny. Pielgrzymi nasi dochodzą do miejscowości zwanej La Coreja, której właściciel słynie na całą okolicę ze swej srogości i dumy. Z dworu, strzeżonego przez ogromne buldogi, wychodzi tylko na łowy, a wtedy biada każdemu, coby mu śmiał wejść w drogę, biada żebrakowi zbliżającemu się do niegościnnych wrót. Nazarin wszakże na to się odważa: „Niechaj się co chce stanie, trzeba aby ten człowiek raz słowo boże posłyszał. Tej duszy również, tem bardziej, że zaślepiona, nieść się pomoc powinno!“ Obecni żegnają go, jakby szedł na męczeństwo, ale on uśmiecha się, jak się niegdyś uśmiechał do starej Chanfainy i idzie nieustraszony. U wrót dziedzińca opadają go psy myśliwskie; Nazarin przechodzi śmiało; za psami jednak stoją dwie męskie postacie i głos gniewny, rozkazujący ostrzega, że: „To, do dyabła, nie publiczna droga, tylko wiodąca do dworu, kędy nie wolno chodzić!“

Nazarin domyśla się, że stoi przed samym panem, słynnym D. Pedro de Belmonte, to też tonem pokornym ale spokojnym odpowiada mu: „Przyszedłem prosić o jałmużnę dla miłości bożej. Wiem dobrze, iż ta droga wiedzie tylko do dworu, ale że jestem pewien, iż w każdym domu na chrześcijańskiej ziemi znajdę choć jednę miłosierną duszę, przeto nie czekając pozwolenia wszedłem. Jeśli tem pana obraziłem, proszę wybaczyć“.

Dźwięk jego głosu, szlachetna postawa pod strojem żebra-

czym, a nadewszystko typ oryentalny, wyraźniejszy jeszcze teraz pod krótkim zarostem, ściągają uwagę myśliwca. W rzeczywistości nie jest to człowiek zły, tylko zdziczały wskutek sporów z rodziną. Nazarin obudza w nim ciekawość. Po chwili namysłu każe psy napowrót zamknąć, a Nazarina, zamiast wypędzić, jakby to był niechybnie z każdym innym uczynił, prowadzi do domu i sadza w swym gabinecie. Tu jednak zamiast rozmowy poczyna przerzucać ilustrowane dzienniki, aż znalazłszy to, czego szukał, wpatruje się ponownie w twarz gościa. Widocznie zadowolony z badania, z zagadkowym uśmiechem zasiada sam i wszczyna długą pogadankę, a następnie obdartego żebraka zaprasza do stołu. Nazarin dziwuje się, ale w sercu mieni to wszystko cudem Opatrzności; przy stole zawiązuje się dyskusya: gospodarz, któremu życie samotne i czytanie filozoficznych i teologicznych dzieł wszelkiego gatunku nieco przewróciło w głowie, wywodzi przeróżne oklepane i nieoklepane argumenta przeciwko wierze i Kościołowi. Nazarin zaś je zbija grzecznie, jasno, stanowczo, aż wreszcie dostrzega z radością, że serce „groźnego pana“ nie jest z kamienia i że się łaską bożą da zmiękczyć. Wielkiem atoli jest jego zdumienie, gdy przy końcu obiadu D. Pedro wzywa go, aby się przyznał do swego istotnego nazwiska: przecież sama twarz go zdradza i daje poznać od razu, że jest nie ubogim włóczęgą, ale pielgrzymującym od dwóch lat pod tem ukryciem patryarchą armeńskim.

Zagadnięty tak Nazarin nie wie, czy się gniewać, czy śmiać. Zaklina się, że nigdy Ormianinem ani patryarchą nie był, że jest istotnie księdzem, i wymienia swoje nazwisko. D. Pedro de Belmonte nie wierzy, obsypuje go dalej grzecznościami, a przy pożegnaniu prosi o błogosławieństwo. Nazarin odchodzi zmięszany nieco lecz zadowolony — czy tak, czy owak słowo boże zostało ogłoszone w tym domu, a sam Bóg reszty dopełni.

Beatryx i Andara witają powracającego, jak gdyby z grobu powstawał: Nazarin, wyszły cało z jaskini lwów, zdaje się im wręcz cudotwórcą. Z rosnącą co dnia czcią i uwielbieniem spoglądają na łagodnego pasterza ich dusz. Ten jednak posłuszeństwo ich na coraz twardsze wystawia próby: odkrywszy, że

D. Pedro de Belmonte jego torbę żebraczą zaopatrzył w pasztety i doborowe wędliny, każe to wszystko rozdać ubogim, pomimo, że im samym zagraża głód. Co więcej jeszcze — w wiosce Coreja dowiaduje się, że o dwie mile, w miejscowości zwanej Villamantilla, panuje ospa:

„Epidemia, powiadacie, i silna?

„Straszna, panie. Niema komu ratować chorych, bo zdrowi uciekają w popłochu.

„Nazarin zerwał się na równe nogi. W drogę — zawołał — nie mamy chwili do stracenia.

„Jakto? Do Villamantilla?

„Bóg nas tam woła, ludzie nas tam potrzebują. Co? Boicie się!... Która się boi albo brzydzi, niech zostanie.

„Nie! Chodźmy. Kto mówił, że się boi?

I wyruszyli w drogę, a Nazarin szedł wesoły, opowiadając dowcipnie szczegóły swych odwiedzin w „straszliwym dworze“, to znów przypominając swym towarzyszkom, iż nie wyszły w świat dla rozrywki, dla swobody bez niebezpieczeństwa i trudu. „Chodzimy w poszukiwaniu cierpienia, aby mu nieść pociechę, a gdy się człowiek wśród cudzych cierpień obraca, zawsze z nich coś musi oberwać dla siebie“. I prawił im długo o obowiązkach życia, o Bogu, o śmierci, „która zasmuca ciało a rozwesela duszę“, i tak szli raźno przez cudną okolicę, oświeconą blaskiem zachodu. Noc przepędzili w karczmie przy drodze. Beatryx nie zmrużyła oka; rozgorączkowana oczekiwaną grozą, czuła zbliżający się napad swej dawnej choroby, walczyła z nim całemi nowonabytemi siłami ducha, aż w końcu wpadła w dziwny sen, pełen nieziemskich widziadeł. Dawniej też miewała podobne sny, ale wonczas majaczyła o piekle, a zbudziwszy się, nie mogła przemódz na sobie, by się pomodlić lub wejść do kościoła. Teraz przeciwnie, marzyły się jej same niebiańskie jasności. Z rana wstała już zdrowa, nie śmiała jednak przyznać się do niczego przed Nazarinem, gdyż ten wymagał ścisłej, praktycznej cnoty i karcił surowo wszelkie wybryki wyobraźni i nerwów.

„Nie było jeszcze dziewiątej, gdy stanęli u celu. Z jedynej

ulicy krętej, pełnej wyboi, cuchnących kałuż i ostrych kamyków owiał ich ponury smutek i pustka. W drodze do rynku napotkali dwoje czy troje ludzi; ci spoglądali na nich podejrzliwem okiem. Naprzeciw Kościoła, w bramie większego domu, zdającego się być kancelaryą gminną, ujrzeli bardzo chudego jegomościa, który zbliżywszy się, powitał ich następującą przemową:

„A słuchajcieno! Jeśli chodzicie dla włóczęgi albo po prośbie, to wracajcie skądeście przyszli. Tu niema nic jak nędza, śmierć i opuszczenie od Boga i ludzi. Ja tu jestem alkadem, więc wiem co mówię. Jesteśmy tu sami, proboszcz i ja i doktór, którego nam posłali, bo nasz umarł, ze dwadzieścia ludzi wszystkiego, nie rachując chorych i dzisiejszych nieboszczyków, jeszcze nie pochowanych. A teraz już wiecie, więc ruszajcie co prędzej — niema tu miejsca dla żebraków".

Nazarin odparł, że nie przyszli prosić o wsparcie, ale ofiarować pomoc. Zażądał, aby im wskazano najbardziej opuszczonych chorych, wyrażając gotowość zaopiekowania się nimi w imię Chrystusa Pana.

„Najpilniejszem — rzekł alkad — byłoby pogrzebać siedmioro umarłych...

„Już ich jest dziewięć — wtrącił proboszcz, wychodzący z sąsiedniego domu. — Stara Kasyana już skończyła, a jedna z córeczek postrzygacza lada chwila pójdzie. Idę prędko przegryźć coś i wracam.

„Nie potrzeba było prosić się alkada, aby uczynił zadość pobożnemu żądaniu Nazarina. Wkrótce też wszyscy troje rozpoczęli robotę. Obie niewiasty wszakże, wobec obrazów zgrozy, zgnilizny i nędzy, okropniejszych od wszystkiego co były przewidywały w swym świątobliwym zapale, osłabły jak dzieci, widzące po raz pierwszy płynącą krew. Miłość bliźniego, rzecz w nich jeszcze nowa i nie wyrobiona, nie mogła im na tyle natchnąć energii. Pierwsze godziny zeszły wśrod wahania, strachu i zupełnego buntowania się żołądka i nerwów. Nazarin musiał napominać je wymownym gniewem — rzekłbyś, wódz zrozpaczony na widok blizkiej porażki. Nakoniec, jak Bóg miły, jęły

powoli, coraz śmielej iść w bój; wieczorem już były całkiem inne: wiara zdołała zwalczyć obrzydzenie, a miłość bliźniego strach.

Nie przyszło to jednak bez trudu; dla biednych kobiet odskok był zbyt nagły od płaskiej trywialności ich dotychczasowego życia do obecnych szczytów heroizmu. Heroizm też objawiał się w obu w sposób nierówny: Andara działała niemal bezmyślnie, jak maszyna obcą wolą puszczona w ruch, świadoma jednak o tyle, że balsamu na mękę swego poświęcenia szukała w miłości własnej, kędy oczywiście znaleść go nie mogła. Towarzyszka jej zaś bardziej nerwowej i delikatnej natury, wyższa umysłowo i moralnie, gdyż nie tyle grzechami skalana, usiłowała rozniecić w sobie nowo wskrzeszony prąd wiary, wspomnieniem nauk mistrza podniecać słabnące siły; to też gdy nadeszła chwila spoczynku, legła radosna jak żołnierz na polu bitwy. Ale Arab z La Mancha, ten nie spoczął wcale. Zdawał się nadludzkie posiadać siły. Po całym dniu, spędzonym na przewracaniu, omywaniu i żywieniu chorych, na słuchaniu majaczeń gorączkujących, z których paru na rękach jego skonało, nie pragnął innego spoczynku nad nową pracę: pochowanie dwunastu zmarłych, którzy jeszcze czekali pogrzebu. Zaproponował to alkadowi, który się zgodził z wdzięcznością, podziwiając pobożność jego i pracę, i oddał mu do rozporządzenia cmentarz, tak jak się gościowi oddaje bilard lub fortepian do grania.

„Z pomocą ponurego i na pół idyotycznego dziada, który, jak się później dowiedział, z rzemiosła pasał trzodę, z pomocą też Beatryxy, która zerwała się, aby w tej strasznej szkole dopełnić miary poświęcenia, Nazarin począł trupy wynosić z domów. W braku noszów musiał je brać na plecy i szedł z nimi na cmentarz, gdzie je składał jedne obok drugich na ziemi. Pokutnica i pastuch kopali, a alkad chodził tu i tam, pomagając gdzie było potrzeba, czuwając, aby się robota odbywała nie jak zazwyczaj miejskie publiczne roboty, ale sumiennie, tak, aby zwłoki leżały głęboko, porządnie ziemią pokryte. Po trzech godzinach Nazarin kazał Beatryxy iść spać, a Andarę do pracy przywołać, aby zmieniając się nie wyczerpały sił.

Dokonawszy zaś pogrzebu, pokrzepiwszy się tylko kawałkiem chleba i wodą przyniesioną mu przez alkada, powrócił znowu do chorych. Lekarz nie mógł się uspokoić z podziwu; mówił, że ów człowiek o maurytańskiej twarzy i owe dwie kobiety byli dla Villamantilli aniołami zesłanymi z nieba. Trwało tak, aż raz przedpołudniem ozwały się dzwony kościelne: był to znak radości, oznajmienie przybywającej z Madrytu oficyalnej pomocy. Przybywała nieco późno; zawsze jednak było za co dziękować. Rządowe miłosierdzie składało się z lekarza, dwóch asystentów, komisarza i niezliczonej mocy środków dezynfekcyjnych. Zaledwie Nazarin posłyszał o przybyciu komisyi, postanowił opuścić wieś i udać się opodal do Villamanta, gdzie również grasowała zaraza. Tu znów pracowali przez sześć dni bez spoczynku, z coraz większym zapałem. Człowiek do wszystkiego wprawić się może, a im kto się dłużej poświęca, tem lepiej poświęcać się umie. Gdy zaś i tu, niespodziana już nadeszła pomoc rządowa, oddalili się cicho z sercem pełnem radości, z sumieniem oblanem cudną jasnością, poczuciem dobrego czynu. Fizycznie jednak zaznali innego poczucia — koniecznej potrzeby wytchnienia. Tego nie mogli użyć w drodze, gdzie prócz chodzenia musieli co dnia zarobić na nieco strawy. Nazarin tedy ujrzawszy na wzgórzu ruiny wielkiego zamczyska, obrał je na chwilowe mieszkanie. Tu mógł znów użyć nieco ulubionej swej samotności, obrać sobie siedzibę w oddzielnej części zwalisk i schodząc się z towarzyszkami tylko w godziny wspólnej modlitwy i na jedzenie, modlić się sam i rozmyślać do woli.

(C. d. n.)

T. W.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

(Dokończenie).

Śmierć męczeńska potężne wywarła wrażenie na młodzieńczym cesarzu, tak żywo przywiązanym do Świętego. Gdy równocześnie wybuchło powstanie Słowian nadłabskich, podążył z Rzymu na Północ, zbliżając się do tych miejsc, skąd państwu rzymskiemu groziło niebezpieczeństwo, a od których opodal począł działać święty Wojciech zanim się udał do Prusaków.

Wśród olbrzymiej wyprawy wojennej przeciwko Wendom, cały świat ówczesny uczony otacza młodzieńczego cesarza. Jest tu i znany nam Gerbert i opat Leon z awentyńskiego wzgórza, przeciwnik Gerberta, obecnie biskup dworu cesarskiego *(episcopus polacii)*. Gerbert uczy cesarza nowej podówczas w Europie nauki matematyki, konstruuje zegar słoneczny, budzący powszechny podziw, rozpoczyna dzieło o logice, podczas gdy cesarz zwycięską odbywa wyprawę za Łabę — zwycięża... ale wnet już po jego odstąpieniu z tych krajów marchionowie ponoszą klęskę; Wendowie znowu tryumfują [1]. W wyprawie brał udział i ów magdeburski Giziler, chciwy i niedbały arcybiskup, zawsze jeszcze będący ze swą sprawą biskupstwa merseburskiego w niepewności i zawieszeniu; przez jego niedbałość cesarz stracił twierdzę Arneburg, wielkim nakładem zbudowaną.

Klęska ta, wobec chwiejności Bolesława czeskiego, naka-

[1] Thietmar IV, c. 20, 25, VI, c. 61.

zywała młodzieńczemu cesarzowi oglądać się na tych, co jak Bolesław Chrobry, srodze pomścił na Prusakach krew przelaną przez św. Wojciecha [1], co żywo popierał misye Benedyktynów, uczniów Świętego, i w związku z Rzymem i cesarzem szukał wzrostu swego państwa. Myśl młodego cesarza, z radością zwracająca się w strony męczeństwa Świętego, spoczywała chętnie i na nowej kreacyi, nowem państwie zawisłem od cesarstwa, popierającem cywilizacyę i rzymski Kościół, będący podstawą wszystkich kościołów, jak to uczył opat Leon: *ecclesia beati Petri apostoli fundamentum omnium ecclesiarum* [2]. Te kościoły partykularne, powstałe niejako na nowej glebie, należało wzmocnić, i wzorem świętego Wolfganga zapewnić im niezależność, uczynić je zawisłymi wprost od Rzymu i oswobodzić od takich drapieżnie chciwych Gizilerów. Że cesarz szczerze myślał nad tą sprawą, świadczy o tem synod w kwietniu 999 roku odbyty w Rzymie. Wnet bowiem po wyniesieniu Gerberta na tron papieski, który zasiadł pod imieniem Sylwestra II., na synodzie wspomnianym suspendowano Gizilera w godności metropolity magdeburskiego Kościoła [3], a równocześnie brat świętego Wojciecha, Gaudenty, otrzymał święcenia biskupie i został arcybiskupem gnieźnieńskim [4].

Taki był początek dzieła, niezawodnie teraz już obmyślanego wspólnie z papieżem, który naocznie — w nadłabskich stronach będąc — miał sposobność przekonać się, że wszystkie wytężenia sił cesarstwa nie są w stanie sprostać zadaniu szerzenia rzymskiego Kościoła i cywilizacyi chrześcijańskiej, że należy gminę narodów i państw chrześcijańskich powiększyć, aby przyspieszyć trudne zadanie. Pokrzepienia i siły do swych zamysłów szuka młodzieńczy cesarz na tych miejscach, gdzie niegdyś przebywał święty Wojciech: podjął tedy pobożną wędrówkę do Monte Cassino, później do dalekiego Monte Gargano. Pieszo i boso

---

[1] Ebbo, MPol. II, 36. Helm. Chron. Slov. I, 15. Damiani, *Vita Romualdi*, c. 27.

[2] Pertz SS. V, 687.

[3] Jaffé, *Regesta* I, 496.

[4] Mabillon, *Ann. ord. Sti Bened.* IV, 119—121.

przystępował do miejsc świętych, gdzie przez dni kilka trwał na gorącem nabożeństwie. W Benewencie, dokąd przybył dla uczczenia relikwii apostoła Bartłomieja, upraszał municypium, by mu je darowano, zamierzał bowiem wybudować kościół na cześć św. Wojciecha w Rzymie [1] i umieścić zwłoki apostolskie, aby tem większą wzbudzić cześć dla nowego przybytku Pańskiego.

W Gaecie odwiedził św. Nila, który wyszedł naprzeciwko cesarza, lecz nie powitał go z uszanowaniem. Młodzieńczy cesarz jednak skłonił się kornie Świętemu, odwiedził go w jego celi, gdzie gorąco się modlił. „Proś mię jako syna swego o co chcesz“ — rzekł cesarz do starca świętego. — „O to jedno Cię proszę — odrzekł św. Nil — abyś się troskał o własne zbawienie, wszakże i ty jesteś tylko człowiekiem i umrzeć musisz“.

W miesiącu marcu cofnął się cesarz wraz z papieżem w zacisze górskie do Subiaco, gdzie św. Benedykt umartwiał ciało, aby tem lepiej ducha zwrócić ku Bogu. Tutaj nad nurtami burzliwej Teverone zapragnął postawić kościół na cześć św. Michała i Wojciecha, tutaj, obok tytułu cesarskiego, począł się pisać sługą apostołów lub sługą Chrystusa; ukorzył się przed papieżem Sylwestrem, co to jako Gerbert stał się powodem nieomal schizmy we Francyi a obecnie, jako papież, sam zasądził tę sprawę, za którą namiętnie niegdyś walczył, restytuując Arnulfa na stolicy reimskiej, na dowód, że nietylko wiązać lecz i rozwiązywać danem jest Stolicy Apostolskiej; tego papieża, co to w duchu kluniaceńskim dążąc do reformy Kościoła, wysoko wyniósł godność biskupią i kapłańską, wyżej ponad książęcą. Podówczas to odwiedzał cesarz i św. Romualda, który go namawiał do wystawienia klasztoru pod wezwaniem św. Wojciecha, jaki też wkrótce miał ze szczodrobliwości cesarskiej powstać w Pereum w pobliżu Rawenny [2].

Słowem, wszędy towarzyszyły młodzieńczemu cesarzowi

[1] Kościół św. Wojciecha powstał w r. 1000 na wyspie Isola Tiberina; przechowuje i po dziś dzień relikwie święte, które wystawiają corocznie 23 kwietnia. Polkowski, „Groby i pamiątki polskie w Rzymie“, str. 3.

[2] MPol. I. 331, por. Gfrörer, *Gesch. d. kath. Kirche* I., 3. 1575—1576.

pobożne myśli o rozszerzeniu czci Świętego, lecz zarazem i szerzeniu Kościoła przez tę cześć w całym świecie. Dając inicyatywę do tego dzieła, postanowił odwiedzić grób Świętego w dalekiej Polsce. Jedno z ówczesnych źródeł opowiada [1], że bawiąc we Włoszech, zapadł ciężko na zdrowiu, a od lekarzy opuszczony, oddał się w opiekę świętemu Wojciechowi, ślubując, że odwiedzi jego ciało w Gnieźnie, jeżeli odzyska za jego przyczyną zdrowie. Odzyskawszy je, wnet spieszy do papieża, opowiada o cudzie, którego na sobie doświadczył skutkiem ślubu, a Sylwester II. błogosławi zamiarowi.

A więc nie czysto mistyczny kierunek, o który tak chętnie pomawiają Ottona historycy, przyświeca jego gnieźnieńskiej podróży. On realnie pojmuje swe zadanie związania nietylko swej ojczyzny, ale i rzetelnych, prawych książąt i władców chrześcijaństwa z Rzymem, będącym, jak mówi pisarz żywotu świętego Wojciecha: *caput mundi et urbium domina quae sola reges imperare fecit* [2]. Nie zrywa on z ojczyzną ani stroni od niej, on w tytule swym cesarza Rzymian wskazuje, że naród jego tylko w związku z Rzymem może przodować cywilizacyi, i dlatego w monarchii Karola Wielkiego szuka wzoru dla swych realnych zamiarów. Sylwester jeszcze na dworze cesarskim przeniknął plany cesarza i dlatego w jednym z listów mówił: *Nostrum, nostrum est regnum Romanorum* [3], widząc jak mądrze i roztropnie w zgodzie z Kościołem rozszerzał cesarz cywilizacyę chrześcijańską. Jasnem było dlań, że w tych kreacyach Rzymian lub patrycyuszów i senatorów rzymskich [4] widział młodzieńczy cesarz tylko środek do celu, do szerzenia rzymskiego Kościoła i jego cywilizacyi.

A dążeniem rzymskiego Kościoła od jego początków było popierać samodzielność ludów i narodów, uważać je jako równy głos mające członki wielkiej chrześcijańskiej rodziny, gromadzącej się obok stolicy św. Piotra i skupiać ich dążenia i kierunki, ich życzenia i zamiary w Rzymie, jako jednem duchowem

[1] Miracula w *Mon. Pol.* IV, 235, c. 9.
[2] MP. I, 176.
[3] Pertz, Thesaurus I, list Gerberta.
[4] Gfrörer, *Kirchgesch.* III, 3, 1519.

ognisku. Jako jeden z wielu środków, prowadzących do celu, były niezawisłe od innych narodów metropolie; myśl tę przyjął do serca Otto i postanowił w poparciu dążeń polskiego Bolesława przeprowadzić ją w Gnieźnie przy sposobności odwiedzin grobu św. Wojciecha. Wkrótce już miało się okazać, że wszystkie przeszkody, jakie, tak ze strony przywiązanych do rodzinnych zwyczajów i obyczajów ludów jakoteż i ze strony nawykłych do samodzielności władców, stały na drodze rozwojowi chrześcijaństwa, miała usunąć organizacya Kościoła.

Za przybyciem do Gniezna, z królewskim przepychem przez Bolesława podejmowany, Otto III., oddawszy cześć św. Wojciechowi, przystąpił do wykonania swego dzieła. Tym celem przelał na Bolesława wszystkie swoje prawa, jakie w sprawach kościelnych posiadał w obrębie Polski i tych krajów, które Bolesław zdobył lub zdobędzie, a układ ten papież Sylwester II. osobnym zatwierdził przywilejem[1]. W ten sposób powstała podstawa organizacyi Kościoła w Polsce. Metropolicie gnieźnieńskiemu przydano jako sufraganie biskupstwa w Kołobrzegu, Krakowie i Wrocławiu, z wyjątkiem poznańskiego, które należało do metropolii w Magdeburgu, a którego biskup, Unger, nie dał swego zezwolenia na utworzenie nowej organizacyi kościelnej w Polsce, będącej dotąd w całości jego dyecezyą. Opieka Stolicy apostolskiej objęła teraz Polskę, której władca składa czynsz roczny papieski czyli świętopietrze.

Bliższe szczegóły o przyjściu do skutku tej organizacyi, nie są nam dokładnie wiadome. To pewna, że cesarz odstąpił wraz z prawem inwestytury także i prawo urządzania ziem zdobytych na poganach, przysparzając w ten sposób światu chrześcijańskiemu nowego podawcę i obrońcę biskupstw. Z dawnego trybutaryusza państwa rzymskiego stawał się Bolesław panem, *dominus*, stawał się *miles romani imperii*, bojownikiem za wiarę i cywilizacyę rzymską. Wiarogodne źródła mówią o patrycyacie, jakim Bolesław przez Ottona został zaszczycony przy tej sposobności, a również wiadomem jest, że otrzymał od Ottona włócz-

[1] Gallus, MP. I, 401.

nię św. Maurycego [1], tę samą, którą dzierżąc w ręku w dzień św. Wawrzyńca, dziad cesarski, wielki Otto, odniósł sławne nad Madyarami zwycięstwo — z życzeniem, aby jej używał w wojnach przeciwko barbarzyńcom.

Tak więc niejako pod protektoratem Świętego [2] przychodzi do skutku organizacya Kościoła w Polsce. Część zasług w spełnieniu dzieła spada i na Bolesława Chrobrego. Pięknie się wyraził jeden ze znawców pierwiastkowych dziejów naszych [3], że z glorvi, jaka zajaśniała nad pamięcią męczennika, spłynął i na Bolesława promień, który mu zjednał po śmierci miano „atlety Chrystusowego", i że sława monarchy, która się splotła z tym promieniem, doprowadziła do myśli o zjeździe z cesarzem. Ale bez tej krwi męczeńskiej i bez aureoli nad grobem Świętego w Gnieźnie, długoby jeszcze przyszło oczekiwać Polsce na odwiedziny cesarza, zarówno jak i na nadanie samoistnej organizacyi kościelnej.

Duch opiekuńczy Świętego szeroko rozciąga skrzydła nad Wschodem europejskim, wszędy tam, gdzie umocnił kiełkujące ziarna wiary, w Polsce zarówno jak i w Węgrzech. Równocześnie bowiem z organizacyą Kościoła w Polsce, inny uczeń św. Wojciecha, wspomniany Anastazy-Astryk, organizuje Kościół w Węgrzech, w kraju, w którym przed kilkoma dziesiątkami lat jeszcze przechwalali się władcy, że kopytami swych rączych koni zorzą Niemcy całe, a co nadto, przywozi z Rzymu królewską koronę dla władcy Węgier, Stefana, koronę, która według starożytnej tradycyi przeznaczoną była dla Bolesława.

Cesarz, dokonawszy dzieła, obdarowany hojnie przez Bolesława, który mu też ramię świętego Wojciecha dał, przechowane po dziś dzień w kościółku na Isola Tiberina, zatrzymał się wraz z towarzyszącym mu władcą Polski w Merseburgu. Przeciwko dziełu cesarskiemu nie protestował metropolita tameczny, o ile, że położenie jego było bardzo przykre. Jak nam

[1] Kr. Wlp. MPol. II, 483.

[2] O protegowaniu Bolesława przez św. Wojciecha ob. Bruno. MP. I, 227.

[3] Łaguna, *Kwart hist.* V, 555.

już wiadomo, pozostawał on pod suspenzyą. Cesarz polecił go zapytać, czy zechce dobrowolnie ustąpić z Magdeburga i powrócić do Merseburga, gdy zaś zwlekał w tej sprawie z odpowiedzią, polecił zwołać synod do Akwizgranu. Bolesław zaś, darowawszy cesarzowi trzystu zbrojnych rycerzy, powrócił do Polski [1].

Wkrótce już uczeń po duchu św. Wojciecha, wielki asceta i uczony, wspomniany kilkakrotnie św. Bruno, wsparty gorliwie przez Bolesława, rozwija z Polski szeroko swą działalność. Do Szwecyi z jednej, na Ruś z drugiej strony i do Pieczyngów pogańskich sięga apostolska działalność Świętego; nie założenie osobnej metropolii, lecz rozszerzenie wiary po najdalszych stronach Europy przyświeca dzielnemu mężowi, co i Włodzimierzowi kijowskiemu usiłował pokój zapewnić od dzikich Pieczyngów, i biskupa ordynował dla Szwecyi, i cesarza Henryka przestrzegał, aby w zgodzie pozostawał z Bolesławem i Polską dla dobra i rozwoju wiary. On to, żegnając Włodzimierza kijowskiego, odchodzi odeń do dzikich Pieczyngów ze śpiewem na ustach: „Paś baranki moje, paś owieczki moje“, przypominając władcy i jego poddanym słowa Chrystusa, do Piotra zwrócone, i kierując myśli ich i dążenia do następców Piotrowych, do których wielka część narodu Włodzimierzowego zawsze się zwracać miała. Duch świętego Wojciecha przyświeca drogom Brunona, wiedzie go do Prus po koronę męczeńską.

Polska staje się prawdziwą ścieżką apostolską. Klasztory, przez Świętego rozkrzewione — że tu użyjemy słów jednego z wielkich znawców historyi i oświaty [2] — stają się ogniskami życia umysłowego, szkołami dla całego ogółu ludności przez ducha zwróconego ku rzeczom wyższym i tego działania w kierunku nie samych tylko potrzeb doczesnych. Były to dźwignie usiłowań, dzięki którym przetwarzało się społeczeństwo surowe w żywioł przesiąknięty idealniejszą dążnością, prądem uzacniającym te nieokiełznane instynkta samorodne. Nawet materyalny

[1] Thietmar IV, 28.

[2] Małecki, „Z dziejów literatury“, p. 277 i n.

postęp zawdzięczają ludy nadwiślańskie tym zgromadzeniom; one bowiem przez karczowanie lasów, osuszanie bagien przestrzenie niezdatne zamieniają w urodzajną, mlekiem i miodem płynącą ziemię, obsiewają glebę ziarnem nieznanem; warzywa, jarzyny, drzewa owocowe pielęgnują, urządzają coraz nowe osady, z których powstają ludne wsie i miasta; utrzymują warsztaty rękodzielnicze, stawiają świątynie przy szczodrobliwości dobrodziejów, a opasując je murami, czynią z nich punkta oporne przeciwko zbrojnej napaści nieprzyjacielskiej. Cóż dopiero rzec o wpływach moralnych, o szerzeniu oświaty duchowej w narodzie, skoro cały normalny zastęp ludzi światłych zamykał się w stanie duchownym, skoro statut zakonny obowiązywał nietylko do modlitw i religijnych praktyk, ale i do zajmowania się naukami i szkołami, jakie były przy każdym benedyktyńskim klasztorze! Oto co mówi dalej nasz znamienity uczony: że w zawierusze barbarzyńskich przewrotów, na jakie kraj nasz wskutek samego położenia swojego tak często był wystawiony, nie utonęła nawet pamięć tego wszystkiego w powodzi czasu, to mamy zaprawdę do zawdzięczenia przedewszystkiem zakonnym instytucyom, dodajmy, szerzonym przez takich mężów, jak św. Wojciecha, dzielnego sługi Chrystusa, członka bojującego Kościoła.

Skończyliśmy. Należy nam jeszcze raz objąć okiem udział świętego męża, z którego pamięcią tak żywo wiążą się początki historyi naszej. Prawda, że w tych początkach braknie wyjaśnień na pytania, dotyczące rozwoju stanów, na wzrost patryarchalnych stosunków z komuny słowiańskiej, na kwestyę dynastyczności rodów i tyle innych pytań, lubo arcyważnych, a jednak nie wiążących się ściśle z naszym tematem. Jakkolwiek bowiem i rozwój chrześcijaństwa zależnym był od wielu czynników, to jednak ani podziału na stany, ani formy rządu, ani rozwoju władzy patryarchalnej, ani dynastyczności lub niedynastyczności rodów, ani owych komórek, z których powstał domorosły jakoby nasz ustrój państwowy średniowieczny, żadną miarą nie można uważać za czynniki, mogące wpłynąć na umniejszenie lub wzrost chrześcijaństwa, które jedynie zdołało podźwignąć narody wschodnie i północne z niedoli barba-

rzyństwa na stopień oświaty chrześcijańskiej. Kościół bowiem, szerzący ją, nie zna przeszkód w ustroju wewnętrznym narodów, ani w socyalnym podziale jego, jeżeli tylko w sercach ludzi znajdzie rolę podatną do uprawy. Wszystkie takie przeszkody usuwał bowiem Kościół za pośrednictwem św. Wojciecha wśród najtrudniejszych stosunków.

Widzieliśmy bowiem, jakimi były te ludy słowiańskie, od których niebezpieczeństwo wciąż groziło Zachodowi, skoro najbardziej z nich w cywilizacyi posunięty naród czeski do tego stopnia był dziki i wichrowaty, że podstawne zasady społeczeństwa ludzkiego zdawały się być z gruntu wykorzenione. Zapewne, że nie brakło w tym narodzie pewnych kierunków cywilizacyjnych wyrobionych; był tam kwitnący handel, co prawda niewolnikami, podnoszący wzrost materyalny kraju; byli wojownicy na wzór zachodni, mężni i bitni — obrona kraju; były stosunki, co prawda, luźne z Zachodem — wzory dążeń wyższych; była wreszcie organizacya pewna polityczna, zapewne, że polegająca na despotyzmie, a z tem wszystkiem nie brakło momentów kulturnych, będących przedmiotem historyi. Z drugiej jednak strony zauważyć należy, że te zalety podzielali w części najbardziej dzicy północni Słowianie, a nawet wschodni, u których np. handel dosięgnął był stopnia wysokiego rozwoju i niemniej jak i u Polan nadwiślańskich, u których lud wojenny odznaczał się większą bitnością, a organizacya wojenna była bardziej wydoskonaloną, a pomimo tych zalet ludy te pogrążone były w nocy barbarzyństwa i dopiero chrzest święty, jak u Czechów i Polaków, począł ścierać to piętno grube pierwotnych ludziszcz z ich czoła.

Mężem, który działalnością swą celem utrwalenia chrześcijaństwa zasłynął najbardziej pośród tych ludów wschodnich, który najwybitniej przyczynił się do starcia pierwotnego barbarzyństwa z czoła ludziszcz, był św. Wojciech. Syn potężnego Sławnika, władającego na pograniczu plemion czeskich i polskich tudzież morawskich, kocha swą ojczyznę i przyczynia się znacznie do ugruntowania w niej państwowego bytu w związku z zachodem, z jego chrześcijańską cywilizacyą: przez cesarstwo z Rzy-

mem. Działalnością swą jako biskup stara się usilnie, świecąc tak przykładem, jakoteż i pouczając i organizując Kościół, wykorzenić zabobon i najgrubsze wady narodowe, wpoić konieczność posłuszeństwa dla praw Kościoła jako jedyną niewzruszoną podstawę cywilizacyi chrześcijańskiej.

Wszystkie jednak prace i zabiegi okazały się bezskuteczne, naród grzązł w barbarzyństwie, a władca jego szukał związków z Lutykami, uśmiechał się do Mściwoja. Przejęty wielkością odpowiedzialności z powodu bezowocnej pracy i niebezpieczeństw, grożących powierzonej mu trzodzie, opuszcza ojczyznę, idzie do Rzymu po zwolnienie od ciężkiego obowiązku. W Rzymie daje zarazem dowód, że nie z powodu zniechęcenia w podjętej pracy opuścił stolicę biskupią, że nie unikał krzyża, lecz przeciwnie, że go szukał; dlaczego też przyjmuje upomnienie opata z Monte Cassino i nie idzie na Golgotę do Jeruzalem, lecz on, biskup, syn potężnego Sławnika, wstępuje do klasztoru na Awentynie, i poczynając od najmniejszych a ciężkich, dla wątłego skutkiem ascetyzmu ciała, posług i prac, po rocznej, wzorowej próbie, jaśniejąc cnotami i szerząc woń świętości, dosługuje się złożenia ślubów zakonnych. Stając się członkiem stowarzyszenia zakonnego w klasztorze awentyńskim pod głośnym opatem Leonem, gdzie Grecy obok Rzymian w zgodzie i jedności żyli, dawał jasny dowód, że do obrządku niełacińskiego, o co był w ojczyźnie posądzany, nie żywił najmniejszej urazy ani zawiści, że przeciwnie, obrządek, jak tego dał dowód, zgłaszając się do św. Nila w Vallis Lucis, nie stanowił u niego najmniejszej różnicy co do wiary.

Na rozkaz papieża opuszcza mury klasztorne, biorąc stąd kilku zakonników, jako współpracowników w zadaniu reform w ojczyźnie, dokąd z woli Stolicy apostolskiej się udał. Z powrotem do ojczyzny, wspólnie z księciem czeskim zakłada i dotuje klasztor benedyktyński w Bżewnowie. Stąd czerpie pomoc żywą w swych pracach, w tym rozsadniku cywilizacyi w Czechach. Niestety i teraz jest bezskuteczną jego praca. Wraz z kapitułą i zgromadzeniem zakonnem, po udaremnionej skutkiem

zatwardziałości swych ziomków próbie, zmuszony jest życie ratować w ucieczce.

Praca jednak nie idzie na marne. Sława biskupiej działalności dotarła do sąsiednich narodów. Lepsze, aniżeli we własnej ojczyźnie, gotują opuszczającemu Czechy biskupowi przyjęcie: Bolesław w Polsce, a nadto nawpół dzicy Madyarzy w Węgrzech, gdzie rządy z mężem Giejzą sprawuje żona jego Adelajda Białokniehini, ciotka Chrobrego. Owocem pobytu Świętego w Polsce i na Węgrzech jest nietylko ów przyjazny związek, owo przymierze dwóch ludów, co się wybijają do rzędu narodów, przymierze, dzięki któremu czas niemały mogły one wielbić twórcę pokoju, ale nadto i wielkie rozszerzenie Kościoła w tych sąsiednich państwach, gdzie albo zabobon pomięszany był z chrześcijaństwem, albo gdzie, jak w stolicy Węgier ówczesnych, cześć oddawano wróżbitom i pogańskim bożyszczom. Cywilizacyę i błogosławieństwo dwom narodom przyniósł krótki wśród nich pobyt świętego Wojciecha.

Powrót do Rzymu i powtórny pobyt w klasztorze, zaszczytne zastępstwo opata Leona, któremu Stolica apostolska poruczyła legacyę na Zachód do Francyi, gdzie z powodu serwilizmu duchowieństwa francuskiego groziła schizma, to dalsza karta dziejów poddanego woli bożej męża, szukającego li tylko rozszerzenia i chwały Kościoła. Jego to pobyt sprawuje, że odtąd pobożne myśli zakonników kierują się także ku Północy i na Wschód europejski, gdzie czekało na nich tak obfite żniwo wśród pracy i zaparcia się, w pośród trudów i poświęcenia. Wkrótce powolny rozkazom Stolicy apostolskiej, przyrzeka powrót do opuszczonej dyecezyi, ale pod warunkiem, że jeżeli go nie zechcą mieć swoi za pasterza, natenczas jako *episcopus gentium*, rozwinie swą działalność na Wschodzie. Zaproszony do świty cesarskiej Ottona III., który wielce ukochał Świętego, udaje się z cesarzem za Alpy a wraz z nim cała drużyna Benedyktynów. Gdy dwór bawił nad Renem, w sąsiedztwie Francyi, która się jeszcze nie upokorzyła przed Stolicą apostolską, postanawia odwiedzić święte a tak drogie dla Benedyktynów miejsca w St Denis, w Tours, opactwo św. Maura nad Loarą. W pą-

tniczej szacie, wśród modłów i postów, odwiedza święte miejsca w kraju, w którym skutkiem doktryn pewnych zachwiała się dla Stolicy Piotrowej obedyencya, jakiej dotąd Francya była wzorem. Lecz nietylko tutaj, ale i na dworze cesarskim, gdzie młodzieńczy cesarz otacza go synowskiem staraniem, radząc się w potrzebach duszy jakoteż i w sprawach szerzenia chrześcijaństwa, daje biskup dowody nietylko pokory, ascetyzmu ale nadto prawdziwej świątobliwości.

Z dworu cesarskiego wprost podążył do Polski. Odepchnięty przez swoich, dokąd wysłał zapytanie czyli go przyjmą w posłuszeństwie za biskupa, wybiera Polskę Bolesławową za podstawę do działania apostolskiego na Wschodzie i na Północy. Założenie zakonu Benedyktynów w Międzyrzeczu, następnie podróż apostolska do Gniezna, chrzest pomorskiego księcia, działalność misyjna nad Wisłą, na Pomorzu, zaszczepianie wszędy prawdziwej wiary i społeczeństwa, wreszcie udanie się do Prus, aby tutaj, w najniebezpieczniejszem ognisku kultu Peruna, położyć fundamenta prawdziwej wiary — oto szereg dzieł wielkiego Świętego.

Chwała sławy męczeńskiej opromieniającej grób Świętego, wzniesiony w Gnieźnie przez Bolesława, obejmuje i wszystkie te krainy, w których działał, gdzie szerzył Kościół, i wiąże je po śmierci jego męczeńskiej silniejszym węzłem z Rzymem, z ogniskiem prawdziwego chrześcijaństwa. Ta krew przelana za wiarę, to drogocenny węzeł służący za spójnię ludom, co z rzędu ludziszcz bałwochwalczych wydobyły się na stopień narodów młodzieńczych, z Zachodem, z Rzymem, ze źródłem odrodzenia w Duchu i w Prawdzie. Na grobie świętego Wojciecha ufunduje Rzym, dzieło organizacyi Kościoła na Wschodzie, dzieło wskazujące drogę i cel dla monarchy i jego narodu. Równocześnie uczeń Świętego gruntuje organizacyę kościelną na Węgrzech, a z instytucyami rzymskiego Kościoła, którym przyznano prawną egzystencyę, wchodzą w dwa świeże, rwące się do czynów i pracy narody, soki nowe, silne, poczynające rozbudzać uśpionego ducha, rozwijać myśli, dźwigać z odrętwienia. Co więcej, wiara z Rzymu ukrzepiona, nauka

stamtąd niesiona nietylko że wyrywa dwa narody z pęt barbarzyństwa, łączy je z zachodniem gronem europejskich ludów, ale nadto wskazuje cel najwyższy społeczeństwom, jedyny co ma ich strzedz od zboczeń i aberacyi w ciągu wieków... Nad grobem wreszcie Świętego otrząsnęły się Czechy z pyłu barbarzyństwa, tam wielbią chwilę powrotu do chrześcijańskiej cywilizacyi.

Ale szereg donośnych skutków apostolskiej działalności Świętego, usuwający się w swych konsekwencyach z pod oka badacza, jak w ogólności nie objętymi są objawy ducha prawdziwie wielkich reformatorów ludzkości, nie kończy się ze śmiercią Świętego. Oto synowie po potężnym jego duchu, a więc pięciu Braci męczenników, święty Bruno, biskup Rainberu, zakony wreszcie — duchowieństwo zorganizowane, pracują dalej nad rozpoczętem dziełem, a przyświeca im duch wielkiego Apostoła; oni cucą narody z uśpienia, roszą je krwią męczeńską, pierwsi Polskę, drugi Prusy, trzeci wreszcie Ruś — służą za wzory poświęcenia i pracy na glebie nieraz jałowej i ostami zarosłej, w trudzie i pocie czoła, dla wzrostu chrześcijańskiej cywilizacyi.

Wieków dziewięć minęło! Zmieniają się poglądy na świat, powstają nowe systematy, nowe kierunki w dziedzinie ducha, zmieniają się ludy, narody, powstają nowe organizmy państwowe, ale nauka sługi bożego, objęta tą chociażby „Bogarodzicą“, zawsze ta sama, niewzruszona, bo była nauką Kościoła, a życie Jego, to wzór prawdziwej wyższej cnoty, jedna z pięknych kart z dziejów prac Kościoła i chrześcijańskiej cywilizacyi. Nie zmienia się też i wielka chwała Świętego, żyjąca w piersiach milionów wiernych dźwignięta w nauce — powiedzmy szczerze — przez niemieckich historyków, i tak wielka, jak wielkiemi były zasługi cywilizacyjne Świętego, co był wiernym sługą Kościoła, z poświęceniem życia służył wielkim jego zadaniom, wskazując drogę do prawdziwej cywilizacyi.

Dr. Antoni Prohaska.

POLEMICZNE PISMO POCIEJA [1].

Charakterystyka i geneza.

Gdybyśmy chcieli wglądnąć w przyczyny, dla których g ł ó w n i e Unia powstała, znaleźlibyśmy następującą odpowiedź: Pierwszą przyczyną był ciężki rozstrój w cerkwi prawosławnej i demoralizacya wyższego duchowieństwa. Drugą przyczyną był rozwój protestantyzmu na Rusi, który zadając rany katolicyzmowi, podkopał także prawosławie. Ostatnią w końcu przyczyną był brak opieki ze strony greckich patryarchów.

Książe Ostrogski w liście do Pocieja z r. 1593, temi słowy nakreśla nam obraz rozstroju w cerkwi prawosławnej: „Ustali nauczyciele, ustali opowiadacze słowa bożego, ustały kazania, a zatem nastąpiło zniszczenie i zmniejszenie chwały bożej w cerkwi Jego, nastąpił głód słuchania słowa bożego“ [2].

Na rozstrój w cerkwi prawosławnej żalą się także inni pisarze końca XVI. i XVII. wieku. Autor *Perestorohi* (1600—1605) pisze, że „greckie prawosławie ozimniało i przeszło w pogardę

[1] „Unia“ druk. w r. 1595. — Ten literacki pamiętnik Pocieja przedrukowano z niepełnego egzemplarza w *Pamiatnikach polemiczeskoj literatury*. Petersburg 1882, t. II, str. 111—168. Kto chciałby zaznajomić się bliżej z polemiczną literaturą, wywołaną przez Unię, niech przeczyta piękny artykuł prof. Brücknera w *Kwartalniku historycznym*, rocznik X, zeszyt III, p. t „Spory o Unię w dawnej literaturze“, str. 578—644.

[2] *Akty zapadnoj Rossiji*, t. IV, nr. 45.

i zaniedbanie“ [1], a Zacharyasz Kopysteński, autor polemicznego utworu p. t. *Palinodya* (1621—1622) tłumaczy nam po części przyczynę tego upadku, mówiąc o niższem duchowieństwie, że ono było „śmieciem ludzkiem“... że do stanu duchownego nacisnęli się „nieukowie i głodni“ tak, „że trudno było rozróżnić, gdzie bywał częściej prezbyter, w karczmie czy w cerkwi“ [2]. Nie dziw więc, że niższe prawosławne duchowieństwo, tych „popów niebożąt“, jak pisze Pociej w swym utworze polemicznym z końca XVI. wieku p. t. Ἀντιῤῥήσεις: „za proste chłopy i gorzey powracano, między garbarze y szewce, a snać pośledzey wszystkich na uniwersalech kładziono“... [3] Prawosławni biskupowie nie troszczyli się także o swych duchownych i nakładali na nich podatki, którym biedni duchowni nierzadko podołać nie mogli. Nie mieli uszanowania prawosławni duchowni także od swych panów. Pociej pisze: „nusz jakie uszanowanie, popów ruskich od panów ich własnych, a snać więcey, którzy się Rusią bydź ozywają, isz u niektórych w podwodę jeździć, z pługiem na robotę do swych panów chodzić muszą“. Ciż władycy prawosławni i panowie uciekali się nieraz do więcej ostrych środków i nie szczędzili prawosławnemu niższemu duchowieństwu „boiów i więzienia“... [4]

Życie zakonne było również rozwiązłe. O prawosławnych mnichach mówi jeden współczesny akt, że w klasztorach znachodzą się zamiast „ihumenów i braci... ihumeni z żonami i dziećmi“ [5]. Nie dziw więc, że wśród takich stosunków cerkiew prawosławna musiała coraz więcej upadać. Kiedy pomiędzy niższem duchowieństwem panowało ubóstwo i ciemnota, to i wśród

---

[1] Tamże. Nr. 149, gdzie przedrukowano *Perestorohę*. Specyalne studyum nad tym pamiętnikiem wydałem w r. 1895 p. t. *Perestoroha, rus'kyj pamiatnyk początku XVII. w.* Lwów 1895, str. 1—193. Nad częścią *Perestorohi* napisał rozprawkę dr. J. Franko p. t. „Z dziejów synodu brzeskiego“, druk. w *Kwart. hist.*, roczn. IX, 1895 r., zesz. I, str. 1—22, na którą odpowiedziałem w artykule p. t. *Pryczynky do istoryi Unii*. Lwów 1895, str. 1—21.

[2] *Pamiatn. polemicz. lit.*, t. I, str. 1057.

[3] Ibidem, t. III, str. 677.

[4] Ibidem, t. III, str. 677—679.

[5] *Akty zapad. Rossiji*, t. III, nr. 156.

wyższego duchowieństwa widzimy demoralizacyę, posuniętą do ostateczności. Tutaj można było widzieć bezustanne wypadki uzurpacyi wyższych cerkiewnych dostojeństw ze strony ludzi świeckich, kupowanie i sprzedaż biskupstw i archimandryctw, niemoralne życie większej części tych biskupów i archimandrytów, pełne zaniedbanie duchownych obowiązków a często otwartą pogoń za korzyściami i nażywą. Prawosławni władycy napadali często z uzbrojonemi tłuszczami ludzi na majątki sąsiadów, na cerkwie albo monastery, które chcieli dostać w swe ręce, a tutaj nie obchodziło się bez gwałceń, przelewu krwi, grabieży i długich sądowych rozpraw.

Wśród takiego rozstroju w cerkwi prawosławnej rozgnieżdża się na Rusi protestantyzm w rodzaju wszelkich sekt, jak antytrynitaryzmu, herezyj *żydowstwujuczych* i t. p. W cerkwi prawosławnej ustały kazania, niedostawało duchownych, którzyby umieli powieść za sobą swoją trzodę, — między protestantami widzimy rozentuzyazmowanych kaznodziei, znakomitych organizatorów szkół. Nie dziw, że protestantyzm znachodzi wielką liczbę stronników tak w Polsce jak i na Rusi. Bystry rozwój protestantyzmu musiał jeszcze więcej osłabić i tak słaby organizm prawosławnej cerkwi. Protestantyzm puszcza korzenie na Litwie, Białej Rusi, Wołyniu, Ukrainie a przy końcu XVI. w. sięga już do Kijowa [1]. Nauczycielami w ruskich szkołach przy końcu XVI. w. i w pierwszych dziesiątkach XVII. wieku byli głównie protestanci, a nawet w samej cerkwi prawosławnej widzimy ślady wpływu protestantyzmu, gdy np. metropolita Michał Rahoza mianował kaznodzieją w lwowskiej cerkwi Wniebowzięcia Przenajśw. Dziewicy człowieka świeckiego, Stefana Zyzaniego [2].

Prawosławna cerkiew nie mogła także znaleść pomocy i porady u greckich patryarchów. Konstantynopol znachodził

[1] O rozwoju antytrynitaryzmu w Polsce i na Rusi, patrz studyum Or. Lewickiego w *Archiwie juho-zap. Rossiji*. Cz. I, t. VI, str. 113—182. Kijów 1882.

[2] Bliższe dane o działalności tego człowieka podałem w mem studyum nad *Perestorohą*, str. 142—166.

się w rękach Turków. Kandydaci na patryarchów musieli kupować dla siebie tron i dlatego spotykamy często na stolicach patryarszych ludzi niegodnych. Turcy niszczyli chrześcijańskie świątynie, obdzierali je ze skarbów, nakładali wielkie haracze na patryarchów, nie dziw, że patryarchowie widzieli często w swym urzędzie źródło wszelkich opłat dla tureckiego rządu. W zamian za opłatę nie mogli często patryarchowie podać żadnej moralnej pomocy dla cerkwi prawosławnej. Widzimy wprawdzie wyjątki: patryarchowie utwierdzają na Rusi bractwa, które odegrały wielką rolę w boju między prawosławiem i katolicyzmem, jednak nie trzeba zapominać, że przykład patryarchów Jeremiasza II. i Melecyusza Pigasa, którzy działali przed wprowadzeniem Unii, albo po jej wprowadzeniu, rzucał prawosławnych w objęcia protestantów. Obaj ci patryarchowie znosili się z protestantami, a nauka nie potrafiła ostatniego z nich oczyścić dotąd z tego ciężkiego zarzutu, że prawosławny patryarcha był p r o t e s t a n t e m[1]. Niema wątpliwości, że przykład tych patryarchów, a w szczególności przykład Melecyusza Pigasa był zachętą dla prawosławnych Rusinów, a osobliwie dla księcia Ostrogskiego do nawiązania przyjaźni z protestantami, w celu obrony przeciw katolicyzmowi.

Gdy dodamy do tego, że z Grecyi przybywało na Ruś mnóstwo metropolitów, archimandrytów, biskupów, którzy rządzili się w cerkwi prawosławnej podług swej woli i samowolnie pobierali od biskupów i niższych duchownych wszelkie opłaty, a archimandrytami mianowali ludzi występnych, morderców; którzy wreszcie sądzili bez wszelkiego prawa, obdzierali cerkwie, wydawali w imieniu patryarchów fałszywe akty a przez to samo tych ostatnich kompromitowali[2], to zrozumiemy, że taki stan rzeczy musiał przyczynić się do jeszcze większego rozstroju cerkwi prawosławnej.

---

[1] Obrony Pigasa podjął się prof. Maliszewski w swem dziele p. t. *Aleksandrijskij patriarch Mel. Pigas*, t. I, str. 522—861, jednak argumenta jego nie wystarczają.

[2] Kilka przykładów postępowania tych greckich włóczęgów przytoczyłem w mem studyum nad *Perestorohą*, str. 47 i nast.

I w tym to czasie moralnego i duchowego upadku prawosławnej cerkwi powstają ludzie, którzy starają się złemu zapobiedz, którzy dążą do tego, by tę cerkiew, najbardziej poniewieraną przez jej własnych synów, przywieść do lepszego stanu, by duchowieństwo oświecić i położyć nowe tory dla rozwoju duchowego na Rusi. Jedynym możliwym środkiem do tego było ponowne połączenie ruskiej cerkwi z rzymską Stolicą, które znane jest w historyi pod nazwą „Unia Brzeska".

Nie będę wchodzić tutaj w historyę przygotowań do Unii, nie będę także sądzić o tem, czy wszyscy biskupi, którzy przyłożyli rękę do wprowadzenia Unii, działali z przekonania, gdyż wyjaśniłem to na innem miejscu [1]. Tu zaznaczę tylko, że już w r. 1594 występuje o t w a r c i e biskup Terlecki, jako zwolennik Unii i zastawia na pokrycie kosztów podróży do Rzymu biskupie dobra, dalej że w r. 1595 jadą biskup Pociej i Terlecki do Rzymu, gdzie przyłączają ruską cerkiew do rzymskiej Stolicy i to złączenie wzmacniają na Rusi w r. 1596, na synodzie w Brześciu Litewskiem.

W tym samym roku, kiedy Pociej i Terlecki udali się do Rzymu, by złożyć w ręce papieża przysięgę wierności, wychodzi w Wilnie broszura w ruskim języku p. t. „Unia".

Broszura wyszła bez imienia autora, jednak z treści jej widać, że pisał ją biskup, a krytyka literacka orzekła [2], że autorem jej jest znakomity w historyi ruskiej cerkwi biskup Hipacy Pociej.

Pamiętnik ten ma wielką wartość pod względem historycznym i literackim, a jednak mimo tego nie zwrócono na niego takiej uwagi, na jaką on zasługuje. Memi uwagami chcę wypełnić ten niedostatek, podać jego charakterystykę i wyśledzić źródła, jakich użył Pociej przy jego układzie.

Pamiętnik ten składa się z sześciu części: z przedmowy do czytelnika i pięciu „artykułów", w których mówi autor o po-

[1] Tamże, str. 69.

[2] W. Z. Zawitniewicz, *Palinodya Zach. Kopystenskaho.* Warszawa 1883, str. 105 i nast.

chodzeniu Ducha św., o czyścu, o władzy papieża rzymskiego, o kalendarzu gregoryańskim i o antychryście [1].

Bardzo ważną jest część pierwsza tj. przedmowa do czytelnika. Przypatrzmy się jej treści. Autor zauważa, że obowiązkiem pasterza jest dbać o swe stado i gdy zwykły pasterz dba o to, by nie uronić ani jednej jednostki, za którą musiałby złożyć rachunek przed swym panem, to tem więcej powinien dbać pasterz duchowny o swe owce, za które będzie musiał odpowiadać przed Bogiem. Wielkie staranie powinni łożyć pasterze na swe stado, osobliwie teraz, kiedy namnożyło się tyle heretyckich sekt, które z wielką pilnością starają się o to, by jak najwięcej ludzi przyciągnąć do siebie, a starania ich wieńczą się pełnem powodzeniem, „bo nie po jednej, ale wielkiemi gromadami do swej ohydnej obory zaganiają, a owce też w swem gorączkowem usposobieniu na oślep, nierozmyślnie, jako głupcy tworzą, nie za swymi pasterzami, lecz za wilkami na swą zgubę biegną". A cóż robią „starsi pasterze"? — pyta autor, pod którymi rozumie patryarchów. Oni o to zupełnie nie dbają, „a prawie sami stado Chrystusa na mięsne jatki wydają". Nie dziw temu, że biedne owce, widząc taką niedbałość u swych pasterzy, szukają nowej przystani i jedne z nich idą za Lutrem, Kalwinem lub za Aryuszem, a drugie rozumniejsze nie udają się do swych pasterzy, lecz do innych (rozumie się, katolickich), bo tam widzą dobrą sprawę i lepszy porządek.

I cóż innego — pyta autor — wypadało nam biednym i nieszczęsnym „podpasaczom" robić, gdy widzieliśmy taką niedbałość u naszych głównych pasterzy, jak nie wrócić do tej świętej zgody, która niegdyś za naszych ojców istniała? I gdy my o tem radzić i przemyśliwać poczęli, zamiast wdzięczności za nasze starania, zjednaliśmy dla siebie u swoich nienawiść i niełaskę. Przeciwko nam wydawano pisma, pełne gróźb, a i dzisiaj my narażeni na niebezpieczeństwo zdrowia. Heretyckim sektom wolno dbać o porządek między swymi, wolno przeciągać do

[1] „Unia", poświęcona nowogrodzkiemu wojewodzie Teodorowi Skuminowi. Co pisze Pociej w ustępie zwróconym do Skumina, nie wiemy, gdyż doszło do nas z niego zaledwie kilka wierszy.

siebie prawosławnych przez pisma, zebrania, wolno wystawiać na pośmiechowisko majestat Syna Bożego, wydawać zaraźliwe książki, ludzi ochrzczonych na nowo chrzcić, za co otrzymują pochwały. „A n a m n i e s z c z ę ś l i w y m, t o j e s t b i s k u p o m“, którzy władzę otrzymali od Boga, nie wolno myśleć o porządku pomiędzy swojem stadem. I nie żal byłoby nam znosić krzywdy, gdybyśmy prowadzili ludzi do czegoś nowego i niesłychanego! A my prowadzimy ich ku dawnej zgodzie, która była już w Kościele bożym, i za to cierpimy prześladowania nie od pogan, nie od heretyków, lecz od prawosławnych chrześcijan. Oni złorzeczą nam i pisma przeciw nam wydają i opowiadają o nas, że my zamyślamy wszystkie obrzędy naszej cerkwi i święte sakramenta wyniszczyć, a prócz tego zarzucają nam, że my dla swych własnych korzyści, dla miejsca w senacie, dla pychy chcemy przejść na Unię. Prawosławni śmią nawet to twierdzić, że my oddajemy cerkiew pod władzę antychrysta, pod którym rozumieją głowę Kościoła rzymskiego.

I któż sieje te nowiny? Pociej zaznacza, że nie sieją ich duchowni, lecz „lud pospolity, prosty, rzemieślniczy, który, porzuciwszy swe rzemiosło (dratwę, nożyce i szydło) a przywłaszczywszy sobie urząd pasterski, Pismem bożem wojują, nicują je, przekręcają i na swe bluźnierskie i fałszywe potwarzy obracają...“ Pod tym „ludem pospolitym“ rozumie autor nie kogo innego, jak członków ruskich bractw cerkiewnych.

Autor wzywa czytelnika, by przysłuchiwał się wszelkim rozmowom, a usłyszy, jak mówią prawosławni: „wolimy udać się do Aryanów, do nowochrzczeńców, niż być pod władzą papieża i pogodzić się z ‚papieżnikami‘“. Nie dziw więc temu, że prawosławni z innowiercami, z heretykami spiskują przeciwko nam, buntują się, i naśladując heretyków, bezczeszczą stolicę Piotra, a jego następcę zowią antychrystem i dyabelskim synem.

By otworzyć oczy „ludziom prostym i nieświadomym“, autor wymyślił napisać tę książkę i wyjaśnić te „artykuły“, o które prowadzą spór katolicy z prawosławnymi, a tem samem dowieść, że niema dostatecznej przyczyny, by stronić od zgody z Stolicą rzymską. Artykułów tych jest pięć; wyliczyliśmy je przed chwilą.

Na ostatni artykuł, tj. o antychryście, zwraca autor osobliwą uwagę, bo ludzie, którzy chcą rozerwać jedność ruskiej cerkwi z rzymskim Kościołem, nazywają papieża rzymskiego antychrystem, odstraszając tem głównie prawosławnych od Unii.

Autor zaznacza, że przy wyjaśnianiu tych artykułów będzie przytaczać wyrzeczenia li tylko św. Ojców greckiej cerkwi, gdyż prawosławni nie wierzyliby słowom Ojców Kościoła rzymskiego. Również zapewnia autor, że po wprowadzeniu Unii wszystkie św. sakramenta i obrzędy cerkiewne będą nienaruszone, i zastrzega się przeciw pogłoskom, które szerzą prawosławni, że po kilku latach wszystkie obrzędy i sakramenta ulegną zniszczeniu. Wskazuje w końcu prawosławnym, że w samym Rzymie i w krajach jemu poddanych sakrament Eucharystyi udziela się pod dwoma postaciami i że tam wszystkie obrzędy cerkwi wschodniej zachowują się.

Oto treść przedmowy Pocieja „Unii". Autor nakreśla stosunki cerkwi prawosławnej na Rusi do patryarchów a zarazem podaje nam obraz walki religijnej, która odbywała się na Rusi przed wprowadzeniem Unii. Patryarchom zarzuca, że oni nie dbają o cerkiew prawosławną i że sami stado Chrystusowe na mięsne jatki wydają. I jeden i drugi zarzut usprawiedliwiony. Wglądnęliśmy już na wstępie w przyczyny, które rozwinęły nienormalny stosunek pomiędzy cerkwią ruską a patryarchami, wskazaliśmy także, że patryarchowie przez swe stosunki z protestantami rzucili prawosławnych w objęcia protestantów. Tę samą myśl wyraża później Pociej w swej odpowiedzi na list patryarchy Melecyusza Pigasa, który wzywa Pocieja do powrotu między prawosławnych wyznawców. Pociej nazywa tutaj Pigasa protestantem i mówi otwarcie, że naród ruski szukał prawdy „w rozległych Grecyey krainach, ale nie znalazł, biegał po Atenach mądrych y nieznalazłszy dowcipnych Licyniuszów, Nauczycielów niegdy, iasnych Cerkwie Wschodniey pochodni Bazylego, y Nazyanzena, same tylko y to niezupełnie, zburzonych szkół Atenach, z nieutulonym płaczem oglądał rozwaliny. Pytał się o Atanazym w Aleksandryey, o Janie Złotoustym w Konstantynopolu, o Cyryllu w Jerozolimie, ale miasto Oyców Bogu mi-

łych, do szczęśliwey przeniesionych wieczności, w Aleksandryey Kalwina, w Konstantynopolu Lutra, Zwingliusza w Jerozolimie znalazłszy, a z głębokości serca westchnąwszy nad Grecyą, aby się tak srogiemi nie zmazał herezyami, o sobie pomyślić musiał“ [1].

Zupełnie wiernie przedstawia nam także Pociej ciężkie położenie biskupów, którzy przeprowadzali Unię. Prawosławni na wieść, że biskupi zamierzają przejść na Unię, poczęli buntować się. Kaznodzieje, w rodzaju Stefana Zyzaniego, wzywali naród do oporu przeciw biskupom. Naród począł pieczętować cerkwie, przychodziło do rozruchów i przelewu krwi. Tej samej taktyki przeciw unickim biskupom trzymali się prawosławni przed wprowadzeniem i po wprowadzeniu Unii. Groźbami starali się oni odwieść biskupów od Unii. Że życie biskupów było wystawione na niebezpieczeństwo, o tem świadczą nam dwa napady na unickich biskupów, na Rahozę w r. 1598 i na Pocieja w r. 1609. Rahoza, jak się zdaje, umarł z przyczyny ran, zadanych mu przez prawosławnych kamieniami w czasie wizytacyi w cerkwi w Słucku; Pociej ledwie uniknął śmierci od noża mordercy, przyczem jednak utracił dwa palce prawej ręki [2].

By osłabić starania biskupów unickich, prawosławni zapożyczyli się w oręż u protestantów i nazywali Głowę katolickiego Kościoła antychrystem, a to ostatnie miało niemały wpływ na ciemne masy i odstraszało je od Unii.

Zarzucali także prawosławni biskupom, że oni dla osobistych wygód, dla miejsca w senacie przechodzą na Unię, i tem podburzali przeciwko nim naród, jednak zapominali, że sam książe Ostrogski w piśmie do Pocieja z r. 1593 stawił za warunek przystąpienia do Unii — prawo zasiadania biskupów w senacie [3], w czem pewnie widział nadzieję poprawy stosunków w cerkwi ruskiej.

Głównymi obrońcami prawosławia stają się członkowie ru-

[1] „Kazania y Homilie... Hipacyusza Pocieja... wydał Leon Kiszka“... Suprasl 1714, str. 529—530.

[2] Pelesz, *Geschichte d. Union*, t. II, str. 45—46.

[3] *Akty zapad. Rossiji*, nr. 45.

skich bractw, o których, jak widzieliśmy, odzywa się Pociej z pewną pogardą. Pewne zasługi bractwom przyznać należy, bo niemało trudziły się one dla rozszerzenia oświaty na Rusi przez zakładanie szkół, jednak z drugiej strony musimy także przyznać, że zarzuty Pocieja przeciw członkom bractw są zupełnie usprawiedliwione. Bractwa rozszerzyły bardzo wcześnie władzę otrzymaną od patryarchów na swą własną rękę. One przywłaszczały sobie władzę zrzucania biskupów z tronu, one mieszały się w sprawy biskupiej jurysdykcyi, a że znaczna część członków bractw stała pod wpływem protestantyzmu i w duchu protestanckim wykładała sobie Pismo święte, o tem świadczą nam drukiem ogłoszone wydania bractw, jak utwory Stefana Zyzaniego, utwory Ἀντίγραφη i Θρῆνος Smotrzyskiego, albo w rękopisie zostający utwór członka lwowskiego bractwa, Rohatyńca p. t. *Perestoroha*.

By nadać większej wagi swym wystąpieniom przeciw biskupom unickim, prawosławni udają się po pomoc do protestantów. Wcześnie już nawiązano stosunki pomiędzy obiema stronami, a książe Ostrogski wysyła w r. 1595 swych delegatów na zebranie protestantów do Torunia i w liście swym do protestantów obiecuje im swą pomoc, a od nich wzajem prosi o pomoc przeciw Unii[1]. Nadszedł rok 1596. Biskupi ruscy, z wyjątkiem Bałabana i Kopysteńskiego (którzy, jak domyśla się rosyjski uczony, Orest Lewicki[2], pod wpływem groźnego oporu świeckich ludzi postanowili zostać przy prawosławiu) ogłaszają Unię na synodzie w Brześciu, prawosławni odbywają równocześnie zgromadzenie, a na niem biorą liczny udział — protestanci. Jeszcze w r. 1599 aranżuje książe Ostrogski narady z protestantami nad połączeniem cerkwi prawosławnej z protestantyzmem[3]. Nie przeczę, że prawosławni w połączeniu z protestantami mogli imponować siłą, jednak i to nie da się zaprzeczyć, że prawosławni w tem połączeniu tracili na siłach.

---

[1] List ten drukowany w Ἀντιῤῥήσεις z r. 1599 i 1600. Patrz *Pamiatn. polemicz. literatury*, t. III, str. 646.

[2] *Archiw juho-zap. Rossiji*, cz. I, t. VI, str. 101—102.

[3] Narada, która odbywała się w Wilnie, opisana w Andreae Wengerscii, *Slavoniae reformatae, libri quatuor*. Amsterdami 1679, str. 478—498.

Pewnie inteligentny książe Ostrogski myślał, że prawosławie i protestantyzm są jedną wiarą, bo wszyscy wierzą w Ojca i Syna i Ducha świętego, a różnią się tylko w ceremoniach[1], a kiedy tak myślał człowiek inteligentny, to już samo przestawanie z protestantami i wspólne występy przeciw katolicyzmowi przekonywały mniej inteligentnych, że w rzeczywistości między prawosławiem a protestantyzmem niema różnic, albo zachodzą różnice tylko nieznaczne. Tymczasem w tym sojuszu prawosławnych z protestantami zyskiwać musiała strona inteligentniejsza, a tą stroną byli protestanci, którzy mieli między sobą wykształconych nauczycieli i kaznodziei, znakomitemi nauczycielskiemi siłami wyposażone szkoły, nadto bogate drukarnie. Kultura protestantów przeciągała wielu prawosławnych na protestantyzm, a organizm prawosławia przez to upadał. Przez przestawanie z protestantami i korzystanie z ich pomocy dochodziło do tego, że nietylko świeccy ludzie, ale i wyższe duchowieństwo, jak to poświadcza Smotrzyski[2], nie wiedzieli, w co mają wierzyć. Nie dziw temu, że, jak mówi Pociej, całe gromady prawosławnych zaganiali protestanci do swej „plugawej obory".

Jak widzimy, obraz życia na Rusi, który nam nakreślił Pociej w swej przedmowie do „Unii", stwierdza historya. W niej wskazuje nam także autor dwie przyczyny, które stanowiły naturalny, historyczny rozwój Unii, jak stosunki patryarchów do prawosławnej cerkwi i rozwój protestantyzmu na Rusi. Tutaj wskazuje nam Pociej jeszcze pomniejszą przyczynę, która miała wpływ na przyspieszenie biegu Unii, a mianowicie staranie biskupów, aby się uwolnić od zależności od świeckich osób, a mianowicie od bractw.

* * *

Pisarze końca XVI. i XVII. wieku, a za nimi także niektórzy krytycy tego wieku zarzucali biskupom, którzy przepro-

[1] *Pamiatn. polemicz. literat.*, t. III, str. 648.

[2] „Apologia Peregrinatiey do kraiów wschodnich", Melet. Smotrzyskiego. Lwów 1628 r., str. 11.

wadzili Unię do skutku, jakoby oni przez Unię mieli uznać tylko zwierzchnią władzę papieża, a tymczasem w rzeczywistości doprowadzili do pełnego poddania cerkwi ruskiej Rzymowi, do uznania wszystkich prawd wiary Kościoła katolickiego. Że pod Unią w czasie jej propagowania lub wprowadzenia nie rozumiał nikt samego uznania zwierzchniej władzy Rzymu, o tem mamy współczesne świadectwa. Skarga w swym znakomitym utworze „O Jedności“ (1577 r.) zaznacza wyraźnie, że warunkami do przyjęcia Unii są: przyznanie pochodzenia Ducha św. od Ojca i Syna, nauka o czyścu i t. d., a więc przyjęcie dogmatów Kościoła katolickiego [1]. Wszystkich warunków naliczył Skarga dziewiętnaście, jednak między nimi są także rzeczy mało istotne, które z dogmatami katolickimi nie stoją w żadnym związku. Podobnie jak Skarga patrzy na Unię Pociej i w trzech pierwszych artykułach staje w obronie dogmatów katolickich o pochodzeniu Ducha świętego, o czyścu i o zwierzchności biskupa rzymskiego nad wszytkimi biskupami. Pociej wykazuje prawdziwość tych dogmatów, dobierając cytatów z pism Ojców greckiej cerkwi i Pisma świętego. Rzeczą naszą będzie wskazać źródła, których użył przy spisywaniu tych traktatów.

Pierwszy artykuł poczyna Pociej temi słowy: „Rzymianie (Kościół katolicki) mówią, że Duch święty pochodzi od Ojca i Syna „jednem pochodzeniem i jednem tchnieniem“. Grecy twierdzą, że Duch święty tylko od samego Ojca pochodzi a na Synu spoczywa. A inni mówią że Duch św. od Ojca przez Syna pochodzi, w czem zgadzają się z niektórymi świętymi Ojcami greckimi. A nasza Ruś — pisze Pociej — tego słowa „przez Syna“ nie przyjmuje, bo snać nie czyta pism Ojców świętych, którzy, będąc w zgodzie i jedności z Kościołem rzymskim, tak wierzyli i tak pisali. Autor zaznacza, że na dowód prawdy ma pod ręką świadectwa czternastu Ojców cerkwi wschodniej. Samoistnej pracy Pocieja w tym artykule widzimy bardzo mało, bo świadectwa Ojców św. przetłumaczył Pociej dosłownie z księgi Bellarmina *Disputationes de controversiis fidei Christianae* i tylko

[1] *Pamiatn. polemicz. literat.*, t. II, str. 471—477.

w kilku wypadkach przytacza cytaty, których w Bellarmina utworze nie znajdujemy, a które wzięte w większej części z księgi Skargi „O Jedności". Pociej powołuje się w tym traktacie na następujących Ojców św.: Grzegorza Taumaturga, Atanazego Aleks., Bazylego Wielkiego, Grzegorza Nysseńskiego, Grzegorza Nazyanzeńskiego, Cyryla Jerozol., Jana Chryzostoma, Epifaniusza, Dydyma Aleksandryjskiego, Cyryla Aleks., Anastazego Tarasa, Maksyma i Jana Damascena. Do świadectw tych Ojców lub pisarzy dodaje Pociej jeszcze świadectwo Metafrasta. W tym samym porządku przytacza je Bellarmin. Chociaż Pociej powołuje się na świadectwa piętnastu Ojców lub pisarzy, to mimo to przytacza wyrzeczenia tylko dwunastu Ojców, opuszczając Grzegorza Nysseńskiego, Cyryla Jerozol. i Dydyma Aleks., chociaż one znachodzą się w dziele Bellarmina [1]. Przytoczywszy świadectwa Ojców świętych, wspomina Pociej o synodzie florenckim, na którym prowadzono spory o pochodzeniu Ducha św. Rezultatem tych sporów, mówi Pociej, było to, że uznano prawdziwość dogmatu katolickiego, przyczem postanowiono, że „od Syna" i „przez Syna" oznacza jedno i to samo [2].

Chociaż Grecy, pisze dalej Pociej, uznali na synodzie florenckim prawdziwość dogmatu katolickiego, to mimo to „wymawiali się przed papieżem", nie chcąc tego słowa „z Syna" dodawać do swego wyznania wiary. I my, kończy Pociej, przystępując do zgody z Kościołem rzymskim, trzymamy się wyznania Ojców greckich, wierzymy tak, jak wierzyli uczestnicy synodu florenckiego, jednak jak oni, tak i my warowaliśmy sobie i warować będziemy u papieża, byśmy p o s t a r e m u skład wiary w cerkwiach naszych odprawowali, to jest: „i w Ducha Swetoho, Hospoda istynnaho i żywotworiaszczaho, iże o d O t c a i s c h o d z i a s z c z a h o, iże so Otcem i so Synom sopokłaniajema i sosławyma".

---

[1] Porównaj *Disputationum Roberti Bellarmini... de controversiis fidei Christianae.* Coloniae Agrippinae MDCXX, t. I, lib. II, cap. XXV, p. 359—367.

[2] O traktowaniu sprawy pochodzenia Ducha św. na synodzie florenckim wspomina także Bellarmin (op. cit. p. 356—357). Porównaj także księgę Skargi „O Jedności". (*Pamiatn. polemicz. literat.,* t. II, str. 419 i nast.).

Tytuł drugiego artykułu opiewa: ‚O czyścu', „o który też nasi sprzeczają się, naśladując w tem jawnych heretyków i innowierców, którzy twierdzą, że czyśca niema, a zatem wszystkie modlitwy i ofiary za umarłych nadaremnemi nazywają".

Pierwszy argument za istnieniem czyśca bierze Pociej z rozumu, mówiąc, że nadaremnie przynoszą ci modlitwy za umarłych, którzy nie wierzą w istnienie czyśca. Bo kiedy dusze ludzi bez zmazy są zbawione, to nie potrzeba za nie modlić się, gdyż już są osądzone. Pismo święte (Syrach. 41) mówi: „Nie masz oczyszczenia żywota w piekle". Kiedyż my modlimy się za umarłych i ofiary za nich przynosimy, to musi być trzecie miejsce, pośrednie między niebem i piekłem, gdzie zatrzymane bywają dusze tak długo, dopóki nie spłacą swej winy do reszty. A jednak, mówi Pociej, u nas nazywają wiarę o czyśćcu „mytarstwami" tj. matactwem.

Na dowód, że i święci Ojcowie wierzyli w istnienie czyśca, przytacza Pociej świadectwa Chryzostoma, Teofilakta, Damascena, Grzegorza Nazyańzeńskiego, Bazylego Wielkiego, Euzebiusza, Cyryla i Grzegorza B. Wszystkie te świadectwa wyjęte są znowu z dzieła Bellarmina[1]. Na końcu traktatu zaznacza Pociej, że mógłby tak samo przytoczyć słowa Ojców Kościoła rzymskiego, jednak tego nie czyni, by kto nie powiedział, że „łacińskimi doktorami dowodzę". Tu Pociej dodaje dość ostrą uwagę, zwróconą do prawosławnych: „dość i tych (świadectw Ojców), których tutaj wymieniłem. Chybaby ten był ślepym i bez rozumu, któryby tego nie widział".

Trzeci artykuł o zwierzchności papieża rzymskiego nad wszystkimi biskupami dowodzi Pociej przedewszystkiem historycznymi faktami, że na pierwszych siedmiu powszechnych synodach pierwsze miejsce zajmowali biskupi rzymscy lub ich wysłannicy[2]. Zwierzchnią władzę biskupów rzym-

[1] Roberti Bellarmini *Disputationum de controversiis fidei Christianae*, lib. II, p. 604—608.

[2] Porównaj podobne miejsca w utworze Skargi „O Jedności". (*Pamiatn. polemicz. liter.*, t. II, str. 312—316) i w broszurze Benedykta Herbesta, „Wiary Kościoła rzymskiego wywody" z r. 1586 (Tamże, str. 586—591).

skich popiera Pociej świadectwami Ojców świętych: Ignacego, Ireneusza, Epifaniusza, Atanazego, Bazylego, Jana Chryzostoma, Cyryla, i oprócz nich Justyniana, które tłumaczy dosłownie także z dzieła Bellarmina[1]. Podając słowa Ireneusza, odsyła Pociej czytelnika, który chciałby więcej dowiedzieć się o stolicy Piotra, do *Ewanhełija Uczytelnoho,* druku ruskiego, mówiąc: „tam obaczysz, kto na jego stolicy przodkuje". Mimochodem napomkniemy, że po raz pierwszy wyszło na Rusi *Ewanhełije Uczytelnoje* z druku w Zabłudowie w r. 1568[2].

Po świadectwach Ojców św. wspomina Pociej, że na synodzie trulańskim i na drugim konstantynopolitańskim oddawano biskupowi carogrodzkiemu drugie miejsce po rzymskim biskupie. Również postanowiono na drugim synodzie konstantynopolitańskim, by biskup nie przechodził ze swej prowincyi do drugiej. Gdyby biskup prowadził spór o jakąkolwiek rzecz z drugim biskupem, to ma stanąć przed synodem tej prowincyi, w której jest. W takim razie nie wolno wzywać biskupów drugiej prowincyi, chociażby tylko dla porady. Gdyby biskupowi decyzya nie podobała się, to metropolita i biskupi mają donieść o tej sprawie papieżowi, a ten albo potwierdzi decyzyę lub odda sprawę poblizkim biskupom pod ponowny sąd. Pociej dodaje jeszcze, że na synodzie w Sardes (canon 4 i 7) postanowiono, że gdyby biskupi jakiej prowincyi zrzucili biskupa, a on im odpowie, że odniesie się do Rzymu, to na jego miejsce nie wolno ustanawiać następcy, dopóki papież sprawy nie rozstrzygnie[3].

Niewielkie zainteresowanie budzi czwarty artykuł, w którym Pociej staje w obronie reformy kalendarza. Powołując się na „Historyę cerkiewną" Nicefora (pisarza XIV. wieku),

---

[1] R. Bellarmini *Disputationum*... lib. II, cap. XV, p. 648 - 649. Przytaczając świadectwo Chryzostoma powołuje się Pociej na historyę kościelną Nicefora. Miejsce to wzięte z utworu Skargi „O Jedności". (Patrz *Pamiatn. polemicz. literat.,* t. II, str. 323).

[2] Karatajew, *Opisanije słowiano-russkich knig.* Petersb. 1883, str. 163.

[3] Canon 4 synodu w Sardes przytacza Pociej z Bellarmina, op. cit. t. I, lib. II, cap. XXI, p. 674.

dowodzi Pociej, że wschodnia cerkiew obchodziła często Paschę z Żydami przeciw kanonom apostolskim. Dalej zaznacza autor, że Paschę powinno się obchodzić zawsze w niedzielę, gdyż w tym dniu Chrystus zmartwychwstał, a w końcu w pierwszą niedzielę po Pasce żydowskiej i to od dnia 14 luny do dnia 21 tegoż miesiąca. To ostatnie uchwalił synod nicejski. Prawosławni odstąpili od tegoż, gdyż często nawet w piątą niedzielę po Pasce żydowskiej obchodzą swą Paschę.

Że Pociej był przychylnym reformie kalendarza, o tem świadczy nam jego pismo o kalendarzu gregoryańskim, wydane w Rzymie w r. 1596. W niem zapewnia Pociej, że z przyjęciem nowego kalendarza „stara paschalia i porządek świąt w niczem nie będzie naruszon“ [1].

Swą przychylność do reformy kalendarza zaznaczył Pociej także na innem miejscu, a mianowicie w polemicznej broszurze p. t. Ἀντιῤῥήσις [2]. Pomiędzy punktami, na które Pociej i Terlecki składali w Rzymie przysięgę, była też wzmianka o nowym kalendarzu, który biskupi postanowili przyjąć tylko w takim razie, gdyby on nie naruszał w niczem starego porządku świąt i obrzędów [3].

Przytoczony ustęp o kalendarzu z utworu Pocieja p. t. „Unia“, przedstawia wartość li tylko w związku z polemiczną literaturą, którą wywołała na Rusi reforma kalendarza i która ciągnęła się jeszcze w ostatnim dziesiątku pierwszej połowy XVII. wieku [4].

Nadzwyczaj ciekawym ustępem jest ostatnia część utworu Pocieja, gdzie mówi o antychryście. Już w przedmowie zaznaczył Pociej, że prawosławni odstraszają przez to ludzi od

---

[1] Opis dwóch kartek tej bardzo rzadkiej broszury podał Jak. Hołowacki w „Zapiskach“ imperat. akad. nauk w Petersburgu w r. 1877, t. XXIX, ks. I, str. 90—96.

[2] *Pamiatn. polemicz. literat.*, t. III, str. 772 i nast.

[3] Pełesz, *Gesch. d. Union der ruth. Kirche mit Rom*, t. I, p. 529.

[4] Całą literaturę polemiczną zebrał dość starannie prof. Sumcow w swym artykule p. t. *Istorycz. oczerk popytok katolikow wwesty w jużnuju i zapadnuju Rossiju grygor. kalendar.* Kijów 1888, w odbitce z *Kijewskaja staryna.*

Unii, że papieża nazywają antychrystem. Tutaj staje autor w obronie papieża rzymskiego i zbija tę chimerę, którą prawosławni przejęli od protestantów. Pociej przestrzega prawosławnych przed protestantami i zaznacza, że ostatni czekają tylko na to, by ich w swą sieć złowić, a potem wszystkie ich obrzędy i wiarę wyniszczyć. Zwraca także uwagę prawosławnych na to, dlaczego protestanci nie występują tak namiętnie przeciw prawosławnym, jak przeciw katolikom. Przyczyna leży w tem, że prawosławni nie umieją wykazywać protestantom ich błędów tak, jak katolicy. I nie dziw, mówi Pociej do prawosławnego: „Ty biedny prostaku, nietylko przeciwnika zganić, ale i sam siebie obronić nie możesz, gdy ciebie prostakiem ruskim, głupiem bydłem, nieukiem nazywają". Protestanci — pisze dalej — mając w Anglii za sobą króla, wszystką rzymską wiarę wykorzenili, a to samo zrobiliby z prawosławiem, gdyby się dostali do władzy. Wreszcie kończy: „Lepiej ogień gasić, kiedy gorze u sąsiada, niż wtedy, gdy dojdzie do twego dachu. Nie pomoże tobie wtenczas to braterstwo, te spiski i bunty, jakie teraz z nimi podnosicie na swych ludzi, którzy tak o swoje, jak i wasze duchowe zbawienie i o lepszy porządek w cerkwi bożej, czem był dotychczas, dbają, a co ważniejsza o zgodę, miłość i jedność, o co sami w cerkwiach naszych bez przestanku prosimy, starają się, byśmy po staremu, jak to za ojców naszych bywało, jednemi usty i jednem sercem mogli sławić prześwięte imię Ojca i Syna i Ducha świętego".

Po tym krótkim wstępie poczyna mówić Pociej o antychryście, zapowiadając najprzód, że cała obrona papieża nie jest jego trudem samoistnym, gdyż korzystał on tutaj z „Kazania o Antychryście", które wydali „Rzymianie". Przyznaje się otwarcie, że porównał tylko słowa Pisma św. i świadectwa Ojców świętych, które są przytoczone w kazaniu z oryginałami, a przekonawszy się o ich prawdziwości, „przełożył pewną część tego kazania na ruski język". Pod „Rzymiany" rozumie tutaj autor wyznawców rzymskiej cerkwi, a pod „Kazaniem o Antychryście", kazanie znanego tłumacza Biblii na język polski, Jakóba Wujka, p. t.: „O Antychryście, synu zatraconym, ieśliże iuż przyszedł,

albo nie. A iż nie Papież iest Antychrystem, ale Ewangelikowie“ [1].

Cały traktat Pocieja o antychryście jest z niektóremi opuszczeniami i zmianami prawie dosłownem tłumaczeniem kazania Wujka. Z przyczyny, że pytanie o antychryście wytworzyło dość znaczną literaturę i że argumenta, jakimi posługiwali się protestanci i prawosławni przeciw papieżowi, nazywając go antychrystem, są prawie jednakowe, pozwolę sobie podać pokrótce początek myśli tego ustępu broszury Pocieja.

Pociej wykazuje za Wujkiem, że antychryst będzie jednym człowiekiem, jedną pewną osobą i wzmacnia swe wywody słowy Pisma św. i świadectwami Ojców greckich. Gdyby ktoś przyjął, że antychrystami, jak to twierdzą protestanci, są papieże począwszy od Bonifacyusza III., to tym sposobem zaprzeczyłby słowom Pisma świętego i Ojców cerkwi. Dalej wykazuje autor na podstawie słów Jana Chryzostoma, że antychryst przyjdzie wtenczas, kiedy cesarstwo rzymskie będzie zupełnie zniszczone. Gdyby św. Jan Chryzostom rozumiał pod antychrystem papieży, to byłby otwarcie na nich wskazywał. Jednak św. Chryzostom uznawał głównym pasterzem Kościoła papieża, gdyż udawał się do niego o pomoc, kiedy Teofil zrzucił go z patryarszej stolicy.

Antychryst wyniesie się ponad Boga, czego papież nie czyni, gdyż każe chwalić Boga i Świętych Jego, a tem samem nie może być antychrystem. Antychryst ma zasiąść w świątyni jerozolimskiej i będzie Mesyaszem żydowskim, jak to twierdzą Ojcowie cerkwi, więc papież antychrystem być nie może. Gdybyśmy nawet poszli za myślą Ojców Kościoła: Hieronima, Chryzostoma i Teodoreta, którzy twierdzą,

[1] „Postilla catholica. To iest, kazania na Ewangelie Niedzielne y odświetne przez cały rok: według wykładu samego prawdziwego, Kościoła Ś. powszechnego. Teraz znowu przeyrzana y poprawiona. Przydane są niektóre nowe kazania: y Obrona tey Postylle, naprzeciw sprośnym wykrętom y potwarzom Postylle kacerskiej: y Regestr dwoiaki. Przez D. Jakuba Wuyka z Wągrowca, Theologa Societatis Jesu. Cum Gratia et Privil. S. R. M. W Krakowie. W Drukarni Siebeneycherowej: R. P. 1584“. Str. 515—528. Pełny egzemplarz znajduje się w Bibliotece uniwers. lwowskiego.

że antychryst będzie miał siedzibę w prawdziwym Kościele Chrystusa, to i wtenczas nie można rozumieć pod papieżem antychrysta, bo nie każdy, który zasiędzie w Kościele bożym, jest antychrystem. Apostołowie i ich namiestnicy mieli siedzibę w Kościele, a nie są antychrystami. Ten tylko będzie antychrystem, który zasiędzie w Kościele bożym, jako Bóg.

Antychryst, według słów proroków i Ojców cerkwi ma panować trzy i pół roku, a w protestanckich postylach czytamy, że papieże stali się antychrystami albo od r. 607 lub 1150 po Chrystusie, a więc sami protestanci w tem między sobą nie zgadzają się.

Jezus Chrystus, Apostoł Paweł i Ojcowie cerkwi twierdzą, że antychrysta przyjmą Żydzi na swego Mesyasza, Ojcowie cerkwi przyznają dalej, że antychryst urodzi się z pomiędzy Żydów, a św. Jan nazywa wszystkich heretyków antychrystami. Gdyby papież miał być antychrystem, to heretycy, którzy są poprzednikami antychrysta nie występowaliby tak namiętnie przeciw papieżowi. Jednak przeciw papieżowi występują nietylko protestanci, lecz także Turcy, Tatarzy i Żydzi, dlatego papież nie może być antychrystem.

Na tem kończy się obrona papieża, a Pociej za Wujkiem nazywa heretyków poprzednikami antychrysta, którzy zbudują dla niego tron, i argumentuje w następujący sposób:

Antychryst ma bluźnić Bogu i Świętym, a to czynią heretycy, którzy występują przeciw Bóstwu św. Trójcy, którzy znieważają Przenajświętszą Pannę i wszystkich Świętych.

Antychryst ma swą nazwę od tego, że przeciwi się Bogu i Chrystusowi. Dzisiejsi heretycy są wierną świtą antychrysta, gdyż przeciwią się Chrystusowi i Jego Kościołowi.

Antychryst ma usunąć mszę; heretycy znieśli już ofiarę bezkrwawą, rujnują ołtarze, przez co stają się posłańcami antychrysta. Antychryst ma wyniszczyć Sakrament chrztu; to robią heretycy, kiedy uczą, że dzieci rodziców chrześcijańskich nie potrzebują chrztu, lub kiedy twierdzą, że dla dzieci chrzest niepotrzebny, dla starszych niepożyteczny i że chrzest jest niepotrzebną ceremonią.

Antychryst nie zważa na Boga ojców swych; tak samo heretycy nie patrzą na starożytność Kościoła, jedność we wierze, na następstwo pasterzy w Kościele Chrystusa, papieży, patryarchów, biskupów.

Antychryst ma odmienić prawa i czasy; heretycy wzgardzili prawami kościelnemi i odmienili obrzędy kościelne.

Antychryst ma wyniszczyć wszystkie znaki i pamiątki wiary chrześcijańskiej, a to mają na myśli i nad tem pracują heretycy, by wyrzucać ołtarze poświęcone Bogu, wywracać cerkwie boże, palić i rozbijać obrazy, rabować klasztory, niszczyć szpitale, rozpędzać szkoły, deptać szczątki Świętych, niszczyć pamięć Świętych, otwierać groby umarłych, walić cmentarze, odrzucać wszystkie stare obrzędy, stroić śmiechy z Sakramentów świętych, odrzucać ofiarę Mszy, deptać ciało Chrystusa.

Antychryst jest człowiekiem grzechu; takimi są także heretycy, którzy wierzą w to, w co chcą, którzy myślą, że będą zbawieni jedną wiarą bez dobrych uczynków, którzy występują przeciw spowiedzi, chociaż ona ludzi od złych uczynków wstrzymuje.

Św. Jan nazwał antychrystami wszystkich, którzy odłączyli się od katolickiego Kościoła, a że heretycy odstąpili od Kościoła, dlatego są małymi antychrystami, sługami przyszłego antychrysta.

Na tem kończy Pociej swe pismo.

Wspomniałem, że Pociej oparł swą obronę papieża na kazaniu Wujka „O antychryście“. Tutaj dodam, że Wujek, pisząc to kazanie, oparł go w znacznej części na dziełach Bellarmina[1]. Siłę argumentacyi tej obrony musimy przyznać już chociażby dlatego, że nam dzisiaj wydaje się śmieszną rzeczą, jak mogli protestanci podobnie niedorzeczną myśl podnosić i udowadniać

[1] Porównaj Bellarmini *Disputationes... Antichristum certum quemdam hominem futurum*, t. I, lib. III, cap. 2, p. 712—714, dalej *De sede Antichristi*, t. I, lib. 3, cap. XIII, p. 750—751, dalej twierdzenie, że Antychryst będzie panować trzy i pół roku, t. I, lib. 3, cap. VIII, p. 732, że Żydzi przyjmą Antychrysta za swego Mesyasza, t. I, lib. III, cap. II, p. 745—746, że Antychryst urodzi się z Żydów, t. I, lib. III, cap. XII, p. 744—745.

w swej literaturze, jak ta, że papież jest antychrystem. Antychrystem nazywali papieża: Luter, Illiryk, Chytraeus, Wolfgang, Musculus, Teodor Beza, Bibliander, Henryk Pantaleon, Henryk Bullingerus, Kalwin, Melanchton i inni[1]. Myśl ta znalazła urodzajną glebę w polskiej i ruskiej literaturze końca XVI. i początku XVII. wieku. Antychrystem nazwany już papież w protestanckiej biblii Radziwiłła z r. 1563[2]. Z dowodami w obronie tego nonsensu wystąpił w r. 1570 drugi pisarz polski, Krowicki w swej broszurze „Wizerunek Antychrystów", dalej Czechowicz w swojem *Epistomium*[3]. Śladem polskich protestantów poszli wkrótce Rusini. Pierwszym, który podniósł tę myśl w ruskiej literaturze, był Motowyło[4], mieszkający na dworze księcia Ostrogskiego.

Po reformie kalendarza gregoryańskiego rozszerzyła się ta myśl na Rusi znowu pod wpływem protestantów, którzy proroctwo Daniela (7, 2), że antychryst będzie zmieniał czasy, odnosili do papieża[5]. Ruski polemista i asceta, Jan Wyszeński, wierzy także, że papieżowi pozostaje zrobić jeszcze jeden krok: „bluźnić Boga... prawosławnych prześladować i męczyć i urodzić... antychrysta"[6]. Książe Ostrogski w liście do protestantów na ich zebraniu w Toruniu (r. 1595), rozgniewany na biskupów, którzy bez jego wiadomości przeprowadzali Unię, nazywa również papieża antychrystem[7], a w r. 1596 wydaje Stefan Zyzani książkę poświęconą Ostrogskim, p. t. „Kazanie św. Cyryla o Antychryście", w równorzędnym tekście ruskim i polskim, w którym fałszuje nawet słowa tego Świętego, byle tylko udowodnić, że papież jest antychrystem, przyczem jednak korzystał z utworu prote-

---

[1] Ibidem str. 710.

[2] Skabałanowicz, *Ob Apokrizisie Filaleta*. Petersb. 1873, str. 35.

[3] „Epistomium na wędzidło Jego Miłości X. Hieronima Powodowskiego"... III księga, str. 322—427. Egzemplarz znajduje się w Bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie.

[4] Ustrialow, *Skazania knjazia Kurbskaho*. Petersb. 1868, str. 249.

[5] Stanisława Grodzickiego, „O poprawie kalendarza kazań dwoje". Wilno 1587, str. 27—28.

[6] *Akty južnoj i zapadnoj Rossiji*, t. II, str. 264.

[7] *Pamiatn. polemicz. literatury*, t. III, str. 650.

stanta Sibranda Lubberta *De Papa Romano* (1594), którego dziesiąta księga poświęcona dowodom, że papież jest antychrystem [1]. Pod wpływem Sibranda Lubberta podnosi tę samą myśl Smotrzyski w swem Θρηνος'ie i poezyami Petrarki, Mantuana, Bernarda Cluniacena i t. d. stara się ją wywalczyć [2]. Rozumie się, że w namiętnej walce prawosławnych z Unią zupełnie wystarczającym argumentem była dla prawosławnych poezya, tak, jak wystarczającą była ona dla protestantów, którzy już bardzo wcześnie poczęli wydawać podobne utwory przeciw papieżowi, jak np. utwór *Aviso Piacevole dato alla bella Italia da un nobili giovane Franceze*, którego dowody zbija znakomicie Bellarmin w swym *Appendix ad libros de Summo Pontifice* [3]. Jak widzimy, protestanci, a za nimi prawosławni wystąpili do boju przeciw katolicyzmowi z nienawiścią i namiętnością, nie dziw więc, że i katolicy odpłacali im tą samą monetą. Tem da się wyjaśnić ton, z jakim także autor „Unii" odnosi się do prawosławnych, a jeszcze więcej do protestantów.

* * *

Te uwagi nasunęły mi się na myśl przy rozbiorze utworu Pocieja p. t. „Unia". Utwór ten ma na celu przestrzedz prawosławnych przed protestantami, a zarazem przekonać ich, że tylko trzy sprawy, a mianowicie dogmaty o pochodzeniu Ducha św., o czyścu i o zwierzchności papieża rzymskiego dzielą prawosławnych od katolicyzmu, gdyż ani kalendarz, ani bezmyślna nauka o antychryście nie należą do artykułów wiary. Pod historycznym względem ważny ten pamiętnik, gdyż w nim nakreślony nadzwyczaj wiernie obraz walk religijnych na Rusi

[1] Więcej o tem powiedziałem w mem studyum nad *Perestorohą*, str. 162—166.

[2] „Θρηνος, to iest Lament iedyney powszechney Apostolskiey Wschodniey Cerkwi... przez Theofila Orthologa, teyże wschodniey cerkwie Syna", w Wilnie 1610 r., IV rozdział, str. 68 i dalsze.

[3] W wydaniu Bellarmina z r. 1620, na które powoływałem się w ciągu mej pracy, tego traktatu niema, znalazłem go natomiast w innych wydaniach np. z r. 1599 (Wenecya) t. II, str. 1—38, w dodatkach.

przed wprowadzeniem Unii. Pamiętnik ten wskazuje nam także na oręż, jakim prawosławni w połączeniu z protestantami wojowali przeciw Unii, a zarazem stanowczo zaprzecza poglądom tych, którzy uważali Unię tylko za akt zewnętrznego poddania ruskiej cerkwi pod władzę papieża.

Chociaż znaczna część polemiki oparta na utworze Bellarmina *Disputationes de controversiis fidei christianae* i na kazaniu Wujka „O Antychryście", to i pod literackim względem ważny ten pamiętnik, jako pierwsze polemiczne pismo, które wyszło ze strony Unitów, a zarazem jako pierwszy literacki utwór Pocieja [1], który przez żywość opo-

[1] Oprócz „Unii" wydał Pociej „List do X. Ostrogskiego" z wezwaniem, by przystąpił do Unii (r. 1598), oddrukowany w polskim i ruskim tekscie w *Pamiatn. polemicz. literat.*, t. III, str. 983—1040; dalej „Respons Hipacyusza Pocieja na list Melecyusza, patryarchy aleksandryjskiego", drukowany staraniem metropolity L. Kiszki wraz z kazaniami Pocieja w Supraślu 1714 r., 528—612; Pociej napisał także Ἀντιῤῥήσεις, znakomity historyczno-polemiczny utwór, wydany w r. 1599 w języku ruskim i 1600 w polskim, oddrukowany, jak już wyżej wspomniano w III tomie *Pamiatn. polem. liter.* Że Pociej jest autorem tego dzieła, to dowodzi prof. Skabałanowicz w swem studyum *Ob Apokrizisie Filaleta.* Wystąpił wprawdzie przeciw twierdzeniu prof. Skabałanowicza prof. Gołubiew w *Bibliograficzeskich zamieczanijach o niekotorych staro-pieczatnych knigach* w *Trudach* kijowsk. duch. akademii za r. 1876, lecz z bardzo słabymi argumentami. Prof. Brückner przypisuje Ἀντιῤῥήσεις Pociejowi, wskazując na styl, zdradzający pióro Pocieja („Spory o Unię w dawnej literaturze", str. 598). W r. 1603 wydaje Pociej pod nazwiskiem Piotra Fiedorowicza broszurę p. t. „Obrona św. Synodu Florenckiego", w r. 1605 „O przywilejach nadanych przez Najjaśń. królów polskich". W tymże roku wydał Pociej w równorzędnym polsko-ruskim tekscie „Poselstwo Misaela do Papieża Syksta III." (Ruski tekst wydany podług rękopisu w *Archiwie juho-zapad. Rossiji.* Kijów. Cz. I, t. VII, str. 193—231). W roku 1608 wydaje Pociej polemiczną broszurę w paralelnym rusko-polskim tekscie p. t. „Harmonia" (przedruk. w *Pamiatn. polemicz. liter.* t. II, str. 169—222). W r. 1609 napisał Pociej list otwarty do prawosławnych po ich nieudałym morderczym napadzie na Pocieja, który wydrukował Skarga w odpowiedzi „Na Threny y Lament Orthologa"... Kraków 1610 r., str. 104—107. Oprócz tego napisał Pociej kazania, które wydał L. Kiszka w Supraślu r. 1714. O kazaniach Pocieja napisał studyum N. Trypolskij p. t. *Uniatskij mitropolit Ipatij Pociej i jeho propowidnyczeskaja diejatelnost'* w *Trudach* kijowskiej duch. akademii za r. 1877 i 1878.

wiadania, siłę wysłowienia należy do najlepszych utworów ruskiej literatury końca XVI. wieku. Ważny ten pamiętnik także dla charakterystyki autora, w którym widzimy człowieka bystrego poglądu, znawcę stosunków na Rusi, człowieka gorąco oddanego idei wprowadzenia Unii.

Dr. Cyryl Studziński.

WEWNĘTRZNA PEWNOŚĆ AKTU WIARY.

Dokończenie).

IV.

Według nauki Kościoła wiara jest aktem nadprzyrodzonym tj. aktem przechodzącym wszystkie siły natury człowieka. Niejednego może te słowa: „aktem nadprzyrodzonym“ [1], uderzają i z pewnem zdziwieniem się pyta, co one znaczą. Czyby one miały znaczyć, że wiara wymaga jakiegoś mistycznego działania Stwórcy na stworzenie, podnoszącego je do wyższych, boskich sfer?

Odpowiedzmy bez ogródki — tak.

Mówić w naszych czasach o rozumności wiary, jest to rzeczą potrzebną, by wiarę oczyścić od zarzutów przeciwników, by ludzi przeciwko niej uprzedzonych, zbliżyć do niej i pociągnąć; jest to rzeczą wdzięczną, bo tego wszyscy chętnie słuchają: ci co się w wierze chwieją ale ją jeszcze kochają, słysząc o rozumnych podstawach wiary, śmielej znowu wierze się oddają; ci co jej są nieprzychylni, witają z radością dążności do szukania racyonalnego elementu w wierze, jako początek do zupełnego jej zniszczenia.

Ale mówić dzisiaj o nadprzyrodzoności wiary, to zdaje się być rzeczą nader trudną, bodaj czy już nie dlatego samego, że rzadko kiedy o niej się mówi nawet z ambony. Boimy się, byśmy nieprzyjaciół nie zrazili, nie odtrącili wzmianką jakiegoś dzia-

[1] Sobór Watyk. rozdz. III. O wierze.

łania nadprzyrodzonego, niepojętego. Ale ta obawa jest próżną i zgubną.

Ta obawa jest próżną, bo nikt niema prawa odrzucić wiary z tej jedynie przyczyny, że jest nadprzyrodzoną, tak samo jak żadnego prawa nie mamy, by z góry zaprzeczyć możliwości działania boskiego, przechodzącego porządek i siły natury. Do podobnego twierdzenia tylko fanatyzm antireligijny posunąć się może. Przyznają to z nowszych filozofów i tacy, co wcale na gruncie katolickim nie stoją. Niektórzy z nich, np. Renouvier, bardzo trafnie wykazują, jaką niedorzeczność i sprzeczność z zasadami prawdziwej nauki zawierają twierdzenia, przeczące apriorystycznie wszelkiemu nadprzyrodzonemu działaniu Boga.

Nadto obawa nauczania o pierwiastku nadprzyrodzonym wiary byłaby bardzo niewłaściwą. Jest to pierwszem wymaganiem naukowego badania, ba, nawet prostej szczerości i sumienności, by się rzecz przedstawiało w całem świetle prawdy. Chcąc więc dać dokładniejsze pojęcie o wierze katolickiej i jej właściwościach, nie można zamilczeć przedmiotu, który jest jej cechą istotną, na który Kościół największy kładzie nacisk. Zaraz na początku rozdziału o wierze, sobór watykański uroczyście orzekł, że „wiarę Kościół katolicki wyznaje być cnotą nadprzyrodzoną, przez którą natchnieni i wsparci łaską bożą, w to co objawił jako w prawdę wierzymy". Nie przytaczam na potwierdzenie tej nauki soboru cytatów z Ojców i Doktorów Kościoła, bo zbyt jawna jest powszechna ich zgoda co do tego punktu. Zwrócę tylko uwagę na to, że Chrystus Pan w całem swem nauczaniu bardzo często mówiąc o wierze, wysuwa na pierwszy plan jej nadprzyrodzoność czyli nieudolność człowieka do zdobycia jej bez osobliwego daru Ojca niebieskiego. I tak kiedy po raz pierwszy zażądał od Apostołów wyznania wiary a Piotr z tą pełną powagi prostotą złożył je, mówiąc: „Tyś jest Chrystus syn Boga żywego" — Mistrz odpowiedział mu: „Błogosławionyś jest Szymonie Bariona: bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech" [1]. Wszystkim

[1] Mat. xvi, 16, 17.

Pan Jezus kazał przyjść do siebie, wszystkim kazał wierzyć w siebie, gdyż to jest „dzieło boże“ [1], które jedyne zapewnia żywot wieczny, a przecież wyraźnie powiada: „Żaden do mnie przyjść nie może, jeśli go Ojciec, który mnie posłał nie pociągnie“ [2].

Wiara jest więc dziełem bożem, do wiary bez wsparcia i natchnienia Boga dojść nie można; nie bystrość rozumu naszego, nie wola nasza, choćby najlepsza, jest przyczyną wiary, ale łaska Ojca naszego, „który jest w niebiesiech“. Taką jest nauka Chrystusa o wierze, taką nauka Kościoła katolickiego. Kto ten przymiot nadprzyrodzoności ze względów oportunistycznych pomija, ten daje wprost fałszywe pojęcie o wierze katolickiej i logicznie do niedowiarstwa prowadzi. Albowiem bez tego przymiotu niepodobna obronić wiary przeciwko zarzutom. Na nim jako na fundamencie, opierają się inne przymioty któreby inaczej były niewytłumaczalne i niedorzeczne.

Widzieliśmy już w poprzednim artykule, że ta najwyższa pewność wewnętrznego przekonania, której Kościół od swych wyznawców w rzeczach wiary wymaga, byłaby wprost niemożliwą, gdyby wiara była aktem czysto ludzkim. Rozumność wiary żadną miarą tego przymiotu wytłumaczyć ani uzasadnić nie może, owszem zdaje się, że między tymi dwoma przymiotami zachodzi sprzeczność nie do usunięcia. W świetle zaś nauki Kościoła o nadprzyrodzonym charakterze wiary, pozorne sprzeczności i trudności znikają, nadziemska pewność harmonijnie się łączy z rozumnością, a ta bezwzględna siła przekonania z wiary płynącego, znajduje swe należyte uzasadnienie. Analityczny rozbiór aktu wiary, już nie czysto ludzkiej ale takiej, jakiej Kościół od nas wymaga, wykaże prawdziwość naszego twierdzenia.

V.

Wiara katolicka ma być wiarą rozumną i dlatego tak samo jakby było w wierze wyłącznie na rozumie opartej, naprzód wiedzieć trzeba, że Bóg prawdziwie przemówił, a Bogu

[1] Jan VI, 29. [2] Jan VI, 44.

koniecznie wierzyć należy, gdyż jest i Panem najwyższym i prawdą nieomylną. Zanim człowiek tych dwóch prawd rozumem nie pojął, to o wierze katolickiej ani mowy być nie może. Są to tak zwane *praecambula fidei*, tj. wiadomości przygotowawcze, wstępne do wiary, które wedle nauki Kościoła są koniecznemi do niej warunkami. Że Bogu wierzyć trzeba, to każdy rozumny człowiek bez wielkiej pracy umysłowej jasno pojmuje; ale niema też człowieka, coby przy dobrej woli nie mógł z moralną pewnością przekonać się o istnieniu objawienia boskiego, jako o fakcie historyczno-etycznym pierwszorzędnego znaczenia. Taki bowiem fakt z natury swej zwraca ogólną uwagę na siebie i musi być otoczony znakami jawnymi, świadczącymi o boskiem swem pochodzeniu. — W tej wstępnej pracy niema nic coby przechodziło wrodzone nasze siły. Pewność jednakże, którą tą drogą czysto rozumowego badania nabędziemy o prawdziwości boskiej nauki, będzie, jakeśmy w poprzednim artykule wykazali, zawsze tylko pewnością ograniczoną, pewnością czysto ludzką.

Jakimże więc sposobem katolik dochodzi do tej najwyższej pewności?

Otóż poznając fakt i treść boskiego objawienia, co jest pierwszym a niezbędnym krokiem do wiary, spotykamy się zaraz z początku z jasno sformułowanym rozkazem tego samego Boga, co do nas przemawia, byśmy jego słowa z absolutnem poddaniem przyjęli. Ażeby zaś wszyscy poznali, że to jest prawem obowiązującem, nie tylko radą dla niektórych, że to jest prawem, które wszyscy bez wyjątku zachować mają, dodaje Bóg najwyższą sankcyę temu prawu: „Kto uwierzy... zbawion będzie: a kto nie uwierzy będzie potępion“ [1]; i jeszcze silniej: „Kto nie wierzy już osądzony jest: iż nie wierzy w imię jednorodzonego Syna Bożego“ [2].

Stoimy teraz niby na rozstajnej drodze: z jednej strony Bóg wymaga byśmy mu wierzyli nadewszystko, byśmy mu wierzyli jak tego godność Jego Boskiej natury wymaga, mając

---

[1] Marek. XVI, 16. [2] Jan III, 18.

wszelką inną ludzką pewność, któraby się tej wierze sprzeciwiała za nic — z drugiej strony rozum oświadcza, że to przechodzi możność jego natury. Wszelako to stanowcze wyznanie rozumu o swej zupełnej nieudolności wobec żądania i rozkazu bożego, żadną miarą się nie sprzeciwia — jakby to się może zdawało — możliwości wykonania tego rozkazu, ale jest raczej jego początkiem i koniecznym warunkiem. Albowiem Bóg w swej mądrości rzeczy niemożliwych nie wymaga. Każąc człowiekowi wierzyć nad ludzkie siły, ofiaruje mu równocześnie swą pomoc, swą łaskę, siłę nadprzyrodzoną, odpowiedną potędze i wzniosłości aktu tej iście boskiej wiary. Mówię: ofiaruje, bo Bóg niezliczone razy w Piśmie św. powtarza, iż zbawienie zostawia wolnej woli każdego, a wiara jest początkiem i źródłem zbawienia. Kto chce może współdziałać z tą mocą nadprzyrodzoną, która podnosi człowieka do wysokości prawdziwej wiary i daje mu możność wykonania rozkazu bożego. Ale tylko kto chce; nie chcącemu Bóg jej nie narzuca. A rozum właśnie wtenczas, kiedy jaśniej poznaje swą nicość wobec Boga, poznaje też jasno, iż zuchwalstwemby było gardzić takim darem, zbrodnią pociągającą za sobą najzgubniejsze następstwa. A stąd rozum człowiekowi przedstawia ścisły obowiązek, by w uznaniu swego niedołęstwa, korzył się przed Stwórcą i błagał o ten dar najwyższy. A zrobiwszy to, już rozum doszedł do ostatnich granic swej działalności na polu pracy przygotowawczej do wiary. Wskazał człowiekowi fakt objawienia, zwrócił mu uwagę na zawarty w nim rozkaz boży, by stworzenie wiarą absolutną w to objawienie wierzyło, przedstawił mu obowiązek wykonania tego rozkazu przez współdziałanie z ofiarowaną łaską, a dalej ku wierze już zbliżyć się nie może. Doprowadził człowieka do podwoi świątyni; od woli już zależy, by rozum i całego człowieka do tej świątyni wprowadziła. Wola może wzgardzić przedstawieniem rozumu, może odepchnąć łaskę nie chcąc przyjęciem jej uznać ograniczoności ludzkich swych sił. Ale jeżeli nią nie gardzi, to wtenczas ta łaska przyodziewa wolę siłą nadziemską i wola każe rozumowi zapomnieć o swem niedołęstwie i przylgnąć do świadectwa bożego, tak jak ono samo w sobie tego

godne; równocześnie łaska i rozum oświeca i wzmacnia do tego aktu przechodzącego jego siły przyrodzone, a wtenczas człowiek wierzy: wierzy już nie dlatego, że przyrodzonem światłem rozumu własną siłą poznał objawioną przez Boga naukę i ją przyjął, albowiem taka wiara byłaby tylko ludzką, słabą, na ludzkiem rozumowaniu opartą, ale wierzy dlatego, że spełniwszy swój obowiązek, uznawszy swą niemoc, rzucił się jak dziecko w ręce ojca wzywającego go do siebie, i za to od niego otrzymał siły, których mu brakło, by złączyć się poznaniem naprzyrodzonem ze źródłem swego bytu. Przez tę łaskę siła wiary już się nie opiera na ludzkiem poznaniu dowodów objawienia i na naturalnem przekonaniu rozumu o wiarogodności Najwyższej Istoty, ale na nieprzystępnej i niepojętej dla stworzenia prawdzie bożej, łączącej się z człowiekiem nie przez objawienie się jemu w całym swym blasku (intuicyę) ale przez łaskę: oświecającą i udzielającą mu siły swej prawdy. Łaska ta oświeca rozum, by pobudki do wiary w jaśniejszem, nadprzyrodzonem świetle pojmował, i by pobudki z większą siłą go parły do uznania objawionych prawd. Ale i to nadziemskie światło nie jest tak wielkie, by mogło w rozumie wytworzyć absolutne uznanie, potrzebne do wiary. Rozum pozostaje jeszcze w ciemności a wzbudza akt wiary za pomocą łaski wzmacniającej go do przyjęcia słowa bożego z należną mu niezachwianą ufnością mimo niedoskonałego jeszcze poznania.

Niema, zdaje się nam, słów lepiej charakteryzujących cały proces genezy wiary nadprzyrodzonej, jak owo proste wyznanie wiary ojca ewangelicznego, który zapytany od P. Jezusa, czy wierzy, odpowiedział: „Wierzę Panie, ratuj *(adiuva)* niedowiarstwa mego“ [1]. Sami z siebie nie jesteśmy w stanie należycie wierzyć w boskie świadectwo, ale wsparci jego wszechmocną ręką — możemy, a wtenczas siła naszego wewnętrznego przekonania ma swe źródło już nie w nas, ale w samym Bogu. I tak racyonalnie się tłumaczy najwyższa pewność aktu wiary.

---

[1] Marek. IX, 23.

VI.

Dla lepszego zrozumienia racyonalnego uzasadnienia pewności aktu wiary przez nadprzyrodzoność, zwróćmy jeszcze osobno uwagę na główne różnice zachodzące między uznaniem prawdy w wierze i każdem innem czysto rozumowem uznawaniem. Przedewszystkiem uderza nas to, że w wierze siła uznania prawdy nie jest ściśle zależną od siły dowodów. Jeżeli rozumem do pewności dochodzę, to przez to, iż naprzód w samej rzeczy poznałem racyę do wydania tak pewnego o niej sądu. Nie tak w wierze; tu nadzwyczajna siła uznania nie jest spowodowana przez zbadanie przyczyn. Rozumowanie wprawdzie niezbędnie potrzebnem jest, by człowieka doprowadzić do wiary, ale sam akt wiary nie jest już owocem rozumowania, nie jest konkluzyą sylogistyczną, ale raczej owocem całkowitego poddania się człowieka Prawdzie odwiecznej. I tak słusznie powiedzieć można: wierzymy nie dlatego, żeśmy rozumieli, ale dlatego, żeśmy chcieli [1]. Rozum bowiem nie uznaje prawdy z tą najwyższą pewnością dlatego, że w świadectwie bożem ujrzał przyczyny do takiego przylgnięcia, ale dlatego, że wola go swym rozkazem do tego aktu skłoniła, a Bóg rozum do wykonania tego po ludzku niemożliwego aktu, wzmocnił. Tym sposobem rzeczywiście silne to uznanie nie jest dziełem naszem, ale raczej dziełem bożem w nas, jak św. Tomasz mówi: „wiara, o ile jest uznaniem prawdy, które główny jej akt stanowi, jest od Boga działającego *(movente)* wewnątrz przez łaskę"; a poznanie wiary staje się przez działanie łaski podobnem do samego poznania boskiego w tem rozumieniu, że przez wiarę nam wlaną sąd nasz o prawdziwości dogmatów opieramy na Prawdzie odwiecznej w sobie samej.

Druga ważna różnica między zwykłem uznaniem a wiarą nadprzyrodzoną polega na tem, że w wierze uznanie bezwzględne prawd objawionych wywołane jest nakazem woli. Jednakże wpływ woli na rozum w akcie wiary nadprzyrodzonej,

---

[1] S. Thomas, De Ver. qu. XIV, a. 1.

żadną miarą nie gwałci praw rozumu, ale najzupełniej z niemi się zgadza. Naprzód bowiem ten wpływ ma swe źródło i uzasadnienie w rozumie, który wskazuje woli obowiązek wpływania na rozum. Św. Tomasz często powtarza: człowiekby nie wierzył, gdyby jasno nie widział, że wierzyć powinien. A po drugie, sam rozkaz woli w niczem rozumowi nie uwłacza. Powiedzieliśmy wprawdzie wyżej, iż wola nie może rozumowi nakazać, by silniej coś za prawdę uznawał, aniżeli dowody pozwalają; ale to się tylko odnosi do zwykłego porządku poznawania. Jeżeli zaś Bóg obiecuje uzdolnić rozum swą wszechpotęgą do tego najwyższego uznania, wtenczas taki rozkaz woli jest najzupełniej uzasadniony. Albowiem wola ufna w obietnicę boską, nie każe rozumowi zawiązywać sobie oczu i ślepo wierzyć w to, coby mogło być fałszem, ale każe mu korzystać z łaski bożej i wznieść się za jej pomocą do uznawania prawd wiary, przechodzącego swą mocą ludzkie siły. Zarazem wola przez zupełne poddanie się prawdzie odwiecznej, wyjednuje dla rozumu siłę podnoszącą go do tego wyższego stopnia poznania. A w tem niema nic coby się rozumowi sprzeciwiało.

Że nasza inteligencya nie jest na najwyższym stopniu możliwego rozwoju, że nasz rozum nie jest ideałem władzy poznawczej — dobrze czujemy. Ten, który stworzył rozum, może go zapewne i udoskonalić, może podnosić i potęgować jego siły. Może i rzeczywiście chciał to uczynić. Przeznaczył człowieka na to, aby swoim rozumem, wzmocnionym światłem bożem, widział Byt nieskończony takim, jakim jest w swym ogromie — ale to dopiero na przyszłym świecie. Zanim Bóg użyczy rozumowi tego jasnowidzenia, w którem zdolen będzie nietylko przenikać tajemnice i zjawiska tego świata ale i same tajemnice bytu bożego, zanim go podniesie do tych najwznioślejszych wyżyn, do jakich wogóle rozum stworzony mocą bożą wzniesionym być może, chciał Stwórca by przeszedł przez fazę przejściową — wiary. W tej fazie wiary rozum tąż mocą bożą wsparty, prawdę najwyższą przyjmuje z nadziemską pewnością, choć jej nie widzi, ale cieszy się nadzieją, że w krótkim czasie ta sama łaska, która mu teraz umożliwia przyjmowanie prawd objawio-

nych z takiem absolutnem do nich przylgnięciem, doda mu też sił, by sam najwyższą prawdę bożą oglądał taką, jaką jest sama w sobie. Jest w tem, co prawda, pewna ofiara ze strony rozumu, który z natury do tego dąży, by wszystko do głębi przeniknąć a w prawdach wiary uznać musi, że tego dopiąć nie jest w stanie. Niemała to ofiara dla wrodzonej ludzkiemu umysłowi dumy, uznać otwarcie swe niedołęstwo i jak gdyby w zmierzchu zostając, wspierać się jedynie na świadectwie bożem i Jego łasce. Ale niema ofiary rozumu w właściwem znaczeniu, któraby polegała na abdykacyi rozumu ze swych praw.

Nadprzyrodzona siła łaski nietylko rozum w wierze umacnia, ale też potęguje jego bystrość, by przedewszystkiem w rzeczach, tyczących się Najwyższej Istoty, mógł dojść do jaśniejszych pojęć, aniżeli ci, co tego światła nie mają. Nikt tak śmiało przed siebie patrzeć nie może, jak ten, którego wzrok duszy wzmocniony jest tą łaską. Każdy ma pewne przywiązanie do swych przekonań i równocześnie pewną bojaźń, by mu coś nie przeszkodziło w spokojnem ich posiadaniu. Skutkiem tego nieraz i od prawdy się odwracamy, boimy się zbliżyć do niej. Wierzący wie, że jego wierze nic się sprzeciwić nie może, będąc w posiadaniu najwyższej prawdy bez obawy zakłócenia pokoju wewnętrznego puszczać się może na wszystkie szlaki wiedzy w poszukiwaniu prawdy. Przed dziesiątkiem lat, w opinii świętości zmarły ks. Hecker, syn nowego świata, na wskróś przejęty duchem amerykańskiej wolności, słusznie powiada, że wiara nie krępuje wolności ducha, ale daje naszemu przekonaniu intenzywność pewności instynktowej i podnosi władze umysłowe do takiej potęgi w działaniu, o której się poza Kościołem ani pojęcia niema [1].

Ale tu mimowoli powstaje pytanie, skąd człowiek wiedzieć może, że prawdziwie w ten nadprzyrodzony sposób, z tą nadprzyrodzoną siłą wierzy, a nie tylko po prostu z pobudek ro-

[1] *Le Père Hecker*. Paris 1897. (Str. 363). Świadectwo to tem jest cenniejsze, że pochodzi z ust człowieka, który się urodził w wierze protestanckiej, a prawie wszystkie różne wyznania zbadał, zanim do Kościoła katolickiego się przyłączył.

zumowych i pewnej skłonności serca ku wierze? Nieomylnego kryteryum na to nie mamy. Łaska działa wewnętrznie, zwyczajnie powoli, stopniowo stosując się do natury według pewnego porządku i praw. Jak nie odczuwamy w każdej chwili rozwoju naszej fizycznej natury, tak i ten rozwój nadprzyrodzony naszej duszy nie zaznacza się bezpośrednio w naszej świadomości. Pan Bóg też nie chciał dla racyj, nawet nam ludziom przystępnych i zrozumiałych, byśmy mieli absolutną pewność o posiadaniu łaski. Duch św. mówi, iż człowiek nie wie, czy miłości godzien, albo nienawiści.

Są jednak pewne oznaki, po których z moralną przynajmniej pewnością poznać możemy, czy jesteśmy zostawieni własnym siłom, albo czy Duch boży nas wewnątrz wzmacnia: „Albowiem ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iżeśmy są synami bożymi“ [1].

Taką oznaką jest świadectwo sumienia, które nam mówi, żeśmy się nie sprzeciwili rozkazowi bożemu, nie wynieśli się w ubóstwianiu rozumu naszego, ale schylali głowę przed majestatem bożym i ze swej strony wszystko czynili, by otrzymać Jego łaskę. Dalej możemy też dojść do pewnej świadomości wewnętrznej, iż siła przylgnięcia naszej duszy do prawd wiary przewyższa wszystkie inne przekonania czysto rozumowe, albo raczej innego jest porządku, i ma coś niezwyciężonego w sobie. Przedewszystkiem w krytycznych chwilach ta nadprzyrodzona moc wiary namacalniej daje się uczuć, oświecając rozum nad zwykłą miarę jego wykształcenia, i dając woli hart tak dziwny, że ani słów znaleść nie można na jego określenie; stal kruchą jest wobec mocy takiej duszy.

A nietylko w nas, lecz także i w drugich tę nadprzyrodzoną moc wiary śledzić możemy. Prawda o nadprzyrodzoności wiary, rzuca olbrzymią moc światła na psychologiczny proces nawracania się, który bez tej prawdy tak bywa dla pewnych ludzi niewytłumaczalnym, że uciekają się nieraz do najskrajniej-

[1] Rzym. VIII, 16.

zumowych i pewnej skłonności serca ku wierze? Nieomylnego kryteryum na to nie mamy. Łaska działa wewnętrznie, zwyczajnie powoli, stopniowo stosując się do natury według pewnego porządku i praw. Jak nie odczuwamy w każdej chwili rozwoju naszej fizycznej natury, tak i ten rozwój nadprzyrodzony naszej duszy nie zaznacza się bezpośrednio w naszej świadomości. Pan Bóg też nie chciał dla racyj, nawet nam ludziom przystępnych i zrozumiałych, byśmy mieli absolutną pewność o posiadaniu łaski. Duch św. mówi, iż człowiek nie wie, czy miłości godzien, albo nienawiści.

Są jednak pewne oznaki, po których z moralną przynajmniej pewnością poznać możemy, czy jesteśmy zostawieni własnym siłom, albo czy Duch boży nas wewnątrz wzmacnia: „Albowiem ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iżeśmy są synami bożymi“ [1].

Taką oznaką jest świadectwo sumienia, które nam mówi, żeśmy się nie sprzeciwili rozkazowi bożemu, nie wynieśli się w ubóstwianiu rozumu naszego, ale schylali głowę przed majestatem bożym i ze swej strony wszystko czynili, by otrzymać Jego łaskę. Dalej możemy też dojść do pewnej świadomości wewnętrznej, iż siła przylgnięcia naszej duszy do prawd wiary przewyższa wszystkie inne przekonania czysto rozumowe, albo raczej innego jest porządku, i ma coś niezwyciężonego w sobie. Przedewszystkiem w krytycznych chwilach ta nadprzyrodzona moc wiary namacalniej daje się uczuć, oświecając rozum nad zwykłą miarę jego wykształcenia, i dając woli hart tak dziwny, że ani słów znaleść nie można na jego określenie; stal kruchą jest wobec mocy takiej duszy.

A nietylko w nas, lecz także i w drugich tę nadprzyrodzoną moc wiary śledzić możemy. Prawda o nadprzyrodzoności wiary, rzuca olbrzymią moc światła na psychologiczny proces nawracania się, który bez tej prawdy tak bywa dla pewnych ludzi niewytłumaczalnym, że uciekają się nieraz do najskrajniej-

[1] Rzym. VIII, 16.

jak np. dogmaty o grzechu pierworodnym, o wcieleniu, o Trójcy. W tych jednak wszystkich dogmatach, choćby się nie znalazło odpowiedzi, na zarzuty i trudności przeciw nim powstające, zawsze rozumnie odpowiedzieć można: tak jest, bo mię wiara tak uczy, wiara omylić mnie nie może.

Kiedy jednak przeciwnik wiary taką odpowiedzią nie zadowolony dalej nas pyta, na czem taką absolutną pewność naszej wiary opieramy, nie możemy dla wytłumaczenia i usprawiedliwienia mocy naszej wiary odpowiedzieć: na wierze.

Mogłoby wprawdzie zapaść orzeczenie Kościoła i co do tego, jaką drogą człowiek do najwyższej pewności wiary dochodzi, a wtenczas i toby było artykułem wiary. Jednakże mimo takiego orzeczenia, zawsze potrzebneby było — jako konieczny warunek dla racyonalnego tłumaczenia wiary — wykazać źródła i fundamenta tej mocy wiary niezależnie od wyroków Kościoła; podobnie jakbyśmy w Boga wierzyć nie mogli nie poznawszy go przedtem rozumem.

Świadomi tych trudności przystąpiliśmy przecież do tej kwestyi w mniemaniu, że właśnie w naszych czasach szczególną uwagę zwracać należy na te zasadnicze prawdy wiary, aby je módz stosownie do ducha czasu oświecić. A kierunek umysłowy naszych czasów wymaga, byśmy nietylko mimochodem przy zgłębianiu innych prawd wiary zajmowali się kwestyą o źródłach pewności aktu wiary, ale osobne, samoistne badania jej poświęcali. Albowiem kwestya ta w porządku poznawania przez wiarę jest tem samem, czem noetyka *(Erkenntnisslehre)* dla wiedzy czysto rozumowej. Obie też w rzeczywistości te same w historyi przechodziły koleje. Noetyka wogóle w dawniejszych wiekach

---

sprzeczności między orzeczeniami Kościoła i naszemi twierdzeniami kogoś razić mogły. Św. Tomasz, jak wiadomo, tej kwestyi *explicite* nie porusza, ani osobnego dzieła, ani nawet osobnego artykułu jej nie poświęcił. Korzystaliśmy wiele z tego, co św. Doktor w rozmaitych miejscach przedewszystkiem *Sum. th.* II. II. qq. I—XVII i *De Ver.* q. XIV, o wierze podaje. To co św. Tomasz w tej materyi powiedział, nie wystarcza może, aby stanowczo wywnioskować, jakby kwestyę tę rozwiązał. Zdaje nam się jednak, że nowsi teologowie, do których i nasze zdanie bardziej się zbliża, z większem prawem na niego powołać się mogą, niż ci, co szli za Lugonem.

nie stanowiła osobnej gałęzi nauk filozoficznych, ale pojedyncze jej kwestye tu i ówdzie tylko były omawiane, a dopiero od Kartezyusza nauka o poznaniu coraz bardziej się rozwijała i uwydatniała jako fundamentalna dla filozofii nauka. Tak też nie spotykamy się z osobnemi rozprawami o analizie wiary ani u Ojców, ani u teologów scholastycznych średnich wieków, choć sama rzecz obcą im nie była, i już u nich znaleść można wskazówki i zasadnicze prawdy potrzebne do rozwiązania tej kwestyi. Jasno i wyraźnie sformułowana wystąpiła ona dopiero w tym samym czasie, w którym teorya poznania żywiej zaczynała zajmować umysły filozofów. Nie trafem się działo, że prawie równocześnie Kartezyusz wydał swe *Regulae ad directionem ingenii*, a Lugo klasyczne swe dzieło *De fide*. Z coraz większym rozwojem noetyki od czasów Kartezyusza i kwestya analizy wiary stała się przedmiotem coraz częstszych i głębszych badań teologów wszystkich obozów. A dziś nietylko zajmuje pierwszorzędne miejsce w teologii, ale stała się logiką rzeczy żywotną kwestyą dla każdego katolika. Żadną miarą omijać jej się nie godzi nietylko z katedry uniwersyteckiej, ale i w wykładzie nauki objawienia dla wszystkich bez różnicy wiernych. Na pytanie: skąd to wiemy, skąd mamy pewność o tem, dzisiaj każdy chce mieć odpowiedź nietylko taką, coby umysł jego utwierdziła w świadomości posiadania prawdy, ale taką, coby mu wprost wskazała ostatnie jej źródła. A pytanie to w wierze natrętniej się narzuca właśnie dla bezwzględnej supremacyi, jaką wiara katolicka w dziedzinie przekonań ludzkich sobie przypisuje; ta supremacya stała się też w naszych czasach głównym kamieniem zgorszenia. Dla niej szczególnie wiara katolicka uważana jest za wroga nauki i postępu, gdyż ludziom nie pozwala pod żadnym warunkiem zmieniać swego zdania.

Kwestya ta przez teologów często poruszana, w apologiach i dziełach przeznaczonych dla szerszych kół bywa zazwyczaj lekko tylko tykana albo nawet pomijana zupełnie. Znajdujemy obszerne rozprawy o potrzebie objawienia, o jego zgodności z rozumem, o bóstwie Chrystusa: to wszystko do wiary

szych hipotez o jakicheś aberacyach umysłowych, by jego zagadkę rozwiązać. O tem jednak w innym artykule kilka uwag uczynićbyśmy chcieli.

Celem niniejszej pracy było tylko wytłumaczenie i uzasadnienie wewnętrznej pewności wiary, przechodzącej swą siłą wszelkie inne pewności. Wykazaliśmy poprzednio, że człowiek własnemi siłami nigdy do takiej pewności dojśćby nie mógł; w dzisiejszym zaś artykule widzieliśmy, iż łaska boża nadprzyrodzonem swem mistycznem działaniem sprawia, że świadectwo boże staje się własnością człowieka według całej pełni swej nieomylnej prawdy, a stąd człowiek na niem niewzruszenie polega: „Kto wierzy w Syna Bożego ma świadectwo boże w sobie“ [1].

VII.

Wszyscy teologowie katoliccy na to się zgadzają, że łaska boża jest przyczyną sprawczą pewności aktu wiary. Kiedy jednak chodzi o oznaczenie przyczyny formalnej, to jest o wytłumaczenie sposobu, w jaki człowiek współpracując z łaską bożą w uznaniu prawd wiary rzeczywiście tylko na Bogu się opiera, spotykamy się z bardzo zmiennemi zdaniami.

Tłumaczenie nasze zapewne na niejednem miejscu grzeszy jakimś brakiem jasności. Usprawiedliwia nas może poniekąd to, że kwestya ta należy do najtrudniejszych kwestyj teologicznych [2]. Są bez wątpienia w naszej wierze tajemnice o wiele głębsze,

---

[1] 1. Jan. v, 10.

[2] Ponieważ kwestya tu omawiana stanowi rdzeń całej kontrowersyi *de analysi fidei,* musieliśmy przedłożyć *resolutionem actus fidei,* tj. wyjaśnić w jaki sposób, według naszego zdania, akt wiary rzeczywiście na Bogu jedynie się opiera. Odstąpiliśmy od zdania kard. Lugona i wielkich teologów, którzy w jego ślady wstąpili, gdyż się nam zdawało, że tłumaczenie Lugona mniej się stosuje do wymagań nowoczesnych umysłów. Zresztą już wielu wybitnych nowszych teologów od Lugona odstąpiło; por.: Mazzella, *De virtutibus infusis,* disp. III, art. VI; Denzinger, *Vier Bücher von der religiösen Erkenntniss,* drittes Buch, c. XXI—XL; Scheeben, *Handbuch der kath. Dogmatik,* p. 269—347; Heinrich, *Dogmatik,* I Band, p. 632; Pesch, *Zeitschrift für kath. Theologie,* 1884, p. 63, De Mandato, *De actu fidei synopsis.*

Nie wdaliśmy się w żadną polemikę, unikaliśmy wszelkich cytatów, z wyjątkiem kilku ustępów z soborów w miejscach, gdzieby może pozory

prowadzi i we wierze utwierdza, ale nie tłumaczy nam jeszcze, na czem akt wiary polega, skąd swą siłę czerpie.

Można wprawdzie wierzyć z siłą nadprzyrodzoną a nie być w stanie zdać dokładnej z tego sprawy, ale u wykształconego człowieka — dziś szczególnie — wiara narażona jest na wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli nie ma zupełnej świadomości, dlaczego z taką siłą wierzy. Człowiek, który może nigdy o nadprzyrodzonem działaniu łaski w wierze nie słyszał albo już dawno o tem zapomniał, choć jeszcze w sercu jego wiara nadprzyrodzona żyje, zaniepokojony wątpliwościami i zarzutami szukać będzie wyjaśnienia jedynie w dowodach o prawdziwości i rozumności wiary w książkach, u ludzi światłych i w teologii wykształconych. Może się z pewnością zdarzyć i często się zdarza że tą drogą wraca do spokojnej wiary, ale z drugiej strony i to się zdarzyć może, zwłaszcza wobec sceptycyzmu tak bardzo dziś rozpowszechnionego, że się nie znajdzie tego zaspokojenia. Wprawdzie dowody faktu objawienia przedstawią się takiemu człowiekowi jako bardzo racyonalne, nadzwyczaj silne, ale zawsze jako coś, co nie daje bezwzględnej pewności, nie wyklucza wszelkich możliwych powątpiewań. Zaczem będzie skłonny naukę Chrystusa bardzo wysoko cenić, wyżej od nauk innych mędrców, ale nie będzie gotów wierzyć jej nadewszystko, bezwarunkowo, tak, jak Bóg tego wymaga.

Trzeba więc koniecznie jasno wykazać, na jakich podwalinach pewność wiary naszej się opiera, bo bez tej świadomości nawet rozumne zgłębianie dowodów o prawdziwości wiary może być w pewnych razach szkodliwe; zamiast usunąć powstające wątpliwości, może je powiększyć i doprowadzić do zupełnego odstępstwa od wiary, mianowicie kiedy ktoś bada w nadziei, że własnemi siłami i dowodami czysto rozumowemi zdobyć potrafi całą pewność, jakiej wiara wymaga. Dalecy jesteśmy od lekceważenia wielkiego znaczenia, które rozumowej pracy i wykształceniu umysłowemu w wierze przypisać należy. Jak rozum wsparty łaską do wiary nas doprowadza, tak też siły rozumu służyć nam mają do tego, by w niej się utwierdzać i róść. Przez głębsze naukowe poznawanie wiary nietylko obowiązek podda-

wania się wierze staje się coraz jaśniejszym, ale i ta piękność i moc odwiecznej prawdy, objawiającej się w wierze, przedstawi się umysłowi w coraz wyraźniejszych i świetlejszych rysach, przykuwając go do siebie. Ale tej pracy rozumu w badaniach wiary i jej dogmatów zawsze przyświecać ma zasada fundamentalna, że wiara jest aktem nadprzyrodzonym, bez łaski niemożliwym, że cała jego wyjątkowa i odrębna siła opiera się na Bogu. A warunkiem koniecznym do otrzymania tej łaski jest zupełne poddanie się Bogu, poddanie się nie ślepe, ale najracyonalniejsze. „Skoro bowiem człowiek od Boga jako od Stwórcy i Pana swego całkowicie zależy, a rozum stworzony niestworzonej Prawdzie zupełnie podlega, przeto obowiązani jesteśmy Bogu objawiającemu składać przez wiarę hołd rozumu i woli“ [1]. Tą jedynie drogą rozumnie dojść można do tej najwyższej pewności wiary, która św. Augustynowi natchnęła te słowa: „Słyszałem tak, jak się słyszy w sercu i nie było we mnie zgoła żadnego powodu wątpienia; łatwiejbym wątpił, że żyję, niż że istnieje prawda, którą przez rzeczy stworzone oglądamy“ [2].

Ks. Wł. Ledóchowski.

[1] Sobór Watyk., rozdz. III. „O wierze“.
[2] Conf. l. 7, c. 10.

Wykształcenie szkolne laików, zwłaszcza Piastów

od 966 do 1364 roku.

Przyjmując wiarę katolicką, weszła Polska w stosunek z Zachodem i jego cywilizacyą. Aby zaspokoić potrzeby Kościoła, musieli pierwsi misyonarze od razu zakładać szkoły. W każdej nowo założonej dyecezyi organizowano od razu szkoły dyecezyalne. Data założenia biskupstwa jest zatem datą powstania szkoły dyecezyalnej czyli katedralnej. Obok szkół biskupich powstawały przy klasztorach szkoły klasztorne. Nadto pojawiły się z czasem szkoły kolegiackie przy kolegiatach. Kształcił się w tych zakładach naukowych przyszły kler dyecezyalny, świecki i klasztorny. Nauka łaciny, wykład Pisma św., liturgia i teologia pastoralna były najważniejszymi przedmiotami nauki. Nauki pisania nie zaniedbywano, ale znajomość pisma nie wchodziła do istotnych części wykształcenia. Spotykamy nawet kanoników nie umiejących pisać. Łaciny uczono z początku na autorach łacińskich a później przeważnie na pisarzach średniowiecznych. Stopień wykształcenia kleru średniowiecznego był bardzo rozmaity, przeważnie bardzo mały. Po łacinie musiał jednak umieć każdy ksiądz i zakonnik.

W edukacyi tej biorą udział tylko ci, którzy się gotują do stanu duchownego. U osób świeckich znajdujemy wykształcenie książkowe w pierwszej dobie wieków średnich wyjątkowo, częściej już w XIII. i XIV. stuleciu. Pragnienie oświaty obudza

się tam, gdzie jest względny dobrobyt, i gdzie ono przynosi widoczne moralne lub materyalne korzyści. W pierwszej dobie wieków średnich uważały jednak te warstwy społeczne poza sferą duchowną, które z edukacyi korzystać mogły, że zajęcia świeckie nie dadzą się pogodzić z wykształceniem książkowem. Wykształcenie to uważano za wyłączną sprawę stanu duchownego do tego stopnia, że oddzielono ściśle mających wykształcenie szkolne, umiejących po łacinie od tych, którzy po łacinie nie umieli, książek nie znali. Tamtych zwano *literati*, tych *illiterati*. Zbigniew, syn Włodzisława Hermana, nadaje jako *literatus* retorycznego połysku mowie brata swego Bolesława, który nie ma wykształcenia szkolnego. Kazimierz Odnowiciel używał w mowie przysłów *utpote homo literatus*.

Wykształcenie szkolne łączyło się z stanem duchownym tak ściśle, iż ci, którzy naukę szkolną pobierali, nazywali się w przeciwstawieniu do nieumiejących po łacinie laików klerykami *(clerici)*, chociaż nawet, nie mając tonzury, nie należeli do stanu duchownego. Klerykami nazywali się niekiedy uczniowie w *quadrivium* a nawet i w *trivium*. Klerykami tytułowali się scholarzy waganci XI. i XII. wieku, a w piosnkach swych wyśmiewali laików jako ludzi ciemnych, nie mających ogłady szkolnej. Zbigniewowi, synowi Włodzisława Hermana, odmawiano wręcz jako „wykształconemu“ prawa do mięszania się do spraw świeckich a przyznawano mu tylko prawo rządzenia Kościołem.

Rycerstwo, mając zdrowych, silnych, do rzemiosła wojennego zdatnych synów, nie posyłało ich do szkół, gdyż uważało czas, strawiony na nauce, za stracony dla wyćwiczenia się w rzemiośle rycerskiem. Rozumowanie takie, jak na owe czasy, gdzie cała sztuka wojenna polegała na osobistej zręczności i sile rycerza, było uzasadnione. Bolesław Krzywousty wsławił się męstwem, dzielnością i zręcznością rycerską, bo już od pierwszej młodości rozkoszował się zabawami wojennemi. Nie kształcił się w szkole, lecz ćwiczył się w rzemiośle wojennem pod okiem nutritora Wojsława. Jeżeli rycerz ten lub ów miał jakie wykształcenie, to odebrał je wyjątkowo od matki w latach chłopięcych, lub w szkole, kształcąc się pierwotnie do stanu du-

chownego. Wiadomości z dziedziny prawa i administracyi krajowej, potrzebnych kandydatom do wyższych urzędów, nabywano przez praktykę. Nawet łaciny mógł się nauczyć praktycznie ten, komu na niej zależało, i kto miał do niej zdolność i łatwość.

Do końca wieku XII. znajdujemy wykształcenie szkolne tylko u niektórych Piastów. Pierwszym, który pewne upodobanie w wiedzy książkowej objawia, jest Bolesław Chrobry. Niejednokrotnie kazał sobie odczytywać kanony; język łaciński rozumiał widocznie. Mieszko II. umiał po łacinie i po grecku. Dowiadujemy się o tem z listu Matyldy, córki Herimana, księcia Swewów, dołączonego do książki liturgicznej, którą ta księżniczka księciu naszemu ofiarowała. Kazimierz Odnowiciel, przeznaczony pierwotnie do stanu duchownego, odebrał gruntowne ówczesne wykształcenie. Rodzice oddali go do klasztoru w r. 1026, a więc w dziesiątym roku życia. Była to tak zwana oblacya. Rodzice w imieniu dziecka składali śluby zakonne, od których wyjątkowo tylko można było uzyskać uwolnienie i to u najwyższej władzy kościelnej, a więc u samego papieża. Oddając syna młodszego do klasztoru, pragnęli rodzice usunąć go od rządów. Przykład dał Bolesław Chrobry, który jednego z swoich synów nieznanego imienia posłał był do Włoch do klasztoru św. Romualda. Na decyzyę wpłynęło zapewne także i pobożne usposobienie matki Ryksy. Zamiary rodziców udaremniły wypadki dziejowe. Po śmierci Mieszka II. objął rządy starszy syn jego Bolesław. Co się stało z Kazimierzem? Kronikarz Gallus pisze, że się schronił do Węgier, gdzie go czas jakiś przytrzymano, podobno do r. 1038. Z Węgier podążył na Zachód za matką, uciekającą przed srogością Bolesława. Skąpy i mało stanowczy w swych relacyach o pobycie Kazimierza w Węgrzech, oświadcza Gallus, że o najbliższych dziejach księcia-tułacza niema żadnych wiadomości; dostarcza nam ich jednak późniejsza tradycya. Choćbyśmy przymusowy pobyt Kazimierza na Węgrzech, jak niektórzy chcą, przedłużyli do r. 1038, a powrót jego do Polski naznaczyli zgodnie z większością historyków na rok 1040, to i tak zyskalibyśmy około dwóch lat dla pobytu Kazimierza na Zachodzie. Otóż w obrę-

bie tych dwóch a może i więcej lat odbywał Kazimierz studya w Paryżu. Donosi o tem kronikarz wielkopolski, którego najpoważniejsi historycy nasi z wielu względów i w rozmaitych sprawach wielkiem darzą zaufaniem. „Nie mogąc jego (tj. Bolesława), niegodziwości znieść — czytamy w Kronice wielkopolskiej — zabrała matka młodocianego syna swego Kazimierza i wróciła do Saksonii, do Brunszwiku, do kraju macierzystego, i tam, oddawszy syna do szkół, miała wstąpić do jakiegoś klasztoru". Wiadomość tę uzupełnia i objaśnia inny ustęp tejże Kroniki: „Gdy się od niej (tj. od Ryksy) dowiedzieli (posłowie polscy), jako go (tj. Kazimierza) posłała do Paryża celem kształcenia się w naukach wyzwolonych, któremi się zabawiając i mozoląc przyjął regułę św. Benedykta klasztoru kluniackiego, do którego (klasztoru) natychmiast podążywszy, przekonali się tamże, że Kazimierz posunął się już do dyakonatu". Kronika wielkopolska o pobycie Kazimierzowym w Clugny nie wspomina. Wiadomości o Kazimierzu trzeba szukać w archiwach paryskich, a nie dziwić się, że ich niema w Kluniaku. Że posłowie polscy od Ryksy jadą do Kluniaku, a nie do Kazimierza, który uczył się w Paryżu, wydaje nam się rzeczą całkiem naturalną. Klasztor kluniacki był macierzą wszystkich innych klasztorów, które jego reformę przyjęły; tam musiała się w pierwszej instancyi rozstrzygać sprawa rozwiązania ślubów. W Kluniaku dowiedzieli się posłowie *(invenerunt eum)*, że Kazimierz czyli raczej Lambert jest już dyakonem i może od ślubu być uwolniony tylko przez papieża. Kazimierz uzyskał zwolnienie, a wróciwszy w szeregi ludzi świeckich, miał wyższe, a nawet najwyższe ówczesne wykształcenie. Kazimierz jest pierwszym, który zasady i cele mnichów kluniackich poznał a poniekąd w Polsce w myśl ich działać zaczął. Syn i następca jego nie poszedł jego śladem. Kazimierza nazywa Gallus mężem wykształconym, wymownym i doświadczonym.

Bolesław Śmiały wykształcenia książkowego nie miał; w źródłach niema o niem żadnej wiadomości. Pod opieką i kierunkiem tego księcia wychowywał się w Polsce królewicz węgierski Władysław. Pobyt w Polsce przekształcił go prawie na Polaka.

Sam wyraz *nutritus* określa rodzaj edukacyi, a mianowicie wskazuje rzemiosło rycerskie. O edukacyi szkolnej nigdzie niema wzmianki. Twierdzenie, jakoby na dworze Bolesławowym istniała szkoła kuryalna, pozbawione jest wszelkich historycznych podstaw.

Młodszy brat Bolesława Śmiałego, Włodzisław Herman, powinien był według dotychczasowej praktyki pobierać wykształcenie szkolne, aby zająć stanowisko w hierarchii kościelnej i usunąć się przez to od rządów. W źródłach nie znajdujemy jednak w tym względzie żadnych stanowczych wiadomości. Nigdzie nie zapisano, że Włodzisław Herman był *homo literatus*. Przekaz Rocznika Krasińskich: *Anno Domini 1040 Vladislaus filius regis Thincensis in episcopum suscipitur*, odrzuca prof. Balzer jako nie mający żadnego sensu. Czy jednak całkiem słusznie? Czy przecież w zapisce pomienionego Rocznika nie możnaby się dopatrzeć stwierdzenia faktu, że Włodzisław Herman był uczniem klasztoru tynieckiego, przeznaczonym do godności biskupiej? Należałoby tylko r. 1040 poprawić, co zresztą sam prof. Balzer uczynił, na 1046, a zapiskę samą tak interpretować: *A. D. 1046 Vladislaus, filius regis, (clericus* czy *monachus) Thincensis, in episcopum suscipitur*. Jest to widocznie przekaz lakoniczny, niedokładny i zepsuty. Że Włodzisława Hermana w szóstym roku życia do klasztoru oddano i że go z góry na biskupa przeznaczono, uchodziło wtedy za rzecz całkiem naturalną. Z tego też powodu nie zapisywano tego faktu w kronikach jako nie uderzającego żadną osobliwością. Zresztą pomijają kronikarze milczeniem i bardzo głośne zdarzenia.

Z synów Włodzisława Hermana przyrodni Zbigniew odebrał wykształcenie szkolne, zaś Bolesław, zwany Krzywoustym ćwiczył się jedynie w rzemiośle rycerskiem; nic zaś o tem ze źródeł historycznych nie wiemy, że miał za nauczyciela św. Ottona z Bambergu. Zbigniewa oddano do szkoły z zamiarem odsunięcia go od rządów, co mu też, gdy się później do spraw państwa mięszał niejednokrotnie przypominano. Edukacyę rozpoczął Zbigniew dość późno. Z początku uczył się w Krakowie ale nie długo, potem został posłany do Saksonii, do szkoły, istniejącej przy jakimś klasztorze żeńskim, gdzie się od cierpliwych

zakonnic uczył elementów nauki. Studya Zbigniewowe trwały dość długo. Być może, że z Saksonii przeniósł się do Czech, dokąd go późniejsza tradycya na naukę posyła. Pilnym widocznie nie był, zdolnościami nie odznaczał się, mimo to jednak postąpił w *trivium* co najmniej do retoryki. Gallus mówi o nim, że był *literatus*, i dodaje, że zabarwiał przemówienia brata swego Bolesława zwrotami retorycznymi.

O wykształceniu starszych synów Bolesławowych nie mamy żadnej wiadomości. Najmłodszy z nich odebrał edukacyę książkową, staraniem i pod opieką braci swoich, pod którą kolejno przechodził. Że Kazimierz Sprawiedliwy wykształcenie szkolne pobierał i posiadał, w tem zgodne są wszystkie współczesne i nieco późniejsze źródła. Kazimierz nie miał działu swego. Bracia kierowali go, każąc go kształcić, na księdza. Zamiar ten jest widoczny w słowach Bolesława Kędzierzawego, który się tłumaczy, iż nie kazał edukować brata, aby go uczestnictwa w ojcowskiej spuściźnie pozbawić. O zasługach, położonych około edukacyi młodszego brata, wspomina Mieczysław Stary, Kazimierz temu nie przeczy. To, co o Kazimierzu Sprawiedliwym pisze mistrz Wincenty, świadczy o bardzo wysokiem wykształceniu. Wynika z jego przedstawienia, że Piastowicz ten skończył nietylko całe *trivium* i *quadrivium*, lecz że uczył się także teologii i niemałe w niej poczynił postępy. Oto słowa samego kronikarza: Wiecie, jak Kazimierz zbliżał się do najuczeńszych mężów, których trzeźwy umysł, których wiedza mało komu jest znana. Z tymi roztrząsał bądź to przykładne życie św. Ojców bądź też czyny sławnych mężów. Niekiedy, śpiewając sam przy towarzyszeniu organów lub nucąc pieśni wraz z innymi, gonił myślą za słodkimi dźwiękami boskiej melodyi. W teologicznych dociekaniach ćwiczył się od czasu do czasu, wnikając w najsubtelniejszy sposób w wywody, jakie przeciw postawionym kwestyom lub w ich obronie wygłaszano z przenikliwością najwytrawniejszego badacza. — A zatem Kazimierz był biegły w łacinie, znał dzieje wielkich mężów i pisma Ojców Kościoła św., rozumiał się na muzyce, był wytrawnym dyalektykiem i teologiem, jednem słowem posiadał prawie cały zapas ówczesnej

wiedzy świeckiej i teologicznej. Kadłubek nie wymienił tylko prawa, które było wtedy już ważnym przedmiotem nauki. Nauczycieli Kazimierza Sprawiedliwego nie znamy, w każdym razie nie należy twierdzić, że były na dworach braci Kazimierzowych szkoły kuryalne. Owa lepsza cząstka, którą umierający ojciec najmłodszemu synowi swemu, jak późniejsza tradycya niesie, miał przeznaczyć, był właśnie zawód duchowny. Miał być Kazimierz, jako światły i uczony, jako książe Kościoła, doradcą braci i ich kierownikiem. Losy zrządziły inaczej!

Z początkiem wieku XIII. zaczynają obok Piastowiczów brać udział w edukacyi książkowej także panowie polscy a niebawem i synowie mieszczan. Piastowiczowie pobierają naukę jak dawniej tak w następnych wiekach bądź to w szkołach publicznych bądź też od kapelanów dworskich. Tak zwani pedagogowie *(paedagogus, nutritor)* kierują jak przedtem tak i nadal tylko rycerską stroną edukacyi a nie zajmują się wcale nauką książkową. Trzeba jednak pamiętać, że sama ta terminologia nie uprawnia do wniosku o rycerskiej stronie wychowania, owszem niejednokrotnie używa się tego wyrazu na oznaczenie nauczyciela nauk intelektualnych.

Synowie panów, pozostający w stanie świeckim, pobierali wykształcenie wyjątkowo tylko, gdyż zawsze jeszcze przez cały wiek XIII. a poniekąd i XIV. utrzymywało się między rycerstwem to przeświadczenie, że nauka książkowa nie jest dla stanu świeckiego, że zajmowanie się nią jest niepotrzebną stratą czasu. Sposobności do nauki, gdy jej pragnęli, mieli synowie panów dużo. Mogli korzystać ze szkół publicznych katedralnych i kolegiackich, a nadto spotykamy na dworach wielkopańskich kapelanów i pisarzów, którzy nauki udzielać mogli i rzeczywiście jej niekiedy udzielali.

O udziale niższych i najniższych warstw społecznych świeckich w nauce szkolnej do końca XII. wieku nic nie wiemy. Dopiero w XIII. stuleciu, gdy się zorganizował zamożny stan mieszczański, i gdy po czwartym soborze lateraneńskim w r. 1215 zaczęto zakładać gramatykalne szkoły łacińskie przy kościołach parafialnych miejskich, zaczęli i mieszczanie posyłać synów do szkoły nawet tych, których nie przeznaczali do stanu duchow-

nego. Szkoły parafialne rozszerzyły znakomicie oświatę, tak, iż r. 1215 można uważać słusznie za datę początkową drugiego okresu dziejów wychowania i szkół w Polsce. Udział mieszczan stanu świeckiego w edukacyi szkolnej był stosunkowo znaczny.

Powyższe spostrzeżenia opieramy na historycznie stwierdzonych faktach. W dokumencie Przemysława z r. 1295 podzielono świadków na *literati* i na *illiterati* tj. na umiejących po łacinie i nierozumiejących tego języka. Do tamtych należą sami księża, między drugimi są same osoby świeckie. Po łacinie musiał umieć każdy ksiądz, świecki i zakonny. Mamy na to drugi dowód w protokółach procesów Polaków z Krzyżakami w r. 1320 i 1339. Protokóły te dostarczają nam zarazem ciekawych dat, dotyczących udziału laików w nauce szkolnej. W obu protokółach podzielono świadków na rozumiejących po łacinie *(literati)* i na takich, którzy językiem łacińskim nie władali *(illiterati)*.

Na 14 świadków świeckich, zeznających w r. 1320, umiał po łacinie tylko jeden. W procesie z r. 1339 zeznawało 43 świadków duchownych a 83 świadków stanu świeckiego. Z tamtych umieją wszyscy po łacinie, a są między nimi księża świeccy i zakonni. Na 83 świadków świeckich dwunastu tylko umiało po łacinie tak, iż rozumiało stawiane im pytania w języku łacińskim *(literati)*, ogromna większość świadków świeckich bo 71 nie rozumiała po łacinie, nie miała wykształcenia szkolnego, trzeba im było tłumaczyć pytania na język polski *(illiterati)*. Według stanów i stanowisk przedstawia udział w wykształceniu książkowem takie stosunki: Na 3 Piastowiczów umiało po łacinie 2, na 5 wojewodów włada językiem łacińskim 1, z 2 starostów zeznaje językiem łacińskim 1, na 4 adwokatów rozumie po łacinie 3, z 24 mieszczan rozumie pytania procesowe łacińskie 5. Gdy do mieszczan zaliczymy adwokatów, rozumiejących łacinę, wtedy na 28 świadków miejskiego pochodzenia ma wykształcenie szkolne 8. Nierównie gorzej przedstawia się sprawa edukacyi szkolnej pomiędzy szlachtą. Na 55 świadków laików szlacheckiego pochodzenia mówi po łacinie tylko 4, a gdy odliczymy Piastowiczów, tylko 2. Przedstawia to taki obraz w procentach: Z szlachty świeckiego stanu otarło się o cywilizacyę

łacińską 3·7%, z mieszczan 28·5%. Między świadkami szlacheckimi, zeznającymi po polsku *(illiterati)*, znajdujemy dygnitarzy jak: wojewodów, kasztelanów, starostów, podkomorzych, chorążych, podchorążych, sędziów, podsędków, cześników, podczaszych, łowczych i mieczników. Powyższe liczby potrzebują jeszcze objaśnienia. Liczba władających po łacinie, tak iż w języku tym mogą zeznawać, nie jest widocznie równoznaczną z liczbą tych, którzy edukacyę szkolną pobierali. Jest między świadkami zapewne wielu takich, którzy do szkoły chodzili ale nie poczynili w łacinie takich postępów, iżby tym językiem należycie władać mogli. Do nich musimy w pierwszej linii zaliczyć owego adwokata, który zeznaje w ojczystej mowie. A zatem trzeba powiększyć nieco w powyższym obrazie statystycznym stopę procentową zwłaszcza przy świadkach mieszczańskich. Z tego wynika, że mieszczanie garną się w XIV. wieku do szkoły dość licznie.

Samorząd, jaki miasta otrzymały, oraz stosunki handlowe i kupieckie, które się szeroko rozpostarły, wiele gałęzi przemysłu, które się po miastach rozwinęły, zmuszały mieszczan do szukania wykształcenia szkolnego. Rozwój handlu i przemysłu i rzemiosł przynosił dobrobyt, stwarzał tem samem środki i obudzał pragnienie oświaty, pozwalał łożyć na zakładanie i utrzymywanie szkół parafialnych. Chociaż szkoły te służyły w pierwszej linii celom Kościoła, to przecież umieli mieszczanie wyciągnąć z nich pożądane dla swych potrzeb codziennych korzyści, wprowadzając do pierwotnego planu szkół parafialnych powoli te przedmioty, które im się mogły przydać w życiu zawodowem, jak naukę rachunków i naukę stylistyki. W szkołach parafialnych kształcą się całe zastępy młodzieży, przygotowując się do wyższych nauk w szkołach katedralnych, które im mają otworzyć podwoje do stanu duchownego. Obok tych jest znaczna liczba takich, która pragnie tylko ukończyć szkołę parafialną, by zająć miejsce praktykanta w kancelaryi i dojść po pewnym czasie do posady pisarza gminnego. Znaczna część przechodzi po ukończeniu szkoły parafialnej do zawodu praktycznego, inni obierają karyerę nauczycielską i piastują obok urzędu rektora szkoły miejskiej także godność notaryusza lub pisarza gmin-

nego. Szkoły parafialne mnożą się zwłaszcza w XIV. wieku bardzo szybko; znajdujemy je nawet po mniejszych miastach; wielkie miasta mają ich po kilka. Sposobność nabywania nauki jest zatem łatwa, znajdujemy też mieszczan, umiejących po łacinie nawet w małych miasteczkach. Z owych świadków mieszczańskich, którzy w r. 1339 zeznają w języku łacińskim, pochodzi tylko dwóch z Krakowa, reszta jest rodem z Szadka, Kalisza i Pobiedzisk, a trzeba dodać, że owi *literati* nie są ani nauczycielami ani pisarzami ale prostymi rzemieślnikami czy kupcami.

Ludność wieśniacza i drobna szlachta posyła synów do szkół tylko wtedy, gdy ich przeznacza do stanu duchownego. Ci, którzy mają pozostać na roli a więc w stanie świeckim, nie pobierają żadnego wykształcenia szkolnego. Szkół parafialnych wiejskich przed r. 1364 nie znajdujemy. Z drobnej szlachty stanu świeckiego odebrali wykształcenie książkowe łacińskie zaledwie ci, którzy są notaryuszami. Przemysław wielkopolski poleca w r. 1294 badać przywileje pewnego klasztoru „literatom“ tj. klerykom i notaryuszom *(literatis videlicet clericis et notariis)*.

Na panów działa powoli przykład Piastów, a i wybitne ich stanowiska zmuszają ich do szukania nauki. Ale i im przychodzi z trudnością porzucić ówczesny pogląd, że nauka szkolna jest tylko dla księży, tak jak rzemiosło rycerskie tylko dla rycerza. Broń nie godzi się z powagą stanu klerykiego, nauka zabiera czas, potrzebny rycerzowi do ćwiczeń wojennych, i czyni go miękim. Do r. 1215 nie znaleźliśmy między panami świeckimi ani jednego „literata“; nie znaleźliśmy wykształconych panów polskich w całym wieku XIII. Dopiero w r. 1320 występuje między jedenastoma świadkami, należącymi do wyższej szlachty, Dobrosław z Jeżowa, umiejący po łacinie. Jest to zatem pierwszy znany szlachcic polski stanu świeckiego, który sobie zdobył część ówczesnej nauki szkolnej. Dziesięciu świadków zeznaje w języku ojczystym a mianowicie: Shyra dziedzic na Krupocinie, Nasegniew sędzia kujawski, Piotr dziedzic Szczydna, komes Piotr Drogosławicz sędzia poznański, komes Tomisław wojewoda sandomierski, Michał sędzia sandomierski, rycerz Win-

centy zwany Bożydarem, Thylo adwokat brzeski, były kasztelan świecki Michał i komes Jan wojewoda kujawski.

W r. 1339 pomiędzy 50 przeszło świeckimi świadkami szlacheckiego pochodzenia przesłuchano wielu dygnitarzy. Umieli po łacinie tylko dwaj a mianowicie wojewoda sieradzki Stefan i starosta poznański Andrzej. Pomiędzy dygnitarzami, nie umiejącymi po łacinie *(articulis sibi vulgarisatis, quia illiterati)*, jest wojewoda łęczycki Paweł, wojewoda kujawski Jan z Płomykowa, wojewoda poznański Mikołaj, były wojewoda pomorski Świętosław, starosta sieradzki Girawd, kasztelan gniewkowski Maciej, kasztelan rozpierski Andrzej, kasztelan nakielski Zbilut, kasztelan czyli komes poznański Jarosław, kasztelan międzyrzecki Borek z Grodziszcza, kasztelan czyli komes radzimski Piotr, kasztelan kruświcki Przezdziew, kasztelan bydgoski Maciej, kasztelan czyli komes włocławski Bogussa i kasztelan brzeski Chebda. Inni świadkowie piastują niższe ale zawsze dość znaczne urzędy.

Znajomość łaciny u owych kilku panów może być przypadkowa, tj. można sądzić, że nauczyli jej się potocznie lub że się pierwotnie sposobili do stanu duchownego. Takie tłumaczenie jest dopuszczalne ale nie jest konieczne. Synowie pańscy mogli chodzić do szkół publicznych katedralnych, są po dworach możnych panów kapelani i notaryusze, którzy w razie potrzeby mogli się zajmować edukacyą synów pańskich, zanim ci postąpili do ćwiczeń w rzemiośle rycerskiem. Utrzymywanie notaryuszów i pisarzów po dworach pańskich było rzeczą dość powszechną. Niektórzy mają ich po kilku. Spotykamy notaryuszów na dworze wojewody Wojciecha z Krosna (1315), wojewody poznańskiego Maćka Borkowicza (1338 i 1348), kasztelana bydgoskiego Mściwoja (1364), wojewody gnieźnieńskiego i kaliskiego Mikołaja (1294, 1301 i 1306), wojewody poznańskiego Przybysława (1323 i 1324), Mikołaja z Kościelca (1386) i Wierzbięty (1358). Kapelana znajdujemy na dworze Przybigniewa w r. 1231. W dokumencie Henryka, księcia ślązkiego, wystawionym w r. 1239, są świadkami komes Stefan, kasztelan Niemczy, i syn jego magister Jan. Gdyby się dało udowodnić,

że ten ostatni należy do stanu świeckiego, to mielibyśmy przykład, że niektórzy panowie posyłali synów za granicę po stopnie naukowe, nie przeznaczając ich do stanu duchownego.

Piastowie natomiast spoufalili się już w znacznej części z zasadą, że im edukacya książkowa jest potrzebna. Nie wchodzą tu w rachubę ci Piastowiczowie, którzy, wstępując do stanu duchownego, bez wykształcenia szkolnego obywać się nie mogli. Obrali sobie stan duchowny i wytrwali w nim z Piastowiczów ślązkich z linii wrocławskiej syn Henryka II. Władysław († 1270), z linii głogowskiej syn Konrada I. Konrad II. († 1304), z linii opolsko-raciborskiej Bolesław († 1329) a może i Mieszko, obaj synowie Kazimierza II., z linii opolskiej drugiej syn Bolka II. Henryk, z linii cieszyńsko-oświecimskiej Ziemowit († 1391), Jan († po r. 1359) i Bolesław († 1356), synowie Kazimierza I. cieszyńskiego, w linii lignicko-brzeskiej pierwszej, Wacław († 1419) i Henryk VII. († 1398). Z Piastów linii wielkopolskiej został i pozostał do śmierci księdzem Otton († 1225).

I tych Piastowiczów, którzy, będąc w stanie duchownym lub sposobiąc się do niego, wracają po niejakim czasie w szeregi świeckich, należałoby tu pominąć. Wszyscy z nich mają widocznie mniejsze lub większe wykształcenie szkolne. Jest ich kilku. Konrad († około 1273), syn Henryka II. z linii wrocławskiej zrezygnował z biskupstwa pasawskiego i ożenił się. Porzucił stan duchowny i ożenił się Władysław († po r. 1352), syn Henryka V. księcia na Wrocławiu. Jan I. († około 1371) z linii cieszyńsko-oświecimskiej zrezygnował z scholastryi krakowskiej i przeszedł w stan świecki. Z linii kujawskiej pierwszej trzeba tu wspomnieć Włodzisława Białego.

Inni Piastowiczowie z przed roku 1364, którzy odebrali edukacyę książkową i umieją po łacinie, pobierali naukę nie przypadkowo, ale w przekonaniu, że wykształcenie ma swoją wartość. Nauczył się łaciny Przemysław I. († 1257), syn Włodzisława Odonicza. Pisze o nim kronikarz, że był miłośnikiem pięknego śpiewu, że odmawiał Godzinki do N. P. Maryi, oraz że pilnie odczytywał psalmy i różne modlitwy. Na dworze syna jego Przemysława II. jest w latach 1278 do 1283 lektor Teo-

doryk, Dominikanin. Lektorami nazywano w tych czasach powszechnie profesorów szkół teologicznych klasztornych, w tym wypadku jednak musimy przez lektora rozumieć tego, który czytywał a może i objaśniał księgi kięciu. Sądzimy, że Przemysław II. rozumiał język łaciński. Pobożne usposobienie Bolesława Wstydliwego († 1279) oraz okoliczność, że żona jego św. Kunegunda, umiała po łacinie, każą nam się domyślać, że i ten książe, dogadzając pobożności swojej, nauczył się łaciny, aby się módz modlić z nabożnych książek łacińskich. Stanowczych dowodów na poparcie wniosku nie mamy; wiemy tylko, że siostra jego, św. Salomea, nabywała dla niego jakieś książki. *Nutritor* jego Przybysław kierował zapewne tylko edukacyą rycerską.

Z Kroniki wielkopolskiej dowiadujemy się, że Kazimierz I., syn Konrada mazowieckiego, miał nauczyciela *(magistrum et paedagogum)* w osobie scholastyka Jana Czapli, którego około r. 1238 kazał książe, popadłszy w zapalczywość, powiesić na szubienicy. Późniejsza tradycya niesie, że Czapla był także nauczycielem Bolesława, najstarszego z synów Konradowych. Troszcząc się o edukacyę literacką, nie zaniedbywał książe Konrad ćwiczenia synów swoich w sztuce rycerskiej; w roku 1218 spotykamy na dworze jego dwóch pedagogów a więc nauczycieli rycerskiej części edukacyi.

Z aktów procesu pelsko-krzyżackiego z r. 1320, zdaje się wynikać, że magister Piotr, kantor katedry kujawskiej, był nauczycielem książąt kujawskich: Leszka, Przemysława i Kazimierza. Piastowiczowie ci nie umieli jednak wtedy jeszcze po łacinie albo nie mieli w tym języku dostatecznej wprawy; dwaj z nich, Leszek i Przemysław, zeznawali w języku ojczystym. Także Wacław z linii mazowieckiej, książe płocki, odpowiadał w tymże procesie po polsku.

W procesie warszawskim z r. 1339 występują trzej Piastowicze jako świadkowie, z których jeden tylko nie mówi po łacinie a mianowicie Włodzisław, książe łęczycki. Dwaj inni a mianowicie Kazimierz, książe kujawski i Leszko, książe włocławski, nie potrzebują się uciekać do mowy ojczystej. Ci dwaj

książęta byli w r. 1320, o czem co dopiero była mowa, *illiterati* tj. nie władali językiem łacińskim.

W r. 1255 sprzedał książe ślązki Henryk III. Biały dobra Jarowicze opatowi henrykowskiemu. Odnośny akt zredagował niejaki magister Walter, nazwany przez księcia *scolaris noster* oraz *scriptor curiae nostrae*. Redagował on i inne dokumenty, wydane przez tegoż księcia w latach od 1255 do 1258, i tytułuje się jeszcze r. 1261 notaryuszem Henryka III. Obok Waltera jest na dworze tego samego księcia od r. 1250 notaryuszem niejaki Otto, kanonik katedry wrocławskiej; i tego notaryusza nazywa książe Henryk III. „skolarzem" swoim. Taki sam tytuł otrzymał od tegoż księcia niejaki Heinzo w r. 1259. Wyrazem *scolaris*, któremu w jednym wypadku towarzyszy tytuł *magister*, oznaczono bądź to dawnego nauczyciela samego księcia Henryka III., bądź też jego dzieci. Nauczyciele prywatni dzieci książęcych zostawali rzeczywiście z czasem a niekiedy byli jednocześnie kapelanami lub sekretarzami, kanclerzami lub innymi urzędnikami dworskimi. W r. 1272 nazywa Bolesław II., książe ślązki († 1278) pisarza dokumentu, który wydaje, niejakiego Mikołaja, magistrem tj. nauczycielem synów swoich. W r. 1295 tytułuje książe Kazimierz bytomski († 1312) niejakiego Dominika najprzód *nostrum doctorem puerorum* a potem *notarium curiae nostrae*. Mamy tu wskazówkę, że w razie potrzeby należy szukać nauczycieli książąt piastowskich przedewszystkiem między kapelanami, pisarzami i notaryuszami dworskimi. Gdy synowie Bolesława II. Rogatki mieli nauczyciela, wolno nam przypuszczać, że nabyli pewnego wykształcenia książkowego, że nauczyli się mówić i czytać po łacinie, co było jednym z głównych celów nauki szkolnej. A zatem możemy zaliczyć do „literatów" Konrada, zmarłego młodo, Henryka V. († 1296), Bolka I. († 1301) i Bernarda († 1286). Z tych samych powodów musimy przyznać biegłość w łacinie Henrykowi III. albo synowi jego Henrykowi IV. († 1290). Bolesław z linii opolskiej drugiej († 1367) tytułuje się nadwornym sędzią cesarskim. Nie wiemy, czy jest laikiem, czy księdzem, możemy jednak przypuszczać, że jest *literatus*. Pewne wykształcenie posiadali Ludwik I. († 1398) i brat jego Wacław († 1364),

synowie Bolesława III. z linii lignicko-brzeskiej. Pierwszy posiadał znaczny zbiór książek, któremi obdarował rozmaite osoby a między innymi i brata swego Wacława. Były to książki treści ascetyczno-teologicznej, prawniczej, historycznej i medycznej. W zbiorze pomienionym zwraca naszą uwagę przedewszystkiem jedna książka a mianowicie traktat *De regimine principum*, podarowany przez księcia Henryka bratu Wacławowi. Dzieło tego tytułu znajduje się pomiędzy pismami Idziego Rzymianina. Z tytułu pełniejszego, umieszczonego np. na rękopisie Biblioteki uniwersytetu krakowskiego *(De regimine vitae principum)*, można wnioskować, że dzieło to dotyczy wychowania synów książęcych. Wspomniany rękopis Biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego (nr. 711) pochodzi z XIV. wieku. Komentarze tego dzieła trafiają się dość często. Biblioteka uniwersytetu krakowskiego ma ich z tego czasu dwa. Trzeba na tem miejscu wspomnieć o traktacie Gerbolda, zatytułowanym *Liber de virtute regum*, którego rękopis posiadała Biblioteka katedry krakowskiej w r. 1300, oraz o rozprawach Anzelma i Tomasza pod tytułem *De rege et regno*.

Wincenty z Beauvais wydał traktat o edukacyi książąt p. t. *Speculum doctrinale*. Wyciąg z tego traktatu jest w bibliotece uniwersyteckiej w Krakowie. Dzieło Wincentego wyszło w XIII. w., jest więc rzeczą prawdopodobną, że już przed r. 1364 dostało się do Polski. Zdaje się, że rękopis, noszący napis *Summa vitiorum et virtutum*, przekazany r. 1360 przez księcia Ludwika córce w Trzebnicy, jest wyciągiem z *Speculum* Wincentego belowaceńskiego *(lib. IV. De virtutibus et vitiis)*. Biblioteka uniwersytecka w Krakowie jest w posiadaniu kilku rękopisów polskiego pochodzenia, zawierających mniejsze lub większe ułamki powyższego traktatu, ale wszystkie pochodzą z XV. w. i nie wchodzą tu w rachubę.

Skąpo płyną nasze wiadomości o edukacyi męskich pokoleń stanu świeckiego w obrębie wieków średnich aż do założenia uniwersytetu w Krakowie, ale mamy ich jednak tyle, aby nabrać wyobrażenia o jakości i zakresie tejże edukacyi. Wykształcenie samo, jako takie, celem laików nie było. Jeżeli się zabierali do nauki, to czynili to ze względów praktycznych. Za-

łeżało im przedewszystkiem na wyuczeniu się łaciny, która była językiem kościelnym, dyplomatycznym i urzędowym. Uczyli się jej więc przedewszystkiem ci, którzy z powodu swego stanu i stanowiska mieli do czynienia z dokumentami, dyplomatami, musieli wysyłać i odbierać korespondencye, spisywać protokóły i t. p. Inni znów uczą się łaciny, aby dogodzić swemu pobożnemu usposobieniu i módz się modlić z książek nabożnych. Ucząc się łaciny, uczono się zarazem czytania łacińskich rękopisów. Na tym zakresie nauki poprzestawała znaczna większość laików-literatów. Pisać umiał z nich mało kto zapewne; źródła nasze przynajmniej nic o tem nie wspominają. Umiejących po łacinie laików zebraliśmy niewielu i rzeczywiście musiało ich być bardzo mało, skoro w obrębie całego czasu, który tu uwzględniamy, utrzymuje się stanowczy podział świadków, wymienionych w dokumentach, na dwie stereotypowe grupy, a mianowicie na literatów, do której należą duchowni, i na nieliteratów, do których się z góry zalicza świeckich świadków. Że między laikami stanu mieszczańskiego mamy stosunkowo znaczne zastępy literatów, tj. umiejących po łacinie mówić i czytać, jest zjawiskiem całkiem naturalnem. Te same pobudki, które zniewalały panów do uczenia się łaciny, działały i na mieszczan, a oddziaływały nawet w wyższej mierze o tyle, że nie miały przeszkód zewnętrznych. Panowie i szlachta musieli brać udział w częstych wyprawach wojennych, mieszczanie używali więcej niezamąconego spokoju. Ale na rozwój oświaty wśród mieszczan wpłynęła przedewszystkiem ta okoliczność, że mieli łatwą sposobność korzystania ze szkół, które zakładali przy parafialnych kościołach nawet w małych miastach. Do tych szkół posyłali synów swoich od wczesnej młodości nietylko dlatego, aby się nauczyli śpiewu kościelnego i przyczyniali się nim do podniesienia uroczystości nabożeństw, na czem pod owe czasy mieszczaństwu wiele zależało, nietylko dlatego, aby nabyli pewnych wiadomości, mogących im się przydać w późniejszych ich zawodach, ale także w znacznej, jeżeli nie w przeważającej części, z tego powodu, aby się chłopców, zanim ich można było spożytkować w handlu, rzemiośle lub przemyśle, odpowiednio zająć, pozbyć ich się z domu

i nie mieć z ich strony przeszkody w zajęciach, które niekiedy rodziców przez znaczną część dnia od domu odrywały. Mieszczanom co prawda nie zależało znów tak bardzo na tem, aby synowie ich, mający pozostać w stanie świeckim, nauczyli się łaciny, ponieważ jednak pod owe czasy nie było w Polsce innych szkół, prócz łacińskich, przeto młodzież mieszczańska, posyłana czy wypędzana z domu do szkoły, uczyła się łaciny, a za tem poszło, że tak znaczny procent mieszczan mówił po łacinie. Mimo to nie chcielibyśmy rozpowszechniać zdania, że tylko z powyższych pobudek posyłali mieszczanie swych synów do szkoły. Owszem mamy wszelki powód do twierdzenia, że właśnie w ówczesnym stanie mieszczańskim zamożnym, a więc do posiewu oświaty usposobionym, można było znaleść jednostki niewyjątkowe, które znajdowały w nauce pewną rozkosz i szukały jej dla niej samej. Cała ludność wiejska i drobna szlachta i ogromna część panów była bez oświaty i stała pod tym względem znacznie niżej od mieszczan.

Tak oto przedstawia się w zarysie edukacya laików rodzaju męskiego. Miały wykształcenie i Polki stanu świeckiego. Jakiego rodzaju to wykształcenie było, które warstwy społeczne brały w niem udział i w jakiej liczbie, na pytania te odpowiemy w drugiej części niniejszego szkicu.

U pogańskich Słowian zajmowała kobieta wcale niepoślednie stanowisko społeczne, nie wykluczano jej przecież nawet od rządzenia krajem. Religia chrześcijańska przyznała kobiecie w rodzinie i w społeczeństwie bardzo zaszczytne i szanowne stanowisko.

Jeżeli pomiędzy mężczyznami natrafiliśmy takich, którzy z czystej pobożności uczą się po łacinie, aby módz się modlić z książki do nabożeństwa, to pomiędzy Polkami, które z natury od mężczyzn są pobożniejsze, pobudka owa musiała działać w wyższej mierze. Może nie popełnimy anachronizmu, gdy dla objaśnienia ówczesnych stosunków powołamy się na fakta obecnej chwili. Wstąpmy do kościółka wiejskiego w niedzielę na nabożeństwo. Starsze pokolenie wieśniaków płci obojej nie miało w całej parafii za młodości swej ani jednej szkoły. Spojrzmy

na klęczących i modlących się. Pomiędzy wieśniaczkami znajdujemy znaczną liczbę modlących się z książki do nabożeństwa, pomiędzy mężczyznami mało kogo. Wszyscy czytający nauczyli się czytać bez szkoły; kobiet czytających jest więcej, mężczyzn mniej. Tak było *mutatis mutandis* i w średnich wiekach z tą tylko co prawda wielką różnicą, że w owych czasach w kościele wiejskim nikt się nie modlił z książki do nabożeństwa, bo książek takich nie było, a jeżeli były, to kosztowały wiele. To, co przed niedawnymi laty prawie wszędzie, a w wielu miejscach i dziś jeszcze po kościołach wiejskich spostrzegamy, można było obserwować pomiędzy Polkami zamożnych sfer mieszczańskich i wielkopańskich. Rozpatrzmy się w szczegółach.

Dubrawka, żona Mieszka I., sama gorliwa katoliczka, nie omieszkała wykształcić i wychować córki swej w duchu chrześcijańskim. Kronikarz donosi, że królowa Adelajda miała literackie wykształcenie *(literis imbuta)*.

Bolesław Chrobry miał na swoim dworze kapelanów, sam nie gardził wiadomościami z „Kanonów“, syna posłał do klasztoru, sądzimy, że i córki swe kazał uczyć łaciny i modlitw łacińskich. Jeżeli nie pod kierunkiem kapelanów, to w ówczesnych klasztorach żeńskich mogły one odebrać edukacyę. Historycy nasi domyślają się nie bez słuszności, że zakony żeńskie mogły być już wtedy obok klasztorów męskich w Międzyrzeczu lub Trzemesznie. Św. Bruno pisze, że siostry Polaków, Izaka i Mateusza, którzy byli towarzyszami przybyłych do nas pod owe czasy zakonników włoskich, wstąpiły do klasztoru. Jedna z córek Bolesława Chrobrego była ksienią w jakimś klasztorze, co jest nielada wskazówką, że przyswoiła sobie bodaj elementa ówczesnego wykształcenia, jakiego reguła zakonna od sióstr chórowych wymagała. Znajomość łaciny była dla księżniczek pożądaną nietylko z samych pobudek pobożnych, mogła im oddać pewne usługi, gdy wychodziły za mąż za obcych książąt, nieznających języka polskiego. Tradycya, co prawda bardzo późna, niesie, że Ryksa, przyszła żona Mieszka II., wychowywała się na dworze polskim aż do zamążpójścia. Są to wszystko wskazówki, słabe co prawda, że na dworze Chrobrego dbano

o wychowanie i wykształcenie księżniczek. Być może, że w owej edukacyi uczestniczyły także córki panów, którzy Bolesława Chrobrego otaczali. Czytając w Kronice Gallusa o paniach polskich, biorących udział w ucztach, a nawet w naradach na dworze Bolesławowym w nadzwyczaj kosztownych strojach, ma się dużo powodów do domysłu, że te panie nie zaniedbały tego, czem mogły wyróżnić się od swych mężów i braci, tj. przyswojenia sobie elementów ówczesnego wykształcenia. Czasu, sposobności i środków do nauki nie brakowało im widocznie.

Możność i łatwość korzystania z edukacyi szkolnej stawała się większą i otwierała się dla szerszych warstw z chwilą rozrostu liczby klasztorów żeńskich. Na ślady tych nowych rozsadników oświaty natrafiliśmy za Bolesława Chrobrego, znajdujemy je i za rządów księcia Kazimierza Mnicha. Gallus chwali tego księcia za to, że sprzyjał klasztorom męskim i żeńskim. Przed r. 1215 zapisały się w źródłach prócz już wymienionych klasztory żeńskie Norbertanek w Busku, Kaliszu, Płocku, Rybniku, Strzelnie, Żukowie i Zwierzyńcu, klasztory Cystersek w Ołoboku i Trzebnicy. Po roku 1215 do 1364 przybyło do wyżej wymienionych zakonów żeńskich 38 nowych, a mianowicie: zakonów reguły benedyktyńskiej 4, cysterskiej 11, dominikańskiej 4, franciszkańskiej 7, augustyańskiej 1, norbertańskiej 11. Klasztory te zaludniały się pannami i wdowami rodu piastowskiego, rodzin wielkopańskich, szlacheckich i mieszczańskich. W gronie sióstr służebnych można było zapewne spotkać, jak to i dziś bywa, panny z sfer wieśniaczych. Imiona i nazwiska owych służebnic bożych poszły w zapomnienie z wyjątkiem nielicznych. Zapisało się w historyi zaledwie kilkadziesiąt imion z rodu Piastów i rodów magnackich. Ale przedmiot ten pomijamy milczeniem, gdyż traktujemy tu sprawę edukacyi kobiet świeckich.

Przy klasztorach żeńskich istniały szkoły nowicyackie, w których się kształciły przyszłe siostry chórowe. Do szkół tych przyjmowano wyjątkowo i takie panienki, które nie miały zamiaru pozostania w zakonie. Św. Jadwigę śląską, urodzoną roku 1174, oddano do klasztoru Benedyktynek w Kitzingen nad Me-

nem, niedaleko Würzburga. Nauczycielką jej była niejaka Petryssa. Księżna Jadwiga nauczyła się czytać po łacinie.

Reguła zakonna zabraniała przyjmować do szkół wewnętrznych panienki świeckie; aby więc przekraczaniem reguły nie obciążać sumienia, zakładano obok wewnętrznych szkół żeńskich szkoły zewnętrzne, przeznaczone wyłącznie dla panienek świeckich. O takich szkołach myślimy, gdy czytamy, że w r. 1218 papież Honoryusz III. wzywał chrześcijan do składek na wykupywanie dziewcząt pruskich i kształcenie ich w wierze świętej. Rzeczywisty ślad szkoły klasztornej żeńskiej znajdujemy na Pomorzu. Trudniły się wychowywaniem i kształceniem dziewcząt zakonnice w Wollinie. W r. 1306 zabronił im biskup Henryk przyjmować panienki świeckie *(puellas saeculares)* na naukę i wychowanie, jeżeli rodzice z góry nie uiszczą umówionej kwoty lub nie złożą odpowiedniej kaucyi.

Edukacya panienek w szkołach zewnętrznych klasztornych nie różniła się od wychowania nowicyuszek w szkołach nowicyackich. O kierunku tej edukacyi, jej treści a poniekąd i zakresie daje nam znakomite wyobrażenie list św. Hieronima, pisany r. 401 do Lety, synowy przyjaciółki swej Pauli, w którym jej udziela rad, jak ma wychowywać córeczkę swą, przeznaczoną przez pobożnych rodziców od samej młodości do klasztoru. Podajemy list ten w obszernem streszczeniu. Istocie, przeznaczonej na oblubienicę Chrystusową, nie wolno nic innego słyszeć, o czem innem mówić, jak tylko o tem, co tchnie bojaźnią bożą. Nieskromnej mowy nie ma nawet rozumieć, o piosenkach świeckich nic zgoła wiedzieć. Natomiast należy ją ćwiczyć w śpiewaniu psalmów. Zdala od niej ma być towarzystwo chłopców równego z nią wieku. Żeńskie jej towarzyszki i służące należy zdala trzymać od świata. Naukę można z nią rozpoczynać od tego, że jej się będzie dawało do zabawy litery z drzewa bukszpanowego lub z kości słoniowej. Bawiąc się niemi, nauczy je się poznawać. Gdy następnie zacznie pisać rylcem po tabliczce woskowej, wtedy albo można kierować jej niewprawnymi paluszkami w czasie pisania, albo można jej polecić prowadzić rylec zagłębieniami wypisanego wzoru tak długo, aż się, naśla-

dując, nauczy samodzielnie pisać. W czasie nauki, a zwłaszcza czytania, trzeba ją zachęcać podarkami, które jej są miłe.

Ucząc się, powinna mieć towarzyszki, bo w ten sposób obudzi się w niej szlachetna emulacya. Przedewszystkiem trzeba na to baczyć, żeby się do nauki nie zniechęciła, oraz, żeby się z tego nie wyrobił wstręt do pracy na późniejsze życie. Słowa, z których ma powoli składać zdania, powinny być wybrane z całą rozwagą i roztropnością. Najlepsze będą do tego imiona proroków, apostołów, patryarchów i t. p.

Dozorczynią jej powinna być starsza panna wypróbowanej wierności i nieskazitelnych obyczajów. Ona będzie kierowała jej wychowaniem i będzie zachęcała własnym swym przykładem do wstawania w czasie nocy do modlitwy i do odmawiania psalmów, do śpiewania rankiem hymnów, do przychodzenia na tercyę, sekstę i nonę i do ofiarowania wieczornego przy zapalonej lampce. Do tego powinna przywykać, bo to jej przystoi jako oblubienicy Chrystusowej. Wśród takich zajęć przejdzie dzień prędko i miło. Po modlitwie będzie czytała, po czytaniu modliła się. Zatrudniona zawsze, nie uczuje nudów, a w zatrudnieniach niech będzie rozmaitość. Niech się więc też uczy czesać wełnę, prząść na kołowrotku i snuć nitkę w palcach.

Pożywienie jej powinno być proste: kapusta, chleb biały, czasem tylko kilka rybek. Niech zaś je tyle tylko, by głód zaspokoić i by zaraz po jedzeniu mogła czytać i śpiewać psalmy.

Niech się nauczy nizko cenić drogie kamienie i jedwabne materye. Niech natomiast ma w wysokiej cenie rękopisy Pisma świętego. A w tych niech ją nie zachwycają złociste i barwne malowidła na babilońskim pergaminie, ale sam tekst, jego podział i umiejętnie dokonana interpunkcya.

Najprzód ma się uczyć psałterza i zachwycać się melodyą. Z Przypowieści Salomona niech wyniesie dla życia mądre nauki. Z Kaznodziei niech się nauczy gardzić rzeczami ziemskiemi. Księga Joba zagrzeje ją i zachęci do naśladowania wzorów cierpliwości i cnoty. Potem przystąpi do Ewangelij, które zawsze powinna mieć pod ręką. Dzieje apostolskie i Listy apostołów niechaj wchłania z całym zapałem. Gdy już tymi skarbami duszę

swą wzbogaci, niech się uczy na pamięć: Proroków, Heptateuchu, Ksiąg Królów, Kronik, Ezdrasza i Estery. Na końcu, gdy to bez widocznej dla niej szkody i niebezpieczeństwa stać się może, niechaj się uczy Pieśni nad Pieśniami. Dzieła Cypryana niech ma zawsze pod ręką. Listami Atanazego i Księgami Hilarego z pewnością się nie zgorszy.

Institutio sanctimonialium, wydana przez synod akwizgrański r. 817, poleciła powyższy list wszystkim ksieniom klasztorów żeńskich. Według wskazówek w nim zawartych miało się dokonywać wychowanie i wykształcenie nowicyuszek. I istotnie trzymano się w wiekach średnich rad zawartych w owym liście nietylko w edukacyi zakonnic, ale i dziewcząt świeckich.

Pomiędzy tokiem intelektualnej edukacyi dziewcząt a chłopców świeckich, nie było w średnich wiekach zbyt wielkiej różnicy. I dziewczęta zaczynały naukę od memorowania psalmów i pieśni łacińskich. Św. Kinga w niemowlęctwie wymówiła cudownym sposobem: *Ave regina coelorum.* Na psałterzu uczono czytać. Równolegle z tą nauką uczono śpiewów kościelnych. Na tem poprzestawano zazwyczaj. Naukę pisania brano wyjątkowo. Postępy w łacinie były zapewne przeciętnie liche. Chodziło przeważnie o to, aby nauczyć modlić się z łacińskiej książki do nabożeństwa.

Mimo mnożenia się klasztorów nie ustawał zwyczaj utrzymywania prywatnych nauczycieli do kształcenia córek. Niekiedy nauczyciele ci, widocznie tylko księża, uczyli razem chłopczyków i panienki. Św. Salomea (ur. ok. r. 1211) uczyła się razem z Kolomanem, przyszłym mężem swoim. Oto co pisze autor jej żywotu: Była Salomea w trzecim roku życia swego, gdy ją na dwór króla węgierskiego Andrzeja oddano, przeznaczając ją na żonę dla jego syna Kolomana. Czyta się o tem w pismach, że gdy oboje zaczęli się uczyć *(disciplinis scholasticis traditi),* św. Salomea tak dalece w Piśmie św. postąpiła, iż zapytana przez nauczyciela, dokładnie powtarzała i objaśniała ewangelię, którą tego dnia słyszała. Dowiadujemy się o tej księżnie skądinąd, że miała *libros chorales* i *libros ad studium pertinentes,* z czego zdaje się wynikać, iż istotnie umiała czytać. Długosz donosi, że św. Kune-

gunda, skończywszy lat siedem, zaczęła pobierać naukę. Dano jej kuratora i nauczyciela w osobie niejakiego Mikołaja Nykula, męża pełnego szlachetności i bogobojności, oraz kilka matron i panien do posług i towarzystwa. Pobierała edukacyę łacińską i ćwiczyła się zarazem w cnotach i bojaźni bożej. Przekaz Długoszów, choć późny, ma wszelkie pozory prawdy.

Prócz szkół klasztornych i edukacyi prywatnej nie było innych sposobności dla panien świeckich przyswojenia sobie bodaj elementów wykształcenia. Szkoły parafialne, które po roku 1215 po miastach zakładano, kształciły samych tylko chłopców, dla dziewcząt były zamknięte. Wskutek tego edukacya dziewcząt była znacznie kosztowniejsza. Na nauczyciela prywatnego, a nawet na umieszczanie w szkole klasztornej mogli łożyć tylko zamożniejsi.

Nauka pierwszych zasad wiary i pacierza w języku rodzinnym nie wchodziła w zakres edukacyi łacińskiej szkolnej. Ten obowiązek ciążył na rodzicach i na najbliższych ich zastępcach, a później na duszpasterzach. Uczono i w szkołach łacińskich pacierza ale po łacinie, a memorowano go na samym wstępie do szkoły.

Obok elementów nauki, które wyżej scharakteryzowaliśmy, a poza które z pewnością rzadko kiedy wybiegano, uczyły się panienki w szkołach rozmaitych robót ręcznych kobiecych. Że między innemi kładziono nacisk na haftowanie, mamy dowód w pozostałych haftowanych aparatach kościelnych,

Wyższych nauk, a więc całego *trivium* i *quadrivium* i teologii nie uprawiano w naszych szkołach żeńskich. Nie mamy żadnych o tem wiadomości w źródłach. Nigdzie nie zdarzyło nam się spotkać w naszych bibliotekach bodaj kompilacyi Herrady z Landsbergu, podającej treściwy przegląd wiadomości z dziedziny siedmiu nauk wyzwolonych i teologii. A choćbyśmy w dziejach naszej ówczesnej cywilizacyi znaleźli Polkę z wyjątkowem wykształceniem, to nie moglibyśmy jeszcze z jednego odosobnionego faktu wysnuć wniosku o poziomie i zakresie wiedzy, udzielanej w szkołach klasztornych żeńskich. Do nadzwyczajnego wykształcenia można było dojść prywatnem usiło-

waniem. Gdy zatem w Poznaniu w r. 1278 była jakaś *medica* Johanna, i gdy *medica* nie jest imieniem własnem lub oznaczeniem wdowy po lekarzu, lecz imieniem pospolitem kobiety, wykonywującej praktykę lekarską, wtedy owa *medica* zdobyła sobie wiedzę lekarską, jeżeli ją rzeczywiście miała, prywatnemi studyami. Byłby to fakt, jak u nas osobliwy, ale w średnich wiekach za granicą nierzadki. W Kolonii przysięgali bakałarze medycyny, zgłaszający się do egzaminu licencyackiego, że w praktyce nie będą wchodzili w styczność z żydami praktykującymi ani z ludźmi niewykształconymi, ani z kobietami praktykującemi, ani też z innemi osobami, nie aprobowanemi przez fakultet lekarski.

Dr. Antoni Karbowiak.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania. *Stanisław Tarnowski.* Tom II. i III. Kraków 1896 i 1897.

Dwa nowe tomy „Rozpraw i sprawozdań", które w ślad za pierwszym wnet w druku się ukazały, zawierają prace o „Komedyach Aleksandra hr. Fredry", o „Pośmiertnych komedyach" tegoż autora, o Stefanie Garczyńskim, Lucyanie Siemieńskim, Teofilu Lenartowiczu, ks. Hieronimie Kajsiewiczu i „Dworzaninie" Górnickiego. Wszystko to bez wyjątku przedruki rozpraw, wydanych już dawniej przed kilku, kilkunastu, lub nawet dwudziestu kilku laty, jak to przeważnie autor sam zaznaczył [1]. Zgoła więc nieodpowiednemby było, gdybym chciał zdawać sprawę z tego, co tam zawarte, lub zapoznawać czytelnika z tem, co mu od dawna dobrze znane. Stanowisko moje w tym wypadku muszę pojąć zupełnie inaczej.

Zaznaczone w nagłówku wydawnictwo uważam za wynik czynności reasumującej poprzednie dotychczasowe plony, za dążenie do ujęcia w całość objawów pracy długoletniej, wydawanych w różnych okresach czasu i dlatego mniej przystępnych dotąd dla ogółu publiczności. Jak niegdyś Jan Kochanowski po okresie najwyższej twórczości zapragnął jeszcze za życia obaczyć razem zebrane myśli, któremi współczesny świat polski obdarzył, tak zapewne i czcigodny autor chciałby

[1] Nie zauważył tego tylko przy rozprawie o Lenartowiczu (cf. *Przegląd Polski* z r. 1893, str. 393—443) i „Dworzaninie" Górnickiego (tamże, r. 1871, zeszyt grudniowy str. 359—404).

skupić swą dziatwę i razem zebraną przedstawić społeczeństwu i potomności, jako spuściznę swych myśli i dążeń. Porównanie wprawdzie chroma silnie, bo Kochanowski zbierał i redagował swe pisma pod koniec żywota, gdy złamany i zbolały niczego już więcej stworzyć nie mógł, a prof. Tarnowski pełen sił jeszcze i da Bóg, niejednem nas jeszcze obdarzy, ale z tem wszystkiem obok wybitnej różnicy jest i analogia pod innym względem zupełna, gdyż obydwaj gromadzą to, co już dawniej dojrzało. Jeżeli zaś tak jest, to czytelnik musi się domagać nie wiadomości o szczegółach zawartych w pracy autora, ale ogólnego obrazu, rzutu oka na działalność jego literacką.

Gdybyśmy szukali w dziełach hr. Tarnowskiego tej drogi, jaką szedł analityczno-przyrodniczy umysł Taine'a, przeważnie filozoficzny Brandesa, historyczny Scherera lub filologiczny niemieckich estetyków, tobyśmy powyższej nie rozwiązali zagadki. Prof. Tarnowski ani nie idzie wprost ich śladem, ani nie posuwa się po stycznej do wytyczonych przez nich kierunków. Najwięcej może zbliża się jeszcze do historycznej metody Scherera, ale różni się i od niego stanowczo subjektywnem zabarwieniem, małem uwzględnianiem poglądów innych pisarzy i brakiem mozolnego poszukiwania dotyczących źródeł, tak, że jeżelibym śmiał przeniknąć tajniki jego pracowni, to chyba nie omyliłbym się bardzo utrzymując, że zastałbym go zapewne w danej chwili przy tworzeniu dzieł, pochylonego nad autorem, którego ocenia, w najbliższem otoczeniu niewielu tylko książek, potrzebnych mu do przelania myśli na papier. Oczywiście, sądząc z dzisiejszego stanowiska, na taki sposób tworzenia nie zawsze zgodzićbyśmy się mogli, atoli byłoby to też stanowisko krótkowidza, który patrzy na najbliższe przedmioty przed sobą, a nie ma żadnej perspektywy i nie może oglądać krajobrazu, kryjącego się przed ułomnym jego wzrokiem.

Faktem jest niezaprzeczonym, że od pierwszej chwili wystąpienia wywarł prof. Tarnowski niemałe wrażenie na całe inteligentne społeczeństwo nasze i pozyskał od razu sławę znakomitego historyka literatury, towarzyszącą mu nieodstępnie aż dotąd. A skoro tak było, to widocznie dzieła nowego krytyka oznaczały wielki krok naprzód i podawały to, czego społeczeństwo potrzebowało.

Kiedy prof. Tarnowski wystąpił z pierwszemi swojemi rozprawami pod koniec siódmego dziesiątka bieżącego stulecia, nie możemy powiedzieć, by pole historyi literatury ojczystej leżało podówczas odłogiem, choć intenzywność pracy nad niem nie była jeszcze w żadnym stosunku do bogactwa typów i do rozległości ziem, na jakich niegdyś

ujawniały się słowo i myśl polska. Najstarsza generacya, która pierwsze dość nieudolne stawiała kroki i przygotowywała teren pod nową uprawę, zeszła już była dawno z pola. Ustąpił i najzdolniejszy z nich i u przełomu już stojący Michał Wiszniewski, długoletnią pracą dokonawszy dzieła, które skutkiem obfitości nowo odkrytych szczegółów i dzisiaj nas jeszcze zdumiewa. Miejsce ich zajął teraz nowy, liczniejszy znacznie zastęp badaczy, jak, pomijając innych: Bielowski, Siemieński, Tyszyński, Małecki, Przyborowski, Klaczko, Spasowicz i najwięcej odbiegający od nich Nehring. Jedni z tej tak poważnej plejady rozpoczęli działalność swoją jeszcze pod koniec pierwszego pięćdziesięciolecia bieżącego wieku, drudzy należą już do drugiej jego połowy i dzisiaj jeszcze i piórem i czynem służą naszemu społeczeństwu. Między nimi są niezawodnie wybitne różnice indywidualne, zależne od warunków, wśród których przebywali, od kierunku czy to więcej beletrystycznego, czy przeważnie historycznego lub nawet filologicznego, któremu się poświęcili, i wreszcie od większej lub mniejszej zdolności przystosowania się do najnowszych, odmiennych częściowo wymagań — są też jednak i wspólne cechy, uprawniające nas do połączenia ich w jednę grupę. Wyliczać je wszystkie i bliżej roztrząsać nie może być mojem zadaniem; wymienię więc tylko najważniejsze, któremi są: obszerne uwzględnianie żywotu na podstawie korespondencyi lub tylko najbliższych danych i ocenianie autora ze stanowiska dawniejszej formalnej estetyki.

Do tej grupy należy ciałem i duszą i prof. Tarnowski, wiekiem najmłodszy ze wszystkich wyżej wymienionych. Towarzyszom swoim zawsze wierny, pozyskał prof. Tarnowski od razu wśród nich wybitne, niemal naczelne stanowisko rozległem oczytaniem, delikatnem poczuciem piękna wykształconego człowieka, co wiele widział i wiele poznał, nadzwyczajną łatwością w tworzeniu i wreszcie dykcyą, nieco retoryczną wprawdzie, ale zawsze nie bez podniosłości i mocy w wyrażeniu. Dodajmy do tego i bystrość wzroku, pod wpływem którego rozsuwają się zapory, rozwiązują zagadki i odsłaniają rysy charakteru, a zrozumiemy należycie, dlaczego rozgłos i sława aż do najnowszych czasów przywiązane z całą słusznością do osoby prof. Tarnowskiego, choć tenże raz przyjętej przez siebie metody nigdy nie zarzucił, lecz przeciwnie z pewną stałością przekonań, odpowiednio do swej indywidualnej natury, pozostał wiernym tradycyi, wśród której za młodszych czasów żył i wychował się. Inaczej też być nie może i nie powinno, bo

za hr. Tarnowskim leży już przeszłość bogata w działalność, przeszłość w swoim czasie wielki krok naprzód i znamienity postęp oznaczająca.

Lecz na tem nie koniec; zdaje mi się, że nie odpowiedziałbym należycie określonemu powyżej przezemnie zadaniu, gdybym nie poruszył jeszcze dwóch innych okoliczności, związanych ściśle z osobą hr. Tarnowskiego. Pierwszą z nich, to stanowisko czcigodnego autora jako potomka jednej z naszych najznakomitszych rodzin o nieskazitelnej przeszłości i niemałej aureoli, stanowisko, jeżeli nie wyjątkowe w polskiej literaturze, to przecież dość rzadkie i zanadto charakterystyczne, by nie zwracało powszechnej uwagi. Z całą znaną bezinteresownością oddał się hr. Tarnowski na usługi piśmiennictwa polskiego i nie szczędził nigdy ani pracy, ani trudu w kształceniu młodzieży i ciągłem informowaniu, zaznajamianiu szerszego społeczeństwa z objawami ruchu na polu literatury naszej za pomocą pism i odczytów. Nie dziw więc, że i społeczeństwo nawzajem nie szczędziło i nie szczędzi uznania temu, co podjął się bezinteresownie tak trudnych obowiązków.

Za drugą okoliczność, której mi w obecnym referacie pominąć nie wolno, a która z poprzedzającą częściowo się łączy, uważam wprowadzenie do historyi literatury naszej żywiołu polemiczno-politycznego dla dania wskazówki na przyszłość i pouczenia szerszych mas. Pomimo całej oryginalności nie tworzyłoby ono jednak zalety u historyka literatury i nie przyniosłoby mu sławy i uznania u współczesnych i potomności, gdyby nie odpowiadało warunkom, wytworzonym naturalnym porządkiem rzeczy przez stosunki porozbiorowe i nie zwracało ostrza przeciw poprzedniemu, nieraz mylnemu pojmowaniu rzeczy. Śmiało i otwarcie uderzył hr. Tarnowski na dotychczasowe poglądy i poparty nieraz niezbitą i przekonywującą słusznością razem z Szujskim zainaugurował nowy kierunek, który pod niejednym względem na polu lepszego poznania naszej przeszłości święcił i święci dotychczas niezaprzeczone tryumfy mocą trafnych argumentów i bijących w oczy wydarzeń. I jak Szujski nie bez pomocy innych rozpowszechnił nowe poglądy na polu właściwej historyi, tak prof. Tarnowski również nie bez udziału pomocników objaśnił inaczej niejeden objaw literatury naszej, szukając i badając skrzętnie, co było oznaką naturalnego rozwoju, a co prowadziło nas do upadku lub było na nasz grunt niewłaściwie przeszczepione, bez liczenia się z warunkami, wśród których rosnąć i dojrzewać miało. Że w tych poszukiwaniach i spostrzeżeniach idzie czasem za daleko i z swego punktu widzenia wydaje czasem sądy jednostronne, podnosząc nad miarę to, co tak potężnem nigdy nie było

lub obalając i potępiając, co niekoniecznie jeszcze było złem i fałszywem — to pewnie szczegół znamienny i charakterystyczny, ale właściwej podstawy nie zmieniający. Z uspokojeniem się namiętności, najnowsza szkoła pogłębi niezawodnie znajomość przedmiotu i sprowadzi rzecz na właściwe tory, będzie to jednak tylko dalszy ciąg pracy już dawniej rozpoczętej. Impuls i ogólne kontury już dane a zasługa w tem niemała tego, kto zerwał z utartym szablonem, choć nawet może niekiedy pomylił się w przedstawieniu lub jaki szczegół oświecił nieodpowiednio. Z tego stanowiska sprawę rozważając, musimy chyba przyklasnąć usiłowaniu „Spółki Wydawniczej", dążącemu do zebrania w całość rozrzuconych dotąd rozpraw i artykułów hr. Tarnowskiego.

Dr. Korneli Juliusz Heck.

Zmarnowane życie. Dramat w 5 aktach. Przez *Stefanię Landynową.* Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1895.

Z nazwiskiem autorki spotykamy się po raz pierwszy, chociaż prawdopodobnie „Zmarnowane życie" wyprzedziły liczne próbki, spoczywające w tece p. Landynowej. Na myśl tę naprowadza nas zbyt wyrobiony i gładki, jak na początkującą pisarkę, język dramatu. Określeniem powyższem nie chcieliśmy zarazem powiedzieć, że język ten jest silny, barwny, oryginalny. Tych zalet musimy odmówić stylowi szanownej autorki; dramat jest napisany poprawnie i starannie, ale p. L. zbyt trwożliwie kreśliła i poprawiała swoje dzieło przed wydrukowaniem i w ten sposób zatarła zapewne te oryginalne i silne wyrażenia, jakie powstają pod piórem nawet niewprawnem jeszcze, przy pierwszej redakcyi.

Treścią dramatu jest zmarnowane życie kobiety, uposażonej od natury we wszystkie przymioty, a więc pięknej, rozumnej, wykształconej, czułej, bogatej... Miała wszystkie warunki, aby być szczęśliwą, miała ojca, który zastąpił jej w zupełności wcześnie zmarłą matkę, miała babkę, która kochała ją uczuciem ślepem... a jednak zmarnowała życie. Powodem — miłość, uczucie silne, głębokie, gwałtowne, dla którego poświęciła ojca... Pokochała utracyusza, bankruta moralnego, hulakę, uwodziciela, chorego na suchoty i serce i pomimo ostrzeżeń i oporu ojca, poślubia go, aby przeżyć z nim rok jeden, zatruty wspomnieniem o ojcu i zazdrością męża, aby wreszcie widzieć go umierającego w swych ramionach po szalonym walcu —, aby następnie, po powiciu syna i samej umrzeć... A więc uczucia źle skierowane, stają się powodem nieszczęścia i dla niej i dla jej najbliższych.

Temat dramatu, w ogólnych przynajmniej zarysach, nie zawiera żadnego nowego pomysłu; takie Anny i takich Karskich widzieliśmy nieraz i w życiu i na deskach teatralnych. Ale za to, po tylu wzorach, tem bardziej żądalibyśmy pewnej psychologicznej konsekwencyi w przeprowadzeniu akcyi dramatycznej. Tymczasem miłość Anny dla zużytego człowieka wysuwa się nagle, jak *Deus ex machina*, — w pierwszym akcie wybiera się Karski do niej z wizytą, a w drugim kochają się już na zabój. Żeby choć na chwilę otworzyła autorka te dwa serca i pokazała nam nawiązujące się nitki wzajemnej miłości i sympatyi, to możebyśmy w tę miłość uwierzyli; ale tak nagle bez żadnych głębszych psychologicznych procesów miłość kobiety, o której istnieje opinia, że jest rozumną, dla człowieka, w którym trudno się czegoś dodatniego dopatrzeć — i to miłość bez granic i miary, depcąca nawet związki najbliższe i najdroższe: cała ta kombinacya, choćby w rzeczywistości najprawdziwsza, w dramacie jednak, który w pierwszym rzędzie powinienby być psychologią namiętności, jest chybioną. A co za tem idzie, czytelnik, czy widz przez cały ciąg dramatu pozostaje w mglistej niepewności, czy zakochanych ma piętnować jako osoby ślepym porwane szałem, czy też przeciwnie ma tę miłość uważać za rozsądną i opartą na jakichś trwalszych zasadach.

Inne postacie dramatu, zaledwie naszkicowane, choć czasem zaobserwowane dobrze. Całość choć w sobie słaba, ma jednak tę zaletę, że wskazuje zgubne skutki nie rachującej się z niczem namiętności.

Dr. Antoni M. Kurpiel.

Rozmyślania o życiu kapłańskiem czyli ascetyka kapłańska. *Ks. Józef Pelczar.* Kraków 1897. Wydanie drugie przejrzane i pomnożone. Część pierwsza str. VIII. i 423. Część druga str. 496.

Ważną oddał szanowny autor przysługę kapłanom, wydając już powtórnie dla nich podręcznik do rozmyślania. W pierwszej jego części wskazuje na cel, do którego zdążać powinni; dowodzi, jak zwłaszcza w naszych czasach utwierdzonymi być muszą w doskonałości, by od powiedzieć rozlicznym potrzebom wieku i potęgą wzniosłego przykładu do cnoty pociągać. Następnie podaje środki, których używać powinien, kto chce dojść do celu. W drugiej części mowa o cnotach, któremi kapłan ma jaśnieć i o występkach im przeciwnych. Rzecz o urządzeniu seminaryów duchownych i studyów teologicznych w pierwszej części, a w drugiej dodatek pierwszy „o niektórych obowiązkach pasterskich“

i dodatek drugi „o niektórych prawidłach i formach towarzyskich", są pięknem zaokrągleniem i uzupełnieniem „Rozmyślań o życiu kapłańskiem". Bardzo słuszna zasada, „że od dobrego rozwoju seminaryum dyecezalnego zawisło przeważnie odrodzenie się duchowieństwa"; zaś dodatek o niektórych obowiązkach pasterskich uczy ze znakomitą znajomością rzeczy i naszych stosunków, jak kapłan w praktyce wykonać ma rozkaz: *In omni conversatione sancti sitis* (I. Petr. 1, 15). I drugi dodatek o formach towarzyskich nie jest wcale zbyteczny, „boć kapłan bez ogłady i bez taktu nie zdobędzie sobie w warstwach oświeconych i dobrze wychowanych — jak słusznie zauważa autor — tej czci i powagi, jaka mu się słusznie należy, ani potrafi działać z wielkim skutkiem na te warstwy".

Całość przedstawia się wszędzie jakby piękna, w najdrobniejszych szczegółach wykończona tkanina, wpośród której błyszczą niby drogie, gustownie dobrane kamienie: wyroki Ducha św., dekrety soborów i nauka świętych. Jeszcze i to podnosi wartość dzieła, że systematycznie a jędrnie we formie rozmyślań przedstawiony sposób prowadzenia tej walki duchownej, która się ma zakończyć odzierżeniem niewiędniejącego wieńca chwały. Jest to wprawdzie „ascetyka kapłańska", ale i dla prowadzenia osób świeckich może posłużyć, jeśli się uwzględni warunki ich życia i tak uzupełni wykształcenie seminaryjskie.

Dziełu temu nie braki jakieś, ale raczej nadmiar możnaby zarzucić. Wielkie bogactwo myśli i dowodów nagromadzonych, zwłaszcza w części teoretycznej rozmyślań, sprawia, że rozmyślania są nieco za ciężkie i nie tak łatwo przypadną do smaku, jak np. ks. Schouppego *Meditationes sacerdotales;* za to też wystarczą dłużej, bo i po kilkakrotnem użyciu znajdzie się jeszcze myśl nową, świeżą, której poprzednio nie zauważono. Samo także osobne traktowanie rzeczy w jednym punkcie teoretycznie, a w drugim dopiero podawanie wskazówek praktycznych nastręcza pewne trudności w rozmyślaniu, w którem zawsze za działaniem rozumu (teorya) ma iść determinacya woli (postanowienia praktyczne). Możeby to było ułatwieniem w rozmyślaniu, gdyby i część teoretyczna była rozczłonkowana na punkty osobne z odpowiednimi wnioskami praktycznymi. Jednak ta jest znowu wielka korzyść z zupełnego rozdziału części teoretycznej od praktycznej, że gruntownie i przejrzyście przedstawia się asceza chrześcijańska.

Życzyćby wypadało, by książka ta była w ręku każdego kapłana i do każdego, komu na sercu leży sprawa własnego uświęcenia i spełnienia wielkiego, zwłaszcza dzisiaj, zadania kapłańskiego, skierować

wypada zaproszenie: *Tolle, lege!* Nieocenione spłyną korzyści na wszystkich z codziennego rozmyślania kapłana. *Beatus vir, qui in lege Domini meditatur... omnia, quaecunquae faciet, semper prosperabuntur.*

Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz.

O cudownym obrazie Najśw. Maryi P. Berdyczowskiej. Wiadomość historyczna. *Ks. Wacław, Kapucyn.* Kraków 1897.

O cudownym obrazie Najśw. Maryi P. Ostrobramskiej w Wilnie. *Tenże.* Kraków 1897.

Wielebna Siostra Teresa od św. Augustyna, Karmelitanka Bosa. *Tenże.* Kraków 1897.

Mowa żałobna podczas pogrzebu ś. p. ks. Teodora Rogozińskiego. *Tenże.*

Basma. *Tenże.* Wydanie drugie. 1896.

Kraków w roku 1794. *Tenże.* Kraków 1894.

Niezmordowanej gorliwości zakonnik spędza przy pracy kapłańskiej chwil tyle, że te same wystarczyłyby, żeby zająć cały jego umysł i serce. Ale niezadowolony jeszcze tem wszystkiem, wykrada sobie dziwnym przemysłem jakieś ułamki czasu, żeby obdarzać nas jedną po drugiej pracą pisarską.

Nawał tylu prac bynajmniej niekorzystnie nie wpływa na wartość tych przeróżnych utworów pisarskich: nie nadaje im znamion powierzchownej pracy literata, który stąd i zowąd, bez głębszego sądu, pozbiera wiadomości i zwiąże je jakbądź, byle tworzyły na pozór całość skończoną. Każda książeczka księdza Wacława tworzy dla siebie dzieło wykończone.

Dziełka o cudownych obrazach Matki Boskiej ujrzały światło dzienne skutkiem długich namów, jakiemi tę pracę wymogli na szanownym autorze jego najbliżsi znajomi. Oglądali u niego zbiór nieoceniony: kilka tysięcy obrazów i obrazków Matki Boskiej z kościołów polskich; do tego zbioru dołączył ks. Wacław zapiski, równie drogocenne o dziejach obrazów i przytem nieraz rzut oka na wiekopomne wypadki, których widownią bywały te kościoły z cudownymi obrazami. Stąd rosła skarbnica szczegółów, których bez zajęcia słuchałby chyba innowierca albo Polak wyzuty z ostatniego śladu miłości ojczyzny. Mimo szczupłych środków, którymi rozporządza szanowny pisarz, z pomocą dobroczynnych przyjaciół, namowy odniosły swój skutek, i dzisiaj posiadamy już dwa opisy cudownych miejsc: Ostrobramę i Berdyczów, których równie cennych monografij wiele posiadają narody obce, Polacy dotąd mało.

Równie cenną pracę wydał ks. Wacław, kiedy zebrał szczegóły o wnuczce króla Leszczyńskiego, po jego córce Maryi, o królewnie

francuskiej Ludwice Maryi, która w klasztorze Karmelitanek Bosych świątobliwym żywotem zasłynęła pod imieniem Teresy od św. Augustyna. Sz. autor do własnych słów dołączył przedruk kazania, które dziś już uchodzi za białego kruka w polskiem piśmiennictwie: miał je w przeszłym wieku na egzekwiach królewny Karmelitanki, kanonik krakowski, ks. Lipiński.

„Basma", to krótki przyczynek do archeologii dawnego wielkiego księstwa moskiewskiego. Dziejopisowie zgodnie świadczą, że Ruś zadnieprska, w czasie niewoli tatarskiej, dostawała od wielkiego hana dar, wieziony bardzo uroczyście, ale złożony w zamkniętej skrzyni i przechowywany w takiej tajemnicy, że ledwie nie każdy pisarz inaczej przedstawia, z jakim to podarunkiem słali hanowie swoich posłów w długą podróż do Moskwy. Jedni twierdzili, że w skrzynce spoczywał obraz albo posążek czy inna podobizna oblicza hańskiego, inni z innymi domysłami występowali; nakoniec tatarskie źródła, wykryte przez Narbutta, przynoszą wiadomość, że han posyłał odcisk swojej szacownej stopy. Europa zna zwyczaj średniowieczny, który uprawniał władców, żeby żądali od lenników pocałunku, na klęczkach złożonego ich stopie. Azya poradziła sobie wygodniej: zamiast odbywać podróże po krajach lennych, han posyłał im swoją stopę odciśniętą na wosku. Wolny był przez to od przygody, która spotkała r. 911 we Francyi króla Ludwika Prostaka. Ten wyciągnął stopy po pocałunek normańskiego rycerza, ale dumny Norman, zamiast klęknąć przed królem, „pochwycił go wpół, przewrócił do góry nogami, i dopiero wtedy, bez przyklękania i schylenia głowy, przytknął nogi królewskie do ust swoich".

Od zaginionych zwyczajów średniowiecznych, przenosi nas ks. Wacław w dobę świeżo minioną, w mowie pogrzebowej, mianej przy zwłokach ks. kanonika Rogozińskiego. Postać nieboszczyka, na krótki czas znana w Krakowie, zasługiwała, żeby pierwszorzędny mowca uczcił ją po zgonie. Ks. Rogoziński tyle uroku wywierał na serca swoich parafian, że ci dokazali dzieła, ledwo kiedy bywałego w dziejach Kościoła polskiego. Kiedy rok 1863 księdza Rogozińskiego naraził rządowi rosyjskiemu tak dalece, że już na wiernego obowiązkom kapłana zapadł wyrok śmierci na szubienicy, mieszkańcy Tuliczkowa za swojego proboszcza stanęli murem, olbrzymich wydatków nie żałowali, żadnych trudów nie liczyli i dowiedli, na jaką wdzięczność może liczyć proboszcz, poświęcony całą duszą swoim parafianom: wyrobili u rządu kasacyę wyroku. Ale, wdzięczny parafianom za ocalone życie,

nie mógł ks. Rogoziński zatrzymać obowiązków duszpasterskich; odsiedział jeszcze wieloletnią karę na Syberyi, i w Krakowie nakoniec znalazł opiekuna w ś. p. kardynale Dunajewskim.

Na końcu, z porządku ostatnia, ale wartością niepoślednia praca o Krakowie przed stu laty, słusznie wzięła za godło słowa Seb. Miczyńskiego: „Krakowie sławny!... trzeba Jeremiasza proroka, któryby nad tobą płaczliwe treny pisząc, łzy wylewał". Mimo ponurych myśli, nasuwanych bolesnym widokiem Polski przed stu laty, umie sz. autor potrącać umiejętnie strunę nadziei... czytelnik nie zamyka książki z goryczą w duszy; znajduje zachętę do modlitwy z wiarą w miłosierdzie boskie.

Do tych wszystkich uwag o dziełkach ks. Wacława dodać potrzeba jeszcze wzmiankę jedną, wspólną o wszystkich tych pracach: szanowny pisarz z usilną troską dba o zewnętrzną szatę swoich wydawnictw. Książeczki jego, wydane wszystkie wykwintnie, niektóre ozdobione starannie drzeworytami, same proszą czytelnika, żeby je wziął do ręki. Może niejeden mniej zgodnie z autorem wyraziłby ten albo ów pogląd, ale każdy wdzięcznie podziękuje autorowi za chwilę przepędzoną nad jego książeczkami, a niejeden pomyśli: obyśmy takich pisarzy mieli więcej, którzyby naszym pamiątkom poświęcali pióro, natchnione taką wiarą gorącą i miłością ojczyzny.

Ks. K. Czaykowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le christianisme et l'empire romain de Néron à Théodose. Par *Paul Allard.* Paris. Lecoffre.

Znany w Paryżu katolicki księgarz i wydawca rozpoczął obecnie wydawnictwo, zatytułowane: *Bibliothéque de l'enseignement de l'histoire ecclèsiastique.* Cenne i tyle potrzebne przedsięwzięcie otwiera się w sposób obiecujący książką, której tytuł wypisujemy powyżej. W dzisiejszej ciężkiej dobie, skołatana myśl ludzka częściej, aniżeli kiedykolwiek, zwraca się ku kolebce wiary, ku początkom chrzecijaństwa, ku pierwszym zapasom i walkom naszych poprzedników w wierze. Jednaki prąd objął w tej chwili i poetów, i filozofów, i historyków, i romansopisarzy. Ostatnie arcydzieło Sienkiewicza, które w starym i nowym świecie tak bardzo jego imię rozsławiło, świadczy temu za-

przątnięciu się myśli ludzkiej zagadką tego zwycięstwa ubogiego rybaka galilejskiego i tkacza namiotów z Tarsu, nad potężną Romą i boskimi cezarami. Nikt lepiej tej epoki nie zgłębił, nie zbadał nad pana Pawła Allard, autora wyczerpującej historyi pierwszych prześladowań. To też zaraz na wstępie, wchodząc *in medias res*, pyta, dlaczego ten sam Rzym, który szeroko swe wrota, swój Panteon otwierał dla wszystkich bóstw i kultów starożytnego pogaństwa, dla jednego tylko chrześcijaństwa stałą zachował odporność? Czemu nawet żydowski monoteizm względnej zażywał swobody? Jakże pogodzić znaną tolerancyę rzymskiego państwa z wyjątkowem prześladowaniem chrześcijan? Na te pytania p. Allard odpowiada jasno i dobitnie na pierwszych zaraz kartach znakomitej książki, którą czytelnikom polskim usilnie zalecamy. Ustęp ten warto w całości przytoczyć, jako dający klucz sytuacyi:

„Religia państwowa w Rzymie — pisze p. Allard — nie ma w sobie nic z ustalonej doktryny. Zbiór to różnolitych odłamów, mozaika nie dopasowana, której zaledwie czas, nawyknienie, instynkt poetyczny czy ludowy, dodał pozorną spoistość i zlanie się harmonijne barw. Atoli z całej przeszłości swojej duch rzymski wyniósł jedno stałe wrażenie i przekonanie, ustalone długim szeregiem zwycięstw i podbojów, to mianowicie, że losy Rzymu ściśle są związane z kultem jego i religią. Przerafinowani towarzysze cesarza Augusta lub Tyberyusza niemniej hołdowali temu przekonaniu, co ongi najciemniejsi żołnierze Romulusa. W gruncie niewiele dbali Rzymianie o treść owej państwowej religii, o jej prawdziwość i początki dziejowe. Niejeden chętnie byłby może powtórzył obojętne czy zniechęcone pytanie Piłata: Co jest prawda? — wszelako polityczny interes, wszechpotężny zabobon, z którego nikt się otrząsnąć nie myślał, zarówno ich przywiązywały do bóstw narodowych. Te nawet obce bogi, świeżo z obcych przygarnięte narodowości, rychło się zlewały z odwiecznemi posadami rzymskiego państwa, za pomocą sztucznej fikcyi, dobrowolnie przyjętej. Wolno było innych wzywać bogów, atoli głoszenie, że oni jedni mają prawo do naszego uczczenia, sami jedni dzierżyli i wszechwładzę i wszechprawdę, to już zakrawało na bluźniercze podkopywanie potęgi rzymskiej. Wierzono, iż ta runie, gdy się zwali jej państwowa religia. Pojęcie to tak ściśle było związane z rzymskiem pogaństwem, iż takowe odnaleść nam przyjdzie bez zmian żadnych aż u ostatnich onego wyznawców i obrońców za dni św. Ambrożego i Augustyna.

„Wśród obcych religij jedna tylko przed pojawieniem się chrześcijaństwa winna była ściągnąć na siebie gromy rządu i państwa. Wy-

znawca Izydy lub Mitry nie odmawiał swych hołdów pomniejszym bóstwom. Tymczasem religia Izraela była przedewszystkiem monoteizmem, pełnym wyłączności, nie cierpiącym, nie uznającym innych obok Jehowy bogów. Co więcej, obok monoteizmu znajdował się u Żydów duch prozelityzmu, osobliwie drażliwy i drażniący tych, których usiłował przeciągnąć ku własnej, wyższej w ich mniemaniu religii. A jednak Rzym bodaj nigdy nie prześladował Żydów. Dopóki oni tworzyli odrębność narodowego bytu, tolerancya ta da się w pewnej mierze wytłumaczyć. Rzymianie chowali zawsze pewną cześć i uznanie dla narodowych kultów. Cesarz August i jego rodzina hojnymi dary uposażyli jerozolimską świątynię. Gdy nawet w r. 70 upadł byt polityczny Izraela, a ostała się tylko jego religia i szczepowa odrębność, Rzym z jednaką pobłażliwością znosił kult w gruncie sobie tak bardzo przeciwny. Łagodzono wobec synagogi surowość ustaw, dotyczących stowarzyszenia, pozwalano na prawa wyjątkowe, aby nie gwałcić sumień izraelskich przyniewoleniem do zabronionych im zakonem praktyk. Zakazany im tylko był ściśle wszelaki prozelityzm. Ogólna ta tolerancya, z rzadka mącona jakiem policyjnem postanowieniem, bardziej doraźnem i gwałtownem aniżeli stałem, na razie zdumiewa, lecz nie trudno da się wytłumaczyć. Przez to samo, iż religia u Żydów zlewała się z rasową odrębnością i od niej się odłączyć nie dawała, wszechświatowa Romy potęga zgoła się jej lękać nie miała powodu. Za ciasna była to podstawa, aby kiedykolwiek pomieścić w sobie różnoplemienne ludy, garnące się pod skrzydła orłów rzymskich. Monoteizm izraelski, najeżony mnóstwem drobiazgowych przepisów, niby płotem cierniowym, nadto był ponury, aby uwodzić inne narody. To też polityka cesarzy unikała daremnych surowości, gotowych zbudzić uśpione fanatyzmy i narazić na szwank pokój publiczny.

„Dla łagodniejszych, lecz ze swego punktu widzenia niebezpieczniejszych buntowników, a raczej oporów, Rzym zachowywał srogość swego prawodawstwa. Na podobieństwo Izraela chrystyanizm ludzi pouczał o istnieniu jedynego, prawdziwego Boga. Wszelako wbrew nauce żydowskiej, której wymagania były zbyt wielkie, a narodowe piętno zbyt wybitne, chrystyanizm nie żądał od swych neofitów innej ofiary okrom ofiary błędów swoich i złych nałogów. Obrzędy proste nowego kultu, czysta etyka, żadnem dziwactwem nie skrępowana, stosowały się do wszystkich bez różnicy plemiennej lub narodowej. Można było zostać chrześcijaninem, nie przestając być Rzymianinem. Na pozór powinno to było zjednać chrześcijaństwu łaskawe polityków względy.

Tymczasem to właśnie stać się miało głównym ich surowości powodem. Opowiadaniem i szerzeniem powszechnej religii, chrystyanizm godził w państwową. Zwycięstwo chrześcijaństwa groziło zagładą urzędowemu pogaństwu. W mniemaniu, iż losy Rzymu są nierozerwalnie spojone z onem pogaństwem, dokładano wszelkich możliwych starań, aby przeszkodzić szerzeniu się nowej nauki. Z tego też powodu najlepsi z cezarów, najdbalsi o przyszłość państwa, najbardziej przesiąknięci starorzymską tradycyą, najsroższymi się też okażą prześladowcami".

Tak postawiona kwestya, w dalszym ciągu otrzymuje bliższe wyjaśnienie i stwierdzenie.

Z Neronem poczyna się właściwy okres prześladowczy. Zrazu jest to raczej rzeź samowolna, zwalająca na chrześcijan winę spalenia Rzymu. Wszelako ręka Nerona i jego siepaczy nadto była widoczną w klęsce, aby uwierzono na prędce sporządzonej potwarzy. Wypadło poniechać zarzutu podpalaczy, a chrześcijan zaczęto karać śmiercią jako „nieprzyjaciół rodu ludzkiego", co nawet rzymskiemu motłochowi wydało się być zbyt ogólnikowem oskarżeniem — owszem budziło pewne współczucie, w lot przez Tacyta schwytane, dla ofiar Neronowej srogości.

Mordy w r. 64 mogły były pozostać krwawym wybrykiem najokrutniejszego z cezarów. Ale już Swetoniusz wspomina wśród ustaw do prawodawstwa w owym czasie wciągnionych osobne prawo, zagajające erę legalnego prześladowania chrześcijan, jako „ludzi, wyznających nową a szkodliwą naukę". Odtąd chrześcijanie zaczynają być prześladowani dla samegoż ich nazwania i wiary, nie z powodu jakiegobądź innego, choćby sztucznie sporządzonego zarzutu. Imię chrześcijanina wystarcza, aby najsroższe ściągać kary, i to w chwili, gdy książęta apostolscy zarówno wiernych upominali, aby byli poddani władzom...

Z śmiercią Nerona ustaje na razie prześladowanie, ale wywoływanie chrześcijan nie ulega zmianie. Wszystkie ustawy Neronowe ulegają zawieszeniu, jedna z nich tylko się ostaje, ta, która chrześcijan stawia poza obrębem sprawiedliwego prawodawstwa i wydaje na nich ustawiczne i najsroższe kary. To też gdy drugie prześladowanie wybucha za panowania Domicyana, nie potrzeba władcy nowe ferować wyroki i ustawy, nowy rzymskiej polityce nadawać kierunek. Uderzającym w tym okresie prześladowczym faktem jest liczba dostojnych ofiar, jak konsul Flavius Clemens i żona jego, Flavia Domitilla, powinowata cesarza, jak były konsul, Acylius Glabrio, o którego męczeństwie i krypcie rodzinnej w katakumbach Pryscylli niedawno profesor Miodoński podawał polskim czytelnikom ciekawą wiadomość. Wy-

mowną dają oni odprawę tym, co dotąd zapewniali, iż chrześcijaństwo wyłącznie się rozszerzało pomiędzy najprostszym ludem i niewolnikami.

Oba pierwsze prześladowania zostały zarządzone przez potwornych cezarów, jak Nero i Domicyan. Ale oto następuje szereg wielkich i znakomitych władców, jak Trajan, Hadryan, Antoninus, Marek Aureli, a i ci bądź sami chrześcijan uciskają, bądź zezwalają na ich prześladowanie. Za ich rządów prawodawstwo rzymskie dosięga chrześcijan za to tylko, iż się mienią być chrześcijanami, nie szuka, nie pozoruje wyroku jakimbądź innym zarzutem. Wszyscy apologeci II. w. powtarzają wraz z św. Justynem: „Krzyżują nas, ścinają, rzucają na pastwę drapieżnych zwierząt, okuwają w kajdany za to tylko, że nie chcemy się wyrzec wiary". Ostatecznie jedyna chwila folgi nastąpiła za panowania okrutnego cesarza Komodusa. Był to kaprys samowładcy, nie zorza lepszej doby, ani też polityki odmiana, ale po raz pierwszy nieugiętość ustaw rzymskich została naruszoną, jakby zwiastując, iż przyjdzie czas na ustępstwa i zawieszenie srogiej represyi.

W II. wieku pojawiają się pierwsi apologeci, którzy przedstawiwszy w wymownych słowach istotę chrześcijańskich dogmatów, wykazują, iż chrześcijanie są zarazem i najspokojniejszymi obywatelami państwa, i najwierniejszymi poddanymi cesarza. Owe zaręczenia, stwierdzone stronieniem chrześcijan od wszelkich spisków czy zamachów, niezdolne są przekonać cezarów, przerażonych wzrostem nowej nauki. Septymius Sewer, zrazu dość przychylny chrześcijanom, nagle zatrważa się ich liczbą, a wraz III. wiek wschodzi nad nowem i krwawem prześladowaniem.

Pomimo to, Kościół niebawem śmiało byt swój stwierdza, otwarcie broniąc swego istnienia przed trybunałem Cezara; prawda, iż w owej chwili cezarem jest Aleksander Severus, który w własnem oratoryum zamieścił obraz Chrystusa, i rad byłby mu otworzył Panteonu podwoje, gdyby się temu nie był sprzeciwił senat rzymski z obawy, aby ołtarze dawnych bóstw nie zostały odbieżane dla nowego Boga chrześcijan. Nigdy Kościół nie był bliższym uznania i zwycięstwa jak w onej chwili, gdy cesarz Aleksander przyznawał chrześcijanom prawo czczenia Bóstwa w sposób sobie właściwy, przyznawał im prawa korporacyjne, a nawet nie zaprzeczał ich istnieniu jako społeczności religijnej. Mniemać zaiste było można, iż okres prześladowczy na zawsze przeminął.

Niestety! ten moralnie najczystszy z władców Romy, ginie niebawem w zamieszce, a na tronie zasiada Trak, Maksymian, pierwszy

barbarzyniec w purpurę cezarów przyodziany, który odnawia prześladowanie chrześcijan. W Decyuszu starorzymskie przesądy i przywiązanie do państwowej religii i kultu, z nową budzą się zaciekłością. Podwójna zagrzewa go żądza: wyparcia z granic cesarstwa barbarzyńców i pozbycia się chrześcijan, którzy narażając na szwank instytucyę religii państwowej i fortunie Romy gotują niezawodne klęski. W oznaczonym dniu, wszyscy podejrzani o wyznawanie nowej nauki, powołani są naraz do świątyń pogańskich, aby składać ofiary bogom. Krocie męczenników życiem przypłacają opór i odmowę na hasło: *Accede et sacrifica!* Niestety! i apostazyi znalazło się mnogo, wobec oprawców i katuszy.

Decyusz szedł za starą tradycyą i przesądem. Cesarz Waleryan w ucisku chrześcijan upatruje środek wzbogacenia i wypełnienia skarbu państwa. Wtedy po raz pierwszy występuje kwestya zaboru, kwestya pieniężna. Wszakże św. dyakonowi Wawrzyńcowi przedewszystkiem trybunał stawia pytania co do ukrytych majętności kościelnych. Cmentarzyska chrześcijańskie osłonięte były rękojmiami, które nie pozwalały się na nie targnąć. Kościół jako instytucya, nie posiadał własnego majątku. Zawiedziony Waleryan odbić się spróbował na prywatnych posiadłościach, wydając na śmierć znaczniejsze pośród chrześcijan ofiary.

Cesarz Gallienus próbuje ubezpieczyć byt i swobodę chrześcijan osobnemi ustawami, które same z siebie upadają, gdy na tron cezarów wstępuje Aurelian, nowe acz krótkie zarządzający prześladowanie, które wznawia starą teoryę uciskania chrześcijan pod wyłącznym zarzutem obcego wyznania.

Początki III. wieku mijają we względnym spokoju. Nie brak chrześcijan na dworze Dyoklecyana w Nikomedyi, pełno z nich wyższe sprawuje urzędy, w miejsce ukrytych kapliczek występują wspaniałe bazyliki; w jednym tylko Rzymie, przezorność papieży, w przewidywaniu nowych ucisków, po dawnemu chrześcijan w podziemnych gromadzi świątyniach.

Co mogło tak nagle przedzierzgnąć Dyoklecyana w najzacieklejszego prześladowcę? Wszakże ten Dalmata żadną miarą nie mógł chować dla starorzymskiej religii ślepych uczuć rodowitych jak Decyusz Rzymian. Alboż dążąc do zupełniejszej samowładzy, chciał ją rozciągnąć i nad sumieniami poddanych? Czy uległ wpływom nienawidzącego chrześcijan Galeryusza? P. Allard za tym ostatnim domysłem się oświadcza, wskazując jak często natury wykwintniejsze dają się opanować przez ludzi szorstkich i twardych a upornych i wytrwałych.

Cokolwiek było powodem onej nagłej zmiany, prześladowanie wybuchło za dni Dyoklecyanowych, zrazu niezbyt krwawe i ograniczające się na kołach wojskowych, aby wybuchnąć z niepamiętną zajadłością w następstwie pożaru cesarskiego pałacu w Nikomedyi, przypisywanego podstępnie chrześcijanom. Ponowiły się zbiorowe rzezie; pewne miasto we Frygii zostało w pień wycięte, wszędzie mnożyły się ofiary bez liku, okupujące blizki już dzień swobody i zwycięstwa.

Zajaśniał on z wstąpieniem na tron Konstantyna, syna Heleny, stwierdzony sławnym medyolańskim z r. 313 edyktem, warującym każdemu „wszelaką swobodę posłuszeństwa w rzeczach bożych własnego sumienia tętnom", temu *instinctu divinitatis*, upamiętnionemu napisem na łuku Konstantynowym w Rzymie. Edykt ten zabezpieczał ogólną religijną swobodę i darzył chrześcijan zupełną wolnością w dziedzinie wiary.

Tu kończy się właściwie okres prześladowań, atoli autor uzupełnia swą pracę czterema dodatkowymi rozdziałami, ażeby ocenić politykę religijną Konstantyna i synów jego, reakcyę pogańską za czasów Juliana Apostaty, przejściową epokę za następnych cesarzy, nareszcie organizacyę chrześcijańskiego państwa za Teodozyusza. Niepodobna streszczać owych wyczerpujących rozdziałów, godzi się jednak kilka z nich przypomnieć rysów.

I tak, przeciwnicy chrześcijaństwa zarzucają nawróconym cesarzom, iż prześladowali pogan a uciskiem tym wstrzymać mieli rozwój ducha ludzkiego. W gruncie rzeczy jest to najfałszywszy zarzut. Edykt medyolański nie samych tylko chrześcijan, lecz i pogan równą obdarzył swobodą, „ażeby nikt nie doznawał szwanku ni krzywdy, ani w czci swej ani w religii".

A nie były to czcze formułki. Za panowania chrześcijańskich cesarzy, nieraz najwyższe godności przez pogan piastowane były, co autor stwierdza rozlicznymi przykładami i nazwiskami, wymieniając konsulów, prefektów Rzymu i innych dostojników pogańskich, przypominając łaski, któremi Libaniusz od Teodozyusza obdarzonym został.

Jedynym w tych zapóźnionych czasach prześladowcą był Julian Apostata, przedstawiany nam zwykle jako wzór doskonały tolerancyi. Zapewne, nie udało mu się zarządzić już tak krwawego i ogólnego prześladowania jak za dni Dyoklecyana, atoli gdzie mógł uciskał, katował, zabijał — i szydził. Bo gdy mieszkańcy pewnej prowincyi dowolnie uciskanej, zanieśli swą żałobę przed tron cesarza, ten ironicznie odpowiedział, że mają cierpliwie znosić wszelakie dolegliwości, aby

wypełnić przykazanie swego Mistrza. Przypomnijmy tu okrutnie zamordowanych dostojników straży cesarskiej, śś. Jana i Pawła, których dom w Rzymie został w ostatnich latach odkopany i opisany przez uczonego Ojca Germana.

P. Allard stwierdza, iż Julian Apostata był moralnym spólnikiem budzącego się za jego rządów prześladowania. Posiadamy zresztą edykt, którym spróbował zagrodzić „Galilejczykom" studya greckich i łacińskich pisarzy. Poganin Ammianus Marcellinus piętnuje rządy Juliana Apostaty, pisząc, że godzi się je zatopić w nocy milczenia i niepamięci. A i Julian nie działał w duchu starych Rzymian, nie odziedziczył ich przesądów, lecz raczej pałał nienawiścią odstępcy przeciw Bogu, którego się zaparł. Charakterystyka apostaty i juliańskiego okresu zamyka świetnie treściwą pracę p. Allard. Trudno znaleść lepszy obraz walki początków chrześcijaństwa z potęgą Romy. W tym nierównym sporze, cesarstwo uległo, a raczej się przekształciło. Acz pogaństwo dyszy jeszcze w V. wieku, niema już jednak pogańskiego cesarstwa, a niebawem Kościół dalsze a pokojowe dokonywając podboje, ujarzmi falę barbarzyńców, jak już ujarzmił Rzymian. Zaiste ludzkie środki tu starczyć nie mogły, trzeba tu uznać i dojrzeć rękę bożą. Książka p. Allarda w mistrzowski sposób przed nami roztacza to działanie i tłumaczy największą dziejową zagadkę.

M. **

Siostra Julia. Opowiadanie. Napisała *Anna Storożiwna*. Czerniowce 1897. („Сестра Юлія". Оповіданє. Написала Анна Сторожівна).

Mamy dziś do zanotowania ciekawą nowość z pobratymczej literatury rusińskiej. Leżąca przed nami opowieść przedstawia nam świat nieznany: duszę małoruskiej wieśniaczki podnoszoną coraz wyżej przez działanie boże i doprowadzoną wreszcie do jednego z najwspanialszych szczytów miłości chrześcijańskiej. Język żywcem wzięty z ust ludu małoruskiego, nadaje tej książeczce wartość literacką niepoślednią, bo choć nie zawiera nic podobnego do klasycznej literatury, przecie odznacza się czystością, prostodusznością i wysoce poetycznym polotem.

Daleko wyżej nad zalety formy wznosi się treść tej książeczki: proces psychologiczny, przebyty przez Rusinkę, nim zrozumiała bohaterstwo chrześcijańskie, zająć może nietylko chrześcijanina, ale nawet każdego człowieka, który studyuje duszę ludzką. A szczerość i prostota wieją z tego opowiadania; każdy czytelnik czuje, że znalazł

tu prawdę wziętą z życia, że ogląda to, co bolało i cieszyło na tej ziemi, a nie wyrosło w wyobraźni pisarza.

Wrażenie to szczerości i rzeczywistości potęguje forma listów, w jakiej opowieść cała jest ułożona. Listy swoje zaczyna bohaterka opowieści, Julia, tem, że zawiadamia przyjaciółkę o śmierci swej bratowej bardzo jeszcze młodej, dobrej, cichej i potulnej, którą kochała, jak siostrę najlepszą, a żal po niej czuje tem dotkliwszy, że jest zmuszoną przypisać przedwczesną śmierć bratowej swej rodzonej matcę i bratu, którego matka starała się źle usposobić ku żonie. Śmierć bratowej tak silne wywarła na niej wrażenie, że z obawy, by i jej przyszły mąż nie postępował z nią podobnie — pomimo tego, że jest już narzeczoną i dzień ślubu oznaczony — odkłada go na czas nieograniczony. W tydzień po śmierci bratowej umiera młodsza jej siostra 18-letnia, po której czuje się niepocieszoną i zupełnie zrywa ze swym narzeczonym Wasilem. W tym właśnie czasie rozpoczęły się misye Ojców Bazylianów, i Julia bierze w nich udział; uczęszcza pilnie na wszystkie nauki, które po raz pierwszy w życiu słyszane, robią silne na niej wrażenie. Niektóre, jak o sądzie, piekle, grzechu, śmierci tak przerażały ją, że sen odpędzały z jej powiek.

To wprowadzenie misyj ludowych w tok opowiadania jest momentem zupełnie nowym w naszej nowelistyce. A jednak, jeżeli jaki fakt ogólniejszej natury powinienby był nasunąć się pod pióro naszym powieściopisarzom, fotografującym wiernie każdy objaw życia, to te misye przedewszystkiem, które zmieniły pod wielu względami całą duchową fizyognomię naszego kraju, a po dziś dzień jeszcze stanowią potężny czynnik cywilizacyjny dla naszego ludu. Jeżeli nowelista znajdzie dosyć czasu, by podsłuchiwać gwarę mazurską, studyować sprzęty rolnicze w stodole, obserwować chłopa na jarmarku, przy orce, w karczmie i przy wszystkich innych występach włościańskiego życia — i to wszystko w imię realizmu — to dla tej samej racyi powinien zadać sobie tyle trudu, by przypatrzeć się duszy wiejskiej w tej chwili, którą każdy wieśniak uważa sobie za największą, najświętszą i najmilszą w życiu — w czasie ludowej misyi. Autorce należy się uznanie, że pierwsza ten moment uwzględniła.

A moment ten nie jest tylko ulotnie i dorywczo w tej opowieści traktowany. Misya Bazylianów jest w życiu Julii chwilą przełomową. Pod jej wrażeniem zaczynają się jej otwierać nowe światy, dusza zaczyna się rozszerzać na wzniosłe pragnienia, staje się coraz jaśniejszą i doskonalszą. Postanawia wreszcie Julia złożyć z siebie ofiarę Bogu i wstąpić do zakonnego zgromadzenia Służebniczek.

Następują trudności ze strony matki, które dają się po kilku miesiącach szczęśliwie usunąć, i Julia staje się siostrą Julią.

Po roku życia zakonnego, roku modlitwy i pracy wykonywanej z największem poświęceniem i zupełnem zaparciem się siebie, pewnego razu siostra Julia została wezwaną do chorej na czarną ospę, przed miesiącem owdowiałej ubogiej kobiety. Po przestąpieniu progu mieszkania, uderzył ją widok przerażający. Nieszczęśliwa chora leżała wśród zimy, na garści barłogu na ziemi: czworo małych dzieci drżących i tulących się z zimna i głodu ku sobie, siedziało na zimnym, od trzech dni nieopalanym piecu. Siostra Julia będąc córką jednego z najbogatszych gospodarzy, aż do tej chwili nie miała pojęcia o tak strasznej nędzy ludzkiej. To też od tej chwili, jedynem jej pragnieniem było, uratować życie nieszczęśliwej matki, która z jękiem rozdzierającym duszę, zdolnym poruszyć najzimniejsze serce, błagała o uratowanie życia dla swych dzieci. Siostra Julia dokłada wszelkich starań, i z zaparciem siebie biega od chaty do chaty, stara się wszelkimi sposobami poruszyć serca sąsiadów ku litości nad nieszczęśliwą chorą, by uprosić koni i potrzebnych pieniędzy na doktora. Lecz dopiero po całym dniu bezskutecznej pracy, nad wieczorem ubłagała jednego z litościwszych gospodarzy o konie bez wynagrodzenia pieniężnego.

Przybyły doktór zaledwie spojrzał, polecił zamówić trumnę dla chorej, co zrozumiawszy nieszczęśliwa, rozpaczliwiej jeszcze błaga siostrę o wyproszenie jej u Boga życia. Siostra Julia, słysząc kiedyś, że można życie swe ofiarować za innych, prosi przełożonej o pozwolenie, która nie przywiązując do tego wielkiej wagi, pozwala.

Na drugi dzień po uzyskanem pozwoleniu, Julia czuje się tak osłabioną i rozgorączkowaną, że nie jest zdolną podnieść się. Gdy mówi o zbliżającej się śmierci, siostry z niej żartują, bo nie widzą najmniejszego prawdopodobieństwa spełnienia się przepowiedni. Tymczasem przychodzi wiadomość, że chora wdowa na drugi dzień już mogła wstać, by przygotować pokarm swym dzieciom, a na trzeci dzień nawet, usłyszawszy komu zawdzięcza swe życie, przybiega ze łzami wdzięczności do sióstr Służebniczek. Wkrótce umiera Julia, zostawiając po sobie wdzięczne serca i żal nieutulony sióstr zakonnych i łzy wszystkich chorych i nieszczęśliwych.

Tak przedstawia się ta piękna opowieść, podnosząca serce i umysł i pozostawiająca po sobie niezatarte wrażenie.

H. S.

Z pism czasowych.

»Місіонаръ«. Выходитъ разъ на мѣсяцъ у Львовѣ въ монастыри ОО. Василіянъ. 3 zeszyty od 1 maja do 1 lipca 1897 r.

Nie wiemy, czy w całej historyi galicyjskiego piśmiennictwa znalazłoby się drugie czasopismo, cieszące się od razu takiem powodzeniem, jak to, które omawiamy. W maju bieżącego roku pojawił się pierwszy zeszyt *Misyonarza* w nakładzie 10.000 egzemplarzy, w kilka dni później musiano drugie dziesięć tysięcy drukować i w kilka dni znowu cały drugi nakład w lot był rozchwytany. A wszystko to działo się bez najmniejszej reklamy, bez afiszów, bez jakichkolwiek redakcyjnych forteli. Zapomniano nawet przesłać redakcyom początkowe zeszyty, tak, że, o ile wiemy, niniejsza relacya jest pierwszem zjawieniem się tego pisma na szerszej widowni. Samo pismo wstępnym bojem wywalczyło sobie w kilku dniach nietylko istnienie, ale i imponujące stanowisko.

Kiedy wzięliśmy w ręce kilka zeszytów *Misyonarza*, zrozumieliśmy od razu sekret tego powodzenia. Pomijamy już tę okoliczność, że miesięcznik jest nadzwyczaj tani, bo 16 stron wielkej ósemki, opatrzonej gustowną ilustracyą, 2 centy tylko kosztuje, powodzenie całe leży w wewnętrznej wartości pisma. Cel i zakres bardzo prosty. Młodzi księża Bazylianie, którzy już dość złożyli dowodów żywotności i na niejednem polu zaznaczyli swoją dodatnią działalność, podjęli w ostatnich latach we wschodniej Galicyi cały szereg misyj ludowych. Otóż te misye dały natchnienie i początek do wydawania miesięcznika dla ludu. Misya ludowa trwa krótko, kilka dni, jeżeli więc owoce jej mają być stałe, trzeba wynaleść jakiś sposób, aby tę gorącość ducha, jaką one po sobie zostawiają, ustawicznie utrzymywać i podsycać. Częste powtarzanie się misyj jest choćby dla braku czasu niemożliwe, nie pozostaje więc inna droga, prócz słowa pisanego. I to jest cel *Misyonarza*. Ma on być pośrednikiem między misyonarzami a ludem, który był na misyach obecnym, i ten święty ogień, który kazania misyjne w sercach słuchaczy rozpaliły, ma w pełni blasku i ciepła utrzymać. Będzie więc ten *Misyonarz* opowiadał wieśniakom, kiedy po całodziennej pracy usiądą gromadką pod zadymionym pułapem, o prawdach wiecznych, o życiu Chrystusa i Świętych, będzie im wyłuszczał w przystępny sposób dogmaty i prawdy wiary i moralności; wiele z tych prawd, które misyonarze mogli z ambony dla braku czasu

narzucić tylko, będzie obszernie tłumaczyć i rozwijać. Powie coś także o rzeczach dzisiejszych, o kwestyach i wypadkach bieżących, ale z tym doborem, któryby całemu zakrojowi miesięcznika odpowiadał.

Misyonarz ten iść będzie krok w krok za misyonarzami pod wiejskie strzechy, prosty i bez pretensyi, jak jego poprzednicy, ale też jak i oni gorący i bożym duchem przejęty. Na razie będzie miał może terytoryum ograniczone do tych kilkuset miejsc, w których odbywały się misye, ale w miarę, jak misye same będą się coraz bardziej rozszerzać na całą Ruś galicyjską, i *Misyonarz* całym krajem zawładnie.

A nie są to za różowe nadzieje. Kto miał sposobność przypatrzeć się z blizka na misyach, jak żywem uczuciem i jaką miłością lud obdarza misyonarzy i każde słowo ich na dnie serca chowa, jak nieraz całe gromady ludu za misyonarzami od wsi do wsi ciągną wśród niepogody i skwaru, nieraz o suchym kawałku chleba, byle tylko jak najdłużej ich widzieć i słyszeć, temu jest jasno, że każde słowo przez misyonarza do ludu pisane, będzie z otwartemi rękami jako drogi skarb przyjęte. Za powodzeniem *Misyonarza* przemawia także jedno psychologiczne doświadczenie, które skrajna demokracya doskonale już od dawna na swoją korzyść zużytkowuje. Chłop nasz jest realistą, abstrakcyjne więc redakcye, mieszczące się gdzieś za dziesiątkiem gór i lasów na brukach miejskich, a ze wsią i ze strzechą łączące się tylko przez pocztę i druk, wieśniakowi naszemu nie odpowiadają do przekonania. Chłop musi redaktora widzieć i słyszeć, musi mu się ze wszystkich stron przypatrzeć, w jego oczach i twarzy musi widzieć żywe zainteresowanie się swojemi biedami i kłopotami, a wtedy ostatni grosz na pismo wyłoży i każde słowo bez zastrzeżeń będzie przyjmować. A wobec tego jak silną dźwignią moralnego i duchowego życia na Rusi będzie *Misyonarz*, jak nawet pod względem społecznym potężną z olbrzymich mas ludu może z czasem przy obszerniejszem rozwinięciu programu stworzyć organizacyę, długo tłumaczyć nie trzeba.

To są przymioty zewnętrzne, które bardzo za pismem tem przemawiają; przypatrzmy się, jakiemi są wykonanie i redakcya artykułów.

Tu musimy szczerze wyznać, że rzadko kiedy spotkaliśmy się z tak popularnem i tak do ludowego pojęcia dostosowanem, religijnem wydawnictwem. Weźmy np. pierwszy zeszyt, na który składa się kilkanaście krótkich artykulików, kilkunasto-, kilkudziesięcio-wierszowych. Już krótkość ta sama ma swoje znaczenie ze względu na czytelników, dla których jest pismo przeznaczone. Niewykształcony umysł wieśniaka przy dłuższej rozprawie nie dałby sobie rady, żadną miarą nie

potrafiłby zestawić razem dłuższego szeregu myśli — on musi mieć wymierzone małe ustępy, w których jedna idea jest tylko rozprowadzoną, a wtedy z uwagą, zajęciem i pożytkiem czyta. Ten system utrzymany jest we wszystkich dotychczasowych zeszytach *Misyonarza*. W pierwszym np artykuliku, zatytułowanym: „Co to jest misyonarz?“, wytłumaczoną jest tylko definicya misyonarza, że jest to posłaniec, którego Bóg do ludzi posyła na jakieś boże dzieło. Następny artykulik: „Kto był misyonarzem?“, pozostający w ścisłym związku z pierwszym, uzasadnia tylko to jedno pojęcie, że misyonarzem był Chrystus. I tak dalej w następnych rozprawkach: „Jacy jeszcze byli misyonarze?“ (Apostołowie i uczniowie), „Jeszcze o innych misyonarzach“ (Apostołowie Rusi), „Co teraz słychać o misyonarzach?“, „Co misyonarz będzie wam w tych listach pisać?“, w których systematycznie, krok po kroku wyłuszczony jest cały program miesięcznika, a równocześnie ubocznie rysuje się wielka godność misyonarzy i członków kościelnej hierarchii, jako prawnych następców Chrystusa i Apostołów.

Z pomiędzy innych rzeczy najbardziej uderzyły nas dogmatyczne traktaciki o słowie bożem, o pochodzeniu, o nieomylności słowa bożego. Znajdują się one we wszystkich trzech zeszytach, a są w nich bardzo jasno i przystępnie subtelniejsze nawet kwestye teologiczne poruszone, jak np. kwestya o podmiocie i o granicach nieomylności katolickiej. Traktaciki te wskazalibyśmy wielu innym ludowym publikacyom jako udatny przykład do naśladowania.

Jeśli idzie o rozmaitość tematów, to mogłaby ona być wprawdzie większą, ale na razie i taka, jaka jest, jest wystarczająca. Składają się na nią to jakiś szkic ulotny z życia Świętych (św. Taida), jakiś ustęp z życia Chrystusa i Matki Bożej, a nawet tu i ówdzie rozrzucone wierszyki. Za to ożywienie niezrównane jest w samem wykonaniu i w sposobie przedstawienia rzeczy. Przy czytaniu tych zeszytów ma się ustawicznie to wrażenie, że autor nie siedzi przy biurze i pisze, ale że stoi ponad olbrzymiemi masami ludu i wzrokiem je naokół ogarnia. Przy każdem słowie patrzy w twarz i oczy słuchaczy i bada, czy jest zrozumiany. Zauważy na twarzach jakieś zakłopotanie, zaraz rzecz jakimś przykładem lub porównaniem objaśnia, kilka prostszych i zrozumialszych wyrazów dorzuci i tak w każdem zdaniu, w każdem słowie nawet znać napięcie i pracę umysłu, byle tylko do wiejskiego rozumu przemówić. Może być, że cała ta forsa popularyzowania rzeczy nie byłaby potrzebna w tej mierze tam, gdzie lud stoi na wyższym stopniu wykształcenia, ale kto zna poziom umysłowy ludu ruskiego, ten z pewnością racyę i słusz-

ność redakcyi we wszystkiem tem przyzna. Zwróćmy wreszcie uwagę na gorące i oddane całkiem ludowi serce autora, które z poza każdej zgłoski przeziera, a artykułom wszystkim nadaje jakiegoś dziwnego uroku, rzewnej prostoty i braterskiej szczerości, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o tem nowem a pięknem wydawnictwie.

Kiedy w pierwszej połowie lipca musiałem czas jakiś bawić we Lwowie, odwiedziłem także obecnego redaktora *Misyonarza*. Wązkim korytarzykiem dostałem się do ubogiej celi zakonnika i zastałem go wśród stosów swego wydawnictwa, zajętego pisaniem. Po serdecznem przywitaniu i po kilku wstępnych zapytaniach dowiedziałem się, że szczupła cela służy, jak na razie, na redakcyę, administracyę i ekspedycyę miesięcznika, a mieszkaniec celi wszystkie te zajęcia sam dotychczas wypełniał prócz wielu innych obowiązkowych zajęć. Przypatrywałem się temu wszystkiemu z podziwem, a kiedy po godzinnej pogawędce opuszczałem szare mury monasteru, rozumiałem już dobrze, dlaczego tej pracy tak błogosławi Bóg.

Ks. J. Pawelski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

ENCYKLIKA LEONA XIII. Z POWODU TRZECHSETNEJ ROCZNICY ŚMIERCI BŁOG. PIOTRA KANIZEGO.

Ostatnia encyklika Leona XIII. przeznaczona jest dla arcybiskupów i biskupów Niemiec, Austryi i Szwajcaryi. Wszystkie, przedewszystkiem niemieckie liberalne gazety zajmowały się żywo tym listem okólnym papieża. Niektóre poddawały pojedyncze jego ustępy drobnostkowo śmiesznej krytyce, inne skorzystały — według znanej taktyki — i z tej okazyi, by wylać swą niechęć czy nienawiść na Kościół i jego Głowę, i na zakon, do którego błogosławiony Kanizyusz należał. Ale nawet takie pisma jak *Neue freie Presse*, nie mogły odmówić uznania wielkiej i potężnej myśli, której ta encyklika daje wyraz. I rzeczywiście, myśl przewodnia tego listu jest tak wzniosła, tak zastosowana do prądów tegoczesnych, że i wróg religii nic jej zarzucić nie może. W końcowym ustępie papież się zwraca do „Pana umiejętności“ i do „Stolicy mądrości“ z prośbą, by życzenia jego serca wyrażone w tym liście spełniły się. Ta jędrna modlitwa jest streszczeniem całego listu, poświęconego szczególnie sprawie nauk. Każde słowo, każde zdanie tej encykliki dąży do tego, by zapalić duchowieństwo do gorliwego uprawiania umiejętności. Pomijając inne cnoty błogosławionego, z szczególnym naciskiem podnosi papież, z jaką

stałością, zręcznością i zastosowaniem się do potrzeb czasu władał Kanizy bronią umiejętności i nauki; przyczem zachęca wszystkich, którzy w obozie Chrystusa wojują, by, patrząc na wielkiego apostoła Niemiec, „rozważali, że ze zbroją sprawiedliwości łączyć trzeba i zbroję umiejętności". W dalszym rozwoju tej myśli Leon XIII. z wielką siłą i dosadnością wykazuje, że uprawa nauk między katolikami powinna być gruntowną i powszechną, ponieważ sprawa ta jest największej doniosłości dla Kościoła. Jest to obowiązkiem, powiada papież, tych, co w obronie religii walczą, aby każdą nową zdobycz, czy to na polu sztuki czy na polu umiejętności natychmiast swoją własnością czynili. Bo jeżeli kiedy, to dzisiaj umiejętności w wysokim stopniu potrzebne są do obrony katolickiej sprawy. Dlatego też szermierze Kościoła nie mają zadowalniać się wiedzą teoretyczną, ale korzystać z niej winni celem wywarcia szerokiego wpływu na społeczeństwo. Uczeni katoliccy, według myśli papieża, o to dbać mają, by własne ich studya służyły całemu społeczeństwu chrześcijańskiemu, a owoce ich prac stały się powszechnem dobrem.

Tu papież korzysta ze sposobności, by podnieść znowu głos w sprawie szkolnej, w szkole bowiem najskuteczniej przez naukę wpłynąć można na ukształcenie się całego społeczeństwa. Na dwie rzeczy szczególniejszą zwraca uwagę, przedstawiając je jako cel dążności katolickich. Najprzód nie mamy się zadowalniać szkołami mieszanemi, ale domagać się szkół wyznaniowych, a po drugie nie mamy poprzestać na kilkugodzinnym wykładzie religii, ale nie spocząć dopóty, aż cały wykład szkolny nie będzie owiany i przejęty duchem prawdziwej chrześcijańskiej religii. Wymagania te niezbędne dla szkoły katolickiej rozciągać się mają na wszystkie szkoły bez różnicy: na szkoły ludowe, gimnazya i uniwersytety.

Ruch o szkołę wyznaniową szerokie ogarnął kraje; w ostatniej kadencyi parlamentarnej kwestya ta była poruszaną w Anglii, Francyi, Włoszech i Austryi, a dzięki Bogu, nie całkiem bez skutku. Na nicby jednak ten ruch się nie przydał, gdybyśmy nie mieli mężów nauki, którymby można powierzyć wy-

chowanie i kształcenie młodzieży w szkołach wszystkich kategoryj. Niemieccy katolicy, do których ten list skierowany, dużo już na polu nauki zrobili. Ale zdaje się, że papież wymaga jeszcze więcej. „Równe siły, pisze, muszą być gotowe do odparcia ataku; najprzód trzeba zająć stanowiska, trzeba nieprzyjaciołom z rąk wyrwać broń, którą chcą przeciąć wszelkie węzły między Bogiem i ludźmi". Życzeniem więc papieża jest, aby katolicy w nauce zajęli to stanowisko, jakie zajmowali w średnich wiekach, tj. by wszędzie, nietylko w teologii, ale i w innych umiejętnościach stanęli na czele ruchu naukowego.

List następcy Piotrowego nietylko nam przypomina jak niezmiernie ważną dla Kościoła jest sprawą pielęgnowanie nauk, ale miejscami zdaje się nawet odzywać w nim i przebijać jak gdyby jakaś nuta żalu, że w obozie katolickim niedość jeszcze troski i starania o pielęgnowanie umiejętności, że niedość wysoko się ceni wielkie znaczenie, jakie nauki mają dla wiary. Przyznać trzeba, że na polu nauk ze strony katolickiej dużo zaniedbano. Będąc w posiadaniu prawdy nieomylnej, pewne sfery katolickie przywykły do lekceważenia nauk świeckich, skutkiem czego nauki stały się w niektórych krajach jak gdyby monopolem bezwyznaniowości albo indyferentyzmu. Dłużnikami jesteśmy, powiada papież, nietylko prostaczków, ale i uczonych. Panowie z *Neue freie* zdziwieni są niepomału, słysząc takie słowa z ust papieża i upatrują w nich jakiś zwrot na drogi liberalniejsze. Mylą się w tem. Kościół katolicki przez wszystkie wieki wysoko cenił nauki i sztuki. Ostatnia encyklika jest tylko nowym tego dowodem a zarazem dzielną bronią przeciwko wszystkim, co przedstawiają Kościół jako twierdzę i rozsadnik obskurantyzmu. Żywić można nadzieję, że głos ten papieski roznieci i spotęguje życie naukowe wśród katolików i przyspieszy godzinę, w której znowu zajmiemy w nauce i wykształceniu młodzieży dawne nasze stanowisko, któreśmy czasowo utracili. By praca ta była tem skuteczniejsza, papież ku końcowi listu zachęca jeszcze do łączności, bo „cóż pomogą podzielone siły przeciw zwartemu atakowi nieprzyjaciela?"

OBCHÓD JUBILEUSZU BŁ. PIOTRA KANIZ.

Jubileusz trzechsetletni śmierci „drugiego po św. Bonifacym apostoła Niemiec“ [1], świetnie się zapowiada. Ze wszystkich stron, zwłaszcza z krain niemieckich spieszą tłumy do grobu wielkiego męża. Papież udzielił odpustu jubileuszowego wszystkim, którzy grób błogosławionego aż do 21 grudnia 1897 r. odwiedzą. Osobne komitety zajęły się organizacyą i ułatwieniem wspólnych pielgrzymek, wystarawszy się o znaczne zniżenie opłat kolejowych i wziąwszy na się troskę wynalezienia odpowiednich mieszkań. Manifestacya była potężną! Nie mogłaby ona przyjść do skutku, gdyby nie odpowiadała głębszym uczuciom niemieckich katolików. Błogosławiony Kanizy stał w Niemczech w XVI. wieku na czele tej prawdziwej reformy Kościoła, którą protestanccy uczeni nazywają *die jesuitische Gegenreform,* a stąd zasłużył sobie u współczesnych na przydomek „młota heretyków“. Nieskalaną czystością obyczajów, niezmordowaną pracą apostolską, uczonymi wykładami i pisaniem dzieł, które, jak Leon XIII. się wyraża, dorównują dziełom Ojców św., niezmordowany ten pracownik wyłącznie dążył do tego, by wiara rzymsko-katolicka przeniknęła na wskróś wszystkie stany i potężny wpływ swój wywarła na całe życie niemieckiego narodu — prywatne i publiczne. Te same są dążności katolików niemieckich przy schyłku XIX. wieku, i dlatego rocznica ta wywołała taki nadzwyczajny ruch w całym niemieckim narodzie. Oprócz niemieckich pielgrzymek odbył się we Fryburgu czwarty międzynarodowy kongres katolicki od 16—20, wiec katolickich socyologów, wiec katolików niemieckich i francuskich w Szwajcaryi, a w Landshut w Bawaryi ogólny wiec katolików z Niemiec. Donosząc o tem, chcemy tylko zaznaczyć, jak żywem tętnem bije życie katolickie w Niemczech, zachowując sobie na czas późniejszy dokładniejsze sprawozdanie z tych wieców i zjazdów.

Z WŁOCH.

Stosunki między państwem a Kościołem we Włoszech w ostatnich kilku latach bądź co bądź uległy pewnemu przeobrażeniu. Na zewnątrz wprawdzie wszystko zostało tak,

[1] Encyklika Leona XIII.

jak było, ale opinia publiczna partyj Kościołowi wrogich i taktyka rządowa znacznie się zmieniły — i to ku lepszemu. Po zaborze Rzymu zdawało się masońsko-narodowej partyi, że papiestwo zwyciężone i że już nic nie stanie w drodze rozwojowi wielkiego narodu włoskiego, zwolnionego od wszelkich religijnych węzłów. Partye liberalne szkalowały papieża i religię katolicką, gdzie tylko się dało: więc w parlamencie, w gazetach, na publicznych przedstawieniach, afiszami na ulicach, i to w sposób najbrutalniejszy, hańbiący prawdziwie świetną przeszłość narodową. I dzisiaj walka między Kościołem a państwem trwa, ale długie lata doświadczenia nauczyły Włochów, że walka na zabój z religią katolicką jest bezskuteczną, owszem szkodliwą dla państwa, że bez Kościoła nawet Włochy obejść się nie mogą. Skrajne i czerwone gazety włoskie, które parę lat temu z religii drwiły, obrażają się dzisiaj na to, co katolicy powiadają, że włoski naród po części już nie jest katolickim. Nie jesteśmy, powiadają, ultramontanami, ale zostaliśmy tem, czem byliśmy, narodem na wskróś katolickim. Charakterystycznym objawem tego kierunku jest świeża odezwa niektórych „liberalnych“ katolików z Medyolanu. Celem tego manifestu jest założenie katolickiego stowarzyszenia włoskiego. W pierwszych zaraz wierszach składają jasne i otwarte wyznanie swej wiary katolickiej i swych dążności: „Jako katolicy wyznajemy całkowicie i bez zastrzeżeń wiarę katolicką, wspólny i świetny spadek włoskiego narodu; jako Włosi przyjmujemy lojalnie i bez ukrytych myśli teraźniejszy porządek konstytucyjny państwa włoskiego; jako katolicy i Włosi ubolewamy nad teraźniejszą niezgodą między Kościołem a państwem, i użyć chcemy wszystkich środków godziwych i legalnych, aby doprowadzić do porozumienia między obu władzami“. Podobny sposób myślenia, niezdrowy wprawdzie, ale w każdym razie świadczący o tem, jak głęboko się odczuwa potrzebę zgody z Kościołem, nie jest dziś wyjątkowem zjawiskiem we Włoszech. Tak np. gazeta *l'Italie* cała jest w tym duchu redagowana. A i w parlamencie odzywają się podobne głosy. Molmenti domaga się, by rząd w szkołach niższych oddał naukę religii księżom, którzy z natury do tego są powołani,

a nie świeckim, którzy może w nic nie wierzą. Jeżeliby księża w szkole antypatryotyczne szerzyli zasady — np. mówiąc o doczesnej władzy papieża — trzeba, według zdania włoskiego posła, ukarać ich surowo, ale nie powinno się usuwać ich zupełnie od wykładu religii. Minister oświaty w odpowiedzi wykazuje wprawdzie, że takie wymaganie samo ze sobą jest sprzeczne i dlatego w praktyce niemożliwe, ale oświadcza z patosem, że choć szkoła włoska jest świecka, to przecież nie jest ateistyczna: „Szanowni koledzy!... we wszystkich naszych szkołach elementarnych obraz Chrystusa z boskim majestatem do dzieci się uśmiecha!“ Jeszcze ważniejszemi do ocenienia sytuacyi są oświadczenia rządu, tyczące się wprost stosunku państwa do Kościoła. Rząd, który przedtem otwarcie przeciwko Kościołowi walczył, uważa to teraz za niestosowne: „Jesteśmy zwycięzcami — powiada minister sprawiedliwości — oni (katolicy) zwyciężonymi; nam więc wypada być umiarkowanymi“. Czemu rząd nie kierował się wcześniej tak szlachetnem umiarkowaniem względem zwyciężonego? Widać, iż zwycięzcy czują, że jeżeli się nie zbliżą do zwyciężonego, to sami ostać się nie zdołają. Nie wiedzą jeszcze w jaki sposób się zbliżyć, chwytają się rozmaitych środków, by dojść do upragnionej zgody. Tak np. jeden z posłów chciałby przez podniesienie płac niższego kleru pozyskać go dla rządu. W każdym razie stwierdzić można, że wszyscy są przekonani o koniecznej potrzebie zbliżenia się do Kościoła. A to już wielki postęp.

Pod wpływem tego ruchu znikają też przesądy, jak gdyby papiestwo było wrogie zjednoczonej wielkości narodu włoskiego. Leon XIII. przy każdej niemal sposobności dawał i daje wyraz swej gorącej miłości ku narodowi swemu, ale prasa liberalna przedtem nie zwracała na to uwagi. Z zadowoleniem przyjmuje teraz oświadczenia sympatyi, wyrażonej w *Osservatore Romano* dla włoskich żołnierzy: „Żołnierze ci — pisze organ katolicki — są naszymi synami, naszymi braćmi i dlatego czujemy słuszną dumę z tego, że choć szczęście wojenne ich opuściło, przecież honor ojczyzny ratowali“. Oświadczenie to nic nowego nie zawiera. Wszak sam papież, kiedy przed paru miesiącami w sam dzień rocznicy jego koronacyi przyszła wiadomość o klęsce wło-

skiego wojska, zakazał śpiewać *Te Deum*, które się zawsze w dzień ten uroczyście odśpiewuje. Nowem jest tylko to, że i przeciwnicy Watykanu takie oświadczenia przychylnie dzisiaj przyjmują.

Z BAWARYI.

Jako ciekawość zapisać trzeba najnowszą odezwę bawarskiego ministra oświaty do całego episkopatu, w której wyraża życzenie, ażeby biskupi na przyszłość nie byli tak surowymi w kwestyi chrzczenia na nowo protestantów, przechodzących na łono Kościoła katolickiego. Ta aż śmiechu godna interwencya władzy państwowej w kwestyi czysto kościelnej byłaby doprawdy niezrozumiałą, gdybyśmy w niej nie słyszeli dalekiego odgłosu z czasów józefinizmu. Rząd bawarski dał częste dowody swego józefińskiego nastroju, ale aż tego rodzaju wtrącanie się w sprawy religijne ze strony ministra oświaty, w kraju prawie na wskróś katolickim jest doprawdy zdumiewające! Jakichkolwiek minister jest zasad, przyznać trzeba, iż tem rozporządzeniem wystawił sobie wspaniałe świadectwo ignorancyi. Może pan minister raczy jeszcze podać księżom wskazówki, jakie mają w konfesyonale nakładać pokuty, jak udzielać ostatnich sakramentów. Choćby z ostatniego *Kulturkampfu* powinienby pamiętać, że Kościół zawsze szanuje władzę świecką w jej zakresie, ale w rzeczach czysto kościelnych uważa wszelkie wkraczanie świeckiej władzy za gwałcenie praw bożych.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Trzynaste Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Zgromadzenie odbyło się tego roku w Krakowie w dniach 6 i 7 czerwca. Co w niem na pierwszy rzut oka niemile uderzało — to nieliczny udział członków z prowincyi. Byłby to objaw bez wątpienia smutny, gdyby miał świadczyć o zmniejszającem się zainteresowaniu sprawami Towarzystwa odnośnych kół. Sądzimy jednak, że tak nie jest. Przypuszczamy raczej, że powodem nieprzybycia na zjazd wielu z członków był ogłoszony w czerwcowym zeszycie *Muzeum* program tego-

rocznego Walnego Zgromadzenia, program, jak się mogło wydawać, nie dość bogaty i szersze sfery nauczycielskie nie dość pociągający. Ot np. sprawa bibliotek dla uczniów, sprawa gimnastyki albo hygieny szkolnej... cóż o tem można powiedzieć, co się da w istocie u nas z najpiękniejszych i najdonioślejszych nawet uchwał przeprowadzić! Tak myślało, zdaje się, wielu, i wobec trudów i kosztów podróży cofnęło się od współudziału. Tymczasem ci, co na zjazd przybyli, nie żałowali trudów, bo ten z pozoru błahy program okazał się bardzo ważnym i bardzo zajmującym, a jeżeli się da chociaż w części wykonać, może być w swych skutkach nader doniosłym. Przypatrzmy się tylko pierwszemu referatowi d-ra Bolesława Mańkowskiego o stosunkach hygienicznych w naszych szkołach. O hygienie w szkole mówi się dosyć dużo, robi niewiele. Rada szkolna wydała wprawdzie w r. 1890 okólnik o utrzymaniu czystości w szkole, o przewietrzaniu i opalaniu sal, garderobie i t. d., a jednak i tych wskazówek z braku funduszów nie dało się przeprowadzić; np. garderoby na płaszcze, parasole, kalosze w wielu gimnazyach dotychczas niema i uczniowie wieszają mokre płaszcze i parasole w klasach. Za granicą ruch na polu hygienicznem olbrzymi: za Szwecyą, Norwegią, Danią, gdzie najpierw poczęto się zajmować hygieną szkolną, poszły Niemcy, Francya, Szwajcarya i wiele już w tych krajach dla tej sprawy zrobiono. Powołano w nich do życia komisye, które widząc, jaka moralna i fizyczna ruina grozi młodzieży z powodu zaniedbania hygiecznych warunków, zajęły się bardzo gorliwie nietylko tak bijącymi w oczy szczegółami, jakimi są zaniedbane u nas oświetlenie, wentylacya sal, ławki i t. d., ale też czasem pracy uczniów, następstwem przedmiotów nauczanych, zadaniami domowemi, pomiarem wzrostu i skrzywienia stosu pacierzowego, bólem głowy, anemią, rodzajem pisma (najlepsze prostopadłe) i t. d.

Zajmujący i sumiennie opracowany referat zakończył autor wnioskiem, aby „Zgromadzenie poleciło wydziałowi wnieść memoryał do Wysokiego Sejmu, iżby wezwał kompetentne czynniki do utworzenia fachowej komisyi w celu zbadania hygienicznych warunków nauki w naszych szkołach średnich i przedstawienia wniosków co do poprawy stosunków w tym względzie". W dyskusyi nad referatem zgodzono się na ankietę, już choćby z tej przyczyny, że poruszyć ona i pouczyć może swemi pracami ogół inteligentny, tak iż on sam pocznie się upominać o lepsze budynki, że także w domu zwróci uwagę na warunki, w jakich wychowuje swych synów. Ankieta ta jednak niema być jednorazowa: ludzie w niej zasiadający mają pracować usta-

wicznie, bo niesposób przeprowadzić w przeciągu jednego roku badania nad szkodliwym wpływem nauki w teraźniejszych warunkach; trzeba tym samym np. krótkowidzącym uczniom przypatrywać się latami, rok po roku, a wtedy dopiero będzie można powiedzieć, że przyczyna choroby tkwi w szkole, i ściśle oznaczyć, w którym czasie i z jakich przyczyn choroba się wzmogła. Podniesiono również dawniej już niejednokrotnie wyrażane życzenie, aby gimnazyum każde miało swego lekarza; uchwalono wreszcie, aby zaprowadzono obowiązkowe wykłady hygieny dla kandydatów nauczycielskich w uniwersytecie jagiellońskim i utworzono posadę inspektora hygienicznego w Radzie szkolnej krajowej.

Spełnienia tych pięknych życzeń nie prędko zapewne się doczekamy, bo wszystko, jeżeli się nie rozbije, to z pewnością znacznie się opóźni z powodu braku funduszów. Jedno tylko urzeczywistni się prawdopodobnie wkrótce: to obowiązkowa nauka hygieny, którą Rząd wprowadza (na razie nie obowiązkowo), w uniwersytecie z przyszłym rokiem szkolnym; może wówczas nauczyciele więcej niż dotychczas, będą uważali na postawę uczniów, na siedzenie przy pisaniu, na odległość książki od oczu i t. d.

Po p. Mańkowskim czytał p. Rawer referat dyr. Maurycego Maciszewskiego o bibliotekach i książkach dla młodzieży. Znowu sprawa niby niewiele znacząca, a jednak bardzo ważna, i w naszych szkołach nie wszędzie tak prowadzona, jakby należało. A najpierw w przeważnej części gimnazyów biblioteki są bardzo ubogie. Młodzież nasza czyta chętnie, chciwie połyka książki, a nie znajdując ich w dostatecznej ilości i jakości w szkole, wypożycza potajemnie z bibliotek publicznych, ukradkiem lub jawnie porywa znajdujące się w domu i... skutek znany! I znowu rozbija się i łamie wszystko o ten nieszczęsny brak pieniędzy. Z funduszów przeznaczonych na cele naukowe gimnazyum, nauczyciele poświęcają większą część na zakupno książek dla młodzieży, ale ponieważ fundusz mały a uczniów dużo, przybywa więc rocznie książek stosunkowo za mało i młodzież musi się żywić staremi, małej wartości, wbrew zasadzie, że powinna czytać tylko dobre lub najlepsze rzeczy. A więc, zanim zaczniemy mówić o urządzeniu bibliotek, o rozdzielaniu książek według klas czy wieku uczniów, postarajmy się przedewszystkiem o same książki, domagajmy się na nie głośno pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy! A domagajmy się także wynagrodzenia dla bibliotekarza czy bibliotekarzy, którzy dotychczas wcale nie lekką pracę spełniali bezinteresownie.

Referent po ogólnych uwagach nad prywatną lekturą uczniów, jej celem, doborem książek i t. d., kończy następującymi wnioskami:

„Walne Zgromadzenie wyraża przekonanie, że: 1) obecny stan bibliotek dla młodzieży i 2) obecny sposób wypożyczania z nich książek nie czynią zadość wielkiemu znaczeniu czytelni dla młodzieży. Z tego powodu:

1) Walne Zgromadzenie poleca wydziałowi Towarzystwa, ażeby *a)* przy pomocy osobnej komisyi na podstawie inwentarzy bibliotek szkolnych wydał katalog książek stosownych dla młodzieży szkolnej z oznaczeniem, dla której klasy każda książka ma być przeznaczona; *b)* corocznie w wrześniowym zeszycie czasopisma *Muzeum* ogłaszał spis książek wydanych w ciągu roku z uwzględnieniem tego samego podziału; *c)* zajął się wydawnictwem książek dla młodzieży, czy to bezpośrednio, jak dotąd, czy za pośrednictwem prywatnego nakładcy, któremuby Towarzystwo dostarczyło materyału odpowiedniego; *d)* przedstawił wysokiej c. k. krajowej Radzie szkolnej potrzebę podjęcia wydawnictwa niemieckich książek, zajmująco a łatwym językiem napisanych, dla naszych uczniów szkół średnich.

2) Walne Zgromadzenie uznaje potrzebę, ażeby wypożyczaniem dzieł z bibliotek szkolnych zajmowali się nauczyciele języka polskiego i niemieckiego, z których pierwsi wypożyczaliby swoim uczniom książki polskie, drudzy niemieckie".

W bardzo ożywionej i szczegółowej dyskusyi zgodzono się na większość wniosków referenta, uznano potrzebę komisyi wydawniczej, przez Radę szkolną aprobowanej, któraby się zajęła nietylko doborem książek, ale także ich stylem i pisownią. Przyjęto również podział biblioteki na klasy, bo w ten sposób ulży się pracy dotychczasowemu jednemu bibliotekarzowi, a rozłoży się ją na kilku profesorów języka polskiego i niemieckiego; bo następnie rozdział książek będzie można zastosować do poziomu umysłowego uczniów i lekturę skontrolować; ponieważ wreszcie próba podziału książek pomiędzy poszczególne klasy okazała się praktyczną w gimnazyum jarosławskiem. Natomiast nie chce się Towarzystwo podjąć wydawnictwa książek dla młodzieży, bo nie przynosi ono żadnych korzyści, tylko straty, a również i Rada szkolna nie podejmie się wydawania książek niemieckich. — Wogóle, zdaje mi się, że sprawę wydawnictwa bierze się u nas zbyt różowo, tak, jakby wystarczało tylko napisać dobrą książkę, a wydawca sam zaraz spieszył z hojnem honoraryum. Tymczasem, Towarzystwo oświadcza, że ponosi straty na swych wydawnictwach, a prywatny nakładca — proszę spró-

bować — ten z podziękowaniem i obietnicą, że się sam zgłosi w razie potrzeby do wielce szanownego autora, nakładu odmawia... Wydaje wreszcie Żyd, który za nędzną, obliczoną na podrażnienie fantazyi elukubracyę potrafi zapłacić kilkanaście złotych umierającemu z głodu akademikowi.

Oświadczono się jednomyślnie przeciw wydawaniu książek niemieckich, stosownych dla młodzieży, raz dlatego, że panuje powszechna niewiara, aby prędko i dobrze napisał ktoś z naszych niemiecką książkę do czytania, powtóre z tego powodu, że w niemieckiej literaturze dla młodzieży znajduje się tak wiele książek, że należy tylko dobrze poszukać, a znajdą się takie, które nasi uczniowie i z przyjemnością i bez wielkich trudności czytać będą. Polecono także wydziałowi, aby się starał o odpowiedniejsze dotowanie bibliotek szkolnych i o wynagradzanie profesorów, zajmujących się bibliotekami.

Wnioski wydziału w sprawie obowiązkowej nauki gimnastyki przedłożył dr. Mieczysław Warmski. Znanem powszechnie rozporządzeniem ministerstwa ma być z początkiem przyszłego roku szkolnego zaprowadzona obowiązkowa nauka gimnastyki w gimnazyach. Każda klasa ma mieć tygodniowo 2 godziny gimnastyki, to znaczy, że przybywa do tylu już godzin obowiązkowych w galicyjskich szkołach średnich tygodniowo tam, gdzie jest tylko 8 klas, nowych godzin 16, gdzie klas więcej, a tak jest prawie wszędzie, tam ta liczba dochodzi do trzydziestu kilku. Stąd trudność pierwsza, gdzie te godziny umieścić? Dać je rano — wówczas uczniowie będą siedzieli w szkole do drugiej godziny po południu; przełożyć je na po południe, to znowu jednorazowość nauki będzie zwichnięta. Drugą trudnością i przeszkodą znaczną, w razie gdyby się udzielało gimnastyki rano, to brak sal w gimnazyach: 21 gimnazyów nie posiada własnej sali, uczniowie więc już choćby z tego samego powodu nie mogliby pobierać tej nauki rano, bo udawanie się do sal, leżących poza obrębem szkół i powrót do nich zabierałyby zbyt wiele czasu. A nie mamy również i odpowiednich nauczycieli gimnastyki, którymi powinni być albo lekarze, albo profesorowie gimnazyalni, albo skończeni uczniowie kursów gimnastycznych w Krakowie, w każdym razie ludzie wykształceni, inteligentni, z odpowiednią wiedzą medyczną. Obecnie uczy gimnastyki w Galicyi 12 profesorów gimnazyalnych, 8 nauczycieli z „Sokoła“, 6 nauczycieli ludowych i 1 naczelnik straży ogniowej. Wobec tych trudności, sądzi referent, że tam tylko obowiązkowa nauka gimnastyki bezwłocznie powinna być wprowadzona, gdzie znajduje się należycie urządzona sala

i odpowiednie siły nauczycielskie, inaczej rzecz się załatwi formalnie tylko, w istocie z tej nauki wielkiego pożytku nie będzie i na szkołę spadną nowe zarzuty. Zważmy np., że w naszych szkołach dużo jest młodzieży biednej, która za opłatą 3 lub 4 złotych mieszka i każe sobie gotować przywiezioną z domu kaszę; taki biedny uczeń nie mogąc opłacić lekarza, któryby swem świadectwem uwolnił go od gimnastyki, pójdzie na nią z konieczności, a posiadając np. wadę sercową, o której nie wie, padnie kiedyś trupem podczas nauki. Słusznie więc Zgromadzenie uchwaliło, że nauka gimnastyki powinna się odbywać pod nadzorem lekarskim.

W toku dyskusyi usłyszeliśmy także bystrą uwagę, że nauczyciele gimnazyalni powinni odbywać odpowiednie kursa gimnastyczne i sami uczyć gimnastyki, że nie powinni się pozbywać najlepszej sposobności poznania charakterów młodzieży, które podczas zabawy najłacniej się objawiają.

Negatywne i na pozór niewiele mówiące wnioski referenta, żądającego, aby obowiązkowa gimnastyka nie naruszyła jednorazowej nauki szkolnej i nie powiększyła ogólnej liczby godzin szkolnych, zdążają wprost do reformy naszego szkolnictwa, bo jeżeli nie ma być więcej godzin, jeżeli ma pozostać jednorazowa nauka, tj. jeżeli uczniowie mają się gimnastykować pomiędzy lub po godzinach rannej nauki, na co się zupełnie godzimy, to tem samem domaga się, aby zreformowano szkolnictwo, uszczuplono godziny innych przedmiotów. Jakich, kiedy, w której klasie... tego referent nie mówi, bo to nie było jego rzeczą, on tylko postawił sprawiedliwą zasadę. Do urzeczywistnienia jej dąży nagły wniosek, uczyniony na końcu posiedzeń Zgromadzenia a wzywający wydział, aby poczynił starania celem urządzenia w roku 1898 w Wiedniu międzynarodowego, a następnie austryackiego zjazdu pedagogicznego, połączonego z wystawą fachową. Zjazd ten ma uchwalić nową organizacyę szkół średnich, w niej i gimnastyka znajdzie stosowne miejsce i wówczas dopiero będzie na seryo traktowana; przy obecnie obowiązującym planie nauk nie wielkich się po niej można spodziewać rezultatów.

Ostatnim punktem programu było zastosowanie scyoptykonu do nauki poglądowej. Okazało się, że z przyrządu tego można korzystać prawie we wszystkich przedmiotach nauki gimnazyalnej. Dąży się do tego oddawna, aby młodzież miała w klasie jak najwięcej obrazów, aby przy każdej sposobności kształcić poczucie piękna, utrwalać wykład ustny okazaniem fotografij, odlewów, sztychów, map... Otóż tutaj

oddaje scyoptykon wielkie usługi, bo przedstawia obraz zbliżony bardzo do rzeczywistości, widzialny równocześnie dla wielu uczniów, kiedy fotografia np. musi przechodzić z ręki do ręki i wymaga kilkakrotnego objaśnienia. Scyoptykon, to ulepszona latarnia magiczna, w którą wkłada się fotografie na szkle, t. zw. dyapozytywy; przyrząd rzuca obraz znacznie powiększony i bardzo wyraźny na biały ekran z płótna (szirting). Dyapozytywy francuskie kosztują 1 fr. 50 ct., wkrótce mają się ukazać w handlu dyapozytywy wiedeńskie po 50 ct.

Oprócz wymienionych powyżej głównych punktów programu, składał wydział, jak zwykle, sprawozdanie z czynności Towarzystwa za ubiegły rok szkolny, przedstawił obecny jego rozwój i stan jego finansów. Temi sprawozdaniami nie zajmujemy się szczegółowo, choćby dlatego, że wydział ogłosił je w czerwcowym zeszycie *Muzeum* (str. 5—30); tam więc odsyłamy ciekawego szczegółów czytelnika. Tu tylko podnosimy niektóre rysy ogólne i bardziej charakterystyczne.

Towarzystwo wykazuje w ubiegłym roku szkolnym 4 członków honorowych i 682 członków zwyczajnych; Kół liczy obecnie 13. W bieżącym roku zawiązało się nowe Koło w Buczaczu za inicyatywą dyrektora Fr. Zycha, który to fakt wita wydział z tem większą radością, że „niektóre Koła przez cały rok nie dały znaku życia o sobie, bądź z powodu małej liczby członków, bądź z powodu braku spraw ważniejszych, któreby żywsze zajęcie budziły“. Rozczytując się w sprawozdaniach Kół nabiera się wrażenia, że robi się w nich na ogół nie wiele. Na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy podnieść należy, że praca nauczyciela prowincyonalnego jest cięższa, aniżeli profesora w Krakowie lub Lwowie, i to nietylko cięższa z powodu słabszego materyału, mniej inteligentnych uczniów, ale i większa, bo z braku sił nauczycielskich każdy nauczyciel ma t. zw. nadliczbowe godziny. Jeżeli nauczyciel ma 4 godziny ranne zajęte nauczaniem, a piątą wpisywaniem not do katalogów, jeżeli mu jedno i drugie popołudnie zajmie konferencya, jeżeli miesięcznie musi poprawić kilkanaście „paczek“ zadań, jeżeli co najmniej godzinę musi poświęcić na przygotowanie się do wykładu w szkole, jeżeli choćby jedną godzinę dziennie czyta coś dla zdobycia szerszej wiedzy i dla utrzymania się w kontakcie z postępem nauki, to chyba nie wiele mu pozostaje czasu i ochoty do napisania czy to referatu z jakiejś książki, czy to samoistnej pracy; a przecież ów nauczyciel jest także ojcem rodziny, który, chcąc zaspokoić jej potrzeby, musi nieraz przybierać lekcye prywatne.

Przyklasnąć tylko należy projektowi wydziału, w wielu miejscach

już urzeczywistnionemu, aby Koła wciągały do grona członków Towarzystwa szersze warstwy światłej publiczności. „To zainteresowanie ogółu sprawami szkolnictwa i Towarzystwa naszego byłoby nietylko pożądane ze względów materyalnych, ale zarazem przyczyniłoby się wielce do wprowadzenia tak pożądanej harmonii między szkołą a rodzicami".

Jak w ubiegłych latach, tak i tego roku otrzymało Towarzystwo z ministeryum wyznań i oświaty subwencyę w kwocie 600 złr. na wydawnictwo *Muzeum*, do czego sejm dołożył 1000 złr. Resztę kosztów wydawnictwa (wynoszących 4.071 złr. 39 ct.) pokrywał z swych funduszów i wkładek członków Zarząd Towarzystwa; prenumerata i sprzedaż roczników przyniosły 190 złr. 48 ct. Wogóle deficyt, jaki pociąga za sobą wydawnictwo *Muzeum*, z roku na rok, niestety, wzrasta.

Wydział zajmował się żywo sprawą rozszerzenia *Muzeum*, widząc jednak, że o powiększeniu ram jego, bez znalezienia nowego źródła pokrycia zwiększonych przez to wydatków, mowy być nie może, wzywa Koła, aby na ten cel przeznaczyły czwartą część swych dochodów, jak to już dawno uczyniło Koło lwowskie.

Sądzę, że na ten projekt zgodzą się Koła, bo przy dotychczasowej swej objętości *Muzeum* nie było w stanie pomieścić wszystkich prac, nadsyłanych Redakcyi w ciągu roku, i autorowie musieli nieraz czekać długie miesiące, zanim ich elaboraty ujrzały światło dzienne. Jak to jest przykrem, każdemu piszącemu dobrze wiadomo; praca, wywołana jakąś doraźną potrzebą chwili, traciła na aktualności albo stawała się po dłuższym czasie zupełnie niepotrzebną. — Przy tej sposobności pozwoli Redakcya *Muzeum*, że zwrócę jej uwagę na życzenie, objawione w toku narad Walnego Zgromadzenia, mianowicie, że pragnieniem jest nauczycieli, szczególnie tych, którzy uczą w gimnazyach prowincyonalnych, aby *Muzeum* umieszczało głównie i przedewszystkiem prace z zakresu szkolnictwa i rozszerzyło więcej dział recenzyjny. Tych prac mamy za mało, bo dużo miejsca zabierają artykuły literackie, które o wiele właściwiej mogliby autorowie umieszczać w innych czasopismach peryodycznych. Nauczycielowi na prowincyi bardzo jest trudno z powodu braku bibliotek zdobyć się na pracę literacką, łatwiej mu o cenny nieraz, na doświadczeniu oparty przyczynek z zakresu szkolnej pedagogii. Takie rzeczy powinno *Muzeum* drukować, bo autorowie nigdzie indziej nie mogą ich pomieścić dla braku odpowiednich pism w Galicyi.

Obok tych niektórych szczegółów ujemnych — które, oby jak naj-

prędzej na pożytek tak ważnej instytucyi, jak Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, naprawione i usunięte zostały — z szczególnem i zupełnie usprawiedliwionem zadowoleniem podnosi wydział fakt, że fundusz zapomogowy imienia Mickiewicza pomyślnie wzrasta i przynosi już drobne na początek, ale piękne i szlachetne owoce. Nauczycielstwo z zapałem przyjęło i poparło myśl, aby ze składek centowych utworzyć fundusz, któryby był pomocą dla wdów i sierót po nauczycielach. Składki na rzecz tej fundacyi wynosiły po dzień 30 kwietnia 1897 r. kwotę 7.465 złr. 24 ct. W roku ubiegłym rozdał wydział 6 zapomóg po 50 złr., mianowicie 4 wdowom i 2 sierotom po nauczycielach. Szlachetnym usiłowaniom, które ocierać mają łzy smutnym i opuszczonym, szczęść Boże!

Dr. Antoni Kurpiel.

Misya Adryanopolska ks. Zmartwychwstańców.

Leży przed nami mała broszura: *Établissement d'éducation des PP. de la Résurrection de N. S. J. C. à Adrinople. Bulletin de l'année scolaire 1895/96.* W pierwszej części broszury podaje superior misyi, O. August Mosser, krótki rzut oka na stan i rozwój całej misyi; druga część poświęcona w szczególności sprawom szkolnym, zaznajamia nas z rozkładem nauk w kilku zakładach, zostających pod kierownictwem Zgromadzenia, do czego dołączono spis nauczycieli zakonnych i świeckich, jakoteż alfabetyczny wykaz uczniów wraz z miejscem ich pochodzenia.

Sprawozdanie zaznacza, że życzliwe usposobienie ludu bułgarskiego względem katolickiego Kościoła w ostatnich czasach stale wzrastało, a pomyślne skutki pracy Zgromadzenia nad młodzieżą występowały coraz wyraźniej. Mimo to OO. Zmartwychwstańcy byli zmuszeni znacznej części zgłaszającej się do szkół ich młodzieży odmawiać przyjęcia, a i w duszpasterskiej pracy nie byli w stanie wykonać wszystkich swych zamiarów. Stał temu na przeszkodzie brak materyalnych zasobów. W ostatnim jednak roku ofiarność katolickiego świata przyszła nieco z pomocą i umożliwiła wprowadzenie pewnych ulepszeń; inne, dalej sięgające plany dopiero z czasem uskutecznić się dadzą.

Wspaniałe encykliki Ojca św., w których głosi z zapałem wzniosłą ideę łączności Kościołów wschodniego z zachodnim, nową wlały

w Ojców otuchę, zachęcając ich do tem gorętszej pracy, a zarazem budząc uzasadnioną nadzieję, że słowa namiestnika Chrystusowego silnym dźwiękiem odezwą się w sercach katolików całego świata, a być może, że i nowych obudzą ofiarodawców, którzy w sposób praktyczny zechcą poprzeć wielką myśl wielkiego papieża.

Najpomyślniejszym wypadkiem ubiegłego roku było rozpoczęcie budowy nowego kościoła. Brak kościoła unickiego w Adryanopolu dawał się dotychczas wielce we znaki. Znajdowała się tam wprawdzie kaplica katolicka wschodniego obrządku, lecz nader szczupła i w opuszczonym już stanie. Musiano się przeto starać o budowę nowej świątyni, zwłaszcza że ludy na Wschodzie więcej może niż na Zachodzie cenić zwykły sobie formy, w jakich się na zewnątrz religia objawia. Uzyskano na budowę nowego kościoła pozwolenie władz państwowych, a J. E. Mr. Petkow, biskup unicko-bułgarski, przy końcu lipca położył kamień węgielny. Świątynia i co do swej architektury, i co do miejsca, na którem się wznosi, będzie jedną z najwspanialszych w Adryanopolu. Fundamenta i część murów już są ukończone, a w tym roku przy pomocy bożej i współudziale łaskawych ofiarodawców spodziewać się należy, że będą się już mogły rozpocząć w niej nabożeństwa.

Powiększony też został i konwikt, rozszerzono bowiem place rekreacyjne i wybudowano nową salę, w której młodzież w zimie lub w czasie słoty będzie mogła swobodnie się bawić. Cały zakład już to budową, już to położeniem pięknem a zdrowem, zwraca teraz coraz bardziej uwagę na siebie. Stanął też w roku ubiegłym oddzielny eksternat, do którego przeważnie uczęszczają chłopcy z Armenii; po znanych wypadkach, jakich widownią stał się niedawnymi czasy Konstantynopol, obawiają się Ormianie do szkół tamtejszych posyłać swe dzieci, jak to przedtem czynili.

W Akbunar, wiosce odległej 20 kilometrów od Adryanopola, mają OO. Zmartwychwstańcy stacyę misyjną i zarządzają tamtejszą parafią. W roku ubiegłym wybudowano w tej miejscowości szkołę i wprowadzono naukę systematyczną. Zaraz też liczba uczniów więcej niż w dwójnasób wzrosła. Nietylko katolicy, ale i schyzmatycy posyłają do niej swe dzieci, i jest uzasadniona nadzieja, że cała wioska wkrótce może przejdzie na łono katolickiego Kościoła. W Malko-Tyrnowie zamieszkały w tym roku Siostry Zmartwychwstanki; zajęły się one prowadzeniem szkoły dla dziewcząt, do której przeważnie uczęszczają schyzmatyczki. W Tyrnowie misya wiele podobno wróży na przyszłość;

w każdym razie mile uderza szczegół, że spotyka się w tej miejscowości znaczną liczbę powołań zakonnych.

Oto w streszczeniu, postęp, że tak nazwę, materyalny, jakiego w tym roku doczekała się misya adryanopolska.

Postęp duchowny nie ustępuje pierwszemu. Bułgarowie unici z dniem niemal każdym stają się mężniejszymi wyznawcami katolickiego Kościoła; około trzydziestu konwiktorów przyłączyło się w tym roku do Unii; wiele nawróceń miało miejsce w wioskach Akbunar i Tyrnowie, do czego przyczyniają się w pierwszym rzędzie szkoły prowadzone przez OO. Zmartwychwstańców. Dałby Bóg, żeby liczba tych szkółek mogła się z każdym rokiem powiększać. Z seminaryum duchownego dwóch kleryków wyświęconych zostało na kapłanów a jeden na subdyakona, wszyscy trzej obrządku wschodniego. Święcenia te, tem były pożądańsze, iż wiele jest wiosek, w których rodziny katolickie żyją pozbawione pomocy swego kapłana.

Nic dziwnego, że wzmagające się stopniowo znaczenie katolickiej misyi adryanopolskiej nie daje spokoju duchownym schyzmatyckim. Starają się oni wszystkimi sposobami prace Zmartwychwstańców udaremniać lub co najmniej osłabiać, już to ułatwiając dostęp młodzieży do schyzmatyckich zakładów, już to budując nowe szkoły, już to wreszcie spiesząc biednym z pomocą. Reakcya ta ze strony schyzmy zmusza OO. Zmartwychwstańców do wytężenia wszystkich sił w pracy, przedewszystkiem nad młodzieżą, ta bowiem praca największe dla misyi rokuje nadzieje.

Rozporządzają oni pod tym względem dość już znacznymi środkami. W Adryanopolu posiadają: 1) szkołę przygotowawczą *(école primaire);* 2) gimnazyum 7-klasowe, po ukończeniu którego przejść może uczeń do seminaryum lub z łatwością zdać egzamin, odpowiadający naszej maturze i otwierający wstęp do wyższych zakładów; 3) rodzaj małego seminaryum, w którem młodzież przygotowuje się do stanu duchownego; 4) seminaryum właściwe, którego rektorem jest O. Stanisław Szyler, dawny wychowaniec seminaryum warszawskiego; posiada ono kurs przygotowawczy dla tych, którzy całego nie ukończyli gimnazyum, a nadto kursa filozofii i teologii; 5) eksternat francusko-bułgarski, składający się z czterech klas; 6) szkołę rzemieślniczą *(école des arts et métiers),* dla tych, którzy ukończywszy szkołę przygotowawczą, dalej się kształcić nie mogą.

Nadto poza Adryanopolem mają OO. Zmartwychwstańcy, jak już

wyżej wzmiankowaliśmy, dwa domy misyjne: jeden w Malko-Tyrnowie, drugi w Akbunar; w tym roku w obu tych miejscach powstały szkoły stałe dla chłopców, a w Tyrnowie jest nadto szkoła dla dziewcząt.

Gimnazyum posiada 7 klas; przedmioty w nich wykładane odpowiadają mniej więcej tym, jakie spotykamy w naszych gimnazyach; matematyka i języki nowoczesne, jako to: bułgarski, francuski, niemiecki, turecki (angielski, włoski i armeński w eksternacie) zdają się stać na pierwszym planie. Łacina zaczyna się dopiero w klasie czwartej, a greka zupełnie nie egzystuje. Nauka religii trwa przez całe gimnazyum. Geometryę i historyę powszechną rozpoczynają już od pierwszej klasy. Wykłada się też historyę bułgarską. W siódmej klasie obok języków, historyi, geometryi, fizyki i chemii spotykamy logikę i psychologię, a nawet astronomię, pedagogikę i fizyologię z hygieną.

W przygotowawczej szkole, obok zwyczajnie wykładanych przedmiotów, przepisane są nadto trzy języki: bułgarski, słowiański i francuski. Dodać tu wreszcie należy, że gimnastyka, śpiew i muzyka mają też swoich profesorów.

Wszystkich OO. Zmartwychwstańców, którzy poświęcają się pracom tej misyi, było w ubiegłym roku dziesięciu, nie licząc dwóch braci zakonnych, z których jeden opiekuje się chorymi, a drugi w szkole rzemiosł uczy krawiectwa.

Profesorów świeckich było siedmiu; liczba ich od zeszłego roku, o jednego zmniejszyła się. Profesorowie świeccy przeważnie wykładają języki nowoczesne, i to w eksternacie lub w szkole przygotowawczej, w kolegium zaś tylko turecki, a bułgarski w niższych klasach, nadto arytmetykę w I. i II. klasie i historyę naturalną.

W konwikcie stale mieszkających internistów było 91, eksternistów 10; w szkole rzemiosł 10; w Tyrnowie w szkole chłopców 205, dziewcząt 38; w Akbunar w szkole chłopców 38.

Z 91 konwiktorów, mieszkających w Adryanopolu, 7 opłaca całkowitą należytość, 33 płaci połowę, 6 dostaje ubiór, książki i rzeczy szkolne za darmo, a 44 zupełnie bezpłatnie utrzymuje zakład.

Misya cieszy się uznaniem zarówno tureckich władz, jak i przedstawicieli innych państw europejskich.

Kamil Sierzputowski.

Czytelnia katolicka we Lwowie.

„Czytelni“ różnorodnych po miastach i miasteczkach naszych, ogólnie mówiąc, nie brak; są czytelnie polskie, ruskie, bal i żydowskie, są czytelnie „Kółek“ i „Oświaty ludowej“, czytelnie mieszczańskie i parafialne. Inna rzecz, jak funkcyonują. Wiele z nich naprawdę czytelniami, wiele kasynami, a wiele jeszcze mają parę lub jednę szafę z książkami w kąt zapchniętą, mają wydrukowanego gdzieś w jakimś katalogu prezesa i wiceprezesa — ale na tem i koniec. A jak funkcyonuje, jakie przynosi owoce parę czytelni, noszących nazwę „Czytelni katolickich“? Bardzo to jeszcze *rari nantes* w czytelnianem morzu. Jest podobno na prowincyi dwie, czy trzy, może cztery czytelnie, które nazywają się katolickiemi, ale o nich — przyznajmy w pokorze — wiemy tyle, że istnieją, a i to dobrze, jeśli tyle wiemy.

Więcej i częściej słychać o „Czytelni“ we Lwowie i w Krakowie. O krakowskiej czytelni było przez pewien czas nawet dość dużo słychać; urządzane przez nią odczyty i pogadanki ściągały znaczne liczby słuchaczy, a jeżeli wierzyć dziennikarskim sprawozdaniom, wielu myślało na seryo o przeprowadzeniu w życie niejednej z myśli na pogadankach poruszonych; co więcej, istniało, a może jeszcze i istnieje kilka osobnych komitetów, zawiązanych w tym celu... Starsza lwowska czytelnia nigdy nie ustępowała, a w każdym razie dziś nie ustępuje młodszej koleżance. Niejedna idea, niejeden pomysł rzucony na wieczornej pogadance przy zarzuconym gęsto dziennikami stoliku, dostawał się zaraz nazajutrz do kilku pism codziennych, znajdował u publiczności przychylne przyjęcie i — rzecz prawie nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa — czynem się stawał. Tu zrodził się i został przyprowadzony do skutku plan podania do namiestnictwa petycyi o lepsze, bardziej duchowi kraju katolickiego odpowiadające święcenie niedziel i uroczystych świąt, zwłaszcza w handlu. Tu obmyślano i na szerokie rozmiary podjęto akcyę, mającą na celu wyrugowanie protestancko-niemieckich wieńców, składanych na grobach zmarłych, na pierwszem miejscu w dniu zadusznym. Tu wypowiedziano walkę na śmierć i życie gorszącym widowiskom, obrazom niemoralnym, bijącym w oczy ze sklepowych wystaw; walkę bynajmniej nie bez praktycznego, ściśle pozytywnego skutku. Stąd wyszła dziś już prawie że urzeczywistniona myśl utworzenia związku krajowych towarzystw katolickich. Czy nie piękne i liczne rezultaty, choćby i innych nie było.

A są i inne. Kto z nimi, kto z wewnętrznem życiem lwowskiej Czytelni katolickiej pragnie bliżej się zapoznać, niech odczyta ostatnie, piąte z rzędu „Sprawozdanie Zarządu Czytelni katolickiej we Lwowie za rok 1896", albo lepiej niech przy sposobności wstąpi do lokalu Czytelni, z członkami się zapozna, na jedną, drugą z góry zwyczajnie w katolickich pismach zapowiedzianą pogadankę pospieszy, a jeśli starczy wiedza i ochota, weźmie czynny udział w dyskusyi. Taki już z pewnością, poznawszy raz drogę do katolickiej czytelni, o niej nie zapomni. Jeśli jest Lwowianinem, zapisze się do lwowskiej Czytelni, jeśli mieszka poza Lwowem, nie spocznie, aż póki w mieście, czy miasteczku, do którego go losy rzuciły, nie założy podobnego ogniska katolickiego światła...

Któżby wątpił, że nam dziś takich ognisk koniecznie i jak najwięcej potrzeba?

Ks. B. J.

Druk ukończono 30 sierpnia 1897 r.